



OPOWIEŚĆ O NIEWINNEJ
MIŁOŚCI W CZASACH,
GDY SPEŁNIAŁY SIĘ PRZEPOWIEDNIE
I NAJOKRUTNIEJSZE SNY

PAWEŁ ROCHAŁA
**BALLADA
O CZAROWNICY**

WYDAWNICTWO CZARNO NA BIAŁYM 

PAWEŁ ROCHAŁA
BALLADA
O CZAROWNICY

Wydanie pierwsze

WYDAWNICTWO
CZARNO NA BIAŁYM 
www.wydawnictwocnb.pl

Warszawa 2017

PROLOGUS

Śłuchajcie dobrzy chrześcijanie

I wy co dobrzy nie jesteście

Takoż słuchajcie mnie pogany

I niedowiarki wszystkie w mieście

Opowiem wam o cnej dziewczurze

Pobożnej tak jak wiele innych

Co czarowała tylko dobrze

W czym dopatrzone się jej winy

Choć to niewiasta niby prosta

Wrodzoną dumę miała w duszy

Rycerskość jakiej trudno sprostać

Pokorę jakiej warto służyć

Jeśli zechcecie moi mili

Nadstawić ucha jak psi czynią

To zapomnicie jadła picia

Za opowieści tej przyczyną

Oprócz miłości będzie wojna

Anioły diabły ludzie prości

Nastanie noc w połowie dnia

A dzionek w nocy wam zagości

Ujrzycie dziwy tak jak ci

Co weszli w całkiem cudze życie

Moimi słowy będziecie śnić

Tak w tym się mocno zapomnicie

Kto zechce tedy niechaj słucha

Kto nie chce niech tego nie czyni

Ostrzegam że gdy wysłuchacie

Świat zda się wam całkiem innym.

KSIĘGA PIERWSZA

OD PSTROKATEJ JESIENI DO OSTATKÓW

Jesień roku Pańskiego 1240 nadeszła wcześniej. Dłoniaste liście jaworów najpierw przybrały jej barwy, aby wkrótce opaść i pod drzewami dać podściółki z żółci i czerwieni, z każdym dniem zapadłe w otoczenie coraz ciemniej, coraz ciemniej, aż stały się płową szatą ziemi o zapachu pleśni. Tam, gdzie mieczem już sieknął mróz, liście buków pokryły się barwą tężejącej krwi, jakby je opryskała posoka śmiertelnie ranego pogańskiego potwora, a niebaczne na cudze nieszczęście świny szukające o rześkich, mglistych porankach trójgraniastych cierpkosłodkich orzeszków rozgarniały głęboką czerwień ciemnymi, wrażliwymi ryjami.

Graby zapłonęły na żółto, jakby pragnęły zgorzeć choć raz w życiu, co przecież jest trudne, a już na pewno niemożliwe o dżdżystej jesieni, gdy po lesie snuje się woń grzybów.

Brzozy nie zsiwiały, one nigdy nie siwieją. Siwizną zastępującą najświeższą i najskromniejszą ze wszystkich zieleni jest ich blada żółć gotowa do strząśnięcia lada tchnieniem, żeby rześkim deszczem przemienionym w miękkie kobierce odsłonić ciemnordzawą chmurę gałązek przebitą setkami białych kołków.

Tylko dęby się nie poddawały i nie poddały aż do silnych mrozów i wiatrów okryte w całości, co prawda nie zielonym, acz płowym, szeleszczącym liściem.

Młode sosenki były w tym towarzystwie całkiem wesołe, bo każda z igiełek rosą okryta szczęśliwie spijała wodę, lejąc ją za kołnierze ludziom schylającym się pod nie po dziesiątki miękkogłowych, śliskich maślaków i tęgich, wybujałych ponad trawę, brunatnych czapek borowików.

Podziurawione, lepkie i mszyste liście leszczyn przybrały ziemistą barwę skromnych mniszek, bo leszczyny nigdy nie chcą wyróżniać się z otoczenia, nawet gdy umierają. Zwłaszcza gdy umierają.

Taką ta jesień była w lasach.

Na polach było jeszcze zwyczajniej. Rżyska zmiękły i już nie kłuły. Role czasem posrebrzył szron, częściej zgłębiły ich odcień deszcze, czyniąc widok zamazanym i błotnym. Ziemia zapachniała odpoczynkiem. Pozieleniały tylko oziminy skwapliwie skubane przez czerwone bydło, szarawe owieczki, czarne barany i srokate kozy.

Tak, nieubłaganie nadchodziła zima.

Pstrokata jesień coraz bardziej popadała w szarość słot i burość wieczorów – jak każda jesień, z tym tylko wyjątkiem, że nie dałoby się o niej powiedzieć złota, a może nie było komu tego zauważyć.

Coś jeszcze wisiało w powietrzu napełnionym wonią przejrzalności. Nie o pajęczę nici wtedy szło, co dla jeleni są jedynie przedzą na rogach, za to dla ludzi przeszkodą nakazującą zawrócić do ciepłych domostw, nie o malutkie kropelki wilgoci gęsto zawieszane w przestrzeni i nie opadające, ani też nie o chłody poranków i wieczorów. Gdziekolwiek postąpić, cokolwiek powąchać albo zobaczyć, tej jesieni wszędzie się snuło przecucie niezwykłych wydarzeń. Niby to nic nowego, przecież – jak świat światem – każdego roku ludzie przeczuwali nadejście niebywale ważnych spraw. Przeczuwali głównie starzy do zerwania babiego lata już niezdolni, nieważne, czy bojący się śmierci, czy z nią już pogodzeni, czy z trwogą albo pogodą jej wyczekujący. Tym razem nie same przecucia starców stanowiły o wszechogarniającym niepokoju. Nim bowiem się zaczął mroźno-dżdżysty listopad, wiadomo już było, że coś musi się wydarzyć. Coś złego. Dobrego prawie nikt się nie spodziewał, chyba że po śmierci. Lecz nawet i tej – może z wyjątkiem starców – wyczekiwali nieliczni.

Wiedźma należała do młodych wyjątków, co – zwłaszcza jesienią – mimo dobrego zdrowia i wyraźnej urody często myślała o sprawach ostatecznych i to bez przymuszania okolicznościami. Co prawda, w wypadku dziewczury znalazłoby się sporo bodźców do codziennego dumania o kruchości człowieczego żywota, bo przecież jako znachorka ciągle stykała się z powszednimi boleściami i strapieniami, a także z samą śmiercią. Z powodów innych niż ludzkie nieszczęścia przychodziło jej jednak myślenie o świecie nie tylko tym ziemskim, czy raczej ludzkim; żyła w lesie, lasem i jak las, przeto z nim pragnęła rozkwitać, z nim przysypiać, może nawet i zamierać po nadejściu mrozów, lecz wiosną, gdy lody puszczą, chciała z nim się budzić i śpiewać trelami ptaków.

Bywało jesienią i tak, że zaznawszy tego, co dzieje się wtedy nieuchronnie pośród większości ptactwa, mogłaby odlecieć niczym żurawie, co ją dzisiejszego ranka obudziły żalonymi krzykami. Nad domem wypełnionym odurzającą wonią lata z polan leśnych i nadodrzańskich skoro świt przeleciały stada tych ptaków. Leciały niczym rycerskie skrzydlate hufce z nastawionymi dziobami-włóczniami, aby zimową porę spędzić hen, daleko, daleko... A potem wrócić.

Lub już nigdy nie wracać.

Dziewczura jeszcze nie wyszła ze snu, w którym jako śmigły jaż gonila wodą za uciekającą wzdłuż strumienia ważką, a już wzuła ciżmy, zarzuciła barani serdaczek i nic nie powiedziawszy matce, pobiegła w jawę za głosem odlatujących żurawi w usiłowaniu, aby ze srebrzystej ryby stać się szarym ptakiem. Sama nie wiedziała, jak wyszła z domu, za ogrodzenie, jak szybko przebieżyła las i dogoniła swą duszę zapędzoną aż na skraj łąki.

Świat pięknie się przedstawiał tego październikowego poranka, zwłaszcza zagajniki i łąki otulone wąskim pasmem mgły, nad którą dziewczura widziała wierzchołki krzywych i rozłożystych sosen wbitych w niebo rozwichrzonymi

koronami; właśnie oderwało się od nich słońce i rzuciło promienie na mgiełkę, ta, jakby przebudzona, zaczęła się unosić. Wilgotna przędza płynęła w górę, przekreślając widnokrąg siwą krechą, odrywała się od łapiących ją zazdrośnie drzew i pozornie znikwała na tle bladego, pokrytego jakby niebieskawym wapnem nieba. Córka ludzkiego rodu, dysząca z wysiłku, stęskniona za niewiadomym, wiedziała i widziała, że mgła nie unosiła się sama, lecz za sprawą dzierzających jej skraje, otulonych pasmami zielonych włosów wił. Wpadła więc na pomysł, że i ona, podobnie do wił wielkookich – przecież niczym prawie od nich się nie różni – polecą pod chmury. Zzuła ciżmy, zrzuciła serdaczek, szarą suknię roboczą nieco uniosła i jeszcze raz pobiegła wskroś zamierającej łąki, w stronę uwięzionej smugi mgły, co z całej płachty unoszonej wilgoci wystawała niczym pasemko przędzy na skraju tkaniny. Biegła co tchu, migając białymi łydkami, a bosa stopy odgniały na żółkniejących trawach zrazu głębokie, z każdym krokiem coraz płytsze ślady, wreszcie tylko wstrząśnienia rosy. Rozpędziła się tak, że tylko muskała pochylone przedwczorajszym szronem miękkie źdźbła wiechlin, sztywne kostrzewy i drżące, puste już, smętne kłosy owsic. Schwyciła mgłę jedną dłonią, pomogła sobie drugą, i nawet podfrunęła na kilka kroków, aż rozwichrzyły się za nią połyskujące czerwienią włosy, a lniana suknia oplotła zgrabną postać ciasnymi, wilgotnymi fałdami.

Na krótko niebo stało się bliższe i bardziej niebieskie, ziemia zaś pozostała już tylko wspomnieniem.

Kądział uczyniona z mgły nie wytrzymała prawdziwego, ludzkiego ciężaru i łagodnie odsuwając się od frunącej chmury, postawiła dziewczurę na ziemi. Ani włosy, ani suknia nie chciały już być skrzydłami – zmoczone przylepiły się do wiedzy. W rękach, jeśli nie liczyć pustki, została jeno wilgoć, podobnie w oczach, przed chwilą bławatnych, teraz orzechowych. Wkrótce łyzy na ciemnych rzęsach dziewczury zaskrzyły się w słońcu tak samo jak krople rosy zwisające z koniuszków gałązek i mrowia sosnowych igieł. Z rozedrganą twarzą, z przylepionymi do niej miedzianymi pasemkami włosów, zamknęła powieki i pozwoliła spłynąć łzom po białych policzkach, których nigdy nie zdołało opalić słońce. Łzy opadły na trawy i wymieszały się z rosą. Dziewczura spojrzała żałośnie, bo pomiędzy zaciśniętych do białości palców wyciekało to, co miało być ucieczką z ziemi.

Została na niej.

Młoda wiedźma przez chwilę jeszcze oddychała niespokojnie, ale tylko przez nos, aż oddech się wyrównał, a żal za niespełnieniem zelżał nieco. Stała na skraju łąki, niedaleko ściany drzew zamiatających konarami więdnącą trawę, tuż przed wysmukłymi dziewczannami zmieniającymi barwy letnie na jesienne; niektóre całkiem już nie żyły. Wśród nich były niegdysiejsze, co rok temu przestały w nich krążyć soki, i te staruszki jeszcze stały, bo dziewczanny, niczym drzewa, brązowiwały,

czerniały i butwiały, ale stały, stały, aż ich dumne łodygi połamał wiatr lub śnieg.

– Czy to samo mnie czeka, co was? – zapytała szeptem dziewczura o coś, na co odpowiedź zawsze musi być twierdząca, tylko czas pozostaje niewiadomym. Dziewanny nie odpowiedziały ani te jeszcze żywe siwawą, włochatą zielenią, ani żywe na pól. Z wielu z nich zielarka latem zebrała niemal cały radośnie żółty kwiat, zostawiając na najwyższych końcówkach pędów grona nierozkwitłych pąków. Teraz nawet one już przekwitły, bądź ściał je przymrozek, więdły na brązowo, nie rozwinąwszy się do końca jak dusze niepogrzebanych dzieci, co zmieniają się w wiły i brzeginie.

– Ile przyjdzie mi czekać, aż moje życie się odmieni? – młoda wiedźma mądrzej spytała niż poprzednio i wtedy zafurczało w powietrzu i nad dziewczurą przeleciało stado klejnocików. Jeden ze szczygłów usiadł na najbliższej, jeszcze żywej dziewannie, co miała ledwie jeden pęd, za to wybijały tak, że wierzchołkiem przerastał wiedźmę. Czerwonolicy ptaszek spojrział na dziewannę bystro, kilka razy, szybko pochylając główkę we wszystkie strony, jakby coś liczył albo sprawdzał, pisnął cieniutko i odfrunął za towarzyszymi, pokazując żółte piórka wnętrza skrzydeł. Dziewczura zamarła. Na tym krzewie, co wciąż żył, bo go nie ściał mróz, kilka pośród zbitego grona pąków na jej oczach pękło, zmieniając się z jasnej, mszystej zieleni w jaskrawą żółć wiotkich płatków. Dziewanna chwiała się zachęcająco. Uspokoiła ją zaraz niecierpliwa ręka, a wskazujący palec drugiej ręki zliczył kwiaty. Było ich sześć.

– Sześć dni, sześć miesięcy... Może sześć lat? – znowu dziewczyna pytała, patrząc jednym okiem na kwiaty, bo drugim szukała odpowiedzi daleko.

Wkrótce jednak skupiła się na niemożliwym, nierzeczywistym, co się działo za jej sprawą i udziałem, zdziwiona wtedy, i długo jeszcze potem, skąd miała aż tyle odwagi, aby uchylić zasłonę skrywającą przyszłość. Drżącymi palcami zrywała pękające pąki, a one – już na jej dłoni – same z siebie rozchylały krągłe płatki i ukazywały wianuszki czerwonych kresczek osadzonych na pręcikach równie drżących co palce dziewczury lub też zamierały w oczach, jakby nie na chłodnej dłoni je kładła, lecz gorącym kamieniu. W tym krótkim czasie, za każdym oglądanym kwiatem, czuła to, co miało niebawem nastąpić. Najpierw od napotkania przecucia niezmiernego szczęścia drgnęło serce wiedźmy. Potem zyskała dojrzałość tak wielką, jakby już całą mądrość życiową posiadała. Miłe doznania przygasiło zaraz silne poczucie konieczności walki o miejsce na świecie. Za tym przyszedł gorzki smak rozstania, z tęsknotą nie do ukojenia. Wreszcie poczuła, że jest obca wszędzie, gdziekolwiek spojrzy, zwłaszcza gdy widziała więdnący piąty kwiat.

– Co to oznacza? – wstrząsana doznaniem, wpatrzona w przyszłość, zmartwiała zapytała samą siebie, choć przecież znaczenie miała na dłoni lub w swoim wnętrzu.

Może jeszcze długo stałaby tak i dumałaby nad tym, co ją czeka, ale nadeszło następne niespodziewane zdarzenie. Z ostatniego z kwiatów, co zamiast się rozwinąć, spłowiał i zwiędł i w jednej chwili był zimny jak lód, a zaraz potem parzył niczym grudka żaru, wybiegło kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt malutkich robaczków – wciornastków. Wiedźma, przerażona nie widokiem i mrowieniem się robaków, lecz ogniowym bólem, machnęła ręką z krótkim krzykiem, a kwiaty dziewanny, te rozkwitłe i te sparzone przyszłością, rozsypały się wokół niej nierównym kręgiem. Krótco otrzepywała bolącą dłoń o suknię, bo poraziło ją następne doznanie – przerażenie. Cofała się przed nim, nie odwracając głowy od dziewann, jakby coś złego czaiło się między nimi, coś, czego nie można spuścić z oczu, bo skoczy i rozerwie na strzępy. Chociaż niewidzialna ani w świetle dnia, ani w ciemnościach nocy, w źrenicach dziewczury przeglądała się bezdenna, czarna otchłań rozwartej paszczy złego – bramy do przyszłości. Wreszcie, po kilkunastu krokach, gdy tylko nabrała pewności, że owo coś nie dopadnie jej jednym susem, młoda wiedźma odwróciła się i pobiegła do domu, aby – czy tego chce, czy nie – od dziś zaczęło się spełniać widzenie. Nie chciała już niczego więcej wiedzieć, przecież i tak dowiedziała się aż nadto.

Rozdział 1. **Sen księżnej Jadwigi**

TRWOGA

Dziewczurę już wam przedstawiłem

Teraz opowiem o starej księżnej

Co strój pokutny i umartwienia

Znosiła święcie – jak najmężniej

Jadwiga jej na imię było

A z rodu wyszła najwyższego

Uznała jednak że jej trzeba

Pokory nabyć Aleksego.

Przedwcześnie postarzała księżna Jadwiga ze zdziwieniem przyglądała się nastającej ciemności wylazącej na świat w smutny, jesienny wieczór. Ziąb przenikał na wskroś. Nie tylko ziąb. Krajobraz też, chociaż go prawie nie było, bo szaroczarna ziemia z szarym niebem zdawały się tworzyć dwie płaszczyzny zetknięte hen, w całkowitej pustce, potęgującej w Jadwidze poczucie dojmującej samotności. W dodatku ściemniało się takim sposobem, że nie wiadomo było, gdzie podziało się słońce. Ani miesiąc, ani gwiazdy nie wzeszły, jedynie nieskończenie odległa, ostra granica nieba i ziemi coraz bardziej przygasła, aż zamgliliła się tumanem, niebo zaś wymieszało się z ziemią tak mocno, że gdyby dojsć tamto miejsce, można by je niechcący podeptać.

Takim księżna Jadwiga ujrzała świat. Myśli miała podobne do widoku, całkowicie bezcelowe, rodem z najgorszych herezji, bo pełne zwątpienia. Trzeba było coś począć ze sobą, najlepiej, dokądś pójść. Tylko dokąd i po co? Czego szukać, aby znaleźć? Albo: przed czym uchodzić, żeby ocaleć?

Można zapytać, ale samą siebie, czy na pewno jest się żywym. Chyba tak, skoro nie widać ani aniołów, ani diabłów. Nic nie męczyło, nic nie pomagało. Chociaż nie! Widok pustki niepokoił coraz mocniej, bo nie dało się znaleźć nawet jednego przedmiotu dla zaczepienia oka czy myśli. Jak więc znaleźć oparcie dla modlitwy? Modlitwa całe zło odwraca, niedobre hamuje. Jeśli jest jednak byle jaka, czy działa na długo? Czy będzie skuteczna bez należytej staranności? Czasami wystarczy tkwić w miejscu i się modlić, ale tu, w pustce, nie było nawet o co zaprzeć się kolanem, żeby modlitwy dobrze wykorzystać do odpędzenia gniotącego ciężaru zwątpienia.

Zwątpienie...

Może dawniej, ale ostatnimi laty Jadwiga nawet by nie przypuściła, że właśnie ona, co wszelkie ludzkie zło w życiu już widziała, co codziennym, dobrowolnym cierpieniem uprzykrzyła sobie życie tak mocno, że już niczego się nie bała, co oswoiła się z myślą o śmierci, może nie jak z czymś dobrym czy nieuchronnym, lecz z koniecznością przyjęcia w gościnie nielubianego krewnego, że właśnie ona może bać się czegoś, sama przy tym nie wiedząc, czego.

Teraz, nagle tu, dowiedziała się, czego.

Bardziej niż śmierci czy choroby wystraszyła się własnych myśli – domysł ów tym mocniej ją zatrwożył. Pojmowała już, że to dzieje się w jej głowie, pojmowała już, w którą stronę zmierza. Jeśli na początku drogi od jednego złego widoku przyszły tchórzliwe myśli ciągnące za sobą coraz straszniejsze domysły, od których drży na całym ciele nie z samego chłodu, to jakież potwór czai się na jej końcu? Jak bardzo jego będzie się bała? Księżna pojęła i to, lecz domysł łączył się z następnym aż obezwładniającym przestraszeniem. Nie chodziło o nieszczęścia przyszłych pokoleń, bo z tymi zdołała już się oswoić przez lata codziennych wizji i conocnych koszmarów. Lęk księżnej wziął się ze zwątpienia w potrzebę modlitwy. Uświadomiła to sobie i niczym małe dziecko czyniące źle, a bojące się przyłapania na grzechu, rozejrzała się wystraszona po szaroczarnej pustyni, czy ktoś zobaczył ją wąpiącą, czy za chwilę usłyszy śmiech ludzi poważniejszych od siebie lub – co gorsza – diabli chichot.

Pustka znów jednak okazała się pustką.

Następny domysł księżnej był jeszcze straszniejszy od poprzedniego. Iście heretycka myśl sięgnęła za tę pustkę, a tam oczyma wyobraźni ujrzała nicość. Jeżeli nicość jest, to nie ma niczego i nikogo, jeno bezdenna otchłań i rozpacz.

Bo nie ma nawet... Tak, nie ma nawet...

Po najgorszym z możliwych pomysle wyprzedzającym wszelką myśl

heretycką o pięćset lat, księżna przekonywała samą siebie, że tak się nie godzi. Każdemu zdarza się wątpić, ale są sposoby na to, żeby zwątpienie przegonić precz. Należy zacząć od modlitwy. Modlić się trzeba wszędzie, nawet w pustce, chociaż wygodniej mając jakiegokolwiek oparcie. Jeśli jednak nie widzi się największego przedmiotu modlitwy, warto znaleźć coś małego, choćby po to, aby mieć lepsze widoki. I tak oto w Jadwidze zakiełkowały malutka nadzieja i pomysł na wyjście z udręki, w jaką sama się zapędziła.

Czy nie wystarczy iść i się modlić, tak w drodze? Jeśli dokąds iść, to w stronę światła, nie ciemności. Uczeni nieraz mówili, że słońca się nie dogoni, ale można wyjść mu naprzeciw. Skrócić złą noc, wywołać dzień, kierując bose stopy na wschód, potem mu towarzyszyć, też na piechotę, na zachód. Co prawda daleko tak się nie zajdzie, właściwie donikąd, ale przynajmniej o te kilka chwil skróci się czas do upragnionego widoku dnia. Noc nie jest bowiem dobra dla ludzi, dobry jest tylko dzień, i chociaż życie również nie jest za dobre, nie o to chodzi, aby żyć w mroku, lecz zasłużyć na wieczną jasność. Mrok nie pochodzi od Boga. Boża jest światłość. Wieczne życie ma być jasnością dla ludzi i o nie trzeba się modlić, jak o coś najważniejszego, wcześniej pomodliwszy się o sprawy małe czy nawet malutkie. Mimo że świat ogarnęła ciemna wszechszarość, trzeba spróbować wyjść naprzeciw słońcu.

Stara, wychudzona, bezsilna Jadwiga ruszyła w stronę nadziei. Coś jednak nie pasowało, uwierało mocno, nawet bolało. Z każdym krokiem pochód na wschód jawił się może nawet nie jako następny błąd, lecz coś bezcelowego. Aż modlitwa zamierała. Księżnej się wydawało, że idąc coraz dalej na wschód, wychodziła naprzeciw zimie – co dziesiątek kroków robiło się chłodniej, a po tysiącu dojmujące zimno jej, zahartowanej ustawicznymi umartwieniami, nie pozwoliło iść. Dalece ogarnięta myślą o ciepłe, o tym, żeby stanąć bosymi stopami na ogrzanej podłodze u sióstr klasztornych, zapomniała słów modlitw, a gdy zacięła się w modlitwach po raz dziesiąty, ogarnęła ją zgroza. Chciałaby zapytać na głos, jakie słowa są po *Ojcze nasz...*? Co było po *Zdrowaś Mario*? Dlaczego i gdzie zgubiła różaniec?

Zmrożona strachem samotności myśl księżnej Jadwigi dzielnie szeptała w ostatniej próbie ratunku: – Zapomniałam Boże, jak się modlić wyuczonymi słowy, a nie umiem i nie śmiem własnymi. Nigdy nie umiałam. Dopiero w tej ciemności pojmuję, że nigdy nie uczyniłam nic, ani nie powiedziałam, co byłoby moje! Wszystko ktoś już kiedyś uczynił i ktoś kiedyś powiedział. Nie szkodzi, wiem. Przynajmniej nie zrobię niczego złego, nawet niechcący, bo naśladować świętych wiernie, jak to tylko możliwe, nie narażam się na robienie złego. Pychą byłoby samemu do Boga mówić słowami, które nie pochodzą z ust świętych, ale gdy zapominam wyuczonych słów, brakuje mi własnych. Nie, nie brakuje, boję się własnymi odezwać.

Czy idąc, jak teraz, idę do Ciebie, Boże? Czy szybciej dojdę do Ciebie bez butów, jak to mam w zwyczaju, czy też, jak wszyscy, obuta? Iść w butach mogę szybciej, ale czy dzięki temu prędzej do Ciebie dotrę?

Od dwudziestu lat nie obuwam stóp. Mam buty, ciągle je ze sobą noszę, lecz nigdy ich nie wzuwam. Co mi po marnym ciele, które kiedyś bardzo lubiło taniec? Święci mężowie wiedzą, co dobre. Dobre może być tylko to, co duszy nie niewoli, a ciało jest przecież więzieniem duszy. Ciało to grzech. Niedoskonałość i marność tego świata.

Ostatnie zdanie wypowiedziało się księżnej samo, wbiło w głowę niczym bolesny cierń. Chciałaby je usunąć, lecz nie wiedziała, dlaczego.

Bose stopy księżnej Jadwigi, sto razy po tysiackroć obolałe, aż bólu już nie czujące, poranione, zdrętwiałe i zdrewniałe, pokryte bliznami ropnych zakażeń, niosły ją po ostrych kamieniach, jakby po łące usłanej kaczym pierzem. Chciałaby cierpieć, ale gorące myśli więcej przynosiły bólu niż chore stopy. Znów szła długo, bardzo długo, a w zapętłonych myślach powtarzała pierwsze słowa najprostszych modlitw, nie potrafiąc powiedzieć ani słowa dalej ponad cztery wyrazy w dwóch znaczeniach: *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*.

Różaniec pomógłby w modlitwie, to było pewne. Dlaczego zniknął? Dlaczego nim się nie przepasała jak co rano? Sznur pod habitem – sprawdziła – jest, mocno oplata chude ciało, dociska do zgębnionej skóry ostrą włosienicę. Różańca jednak nie ma! Księżna oklepywała sobie boki, lecz tego, czego szukała, nie znalazła. Za każdym razem napotykała trzewiki – one właśnie doszły do kresu swych dni, choć nigdy, ani razu nie okrywały niczyich stóp.

Ciemność, wszystkiemu winna ciemność!, stara księżna w rozpacz znalazła nie swoją winę stanu własnego umysłu. Podbiegła nieco, potykając się, rozbijając kolana i wykrzykując w takt kroków żałośnie krótkie szczątki modlitw. W krzyku aż się zginała wpół. To zasłaniała uszy dłońmi, to odsłaniała, ale pamięci dalszych słów nie umiała przywrócić. Najszybciej odzyska pamięć, gdy ujrzy słońce: im szybciej je zobaczy, tym lepiej, szybciej zaś pobiegnie, będąc obutą. Pomyślała, że ciało jest jednak przydatne, nie tylko więzi duszę, jest bowiem także jej mieszkaniem.

Zatrzymała się na chwilę, aby po raz pierwszy od wielu lat wzuć trzewiki. Ani prawy, ani lewy, obydwa zeschnięte ze starości na wiór, poskręcane, zniekształcone, nie chciały wejść na rozrośnięte, zrogowaciałe stopy z sączącą się z ran ropą i krwią. Stała więc bezradnie, trzymając bezużyteczne obuwie, spojrzała przed siebie, na wschód, a wtedy ujrzała coś na kształt płomyka barwy czerwonej.

– Słońce! – krzyknęła radośnie i zapomniała o niepasujących trzewikach.

Nic już nie mogło jej przeszkodzić, nic! Pobiegła naprzód, ledwie dysząc, bo ustawiczne posty wyssały z niej życie wystające ponad to mierzone spokojnym

krokiem. Czerwień na wschodzie rosła, rosła, i też jakby wybiegała księżnej naprzeciw, lecz nie tyle zorzą na niebie, co strumykiem na ziemi. Strumyk rozszerzał się w potok, a ten rychło przybrał postać rzeki.

Myśl Jadwigi szybko przeszła od radości do niepokoju. Nadzieja i pragnienia chciały, aby zobaczyła jasną, wesołą, codzienną gwiazdę. Rozum zaś wskazywał, mimo narastającej radości w duszy, że nadzieja i pragnienia nijak się ziścić nie mogą i wybiegając naprzeciw dobru, wita coś innego, czego nie pragnie nikt przy zdrowych zmysłach i w Pana Boga wierzący.

Z całą pewnością to nie słońce wschodziło.

Zamiast czystego nieba pokrytego rannymi zorzami pokazały się chmury jakby z ołowiu i dopiero w nich przejrzała się rosnąca luna pożaru. Księżna już nie miała wątpliwości: nic dobrego nie czekało na nią na wschodzie, próżny trud. Nie łudziła się niczym i nie czuła ulgi. Dziwnie przy tym spokojna patrzyła na rozwierającą się przed nią czeluść ziemi rozświetloną piekielnymi wnętrzościami. Buchał czerwonożółty żar, a po gorących skałach, graniach i urwiskach pięły się na podobieństwo pajaków albo czarnych skrzydlatych szczurów tysiące, setki tysięcy diabłów. Wylaziły na ziemię, patrzyły nieskończoną liczbą czerwonych ślepi i tworzyły zbitą, szeroką rzekę pełznącą na zachód. Niczym żona Lota patrząca na Gomorę, księżna w milczeniu zamarła. Tylko łzy pociekły. Nigdy nieużyte trzewiki złożyła razem i przycisnęła do serca niczym najdroższy skarb. Nie o skarb tu jednak chodziło. Księżna się skurczyła. Nie mogła uciec, zawrócić, klęknąć też się nie dawało. Szło na nią najbrudniejsze w świecie zło, a ona pozostawała bezradna i bezbronna. Zasłaniały ją tylko trzewiki. Wystarczyły na obronę, bo szeroka rzeka stworów rozdawała się przed starą niewiastą na odnogi mijające ją z dwóch stron niczym samotną skałę. Za jej plecami znów się łączyła we wspólny nurt i płynęła dalej, na zachód, jedną wielką powodzią diabłów. Jadwiga nie mogła powiedzieć, że jej nie zauważały. Patrzyły na nią, węszyły jak psy. Warczały. Nic więcej. Setki, tysiące mieszkańców piekieł mijały białogłową, nie czyniąc krzywdy. Do czasu.

Z obydwu strumieni wyszło po kilka diabłów, rozcapierzyły skrzydła i pazury i ruszyły prosto na księżną. Z nozdrzy buchały im płomienie żółte z odcieniem zielonym, jak to przy palonej siarce, złośliwe ślepia jarzyły się krwawo, paszcze kłapały szczękami oblepionymi spienioną śliną. Podchodziły bliżej, niemal połykając przestrzeń, od Jadwigi dzieliły je trzy kroki, dwa, aż nastąpiło nieuchronne: resztę widoku świata zakryły czarnymi skrzydłami, mając wyraźnie chęć rozerwania zębiskami na sztuki zasuszone postami ciało księżnej. W niej serce po raz pierwszy w życiu struchlało od najzwyczajniejszego na świecie strachu przed krzywdą wyłącznie dla niej przeznaczoną.

– Biesy! – krzyknęła księżna, zasłaniając twarz trzewikami.

Wówczas chwyciły ją za ręce diabelskie szpony.

– Matko, pani, obudźże się!

Dwie służki przybyły, aby panią obudzić na jutrznię, szarpały ją za ramię.

Księżna walczyła z nimi, nim otworzyła zaciśnięte do granic bólu powieki. Widząc się pośród ludzi, w celi, na słomianym posłaniu leżącym na ziemi obok zasłanego dla niej łoża, nabrała tchu i wrzasnęła z całych sił w nachylone nad nią twarze: – Różaniec! Dajcie mój różaniec!

Służebne odskoczyły jak oparzone. Strach chwilę nie dawał im dojść do słowa. Wreszcie jedna się odezwała: – Dostojna pani, miałaś okropny sen. Krzyczałaś...

– Różaniec! – przerwała opętańczym wrzaskiem Jadwiga.

Oczy księżnej stały się okrągłe i bezdennie czarne. Druga służka bez słowa się pochylała, wyciągnęła spod księżnej różaniec i podała go swojej pani. Ta upuściła jeden z trzewików, schwyciła kurczowo podawany sznur z paciorkami z drewna różanego i przycisnęła do dawno wyschniętej piersi.

Za chwilę we trzy wspólnie odmówiły zgodnie dziesiątkę różańca, Jadwiga zaś każde słowo modlitwy witała łzami radości, jak dawno nie widzianych przyjaciół.

Ten sen był najstraszliwszym z dotychczasowych. Na jej oczach zło rozlało się po ziemi, ona okazała mu nie sam tylko strach najlichszego z ludzi, lecz coś znacznie gorszego. Co zrobić?

– O niczym nikomu nie mówcie! – rozkazała stanowczo po ostatnim amen.

JAWA

Księżna marzyła aby cierpieniem

Odkupić winy swoich bliskich

Przyszło ciężkie dźwigać brzemię

Bo nie zdołała zbawić wszystkich.

W czasie jutrzni Jadwiga doszła do siebie. Miała swój kawałek posadzki, swój kąt, swoją kotarę. Nie mogła modlić się inaczej niż żarliwie. Nie mogła, doznając duchowej przyjemności, nie zadawać ciału cierpienia, nie mogła bowiem czerpać grzesznej rozkoszy cielesnej z tak wzniosłej sprawy jak modlitwa. Nie chciała także innym przeszkadzać w modłach. Zbyt wiele niewiast chciałoby ją

naśladować, bez wiedzy o tym, na co się ważą, na jakie próby się wystawiają. Nie zasługiwały na ciężkie brzemię, na walkę z pokusami potęgującymi się w miarę stawianego im oporu, co mogło się skończyć nie niewinnym grzeszkiem pojawiającym się często przy wierze powierzchownej, ale pełnej bojaźni, aliści grzechem ciężkim druzgocącym sumienie raz na zawsze. Przezorność nakazywała, aby nawet nie mogły się przekonać, że najtrudniejszym w życiu zadaniem jest pokonanie samej siebie. W tej walce, jeśli się nie wygra, ponosi się życiową klęskę. Dlatego księżna, po kilku przykrych doświadczeniach z lekkomyślnymi naśladowczyniami, dla których próby skrajnych umartwień zakończyły się odejściem w drugą stronę – do skrajnych przyjemności życiowych, nie czyniła z siebie widowiska. Nie chciała, aby widziano ją cierpiącą. Nie chciała też, aby ciekawscy, zamiast się modlić, oglądali przedstawienie cudzej pobożności.

Lepiej się stanie, gdy pomyślą, że odgradza się od świata z pychy i próżności, uznała. Dlatego, jeśli nie mogła modlić się samotnie, od pozostałych wiernych już od wielu lat odgradzała ją kotara. Bliżej niej modliły się doświadczone zakonnice nawykłe lub zobojętniałe względem srogiej dla ciała pobożności. One odgradzały ciekawskich, a przy tym same niby mur trwały przykładnie niewzruszone.

Na samobiczowanie księżna wybierała zwykle którąś z chóralnie śpiewanych pieśni. Tym razem się spieszyła, aby najprawdziwszy strach pokryć najszczerzym bólem. Czym prędzej lekko podwinęła habit, padła na gołe kolana i gdy zabrzmiały słowa *Benedictus Dominus Deus Israel*, ujęła w dłoń pięciopalczasty bicz i zaczęła się chłostać w takt śpiewanych sylab.

Po hymnie odetchnęła z ulgą, ale też doznała innych uczuć: przede wszystkim zrobiło jej się wstyd, bo dwie młode, proste niewiasty zdołały przyłapać ją na chwili słabości. Ją, która nigdy żadnej ze swych słabości nie ustąpiła nawet na chwilę! Która nikomu nie pozwalała na okazanie najmniejszej słabości. Ona, która zawsze potrafiła nagiąć do własnej woli całe otoczenie, łącznie z mężem, synem czy synową.

A tu takie upokorzenie!

Zastanawiała się, czy odniesie należyty skutek krótki rozkaz dany służebnym po modlitwie różańcowej, aby słowem nikomu nie odważyły się pisnąć o tym, co widziały i słyszały. Czy postąpiła nazbyt pochopnie, okazując aż tyle ufności i zapraszając do modlitwy pełnej przecież słabości, nie siły? I czy zamiast okazywać ulgę, że wreszcie nie jest sama, powinna kazać dziewczkom natychmiast iść precz, aby je nauczyć, że są sprawy, których nigdy nie zrozumieją? Że nie wszystko jest dla nich? Czy wyganiając służki, dałaby do zrozumienia, że całą tę walkę bierze na siebie, na wychudzone na kość barki?

Z każdą chwilą stara, rozmodlona, udręczona pani przekonywała się coraz bardziej, że o tym ciemnym, chłodnym poranku postąpiła najgorzej, jak tylko

mogła. Pokazała głupiutkim, acz dobrym dziewczkom, że tego, co z nią się działo, się wstydzi i chce ukryć przed światem. Tym samym potwierdziła to, co o niej ludzie gadają. Że ta stara Niemka nienawidzi świata, za który żarliwie się modli i zamiast zmieniać go na lepsze, od niego się odgradza. W istocie życzy ludziom rychłego końca i ostatecznego upadku, a warowna bardziej cnotą niż murami Trzebnica uchroni ją od konieczności osobistego udziału w tym nieszczęściu.

Wśród rozmyślań księżna nagle pojęła jedno z wydarzeń ze snu, kto wie, czy nie bardziej świadczące o niej samej, niż tego sobie by życzyła. Przecież zamiast tworzyć z modlitwy nie tyle tarczę przed złem, co niedostępny dla zła schowek, powinna się przemóc i wyjść biesom ze snu naprzeciw. Uświadomiwszy to sobie, doznała wstydu palącego żywym ogniem.

Księżna straciła wątek modlitwy. Przez szparę w kotarze bacznie patrzyła na pochylone głowy mniszek: niczym rodzone siostry jednakie w półukłonie, w bliźniaczych fałdach habitów klęczały niczym wykute w kamieniu ręką jednego mistrza. Szukała w nich śladu swojego strachu i zwątpienia. Nie znalazła niczego wskazującego na to, że wiedzą albo czują, co się stało lub co z nią się dzieje. Ani słowa, ani szeptu nie w porę, ani uchylecia głowy, nie mówiąc już o jakimkolwiek uśmiechu. Życie toczyło się jak każdego zarania w tym klasztorze. Cisza, modlitwa i podniosły śpiew, co razem składało się na tchnienie Boga.

Księżnej na tę myśl znów zrobiło się wstyd. Przecież przyglądając się ludziom, nie śledziła biegu mszy, a gdy przyszło ofiarowanie, tak niespodziewanie, prawie je przegapiła. Zrozumiała wtedy, że górę w niej wzięła ludzka, istic książecka pycha, jaką od dziecka raczono ją w obfitości, którą dałoby się sprowadzić do jednego: niczego nie odczuwaj tak jak ludzie pospolici. Całe życie ją zwalczała, codziennie robiła wiele, żeby się upokorzyć, a tu znienacka objawia się znienawidzona, przyrodzona wada – poczucie wyjątkowości. Czym miałyby się różnić od najzwyczajszej białogłowy? Strach jest ludzki, prosty, zwyczajny i powszedni. Każdy go czuje, może z nieco innych powodów, ale każdy. Każdy rodzi się nagim i bezbronnym, przeto wystawionym na strach świata. Co prawda jako księżna nie powinna się bać byle czego, zwłaszcza snów, ale czy to, czego stale doświadcza, co przechodzi ze snu na jawę, jest byle czym?

I ta żalosna, zraniona duma.

Nim minęła jutrznia, księżna umiała już nazwać swoje nowe grzechy. Jednym z nich była pycha, drugim gniew. Jeden i drugi postanowiła unicestwić w zarodku. Z ludzką pomocą i po głębszym namyśle. Co prawda było jeszcze to, co najgorsze – zwątpienie. O tym wołała jednak zapomnieć.

Wyszła z kościoła. Niebo zbladło. Na wschodzie pojawiła się czerwona poświata, przywodząca na myśl straszny sen. Księżna się wzdrygnęła, ale nie miała czasu na rozpamiętywanie niedawnych wrażeń. Odwiedli ją od tego ludzie. Nie tylko mnisi i mniszki wstawali przed wschodem słońca – chmara żebraków czyhała

na księżną przed głębokim portalem kościoła. Nie śmieli, co prawda, nawet dotknąć schodów, ale czaili się całkiem blisko. Księżna, nauczona doświadczeniem, zawsze była gotowa na taką okoliczność, trzymała w sakiewce garść brakteatów wielkości paznokcia. Przecież do świata profanów wychodziła niemalże tylko po to, aby dawać jałmużnę. Ustawicznie napominała rodzinę: po to Pan Bóg dał im bogactwa, aby mogli udzielać pomocy potrzebującym.

Tym razem stało się coś dziwnego. Żebracy, zawsze gotowi przyprawić o zawrót głowy natarczywym biadoleniem, a niektórzy obezwładniającym smrodem, nie uczynili tak, jak zwykle – nie padli do stóp księżnej łaszącym się, skomlałym stadem, nie obsiedli zwyczajem wron obsiadających bezbronną już padlinę – lecz zachowali się cicho i spokojnie. Coś zajęło ich uwagę i niemalże nie zauważyli karnych szeregów mniszek opuszczających świątynię. Księżna zdziwiła się nieco, ale twarde samowychowanie nie pozwoliło okazać, że bardzo ją to obeszło. Nie zwalniając, ani nie przyśpieszając kroku, nie spojrzawszy nawet w bok, zważała jednak, co się dzieje.

Dziady stały kołem obok drogi wiodącej z kościoła do klasztoru. Gdyby księżna choć zerknęła, zauważyłaby, że kilku z nich cudownie ozdrowiało z najcięższych chorób, a każdy z co lżejszych dolegliwości. Już kaleki nie chromają, bezocy całkiem nieźle widzą, a najgłuchszym nikt nic nie musi wyrzaskiwać do ucha, bo uważnie przytakują słowom wypowiedanym nawet szeptem. Ale ranek był cichy na tyle, że do szeregu mniszek doszły słowa: – Przyjdą od wschodu, chmarą jak szarańcza nie do powstrzymania. Nic się nie ostanie, wszystko spalą, wymordują, zniszczą. Rusi już nie ma... Oni nawet krew wypiją...

Mniszki nie zważały na proroctwa wędrownego dziada. Za to księżna Jadwiga pilnie nadstawiła ucha. Co prawda nigdy nie używała bez istotnej potrzeby słowiańskiej mowy, ale dużo rozumiała. Dlatego jej serce, po chwilowej uldze od widoku wschodu słońca, struchlało po raz drugi, przejęte grozą – aż nazbyt mocno te zdania odpowiadały wydarzeniom ze snu. Nie mogło w tym być przypadku, przecież nie tylko zwyczajne słowo „wschód”, ale i straszne słowo „szarańcza” jak ulał pasowało do sennego koszmaru.

Musiała wreszcie zobaczyć na jawie słońce.

Mniszki szykowały się do posiłku, a stara, wychudzona księżna wdrapała się na mur klasztorny, na jego wschodni narożnik. Lubiła to miejsce, było puste, głos ludzki rzadko tu dochodził, niczyj wzrok też bez wyraźniej potrzeby nie sięgał. Baszta dawała oparcie, mur osłonę, a szczytowa ściana refektarza zasłaniała miejski świat i dziedziniec. Zza muru rozpościerał się widok na – zależnie od zapatrywania – codzienną zwyczajność lub codzienny cud. Na wyniosłą Winną Górę.

Widok zawsze był bardzo dobry, bo zaczynał się ogrodami klasztoru, biegł

przez łąki, dalej wspinał się na zbocze obrosnięte krzaczkami opartymi na palikach równymi szeregami, co dawało obraz ludzkiej zapobiegliwości. Jeśli spojrzeć nieco w prawo, krajobraz niknął w gąszczu wysokich drzew, z tej odległości małych już, jak to las z oddali. Las, poprzerwany wstążkami mgły, zdawał się głębokim i niezmiernym. Ten widok zawsze cieszył księżną i tylko on bywał od czasu do czasu świadkiem jej uśmiechu.

Wstały właśnie ranne zorze, rozświetlając na różowo rozmazane po niebie obłoki. Pół nieba zapłonęło, gasnąc gdzieś nad głową Jadwigi, bo od zachodu, zza pleców księżnej, nadciągały szare, brzemienne w deszcz, skołtunione na widnokręgu, chmury. Nie zdążyły jednak zgasić światła poranka, bo wcześniej zabłysnęło w wyblakłych oczach księżnej.

Nad czarnym lasem pod rozjarzonym niebem pokazało się słońce. Ten czerwony, promienny skrawek na chwilę obudził w starej Niemce dziewczynkę. Uśmiechnęła się, chyba bezwiednie, w oczach stanęły łzy – nie wiadomo, czy to przez jaskrawość widoku, czy przez zachwyt, może ulgę. Nagle księżna znalazła w sobie własne słowa podziękowania. Wyszepiała je, patrząc w powiększający się, oślepiający krąg: – Dziękuję ci, Panie Boże, za ten codzienny cud.

Za chwilę uśmiech zgasł na białej jak welon mniszki twarzy Jadwigi. Nie dlatego, że bała się nim zgrzeszyć, czy też z powodu wyrzutów sumienia, że przez zachwyt nad gwiazdą dnia zapomniała na chwilę o chorobach, biedzie i potwornościach tego świata. Nie zapomniała. Stało się coś innego.

Równy z pokazaniem się słońca, nad drzewa wzbły się rozbudzone, tysięczne chmury gawronów i kawek: pół nieba przed księżną, pół tego różanego blasku, popstrzyły tysiące czarnych, kraczących kropek. Leciały do Trzebnicy na żer. Doskonale widziały w świetle poranka ludzką postać, stojącą w zaułku murów. Coś trzymała w rękach, lecz ptaki nie dociekały, czy kusza to, łuk czy – jak to bywało najczęściej – proca z rzemienia. Pierwsze szeregi ptasiej armii zakrakały ostrzegawczo i czarna rzeka rozdzieliła się na dwa strumienie, jakby trzebnicki klasztor był wyspą. Księżnej serce struchlało po raz trzeci tego ranka, tym razem z rozpaczy, ale nie tylko dlatego, że podobieństwo tego zdarzenia do snu było uderzające. Na tle słonecznego kręgu pojawiło się kilka scen, którym Jadwiga pragnęłaby zaprzeczyć ze wszystkich sił: bezgłowe ciało z sześcioma palcami u nogi, szydercza twarz patrząca na kogoś, kto właśnie gnije żywcem w klatce, gdzie ani stać, ani usiąść, ani się położyć, a wszyscy oni to przecież jej krew, jej krew...

Rozjaśniająca się w niebieskość wschodnia czerwień nieba już nie była radosna. Nawet nie przez to, że nazbyt przypominała barwę czeluść piekielną ze snu. Zdruzgotana księżna była pewna – ziemię czeka porażająca ogromem klęska. Ją wprawdzie ta klęska ominie, innych nie oszczędzi. Co gorsza, przekleństwo władzy dotknie jej potomstwo z całą diabelską mocą.

Obsłużwszy dwunastu biednych jadłem i napitkiem, księżna Jadwiga sama nie tknęła kęsa strawy, o czym szybko doniesiono jej córce, Gertrudzie. Po tercji miały z tego powodu krótką i całkiem niemiłą rozmowę.

– Dziś muszę pościć, moja umiłowana córko – powiedziała Jadwiga mniej niż bardziej uprzejmie.

Gertruda od dawna знаła takie stanowcze stwierdzenia matki, sama więc powiedziała to, co zwykle: – Matko, dziś nie piątek ani nie środa. Do adwentu też daleko. Twoje życie i tak jest bezustannym postem. Pościć, to nie znaczy nie jeść. Poza tym ty w ogóle nie musisz pościć. Zważ, że nam dajesz przykład. Zawstydzasz nas, matko, swoją silną wolą. Są tu młode dziewczeczki i nie jest ich przeznaczeniem klasztor, lecz zamążpójście. Mają być silne, żeby dzieci rodzić. Już i tak za twoim przykładem nie chcą jeść mięsa, a przecież i tobie kiedyś nakazano, żebyś choć odrobinę mięsa jadła. Te są jednak w ciebie zapatrzone i na wieść o tym, że nie tknęłaś jadła, gotowe są na śmierć się zagłodzić. Salomea trzy razy mdlała z osłabienia. Post nie jest dla nich dobry, są nazbyt młode. Matko, rodzice dali nam te dzieci na wychowanie, a nie na zamorzenie głodem. Siłą mam je karmić?

Księżna nie okazała złości, wyjaśniała cierpliwie: – Dzieci trzeba nakarmić. Ale jeżeli czegoś nie chcą zjeść, to niczym tedy nie odróżniają się od dzieci biedaków, aż nazbyt często trapionych głodem wbrew własnej woli. Dlaczego mają koniecznie rodzić? Czy nie mogą oddać się służbie bożej? Niech w niej trochę się poćwiczą... – zawiesiła głos i popatrzyła uważnie w oczy córki. Ta nie odwróciła wzroku, ani się nie odezwała. Jej twarz stężała, księżna więc ciągnęła dalej: – ...no dobrze, jeśli nie będą chciały jeść, ja im nakażę. Czy pomyślałaś o naszych biednych i cierpiących? – zakończyła jakby zniemacka, aby córka się nie domyśliła, że myślała w istocie o własnym potomstwie.

Gertruda westchnęła, co oznaczało, że pytanie ją zwiódło.

– Ty, matko, stale o nich myślisz. Siostry na obiad wyniosą kociołek z kaszą ze słoniną. Dobrze by było, gdybyś i ty spróbowała choć jedzenia dla biednych. Tylko, jak to masz w zwyczaju, nie z odpadków.

Księżna chwilę czegoś szukała w myślach, po czym powiedziała: – Jeśli już mowa o jedzeniu, muszę zapytać rządcy, czy należycie zaopatrzyć leprozorium. Coś mi się zdaje, że sama powinnam tego dopilnować. Może powinnam tam się wybrać? Jak myślisz?

Gertruda wołała nie mówić, co myśli, Jadwiga zrobiła więc spokojny nawrót do rozmowy o dzieciach.

– Jeżeli oddane nam na wychowanie dziewczeczki nie będą chciały jeść obiadu, porozmawiam z nimi między sekstą a noną. Tymczasem, wybacz córko, muszę iść do Demundy. Słabuje już trzeci dzień, a byłaby mi dziś bardzo potrzebna. Sporo zgrzeszyłam, zapominając o niej, i sporo zgrzeszyłam wobec tych

dwóch młodych służek, co je na dziś do mnie wyznaczyłaś. Nawet nie zapytałam o imiona, a byłam dla nich ostra, jakby były całkiem nikim, a nie podobieństwem Pana Boga. Przyślij je do mnie.

Siostra Demunda żyła prosto i niemalże bez troski o następny dzień, jednocześnie zaradnie. Nikt nie mógł zaprzeczyć jej wierności. Szczęśliwa, bo mogąca bezustannie służyć Jadwidze, nigdy na nic się nie skarżyła, nikogo nie obmawiała. Wspólne modlitwy ze świątobliwą matroną uważała za niebywały zaszczyt. Trochę jej zazdrościły inne mniszki zażyłości z osobą tak świętą. Co bystrzejsze i bardziej złośliwe zauważyły, że Demundzie się wydaje, iż bez jej pomocy księżna Jadwiga nie osiągnęłaby stanu powszechnie podziwianej świątobliwości.

Jadwiga zauważyła poważne zalety Demundy. W odróżnieniu od wielu, również najszlachetniejszych mniszek, mimo pozornej prostoty umysłu, umiała wykonać niemalże każde zadanie, dochowywała powierzonych tajemnic, nigdy nie plotkowała. To było aż dziwnym przy, zdawałoby się, naiwnie-pospolitym umyśle córki drezdeńskiego bednarza, ale dziwne nie mogło być. Demunda wyniosła bowiem z domu zamiłowanie do porządku, oszczędności i liczenia, a w bamberskim klasztorze cysterek okazała się zdolną w naukach i niezwykle pomocną siostrze kwestarce.

Była dobrym człowiekiem, lecz bez skrajnych porywów podziwianych u jej pani. Trzeba przyznać, że głównie ona nadawała tym porywom wymiar użyteczny, dzięki czemu Jadwiga marnowała tylko tyle, co rozdała sama. Przy całym oddaniu Demunda umiała przekuwać zamiary księżnej w czyn trwały i dobry, była więc postrachem dla dziadów, zwłaszcza wędrownych. Nikt nie mógł jej oszukać na cenach robocizny czy towarów, o czym dobrze wiedzieli zarządcy majątków księżnej.

Tam, gdzie księżna nie mogła lub nie umiałaby się zniżyć, lub zniżyłaby się nader chętnie, ale jedynym skutkiem byłoby poniżenie, córka bednarza sięgała z przyrodzoną łatwością. W niewielu słowach udowadniała oszustwo bądź marnotrawstwo. Co prawda na litość i łatwowierność księżnej zawsze można było liczyć, nie sposób było jednak odpowiedzieć na pytanie: Nic złego ci nie zrobiłam, dlaczegoż mnie to czynisz?, albo: Dlaczego czynisz to niewinnym: chorym, sierotom, świątobliwym ludziom?, zresztą ostatnia taka rozmowa była konieczna jakieś dziesięć lat temu i podobno winowajca doznał obłędu. Księżna chyba ze świętością zyskała niewytłumaczalną umiejętność przewidywania złego, co pierwsza podziwiała Demunda. Czasami więc wystarczyło, aby w porę posłaniec dotarł tam, gdzie można było uchronić kogoś przed grzechem nieuczciwego zysku.

Teraz najbliższa współpracownica Jadwigi leżała w infirmerii. Nawet ją, zdawałoby się, o niespożytej sile, słabość dopadła. Księżna postanowiła odwiedzić chorą w czasie seksty – wspólnie mogły się pomodlić, bo wówczas zdrowe mniszki

biorą zwyczajny udział we mszy świętej. Jadwiga chciała też wreszcie zaopiekować się jedyną znaną sobie osobą, która nigdy niczyjej opieki nie musiała doznawać. W istocie myślała poradzić się w potrzebie, bo wiedza wzięta ze snu i ze wschodu słońca nie dawały spokoju.

Demundę ucieszył widok pani. Usiłowała się podnieść, lecz księżna na to nie pozwoliła, kładąc kościstą, a mimo to miękką dłoń na czole chorej, jak matka gorączkującemu dziecku.

– Leż, moja miła, spokojnie, odpoczywaj, zdrowiej. Jesteś mi potrzebna, jak nigdy dotąd, ale zdrowa.

Mniszka ucałowała dłoń księżnej i przytuliła do policzka.

– Przy tobie, pani, zdrowieję z każdą chwilą. Jutro znów będę mogła ci służyć i nadrobię zaległości.

– Spokojnie, zdążysz. Tymczasem o ciebie tu chodzi, a zaległości mogą poczekać.

– Pani, pomódl się za mnie, a z pewnością ozdrowieję. Uratowałaś wszak Rasławę, a Radzinie zdjęłaś bielmo z oczu. Sama widziałam.

Księżna łagodnie skarciła ulubienicę, jakby nawet żartując: – Nie mów tak. To nie moja zasługa. Przecież w ten sposób czynią tylko święci, a mnie do świętości bardzo, bardzo daleko. Nie jestem świętą i nie pozwolę, aby mnie tak nazywano – pogroziła dobrotliwie palcem, jakby żartując, po czym dodała przekornie, i tu błysnął uśmiech z czasów, gdy uwielbiała taniec. – Pomyśl, modłę się za ciebie co dzień, a jednak nie zdrowiejesz. Gdybym była w stanie czynić tak, jak mówisz, tobyś nie zachorzała.

Demundzie nie wystarczyło proste wyjaśnienie. Przeziębła się, ból pulsował w głowie, ciągle trwał w plecach, piersiach i stawach. Każdy oddech, każde słowo sprawiało cierpienie. W gorączce myśli przybrały postać spraw ostatecznych, a poplątały się tak, jakby nie należały do Demundy: – Może ja nie jestem godna prawdziwej łaski twojej modlitwy? Albo zbyt błahą dla Pana Boga jest choroba takiej, jak ja? Ale i tak jestem rada, że mogę cię widzieć i dotykać. Lecz taka, jak teraz jestem, nie mogę ci służyć. – W oku Demundy zakręciła się łza.

Brzmiała trochę, jakby użalała się nad sobą po stracie okazji dotknięcia świętości, lecz Jadwiga patrzyła na to inaczej.

– Myślę, moja droga przyjaciółko – przy tych słowach druga łza zakręciła się w oku Demundy, bo pierwszy raz w życiu usłyszała, że jest przyjaciółką swojej pani – że jest inaczej. Pan Bóg wie, chciałabyś pracować na Jego chwałę dzień i noc, jak dotychczas, a on pomyślał o tobie. On chce, żebyś odpoczęła. Kto ma cię znać lepiej od Niego? Jeśli byłabyś w stanie wstać, zaraz byś się zameczyła. Pan Bóg wie, dlatego mówi ci: odpocznij. Wiąże cię tym bólem, jak wiąże się źrebie, żeby samo sobie krzywdy nie zrobiło bieganiami. Inaczej nawet Jego byś nie posłuchała.

Mądre słowa księżnej niczego nie wyjaśniły. Zrobiło się nawet gorzej. Z twarzy Demundy znikły wyrazy radości i wzruszenia, brwi ściągnęły się, tworząc zmarszczkę na czole. Mniszka spojrzała na księżną tak, jak nigdy nie patrzyła: prosto, niemalże rozkazująco, zuchwale. Gorączka uderzyła do głowy, na białych do teraz policzkach pojawiły się wypieki. Przemówiła prawie że nie swoim głosem i było to chyba najdłuższe przemówienie w jej życiu: – A ty, pani, kiedy wreszcie odpoczniesz? Od dwudziestu lat widzę cię ciągle rozmodloną bądź usługującą nierobom i wyrzutkom, co mienia się biednymi. Ani razu nie przespałaś choć jednej całej nocy, ani na chwilę nie zdrzemnęłaś się w dzień. Ciągłe jesteś w modlitwie, ciągle w służbie, mówisz do innych jak w półśnie i o takich sprawach, że strach słuchać. Robisz tyle, że starczyłoby i na dwudziestu świętych. Nosisz włosienicę, pod włosienicą zaciskasz się spętłonymi sznurami z włosia, co cię omal na pół przerzynają. Twoje stopy krwawią i ropieją, wrzody wyzarły w nich dziury, że orzechy wejda. Nie pozwalasz się leczyć. Biczujesz się co dzień, a ja jeszcze to tego rękę przykładam i biję cię rzemieniami do krwi. Obmywasz stopy sługom, biedakom, nawet trędowatym. Czy mało robisz? Czy aż tyle, żeby zasługiwać wreszcie choć kilka dni odpocząć? Dlaczego to właśnie mnie ma dotknąć odpoczynek, co tylko patrzę na świętość, a nie ciebie, która żyjesz w prawdziwej świętości? Większych ciężarów nie da się na człeka nałożyć, niż ty je znosisz. Kto miałby odpoczywać, jeśli nie ty? Kto?

Zaskoczona księżna bezwiednie zacisnęła dłoń na trzewikach, ale powstrzymała się od przytulenia ich do piersi. Po zebraniu myśli spojrzała prosto w rozpalone oczy chorej i odpowiedziała zdaniem, które zawsze uspokajało wszelkie burze: – Kimkolwiek jesteś, dlaczego mi to czynisz?

Demundę przeszedł dreszcz, omal wybuchła płaczem, wrócił zwyczajny głos. Odszukała rękę księżnej i całując ją, powiedziała: – Nie wiem, pani, nie wiem, skąd we mnie ten gniew. Ja tak nie chciałam.

Jadwiga oswobodziła dłoń z uścisku i znów położyła na czole chorej.

– Wiem. Powiedziałaś, że jestem od ciebie bardziej chora, a nie odpoczywam. Odpowiem ci, bo właśnie przyszłam, żeby się zwierzyć. To będzie znów, jak powiedziałaś, półsen. Tylko nikomu nie wolno ci powtórzyć, com tu powiedziała. – Demunda potwierdziła skinieniem głowy, a Jadwiga przeszła do sedna: – Odpocznę za dwa, trzy lata. Nie teraz, bo już niedługo, chyba z wiosną, dotknie nas najazd sił piekielnych. Boję się tego, boję tak, że już nigdy nie chciałabym usnąć albo żeby wreszcie Pan Bóg zabrał mnie do siebie, żebym tu, na ziemi, nie musiała po raz wtóry oglądać tego, co się stanie. Nie widzę żadnego ratunku, tylko klęskę, krew i pożogę. Wiem, kto zginie, wiem, co się stanie jeszcze później. Za dużo wiem, aby spać. Nie można tracić czasu, każda modlitwa choć w części ratuje czyjąś duszę. – Tu księżna wzięła oddech. – Wiedz, że ja, niby taka święta, zgrzeszyłam dziś strachem, pychą i gniewem. Można żyć w strachu i go

pokonywać, ale być uległą wobec gniewu, dać przystęp do siebie grzechowi pychy, to za wiele. Skrzywdziłam myślą dwie niewinne służki, uniosłam na nie głos w złości. Zasłużyłam, aby mnie za to ubiczować. Sama zrobiłam to za lekko. – Widząc nieznaczny grymas niechęci na twarzy Demundy, Jadwiga uznała, że musi nieco złagodzić wypowiedź. – Mam także pomysły, co do wspomnienia ludzi w biedzie. Z tym jednak się powstrzymam, aż będziesz zdrowa. Gdy się wyleczysz, pomożesz, jak zwykle, dobrze?

– Dobrze, matko.

– Tedy pomódlmy się, bo msza już trwa.

Po sekście księżna poszła do komnat, gdzie kilkanaście dziewczetek z najwyższych rodów śląskich i wielkopolskich wychowywało się na żony i święte. Weszła niepostrzeżenie, gdy śpiewały wesołą piosnkę, a najmłodsze wirowały to w prawo, to w lewo. Towarzysząca im mniszka przyglądała się dziewczynkom z uśmiechem, nie mogąc powstrzymać leciutkiego podrygiwania. Po wejściu księżnej śpiew ucichł, radosne śmiechy zgasły, zakonnica pochyliła głowę w ukłonie, dziewczęta zaś dygnęły. Spłoszone stadko kilkulatek zatrzymało się bezradnie, unikając surowego wzroku księżnej, aż jedna ze starszych dziewczyn zagarnęła je na bok. Krępującą ciszę przerwała księżna, mówiąc powoli, cicho, acz dobitnie: – Od ksieni Gertrudy dowiedziałam się, że odmówiłyście dziś jedzenia. Podobno chcecie mnie w tym naśladować i powinnam czuć się temu winną. Ksieni martwi się o wasze zdrowie. Widzę, że całkowicie niepotrzebnie. – Jadwiga zamilkła i postarała się spojrzeć na każdą twarz z osobna. Dziewczyny pospuszczały wzrok. Twarz mniszki-nadzorczyńni taką czerwienią zapłonęła, że nieomal zapalił się od niej biały welon.

Cisza była świdrująca. Wreszcie któraś pięciolatka zaczęła pochlipywać, księżna więc znów się odezwała, nie zmieniając jednak sposobu mówienia: – Myślałam, że zastanę obłożnie chore, zabiedzone dzieci stojące nad grobem, a tu proszę, nie dość, że wesoło, tańce, to jeszcze pogańskie pieśni w słowiańskiej mowie. I kto temu się przygląda z zadowoleniem? Tak ma wyglądać życie godne cysterek? Czy zadaniem zakonu jest bawić się beztrosko, czy uczyć modlitwy, pracy, pokory i naśladowania świętych? Co na to powiesz, siostrzo Katarzyno?

– Nie wiń ich, pani – zaczepiona odpowiedziała, nie podnosząc głowy. – Są dziećmi, z młodą krwią, co czasem muszą się wyszumieć. Pilnie się modlą, wyszywają, czasem się pobawią, ale to przecież nie grzech. Nie są tu po to, aby zostać mniszkami. Po naukach mają však wrócić do świata.

– To niech w świecie uczą się światowych zabaw – Jadwiga nie zmieniła głosu nawet o ton. – Tylko co z tych zabaw? Pierwszy krok do grzechu nieczystości. Tu nie tańców i swawolnych śpiewów mają się uczyć, lecz dobrych obyczajów, a wśród nich szczególnie pokory. Widział kto kiedy świętych oddających się zabawie?

– W Kanie Galilejskiej... – doszedł głośny, niepokorny szept którejs z dziewcząt.

Gdyby nie panująca w komnacie ogólna powaga, nawet siostra Katarzyna by zachichotała, lecz w tych okolicznościach zapadła cisza. Księżna z łatwością wychwyciła winowajczynię. Nie odwracając od niej wzroku, przemówiła znów: – Wydaje się wam, świetnie urodzone panie, że świat wygląda jak wasza zachcianka i spełni się każde wasze życzenie. Jest inaczej. Od dnia narodzin życie pod ochroną od świata, nie doznając nawet cząstki jego boleści. Ktoś tam jest naprawdę chory, umiera z głodu, a ziab odbiera mu nawet ostatek snu. Wy macie przywilej wysokiego urodzenia, opływacie w dostatki. Kilka lat wyrzeczeń od beztróskich zabaw jest niczym w porównaniu z tym, co bezdomni przechodzą. Tym bardziej że jesteście tu bezpieczne od wszelkiego nieszczęścia. Nikt wam krzywdy nie zrobi i pomoże bez szkody przejść przez lata, gdy ciało rośnie, umysł zaś pozostaje dziecinny i bezbronny – mówczyni popatrzyła po dziewczętach; kilka twarzy było smutnych, kilka wzburzonych, a niektóre nawet zacięte w gniewie. Jadwiga przypomniała sobie, że w takich samych okolicznościach też była zagniewaną, młodą, oporną, nie przyjmującą pouczeń dziewczyną. Wspomniała, że gotowa była wtenczas czynić na przekór, chociaż dobrze pojmowała, że źle uczyni. Westchnęła więc teraz głośno przez nos, aby trochę zmienić nastrój, i powiedziała jak umiała najłagodniej: – Umyśliłyście sobie dziś, żeby naśladować mnie w poście. Zrozumcie, gdy post jest tylko po to, aby nudę przerwać, aby coś innego i nowego się działo, to bardziej obraża umierających z głodu i chłodu, niż gdybyście sobie wesoło ucztowały. Bo to tak, jakbyście głodnych przedrzeźniały. Co sobie potem pomyślicie? Że jesteście dobre, bo wytrzymałyście w suchym poście dzień lub dwa? Takie myślenie, to hodowanie w sobie pychy. Weźcie moje słowa sobie do serca. Do widzenia wam.

Księżna obróciła się, żeby wyjść, lecz siostra Katarzyna zastąpiła jej drogę z ukłonem.

– Pani, zostań z nami, a poznasz, jak pilne są w robocie i że znają dużo pobożnych pieśni. Nie z musu je śpiewają, lecz z upodobaniem i czułością.

– Myślisz, siostrze, że nie mam innych zajęć? – Jadwiga odparła sucho.

– Pani, pomagasz wielu potrzebującym. Pomyśl jednak, te dziewczeczki też są w potrzebie, chociaż, sama to mówiłaś, na niczym im nie zbywa. Im potrzeba dobrego przykładu. Najlepiej twojego. Jestem z nimi dzień i noc, znam je na wskroś. Są także ludźmi. Nawet bogaci mają swoje dole i niedole... – zastanowiła się przez chwilę, szukając odpowiedniego słowa.

Księżna trwała w półobrocie, czekając, ale bez cienia zniecierpliwienia.

Katarzyna, nie znalazłszy lepszych słów, powtórzyła: – Pomocy potrzebują nie tylko ci, co są w najsrozszej biedzie. Każdy człowiek potrzebuje pomocy, choćby po to, żeby w tę biedę nie popaść. – Uśmiechnęła się, bo znalazła właściwą

myśl: – Może być ktoś bogaty w dobra, a biedny na umyśle. Tego nie widać, ale tak bywa.

Na Jadwidze niby nie zrobiły wrażenia słowa Katarzyny, obejrzała się jednak na dziewczęta. Niektóre z nich patrzyły śmiało, lecz żadna nie przyłączyła się do prośby, aby księżna z nimi jeszcze została. Ta zastanawiała się chwilę, po czym postąpiła krok w stronę drzwi. Tam się obróciła i nie patrząc na Katarzynę, powiedziała: – Całkiem dobrze wypełniasz powierzone ci zadanie. Będą panny miło wspominać opiekunkę, póki im życia wystarczy. Moje zadanie jest wszelako inne: nieść pomoc tym, którym inni odmówili, prawdziwie samotnym, porzuconym, wypędzonym i bezradnym. Mimo to twoją mądrą prośbę przemyślę.

Wypowiedziawszy te słowa, ruszyła ku drzwiom. Mniszka ukłoniła się, dziewczęta dygnęły. Księżna odkloniła się bez słowa i wyszła.

SPOWIEDŹ

Żarliwe modły pobożnej pani

Starczyłyby i dla stu ludzi

Lecz ustawicznym napominaniem

Zdołała tylko niechęć budzić.

Księżna Jadwiga miała kilku spowiedników. Jednym był poczciwy i uczony franciszkanin Herbord. Na próżno, ale zawsze z młodzieńczym zapałem, starał się o to, aby życie księżnej miało wymiar nieco bardziej ludzki. Aby na nogi wkładała trzewiki, aby choć raz na dzień najadła się do syta, żeby spała w łożu, a nie na podłodze i się wysypiała. Za praktyki graniczące z cielesnym wycieńczeniem Herbord ustawicznie upominał Jadwigę, ale dawało to niewiele, a właściwie nic. Nakazy różnym podawane głosem: dobrotliwym, stanowczym, nawet złym księżna sprytnie obracała na przekór Herbordowi i ludziom za nim stojącym. Kazał nosić obuwie – nosiła związane sznurkiem i uwieszone u szyi, kazał jeść – jadła tylko to, co zbywało biedakom, kazał spać w łożu – od tamtej pory targała je wieczorem, a kładła się na gołej ziemi obok, już bez okrycia, jak przed spowiedzią. Niestety, od tygodnia nie było uczonego poczciwiny Herborda w Trzebnicy, bo w pilnych sprawach wyjechał do Wrocławia.

Był również drugi mnich, franciszkański – Heribert, co od kilkunastu lat uchodził nie tyle nawet za spowiednika, co raczej towarzysza rozmów księżnej Jadwigi. Skąd się wziął, nie było do końca wiadomo. Opowiadał, że w Italii służył biskupowi Moguncji, dzięki temu znalazł się w orszaku cesarza Henryka VI, po którego śmierci pozostał w Italii, przez co otarł się o samego Franciszka z Asyżu – tym natychmiast zyskiwał podziw słuchaczy. Dalej mówił, że był świadkiem starań świętego o uznanie zakonu, trudności w zatwierdzeniu reguły, wreszcie ulgi, gdy się powiodło.

Kiedyś ktoś, kto niechybnie od samego początku był z Franciszkiem i w świecie trochę bywał, opowiadał w Moguncji, że widział młodego Heriberta nie w Italii, lecz po drugiej stronie Alp, w Prowansji, ale nie mógł sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach. Do tego mieszkańcy Moguncji z prawdziwym trudem przypominali sobie, że istniał ktoś taki jak Heribert, a zapytawszy o niego kogokolwiek ze świty cesarza Henryka VI, z pewnością nikt nie rozpoznałby Heriberta w Heribercie. To było jednak dawno, dawno temu, gdy w południowych krainach zadawano kłopotliwe, a nawet groźne pytania, które sprawiały, że w Italii, Prowansji czy Moguncji Heribertowi nie było dobrze. Dlatego, usłyszawszy tylko, że wezwano franciszkanów do służby w Polsce, natychmiast zapalał żarliwością apostolską i był jednym z pierwszych z radością i pokorą reagujących na wezwanie. Przypadkiem złożyło się tak, że na Śląsku nie było nikogo, kto mógłby zadawać niewygodne pytania o dumną młodość Heriberta, w innych zaś stronach ludzie, co mogliby o tym cokolwiek powiedzieć, dawno powymierali.

W nowym miejscu Heribert zasłynął z opowiedzenia się za pierwotną regułą Świętego Franciszka. Raz nawet posunął się do głośnego oznajmienia, że papież Honoriusz III niepotrzebnie uznał pierwsze reguły za niemożliwe do spełnienia przez człowieka. Trochę za tą sprawą, trochę z innych jeszcze przyczyn, których nie umieliby całkiem nazwać, bracia franciszkanie z Wrocławia patrzyli na niego nieufnie, sam więc Heribert oddalił się od nich, nie chcąc dawać powodów do pogłębiania domysłów.

Tak oto znalazł się w Trzebnicy. Tu zaś robił z siebie żywy przykład na to, że pierwsza reguła była możliwa jak najbardziej. Śmiącym wątpić w owo prawdopodobieństwo, mówił w uniesieniu, z wielką pewnością siebie, że Franciszek zanadto był uległy wobec władzy, co jednych oburzało, innych rozśmieszało, a wszystkich przekonywało, że w głowie Heriberta z klepkami coś jest nie tak albo ktoś tam wpuścił kilka kiełbików. Uczciwość jednak wymaga, aby powiedzieć, że ponosiło go tylko chwilami, póki się nie zestarzał, co nastąpiło wcześniej. Będąc już starcem, wypowiadał się o przeszłości z wielką ostrożnością, aż kiedyś całkiem przestał i nikt nigdy nie usłyszał więcej od niego, że dawał nauki samemu Franciszkowi lub że z nim rozmawiał.

Co prawda Heribert szybko się postarzał, lecz była to długa i żywotna

starość. Opowieści o przeszłości zastąpił ulepianiem terażniejszości. Słowa dobierał starannie, aż zaczął głosić, jak osiągnąć doskonałość. Słowo „doskonałość” głosił nawet po polsku. Tylko na tyle był jeszcze ostrożny, że nigdy nie użył łącznie z nim w jednym zdaniu innego słowa – słowa „czystość”. Za to używał obydwu zamiennie.

Dążący do prawdziwej czystości i doskonałości gotów był każdemu wyjaśnić, jak je osiągnąć za życia. Naukę dawał prostą. Sprawę dało się załatwić bez oglądania na jakiegokolwiek złagodzone reguły; przecież każdy może je ustalić sam dla siebie, z pełną surowością, na jaką go stać, a nawet więcej, aby tylko upokorzyć powłokę cielesną, ten brudny worek pełen wydaliny. Doskonałość i czystość osiągnął, nie jedząc mięsa żadnego stworzenia, nawet ryb, ani sera, masła czy jajek. Nie pił piwa, wina i mleka. Coraz mniej mówił, jeśli jednak mówił, to zwykle o tym, że życie doczesne niewiele jest warte, ciało nic, a o duszę warto zadbać, wyrzekając się życia. Wystarczy je tylko podtrzymywać. Na szczęście dla Heriberta niemal nikt nie słuchał go z uwagą. Z trzech powodów. Nie był miłym człowiekiem, miał odstręczającą powierzchowność i wzbudzał strach. Zatem niemal na nikim nie robiło wrażenia, że Heribert żywił się wyłącznie chlebem, kaszą bez omasty, upieczoną rzepą, co popijał wodą. Chodził w niemożliwie połatanym starym habicie, co niewiele go różniło od żebraków, ale różnił się od nich tym, że nie garnął się do ludzi. Od rodu niewieściego trzymał się jak najdalej, dzieci nie lubił i do siebie nie dopuszczał, przez to żadnych uczniów nie miał. Grzechy ścigał z całych sił żarliwym potępieniem. Podsumowując: Heribert nawet jak na franciszkanina przedstawiał się osobliwie, co nikogo nie dziwiło, bo wśród trzódki Świętego Franciszka dziwaków nigdy nie brakowało.

Bywały jednak znaczące chwile, gdy ten skrajny odludek sam się narzucał ze swoim towarzystwem. Nie wiadomo, jak to się działo, ale obuty w drewniane chodaki nieomylnie zjawiał się u wezglowia umierających, aby z nieskrywaną radością udzielić ostatniego namaszczenia. Nie o to mu wszakże chodziło, o nie! O co więc? Tego nikt nigdy się nie domyślił. Zauważono zaś, że tam, gdzie dziwaczny, zdziadziały mnich się pojawi, ktoś koniecznie musi umrzeć. Nic zatem dziwnego, że zaczęto go powszechnie traktować jak posłańca śmierci, krzycząc: „Kościej idzie!”. To dlatego każde ruszenie się Heriberta z celi nie tylko profani przyjmowali z niepokojem. Nawet inni mnisi zamierali na chwilę, nasłuchując pilnie, czy aby to klekoczące człapanie chodaków nie zmierza w ich stronę. Jeśli żywy kościotrup szedł całkiem szparko w trepach na bosych stopach, niejednemu głosicielowi marność tego świata, od lat marzącemu o widoku łąk niebieskich, przyszło przyznać, że marność nie jest aż taka zła, a niebieskie łąki mogą jeszcze jakiś czas poczekać.

Fala niepokoju szła za krocącym Heribertem i przybierała postać nieliczącą z powagą ostatnich chwil życia. Wyjście starego szaleńca z celi wywoływało

u braci furtianów przyspieszone bicie serca. Potem, podobnie z pojawieniem się drapieżnego ptaka, co najpierw widać po uciekającym, drobnym ptactwie, postawienie przez Heriberta stopy poza klasztornym murem oznajmiało ludziom popłoch, z jakim rozbiegali się żebracy. Na tym nie koniec wrażeń. Nieraz ulice Trzebnicy pustoszały za sprawą raźnie krocącego, podpierającego się kosturem starca, chcącego położyć obciążnięte bladym pergaminem zbiory kosteczek, zwane w innej postaci rękoma, na głowie struchlałego umierającego, na tę chwilę tracącego wszelką nadzieję. To było największą niewdzięcznością ludzką, której Heribert nie pojmował. On chciał dobrze! Czynił wiele, aby zapewnić odchodzącym z tego świata stan doskonałości, ale nikt tego nie pragnął. Wierzano bowiem, że sam dotyk stukniętego – tak również mówiono o starym mnichu – sprowadza śmierć.

Była tylko jedna osoba, która naprawdę nie bała się śmierci. Księżna Jadwiga. Podziwiała Heriberta za jego ascetyczne życie i nie unikała z nim rozmowy, a przy tym ona, co litowała się nad największymi zbójami, bo często widziała w jednej chwili całe ich podłe życie rozpoczęte od dzieciństwa bez cienia miłości, znalazła litość i dla tego człowieka, dla jego dziwactw i brzydoty. On, choć niewiast – powiedzmy jasno – nienawidził, dla księżnej robił istotny wyjątek od własnej reguły.

Ich pierwsza rozmowa traktowała o wyrzeczeniach. Księżna zapytała mnicha, dlaczego odbiera sobie tak wiele. On odparł, że nie przełknąłby niczego, co pochodziłoby od żywego, cierpiącego stworzenia. Bo każde z nich widzi, słyszy, czuje, ma dzieci, swoje życie. Jak Święty Franciszek!, pomyślała z zachwytem księżna o Heribercie, lecz tego nie powiedziała. On nigdy by tak o sobie nie pomyślał. Miał inne ideały na myśli, a że nigdy o nich nie mówił, księżna nie poznała istotnej różnicy między Heribertem a Franciszkiem. Ujrzawszy zaś z bliska, że ideałami ubóstwa starzec przejęty był tak, że doprowadził się do stanu doskonałej suchości, uznała w nim towarzysza duchowego w sprawach przyjmowania pokarmów.

Z tych przesłanek, już od wielu lat co najmniej raz w tygodniu, odbywał się swoisty rytuał: księżna szła do mnicha, żeby z nim porozmawiać, a towarzyszyła jej zwykle Demunda. Jadwiga tak bowiem dbała o dobre imię, że nawet do szkieletowatego starca niechętnego białogłomom nie udała się bez towarzystwa innej białogłowy. Mnich stroniący od wszelkich ludzi, z surową cierpliwością słuchał słów pani stroniącej od ludzi szczęśliwych, żeby gromić ją na koniec za nazbyt chętnie pobłażanie słabościom. Utwierdzona w umartwianiu ciała księżna starała się zadać sobie dodatkowy ból. Mniej wtedy bolała przyszłość, której Heribert, mimo cotygodniowych rozmów, ani razu jeszcze nie pojął i pojąć nie mógł.

Stara księżna cały dzień cierpliwie znosiła brzemień widoków sennych

i porannych, ale ktoś musiał je poznać. Nie znajdowała jednak w swoim otoczeniu nikogo, komu mogłaby powierzyć pewności i wątpliwości. Czy Gertruda żyłaby dalej spokojnie wiedząc, że za rok już nie zobaczy brata? Czy te dziewczynki umiałyby godnie przyjąć wieść o śmierci ich ojców? I czy ona, Jadwiga, nie złamałaby spokoju tego miejsca, kruchej powagi, odwagi i świętości, głosząc prawdę zbyt trudną? Cóż bowiem by się stało, gdyby powiedziała na głos: Ledwie minie pół roku, a na ten kraj spadnie wojsko piekielne, nie zostawiając nikogo żywym.

Pewnie uwierzyliby, jeszcze się nie zdarzyło, żeby nie uwierzyli, ale stałoby się to, co zwykle: ludzie zamiast martwić się za innych, nagle zamartwiliby się o samych siebie. Mnisi, mniszki... Są tylko słabymi ludźmi. Dobrymi, acz słabymi. Ona, Jadwiga, stworzyła to miejsce i poświęciła mu życie, aby w pokoju i spokoju wybrańcy modlili się dniem i nocą za setki tysięcy niewytrwałych w modlitwie. Gdyby przekazała teraz swój strach, być może rozpierzchliby się, a nawet jeśli by nie rozpierzchli się, z pewnością przestaliby modlić się za innych ludzi, zanosiliby prośby do Boga tylko za siebie.

Takie prośby nie Bóg najchętniej spełnia, lecz kusiciel.

Nie samo ludzkie zapatwienie w siebie było powodem, dla którego Jadwiga za każdym razem gorzko żałowała, wyjawiając otoczeniu dręczącą ją tajemnicę przyszłości. Za każdym razem doznawała tego, co pewna starożytna wróżbitka, aż przeszło to w przysłowie. W istocie żadna z chwil szczerości księżnej nie zdołała zapobiec nieszczęściu, jakie miało się wydarzyć. Za każdym razem mroząca grozą świadomość zamiast dawać pożyteczną przestrożę na przyszłość, dawała straszną, trującą wiedzę, nie zostawiającą nadziei, a odbierającą szlachetne odruchy. Z czasem księżna nabrała pewności, że lepiej milczeć i nosić cierpliwie prawdę w sobie, niż nią się dzielić. Nawet po to, aby zabobonnie nie całowano jej po rękach, uważając, że ona ma moc, która odwróci nieodwracalne, a tak było niemalże co dzień.

Teraz miała jednak poważną wątpliwość. Sprawa nie dotyczyła jednego czy kilku grzeszników, a to, co się stanie, dotknie prawie wszystkich. Czy zatem powinna milczeć?

Jadwiga musiała komuś wyjawić dręczącą prawdę. Chciałaby o tym krzyknąć. Nie mogła. Była pierwszą, która uległa strachowi – ona, co już dawno przestała się bać cegokolwiek. W chwili strachu najpierw pomodliła się wyłącznie za samą siebie. To jak inni postąpią? Ktoś powinien jednak o tym usłyszeć. Herborda nie było. Heribert. Ten niezawodnie trwał w swoim zasuszeniu.

Jeszcze przed nieszporami Jadwiga poszła do niego i aby nie uchybić w niczym ślubowi czystości, w miejsce niedomagającej Demundy towarzyszyły księżnej dwie służki – towarzyszki nocnego koszmaru.

Ojcze, wysłuchaj mnie...

Zasłonięty kapturem Heribert nawet nie spojrział na Jadwigę, ani się nie odezwał. Znał świątobliwą panią od lat i wiedział, że tak trzeba, bo dzięki temu, chociaż już pokorna, jeszcze bardziej spokojnie. Znał także siebie. Lepiej było milczeć i nie patrzeć. Wściekle bystra baba mogłaby jeszcze zauważyć, że dręczenie sprawia mu przyjemność – zawsze czuł dziwną radość i nigdy nie bolało go sumienie. Nie zawiódł się i tym razem – warto żyć w doskonałości.

– ...Zgrzeszyłam pychą – wyznawała Jadwiga. – Uniosłam się na niewinne służki. Zgrzeszyłam potem gniewem na dobre dzieci i dziewczeczki i dałam im to odczuć. Zgrzeszyłam lenistwem, bo zaniedbałam modlitwy i umartwienia. Najbardziej zgrzeszyłam zwątpieniem i strachem.

– Czegóż się boisz, córko? – zapytał sztywnymi sylabami połatany starzec. Już panował nad głosem. Już się cieszył.

Księżna westchnęła głęboko, nim odpowiedziała.

– Ojczy, miałam sen...

Heribert natężył uwagę. Jego włochate ucho pod kapturem zastrzygło w stronę bezkrwistych, ledwie odsznurowanych ust księżnej. Za długo trzymała go w niepewności, aż całe dwa *Ojczy nasz*. Nie wiadomo, czy wytrzymałby następne dwa pacierze, ale chyba tak, był wytrzymały.

– ...miałam sen – powtórzyła cicho – śniłam o diabłach. Całe ich mrowie wylaziło na świat. Wierz mi, ojczy, wyjdą. Przyjdą tu, na Śląsk. Rozbiją wszystko w pył. Spalą, wymordują. Wysieką. Wypiją krew chrześcijan.

– Diabły? – wyszeptał zdziwiony mnich.

– Tak, tak. One.

– Ich się wystraszyłaś? – zapytał spowiednik.

– Nie, nie ich – księżna zaprzeczyła. – Lecz tego, co zrobią. Co się stanie. Nikt ich nie powstrzyma, nic nie da się zrobić. Tego się przestraszyłam. Że ja niczego nie zrobię, tylko będę patrzeć. Tak się wystraszę, że nawet nie spojrzę na to całe diabelstwo.

Heribert się uśmiechnął, na szczęście kaptur przysłonił mu twarz, lecz Jadwiga jakby coś wyczuła, bo uniosła głos: – Ojczy, naprawdę nie wiem, co robić. Widziałam śmierć syna, śmierć możnych i rycerzy. Prawie każda z naszych wychowanic kogoś straci. I biednych ludzi wielu umrze, nawet małe dzieci.

– A mnisi? – zapytał cichutko mnich.

– Aż dziwne. Ojczy... – księżna wyprostowała się nieco – ...aż dziwne, ale niewielu ich martwych widziałam.

– A świat? Jaki będzie? – starzec dopytał niecierpliwie.

W Jadwidze zdziwienie wzrosło, co zauważył, lecz nie wiedział, dlaczego księżna się dziwi.

– Świat ogarnie wielka pożoga. Ziemia spłynie krwią. Najeźdźcy będą jak potop – powiedziała bezwiednie, bo myślała o tym, że pytanie świątobliwego męża

czegoś innego powinno dotyczyć.

Heribert omal drżał z radosnego podniecenia. Wreszcie coś sprawiedliwego się stanie, nareszcie przyjdzie zgniliźnie kres i wszystko trafi tam, dokąd trzeba! W końcu przerwie się czas ciągłej opieki dusz czystych jak kryształ nad kupami gnoju obciążniętych skórą. Bo babsko jeszcze nigdy się nie pomyliło, jeśli chodzi o przyszłość. Dlatego powiedział prawie beztrąsko i zaraz tego pożałował: – Czym córko się martwisz?

Po chwili trwania w milczeniu księżna cofnęła głowę o piędź. Zmieniła brzmienie wypowiedzi na całkiem uważne. Jeszcze trochę, a padłoby jej słynne: Dlaczegoż mnie to czynisz?, nie padło jednak. Nagle się wydało, że Jadwiga rozumie więcej, niż mogłoby się wydawać.

– Ja ci, ojcze, opowiadam tu o czymś na kształt końca świata. Lecz ani te pożary nie wypalą, ani woda nie zmyje grzechu. Ludzie muszą żyć. Pan Bóg wszakże ich stworzył. Nie wierzę, aby chciał śmierci wszystkich, zanim staną się lepszymi. Tu jednak nadziei nie widzę. Widzę tylko zło, wszechogarniające, potężne. Sprytne i silne. Co mam czynić, ojcze? Czy nie byłoby dobrze, gdybym ostrzegła syna? Gdybym nakazała wznieść mury wokół Trzebnicy? Oni ze wschodu przyjdą. Jest jeszcze czas na ostrzeżenie ludzi. Może dałoby się coś zrobić, odwrócić zło, odeprzeć. Tylko jak?

Heribert zagrał na strunie niezawodnej, jeśli chodzi o duszę księżnej – na jej pochodzeniu. Na ustawicznej walce wiedzonej z samą sobą, żeby książęćcość stawiać na ostatnim miejscu: – Co ty możesz zrobić? Dlaczego martwisz się za tych, co ich Bóg ustawił na miejscu obrońców? Czy myślisz, że twój syn nie wie, co będzie? Czy chcesz go pouczać o powinnościach księcia i rycerza? Wtedy inni przestaliby go słuchać. Wyobraź sobie: księżna, co zamknęła się w murach klasztoru i więcej obcuje z żebrakami niż możliwymi tego świata, na dwór wraca i bierze się do poprawiania rządów syna. A twoja synowa, Anna, co wtedy powie? Twoje wnuki są już dorosłe. Czy nimi też będziesz powodzić? Sprawa, którą się zamartwiasz, to żadna tajemnica. Franciszkanie i dominikanie od lat gadają o tych wysłannikach piekła, Tartarach.^[1] Już podobno Rusi nie ma, tamtejsi ludzie zmienieni w niewolników. Niech książęta i rycerstwo sposobią się do walki. Nam nie wypada w to się wtrącać.

– Martwi mnie, że tyle nieszczęścia się stanie, w pokolenia ono pójdzie. Widziałam prawnuka złego jak diabeł. Chyba muszę coś zrobić, choć ostrzec, aby sami sobie piekła na ziemi nie czynili. Doradź mi ojcze, co począć?

Heribert napawał się strachem i bezradnością księżnej, zarazem złościł się na jej współczucie dla rodzaju ludzkiego. Przedłużył milczenie, chwilę wyczuwał świetnie, co miało udawać głębokie zastanowienie, a gdy już był pewien siebie, zdjął kaptur z niemal bezwłosej czaszki, spojrział wylupiastymi oczami trupa bez powiek na Jadwigę zdruzgotaną wspomnieniami z przeszłości i powiedział pewnie:

– Nic. Nic nie musisz robić. Zostaw to tak, jak jest. Możesz za nich się pomodlić, ale zamiarów bożych nie zmienisz – zamilkł, ucieszony, że zgrabnie nie powiedział, którego boga ma na myśli.

Księżna pochyliła głowę w cichej rozpacz.

Przebiegł Heribertowi wówczas przez cienkie wargi kpiący uśmieszek. Miał chwilową zachciankę ulitowania się nad zbolełą niewiastą, położyłby dłonie na jej umęczonej głowie, dając łaskę doskonałości. Zachcianka trwała krótko, bardzo krótko, bo według niego Jadwiga nie zasługiwała na doskonałość. Zwyciężyło obrzydzenie do niej, do niewieściego, czarciego pomiotu, rozum zaś podpowiadał, że jeszcze za wcześnie na akt łaski, że ona jeszcze nie umiera. Gdy już myślał, że jest po wszystkim, gdy niemalże czuł rozkosz czynienia na przekór wymysłom papistów, usłyszał szept, przesywający jego myśl na wskroś niczym dobrze naostrzony grot strzały, niemalże bezgłośnie.

– O jakich bożych zamiarach, ojcze, mówisz? – zapytała księżna.

Mnich omalże drgnął ze strachu – lata ćwiczeń pomogły pozostać nieruchomym jak skała. Natychmiast powróciła przytomność umysłu i wówczas powiedział ostro w wypróbowany po wielekroć sposób: – Czy nie rozumiesz, niewiasto, że jesteś marnym pyłem? Że ciało to marność nad marnościami? Jeśli ludzie poumierają, krócej będą żyć w grzechu, a wtedy będzie mniejszy grzech całego świata; ocali się tym samym piękno ich dusz, świata zaś nie pokalają zanadto. Ogień oczyszcza, woda także.

Po chwili namysłu Jadwiga się odezwała, a każde jej słowo Heribert czuł, jakby chłostało go żelazną różgą.

– Miałam, ojcze, podobne myśli we śnie. Takich właśnie boję się najbardziej. Pogardziłam swoim ciałem, chciałam od niego się uwolnić. Lecz nie wolno traktować go z pogardą. Można umęczyć, przyprawić o cierpienie, nie z pogardy, nie z myślą o sobie, ale żeby innym w cierpieniu ulżyć, żeby mogli godnie żyć. Dlaczego więc mówisz, aby zaniedbać ludzi? Pan Bóg nie każe nam być dla innych okrutnymi, jeno współczującymi. Jest jak ojciec, co nawet największe winy wybacza, widząc, że dziecko wchodzi na dobrą drogę. Jeśli błądzi, naprowadza na właściwe ścieżki. Nie popycha w przepaść. Nie powinnam postąpić podobnie?

Ostatnie zdanie nieco złagodziło płomienny ból, jaki już odczuwał Kościej. Na chwilę, króciutką chwilę, zawahał się z odpowiedzią, aż przyszła sama, to znaczy ktoś mu ją podpowiedział z kąta celi, gdzie chował się w kłębkach kurzu.

– Co chcesz zrobić? Powiadomić wszystkich o nadchodzącej klęsce? Wtedy będzie jeszcze większa, bo się wystraszą i do walki nawet nie przystąpią, a tak zrobią, co do nich należy, bez tchórzostwa – powiedziawszy to, zamilkł zadowolony, że dobrze wybrnął z pułapki, w którą sam się zapędził.

Cisza trwała jeszcze chwilę, nim wstrząśnięta księżna ją przerwała tym, co usłyszał w odpowiedzi Heribert.

– Dziękuję ci, ojczu. Zostań z Bogiem.

Jadwiga podniosła się z klęczek i wyszła, żeby już więcej tu nie wrócić.

Po niesporach odcięte od świata drzwiami celi księżna i dwie służki trwały w cichej modlitwie. Tak jak przed świtem odmawiały różaniec, teraz jednak inaczej, bo bez okazywania lęku i bez złości. Stara pobożna pani, nim przystąpiła do modlitwy, nie dbając nic o to, czy cokolwiek rozumieją, pouczyła służki – musiała powiedzieć to na głos, aby samą siebie pouczyć – takimi oto słowy: – Nieraz się zastanawiałam, co jest dla mnie straszne. Co najgorsze. Okazuje się, że nie ból ani głód, a zdawać by się mogło, że nic gorszego nad ból i głód nie ma. Jest coś gorszego. Bezradność. Co robić, gdy wiadomo, co się wydarzy, ale w żaden sposób nie można tego powstrzymać, gdy wiecie, że kogoś, kogo miłujecie, spotka nieszczęście, lecz nic nie możecie na to poradzić? Co robić? Sama niczego innego nie potrafię prócz modlitwy. Zrobię chociaż tyle tam, gdzie jestem całkowicie bezradna. Nie modłę się tylko o łaskawość bożą. Modłę się o to, aby nie zubożeć. Dzień za dniem widząc wciąż to samo, może się wydawać, że już umarł ktoś, za kim coraz mniej rozpaczam. Choć żyje, traktuję go jak zmarłego. Za jakiś czas rozpacz ulega żalowi, żal smutkowi, smutek zaś obojętności. Obojętność to zapomnienie. Głód i ból przychodzą i odchodzą, ale zawsze dają o sobie znać od nowa, z pełną mocą. Myśl o nieszczęściu pozostaje. Z nią się oswoić, to znaczy zubożeć na nieszczęścia ukochanych i o nich zapomnieć.

Wyznanie niewiele pomogło księżnej, natrętne nieszczęściem myśli pragnęły cielesnego bólu, dającego zapomnienie choćby na chwilę. Po odmówieniu dwóch części różańca zlewających się w ciągi wyrazów wypowiedzianych bez czucia, nie zacierających wspomnień z mającej dopiero nadejść przyszłości, ktoś zapukał do komnaty. Jadwiga przerwała modły. Drzwi się uchylły. W ciemności ledwie rozjaśnionej kagankiem zamajaczyła znajoma postać.

– Pani, nie mogłam wytrzymać dłużej, bo coś mi mówiło, że jestem ci bardzo potrzebna. Czuję się dobrze, jakbym znów miała szesnaście lat. Gorączki żadnej, nic nie boli. Siłę mam. I ochotę by ci służyć.

Jadwiga powstała z kolan, a za nią służebnice. Patrzyła w oniemiaeniu na uśmiechniętą twarz Demundy.

– Naprawdę jesteś zdrowa i silna? – zapytała.

– Jak nigdy w życiu – mniszka uklękła przed swoją panią.

Ta uklękła również, obejmując i tuląc ulubioną towarzyszkę.

– To dobrze – wyszeptała – pomożesz mi. – Podniosła wierną pomocnicę z kolan i powiedziała do służących: – Dobrze dziś się przysłużyliście, a ja byłam dla was zbyt surowa. Idźcie odpocząć, Demunda mi teraz usłuży.

Milczące dziewczęta ukloniły się i wyszły. Wtedy Jadwiga powiedziała do Demundy: – Nie mam siły, nie uniosę bicia. Musisz to zrobić. Nie wiem, jak mam zatrzymać myśli. Gonią przez cały dzień. Gdzie spojrzę, widzę krew i pożogę.

Pomóż mi, błagam!

Mniszka popatrzyła na księżną już bez uśmiechu.

– Pani, nie mogę tego uczynić – powiedziała stanowczo. – Już nigdy nie podniosę na ciebie ręki.

– To nie moja zachcianka, to potrzeba – księżna się zachnęła.

– Być nie może – padła krótka odpowiedź.

– Moja wierna Demundo, nie tobie to oceniać – Jadwiga miękko odparła. – Tak ma być.

Demunda wiedziała jednak swoje.

– Nie. Nigdy więcej. Już nie utoczę twojej krwi. Wystarczy, że nosisz włosienicę i sznur węzełków na gołe ciało. Cierpisz, pani, dosyć. Za wszystkich. Robisz tyle dobra, że nie można sobie wyobrazić twojego grzechu. Jak można za coś takiego karać się okrutnie? Pan w niebiesiech na pewno tego by nie chciał. Tylko zły człowiek może tego się domagać.

– Dlaczego tak do mnie mówisz? – zapytała księżna z uniżoną grzecnością.

Sługa padła przed nią na kolana.

– Pani. Przemyślałam dziś to, co powiedziałaś. Wyzdrowiałam tylko dlatego, że obiecałam sobie nigdy na ciebie ręki nie podnosić. Za to chciałabym czegoś innego. O to teraz cię proszę.

Jadwiga odsunęła się od Demundy o krok i powiedziała poważnie: – Nawet nie wiesz, jak bolesne mam myśli. Ból cielesny przynosi od nich ukojenie. Chciałabym, żebyś mi pomogła, a ty chcesz mnie opuścić.

– Ależ nie, pani! – krzyknęła mniszka. – Chcę tylko pomóc w twoich zamiarach dotyczących się ludzi nieszczęsnych. Chcę jutro jechać do leprozorium, żeby sprawdzić, czy nieszczęsne niewiasty mają, co jeść, czy mają należyłą opiekę.

– Nie boisz się? – księżna nie kryła zaskoczenia.

– Jeśli, pani, nie boisz się obmywać ran trędowatym, to i ja chcę to czynić.

Wychudzona postami, udręczona umartwieniami stara niewiasta, niegdyś dostojna, teraz tylko dumna, doznała niemal wstrząsu. To były jej myśli, nie Demundy. Nie o tym dziś rozmawiały. Skąd więc...? Jeszcze raz padła na kolana przed sługą. Tym razem nie przytuliła jej do siebie, lecz sama przytuliła się do niej.

– Moja miła. Moja dobra. Zrobisz, jak zechcesz, ale dopiero po mojej śmierci, nie wcześniej. Już za niedługo – powiedziała jakby z radością, a jątrzące myśli pierzchły po kątach celi i zginęły w mroku, tego wieczora już nie wracając. – Tymczasem bądź przy mnie. Zajmiemy się innymi sprawami. Dziś pomodlimy się za możliwych tego świata, jutro usłużymy maluczkiemu. Pójdziemy do wychowanic i pohaftujemy z nimi cały dzień. Nie chcą jeść. Myślałam, że zrobią mi na złość i zjedzą wieczerzę, lecz one jej nie tknęły, nawet najmłodsze. Pomożemy im. Zaśpiewamy kilka nabożnych pieśni na podobieństwo dzieł Hildegardy z Bingen. Musimy robić tak, jakby nic złego nie miało się stać. Pomożemy jeszcze

niejednemu człokowi w potrzebie, uratujemy nawet pewną zbłąkaną młodą niewiastę od strasznej śmierci. Ty mi dziś przynieś trochę ziół na dobry sen. Niech te słynne wirydarze cysterek przydadzą się na coś starej księżnej – zażartowała po raz pierwszy od dwudziestu lat.

WYWAR NA DOBRY SEN

Weźmij miarkę wody, gotuj w garnku, aż zabulgoce. Odlej wodę do glinianego dzbanka. Garść suszonego ziele Świętego Jana, co na nie prości ludzie mówią „przestrzelon”, nasyp do gorącej wody. Nakryj drugim naczyniem tak, żeby woda skapywała z niego do środka. Poczekaj, aż dobrze się zaparzy, co poznasz po zmianie barwy wody na czerwoną. Wtedy przestudź to nieco i daj pić pół miarki temu, co spać nie może, a uśnie łagodnie i spokojnie. Jeszcze mocniej działa żywe ziele Świętego Jana. Jeśli je masz, to w miarce wody zaparz dwa-trzy liście, tyle wystarczy, żeby zadziałały. Bacz jednak, aby nie dawać tego co dzień, bo nadmiar naparu szkodzi zdrowiu. Gdyby ziele Świętego Jana nie pomogło przez kilka dni, weźmij ziele miodownika i uczynź z niego napar tym samym sposobem.

Rozdział 2.

Urok

Piastowski ród co pokolenie przybierał na liczebności, lecz karłał co do władzy. W dodatku kojarzono małżeństwa między Piastami, a to do niczego dobrego prowadzić nie mogło. Ciągłe gatunek był jednak prawdziwie książęcy, nawet królewski – można było doliczyć się w nim trzech koronowanych głów – chociaż tylko od dwóch z nich będąca u władzy czereda piastowska mogła się szczycić pochodzeniem. Jeden zwał się Bolesławem Wielkim – jako pierwszy koronę zyskał. Drugim zaś jego syn Mieszko, który korony zrzekł się tak szybko, że mało kto miał go za króla. Trzecim królem Polski był Bolesław Śmiały, lecz nikt z żyjących Piastów nie miał go za swego naddziada; ostatni król szczeł bowiem na wygnaniu, a żyjący Piastowie – śląscy, mazowieccy, wielkopolscy, kujawscy i sam Bóg jeszcze wie jacy, pochodzili od brata ostatniego króla, księcia Władysława o przydomku Herman, popychadła nie tylko ościennych władców, ale także własnych poddanych. Jakby tam nie było, żyjących Piastów uświęcało samo pochodzenie od namaszczonej przodków oraz aż trzy dziedziczne przekleństwa.

Pierwszym było wymuszone zrzeczenie się korony przez odwiedzonego od zmysłów Mieszka II. Drugim, klątwa rzucona przez biskupa Stanisława na ostatniego króla, co zaowocowała śmiercią obydwu w warunkach urągających ludzkiej godności. Najgroźniejsze w skutkach było przekleństwo trzecie, czyli testament ostatniego z wielkich Bolesławów.

Bolesław Krzywousty w różnych wojnach wygrał trzydzieści dziewięć bitew. Na dobre nie podjął tylko najważniejszej wojny – wojny o założenie na skronie korony królewskiej spajającej kraj złotą obręczą lepiej niż najszczęrsza wola wyrażona na bolesnym łożu śmierci. Ten ostatni Bolesław umyślił, jak najlepiej na świecie podzielić ziemię, a władzy nie naruszyć. Plan oparł na przysiędze złożonej mu, gdy leżał na narach bliski śmierci. W jaki sposób miał jeszcze nienarodzony syn mu przysięgać, nikt nie wiedział. Nie wiadomo, czy waleczny książę zmarł uspokojony, ale na pewno bogaty w męskie potomstwo. Z jego zamiarów wyszło zaś tyle, że czwarte po nim pokolenie dziedziczyło na zasadzie podziału dziedziny i władzy tak daleko idących, że palatyni z czasów wielkich Bolesławów gardziliby takimi książątkami.

Mimo wszystko to oni, Piastowie, i nikt inny, pozostawali jednocześnie dziedzicami imion, tytułów i czynów – haniebnych oraz wzniosłych – bo wywodzili się od największego z Bolesławów, niebojącego się ani Niemców, ani Rusi, ani Czechów, o Pomorzanach, teraz samodzielnych, nie warto nawet wspominać. Mieli wśród przodków nieszczęśnika Mieszka II, mieli nieudacznika Władysława Hermana, ale mieli też Mieszka I i Kazimierza Odnowiciela. Przy odrobinie woli bożej każdy z nich mógłby wskrzesić czy też odnowić kraj,

o którym mówiło się „Polska”, a nie „Wielkopolska”, „Małopolska” czy „Śląsk”. Każdy z nich był z urodzenia szczupakiem, którego wystarczyło podkarmić, żeby za chwilę już sam zjadał inne ryby ze stawu. Tylko którego wybrać?

JEZEBEL

Dziewczura nasza była dobra

Umiała ból odmówić ludziom

Odczynić urok leczyć rany

By było lżej w codziennych trudach

Ale nie o niej teraz będzie

Lecz o piękności doskonałej

Miano Jezebel nosić winnej

Choć młodej – złością już dojrzałej.

Bardzo wielki pan wojewoda krakowski Włodzimierz herbu Łabędź żył, nie przymierzając, jak udzielny książę. Jak szczupak. Nikt mu w tym nie przeszkadzał, choć znaleźliby się skłonni do okazania nawet tak ważnemu człękowi, że życie nie składa się z samego poczucia ważności. W oczach ludzi pokroju idącego w świętość Jacka Odrowąża, co w owym akurat czasie bawił w Krakowie, wojewoda jawił się jako zaledwie przerośnięty okoń. Odrowąż rozumiał, że żaden z okoni nie widzi nic więcej, poza własnym bajorem; nie ma przecież świadomości tego, co było, a gdy spojrzy w dal, zobaczy swoich przodków prostymi sługami Piastów, takimi, po których grzbietach na koń się wsiadało. Korona królewska dla takiego władcy była odległą mrzonką, żaden z nich więc nawet o niej nie myślał,

ale księciem zostać we własnym bajorze tak wielkim, że z każdego miejsca widać zarośla graniczne, było marzeniem każdego okonia.

Bajorem dla wojewody Włodzimierza była ziemia krakowska. Dostojnik podlegał Piastom, lecz nikt się nie poznał, że kogokolwiek musi słuchać. Rycerstwo zbierało się na jego skinienie i na takiż sam znak rozpraszało. Skarb przechodził przez jego ręce, uczciwie zasilając dostojnika i seniora – pół na pół. Tylko z duchowieństwem był mały kłopot. Ziemia krakowska i okolice coś dziwnie obrodziły w owych ludzi, którzy łowili szczupaki w sieci odpowiedzialności i wbijali im do głów, że nie samotnie winni płynąć, lecz stadem, a skoro w stadzie, to pod przywództwem dla zachowania jednego imienia dla jezior, stawów i bajor, dla poczucia wspólnej siły i pogromienia wrogów. Bystry wojewoda znalazł sposób i na to: nie wtrącał się do cudzych marzeń, lecz do nich się dostosował, ziemię krakowską nazywając niepodzielną dziedziną Polski, co odpowiadało prawdzie, nikomu bowiem już nie przychodziło do głowy, jakim sposobem coś tak małego jeszcze bardziej podzielić. Łowcy szczupaków dawali mu więc spokój, dzięki czemu wielki pan stworzył sobie najprawdziwszy książęcy dwór.

Jeśli był dwór, to musiały też być zabawy. Nie po to wojewoda żył, aby niczym jego terażniejsi, śląscy, drapieżni na ziemię seniorzy, odmawiać sobie wszystkiego, coby przypadkiem nie zgrzeszyć. Nie po to również żył, aby spalać się w beznadziejnych walkach, jak jego przypuszczalni (boć z Piastami wszystko było możliwe) seniorzy mazowieccy, trwoniący ludzi w wewnętrznych utarczkach korzystnych tylko dla zewnętrznych wrogów, którzy dzięki temu mogli zjadać coraz więcej dziedzin. Wojewoda uznał, że trzeba ludowi i skarłałym Piastom – przede wszystkim Piastom – okazywać wspaniałość. A wspaniałość to stroje, uczyty, turnieje i łowy.

Tym sposobem na książęcym zamku na Wawelu, zasiedlonym przez wojewodę jeno z czystego przyzwyczajenia, zaistniały książęce obyczaje żywcem przeniesione z niemieckich zamków. Włodzimierz łudził się nadzieją, wbrew prostym obliczeniom, że któregoś dnia, jeśli nie on, to jego potomstwo, uzyska jednak godność książęcą – jakby na ziemiach polskich brakowało książąt – obojętnie gdzie, obojętnie kiedy, ważne, żeby się stało.

W zamiarach wojewody niepoślednią misję wypełniała najmłodsza z jego córek, Gertruda. Synów nie miał. Należało z niej zatem zrobić damę, aby ciągnące we wszystkie strony świata poselstwa prawiły o jej urodzie, bogactwie i zdolności do rodzenia zdrowych synów. Oczywiście w zalety Gertrudy nie można było wątpić. Włodzimierz umyślił sobie, że urodzona bez książęcego tytułu córka – oprócz pobożności i klasztornej wychowania, które siłą rzeczy zapewniały coś, czyli cnotliwość, lecz tym mogła się pochwalić każda szara gąska – musi mieć inne przymioty. Córa więc już z dala powinna błyszczeć na tle wszechobecnej szarzyzny. Trudno przecież wysyłać swatów do klasztorów, gdzie z szeregów

takich samych panien mogliby wyłowić którąś z dziesiątek księżniczek piastowskich wyróżniających się tylko i aż przyrodzonym tytułem. Niestety, tam właśnie szeregi nijakich panien stałyby przed córką wojewody jako niżej urodzoną, a tylko szalenciec lub biedak szukałby żony w tylnych rzędach. Takich zięciów pan wojewoda sobie nie życzył, no chyba że z książąt.

Włodzimierz już wypróbował, że łatwiej wydać córkę za męża, gdy panna samodzielnie błyszczy, mówi i roztacza uroki, co jest możliwe tylko na ucztach, turniejach i łowach. Tym właśnie sposobem nader korzystnie wydał niedawno najstarszą z córek za męża na Ruś, gdzie właśnie słuch o niej zaginął za sprawą Tartarów. A tak dobrze szło... Trudno.

Średnią także korzystnie wydał, na Czechy. Co prawda nie za księcia, lecz za hrabię. Dość powiedzieć, że średnia wojewodzianka wykazała się niezłą dzietnością i żywotnością. Teraz jednak ważniejsza była najmłodsza, której urodę zawczasu opiewano, jako przyćmiewającą sławne z tych powodów starsze siostry. Czujących na te sprawy dziedziców, zwłaszcza czeskich i morawskich, napawało nadzieją na zyskanie pożądaney ozdoby własnych dóbr i powtórzenie powodzenia łęgowego tego spośród nich, który pojął starszą siostrę ślicznotki. No, i widoki na udział w dobrach krakowskich, co męskiego dziedzica nie mają, też były zachęcające.

Traf chciał, że w Gertrudzie zamiary wojewody ziściły się wręcz doskonale. Mądra, prózna, sprytna i bezwzględna dziewczeczka mocno dawała się we znaki otoczeniu od najmłodszych lat. Zrazu przekładało się to na wyszarpywanie piastunce włosów, płacze z tupaniem nóżkami, drapaniem sobie twarzyczki. Ten ostatni zwyczaj szybko przeszedł po części, gdy pojęła, że nieskazitelna uroda jest niezmiernie ważna. Niestety, przeszedł tylko po części, bo zaczęła drapać twarze innych. To były zaledwie początki. Potem nie tylko służba, lecz także dwór wojewody znosił z uśmiechem wszelkie zachcianki małej złośnicy – po kryjomu mówiono „diablicy” – i w dodatku z najwyższą cierpliwością. Piastowano ją, noszono na rękach, a ona biła, pluła, znieważała, żądała, dąsała się i robiła paskudne psikusy.

Przyszedł wreszcie czas, gdzieś tak koło dwunastej wiosny wojewodzianki, na nabranie klasztornej ogłady. Gdy tę konieczność wcielono w czyn, na krakowskie Zgromadzenie Norbertanek przyszły sądne dni. Złotowłosa Gertrudka nic a nic nie spieszyła się nowym otoczeniem, po staremu dawała się we znaki następnym towarzyszkom, a niektórymi z mniszek wprost pomiatała. Te spokojne, ciche i przywykłe do posłuchu niewiasty całkiem się pogubiły w niespodziewanie przykrym położeniu. Dziewczynka o twarzy jasnego anioła stanowczo stawiała sprawę swojego pochodzenia i nie trafiały do niej tłumaczenia, bo i trafić nie mogły, że w klasztornych murach urodzenie nic a nic się nie liczy. Nie kryła zamiarów na przyszłość, co wiązało się w sposób nierozzerwalny z objawianym

przez nią oczekiwaniem na zezwalanie już w terażniejszości na wszelkie jej zachcianki. Zakonnicom taka bezczelność nie mieściła się w głowach. Napominały ważną pannę, łąjały, nawet groziły karami niebios, lecz wojewodzianka wprost mówiła, co komu każe uciąć tatuś lub mąż, a przede wszystkim gdzie przestawi łożysko nieustającego strumienia darów, jeśli będzie jej się ograniczało wolność w robieniu tego, co uzna za dobre wyłącznie dla siebie.

Gertrudka pierwsza dokazywała w zabawach i ostatnia je porzucała. Odmawiała wypełniania podstawowych rygorów klasztornych, nie mówiąc już o nauce. To zależało głównie od jej zachcianek. No i niezmiernie łatwo wpadała w złość, a gdy już ktoś ją zezłościł, traciła o nim raz na zawsze dobre mniemanie.

Wobec tego, że dziewoja ustawicznie wchodziła we wrzaskliwe kłótnie i jawne okazywanie lekceważenia otoczeniu, mniszki stanęły przed trudnym zadaniem: jak postępować. Zwyczajnie byłoby tak, że krnąbrne dziewczusko kazałyby wychłostać, a gdyby to nie pomogło, wywlokłyby za klasztorną furtę za włosy i tam pozostawiły. Niestety, w tym wypadku nie mogły tak zrobić. Tatuś czuwał bowiem, aby jego ulubienicy włos z głowy nie spadł. Nie od rzeczy również było, że złośnica mówiła całą prawdę – przykrą, złośliwą, jednak prawdę – a klasztor nie utrzymałby się z własnych dochodów, w znacznej mierze jego byt zależał od łaskawości wojewody, ta zaś zależała od dobrego samopoczucia ostatniej z jego córek.

Koło fortuny zatem się zamknęło, a byt ukształtował świadomość.

Coś jednak należało zrobić, bo rozbrykane dziewczę dawało gorszący przykład innym rówieśniczkom oddanym tu ufnie przez rodziców na dobre wychowanie, zwłaszcza że w niektórych z nich z nagłą wzrosło poczucie ważności i nawet dotychczas trusie stawały okoniem, idąc za przykładem wojewodzianki. Wkrótce cały ład życia zakonnego przemienił się w przedsiemek piekielka.

Dla zachowania uczciwości przyznać należy, że znalazły się mniszki nieulegające żadnym naciskom. One, doznając na sobie całej wredności przyszłej, świetnej pani, odpowiadały zwyczajnie i po ludzku. Właśnie jedna z nich, siostra Ludmiła, przez najważniejszą wychowanicę znieważona przy kilkunastu ludziach brzydkim słowem, które tu paść nie może, dała bezczelnej dziewoi kilka siarczystych klapsów w drobną, jasną i śliczną buzię. Wojewodzianka, ku zdziwieniu otoczenia, ucichła wtedy, uspokoiła się na czas jakiś, tylko jej niezmiernie wielkie, niebieskie oczy pytały, jak to ostatnim tchnieniem pytają niewinni umierający na Rusi: Za co? Co dziwne, oczy te pytały całkowicie niemo i bez łez. Dla siostry Ludmiły odtąd nastąpiły złe dni. Mysz w zupie, cela zaparta kołkiem, przepalenie welonu, ubabranie habitu odchodami, wreszcie upadek z posmarowanych sadłem schodów co skutkowało połamaniem nóg; razem dawało to wiele do myślenia, a co bardziej zabobonnym, że dbająca o godność siostra naraziła się diabłu. Właśnie ten ostatni domysł nie odbiegał od prawdy nawet na

krok.

Trudno było jednak powiązać straszne przypadki siostry Ludmiły z wojewodzianką Gertrudą – wszak stale ktoś trzymał nad nią nadzór. Domyślano się, kto stał za nieszczęściami zakonnicy, bo od wypadku Ludmiły wojewodziance znów wyrosły różki.

Życie klasztorne próżni nie znosi, rozbrykaną wojewodzianką zajmowała się więc siostra Klara – znana z cierpliwości mniszka próbowała działać po dobroci. W istocie inaczej nie umiała żyć, niż co dzień czyniąc dobro lub przynajmniej nie szkodzić, czego oczekiwała od innych i rzadko się zawodziła. Niestety, nie tym razem. Dobre zamiary i czyny mniszki rozhukane dziewczę obracało w niwecz, podburzając do buntu również inne towarzyszki. Po kilku nieodnoszących skutku napomnieniach, gdy klasztorny wirydarz z ziołami ktoś o śladach odpowiadających trzewikom wojewodzianki spustoszył – jak się wyraziła zrozpaczona zielarka – gorzej szarańczy, siostra Klara postanowiła zadziałać wedle tego, co rozum podpowiadał, chociaż serce krwawiło z rozpacz i mówiło stanowcze nie! przeciw osadzeniu podłej smarkuli w ciemnicy na cały tydzień. Oczywiście o chlebie i wodzie.

Nie było to łatwe. Piętnastoletnia panna co dzień (prócz piątku i środy, wtedy zadowalała się rybami) mięso jadła, więc choć mała i szczupła, niespodziewaną siłę miała: cztery mniszki pogryzła i podrapała, nim zdołały ją wepchnąć do pustej i mrocznej celi. Żałosny krzyk i płacz wojewodzianki słyszano daleko poza murami klasztoru, aż ktoś złośliwie rzekł: – Oho! Znów któraś rodzi – w czym niczego prawdziwego nie było, bo ani znów, ani któraś, ani rodzi, co nie przeszkadzało wesołości rozlać się szeroką falą na całą małopolską ziemię.

Tymczasem w klasztorze zamiast ulgi nastał czas niepokoju. Płacz wojewodzianki nie ustawał. Ludzie mówili, że spod drzwi ciemnicy wypłynął strumień łez, wyznaczając wilgotną ścieżkę przez cały podwórzec, aż do klasztornej furty. To nieprawda, nie mogła napłakać ich aż tyle – polepa ciemnicy była bowiem od drzwi niżej o dobry łokieć – chociaż uwięziona bezustannie szlochała i wzywała pomocy. Aż do trzeciego dnia. Wtedy to ucichła i nie zjadła nawet kęsa chleba ani nie wypła nawet łyka wody. W ten właśnie dzień ksieni Adelajda postanowiła postąpić jak Salamon. Nie pachniało to niczym dobrym i niczym dobrym nie było. Uwolniono bowiem Gertrudę od reszty kary.

Na tym jednak się nie skończyło. Chyba za sprawą śmigłych jaskółek, co kształt skrzydeł wzięty od brewek Gertrudki, o sprawie dowiedział się czujny wojewoda. Przyjechał, wysłuchał, zapatrzył się w pełne łez oczy córki – wielkie, niebieskie, naiwne – i jego walecznym sercem targnął silny, ojcowski niepokój. Wyjechał bez słowa pożegnania z ksienią. Córeczka się uspokoiła, nawet wzięła do nauki. Siostrę Klarę przeniesiono do klasztoru w Imbramowicach, w drodze dokąd nieznani sprawcy poturbowali boleśnie ją i kilka towarzyszek.

Odetchnięto z ulgą, gdy po Gertrudę, na miesiąc przed jej szesnastymi urodzinami przypadającymi akurat na idy marcowe, przybyli ludzie wojewody. Wojewodzianka odjechała z nimi, jak przypuszczała, raz na zawsze. Na taką intencję zaniósł modły mniszki i ich ksieni.

Gertruda z rozkoszą rzuciła się w inny świat. W krótkim czasie zasmakowała w strojach, pieśniach i innych rozrywkach. Ciągłe coś się działo, wszędzie było jej pełno. Umiała jednak być dostojna. Zawsze pokazywała się – i dokazywała – z towarzyszkami radymi jej słuchać we wszystkim. Dwóch ojców co prawda zabrało córki z dworu wojewody, lecz tego ubytku nikt nie zauważył. Czuwaniem nad czeredą rozbrykanych damek obarczono całkiem jeszcze niestarą ciotkę, która strzegła – jak umiała – dobrej sławy pannicy. Miała jednak dość ubogi sposób pilnowania Gertrudki: usiłowała za nią nadążyć, pobłażała i przestrzegała przed wystawianiem w przeciągach, z wielu względów, w tym z najważniejszego – bo to bardzo jest niewskazane dla panienki z dobrego rodu.

Rychło znaleźli się tacy, którzy umieli wyciągnąć korzyść ze słabości wojewody Włodzimierza: nagradzał więc rybaków za pieśni o urodzie i cnotach córki, łaskawym okiem patrzył na rycerzy i giermków ogłaszających ją swoją panią – podobnie czynili rycerze niemieccy i czescy wobec wybranek. Dla wielu było to wszakże śmiesznym, nawet wstydliwym sposobem stawania w konkury.

Ustawicznie przez Kraków przejeżdżali ważni, światowi ludzie, ktoś więc musiał na nich wywierać wrażenie. Przecież nie zatroskani światem mnisi już za życia wprost nieznośnie poważni i święci, choćby nie przymierzając Jacek Odrowąż w każdym kącie szukający nieszczęścia i szatańskich wpływów.

Poselstwa jeździły, nawet w całkiem dużych orszakach, mimo to wojewoda nie miał powodów do zadowolenia. Nikt bowiem nie pytał o rękę Gertrudy. Trzy razy przejechali węgierscy rycerze dążący do – jak uprzejmie mawiał – tego dziecięcia Bolesława z Sandomierza, i – jak to mawiał mniej uprzejmie i ciszej – do tego głupka Konrada Mazowieckiego. Tylekroć posłowie onych – dziecięcia i głupka – udawali się na Węgry. Z Rusi także przyjeżdżali ludzie, w drodze na Śląsk, choć ze Śląska na Ruś już nie, bo się wybierali niczym sójka za morze – gdy wreszcie wsiedli na koń, nie mieli już do kogo i po co jechać. Nawet więc nie dojechali do Krakowa. No, przecież inni przejeżdżali i, owszem, zatrzymywali się, stroili piórka, podziwiali, lecz o rękę ślicznej wojewodzianki żaden nie zapytał.

Jakoś nie trafiało do wojewody Władysława, że w niespokojnych czasach żaden z gości, swoich czy obcych, nie miał głowy do tych spraw i odkładał je na później, bo trzeba było pilnie wykonać trudne zadania: pozyskać wieści, nawiązać sojusze, pogodzić powaśnionych, ułagodzić obrażonych, wymienić przysięgi. Nawet gdy dostojni panowie już wykonali te zadania i owo wytęsknione „później” powinno nadejść w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, nie nadchodziło. Skutecznie płoszyły je zwłaszcza wieści o tym, co będzie za chwilę, za miesiąc,

a najdalej za pół roku. Wieści nie ochotą na wesela napełniały co możniejszych i mądrzejszych tego świata, lecz przecuciem własnych pogrzebów.

Okazało się, że Ruś, ta silna Ruś, zdawałoby się – odwieczna, padła już kiedyś od jednego uderzenia Tartarów, jakby na próbę, teraz padła na dobre. Węgrzy przyjęli uciekinierów – całe kłopotliwe, wielotysięczne plemię Połowców, ale Tartarowie zażądali ich zwrotu. Król Bela – wbrew woli swoich baronów – odmówił. Zwracał się do każdego z bliższych i dalszych sąsiadów o pomoc, na wiosnę spodziewał się bowiem napadu strasznych hord ze wschodu. Niepokój był powszechny, siła Tartarów i ich szczęście wojenne wprost piekielne. Wiele na to wskazywało, że coś nie tak dzieje się z tym światem. Co gorsza, wieści dochodzące z Italii świadczyły o nieprawdopodobnej sile zła. Właśnie tam działo się najgorzej, jakby na urągawisko chrześcijaństwu: nie gdzie indziej, lecz u wrót grobu Świętego Piotra. Cesarz Fryderyk, drwiący z wszelkich praw boskich i ludzkich, po wielokroć wyklęty przez papieży, wcielony diabeł, co rodzonego syna przywiódł do zguby, trzymał papieża w śmiertelnym uścisku obłączenia; trwało ono już tak długo, że wiele niewiast w tym czasie poczęło i porodziło dzieci. Diabeł w cesarskiej postaci, choć niejednokrotnie słyszał o zagrożeniu ze wschodu, dalej robił swoje, jakby kilka niewielkich posiadłości papieskich wartych było zguby całego świata i ani myślał iść z pomocą chrześcijańskim królom i książętom, tylko – jak to prawdziwy antychryst – umyślił zburzyć Rzym.

Mając takie znaki ze wschodu i z zachodu, musiałyby być ślepym i głuchym ten, który nie pojąłby, że idzie koniec świata. Dlatego nikt rozsądny nie chciał się żenić tylko po to, żeby jego wybranka została za chwilę wdową albo nawet nikim. Właśnie tego zdawał się nie rozumieć krakowski wojewoda Włodzimierz. Przywykły do ciągłych zmian władzy i panów zabiegających o jego względy, wszelkie wieści o zamętach zewnętrznych postrzegał tylko jako potwierdzenie własnego przekonania, że gdzie indziej jest jeszcze gorzej. Wprawdzie ciągle żył w zagrożeniu, ale zdążył do niego przywyknąć, sypiał przeto naprawdę dobrze, a nawet smacznie. Gertrudę wydać za mąż jednak było trzeba, a czekając spokojniejszych czasów, życia mogłoby nie starczyć. Włodzimierz wierzył bowiem w to, co pewien trefniś bezkarnie rzucił w przytomności wojewody o córce któregoś z krakowskich mieszczan: – Córka jest niczym gruszka ulęgałka: szybko dojrzewa i łatwo się psuje. Dlatego gdy się trafi jaki kupiec, nie wolno się targować, tylko sprzedawać i już.

Wówczas stłumione chichoty dworaków wiele dały wojewodzie do myślenia, oj wiele, a ów żartobliwy człek musiał gdzie indziej poszukać sobie utrzymania.

Nasłuchawszy się opowieści o dalekich krajach, o najwaleczniejszych rycerzach i ich wyczynach, tudzież o zabawach najszlachetniejszych panów, wojewoda umyślił, że czymś wyróżni się jeszcze raz i urządzi coś, czego nie było

na tej ziemi.

Turniej rycerski?

Ręka i wiano jego córki staną się sławnymi. Należało tylko znaleźć powód do turnieju. Są przecież Święci Pańscy, którzy takimi się stali nie dla samych umartwień i biernego poddawania mękom, lecz dla czynów walecznych. Wyboru wielkiego nie było: Michał, Jerzy, Maurycy i Marcin. Najbardziej pasowałyby Florian, bo miejscowy, ale jego majowe święto dawno minęło, do wiosny zaś czekać nie było w usposobieniu wojewody. Trzeba by wybrać innego patrona, skoro nadeszła ta nijaka jesień i nawet na Maurycego przeszedł czas.

Wybór padł na Marcina, co ogłoszono w całej ziemi krakowskiej, sandomierskiej i na Śląsku. Kupcy zatarli ręce, a rycerstwo zyskało sposobność do spotkania znajomych i nieznajomych.

Nieco wcześniej, tuż przed ogłoszeniem wieści o wielkiej zabawie na wawelskim zamku, wyruszyło ze Śląska ni to poselstwo, ni goście, czyli młody, a już łysy książę Bolesław dla odróżnienia od wielu innych łysych czy kędzierzawych Bolesławów z rodu Piastów zwany Rogatką. Niektórzy nazywali go „cudacznym”, choć jeszcze nie ze wszystkim zdążył się objawić światu. Nosił przydomek kojarzony z wesołą, acz bodliwą kózką – tak trochę dla śmiechu, bo śmiać się lubił, psikusy czynić także, czasem bolesne, w dodatku w chwilach najmniej ku temu sposobnych. Przewisko przyjęło się w sposób niemożliwy do odwrócenia, bo – podobnie w osobowości jego nosiciela – tkwiło w nim coś szczątkowego, niepełnego, coś niepoważnego. Pasowało jak ulał do człeka, co nigdy jeszcze nie dokończył żadnego z zamierzeń.

Podróż do ziemi krakowskiej nie jego była pomysłem, lecz kogoś, kto wszelkie zamierzenia zawsze doprowadzał do końca. Ojciec Rogatki, książę Henryk II Pobożny, umyślił bowiem, że nie całkiem zrównoważonego syna owa wyprawa wykształci, natchnie myślami o jedności ziem, sile dziejów ojczystych, o chwale imienników – Bolesławów. Nie bez kozery takie, nie inne imię dostał, właśnie po to, żeby co dzień je słysząc, przypominał sobie o trzech sławnych, wielkich i walecznych Bolesławach: Chrobrym, Śmiałym i Krzywoustym. Niestety, tylko ojcowska nadzieja i matczyna bezwarunkowa miłość wciąż łudziły rodzicieli, że nie dali pierworodnemu brzemiennego w czyny imienia nazbyt pochopnie.

Z podróżą Bolesława książę Henryk wiązał nadzieję nie tylko na doprowadzenie do dojrzałości syna. Liczył także na uczynienie podległości wojewody krakowskiego Włodzimierza bardziej trwałą, bo na razie stosunki między nimi wydawały się całkiem luźne, co źle wróżyło na przyszłość.

W dziejach Bolesławów, czyli w dziejach Polski, Kraków niepoślednie miejsce zajmował. Nadal tak było: kto miał Kraków, ten mógł się czuć nad innych książąt wywyższony. Również to miał lekkomyślny syn Henryka nie dość że zrozumieć, to jeszcze zobaczyć i poczuć. Tłumaczył Henryk Bolesławowi

pięknymi, uczonymi słowy, a klęczeli wtedy w kościele franciszkanów we Wrocławiu zupełnie sami.

– Widzisz, synu, że te żebra na sklepieniu zbiegają się w jednym miejscu. Tak pragnienia potomków wielkiego Bolesława zbiegają się w Krakowie. Kraków jest zwornikiem naszych pragnień. Sprawia, że całość się nie rozsypuje i nie zawala. Jeśliby wyrwać z tych ziem Kraków, wszystko się zawali, a nasze ziemie na trwałe rozdrapią obcy.

Ładnie mówił pobożny książę, nieprawdaż?

Jego syn nie był pobożny, to znaczy – całkiem był niepobożny. Klęczał tylko tak, dla niepoznaki. Prawdę mówiąc, nic a nic nie słuchał ojca, chociaż przytakiwał. Niecierpliwił się, ile jeszcze będzie musiał klęczeć. Tyle go przecież czekało: łowy, uczta i figle z białogłowami dość lekko pochodzącymi do obyczajności. A u ojca ciągle tylko wielka powaga i nieznośnie ciężkie gadanie: o kraju, Krakowie, o dziadku Henryku, Konradzie Mazowieckim i o Gnieźnie. Gniezno, Kraków, biskupi, biskupi, Kraków, Gniezno i inne klechy. Tak w kółko, aż do wymiocin! Do tego jeszcze prawie nic do zjedzenia, ciągle modlenie... Z matką także nie lepiej. Jedyne, co dobre, to to, że babka zamknięta w Trzebnicy i nie trzeba jej więcej oglądać. Całe szczęście, bo udusiłby staruchę własnymi rękami – aż gniewem zapłonął, wspomniawszy nieodległe dzieciństwo ze ślęczeniem na modłach wśród śmierdzących kalek albo zarządzone przez babkę kąpiele dla zdrowotności w pomyjach po zakonnicach.

Henryk dalej mówił o godnym, acz uważnym zachowaniu względem wojewody Włodzimierza, o godności książęcej, cierpliwym czekaniu na sposobność zaokrąglenia dziedzin. I tak truł, truł, nie wiadomo po co, aż Bolesław, choć bez głębokiego zastanowienia, raz pomyślał rozsądnie w danej chwili: Czego tu tyle głądzić? Łeb ściąć wojewodzie i będzie po krzyku.

Kolana już mocno bolały młodego, acz otyłego Rogatkę, a ojciec nie ustawał w naukach, przeczuwając, że niezbyt celnie trafiają one między uszy Bolesława. Były jak brzęczenie muchy.

– Dostaniesz orszak rycerski. Dbaj o ludzi, nie dopuszczaj do zwady. Po przyjacielsku traktuj nawet obcych, swoim zaś zabroń unoszenia się ważnością. Tak oni, jak i my, jednością mamy być. Nie uchybiaj nikomu. No i nadstaw ucha, wypytuj ludzi, co tam na Rusi. Wprost nie do wiary jest to, co donoszą. Dowiedz się, o co chodzi.

Wreszcie się skończyło. Bolesław wyszeptał ostatkiem cierpliwości: – Tak uczynię, ojcze – po czym przeżegnał się szybko aż powietrze zafurkotało, wstał ze stęknieniem, zeszywniałe kolana strzeliły, jakby podwójnie z bicza trzasnął, uklonił się jeszcze i wyszedł, sycząc z bólu i kulejąc na obie nogi.

Henryk popatrzył za nim z gasnącą nadzieją.

Tak, wiele uwagi, nauk i oczekiwań ulokował książę Henryk w Bolesławie,

licząc na to, że pierworodność coś oznacza, że jest w tym znak boży; miał również innych potomków: drugiego syna, Mieszka, ale ten był jeszcze dzieckiem, choć wiek dwunastu lat osiągnął – śmiały z niego chłopak, żądny władzy tak natarczywie, aż śmiesznie. Następni dwaj synowie zupełnie dzieciuchy: Henryk i Władysław. To więc sprawiało, że nadzieje, przy tym zgodne ze zwyczajem – czym Henryk się usprawiedliwiał – pokładał w pierworodnym. Na marne, co było widać gołym okiem, lecz Henryk jeszcze się łudził, wybryki syna kładąc na karb młodości.

Chwilami niezmiernie poważny ksiązę bliski był wysłania syna daleko, jak najdalej, choćby do Ziemi Świętej, aby nie wracał już nigdy do polskich dziedzin. Niech ten lekkomyślny, skrajny w nastrojach kłopot wezmą na siebie poganie. Jeśliby powrócił – a mało kto wracał – tylko dowiedzie dojrzałości. Pomysł był niezły, lecz musiała na to się zgodzić matka Bolesława, księżna Anna, co na swoje dzieci – jak było, jest i będzie – patrzyła oczami matki, miała przy tym do siebie żal, bo nie dla wszystkich potrafiła w ich dzieciństwie być matką mądrą i dobrą, a brało się to z tego, że ulegała względem teściowej. Dopiero później całą sobą dała opór, gdy nie tyle surowa, co wręcz niszcząca pobożność rodem z żywotów najbardziej ascetycznych świętych wzięła górę w wychowaniu jej dzieci – nadmierna srogość dla małych ciałek, upokarzanie odwrotny skutek odnosiło w wychowaniu, czyniąc z dzieci istoty nadmiernie bezczelne bądź nadto lękliwe. Próba nadrobienia straconego czasu zmieniła się jednak w pobłażanie, pobłażanie zaś przeszło w wiarę, że okazując dzieciom samą dobroć, nauczy się je tej dobroci. Każdy się stara, jak może na miejscu przez Pana Boga wyznaczonym, a jeśli się nie stara, wystarczy łagodnie przypomnieć o obowiązkach.

Może właśnie dlatego, a nie z sobie tylko znanych powodów, księżna Anna tłumaczyła, że Pan Bóg daje wyraźny znak w imionach i wydarzeniach. Dopasowała do tego nawet dzieje kraju. Przeto w jej pojęciu mąż Henryk był niczym Mieszko I, który odzyskał Śląsk i Małą Polskę, ona zaś, Czeszka, Dobrawą. W tym duchu patrzyła także na syna – syn Mieszka i Dobrawy, Bolesław, nigdy wszak nie był uległy i pokorny, buntował się nawet przeciw ojcu, lecz potem rozszerzył dziedziny kraju, a jakimże wspaniałym go zrobił. Pierwszy na tej ziemi zyskał królewską koronę! Pięknie do tego pasowała na razie odpowiadająca prawdzie myśl Anny, że ich Bolesław jest najzdolniejszy z całego potomstwa i najdzielniejszy, pozostali byli bowiem dziećmi. Księżna szła dalej w myśleniu życzeniowym, bo tylko oczyma matki mogła zobaczyć to, o czym była święcie przez samą siebie przekonana, że równych synowi nie ma ani na Mazowszu, ani w Wielkiej Polsce. To znak nadchodzących czasów wielkości kraju: Polskę Bolesławów, więc i koronę, może wskrzesić tylko Bolesław!

Henryk patrzył na głównego dziedzica bardziej trzeźwo, bo oczami ojca i władcy. Skrajna beztroska młodzieńca i wyraźny brak litości napawały

niepokojem książęcą pobożną duszę. Zebrawszy się na odwagę, powiedział raz żonie: – Ale Chrobry wygnał swoich braci, a innych krewnych oślepił.

– Obyś w złą godzinę tego nie powiedział – księżna Anna odparła na to zapobiegawczo. – Jak tak możesz myśleć o swoim dziecku?

Wtedy pobożny Henryk spuścił oczy i nic już więcej nie powiedział, żeby nie robić przykrości żonie. Pomyślał coś jeszcze, chociaż już dowiedział się od Anny, że nie powinien.

Wysyłając Bolesława do Małej Polski, Henryk chciał dobrze. Niestety, nie posłał z nim nikogo odpowiedzialnego, któremu młody książę winien byłby posłuch.

SPOJRZENIE

Bo wszyscy wiecie dobrzy ludzie

Że tym co widzą się w zwierciadle

Własna uroda zda się światem

A wszyscy inni – ledwie martwym padłem.

Worszaku księcia Bolesława Rogatki znalazł się giermek o imieniu Wojda, syn rycerza Dobrosza, ze wsi nieopodal Odry, zwanej Zalesie. W lesie obok owego Zalesia mieszkała dziewczura. Na razie jesteśmy daleko od tego lasu, bo już w Krakowie, na Wawelu, gdzie skromny orszak Bolesława ze Śląska obwąchiwał się z okazałym dworem wojewody Włodzimierza. Trwały uczty, zapowiadały się turnieje. Bolesław oddał się zabawom, łowom i adorowaniu nadobnych dam, daleki od napomnień ojca, troskliwości matki i poniżeń babki. Nareszcie czuł, że żyje. I nie mógł wyjść z podziwu, że taki wojewoda ma wspanialszy dwór niż jego ojciec. Musi sobie kiedyś urządzić podobny. Koniecznie!

Powitalna uczta wypadła okazale, ale szczególnie urok miała ta, co się odbyła kilka dni później. Nawet nie sama uczta, lecz to, co działo się potem. Nie goście tedy mieli błyszczeć ani gospodarz, jeno umiłowany klejnocik gospodarza – córka. Aby tak było, musiała zajmować poczesne miejsce, chociaż jak na swój wiek i stan zajmowała miejsce wysokie – na krześle z oparciem. Za nią, niczym starodawny, zwarty szyk pieszych wojów zwany ścianą, dwórki i ciotka. Ciotka, rozumiecie,

niecو w cieniu, żeby – przywiędła – nie zakłócała kwitnącej urody dziewcząt.

Zacni goście usiedli wokół, za nimi ich orszaki. Był czeski hrabia, kilku ważnych rycerzy z Austrii, ze dwóch węgierskich panów, ktoś z Sandomierza. Z miejscowych brat wojewody Sulisław, kasztelan krakowski Klemens z Brzeźna i możny pan Klemens z Ruszczy, co już wiedział, że powinien być kasztelanem. Biskup krakowski Wisław z Kościelca przybył otoczony członkami kapituły, co raczej nie z powołania nosili suknie duchownych. No i oczywiście, chciałoby się rzec, najdostojniejszy, ale lepiej powiedzieć najważniejszy z gości, Bolesław Rogatka.

Początkowo trochę się nie kleiło – wojewoda nie wiedział, czym zagaić rozmowę, dostojni goście także nie wiedzieli, w jaki sposób mają się zachować, usadzono ich bowiem jak do rady. Tylko nad czym? Któryś z rycerzy może by i się odezwał, ale nie wypadało mówić przed starszymi. Kłopotliwą ciszę przerwał książęcy gość ze Śląska; powiercił się chwilę, rozejrzał, bezczelnie pogapił na śliczne dziewczęta, po czym palnął znienacka i wprost: – To o czym będziemy tu radzić, panie wojewodo?

Po sali zamruczało oburzenie i przebiegł szmer chichotów. Twarz gospodarza przybrała barwę głębokiej purpury, mało nie trysnęła krwią. Nie ulżył jednak sobie, nic nie powiedział, za to znienawdził tego głupiego, łysego młokosa.

Nastała cisza, że słyhać byłoby lejącą muchę, ale żadna nie latała, bo trochę za zimno było.

Po chwili wojewoda się opanował, odchrząknął i szczerząc zęby w wysilonym uśmiechu, odpowiedział: – Dostojny panie, nie zgromadziliśmy się tu do rady. Na to, tuszę, przyjdzie jeszcze czas. Teraz chciałbym, żebyśmy się zabawili, jak przystoi ludziom szlchetnym... – tu wątek mu się urwał, lecz któryś ze stojących za nim rycerzy czuwał; nachylił się do ucha Włodzimierza, coś szepnął, wtedy ten nieco rozdziawił szczerbatą paszczę, potaknął kilka razy i mówił dalej: – ...dostojni goście! Było zwyczajem już na dworze cesarza Karola Wielkiego, żeby rycerze i damy wymieniali się dowcipem, pieśnią i rozmową. Człowiek szlchetny nie tylko bowiem umie trzymać miecz, nie jest tylko wojownikiem. Jego przyrodzona szlchetność to również duma, a i wysławić się też powinien umieć lepiej niż ludzie prości. Rozrywki powinny być szlchetniejszego gatunku, bo przecież... – znów się zaciął i podpowiadacz znów szybciotko szepnął: – Nawet zwierzęta..., a bystry wojewoda pochwycił to z nieco nadmiernym naciskiem: – ...nawet zwierzęta do siebie chcą gadać. Jelenie ryczą, konie rżą, psy szczekają i wyją... – teraz pojawiła się w głosie wojewody niepewność, bo zamiast lekko, mówił o mowie zwierząt z nadmiernym przekonaniem. Widział okrągłe ze zdziwienia i wąskie z rozbawienia oczy biesiadników, gdy zatem dalej ciągnął, z przerażeniem pojmował, że właśnie jego mogą dotyczyć następne słowa: – ...a im coś niższe, tym gorzej mu mowa

wychodzi. Dziś więc, jako najszlachetniejsi z ludzi, możemy zabawić się naszą wymową – wyszczerzył się całkiem wymuszenie i zimny pot oblał mu czoło.

Niezbyt to okazałe wypadło, zwłaszcza że ten, co namawiał do wymowy, nijak nią nie błyszczał i jedynie przez grzeczność nikt w komnacie się nie roześmiał.

Do trudnej próby zachowywania powagi przyszło jednak dopiero wtedy, gdy Bolesław w wielkim zadowoleniu z siebie odezwał się takimi oto słowy: – Ja zawsze umiałem dobrze gadać. Nie chwaląc się, od najmłodszych lat wielbiono mnie za dar wymowy. Nie ma takiej sprawy, żebym coś o tym nie mógł powiedzieć. Dlatego czekam z niecierpliwością, co teraz będzie? – mówiąc to, niechący robił bardzo groźne miny, co przyrodzonych śmieszków doprowadziło omal na skraj uduszenia z niemożności roześmiania.

Dwórki Gertrudy pochyliły się do siebie w tłumionych uśmieszkach. Ona sama również się uśmiechnęła, opromieniając komnatę blaskiem białych ząbków – uśmiech ten miał przekonać księcia, że wojewodzianka wdzięcznie przyjęła oświadczenie Rogatki.

Wojewoda, ponownie wytrącony z równowagi, ledwie do niej powrócił nadludzkim wysiłkiem, i takimi słowy zagaił: – Człowiek szlachetny powinien używać mowy prawdziwie wytwornej. Z tym trzeba się urodzić. Oczywiście żaden kміeć, choćby nie wiem, jak się starał, nie dorówna w wymowie człowiekowi szlachetnie urodzonemu. Wprawdzie nuca piosnki, opowiadają o duchach, diablkach, zmorach, straszą się nimi, ale naiwnie jak dzieci! My, doskonalsi w naszym urodzeniu, mamy lepszą wymowę, nasze opowieści są ważniejsze, przedniejsze. Przeto o czym... – tu kolejny raz się zaciął, a podpowiadacz zaraz szepnął, aż było słychać na końcu komnaty: – Dostojni panowie... – ...dostojni panowie... – powtórzył i ponownie zamilkł, lecz odsiecz błyskawicznie nadeszła: – Będziemy dziś prawić... – ...będziemy dziś prawić? – Wreszcie zakończył z wyraźnym zdziwieniem wojewoda, zawieszając zdumione pytanie bardzo wysoko, bo gdzieś pod powałą. Znów pot mu wystąpił na czoło.

Otoczenie zamarło w oczekiwaniu na ciąg dalszy przemówienia. Zamiast ciągu dalszego podpowiadacz popatrzył na ludzi z nie mniejszym strachem niż jego pan. Oczy gości były zwrócone w stronę tych dwóch, a oni dwaj, zauważywszy to, nie śmieli drgnąć.

– No właśnie, o czym? – zapytał Bolesław, niechący rozładowując napięcie, po czym klasnął w kolano z niecierpliwością.

Zebrani spojrzeli na księcia, z czego skorzystał podpowiadacz i wlał wojewodzie w jedno ucho kilka zdań tak mocno, że niektóre z nich wypłynęły drugim. Włodzimierz westchnął głośno z ulgą i rzekł: – Przecież nie o tym, co prosty lud. Powinniśmy prawić o tym, co najlepsze. O wielkich czynach królów, książąt i rycerzy, o szlachetnych zwierzętach, o najpiękniejszych, cnotliwych

damach... – spojrzał na podpowiadacza, ten przytaknął trzykrotnym zamknięciem oczu. I tymi słowy wojewoda zakończył chytrze, przez to z nieskrywaną radością: – ...tu wybór chciałbym dać naszemu dostojnemu gościowi.

Biskup Wisław z Kościelca siedzący po lewicy wojewody, zawsze ufny w dobroć ludzi, życzliwy każdemu otoczeniu, nie narzucał się nigdy z nadmierną surowością. Chętnie posłuchałby o tych samych sprawach, co inni, miał przecież poczucie obowiązku, powiedział więc z wyraźnym uśmiechem i wytwornie: – Nim jednak to się stanie, chciałbym dopełnić nasze zestawienie. Nie sposób bowiem pominąć przy takiej sposobności czynów świętych mężów i niewiast. Zaiste zasługują, żeby ludzie szlachetni podziwiali ich siłę ducha, wierność wierze chrześcijańskiej, poświęcenie życia w dobrej sprawie... – przerwał, a widząc, że piorunujące wrażenie wywarł na zebranych, którym uśmiechy spelzły z ust, dodał przytomnie: – ...oczywiście jeżeli wszyscy na to się zgodzą. – I zamilkł bez uśmiechu. I zgasł.

Wojewoda poczuł, że rośnie mu w gardle kula nie pozwalająca przełknąć śliny; wszelkie jego zamiary właśnie obracały się w niwecz za sprawą duchownego, co ozwał się nie w porę. Na szczęście miał niezawodnego, choć nieprzewidywalnego gościa ze Śląska. Gdyby Bolesław był u siebie, pod okiem ojca, matki i co gorsza – choć mało prawdopodobne – babki, byłby zachował zewnętrzny spokój. Tu nie zdzierzył. Miał bowiem serdecznie dość ustawicznej pobożności, ciągłych umartwień, pouczeń, napomnień i przykładów z życia świętych nudziarzy. W najbliższej rodzinie kilka razy na dzień i niekiedy nawet nocą miał do czynienia z czystą świętością przyprawiającą o mdłości, a gdy już się cieszył, że wreszcie urwał się od tego ustawicznego umartwienia umysłu, że wreszcie poczuje, jak to jest żyć bez grozy modlitw, ktoś znów psuł dobrze zapowiadającą się zabawę. Wrzasnął przeto bez opamiętania: – O świętych?! Nawet dziś?!

Z biskupa zrobiła się woskowa plama. Żałował właśnie, że się urodził. Za nim stało kilku kanoników – za dnia niejeden z nich drzemając rozmodlony, bezsenne noce nie na modłach spędzał. Owi księża, co mieli poczucie obowiązku i chociaż woleliby wziąć udział w zabawie, zamruczeli gniewnie w obronie biskupa Wisława. W innych grupkach też powstał szum. Tylko niepolscy goście siedzieli cicho, za to z rosnącym zaciekawieniem przyglądali się rozwojowi wypadków, przenosząc wzrok z jednej gadającej gęby na drugą. Gertrudka nie wiedziała, czy się uśmiechać, czy smuć; usteczka wycięte w czerwone serduszko trwały w uśmiechu, szeroko otwarte, niebieskie oczy wpatrzone w bezradną twarz ojca błyszczały, na dolnych powiekach obrąbionych czarną rzęsą drgały zaś coraz większe iskry przyszłych łez.

Zdawało się już, że zabawa skończyła się, nim zaczęła, lecz wówczas sytuację uratował przytomnie Klemens z Ruszczy. Kłaniając się w trzy strony

świata powiedział: – Dostojny książę. Eminencjo. Panie wojewodo. Szlachetni panowie... – na tym urwał.

Wrzawa przycichła.

Gertruda wpadła w złość: A szlachetne panie to co? Nie ma ich?, wojewodzianka nie uśmiechała się już, a przysze łzy z rozpaczliwych stały się gniewnymi, bo jaskółcze brewki ściągnęły się na kształt skrzydeł kobuza.

– ...pozwólcie coś powiedzieć – Klemens z Ruszczy podjął zaczęty przez siebie wątek, na co wojewoda Włodzimierz odzyskał głos, chrypiąc coś na kształt „mów, panie” i zachęcająco a wymownie dał znak ręką. Niedoszły kasztelan powiedział więc tak: – Wszystko da się ze sobą pogodzić. Za kilkanaście dni jest adwent. Dlaczego od tamtych dni nie mamy się spotykać w takim gronie i nie mówić co wieczór o czynach świętych? W każde postne dni możemy wspominać męczenników. Teraz zaś, póki adwent w przyszłości, dziś mamy wtorek, pomówmy o czymś, co wzbudzi w nas pobożność, ale także rycerskiego ducha.

Po komnacie przeszedł szum uznania. Nawet orszak biskupi zmienił ton. Biskup co prawda miał jeszcze wątpliwości, skorzystał więc z okazji, żeby powiedzieć: – Niczego złego w tym nie widzę. To przednia rada, zaiste.

– Właśnie, niech tak będzie – roześmiał się gość ze Śląska. – W piątek chętnie włączę się do dysputy o świętych, bo wiele mam do powiedzenia. – Rozejrzał się po komnacie z chytrym, wieloznacznym uśmiechem.

Wojewoda, któremu podpowiadacz coś znów napluł do ucha, powiedział już bardziej swoim głosem: – Dostaliśmy właśnie przykład. Oto człek szlachetny potrafi darem wymowy poskromić nadciągającą burzę. Pan Klemens z Ruszczy zaczął zabawę w najlepszy z możliwych sposobów i aby stało się zadość naszym zamiarom, ustalmy, że będzie to turniej wymowy. Zwycięzca dostanie szarfę z rąk najpiękniejszej damy... – Tu aż niecierpliwie warknął w bok, jednocześnie szczerząc się w uśmiechu do gości, bo wiedział, co ma mówić, a przejęty podpowiadacz tylko mu myśl zakłócił. – ...jeśli nagroda ma być z rąk najpiękniejszej, niechże będzie to turniej w pochwałach urody niewieściej. – Gospodarz spojrzał tryumfalnie po zebranych.

Biskup przeżegnał się ze zgrozy, ale nie było już czasu ani możliwości przeszkodzić. Na kłaśnięcie wojewody wyszedł na środek komnaty rybałt, skłonił się nisko dostojnikom, przed Gertrudą padł na kolano, zamasyście ujął rąbek jej sukni i ucałował. W ciszy rozległo się całkiem domyślne „aha!” gościa ze Śląska, co wywołało tu i ówdzie chichoty.

Włodzimierz pociemniał ze złości, ale niczego nie zrobił.

Rybałt zagaił: – Dostojni panowie i panie, jestem tu tylko tym, co przy turnieju zbrojnym gra fanfarę na trąbce. Nie stanę z wami w zawody. Zacznę tylko wiersz niczym pieśń, zawtóruję lutnią, wy będziecie mówić dalej. Kto lepiej się wypowie, ten wygra. Sędzią niechaj stanie się oto ta piękna dama. – Wskazał

Gertrudę z doziemnym ukłonem, aż czub jego czapki zamiótł ziemię.

Wojewoda wreszcie rozpromieniał, wojewodzianka stała podobna do lilii niewinnej.

– Czy możemy zaczynać? – zapytał rybałt.

– Tak – odpowiedział wojewoda krakowski, a księżę Bolesław pacnął dłonią w kolano z uciechy i aż zadreptał niecierpliwie w miejscu.

– Tedy, pani, daj znak tu zebrany, że turniej rozpoczęty – poprosił rybałt.

Uradowana wojewodzianka uniosła w dłoni chustkę i ją puściła. Ta, zamiast płynąć w powietrzu niczym łabędzie piórko, mając oczy widzów i podnosząc napięcie, ledwie została puszczone, a już dotknęła posadzki.

Rybałt szarpnął strunami lutni i zaraz znać było, że zna się na rzeczy. Kilku ludzi się rozmarzyło, bo pięknie i tęsknie, a słodko grał. Jeszcze piękniej powiedział:

Dostojni panowie i dostojne panie

Powiem wam dziś prawdę i nic nie skłamię

Że uroda choć z czasem ulatuje od nas

Daje nam w młodości piękno duszy poznać.

Tu kanonik Prandota z orszaku biskupa się zachnął, za nim biskupie tło zamruczało w udawanym gniewie, zaraz jednak wojewoda Władysław spojrział w lewo, tylko raz, i ucichło.

Piękno przyrodzone damom cni rycerze...

Rybałt przerwał i poprosił, aby ktoś, kto ma odwagę, dokończył to zdanie czterowierszem. Nastąpiła cisza przerywana szeptem tłumaczy wykładających coś zagranicznym gościom, aż odezwał się rycerz Jarda z Czech: – Ja dokończę, bo takie zabawy już widziałem. Tylko powiedz jeszcze raz, co miałeś do powiedzenia.

Rybałt zagrał cichutko i powtórzył śpiewnie:

Piękno przyrodzone damom cni rycerze...

Rycerz Jarda, patrząc w stronę Gertrudy – ta nie uchybiła jego wzroku – na

to odparł:

Stąd na tym świecie brzydkim się bierze

By nie brakło nam tego czemu mamy służyć...

Wyrecytował dwa wersy i zamilkł, rozejrzał się z tak niewinnym uśmiechem, że każdy by mu wybaczył brak słów. Każdy, tylko nie Bolesław, co wiele przyśpiewek lubił i znał, wszystkie jednak karczemne, sam więc zgrabnie zakończył to, co mówił Jarda:

By w gładkich się durzyć a brzydkie wykurzyć.

Gruchnął śmiech, wszak nie o to chodziło. Po uciszeniu zebranych Jarda dodał, znów patrząc na najważniejszą z dam:

Byśmy umieli kąkol odróżnić od róży.

– O! – po komnacie przeszedł szum podziwu i rozległy się oklaski.

Gertruda skromnie spuściła oczy i usiłowała się zaczerwienić. Wojewoda promieniał.

– Zwycięzcą w pierwszym starciu zostaje rycerz Jarda – ogłosił rybałt. – Ale, zacni panowie, nie załamujcie się. To nie koniec. Dokończcie tę myśl:

Jak wysławić urodę powiedzcie panowie...

I znów zawtórował sobie na lutni, zawieszając ostatni dźwięk w powietrzu.

I znów Bolesław był niezawodny:

Najpierw musisz pomacać. No bo skąd się dowiesz?

Gromki śmiech huczał długo, a gdy ustał, znów wystąpił z miejsca rycerz Jarda. Wojewoda już zasięgał o nim wieści, kto zacz, czy majętny i czy stanu wolnego, znaczy, czy nie żonaty, bo z tym różnie bywało. Tymczasem gość z Czech rzekł:

Jak wysławić tego ja wam nie powiem

Przecież gdy zobaczymy niewiastę przecudną

Ogłosimy że urodą jest aniołom równą.

Wszyscy klaskali, cieszyli się, a Jarda patrzył na Gertrudę. We wrzawie, jaka się podniosła, tylko Ślężacy usłyszeli Bolesława, który powiedział do siebie: – To nikt o niej nie powie, że to przecie gówno – z czego cieszyli się w sposób niezrozumiały dla innych.

Rybałt uciszył zebranych.

– Może ktoś inny chciałby coś powiedzieć? Dokończyć myśl inaczej? A brzmi ona, przypomnę: Jak wysłowić urodę, powiedzcie panowie...

Znalazł się odważny młodzian, niestety, rodu całkiem, całkiem, a i tak za niskiego na te progi, choć z Małopolski. Powiedział, i to raczej do znajomych niż w stronę dwórek, gdzie siedziało prawdziwe słońce.

Trzeba mówić że ładną taka się zowie

Albo że nadobną jest albo że piękną

Mowę trzeba mieć szybką i pochlebstwu chętną.

Znów śmiech przetoczył się przez grono zebranych, a towarzysze pokleпали rycerza po plecach. Gdy jednak napotkali wzrok wojewody, natychmiast odechciało im się żarcików, zajęli się patrzeniem na stopy, ściany, gdzie popadło, któryś nawet zajrzał do ciżmy, jakby tam się schowało jego pojęcie niewieściego piękna.

Rybałt wykorzystał zamieszanie do choćby częściowego podliczenia zawodów.

– Znów wygrał rycerz Jarda. Azaliż nie znajdzie się nikt na tej sali, kto by go pokonał? Zaznaczam, że słowa muszą być wzniosłe i czyste. Oto trzecia sposobność:

A jak o oczach niewieścich powiedzieć?

Jakiś czas szemrano, potem wstał Austriak i kłaniając się co chwila w stronę Gertrudy, poszwargotał coś, poszwargotał i nawet się rymowało. Wówczas jeden z duchownych na zbiorowe prośby zebranych przetłumaczył to, czerwieniejąc co

słowo tak, że omal się zapalił.

– Prawi, że oczy to gwiazdy są, że kamienie szlachetne. Że wiercą duszę męża na wskroś, aż ona omdlewa, choć przecież w silnym jest ciele.

Kiwano głowami z uznaniem, choć po prawdzie większość chciała sobie zakpić, ale inny rycerz wtenczas powiedział:

O oczach niewieścich mówić

To jakby o sarnich

Zawsze skore do płaczu...

I zamilkł. Spiekł raka i już więcej się nie odezwał. Kolejny raz powstał czeski rycerz Jarða i, odświeżywszy nieco pamięć, rymował:

A jak o oczach niewieścich powiedzieć?

A któż to może lub powinien wiedzieć?

One przecież są nie do opowiedzenia

Z nich wychodzi światło co cały świat zmienia.

Tylko Bolesław nie podzielał ogólnego zachwytu. Coś mu nie pasowało. Ten Czech, co prosto patrzy na cieniutką, wyszczerzoną młódkę, ładnie i czysto mówił, aż niemożliwym to było, bo przecież wcześniej nie całkiem składnie mu wychodziły zwyczajne słowa. Dlatego, gdy ucichło zamieszanie, Bolesław postąpił o trzy kroki naprzód i rzekł: – No, rybałcie, gracko ci to wyszło, ale niechże będzie jeszcze jedno do dokończenia. Niechże mi wolno będzie zacząć. – Spojrzał w stronę wojewody, ten przytaknął, wtedy wysoko urodzony, acz niezbyt dostojny gość rzekł głośno: – A przyroda niewieścia, co o niej powiecie?

Nastała cisza. Jarða spochmurniał. Coś mu giermek podpowiadał, na próżno. Wreszcie w ciszy szepnął głośno tak, że zarówno on, jak i jego pan ucichli w zakłopotaniu.

Gertruda nadal się uśmiechała, jej oczy szklily w blasku pochodni na

podobieństwo gwiazd. Rybałt pośpieszył na ratunek, zachęcając zebranych, żeby uczynili jeszcze ten wysiłek. Zachęty jednak nie na wiele się zdały. Wśród rozbawionych rycerzy śląskich powstało zamieszanie, ktoś głośno powiedział: – Wojda, wyjdź ty!, a inny, ponieważ wywołany nieco się opierał, popchnął go mocno. Towarzysze natychmiast zwarli szyk i walczący o powrót na ich tyły młodzieniec znalazł się w miejscu widocznym dla wszystkich. Był z tego oczywiście śmiech, ale przekorny Bolesław powiedział: – Jeśli rycerze nie potrafią, to może giermek czegoś nas nauczy? Czy zezwolisz panie? – zapytał wojewodę.

Wojewoda zeszywniał. Już miał coś odpowiedzieć, ale książątka zwróciło się do Gertrudy, wprzód się ukłoniwszy: – Może ty, pani, zechcesz powiedzieć, czy giermek może iść w zawody z rycerzami? To przecież twój sąd.

Wojewodzianka dumnie podniosła główkę, spoważniała. Nie patrzyła na ojca, tylko na Jardeę, potem na Wojdę, który rad pod ziemię by się zapaść, a co najmniej schowałby się za plecami towarzyszy, ale ci, z gębami bezczelnie zadowolonymi, nadal go nie wpuszczali. Widząc wysiłki ucieczkowe giermka i w końcu poddanie się woli losu w ogromnym zawstydzeniu, Gertruda nabrała dużej śmiałości: wreszcie na nią patrzono tak, jakby była kimś bardzo ważnym. Rzekła tedy głosem dziewczęcym: – Uczyniliście mnie, dostojni panowie, sędzią w trudnej sprawie, mimo że jestem tylko prostą niewiastą. Nie będę jednak się bała powiedzieć tego, co myślę. Nie wydaje mi się, aby tylko pas rycerski i ostrogi stanowiły, kto jest najwymowniejszym ze szlchetnych ludzi. Jeśli zatem ów młodzieniec jest szlchetnego rodu, to ja się nie sprzeciwię. O ile mówić potrafi. – Uśmiechnęła się, bo Wojda znów chciał się wbić w szyk towarzyszy, ci zaś jeszcze mocniej zwarli szereg, choć więc silny był chłopak, niczego nie wskórał. Młodzieniec, zrezygnowany, nawet nie zerkał w stronę wojewodzianki. Po prawdzie nigdzie nie zerkał, patrzył jeno w podłogę.

Odpowiedź wziął na siebie Bolesław: – Potrafi, potrafi. Nie tylko mówić, ale także śpiewać. Prawda, moi panowie? Zna wszystkie pieśni, no nie? – zwrócił się do swojego orszaku, puściwszy w tamtą stronę oko, a towarzysze księcia skwapliwie przytaknęli.

Gertruda powiedziała z rosnącą przekorą: – Niechże więc dokończy, dostojny panie, to, co raczyłeś powiedzieć. Wiedz jednak, że jedna zwrotka nie uczyni go wygranym, bo przecież milczał, gdy inni mówili. Byłoby niesprawiedliwe, jeśliby nam przyszło zdecydować o jego zwycięstwie tylko dlatego, że mówił ostatni.

Pomruk potakiwania potwierdził, że wojewodzianka nie tylko piękną jest, ale rozumną, a z jej ust płynie sama słodycz, choć głosik, prawdę rzekłszy, miała nie do końca dorosły.

Bolesław podszedł do Wojdy, pacnął go w plecy, aż zadudniło, i powiedział rubasznie, wyraźnie żartując: – No, Wojda, w twoich rękach cześć Śląska. Jeżeli

dobrze się spiszesz, zasłużysz na rycerski pas z rąk tej damy.

Tym razem jedynym, któremu nie chciało się uśmiechać, był wojewoda. Chichoty wkrótce ustały i cicho się zrobiło.

– Mów, co ci szkodzi – ze śląskiego szeregu padła zachęta.

– Niech rybałt podpowiada, jak wszystkim – ktoś inny był domyślniejszy.

Zmieszany grajek ujął lutnię, spojrzął niepewnie na wojewodę. Spojrzenie dostojnika nijak nie przydało mu odwagi, bo w stalowych oczach Włodzimierza wyczytał własną śmierć. Przełknąwszy ślinę, obrócił wzrok w stronę wojewodzianki. Ta przytaknęła, co prawda nieznacznie, za to kilka razy. Rybałt jeszcze raz przełknął ślinę, szarpnął strunami lutni nieco fałszywie i pobrzdakał coś dla niepoznaki. Wreszcie się poprawił, odchrząknął ze trzy razy jak przystało na tego, co się utrzymuje ze śpiewu, i powiedział pewnie:

Dostojni panowie i dostojne panie

Powiem wam dziś prawdę i nic wam nie skłamię

Że uroda choć z czasem ulatuje od nas

Daje nam w młodości piękno duszy poznać.

– Piękno przyrodzone damom, cni rycerze...

Rybałt urwał, ale zaraz rozległ się drżący głos Wojdy, który nie podnosząc oczu, dokończył cicho, ale na tyle wyraźnie, że zebrani słyszeli.

Nie z woli ludzkiej a z boskiej się bierze

Tchórzy czyni mężnymi a mężnych tchórzami

Mędrców niemądrymi a mądrych głupcami.

Ślązacy zakrzyknęli, jakby zachęcali do boju. Biskup, wcześniej nieco zniesmaczony, uciszał swoje otoczenie opanowane niezdrowym podnieceniem, bo chciał usłyszeć, co będzie dalej.

Dalej rybałt zamilkł, ale Bolesław do niego rzekł: – Nuże, podpowiadaj!

Znów zagrała lutnia, uciszając zebranych. Rybałt powiedział niepewnie:
Jak wysławić urodę powiedzcie panowie...

Wojda oburącz zasłonił twarz. Nie milczał. Płynnie i prawie bez drżenia powiedział:

Na to musi być jedna bądź tysięczna odpowiedź

Piękno bowiem zadawała się tylko jednym słowem

Albo słów tych nie setką lecz prawdziwym mrowiem

Myśleli nad nią mędracy nawet król Salomon

I biedacy i możni zwali swą osłodą

No przecież czarcią też ją nazywali

Chwalili ją aby zganić. Ganili aby chwalić.

Zapadła cisza.

Nikt nie odważył się nawet szeptać.

Rybałt sam z siebie zagaił poruszonym głosem:

A jak o oczach niewieścich powiedzieć?

Wojda odsłonił twarz i patrząc śmiało na Gertrudę, ta nie uchybiła temu spojrzeniu, powiedział:

W oczach tych prawda jest o piekle albo i o niebie

Kto spojrzy w takie oczy ten – powiedzieć trzeba

Ujrzy w nich się na dnie piekła lub na szczycie nieba.

Gertruda się uśmiechnęła. Wyszło, że zachęcająco i mile, ale to nie do młodego wierszoklety się uśmiechała, choć w jego stronę. Uśmiechnęła się do samej siebie – wreszcie ktoś potrafił nazwać to, co siedziało jej w głowie. Jest o niej, dla niej, wszyscy patrzą... Wojda, widząc ten uśmiech i tracąc z oczu otoczenie, recytował:

Patrzeć w oczy pięknej niewiasty to wielkie wyzwanie

Można zobaczyć pożar pomimo łez lania

Można poczuć mróz pomimo gorąca

Jest w nich srebro z księżycy i złoto ze słońca.

Pewnie! Wojewodzianka chciałaby, żeby w jej oczach to, o czym rymował Wojda, zobaczyć. Chiałaby palić spojrzeniem. Na tyle była przytomna, żeby nie pozwolić, aby wszyscy w jednej chwili się dowiedzieli, że tego by chciała. Uśmiechnęła się szeroko i natychmiast odwróciła głowę – nikt tego uśmiechu nie powinien widzieć. Trochę uratował ją Bolesław, bo mocno machając rękoma, ni to się kłaniając, ni coś pokazując, powiedział do zebranych: – I co? Kto wygrał? Słyszeliście chyba?

Szum uznania był powszechny. Wojewoda milczał dosyć ponuro, bo już się dowiedział, że ani Jarca, ani ten nowy gładysz nie nadawali się na mężów dla jego córki. Tyle dobrego, że urodę wojewodzianki sławią, choć są bezczelni.

Niespodziewanie rybałt zagrał na lutni, co uciszyło zebranych. Spojrzeli na niego, wówczas zagaił słowami Bolesława, żeby stało się zadość temu, co gdzieś tam jest zapisane.

A przyroda niewieścia, co o niej powiecie?...

Zamilkł. Wzrok zebranych przeniósł się na Wojdę. Może i dobrze, że tej skupionej na sobie uwagi nie widział, bo w ten sposób uniknął onieśmielenia. Patrzył już tylko na wojewodziankę, co właśnie postanowiła być skromną i nie

podnosiła wzroku. Nie musiała już silić się na rumieniec, takie ogarnęło ją podniecenie. Drżała. Nie wytrzymała jednak przedłużającej się ciszy i zerknęła, jakby nieśmiało. Podobał się jej ten młodzieniec, oj podobał, wzroku już więc nie odwróciła. Patrząc z ukosa, z przekrzywioną główką, czekała z zachęcającym półuśmiechem, co czyniło ją tylko jeszcze bardziej uroczą. Doczekała się.

A przyroda niewieścia co o niej powiecie?

Jest to zarazem zwierz srogi i łagodne dziecię

Ukojenie z boleści i jej rozjątrzenie

Gniew nie do zgaszenia i nie do zmorzenia kochanie.

Nikt nic nie mówił. Ciągłe patrzącą w Wojdę, znieruchomiałą Gertrudę ciotka próbowała doprowadzić do porządku syknięciami, a że to nic nie dawało, trąciła ją w ramię. Ta z westchnieniem spojrzała na opiekunkę półprzytomnie, za to uśmiechnęła się do niej całkiem niewinnie. Jednocześnie Bolesław podszedł do swojego człowieka i poklepał go po plecach.

– Fiu, fiu! – zagwizdał. – Niezły z ciebie ptaszek. Kto by pomyślał.

Na to młodzieniec, zawstydzony, uciekł między towarzyszy, którzy nie szczędzili mu słów uznania. Nie wątpili bowiem, że ich człowiek wygrał tę bitwę.

Stojący na środku komnaty rybałt teraz wcielił się w herolda.

– Czy ktoś chce podjąć wyzwanie i stanąć w szranki wymowy?

Odpowiedzią były gwar rozmów, niedowierzanie, kiwanie głowami, ale też nienawistne prawie milczenie niektórych. Rybałt powtórzył wezwanie jeszcze trzy razy, ale nie odniosło skutku. Zmieszał się tylko, gdy zobaczył zaciętą twarz rycerza Jardy. Przecież nie tak to miało być. Zatem rybałt postanowił czynić swą powinność.

– Wypada teraz, aby najpiękniejsza z dam wręczyła nagrodę zwycięzcy. Któż nim będzie... – zdanie przerwał mu okrzyk: – Ten Ślązak! Wojda! Ten drugi!, ale mówca z wprawą zgasił krzyki jednym gestem i oznajmił: – O tym postanowi dama, która jest sędzią tego turnieju. Prosimy ją do nas.

Dama wyszła na środek, trzymając w dłoniach błękitną szarfę. Pięknie wyglądała i poczynała sobie śmiało z podniesioną główką. Popatrzyła po zebranych – jej ojciec pomyślał w zachwyceniu: Jak księżniczka, a nawet królewna. Co tam królewna! Cesarzówny są brzydsze i mniej godne! – po czym powiedziała: –

Trudno mnie, niewieście, ogłaszać wygraną jednego, gdy kilku na nią zasłużyło. Znać z tego, coście mówili i jakeście słuchali, że darzycie panowie nasz ród niewieści uwielbieniem. Oby tak było nie tylko od święta i nie tylko wtedy, gdy chcecie zdobyć istotę niewinną. Wolałabym milczeć, lecz muszę powiedzieć, kto wygrał... – zawiesiła głos i rozkoszując się tą chwilą, przedłużała ją, jak tylko mogła. Westchnęła. Patrząc to na Jarde, to na Wojdę, ogłosiła: – Zwycięzcą dzisiejszych zmagania obwieszczam wszem wobec naszego gościa ze Śląska o imieniu Wojda, o ile zdołałam zapamiętać. Niech przystąpi do mnie.

Wojda nie chciał ot tak do panny przystąpić, stawiał lekki opór, lecz towarzysze zadbali o to, aby wyszedł, tym sposobem, że po kilku zachętach ze strony otoczenia: – No, śmiało, idź!, ktoś go pchnął kolanem w rzyć tak skutecznie, że znów żwawo wypadł z szyku. Gdy już był poza ścianą towarzyszy, poszedł niezgrabnie, jakby na stracenie.

– Mój człowiek wygrał – dało się usłyszeć głos Bolesława.

– Klęknij... – miała powiedzieć „rycerzu”, ale przecież rycerzem nie był. Do stojącego przed nią niezdarne kłosa, któremu nijak nie dawało się zajrzeć w twarz, rzekła więc: – ...zwycięzco!

Skrajnie onieśmielony zwycięzca klęknął na kolano, jednocześnie siłą nawyku złożył przy tym spocone dłonie jak do modlitwy, co sala przyjęła z uśmiechem.

– Spójrzże na mnie wreszcie – szepnęła lekko pochyłona Gertruda, a w szepcie tym była głęboka barwa, bo coś w niej drżało w środku niecierpliwie, pożądliwie, żarłocznie.

Giermek podniósł głowę i zobaczył w niebieskich oczach, w czarnych, przepastnych źrenicach, wszystko to, o czym dziś mówiono rymami. Były dla niego bezkresem nieba ze świecącymi gwiazdami. Jedno mroziło lodem miesiąca, drugie paliło słonecznym żarem. Ogarnęło go światło łaski i ciemność otchłani. Nienawidził jej za to, że nie może wojewodzianki schwytać za biodra lub ścisnąć w pasie i przytulić z całych sił, miłował zaś za to tylko, że była. Nic już nie mogło być, jak było kilka chwil wcześniej, tak samo bez troski, bo tyle się stało w czasie, w którym niezbyt pośpiesznie dałoby się odmówić pół *Ojczy nasz*.

Wojewodzianka teraz zobaczyła to, czego wcześniej nie dojrzała, to, co wyczuła i sobie dopowiedziała. Po twarzy młodzieńca przeszły cień, purpura i błądź, a patrzył mocno, tak mocno, że jego brązowe oczy zdawały się gorzeć. To i z męskich oczu wychodzi światło?, pomyślała w krótkim zdziwieniu, i ledwie się powstrzymała przed odgarnięciem z jego czoła niesfornych, ciemnych włosów, poprawieniem ich, przy okazji mogłaby musnąć policzek i ucho koniuszkami palców, aby zobaczyć i poczuć więcej jeszcze, znacznie więcej. Serce załomotało w niej gwałtownie na tę myśl i omal krzyknęła: Och!

Krótko to trwało i choć zwykle ulegała zachciankom, wiedziała, że akurat

tej, w dodatku teraz, przy ludziach, ulec nie może. Biała, drapieżna, prężąca się niczym gronostaj, przymknęła oczy, opanowała drżenie rąk, spojrzała na młodzieńca i pocieszyła się chwilę widokiem bliskiej zdobyczy. Malinowe usteczka poruszyły się, mówiąc bezgłośnie: Jesteś mój.

Na głos wypowiedziały jednak coś innego.

– Przyjmij ode mnie tę szarfę, jako znak zwycięstwa. – Wyciągnęła dłonie z rozłożoną wstęgą, lecz Wojda całkiem już zdrewniały, nie poruszył się nawet, jeno patrzył.

Gertruda główkę zawsze miała na karku, nie zmarnowała więc nadarzającej się okazji do miłej sercu psoty. Nachyliła się mocniej – musiał poczuć na twarzy dotyk jej złotych włosów, musiał wchłonąć jej zapach, bo jeszcze oddychał. Nie dość tego było, nie dość, zmusiła go do westchnienia. Owinęła szarfę na jego złączonych dłoniach, jakby je pętając. Rozśmieszyło to zebranych. Dało się także usłyszeć: No to po nim!, inny dodał: Szkoda junoszy!, co spowodowało dodatkowy napływ wesołości. Wojewodzianka, zakładając więzy, przeciągnęła paluszkami po Wojdy dłoniach kilka razy i wyczuwając drżenie, ucieszyła się, że obudziła w nim jeszcze silniejszego zwierza, niż w sobie, i to jego bardziej będzie głodnym, niż jej. Spojrzała przy tym nieco z boku i szepnęła nad jego uchem, nie poruszając niemal wargami: – Boisz się mnie? – Prostując się i robiąc krok w tył przypadkowo – gotowa byłaby przysiąc – otarła się o niego. – Powstań! – powiedziała głośno, dodając zaraz całkiem cichutko i miękko: – Mój ty rycerzu.

Wojda wstał, co wyglądało śmiesznie, bo trzymał przed sobą związane ręce. Głupek, pomyślał wojewoda. Tak, to głupek, potwierdził w myślach ksiązę, za to na głos powiedział: – Wojda, powiedz coś wreszcie.

Wojda spojrzał na ręce, zdziwiony, rozplątał szarfę i trzymając ją, powiedział, jakby przepraszał: – Dziękuję, pani.

Przepasał się szarfą.

Gertruda czekała, aż przyklęknie znów, ucałuje rąbek jej sukni, złoży przysięgi, ale w głowie młodzieńca był taki zamęt, że już nie wiedział, co dalej powinien robić.

Bolesław, choć sam bawił się wyśmieniem, widząc te niezręczności, śmichy-chichy, chcąc też nieco utrzyć nosa spryculi, zawołał do giermka: – Chodźże już do nas.

Wojda rozejrzał się, jakby właśnie skądś z daleka przybył, uklonił się w dwie przypadkowe strony i obrócił w stronę Ślązaków.

– Będiesz mi służył? – zapytała na odchodne wojewodzianka lekko zawiedziona, że ofiara wymyka się z jej pazurków.

– Tak, będę – nieskładnie obiecała ofiara, niestety, odchodząc.

– Niedoczekanie! – zawarczał na to niby do siebie wojewoda, ale tak, że jego otoczenie wyraźnie usłyszało.

Gertruda patrzyła chwilę za Wojdą, po czym odwracając się, napotkała ponure spojrzenie Jaridy. Twarz wojewodzianki nie zmieniła się nic a nic, półuśmiešek nie zniknął, przymknęła tylko znacząco powieki na znacznie dłużej, niż miałyby mrugnąć. On się uśmiechnął. Raz jeszcze przymknęła znacząco powieki, oddając uśmiech tak, żeby zobaczył jej białe zęby, i odwróciła się do towarzyszek. Nie spojrzała już więcej na Jardę tego wieczoru. Nie musiała.

ZWADA

Względom nie mają dla nikogo

Tego co klęka przed ich urodą

Co wiernie służy tej próżnej krasie

Bez żadnej litości w zgubę powiodą.

Wzorem zabaw na dworze cesarza Fryderyka, w krakowskich łowach z sokołami wzięły udział również damy. Trochę osoby duchowne się zżymały, a miały kilka powodów. Że u wrót kraju nieszczęście widać, że tysiące umierających ze strachu uciekinierów zaprowadza zamęt na wschodniej granicy, że za nimi przyjdzie głód. Że mówią o okrucieństwie przechodzącym ludzkie pojęcie. Że to czysta pustota – jeździć za ptakiem, z całym przepychem, roztrącając biedaków. I że zaraz adwent, a ci tu bawią się bez opamiętania. Tak mówili jedni duchowni i była ich większość. Znaleźli się i tacy, co nader chętnie wzięli udział w zabawie, samą swoją obecnością rozgrzeszając innych uczestników. Czymś ludzie szlachetnego pochodzenia muszą się wszak różnić od motłochu, choćby więc gonitwą za sokołem. No i mówili, że nie każdy od razu musi być świętym, na co umieli przytoczyć kilka świetnych przykładów. Wystarczyłoby zacząć od Świętego Augustyna.

Jeszcze przed świtem, gdy na jutrznię szły u norbertanek szare szeregi mniszek, u franciszkanów brunatne mnichów, a w murach Tyńca czarne szeregi benedyktynów, u cystersów z Mogiły zaś białe z czarnym pasem szkaplerza, z wrót Wawelu wyjeżdżał rozbawiony, rozchichotany, ujadający, barwny orszak. Moźni tego świata wystroili się jak na mszę wielkanocną, mniej moźni włożyli to, co mieli najlepszego. Przepych wymagał, żeby panów podziwiano, lecz chłodny poranek

niecو ich zasłonił mgłą i mrokiem. Trudno, łowy ważniejsze. Cały Kraków obudził się na to poruszenie. Zaspany, młody strażnik powiększył zamieszanie, zadąwszy w trąbkę i niemiłosiernie fałszując hejnał. Grał drugą zwrotkę, gdy starszy strażnik pacnął go w otumanioną łepetynę. Nie ma żadnej trwogi, tylko władza „bawi się, jak umi” – tak to zgrabnie ujął. Hejnał urwał się na wysokim dźwięku, co w radosnym orszaku wywołało dodatkową wesołość.

Uśmiechnięty Bolesław Rogatka zapytał Włodzimierza w dobrej wierze: – Czy to na naszą cześć? Ładnie, ale chyba coś mu się zacięło. Jakby go ktoś z łuku ustrzelił.

– Nie, to było na trwoę – wojewoda odpowiedział z ponurą twarzą, bo słuch miał nielichy, a to, co usłyszał, mogło przyprawić o ból zębów. Za to, jak już wiadomo, dowcipu nie miał nawet za podłego denara.

Bolesław udał zadziwienie, piszcząc niczym niewiasta, zrymowawszy niechcący, z czego bardzo był kontent: – O Boże! Są tu zbójcy. Ratuj się, kto może! – Przyłożywszy dłonie do ust w trąbkę, obracając się w siodle, krzyknął dookoła po trzykroć: – Uciekajmy!

Trefniś podchwycił i również trzykrotnie zakrzyczał miękko z ruska: – Biegajcie! – co niektórych napęliło dokładką śmiechu. Z tym że w dal to wrażenie nie poszło, bo mało kto zrozumiał intencje księcia. Niektórzy wzięli się do broni, jeden z Krakusów zatrzymał konia, schwycił za rękojeść miecz i się rozejrzał, stanąwszy w strzemionach. Widząc jednak, że nic złego się nie dzieje, a dostojnicy spokojnie jadą, gwarząc sobie, Słazacy zaś, znający swojego księcia, spoglądają nader wymownie, leciutko zaprzeczając gwałtownej reakcji własnego pana, słusznie uznał, że księżę wygłupia się niczym ostatni wieśniak, i na powrót usiadł w siodle, i puścił rękojeść miecza.

– Cóż to znaczy? Czy tak w Krakowie witają dzień? – padło następne zjadliwe pytanko Bolesława, który zauważył, że gospodarza bardzo zabolął niewczesny hejnał.

Włodzimierzowi zrobiło się wstyd, aż biła mu z twarzy purpurowa łuna. W jego głosie pobrzmiwała niecierpliwość.

– Nie. Tak nie witają dnia. Mówiłem, grają na trwoę. Każę obwiesić hultaja za to!

Na to dostojny gość odparł: – Nie trzeba aż tak. Dobrze, że gra na trwoę. Przecież nas zobaczył. Niech miejscowe niewiasty się trwożą, bo teraz może nie, ale gdy wrócę z łowów, to za siebie nie ręczę. Toż on tak trąbił, jakby kogucik piał. Tyle rozrywki, tyle śmiechu. Za to trzeba wynagrodzić, nie karać.

Jedni śmiali się z dowcipu, że niby śmieszny, inni przez grzeczność, niektórym się wydawało, że tak wypada, choć po prawdzie woleliby z niego się nie śmiać. Bo tak jakoś niezręcznie im było.

Na śnieżnobiałej klaczy, w jasnoblękitnej sukni, odziana w futerko z kun

podbite czerwonym jedwabiem, ze zgrabną, kunią czapczką na głowie, pośród niektórych towarzyszek, sokolnika i ciotki jechała zjawiskowo piękna wojewodzianka Gertruda. Jak i cała reszta, ona także się śmiała, perliście, zawiesiście, szczerze. Chciałaby coś dodać, ale nie wypadało.

Na życzenie Gertrudy w pobliżu jechał giermek Wojda przepasany błękitną szarfą. Nieopodal czaił się Jarda sprytnie uwieszony ważnego posła króla Wacława – inaczej na łowy by nie pojechał. Oczywiście uwadze wojewodzianki nic nie uszło, postanowiła więc podręczyć wielbicieli. Uznała, że okazując jawne względy Wojdzie, utajone zaś Jardzie, wcześniej czy później doprowadzi do gwałtownego przerwania nudy i choć częściowo zaspokoi nieco pobudzone zmysły.

– Gdzież mój rycerz Wojda? – zapytała z celową pomyłką, bo mącenie przychodziło jej z łatwością.

Młodzieniec podjechał natychmiast.

– Jak możesz tak mnie zaniedbywać? – dama uczyniła giermkowi wyrzut. – Jest przecież kłótnia na drodze, przeszkoda, a ja w niebezpieczeństwie... Ty zaś, zamiast być na przedzie, gotów drogę przetrzeć, pętasz się z tyłu. Pewnie byś nie zauważył, jakby mnie zbójcy napadli.

Uroczę towarzyszki chichotały, Wojda poczerwieniał.

Mimo ostrych słów Gertruda cały czas się uśmiechała. Widząc onieśmienie młodzieńca, bezlitośnie natarła: – Nic nie powiesz?

Ten nic nie powiedział, za to Jarda się odezwał: – Nyc by ci, pani, się nie stało, bo ja bym był blisko.

– Ach! Mężowie wiele obiecują, ale gdy dochodzi do spełnienia obietnic, rzadko je dotrzymują. Zawsze jest tyle pięknego gadania. Same puste słowa – mówiła z poczuciem zawodu, a przy okazji pełne słodczy usteczka wykrzywiła z niesmakiem.

Wojda znów nic nie powiedział.

– Niech tylko kto chce cię obrazić albo co, to ja mu nie dam. – Jarda popatrzył groźnie na rywala, jakby ten o niczym innym nie marzył, tylko o obrażaniu wojewodzianki.

Obaj wojownicy zaraz zyskali sposobność, żeby się wykazać, bo orszak stanął.

– Dlaczego stoimy? – zapytała Gertrudka. – Wojda, zobacz, co się dzieje. Zrób coś wreszcie.

Wojda ruszył, ale wyprzedził go Jarda, zajeżdżając drogę. Najprawdziwsza z dam patrzyła z zachwytem i pomyślała drapieźnie: Zaraz się zacznie. Istotnie, zaczęło się, bo Jarda nie dość, że zajechał drogę Wojdzie, to jeszcze wysforował się przed najdostojniejszych panów i dalejże wrzeszczeć i napierać koniem na kilku mnichów: – Iść! Nie stać! Przejdźcie dla dostojnej Gertrudy!

Mnisi nie ustąpili na krok, jeden spośród nich schwycił nawet za wodze

konia, Jarda złapał tedy za rękojeść miecza.

– Co czynisz, głupcze! – krzyknął kasztelan Klemens.

– Mieczem tego łysego! Mieczem! – Gertruda wołała niczym ostatnia mieszcza.

Nic z mieczowania jednak nie wyszło, bo kasztelan natarł na Jarde i odepchnął go od mnichów. Wojda wycofał się bez szamotania i powiedział swojej pani z szacunkiem, chociaż nie wiadomo dla kogo – dla Jacka czy dla Gertrudy.

– To ojciec Jacek Odrowąż.

– No przecież widzę! – Dama wpadła w złość. – Mam sokoli wzrok. A ty, ledwieś zobaczył mnicha, zaraz do mnie uciekleś, zamiast go zepchnąć z drogi. Jarda chociaż spróbował. Nic, tylko gadanie.

Wojda poczuł wreszcie, że jego wymarzona miłość może być dla niego poważnym utrapieniem. Wykrztusił tedy: – Ależ to Jacek Odrowąż. Znam go, pochodzi z moich stron.

– Niedolega! – rzuciła i obróciła koniem tak, żeby odtrącił zadem konia Wojdy. Do nadjeżdżającego Jardy, co twarz miał mocno skwaszoną, uśmiechnęła się za to łaskawie.

Na czele orszaku rozmowę toczyli ważni jegomoście.

– I co, Odrowąż, nie dasz jechać dalej? Nie widzisz, że mam dostojnych gości z całego świata? – To, co mówił wojewoda Włodzimierz, lało miód na duszę Bolesława Rogatki. Podobało mu się w Małopolsce, gdzie można klechom pokazywać ich miejsce. Toteż całkiem mimo uszu puścił odpowiedź poważnego, starego dominikanina z wygoloną głową.

– Stoję z boku, dostojny Włodzimierzu. Nikogo nie zatrzymuję – mówił Jacek Odrowąż. – Akurat szliśmy z jutrzni, którą odprawiłem u chorych biedaków. Weź zatem to nasze spotkanie za przypadek.

– Może i przypadek, ale gdy tu stoisz, konie nie chcą iść – odparł gniewnie wojewoda.

– To nie ja trzymam wodze, nie do mnie należy bat. Ja mam tylko słowo i – jak powiedziałem – jestem tu przypadkiem.

– Albo z wyższej siły... tak lubicie pouczać? – włączył się do rozmowy Bolesław.

– Zaczny młodzieńcze, siła wyższa, o której zastępczo mówisz, nie śmiejąc jej imienia zdradzić, ma ważniejsze sprawy do załatwiania niż powodowanie postępkami marnych sług. Ja mogę mieć tylko nadzieję, że tak bywa. Staram się o to. Modlę się. Pan Bóg obdarzył mnie wolną wolą, choć najchętniej cały oddałbym się jego woli. Nie ma co przesadzać. Łatwo tym się tłumaczyć, przyznaję, nie zamierzam jednak tak czynić.

Rogatka troszkę się zezłościł i bodnął konia ostrogami. Ten podreptał w miejscu, kroku wszakże nie zrobił. Podobnie zachowywał się rumak wojewody.

– Ustąpmy pola dostojnym panom – Jacek Odrowąż rzekł do swoich towarzyszy – zwierzęta nas się boją i nie idą dalej. – Wypowiedziawszy te słowa, chociaż stał na skraju drogi, mnich jeszcze dwa kroki na bok postąpił.

Władcy tego świata dźgnęli ostrogami konie, te jednak nadal tylko dreptały, trącając jeden drugiego; rumak wojewody stanął nawet na tylnych nogach, gotów bić przednimi kopytami. Zamieszanie przeszło do dalszych szeregów i co bardziej pobudliwe zwierzęta okazywały zniecierpliwienie.

– Czegoście im zadali? Tu nie mam czasu na takie zabawy! – krzyknął Włodzimierz.

Na co Jacek odpowiedział: – Długo jeszcze moglibyśmy się przekomarzać. Ja mógłbym przeczyć, a ty mógłbyś nie wierzyć. Obu nam powinno być wszak śpieszno. Od miesiąca, codziennie, usiłuję z tobą porozmawiać, a ty nie masz czasu na spotkanie. Korzystając z okazji, przemówię nie do ciebie, lecz do koni, co tak się niecierpliwią. – W tej chwili psy skończyły głupio ujadać, niespokojność koni przestała się objawiać wierzganiem, gryzły jeno wędzidła, ludzie nadstawili uszu. Zakonnik mówił dalej: – Nie przypuszczałem, że ja, dominikanin, skorzystam kiedyś z żywota Świętego Franciszka i jego doświadczeń. Naprawdę nie przypuszczałem. Muszę jednak. Okoliczności są bowiem bardzo podobne i nie ma potrzeby silić się na wymyślanie czegoś nowego. Gdy ongiś Franciszek mówił do ludzi, a nie słuchali, odwrócił się do płochego ptactwa, żeby choć ono usłyszało to, czego ludzie powinni się dowiedzieć. Jego obowiązkiem było nie milczeć, a powiedzieć, nie udawać, że jest dobrze, a dać głos prawdzie. I oto przychodzi mi gadać do koni, bo ludzie nie mają czasu słuchać. Przeto słuchajcie rumaki i klacze, co nosicie panów w bój i do zabawy. Przeto słuchajcie, dzielne rumaki i klacze, bo niedługo już będzie waszej uciechy, przewagi i ważności. Przyjdą dziesiątki, może i setki tysięcy rywali, mniejszych, przez to wcale nie mniej groźnych. Zatrutują was, zadcpczą, porozrywają. Są dziksze i na trudy wytrzymałsze, nawet wzajem się zagryzają niczym zawzięte psy co krew spożywają, a nie trawożerne stworzenia. Im do żłobów nie sypią owsa i obroku, bo żłobów nie mają. Żywią się opadłymi liśćmi i trawą nadgniłą, co kopytem spod śniegu i lodu wygrzebią. Im sierść nie lśni od wycierania słomą, bo słomy nie znają. Muszą oddawać własną krew swoim panom, co ją im utaczają i zlizują z karków jako pokarm. Dlatego wasz kres, świetne rumaki, jest bliski, nie wytrzymacie bowiem z nimi starcia. Stracie życie, bo nie ujdziecie najprzód przed małymi konikami. Po wtóre, nie nadążycie za ich pochodami, życiowe siły wam osłabną, wam, przywykłym do miary owsa, nie do liści. Zniszczycie się i zagłodzicie w takich drogach i nieliczne z was przeżyją swoich panów. Tobie wojewodo, i tobie, książę, zawsze mogę opowiedzieć, co widziałem i przeżyłem w Kijowie, potem we Lwowie. Co się stało z wielkimi grodami, wielkimi rodami i z ludźmi. Co donosi w listach z Węgier nasz druh Sadok. Wieści te nie przybyły na skrzydłach ptasich, lecz na piechotę – tyle

czasu tracimy, jeśli chcecie, czy nie chcecie wiedzieć, a wy już go nie macie wcale. Niemniej o jedno proszę: znajdźcie chwilę i zechciejcie mnie wysłuchać i spojrzeć na to, co we własnych rękach przyniosłem na świadectwo zniszczenia świata, któremu pół życia poświęciłem. – Już milcząc, pokazał nadpaloną figurkę Matki Boskiej z Dzieciątkiem. W tej samej chwili rumaki przestały opierać się jeźdźcom.

Włodzimierz ledwie uklonił się wyniośle z góry i minął Jacka, a za nim reszta posmutniałego lub raczej rozdrażnionego dworu.

Wojda zjechał na bok, zsiadł z konia i poprawiał coś przy uprzęży, aż go orszak ominął, nawet służba wiodąca kilka wałachów objuczonych jadłem i napitkiem. Wtedy przełożył lejce przez lewe ramię, podszedł do zakonnika, przyklęknął i przypadł ustami do ręki duchownego.

– Kim jesteś, synu? – zapytał dobrotliwie Jacek.

– Jam Wojda, najmłodszy syn Dobrosza z Zalesia, herbu Rogala.

– Dobrosza z Zalesia? Toż znam go, w dzieciństwie nawet się bijaliśmy w służbie u mego stryja. On wygrywał, wszak rycerz, a ja duchowny... Żyje jeszcze Dobrosz? Wstań, chłopcze, czego będziesz klęczał przede mną.

– Żyje, w dobrym zdrowiu – odpowiedział młodzieniec. – Nieraz wspominał cię, ojciec. I ja cię kiedyś widziałem.

– Tedy pozdrów go ode mnie. Tyle życia upłynęło mi w świecie, a do stron rodzinnych nie było czasu... – znacząco podkreślił słowo „czasu”, zerkając w stronę odjeżdżającego wojewody – ...zajrzeć. I chyba już nie zajrzę – ostatnie zdanie wypowiedział ze smutnym uśmiechem. – Ty zaś, młodziku, dorobiłeś się już pasa rycerskiego? – mnich zapytał krotkocześnie z pobłażaniem w głosie, wskazując błękitną szarfę Gertrudy.

– Nie, nie jest to pas rycerski. – Zarumienił się młodzian.

– Pas cnoty to też nie jest – zażartował Jacek, co jego towarzyszy szczerze rozbawiło. Widząc, że żart młodzieńca zmieszał, Jacek dodał: – Jedź już, bo nabędą podejrzenia, że chcesz ich dla służby bożej porzucić. I o ojcu nie zapomnij – powiedziawszy to, pobłogosławił pochyloną głowę wojaka.

Istotnie, brak Wojdy nie uszedł uwadze, lecz tylko Gertrudy.

– Gdzie się włóczęsz? – ledwie dołączył, wystrzeliła z pretensją. – Konia ci spłoszyły tamte wrony? Z oka nie można cię spuścić. – Na tym, czyli na uśmieszkach, skończyła robić wyrzuty, a powodu zamarudzenia Wojdy nie poznała.

Młodzieniec nic nie odpowiedział. Posmutniał.

Inni niczego nie zauważyli, zajęci nie tyle twardymi słowami mnicha Jacka, co niesamowitym zdarzeniem zatrzymania w miejscu koni. Póki zakonnik gadał, stały, jakby słuchając, i najwyższe władze były pod wrażeniem, bo nawet Bolesław zapytał: – Chyba czarownik jest z niego. Mój kary jakby do ściany dojechał i dalej nic. – Nie usłyszawszy żadnej odpowiedzi, pokręcił głową z niedowierzaniem

i dodał zaczepnie: – Cóż to takiego chciał nam ten człek przekazać?

Włodzimierz przeżuł coś w gębie, zanim burknął: – Nic! – Burknął i szybko pojął, że wyszło gniewnie i niepotrzebnie może gościa urazić. Dlatego się rozejrzał, sprawdził, czy nikt ich nie usłyszy, zwłaszcza obcy, po czym dodał szeptem: – Stale gada o tym, co wszyscy wiedzą. Że Tartary uderzą. Bo że uderzą, to pewne. Przecież pójdą nie na nas, a na Węgry, z nimi się wadzą. Dlaczegoż mieliby tu iść, siły rozpraszać, na straty się narażać? Moja myśl jest taka: nie pchać się w tę wojnę. Niech Węgrzy proszą o pomoc, ale się tam nie pchać. Nie dawać powodu do napaści na nas. Niech się obrócą na Węgrów. Kiedy na nich pójdą, spokojnie, bez pośpiechu zebrać się i iść z pomocą. Nie na pierwsze bitwy, nie. Po co ludzi tracić?

– Aha! – na głos przytaknął Bolesław, czując, że właśnie wypełnił nakazy ojcowskie dotyczące zebrania wieści o groźnym plemieniu Tartarów, i już miał dodać, że to przednia myśl, lecz ugryzł się w język. Nie ma co zawczasu chwalić wojewody, boby mu się zdawało, że jest ważny. I wtenczas przyszło mu do głowy zapytać niby z ciekawości o to, o czym ojciec tyle mu truł: – Nic nie wskazuje na to, że i na nas pójdą? Szpiegów nie wysyłają?

– Nic takiego się nie dzieje, bobym wiedział. Wszystko sprawdzamy. Garść zestrachanych uciekinierów tylko przyszła, i tyle, a to, co gadają, jest nie do wiary, jak to zwykle u tych, co pierwsi uciekli – skłamał wojewoda, ale tak, żeby to, co powiedział, uszło za prawdę.

Wiedział więcej, znacznie więcej, wszelkie jego działania sprowadzały się jednak do zasięgnięcia wieści o starszej córce, a się dowiedział tyle, że dziewczyna nie żyje. Zdążył już ją odżałować, niechętnie więc wracał do sprawy, bo mu się robiło smutno. Co się stało z zięciem czy z innymi ludźmi – nic a nic go nie obchodziło, bo gdyby chciał się dowiedzieć, musiałby poprosić o pomoc seniora Henryka, a tego nie chciał.

Coś jeszcze ćmiło się w głowie Bolesława, coś mu nie dawało spokoju. Coś należało czynić, granice umocnić, zbroić się, wały grodów naprawiać. Zapytał jeszcze raz, wspinając się na wyżyny umysłowe: – A jeśli uderzą? Jesteśmy gotowi?

– Pewnie! – odparł Włodzimierz z takim przekonaniem, jakby tuż za lasem stało dziesięć tysięcy rycerstwa gotowego rąbać wszystko, co stanie im na drodze. – Od lat zawsze nas tu ktoś napada i zawsze napaści odpieramy. Ciągle jesteśmy gotowi do wojny – rzekł zwyczajnie, a że niczego nie usłyszał w odpowiedzi, co uznał za niedowierzanie, pociągnął wątek dalej: – Nie martw się, książę, nic złego się nie stanie. Czuwamy cały czas, mój brat na wschodzie właśnie sprawdza, co się dzieje.

Tyle pogadali o wiszącym nad krajem zagrożeniem, bo niedługo zaczęły się pola, a za polami nadrzeczne łągi i rozlewiska, na których obiecali sobie zaznać

rozrywki łowów z sokołami na przelotne ptactwo.

Pod wieczór zerwało się trochę złośliwego wiatru. Po niebie nisko przebiegały strzępy szarych chmur, czasem nawet lekko chłostały ludziom twarze kroplami dżdżu. Czas było wracać, bo przelotne deszcze nie wróżyły niczego dobrego.

Sokół złowił już kilka kuropatw, ale domagano się od niego jeszcze kaczki. Zwłaszcza Gertruda o sokolim wzroku, mająca na usługi własnego sokolnika i kilku sprawnych młodzieńców, uparła się na wodne ptactwo ku niezadowoleniu czuwającej ciotki, co cierpiała wielce w siodle – dawno bowiem w nim nie siedziała, a teraz trwała stanowczo za długo.

W orszaku córki krakowskiego wojewody jakoś tak się porobiło, że młodzieńcy patrzyli na siebie wilkiem. Na postoju usłużywali swojej damie na kolanach, nadskakiwali a to z jadłem, a to z napitkiem, bo wojewodzianka urządziła im zawody w usłużności, rączności czy innych przydatnościach. Rozpieszczonym, nawet nadąsanym głosikiem żądała a to chleba, a to wina, a to znów ciepłej szubki. Przy ciepłej szubce doszło do pierwszych, niestety, nie ostatnich przepychanek. Niosący ją sługa dostał pięścią w twarz od rycerza Pakosława, bo kmieć śmiał podejść zbyt blisko damy. Odzienie rycerz wyrwał słudze z rąk i z nabożną czcią okrył przechłodzone ramionka i plecki wojewodzianki. Ta uśmiechnęła się wdzięcznie i spuszczając skromnie powieki na oczy, powiedziała: – Ty jeden wiesz, Pakosławie, jak dogodzić damie.

Pakosław z Przemankowa herbu Półkozic, przydzielony do Gertrudy na wyraźne żądanie wojewody – miał dbać o to, żeby ani Wojda, ani Jarda nazbyt nie zbliżyli się do za wysokiego dla nich progu – przypadł z gorącym pocałunkiem do bucika panny. Przyglądał się tej scenie posmutniały Wojda, co nie uszło uwadze usłużnego rycerza, który odchodząc do swojego konia, trącił ramieniem giermka z tymi oto słowy: – Z drogi, młokosie!

Wojda ugiął się lekko pod zaczepką, mimo to stał jak wprzód, patrząc w twarz Pakosława i nic nie mówiąc. Wojewodzianka zachichotała na to głośno, krzyknęła bezwiednie i w zachwyceniu: – Ach!, co przerwało zwadę w jednej chwili i nieco zdziwieni zajściem zawodnicy odstępili od siebie. Przecież coś się jej stało!

Rozczarowana tym nadmiarem troski, a nawet zła, powiedziała gniewnie: – Co sobie myślicie? Że sama wdrapię się na siodło?

Pakosław się spóźnił, bo do strzemienia jednocześnie dopadli już Wojda i Jarda. Nie stuknęli się głowami, ale przeszkodzili sobie skutecznie. Śmiesznie to wyglądało, aż koń lekko się spłoszył i odstąpił kilka kroków.

– Gotowi jesteście mnie rzucić pod końskie kopyta, tacy z was pomocnicy! – zganiała obydwu wojewodzianka i wydała rozkazy: – Jarda, ty przytrzymaj konia. A ty, Wojda, bierz się za strzemie.

Tak zrobili, lecz trzeba było jeszcze podsadzić damę. Ten słodki, niewielki ciężar wziął na siebie mocarny Pakosław. Czując w dłoniach gibkie ciało, tę sprężystość, wiedział już, że zrobi wszystko, aby jeszcze raz je ogarnąć, aż kosteczki w nim zatrzęsczą.

Panna oparła się na ramieniu Wojdy, które dwakroć jakby ucisnęła palcami, przez co młodzieniec tak się zaplątał w suknię wojewodzianki, że głowę mu na krótko materia owionęła, aż kołpak spadł na ziemię.

Jarda bez mała oszalał z rozpaczy, lecz zaraz go nieco uspokoiło miłe i ciepłe spojrzenie oczu jasnych i niewinnych, co zauważyła tkwiąca w niewygodnym siodle ciotka Gertrudy.

– Gertrudo, wracajmy! – krzyknęła ostro, bo już tego było za wiele. I dobrze zrobiła. Następną zwada wisiała bowiem w powietrzu.

Co się odwlecze, to nie uciecze, pomyślała zawiedziona wojewodzianka powszednią mądrością.

Ruszyli w stronę starorzecza.

Ujadające psy wpadły w nadbrzeżne krzaki, z których poderwały się do lotu kaczki z głośnym kwakaniem.

– Puszczaj! – krzyknęła młoda dama, a sokolnik puścił sokoła. Ten zatoczył wysoko ze dwa koła i wzbił się jeszcze. Przerażone kaczki zrobiły błąd, widząc śmiertelnego wroga. No, ale kto by go nie zrobił? Zamiast przypaść niżej, do wody, zamiast uciekać w dół, między krzaki, wzbiły się, nabierając pędu na coraz szerszym kręgu. Sokół leciał w górę, ani myśląc ścigać uciekającą szybko zdobycz. Tedy kaczki jakby całkiem zgłupiały: po zatoczeniu dalekiego koła zaczęły bowiem się przybliżać z mocnym postanowieniem wodowania. Pewnie na ciemniejszym już niebie straciły z oczu śmiertelnego wroga. Ten był wyżej od nich, znacznie wyżej. Przewrócił się przez plecy i spadał szybko, coraz szybciej w stronę ofiar. Jedna z nich spostrzegła zagrożenie, zrobiła kilka uników, jakby straciła równowagę, ale druga wciąż leciała na wprost. Drapieżnik w nią uderzył, posypało się pierze, i ofiara przekoziółkowała w powietrzu. Sokół znów do niej dopadł, niestety, za nisko. Nie zdążył wyjąć szponów, a może zaplątał się rzemieniem, dość że obydwa ptaki wpadły w wodę o niemal dwieście kroków od stojących na brzegu ludzi.

– Puścić psy, niech mi przyniosą zdobycz! – zażądała wojewodzianka.

– Nie puszczaj! – krzyczał sokolnik. – Zaduszą mi sokoła! – krzyczał i biegał wzdłuż brzegu, krzyczał i wabił, ale nic to nie dawało. Sokół się nie wzbił. Ku rozpaczy sokolnika psiarczyk już szczuł psami wskazany przez Gertrudę cel, ale te nie rozumiały, o co chodzi – dla nich był za daleko. Wbiegały w wodę, rozglądały się, stawały nawet na dwóch łapach i wracały do pana po dokładniejsze rozkazy. Widząc to sokolnik, krzyknął, bijąc się rozpaczliwie pięściami w głowę: – Przestań szcuć! Psy mi ją zagryzą albo ona utonie! Taki dobry ptak!

– To sam płyn po niego – usłyszał od damy.

Nie zastanawiając się wiele, zrzucił z siebie kubrak, kaftan i nogawice, w samych gaciach, pośród uśmiezków wysoko urodzonej gawiedzi, wszedł do lodowatej wody. Dygotał z zimna, lecz wzrok miał utkwiony w dal, tam, gdzie coś na wodzie jeszcze się chlapało.

Na brzegu zrobiło się cicho. Gertruda patrzyła zauroczona na oddalającą się głowę sokolnika, sapiącego z wysiłku.

– Chyba nie dopłynie – wyrwało się komuś.

– Wreszcie coś się dzieje. Jak mi nie przyniesie łupu, sama go utopię – twardo obiecała wojewodzianka, a rycerze się roześmieli ku zgrozie sług stojących opodal.

– Gertrudko, nie mów tak – cierpiąca coraz bardziej srogie męki w siodle ciotka płacząco upomniała podopieczną.

Wojda zerknął na rzeczy sokolnika; dojrzawszy wśród nich grubą rękawicę, na której sokół siadał, ledwie chwilę się zastanowiwszy, naraz pojął, że ptak wbije szpony w gołą rękę, a bez kaptura nie będzie spokojny, może w strachu tak dziobać, że sokolnik tego nie przeżyje. Zsiadł więc z konia, zdjął z siebie broń i półkożuszek, zzuł długie trzewiki i nogawice, wziął rękawicę sokolnika i znów wskoczył na siodło. Popchnął rumaka do wody. Ten parsknął, wzdrygał się, ale szedł. Po kilku krokach zrobiła się głębia, i zarówno jeździec, jak i koń, buchnęli w toń po głowy.

– Wojda! Zakazuję ci! Słyszysz! Zakazuję! – krzyczała Gertruda, ale młodzieniec nie słuchał.

– Wracaj, głupcze! – krzyczał Pakosław, podobnie Jarda. Obaj wjechali w wodę, że niby z pomocą, lecz tak głęboko, aby stóp nie zamoczyć.

Wojda na nic nie zważał, oddalał się od brzegu. Chcąc ulżyć rumakowi, zsiadł z siodła i płynął obok, trzymając się lęku. Było zimno, bał się, ale płynął ku sokolnikowi.

– Nie odezwę się do ciebie, słyszysz! Już nigdy do ciebie się nie odezwę! – wciąż krzyczała wojewodzianka, a on, mimo krzyków i mimo chłodu, nie zawrócił.

Serce mówiło Wojdzie „zawróć”, rozum to samo podpowiadał, lecz pojawiła się też przekora, mówiąca: Ja ci dam, zawróć!, która wywołała uśmiech. Niedługo młodzieniec jednak się cieszył. Zobaczył, że sokolnik właśnie dopłynął do ptaka i walczył już o życie. Własne.

Sokolica, czując pod łapą twarde oparcie, coś, co ją z wody wyniesie, wbiła w nie szpony i gwałtownie zamachała skrzydłami. Czułe, uspokajające namowy sokolnika na nic się zdały. Chłopina dostawał po głowie skrzydłami, a nawet dziobem. Osłaniał się, jak mógł, ale zdrętwiały od zimna i osłabły, dwa razy opił się wody, a usłyszawszy tuż obok ludzki głos, przestraszony go zdjął, że to koniec, że nie człowiek do niego mówi, no bo skąd niby ktoś by się tu zjawił. Głos uspokajał,

mówił o siodle. Coś go złapało za rękę, pociągnęło i położyło ją na czymś twardym. Całym ciałem sokolnik przywarł do końskiego boku, oparł policzek o siodło, właściwie ukrył twarz przed uderzeniami skrzydeł, i zakaszłał. Sokolica nie puściła ręki sokolnika. W drugiej łapie wciąż trzymała łup.

Wojda podpłynął jeszcze bliżej i podniósł kaczkę, sokół puścił wtedy rękę sokolnika i ślizgając się, wdrapał na łęk siodła, a młodzieniec popchnął kaczkę w stronę siodła, co uspokoiło wyczerpanego drapieżnika. Półprzytomny sokolnik, sycząc z bólu, wolną dłonią zasłonił ptakowi oczy.

– Płynmy do brzegu – nakazał zdrętwiały z zimna Wojda, na co dostał odpowiedź w postaci potakiwania zakrwawionej głowy. Przepłynął na drugą stronę rumaka, ostrożnie, z uwagi na niedalekie szpony sokolicy, położył niepotrzebną rękawicę na siodle, a sam chwycił za jego łęk i wszyscy popłynęli w stronę płycizny.

Rycerze na brzegu nie wiedzieli, co robić. Wojewodzianka – niby zła – cieszyła się w duchu: Dla mnie to wszystko, dla mnie!, słudzy zaś czekali na rozkazy, lecz się nie doczekali. Tylko psiarczyk coś przedsięwziął. Poprzywiązywał psy do drzewek, uciszył i pobiegł brzegiem do miejsca, gdzie kierowali się Wojda z sokolnikiem. Włazł do wody najdalej, jak mógł, wyciągał przed siebie żerdź, ale ludzie z niej nie skorzystali. Psiarczyk odrzucił więc kij, wyciągnął rękę, złapał za końskie wodze i pociągnął z całych sił. Tak oto dygocząc i z posiniałymi twarzami Wojda, sokolnik, a także sokół z upolowaną kaczką i ukochany rumak Wojdy wygramolili się na brzeg.

Zakrwawiony sokolnik omal omdlał, mimo to nie pozwolił sobie pomóc; trzęsąc się, z trudem założył na zdrową rękę rękawicę i dopiero gdy psiarczyk przyniósł sokoli kapturek i doprowadził ptaka do porządku, pozwolił na opatrzenie ran.

Wojda w tym czasie dowlóknął się z koniem do swoich szat, gdzie mężowie posiadali z koni – damy zostały w siodłach – a rozradowana Gertruda zapytała: – Nic dla mnie nie masz?

– Co mam mieć? – w złości dał odpowiedź, połączoną z zagadką.

– Jak to co? To po co narażałeś życie? Nie dla mojej zdobyczy? – śliczne usteczka przybrały grymas ni to zawodu, ni pogardy.

Patrzył na nią nieprzytomnie, a wyglądał przy tym tak żałośnie, że dziewczę parsknęło śmiechem – zawtórowali jej inni, nawet cierpiąca ciotka – po czym schylił się po swoje rzeczy. Wtedy Pakosław kopnął go w zadek.

– Odpowiadaj damie, gdy pyta! – Pakosław wyjawiał przesłanie, z jakim kopał.

Wojda się odwrócił i trafił pięścią w nazbyt pewną siebie twarz rycerza. Ten cofnął się nieco, splunął i wyciągnął miecz z pełnym rozmachem, lecz na końcu tego rozmachu dostał bykiem w brzuch, aż go zgięło w pół. Rękojeścią zdołał

jednak mocno uderzyć w głowę Wojdę.

Wojda upadł.

Pakosław wznosił już rękę do następnego ciosu, ale wówczas Jarda, krzyżąc niezrozumiale, oburącz odciągnął go od leżącego – koniuszek miecza sieknął jednak po łopatkę Wojdę.

Dźwigając się na kolana, młodzieniec słyszał perlisty i szczerzy śmiech Gertrudy. Zdążył poczuć do niej głęboki żal, który chciałby ubrać chociażby w jedno słowo. Nim je znalazł, osunął się w ciemność.

Rozdygotana Gertruda nie mogła usnąć, rozpamiętując każdą drobnostkę z zajęć tego dnia; Włodzimierz z Bolesławem wrzeszczeli na siebie, co samo w sobie było niezłą podniętą, choć nieliczną przyjemnością sprawiła wojewodziance myśl o tym, że omal doszło do bitwy między orszakami, ale Klemens z Ruszczy przeszkodził. Znienawidziła go. Czyż nie lepiej, jakby wtedy się pobito? A tak rozeszło się na niczym, nawet turniej się nie odbył – nie wiedzieć dlaczego? Pierwszy raz w życiu ojciec, ogłaszając koniec zawodów, patrzył na nią z wyrzutem. Cóż to mogło znaczyć, jej sława przecież wzrosła. Trzej najpiękniejsi mężowie walczyli o nią. I dla niej!

Pakosława najpierw osłonili druhowie, potem zbiegł. Ach, jaki był dzielny! Wojda dla niej omal się utopił; taki dumny czy tylko głupi, trudno pojąć. Pięknie mówi, lecz gdy zwyczajnie jak mąż do niewiasty trzeba zagadać, to ani słowa. Niby silny, a nagle leżący, bezradny... Zająłaby się nim, nawet bardzo chętnie, tylko nie od razu, bo najpierw musiała się napatrzeć, nacieszyć tym widokiem, tym zgiełkiem.

I ten Jarda. Przystojny, wystraszony, drżał, gdy go dotknęła już po wszystkim, że och!

Dobrze, że ciotka spadła z konia. Wzięła od niej chustę, owinęła głowę rannego giermka. Za chwilę zakrwawiona chusta spadła z głowy Wojdy, wtedy Gertruda wreszcie ocknęła się, przestała się śmiać, zeskoczyła z konia, żeby podejść niby do rannego, w istocie, żeby chustę odzyskać i mieć ją, mieć... I miała.

Teraz, nocą, gdy bezradny głupotą Bolesław już nawrzeszczał na nieprzytomnego rannego i wyzwał go od kpów, gdy Wojdę co docucono, to znów mdlał, gdy próbowano poić miodem i rosołem, a on nic nie przyjmował, Gertruda w zaciszu roznamiętniała się coraz bardziej, niemalże jęcząc z niecierpliwości. Wyczerpany walką z niemocą Wojda wreszcie zasnął pod łagodnymi dłońmi sprowadzonych norbertanek, zasnęła i Gertruda wyczerpana niezaspokojonym pragnieniem, potajemnie zbrukawszy sobie stwardniałe, małe piersi krwią rannego z chusty. Sen stał się przedłużeniem jej marzeń.

Była różą, najpiękniejszym kwiatem z niewiarygodnych opowieści, jednocześnie rzeczywistym, bo kilka razy dowieziono aż do Krakowa nie te zwyczajne, pięciolistne, różowawe, ale dużo piękniejsze, barwy głębokiej krwi,

ponoć zamorskie. U norbertanek zasadzono i pielęgnowano takie dla leczniczego celu, jak mówiono, po prawdzie jednak dla pięknego wyglądu i zapachu. Nie o zapach chodziło próżnej wojewodziance, lecz o uderzające podobieństwo między nią a tym szlachetnym kwiatem. O nowej róży, krwistoczerwonej, mówiono, najdumniejsza z kwiatów, bo trzyma głowę wysoko i nigdy nikomu się nie odkłoni – podobnie Gertruda. Najwspanialsza ze wszystkich, bo urodą oszałamia i pozbawia woli. Ona także taka jest, co dowiodły wypadki dnia. Każde płacić krwią za każde zbliżenie do niej, ma przecież kolce, w co aż do dziś Gertruda nie wierzyła, ale i to się spełniło. Do spełnienia było jeszcze więcej i spełnić się musiało. Kwiat ten, powąchawszy, trzeba ucałować prosto w pączek, najdelikatniej – ona oddaniem się za to odpłaci, ale też wzięciem całującego w niewolę. Tego Gertruda chciałaby najbardziej: pocałunku i niewolnika.

Aby się spełniło marzenie marzeń, rycerze stanęli w szranki, choć za ledwie we śnie Gertrudki. Mieli gonić na ostro, na kopie. Podjeżdżali pod drewniany krużganek, mając twarze na wysokości jej łona, a raczej nie twarze, lecz szpary w garczkowych hełmach, jakich w Polsce niewiele, zdobnych klejnotami w kształcie różnobarwnych pierzastych i rogatych bestii. Ona patrzyła z góry, słuchała niewyraźnych, dudniących zawołań, uśmiechała się łagodnie, szpony wbijając w twarde podłokietniki krzesła, niczym sokolica w głowę i rękę sokolnika. Ach! Wbiłaby im szpony gdziekolwiek, aby tylko obrać z kolczugi kawałek silnego, jędrnego, cuchnącego potem i wysiłkiem ciała. Ale jeszcze nie, jeszcze nie... Oni składali honory bronią, rozjeżdżali się i czekali na znak. Jej znak. Dała go łaskawym skinieniem dumnej głowy i rzuceniem chusteczki, co zamiast spaść, płynęła dostojnie ku ziemi, niczym motyl. Wreszcie opadła, na co trębacze zagrali fanfarę. Rycerze jechali, rozpędzali się, dudniła udeptana ziemia, potem dudnienie ustawało, bo konie wbiegały na kawałek, gdzie piasek wymieszano z trocinami, i trach! Tuż przed panną się zderzali, któryś spadał z konia, zrywali mu hełm z głowy, cucili, a on skrwawiony, ostatnim tchnieniem wymawiał: – Gertruda!, i szukał Gertrudy gasnącym wzrokiem. Ona łaskawie, skinieniem podobnym do tego, którym zaczynała starcie, dawała mu umrzeć. Znosili nieszczęśnika z pobojowiska, spływająca gęstwiną kropel krew wyznaczała piegowatą ścieżkę na jasnej ziemi.

Następni rycerze podjeżdżali z ukłonem, z zawołaniami, z gorącymi zapewnieniami, że dla niej umrą. Ona godziła się na to z niewzruszonym, zimnym spokojem, bez uśmiechu, tylko pazurki drapały drewno zamiast męskiego ciała; zaczynała się bać, czy z podniecenia nie moczy sobie niechcący sukni.

Kolejni znów zderzali się z łomotem.

Wielobarwne bestie z hełmianych klejnotów mijały się przed oczami panny, jedna bestia jechała dalej, druga spadała z jękiem i strachem. Znów ktoś umierał z imieniem Gertrudki na ustach. Ona gotowa byłaby go pocałować, tym ostatnim

pocałunkiem dającym tchnienie śmierci. Niestety, nie mogła. Nie mogła! Musiała siedzieć między innymi damami, musiała czekać, trwać, dbać o przystojność, dostojność i inne krępujące wymysły jej stanu i kościoła. Męczyła się, nawet cierpiała w rozkoszonym podnieceniu, oczekiwaniu na odciągające się w czasie spełnienie. Omal jęczała. Starcia zawodników przynosiły w tym ulgę, bo wówczas mogła krzyżeć, dać choć chwilowe ujście uczuciom, a wprost nie mogła już wytrzymać – ciało płonęło, dudnienie ziemi od końskich kopyt odzywało się w łonie żarłocznym pożądaniem.

Po każdym następnym starciu na ziemi przybywała krwawa strużka, czasem kopytami nieco zatarta, acz widoczna. Na polu wreszcie został zwycięzca gonitwy. Gertruda ledwie nad sobą zapanowała, inaczej by powstała, rzuciła się na niego, tak bowiem pragnęła zaznać jego smaku. On podjechał, oddał pokłon bronią – skrwawiony grot kopii stanął przed twarzą wojewodzianki – a wtedy drżąca bardziej od Jardy pod jej dotknięciem Gertruda wianek zwycięstwa założyła na ostrze. Rycerz podniósł kopię i wianek zjechał aż do jego dłoni. Pokazując umajoną broń, objechał dookoła pole turniejowe, a gdy jechał, ona, omal krzyżąc z niecierpliwości, czekała. I jakby za sprawą czaru wrzeszczący ludzie zniknęli, a za rycerzem jakby zaciągała się zasłona. Zatoczył krąg i wszystko spowijała biel mgły. Zostali sami i tylko na nich świeciło słońce. Gertrudka zeszła z podwyższenia na bitewną, jasną ziemię zroszoną krwią pokonanych. Rycerz podjechał bliżej, obniżył kopię aż do stóp wojewodzianki, grotem uniósł za breg sukni, odsłaniając nogi i łono podnieczonej panny. Panna skwapliwie przytrzymała fałdy sukni aż pod brodą, nic nie mając przeciw temu, żeby grot kopii ślizgnął się tępawo po wewnętrznych stronach jej ud. Przekrzywiła główkę i uśmiechnęła się pobłaźliwie, nie rozchylając jednak usteczek. Wówczas rycerz odrzucił kopię, nie bacząc na to, że uwała w piachu wianek zwycięstwa, zsiadł z konia i podszedł.

– Zdejmij hełm! – rozkazała.

Zdjął. To był Pakosław.

– Klęknij! – powiedziała, przygryzając wargi.

Klęknął, pochylając głowę, a gdy ją podniósł, patrzył na nią Jarda.

– Całuj – wysyczała, zamykając oczy w oczekiwaniu, szczęki się zwały, a ząbki obnażyły jak do warczenia.

Świata już nie było, tylko mgła snuła się dookoła.

Ona chciała, bardzo chciała, a tu nic się nie działo, zupełnie nic! Spojrzała zdziwiona na rycerza, ten pochylony jak do modlitwy, dłonie miał przewiązane jej błękitną wstążką. Rana we włosach spływała krwią. Zniecierpliwiona schwyciła suknię w zęby, postąpiła o krok i złapała oburącz głowę rozmodlonego, aby ją do siebie przyciągnąć. Ten akurat na nią spojrzał. Zamarła na chwilę, bo nim dał się pochylić, nim ustąpił przed przemocą, wojewodzianka ujrzała w twarzy zalanej krwią smutne, pełne wyrzutu oczy Wojdy. Krzyknęła, gdy twarz przychyliła się do

niej, a upuszczona suknia opadła na głowę klęczącego. Krzyknęła jeszcze raz i kolana się pod nią ugięły. Wtedy wystraszone towarzyszki ją obudziły, leżącą na boku, zwiniętą, miotającą się w skurczach. Przybiegła nawet spłoszona ciotka, nie bacząc na bolesne, jeździeckie obtarcia słabizny, przypadła do cierpiącej, położyła dłoń na jej głowie i odgarniając mokre włosy ze spoconego czoła cierpiącej, zapytała trwożnie: – Co ci jest? Gertrudko! Co się stało?!

Gertrudce te pytania zdały się taką niedorzecznością w jej najwyższym uniesieniu, jakiego w życiu jeszcze nie zaznała, że omal parsknęła śmiechem. Na szczęście ciotka nie widziała w półprzymkniętych oczu z uciekającymi w górę źrenicami i szczęśliwej błogością twarzy podopiecznej. Wojewodziance udało się przemienić śmiech w szloch, co było trudne, ale nie takich cudów wcześniej dokonywała.

– Nic, ciociu, nic – wyszeptała, walcząc z całych sił o zachowanie powagi. – Coś strasznego mi się śniło. Ktoś chciał mnie przebić mieczem.

I dobrze by zrobił, pomyślała ciotka, ale powiedziała coś innego: – Nie bój się już, to tylko wspomnienie wczorajszego dnia. To tylko sen – mówiła jak do małej dziewczynki.

– Tak, to tylko sen – wojewodzianka westchnęła, dodając w duchu smutno: niestety.

SPOSÓB NA RANY

Krwawe rany różnie się goją, zależnie od tego, czym były zadane. Rany cięte od miecza czy noża obficie krwawią, ale i całkiem dobrze się goją, chyba że ostrze było zatrute, zabrudzone lub zardzewiałe. Trudniej goją się rany głębokie od pchnięć, bo łatwo o ich ropienie w głębi i mogą długo się jątrzyć. Najtrudniej goją się rany poszarpane, zadane kłami zwierząt, w paszczy psa, wilka czy niedźwiedzia, co żrą zarówno mięso świeże jak i padlinę, zawsze jest dużo jadów choćby od zgniłego mięsa, ale mniej krwawią od ciętych mieczem. Najgorsze do zagojenia są obrażenia zadane zębami ludzkimi. Wprawdzie człowiek nie ma jadów od padliny – chyba że coś gnije w człowieku, bo czasem śmierdzi mu z ust, albo jest już taki zły, że wzbierają w nim jady, napływają do ust i obmywają zęby. Wtenczas jest wściekły, obficie się ślini i ma trujące ugryzienie. Jeżeliś kto jest poraniony do krwi, weźmij kwartę wody, zagotuj na ogniu, wrzucić tam szmatkę i ziele krwawnika. Musi się parzyć powoli, aż ziele puści soki. Inną szmatką przemywaj ranę z brudu i krwi przy użyciu wywaru. Szmatkę, co się gotowała, wyjmij, owiń w nią ugotowane ziele i przykładaj na ranę. Żeby więcej krwi nie uciekało, obwiąż nad raną, ale nie za ciasno. Gdy już rana przyschnie, można przykładać

do niej co dzień świeże ziele krwawnika, wtedy będzie szybko się goiła.

Tak krakowskie norbertanki opatrzyły rany nieprzytomnego Wojdy.

Rozdział 3.

Pokusa

Warowna, drewniana wieża rycerska Zalesia, otoczona wałem, stała na długim, łagodnym wzniesieniu, będącym najwyższym miejscem w okolicy, nie licząc odległych o dwa, może trzy tysiące kroków na zachód ciągłego pasma pagórków wyznaczających najdawniejszy bieg Odry. Od strony wschodniej i zachodniej warownię otaczały pola uprawne i łąki pomieszane z szuwarami i głębokimi jeziorkami. Całość wód wyglądała niczym wielki łuk wyznaczony biegiem i rozlewiskami kapryśnej rzeki, cięciwę zaś stanowiło starorzecze znaczone oczkami jeziorek. Dlatego na Zalesie mówiono, że leży na wyspie, choć nie było to prawdą. To znaczy niekiedy leżało, gdy wezbrana Odra płynęła dookoła, aż pagórek z wieżą Dobrosza i przyległościami na kilkaset kroków były południowym krańcem wyspy ciągnącej się dalej na północ na jakieś dwa stajania, gdzie tamtejszą część wzgórza obsiadła wieś Zalesie. Za ludzkiej pamięci tylko raz przydały się wały wokół wieży, żeby powstrzymać wodę płynącą szeroko, aż wlała się do lasu po zachodniej stronie.

Do tego lasu, chcąc nie chcąc, teraz zmierzał rycerz Dobrosz herbu Rogala. Kilkanaście lat temu, gdy woda – jak setki razy w przeszłości – przelała się przez las i wyrzeźbiła kilka jezior, nic nie zostało z chałup Zalesia ciągnącego się wzdłuż brzegu rzeki; to znaczy nic, ale tylko z chałup, co je nieopatrznie postawiono w dolinie, blisko uprawnej ziemi, bo kto miał domostwo niemal na granicy lasu albo na samym pagórku, woda co nieco pozabierała, lecz nie wszystko.

Ludzie zwykle nie mieli żalu do Odry. Starali się mieszkać od niej nie bliżej niż na dwieście kroków, na długim pagórku, co jakby przedłużał górkę z wieżą warowną – stał na nim nieduży kościółek z wałem obronnym czy to od ludzi, czy od wody. Cmentarz urządzono gdzie indziej: wzdłuż biegu rzeki, na zachód, poza zasięgiem wylewów i z dala od pól uprawnych. Dolina była niezłym spichlerzem zasilanym namulem z Odry, czasem tylko zanieczyszczanym jałowym piaskiem. Kilka lat żyznych przeplatał rok ubogi, z nazbyt dużą wodą. To dlatego las znacznie odsunął się od biegu rzeki, bo i tam, na piaszczystych wzniesieniach, uprawiano ziemię, choć lichawą, dającą przeżyć w nazbyt mokrym roku. Nawet z czasowych nieużytków wyciągano korzyści, bo były wówczas rozległe łąki tam, gdzie nadmierne wylewy nie dały orać i siać.

SZEPTY

Nareszcie będzie o dziewczurze

Znów ją ujrzyście słuchacze wierni

Znajdziemy ją w jakiejś śląskiej dziurze

Gdzie dobrzy ludzie są potrzebni.

Ponad miesiąc minął odkąd Wojda wrócił do domu albo raczej przywieziono go do wieżycy. Zagoiły się rany na głowie i plecach, wydobrzał też z zapalenia płuc, ale cały czas pozostawał nie swoim. Początkowo nikt tego nie zauważył, jeśli nawet, to brał owo milczenie za dobrą monetę: na co dzień Wojda mówił mało, jego milczenie po chorobie nie wydawało się więc niczym nadzwyczajnym. Niestety, młodzieniec stracił ochotę na jadło i napitek.

Na tydzień przed Bożym Narodzeniem, tak po prostu nie wstał z posłania. Coś odpowiadał, raczej od niechcienia, łagodnie się uśmiechając, nawet przeproszał, że jest znużony, że musi spać. Nie spał jednak. Leżał i gapił się to na ogień, to na ścianę albo powałę, niekiedy bawił się niebieską wstążką. Gdy miał wstać, dopadało go takie drżenie, że nie mógł. Trochę rozpacz wkradła się w serca domowników, ale niedługo trwało załamywanie rąk nad chorym. Co prawda ojciec Wojdy, Dobrosz, jak to bywa z męską częścią świata w obliczu choroby, niczego nie zrobił, tylko znalazł zajęcie dla rąk i myśli, żeby przed samym sobą skryć własną bezradność, mruczając wściekle ni to do siebie, ni to do żony: – I co? Wiele dało wysłanie go w świat? Powrócił kasztelanem?! – Podróż syna do Krakowa nie podobąca mu się już wcześniej.

Matka młodzieńca, Bożena, jak to z niewiastami bywa w obliczu choroby, uznała, że dłużej niedomaganie syna trwać nie może, zwłaszcza że był ostatnim dzieckiem – przed dziesięciu laty przeżyła śmierć dwojga na zarazę, a dwa lata temu wydali córkę za mąż aż za Łęczycę. Czyniła teraz, co mogła, aby ulżyć w niedoli jedynemu synowi – gdy domowe sposoby zawiodły, posłała po pomoc. Chcąc zakryć rozpacz, fuknęła ostro na służbę i ruch się zrobił, jakby w stado wróbli wpadł krogulec.

Na tym wyczerpała się chwilowo gwałtowność Bożeny. Choć zazwyczaj i mężowi obrywało się przy takich razach, teraz nawet nie spojrzała w jego stronę, mimo że zuchwale pyskował. Nie czekał, aż coś usłyszy od żony, poszedł do stajni, między konie; z nimi w takich razach było łatwiej się dogadać. I tak zawsze czynił to, czego chciała, choćby dla świętego spokoju.

Pomoc miała nadejść od mieszkającej na uboczu starej wiedźmy Wisławy – starej, ale jarej, zwłaszcza na umyśle – cieszącej się zasłużoną sławą skutecznej

zielarki. Po trosze bano się jej, po trosze szanowano, w każdym razie wysoko ceniono. Za młodu podobno bywała w świecie, nie tylko w Opolu czy Wrocławiu, ale nawet aż w Krakowie i Poznaniu. Po co? Nikt nie wiedział, nawet jakby chciał wiedzieć, to bał się zapytać.

Wyjątków na tym świecie jednak nie ma. Trudno w to uwierzyć, ale właśnie wyszło na jaw, że nawet Wisława jest człowiekiem jak inni i tak zwyczajnie słabuje. Bolały ją głowa, plecy, mięśnie i stawy. Cały dzień i noc leżała w gorączce i niemalże majaczyła, potem tylko gorączkowała już bez majaczenia. Trwało to czwarty dzień. Już jakby wychodziła z boleści, ale nie miała jeszcze siły wstać.

Posłaniec wrócił z niczym i oznajmiwszy pani Bożenie, jak się sprawy mają, zebrał po pysku najpierw dwakroć z lewej strony, a nim zdążył zapytać za co?, również z prawej, co prawda tylko raz, za to w dwójnasób mocniej. Trzymający się za policzek pacholek dostał więc inne zadanie – odnaleźć pana i w tej chwili go zawołać, co było znacznie łatwiejsze niż sprowadzenie wiedźmy.

Za kilka pacierzy przed żoną stanął Dobrosz, westchnął z góry pogodzony ze swoją dolą i, jakby nic innego przez całe życie nie robił, tylko latał wte i nazad, aby spełniać zachcianki żony, zapytał: – Czegóż znowu chcesz?

Bożena podskoczyła na to, jakby ją giez ukąsił.

– Nie rozumiesz? Zaczнешь wreszcie myśleć? Po wiedźmę trzeba jechać, niech go zbada.

– Przecież już posłałaś. I co? Nie zbadała? – zapytał przytomnie, choć nieco niecierpliwie.

To pytanie dodatkowo rozwścieczyło jego połowicę.

– Nie zbadała! Wcale nie przyjechała.

– Dlaczego? – znów zapytał, lecz tym razem niewinnie.

– Słabuje – padła krótka odpowiedź; całkiem jeszcze ładna niewiasta omal rzuciła się z pazurami na niedomyślnego męża.

– Skoro słabuje, to nie przyjedzie – wywnioskował Dobrosz, czym żony nie uspokoił, o nie.

– Trzeba ją ściągnąć, choćby siłą! Nie będę się przyglądała, jak moje dziecko ginie. Jedź po nią!

– Może lepiej z nim jechać do niej? Mniej zachodu będzie... – mówiłby jeszcze dłużej, lecz jego spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem Bożeny, a wtedy zwątpił w cel gadania i szczęka mu się zamknęła z niemego rozdziawienia dopiero wtedy, gdy ni to przytaknął, ni zaprzeczył.

Szedł wydać polecenie, żeby osiodłano mu podjezdka, gdy dogoniło go niecierpliwie: – Pojedziesz czy nie?

– Tak! – odpowiedział przez zaciśnięte zęby, nie odwracając się, i machnął ręką z rozcapierzonymi, zakrzywionymi paluchami – tylko siłą woli nie zacisnął ich w pięść, choć bardzo, oj bardzo chciał.

Przy stajni ochłonął na tyle, że kazał osiodłać jeszcze jednego konia – a nuż się przyda.

Odjechawszy od wieży, Dobrosz rozejrzał się po okolicy, jakby miał jechać daleko. Prawdę mówiąc, nigdy nie przepadał za podróżami, bo najlepiej czuł się u siebie. Lubił swoje ziemie, nie tylko dlatego, że były jego. Podobały mu się, a niczego lepszego i niczego więcej nie pożądał.

Rzeczywiście, nie tylko ładnie tu było, ale i dostatnio.

Dobrosz cieszył oczy widokiem: świat skrzył się tego mroźnego, słonecznego przedpołudnia bielą śniegu. Było pięknie.

Sady na zboczach pagórka okrywał nie liść i owoc, lecz szron, a plecione na różne sposoby z wszechobecnej wierzby opłotki dzieliły ten mały świat na skrupulatnie wyznaczone części. Rycerz uśmiechnął się i odetchnął pełną piersią. To był jego świat i dało się z niego żyć na tyle dobrze, że na każdą wyprawę musiał wystawić czterech konnych gotowych do walki w pancerzu, hełmie i z kopiań albo kuszą.

Spojrzał w prawo. Rzeka płynąca w oddali także była ładna i choć nieco wezbrana, bezpiecznie odległa. Wstęgą ciemnej stali przeżynała na ukos biały jak ser krajobraz, odcinała drugi brzeg, gdzie hen za pasmem ciemnego boru widać było niewyraźne mimo przejrzystego powietrza dymy innej wsi założonej niedawno na prawie niemieckim i Niemcami zasiedlonej. Spochmurniał nieco, bo tych sąsiadów nie lubił, mimo że na razie w niczym mu nie wadzili, a zalesianom przydawali się w wymianie różnych dóbr. Jakoś tak mu, mimo wszystko, przeszkadzali.

Posmutniał bardziej, gdy usłyszał zza pleców ni to odległe kwilenie myszołowa, ni to równie dalekie jęczące zawodzenie rybitwy, z tych, co się lęgną na piaszczystych wyspach odrzanych. Ten głos nie miał jednak nic wspólnego z ptactwem. Dobrosz znał go już od ponad dwudziestu lat i nie pomyliłby z niczym innym. To, co doszło jego uszu, to zew jego niecierplivej żony, stojącej na wale, poganiającej i pokazującej, co robić.

Nawet nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, o co chodzi. Westchnął ciężko, pochylił głowę i ruszył dalej.

Trzeba jechać do więdzmy.

Odra ciągle robiła niespodzianki. Ot choćby tam, gdzie rósł gęsty las odcinający od świata całe zakole z Zalesiem i kilkoma dzikimi wyspami, gdzie rzeka już nieraz miała swoje łożysko. Las miał przez to kilka jeziorok i bagien – raczej bagnistych jeziorok – z całymi połaciami wierzby i olchy. Zdawałoby się, że tam, gdzie płynęła kiedyś rzeka, musi być płasko. Nie było, wzdłuż jeziorok ciągnęły się bowiem pagórki, których woda nigdy nie zalewała. Na nich przeświecał gdzieś żółty piasek, na którym smagane wiatrem poskręcane sosny trwały wbite weń korzeniami rozcapierzonymi niby palce pradawnych

smoków. Dziwnie to wyglądało, bo zaraz w dole, zaledwie o kilkadziesiąt kroków, zaczynało się życie z wilgotną łąką wyskubywaną przez krowy, owce i kozy zalesian. Tak ze trzy, cztery razy niezbyt użyteczne bagniska przeplatały się z pasami ziemi porośniętej sośniną na wyższych pagórkach, to znów olszą, wierzbą i grabiną w obniżeniach. Czasem natrafiało się na otwarte lustro wody, okolone gęstym szuwarem albo bukową drągowiną, nawet dorodnymi gajami z tych drzew. W dodatku bobry bezustannie bobrowały, czyniąc okolicę topieliskiem o kształcie innym każdego roku.

Przybyszom obszar ten przedstawiał się niepewnie. Łatwiej było tu o trzęsawisko niż twardą ziemię. Jeśli wziąć wzgląd na to, że za bagnami gęstwina leśna tworzyła coś nieprzeniknionego i dopiero dalej, ku południowi, rozległa puszcza stawała się nieco bardziej świetlista, trudno się dziwić, że mało kto miał ochotę sprawdzać, co jest za strasznie wyglądającym lasem. Dlatego – jeśli podróżny nie musiał – nie skręcał z drogi Opole-Brzeg-Oława-Wrocław w stronę Zalesia, czyli – jak z bliska i z daleka wyglądało – bagien. Zdawać by się zatem mogło, że Zalesie było odcięte od świata. Wcale nie! Do Zalesia się nie dojeżdżało, lecz dopływało.

Wśród bagien, chaszczy, jeziorok i lasów stał dom starej wiedźmy. W jego stronę szedł tylko ten, co musiał, bo trzeba było odważyć się i przejść, a jakże, obok uroczyska. Nawet w dzień człek czuł się nieswojo, mijając kilkanaście uschniętych drzew wystających z wody od wiosny do późnej jesieni pokrytych lepłą, zieloną rzęsą. Pośrodku tego, na pagórku, stał, jak gdyby nigdy nic, zielony dąb, którego widok robił niesamowite wrażenie – on jeden żywy, a reszta martwa. Dalej zaś brzoza tak stara, aż czarna od dołu, równie jak ten dąb duża. Mówiło się, że oba drzewa wyrosły na grobach nieszczęśliwie zakochanych. Sam widok tych jakże różnych drzew nigdy zębem bobra nie ruszanych, stojących żywo wśród drzewnej martwoty, wprawiał w osłupienie.

Na tym nie kończyły się jednak niespodzianki na uroczysku. Tutejsza woda, czy też błoto, miało tę właściwość, że zimą toto nie zamarzało, coś zawsze parowało, bulgotało, śmierdziało zgnilizną. To jeszcze nic. Nocą się zdarzało, i to nader często, że po tej martwocie biegały niebieskie płomyki będące duszami potępieńców... Lepiej było tam nie chodzić. Nawet ptactwo omijało to miejsce. Dobrosz właśnie przejeżdżał obok, zmierzając do celu wyznaczonego przez Bożenę.

Uroczysko miało moc nawet w śliczny dzień, nim więc rycerz je minął, prawie nie zerkając w stronę pary drzew, odmówił *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario*. Mimo to nadal mu było nieswojo. Z przejścia pamięć tak dopisała Dobroszowi, że całe *Credo* odnowił, i to po łacinie! Z trudem, ale w końcu otrząsnął się z wrażeń i ujechawszy trzysta kroków, widział już w oddali ciemniejszą – mimo szronu – kępę drzew i krzewów; tak każdemu się wydawało, ale po podjechaniu bliżej owa

kępa okazywała się ostrokołem ledwie wystającym znad krzewów jeżyn, co rosły zwartym wałem okalającym szczelnie ogrodzenie. Za nim były zabudowania czarownicy.

Krzewy jeżyn z ostrokołem zalesianie sobie tłumaczyli na swój sposób – według nich wiedźma tak dbała nie tylko o bezpieczeństwo od zwierzyny, ale również od ludzi; każdy przecież wie, jak ciężko przejść przez czepliwe, gęste pędy. Tak myśleli, nie zadając zbędnych pytań. W istocie wiedźma lubiła jeżyny i chciała mieć je blisko, ale nie chciała, żeby zajmowały cenne miejsce w obejściu, dlatego obsadziła nimi obszar wokół ostrokołu.

W ostrokołe była furta prowadząca na podwórze. Dobrosz przywiązał konie do palika, co jakby tylko w tym celu tkwił przed furką, po czym klasnąwszy dłońmi kilka razy, wszedł do środka.

Chata była spora, znacznie większa niż kmiece. Wyróżniała się jeszcze dachem wysokim i stromym, i całkiem okazałym podcieniem. Obok stało kilka spichlerzy na kurzych łapach, żeby byle co nie mogło się dostać do ziaren, nasion i naręczy suszonych ziół. Z jednego z nich coś szybkiego i żywego bystro patrzyło na Dobrosza, co jednak nie zdziwiło go nic a nic. Prawie każdy miał w tych stronach łasicę, chociaż nie każdemu mnożyły się one w domu.

Tak, tak, zagroda starej wiedźmy nie była byle jaka!

Klasnąwszy powtórnie kilka razy i nie doczekawszy się zaproszenia, Dobrosz zapukał w niskie drzwi i nacisnął rygielek. Ustąpiły, skrzypiąc na biegunach. W ciemnej sieni dopadł go zapach kwiecistego siana. Zanim zamknął za sobą drzwi, rozeznał w półmroku stępę do kaszy, żarna i skrzynie na zboże. Poszedł dalej i popchnął drzwi do izby.

– Pochwalony! – powiedział, pochylając się mocno i wkładając głowę w mrocznawe wnętrze.

– Na wieki wieków – odpowiedział słabosilnie niewieści głos.

Wnętrze zapachniało ciepłem i ziołami. Prawdę mówiąc wchodząc tam, wchodziło się niemal w odurzenie. U powały, na ścianach, na rozstawionych żerdziach wisały zioła starannie związane w pęki albo uwite w wianki. Przede wszystkim pachniało miętą, ale ktoś o czułym powonieniu znalazłby również rutę i jeszcze ze trzy inne – choćby zapachy mydlnicy, rumianku i piołunu.

Nos Dobrosza wyczuwał miętę, poza tym – jakby powiedział jego właściciel – jeszcze coś, i to tak mocno, że się odezwał: – Na świecie powietrze dziś czyste i ostre jak brzytwa, a tu jakbym w łękę w maju wpadł, aż w głowie się zakołowało.

Zwyczajnie w takiej chwili stara by zażartowała, teraz jednak tylko powiedziała cicho: – Tedy usiądź... – I zaraz równie słabo dodała już nie w jego stronę: – Anka, podaj panu stołek.

Wtedy Dobrosz zobaczył drugą niewiastę, raczej niewiastkę, bo bardzo młodą. Niedużą, całkiem bystrą w ruchach – śmigłą, przypominającą nieco łasicę,

co biegła po dachu spichrza. Splecione w długi warkocz włosy błyszcząły rudo w świetle czerwonego płomienia zjadającego z potrzaskującym smakiem patyki na kamiennym palenisku. Twarz miała jasną, nawet białą, bez żadnego piega, buzię okrągłą i szczupłą zarazem – każdy by powiedział: łagodną. Czarne brewki nie wysklepiały się w szlachetne, ostre łuki zdziwienia ani nie przywodziły na myśl jaskółczych skrzydeł, co znów by nieco niepokoiło drapieżnością. Ot, tak jakoś całkiem zwyczajnie niezbyt grubymi, gęstymi kreskami mówiły, że co złego, to zaprawdę nie one. Ładna buzia okolona czernią i czerwienią uśmiechnęła się, ukazując pod niedużym noskiem rząd białych, równych zębów, których niejedyn szczupak by się nie powstydział.

– Ale ci wyrosła, że ho, ho! Nie poznałem cię, Anulka. Przecież zawsze byłaś dziewczynką – powiedział prawie z zachwytem rycerz, siadając na zydelku.

Dziewczę dygnęło wdzięcznie i w obrocie szybkim jak bąk puszczonego po podłodze, zafurkotała kieckami, wycofała się i zajęła doprawianiem strawy.

– Zawsze dziewczynką nie będzie. – Stara uśmiechnęła się słabo. – Od dawna już nie jest, jeno nie zauważyłeś tego, panie Dobroszu.

– Ano nie... Dzieci rosną. Ot, jeszcze niedawno mój smyk na psie jeździł, teraz rycerzem zachciało mu się być, rumaków dosiadać, wielkie damy zabawiać. No i wiesz, co teraz... – powiedział smutno i z westchnieniem.

– Niby coś słyszałam, ludzie gadają, ale w to lepiej nie wierzyć. Poszłabym zobaczyć, pomóc, nie mam jednak siły. Za dwa, trzy dni. Łyżkę nie zawsze do gęby doniosę. Teraz ona mnie karmi. – Opadającą ręką wskazała dziewczynę.

– Widzę, widzę, nie musisz mówić, ale znasz moją panią. Dziurę w brzuchu wywierci albo w głowie wygada. No i ja się martwię. Naprawdę jest nieswój. A więcej synów już nie mam – przyznał ze smutkiem.

– Co się dzieje? – zapytała Wisława.

Rycerz opowiedział pokrótce o krakowskich zdarzeniach tak, jak mu je opowiedziano, i jak sam je sobie rozeznał.

– Był przeziębiony, ale już nie jest. Nie ma gorączki. Rany mu się zagoiły. Co tam zresztą mówić. Na ramieniu, z tyłu, miał cięcie, ale gładko i szybko się zrosło. Siostry norbertanki w Krakowie go leczyły i, powiem ci, naprawdę dobrze. Ta na głowie była groźnawa, ale widziałem groźniejsze.

– Czym zadana?

– Mieczem, lecz nie ostrzem. Głowicą rękojeści. Kości nie były uszkodzone, nic go nie boli.

– Jak gada? Wyraźnie czy bełkocze czasem?

– O to właśnie chodzi, że za mało gada, a gdy gada, to wyraźnie, składnie. Też myślałem, czy może coś z głową ma nie tak, ale chyba nie? – zakończył z powątpiewaniem.

Stara zmrzyła oczy, które świeciły chorobą z podłużnej, nieco

pomarszczonej twarzy otoczonej siwymi włosami – zwykle zaplecione w warkocz i schowane pod chustką, lecz teraz na czas choroby starannie rozplecione, żeby лихо nie miało gdzie się schować.

– Zawsze rany głowy są najgroźniejsze – po chwili rzekła cicho Wisława. – Zawsze. Czasami niewiele trzeba, żeby kogoś przytomności pozbawić. Wypadałoby zobaczyć. – Uniosła się na łokciu, zaraz jednak opadła. Westchnęła głęboko: – Ale już nie dziś.

Dobrosz miał w rękach kołpak z bobrowego futra, dumiał nad czymś, wreszcie powiedział szeptem: – Może to nie jest sprawa ran? Może coś innego? On ciągle myśli, osowiały się zrobił, jak nigdy. Z początku jadł, teraz nie chce, a przecież już dobrze było. – Powiercił się trochę na zydlu, mruknął „hmm” chyba do siebie i nachyliwszy się nieco ku Wisławie, wyjął: – Ja tam myślę, że to sprawka wojewodzianki. Rycerzem go nazwała, szarfę niebieską dała, a po prawdzie wystawiła go na zwadę i wyśmiała. – Złość targnęła ojcem, aż w oczach zalśniły łzy. – On pewnie już to pojął – zaraz głośniejszym głosem rzekł – że się zakochał albo urok tamta na niego rzuciła. Swoje wiem, starzy także od tego głupieją, to co młodemu się dziwić? Tego się boję. Że zgłupieje. Pewnie pamiętasz młodego Miłosza Dąbrowę, co nożem się przebił? Ten mój schnie w oczach, a przecież nawet nie ma co marzyć o tej... – Dobrosz głos zwiesił, machnął ręką i nie dokończył.

Stara otworzyła oczy.

– Kto wie, może i słusznie prawisz. – Znów chciała się podnieść, lecz znów opadła na posłanie. Przebiegł ją zimny dreszcz, okryła się wyżej i zasłoniła oczy dłonią. Gdy ból głowy nieco przeszedł, odezwała się, a spod palców wyciekły jej dwie łzy. – Na miłość lekarstwa nie ma, tylko bardzo, bardzo długi czas albo inna miłość. Za to nie ma takiego uroku, coby nie dało się go odczynić. Powiem ci, panie Dobroszu, że byłoby lepiej, gdyby to był urok, nie zaś rana wewnątrz głowy.

Oboje się zadumali.

Dziewczyna krzątała się przy ogniu; do bulgoczącej wody wrzucała po szczypcie zieleń, próbując drewnianą łyżeczką, wreszcie, kiwnąwszy głową, że dobre, odlała trochę wywaru do kubka, następnie przelała do drugiego i przelewając z jednego do drugiego dla ochłody, podeszła do chorej. Pomogła Wisławie się unieść, sama przysiadła na łożu i przystawiła stanowczo naczynie do ust starej. – Pij!

Wypiła do dna, po czym skrzywiła się, pokazując język, mrużąc oczy i kręcąc głową z obrzydzeniem. – Gorzkie!

– Sama mnie uczyłaś, że takie musi być.

– Chyba łyko z całej wierzby ugotowałaś, takie mocne. Co tam jeszcze dodałaś? Chrzan?

– Przeżyjesz, mateczko!

Córka pomogła chorej na powrót się ułożyć na pościeli, a gdy się umościła, rzekła do rycerza: – Widzisz? Taka młoda, a już z niej jędza.

Dobroszowi było smutno, mimo to nieśmiały uśmiech niczym ognik zapełgał na jego twarzy. Gotów był przytaknąć, lecz nim to zrobił, popatrzył na starą, na młodą i rzekł nieśmiało: – Może... Może Anula by pojechała? Mam drugiego podjezdka ze sobą.

Nagle to, co wcześniej, przestało być ważne. Stara i młoda popatrzyły na siebie, pierwsza z niezadowoleniem, druga z miłym zaskoczeniem.

Nie spuszczać Anki z oczu, wiedźma rzekła z naciskiem: – Jakby chodziło o przeziębienie, zimnicę czy zaognioną ranę, niechby i jechała, ale tu coś gorszego być może.

– Niech jedzie, zobaczy co, wróci i opowie, a mnie Bożena da wtedy żyć. No i sam będę spokojniejszy.

Stara całkiem już spochmurniała po słowach Dobrosza, lecz nim wydała z siebie jakikolwiek dźwięk, młoda ze zniecierpliwienia zapiała: – Dam sobie radę. Co szkodzi zobaczyć? Może pomogę?

– Ciebie leczy – rycerz ją wsparł – to dlaczego kogoś innego nie może?

– Bo to nie jest to samo. Za młoda jest na uroki, jeszcze zdąży tego piołunu zaznać.

– Niech nic nie odczynia, tylko niech przyjedzie.

Stara wiedźma przymknęła oczy, jakby chciała zasnąć. Znów zasłoniła twarz dłonią, tym razem nie z bólu.

– Dobrze. Szykuj się – powiedziała ze smutkiem, po czym obojętnie zniosła pocałunki młodej i podziękowania Dobrosza. Wcale to jej się nie podobało. Wcale.

Za niedługo Anucha ubrana w zgrabny kozuch, z sakwą wypchaną ziołami i ich przetworami, kłaniając się w niskich ościeżach drzwi, wyszła z chaty na świat boży. Słońce rozświetliło jej włosy połyskiem w barwie świeżych kasztanów, w jasnoorzechowych oczach niebo przejrzało się na niebiesko. Nie zapomniała o groźnych wróżbach sprzed ponad miesiąca, tyle że czas mijał, a one się nie spełniały – tak bywało w życiu ludzkim, nie tylko wiedźmy. Poza tym gdy spadły pierwsze śniegi, odeszła ją ochota na zmianę świata na inny, przemożne tęsknoty rozplynęły się w wiatrach i nic już nie troskało, nic nie trapiło – wily i brzeginie poszły przespać zimę w głębinach Odry, nie dręczyła więc dziewczyny niemożność posiadania ich zwiewnego piękna. Przepełniona beztróską młodością uśmiechnęła się do mroźnej urody oszronionego południa czerwonymi jak jarzębinowe owoce ustami i już miała iść za Dobroszem, lecz przypomniawszy sobie o czymś, w radosnym płasie pobiegła do jednego ze spichrzów po wiązkę piołunu; troszkę niepotrzebnie o nim Wisława wspomniała.

Oto nasza dziewczura poszła w stronę nieodwracalnego.

Bożena, zobaczywszy dziewczurę, nie kryła zdziwienia, ale tym razem to

Dobrosz wziął sprawy w swoje ręce.

– Stara jest poważnie chora, młoda ją leczy. Lepsza taka niż żadna, no nie?

– Będzie umiała? – nie bacząc na to, że młoda znachorka słyszy, z powątpiewaniem spytała matka.

– Ma zobaczyć, co jest, i opowiedzieć starej.

– Aha... – uspokoiła się Bożena, ale niewiele. – Rozdziel się, ciepło mamy – łagodnie powiedziała do Anuchy.

W komnacie z grubych bali Wojda leżał na boku, okryty skórą – nie spał, patrzył w ścianę. Matka zapytała go ze słodką troską, niemalże pieszczotliwie jak dzieciątko, od czego głupio zrobiło się Dobroszowi w przytomności dziewczury.

– Powiedz, synku, co ci jest? Powiedz mateczce.

– Nic – padła cicha odpowiedź.

Na to odezwał się Dobrosz: – Przywieźliśmy do ciebie znachorkę. Coś ci musi być, bo od trzech dni nie jadłeś.

– Bo mi się nie chce – odpowiedział chory z dziwną jak na chorego przytomnością.

– Nie zjesz czego? – dopytała słodko matka.

– Nie – odburknął.

Anucha szepnęła coś Dobroszowi do ucha, ten przytaknął i zwrócił się syna:

– Pić chcesz?

– Nie chcę.

– Co widzisz? – zapytała dźwięcznym głosem dziewczura.

Wojda nie odwrócił się, nawet nie drgnął, powiedział twardo: – Włosy. Wszędzie są włosy.

Rodziców przejęła groza. W oczach matki pojawiły się łzy, w oczach ojca bezradność. Działo się coś, co przekraczało możliwości rozumienia. Tylko Anucha zachowała spokój i nie okazała strachu. Podeszła do chorego.

– Zbadam cię, a ty mów, jeśli zaboli.

Przeżegnała się, pomodliła chwilę szeptem, z zamkniętymi oczami i złożonymi dłońmi, i znów się przeżegnała. Rozgarnęła włosy chorego, ucisnęła lekko świeżą bliznę, Wojda nie drgnął. Nacisnęła jednym palcem, mocno, młodzieniec poruszył tylko głową. Położyła mu dłoń na czole: było ciepłe, nie gorące.

Kazała go obnażyć do połowy. Różowa szrama rany wyglądała na czysto zagojoną, nic tam się nie rumieniło, nie podchodziło ropą. Nie syknął, gdy dziewczura dosyć mocno ugniatała brzegi blizny.

Kazała go obrócić na plecy. Chory pozwolił na to. Uśmiechnął się blado. Znali się i widywali od lat, choć rzadko, ostatnio prawie wcale, i nie jej obraz teraz oglądał w wyobraźni.

– Poznajesz mnie? – zapytała, oczy Anuchy teraz przybrały barwę dojrzałych

orzechów laskowych.

Wojda nic nie odpowiedział, uniósł jeno lewą rękę. Wtedy zobaczyła, że coś zaciska w dłoni.

– Co masz? – zapytała.

Lekko rozchylił palce, pomiędzy których wysunął się kawałek niebieskiej wstęgi. Anucha schwyciła ją za brzeg, ale Wojda zacisnął pięść, a w oczach zalśniły mu łzy. Uśmiechał się i płakał. Dziewczura puściła brzeg szarfy.

– Ciało ma zdrowe – powiedziała poważnym głosem. – Z duszą nie jest dobrze.

– Zrób coś – zasyczała Bożena.

– Co mogę zrobić? Tu trzeba większej wiedzy od mojej.

– Cokolwiek zrób, co w twojej mocy. Z nim tak cały czas.

– Spróbuj. Co szkodzi? Wynagrodzimy cię – poparł żonę Dobrosz.

Młoda znachorka popatrzyła na nich, na chorego, który niby wiedział, a nie wiedział, co wokół niego się działo.

– Dobrze – zgodziła się po chwili zastanowienia. – Ale bez pomocy się nie obejdzie.

– Mów, co ci trzeba – gorąco wychrypiała Bożena.

Dziewczura, opierając palec na palcu, żeby się nie pomylić, wyliczała: – Najpierw trzeba go napoić. Woda z miodem trochę go wzmocni. Potem trzeba mi kilka kubków, garnków i dużej balii z gorącą wodą. Jajko by się przydało... Nie wiem, ile mi to czasu zajmie, a matkę muszę nakarmić.

– Tym się nie martw. Jeśli będzie trzeba, ktoś pojedzie.

– Dobrze. Tedy zarządz pani, aby szybko co trzeba dostarczono. Aha! Jeszcze jedno: trzeba tu wysprzątać, żeby ani jedna pajęczynka nie została, ani kłębuszek kurzu.

Wkrótce służba, ponaglana poleceniami i przykładem Bożeny, sprawnie wysprzątała, co trzeba, naniosiła wody, drew i odpowiednich naczyń. Gdy było już czysto, znachorka rażno wzięła się do roboty, szepcząc nieustannie, a niewyraźnie pod nosem. Na dno miski nasypała kilka rozżarzonych węgielków, na nich położyła zmoczone zioła – nie dała im spłonąć, miały się tlić. Wkrótce dym z nich rozesłał się warstwami po izbie, jakby ktoś go pokroił nożem w równych odstępach. Wtedy Dobrosz poczuł niepokój. Zapytał, czy może się modlić. Nieco zdziwiona dziewczura powiedziała „tak”, że nawet poleca; sama się modli, bezustannie szepcze *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario*.

W okopconych glinianych garnkach ustawionych przy ogniu grzała się woda, a w niej pływały już różne zioła. W największym było tak dużo piołunu i bylicy, ile tylko się zmieściło.

Z kuchni doniesiono w cebrzykach wrzątek, który wlano do balii. Wkrótce, po zagotowaniu, znalazła się tam także woda z zielskiem. Od samego ruchu ludzi

w izbie warstwy dymów się wymieszały, doszły do tego jeszcze kłęby pary, i zrobiło się gorąco. Woń spalenizny i ziół aż dusiła.

Choć Wojda nie chciał, udało się w niego wmusić dwa kubki ciepłej wody zaprawionej miodem. Rozebrano go do naga. Dziewczura dolala zimnej wody do balii, sprawdzając co trochę, czy już można włożyć chorego, po czym, nie zważając na bierny jego opór, przeniesiono i ułożono chłopaka wśród pływających liści.

– Do czego to potrzebne? – zapytała Bożena.

Znachorka skrzywiła się, przyłożyła palec do ust, żeby nic nie mówiono, i pokazała tak każdemu z osobna. Sama szeptała dalej, mieszając wodę.

Kurze jajo przeturlała po głowie Wojdy i nadal szepcząc, rozbiła je tuż nad czupryną młodzieńca. Chory drgnął. Dziewczura przelała białko i żółtko ze skorupki do kubka, skorupki cisnęła w ogień – cichutko zasyczały i trzasnęły, krusząc się na coraz drobniejsze grudki żaru – i przelała jajko do drugiego kubka. Spojrzawszy do jednego, do tego, gdzie białko z żółtkiem się mieszały, jej oczy rozszerzyły się i na chwilę, wszyscy widzieli, przybrały barwę czarną. Twarz młodej wiedzmy stężała. Przestała szeptać, patrzyła nieruchomo.

Ciekawość widzów aż kipiała, żeby zobaczyć to, co dziewczura ujrzała na dnie naczynka, ale byli tacy, którzy za nic nie odważyliby się tam spojrzeć. Wojda pochylił głowę, po jego twarzy ciekły krople potu i łez. Anucha ocknęła się z chwilowego bezruchu, podeszła do Bożeny i znów przykładając palec do warg, pokazała jej tajemnicze wnętrze kubka. Ta, spojrzawszy, prawie wepchnęła sobie pięści w usta, aby nie krzyknąć. Wydawało się bowiem, a nawet przysięgłaby, że zamiast przejrzystego białka z żółtkiem widziała pływające w czerwonej zawieszynie wole oko z czarną źrenicą.

Dobrosz także zajrzał do kubka – jego ten widok również nie pozostawił obojętnym. Chciał coś powiedzieć, ale odebrało mu głos; wezbranej śliny nie mógł przełknąć. Chciał splunąć, nie dał rady.

Dziewczura do ognia wylała straszną zawartość naczynia, kubek też wrzuciła w ogień. Trochę kądzieli zawinęła na patyczku z leszczyny. Usiłowała wydobyć z dłoni Wojdy błękitną szarfę: mocno trzymał, nie zdołała, dlatego gestem poprosiła o pomoc i po krótkiej walce rozprostowano kurczowo zaciśnięte palce chorego.

Wojda głęboko oddychał.

Anucha zręcznie uszczypnęła ze wstęgi jedną nić i przewiązała nią kądziel na patyczku, całość podstawiła pod nos Wojdzie – ten westchnął i zaniósł się szlochem. Widział Gertrudkę, w jej postaci, ale jakże odmienioną. Nie w jasnej sukni, lecz w czarnej, nie złotowłosa, lecz okoloną czarnymi kędziorami, co rozpełzały się we wszystkie strony na kształt stada długasnych żmij. W oczach nie znalazłoby się błękitu, lecz bezdenne ciemności piekielne. Pozostało blade lico

z ustami krwiście czerwonymi i uśmiechem drwiącym i zachęcającym zarazem. Powiedział do widziadła, lecz to niespodziewanie zabrzmiało na jawie:

Tylko ptaka albo życie

Tyle darować ci mogę

Tedy wybieraj – lecz wybierz jedno

Jedynie to co ci drogie

Wybrałaś ptaka ja dałem życie

Nie wiem co lepsze doprawdy

Ale zwierzęciu nie okazałaś

Tyle co mnie pogardy.

Znachorka na to czekała. Zaraz wrzuciła w żar patyczek z kądzielą; dla niepoznaki dołożyła do ognia suchej leszczyny, co wesoło strzeliła, roztrząsając iskierki po pomieszczeniu. Kilka z nich dziewczura schwyciła za pomocą innych patyczków i wrzuciła do balii z wodą. Syknęły. Podeszła do Wojdy, przykucnęła i naszeptła mu cichutko wprost do ucha:

To nie pogarda była a pycha

Co rośnie na gnoju z głupoty

Nieważną jest ta zaprzeszła chwila

Najlepiej zapomnij już o tym

Życie jest twoje i więcej warte

Niż latawicy spojrzenie

Wolno ci oddać je tylko takiej

Co dar właściwie doceni

Takiej co sercem zawsze cię wezwie

A nie byle słowem przykrym

Takiej co własne życie by dała

Byleby ciebie wyśnić.

– Co ona powiedziała? – zapytała szeptem Bożena, bo mimo przestachu, jaki i ją ogarnął, coś jej tu nie pasowało aż tak mocno, że matczyne serce, co jeszcze z jednej troski nie wyszło, zaznało nowego niepokoju.

– Nie wiem, one zawsze coś szepcą. Tak choroby zaszeptują – odparł też szeptem Dobrosz.

Dziewczura przyrządziła kolejny napój i podała Wojdzie. Ten wychylił, mimo paskudnego smaku docierającego do niego z każdym łykiem, a gdy skończył, poczuł, jakby się wybudził ze snu. Nie zdziwił się, że goły leży w bali, że obok stoi dziewczyna w prostej, zielonej sukni, z warkoczem jarzącym się miedzią w świetle płomieni, z jednym okiem lekko rozbieganym, tak samo błyszczącym, jak to nieruchome. Spojrzał na strapionych rodziców.

– Wiecie co? – zapytał, aż się poruszyli.

– Co, synku?

– Tyle razy pytałaś mnie, mamó, czy jestem głodny. Naprawdę jestem głodny. Chyba tej łaźni trzeba mi było.

Bożena się nie rozpląkała, przytuliła syna może trochę za mocno, ten też chciał objąć matkę, ale ręce zawisły mu w powietrzu. Pomyślał bowiem, że ją zmoczy, a tego by nie chciał.

Dobrosz podszedł do dziewczury.

– Jeśli o mnie idzie, uważam, że dokonałaś cudu – powiedział. – Niby nic, ale naprawdę wiele. Powiedz, czego sobie życzysz?

– Ja? – odpowiedziała pytaniem na pytanie, odwracając głowę. Jej życzenia na pewno by nie spełnili.

– Wędzonkę, kielbasy i kaszanki z całego świniaka dostaniecie – proponował rycerz.

– Tylko tyle za życie? – młodziutka znachorka odparła już z zuchwałym spojrzeniem.

Dobrosz przygarnął ją i pocałował w czoło.

– Tymczasem tyle. Kiedyś się odwdzięczę, jak będę umiał najlepiej.

– Możliwe, całkiem możliwe – powiedziała trochę bezwiednie i wzrokiem uciekła w bok, a wtedy zobaczyła wpatrzona w siebie oczy Wojdy.

Co prawda miał w głowie zamęt, ale też i wiersz, którym pierwszy raz w życiu ktoś mu udatnie odpowiedział. W dodatku wiersz o nim samym.

Było jeszcze coś, o czym wiedziała tylko ona. Lubczyk zadziałał.

I tak oto dziewczura została czarownicą.

SŁOWO

A jaka jest dziewczura nasza?

Zaraz opowiem wam kochani

Żywi się tak jak wszyscy – kaszą

I też niechcący – umie mamić

Lecz to mamienie to z miłości

Dziewczura nie jest samolubna

Dużo w tym widać naiwności

Być może będzie to jej zguba.

Stara wiedźma w twarzy dziewczury, na zwykle białych policzkach, zobaczyła płomień, miękki uśmiech i ogniki w oczach. Zapytała niewinnie, choć w napięciu: – Jak poszło? Poradziłaś sobie?

Młoda nie odpowiedziała, uśmiechała się tajemniczo, zdejmując z ramienia torbę, potem kładąc ją w kącie, wreszcie wyjmując z niej zioła, kubki i miarki.

Stara uniosła głowę.

– Nie kładziesz tam, gdzie trzeba. Chcesz kogoś otruć?

– Może – odpowiedziała młodziczka mglście, acz z rozmarzeniem, po czym przestawiła ziółka w inne miejsce.

– Oprzytomniej! – Wisława nie wytrzymała i krzyknęła. – Miejsce lubczyku jest z lubczykiem, a ciemżycy z ciemżycą.

Dziewczura zaśmiała się przekornie.

– Jeśli ludzie tak z miłości cierpią, to co za różnica? – zapytała matkę. – Jednemu to, drugiemu owo. Najlepiej obojgu to samo, z tego samego kielicha. Inaczej różnicy nie ma. Na co komu lubczyk, jeśli i tak nie pomoże? Już lepiej truciznę zadać.

Wiedźmie nie spodobała się ta odpowiedź.

– Jesteś głupia, jak wszystko, co młode. Z czegoś trzeba żyć. I ludzie muszą żyć. Co nabroiłaś? – zapytała i w tej samej chwili starej pojawiła się trwożna myśl: Może nas teraz spalą?

Dziewczura usiadła przy wiedźmie, żeby po chwili, nagle, pocałować ją w pomarszczony policzek i przytulić.

Stara pogłaskała ją po głowie.

– Gnieciesz mnie, paskudo, jak zmora, ale teraz nie czaruj, mów.

Młoda westchnęła, ciągle przytulona.

– Nie tak prosto odczarować serce komuś, kto miłuje mocno. Sama przyznaj, mateczko. – Podniosła drobną buźkę i patrzyła poważnie w oczy starej.

– To proste – wiedźma odpowiedziała, uważnie patrząc w twarz dziewczury. – Dajesz mu na sen i wmawiasz, co trzeba.

Młoda westchnęła, i wtuliła głowę pod brodę starej, patrząc gdzieś na polepę.

– Wcale niełatwo. To też urok był, odgonić trzeba go było. Chyba nasięźrzału użyła. Albo z diabłem się zadała i wszystko jej wychodzi – powiedziała domyślnie o wojewodziance i zamyśliła się chwilę z przekrzywieniem główki. – Wmówiłam mu to, co trzeba, ale jego miłość chyba jest silniejsza. Trzeba będzie kiedyś powtórzyć jeszcze raz odczynianie.

Stara wyczuła kpinę czy też nie wiadomo co, bo to „jeszcze raz” było tak powiedziane, jakby do innej sprawy miało się odnosić, ale u tego samego człowieka. Wiedźma zawahała się w głaskaniu, na chwilę zatrzymała rękę w powietrzu, a gdy wznowiła ruch, był już ostrożniejszy, wolniejszy.

– Z bliska też jest taki urodziwy? – zapytała.

Za odpowiedź wystarczyło szybkie, nieznaczące, kilkukrotne przytaknięcie.

– Kogoż on tak mocno umiłował?

– Wojewodziankę krakowską.

Stara zaśmiała się boleśnie.

– Jest sprawiedliwość na tym świecie. Każdemu wolno chcieć czegoś, czego nie może dostać. Dla kmiecia to będzie rycerska córka. Dla rycerza księżniczka. Dla księcia królewna. Dla króla, cesarzówna. Dla cesarza...?

– Ja – odpowiedziała dziewczura.

Zaśmiały się obie, ale Wisława krótko i z syknieniem, bo ją zabolęła głowa. Wyobraziły sobie zabiegającego o względy Anuchy cesarza, którego przenoszą przez bagna, żeby tkanego złotem odzienia nie uwalął, który próbuje przedrzeć się przez jeżyny, i na którego wybranka wcale a wcale nie zwraca uwagi.

Stara, śmiejąc się jeszcze, zapytała: – Kogo ty nie dostaniesz?

Młodą nie zmartwiło pytanie.

– Ja swojego dostanę – odparła śmiało.

– Chyba nie wiesz, co mówisz, dziewczyno – wiedźma spoważniała. – Nie dostaniesz go. Nigdy. Będzie blisko, na wyciągnięcie ręki, a ty go nie dotkniesz jak swego.

– Dotknę – stwierdziła dziewczura i przeciągnęła się niczym kotka, mrużąc przy okazji.

Stara popatrzyła na to bez uśmiechu, choć zwykle ten widok sprawiał jej przyjemność. Wyczekała, aż młoda wykołysze się na wszystkie strony, natrzeszczy stawami, najęczy, nawarczy, a wtedy powiedziała: – Nie bądź taka pewna swego. Tylko weszłaś, od razu wiedziałam, co masz teraz w głowie. Chcesz tego rycerzyka, wiem to. Jeśli wymyśliłaś, że urokiem tamtej ty owładniesz jego, to ci się wydaje, że jesteś sprytna. Wiesz, co zyskasz? Powiem ci. Jego matka cię znienawidzi, a z tobą mnie. Chyba wiesz, co mogą nam zrobić?

Dziewczura wysłuchiwała tego, chwilę rozważała, po czym powiedziała: – Dobrze, on mi się podoba, nawet bardzo. Co w tym złego? Nikt o tym się nie dowie. Ty się domyśliłaś, ale ty to coś innego. Nawet jakbym w nim się

rozmiłowała, kto mi zabroni?

– Ty mi tu sianem się nie wykręcaj – wiedźma wiedziała swoje. – Za to, że ty go będziesz miłowała, sama zapłacisz i dobrze ci tak będzie. Za to jednak, że go w sobie rozmiłujesz, mnie z tobą przeklną. Miłuj go, skoro ci tak dobrze, ale jego rozmiłować w sobie nie radzę. Wiedz, przyszłości to nie ma żadnej! Żadnej! Chwilę tobą się pobawi, bo kochliwy jest, lecz jeśli każą, zostawi cię i inną weźmie. Może i posmutnieje, może nawet się poszamocze, na wojenkę dokądś pojedzie z rozpaczy, a i tak zrobi to, co mu rozkażą. Ktoś inny już, nie ty, będzie uroki odczyniał. Wiedz, wojewodzianki za rzucanie uroków nikt nie ruszy. A ciebie?

– To niech i zostawi. Na razie nie będę tym się kłopotać, bo jeszcze mnie nie wziął – powiedziała dziewczura beztrzesko, ale tak, żeby dokuczyć matce.

– Tego by jeszcze brakowało! – krzyknęła stara wielkim głosem i zaniósła się kaszlem. Gdy odkrztusiła to, co przeszkadzało w gardle, powiedziała zachłyśniętym głosem i ze łzami w oczach: – Ściągniesz nieszczęście na siebie, na niego, na nas.

– Niby jak? – zapytała ze złością dziewczura. – Tym że nikt się nie dowie? Że w tajemnicy zostanie? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. I tak siedzę tu sama, na bagnach, to mogę trochę życia zaznać. – Nabrała wody miętowej w kubek i podała wiedźmie do picia.

Matka przełknęła kilka łyków, opadła na posłanie i powiedziała z lżejszym oddechem: – Muszę cię ochronić. Zawsze chowałam cię tak, żebyś nie kochała nikogo z ludzi.

– A ciebie mateczko?

Stara machnęła ręką niecierpliwie.

– Ja to coś innego. Wiesz dobrze, chodzi o ludzi ze wsi, z zamku, z grodów, nawet z lasu. Nam, wiedźmom, nie wolno nikogo pokochać, bo ściągniemy na niego nieszczęście. Nikogo.

– Ty, sroga wiedźma, na pewno mocno mnie nie kochasz i nigdy nie kochałaś! – bystra dziewoja krzyknęła z udanym oburzeniem. – Przecież mi z tobą jest dobrze. – Znow przypadła do starej i wyciąłowała ją w policzki.

Tej nie było jednak do śmiechu.

– Aj, Anucha, słyszałaś już dziś, nie jesteś dzieckiem. Nie próbuj ze mną tak. – Machnęła ręką, jakby muchę chciała odgonić. – Nie próbuj... – Zamyśliła się.

Młodej niezręcznie było mówić, bo stara powiedziała prawdę. Milczały więc obie, każda nad swoją troską, aż stara odezwała się pierwsza: – Czy chcesz, czy nie, nastał czas, abyś poznała prawdę.

Dziewczura popatrzyła pytająco, ale stara straciła ochotę na opowiadanie. Zapatrzyła się w siebie, dopiero po chwili, kręcąc głową, z wahaniem zaczęła: – Nasze przeznaczenie zawsze jest jednakie. Niby nam jest lepiej niż innym, bo nas

się boją i szanują. Nawet książęta, nawet księża i mnisi. To jest dobre. Ile nas jest, los każdej taki sam, zawsze musimy być samotne. Tyle tylko nam dane jest towarzystwa, aby następną wiedźmę czegoś nauczyć, a gdy już nauczymy, to jakby ktoś tam gdzieś zdmuchnął świeczkę. Nie uwierzysz, też kiedyś byłam młoda, mówili nawet, że piękna. Tylko po co się zajęłam tymi przekłętymi czarami? Póki człowiek młody, nie patrzy na to, że nie ze wszystkim sobie poradzi... – przerwała. W milczeniu patrzyła w żar ogniska, aż z trzaskiem pękł czerwony węgielek, wtedy pociągnęła opowieść: – Jestem z kmieciów urodzona, tylko za ciasno było mi w zagrodzie. We wsi też mi było za ciasno. Na mój rozum wszyscy byli za głupi, tak z tą ziemią związani, zarobieni, niczym woły, ciągle zgięci wpół, niemal garbaci. Mnie się marzyło coś więcej. Dla mnie nie było za trudnych spraw. Umiałam na pamięć ze trzysta piosnek, wszystkie bajędy zasłyszane umiałam powtórzyć. Dlatego zdawało mi się, że jestem lepsza od reszty i nie powinnam wieść życia kmiotka, tylko o wiele lepsze, nawet nie córki rycerskiej, lecz niczym wojewodzianka lub księżniczka. Nikogo się nie bałam. Ojciec, matka krzyczeli, bili, ja się śmiałam. Łaziło za mną kilku, swaty wysyłali. Odtrącałam bogatych, biednych – każdego. Byłam taka ważna, że w końcu przestali o mnie się starać.

Marzyło mi się nauczyć czytać i pisać, poznać księgi. Słyszałam o pewnej mniszce, Hildegardzie, że jest najbardziej uczona ze wszystkich ludzi. Jeśli ona mogła, to dlaczego nie ja? Tylko że ona żyła daleko, bardzo daleko. Blisko mnie był pleban, co chciał niby uczyć, lecz nie darmo. Nie dałam się, ale ludzie już gadali. Trafiłam do klasztoru, tam wiele się nauczyłam, ale nie dla mnie było życie za klasztornymi murami. Szybko pojęłam, że do Hildegardy już nigdy nie dotrę, i nadal marzyłam choćby o księciu. Odeszłam z klasztoru.

Wyobraź sobie, że przydarzył mi się książę, to znaczy rycerz. Na gniadym koniu, wysoki, wesoły, z białymi zębami. Ślepiec miał jasne. Wpadłam mu w oko. A ja, głupia, rozmiłowałam się w nim niczym dzierlatka. Gdy jedno i drugie o jednym myśli, to nie ustrzeżesz. Czy to da się ukryć? Baby wzięły mnie na jęczory. Dobrze nam było. I przyszła wojna z Jaćwieżą. Mój książę, mój rycerz pojechał i słuch o nim zaginął. A ja... gasłam.

Chcieli mnie wydać za kogoś z drugiej wsi. Dowiedziałam się o tym i – jakbym szaleju się najadła – piany na ustach dostawałam, rzucałam zaklęcia na wiatr wschodni, modliłam się i przeklinałam. Nic to nie dawało, mój miły nie wracał. Wówczas jego rodzina uznała, że zginął i to przeze mnie. Rzuciłam na niego urok i od tego nie wrócił. Zechcieli mnie wygnać ze wsi, sama bym właściwie poszła, jeno jakby mi nogi odjęło. Oni się przestraszyli, nikt nie chciał mnie dotknąć, żeby i jego coś nie poraziło, wezwali więc wiedźmę. Niewiasta mówiła do mnie, a ja czułam, że odżywam, znów żyję. Gdy staruszka stwierdziła, że muszę zabrać się do niej do lasu, wszystkim ulżyło.

Urodziłam u niej dzieciątko, córeczkę – jakżeż ja się cieszyłam! – i ta, co

mną się zajęła, też. Ileż piosnek wyśpiewałam maleństwu, do snu tuliłam, mamuny płoszyłam. Aż któreś nocy przyszli diabli z zarazą i zabrali moją kruszynkę – stara zamilkła w dojmującym smutku, zamyśliła się, dopiero za jakiś czas, westchnawszy, mówiła dalej: – Ochrzciliśmy ją, nim wyzionęła ducha, ale czy coś to dało? We śnie widziałam diabła. Wyrywał z niej życie. Powiedział mi, że już nigdy nie będę miała nikogo swojego, bo takie jest przeznaczenie czarownic. Raz imając się czarów, wkroczyłam na ścieżkę piekielną, mówił. Mówił to samo, co ksiądz powtarzał.

Aneczko, moja miła, córuchno droga, od tamtej pory po wielokroć się przekonałam, że nie warto czarować, lepiej tego unikać. Każdy urok, każdy czar zostawia ślad na człowieku. Albo brodawkę, albo zmarszczkę. To na wierzchu, a co w środku? Dusza brzydnie, nawet tego się nie wie. Dlatego nie imałam się czarów. Ta, co mnie przyjęła, na łożu śmierci powiedziała: „Nie czaruj, nie warto. Wszystko się odbija i trafia w tego, co rzucił czar. Leczyć, tak, trzeba, ale nie wolno czarować”. Jej też kiedyś diabli zabrali dziecko.

Posłuchaj zatem, bo to doświadczenie pokoleń. To, co robimy, to robota dla samotnych. Inaczej zawsze krzywda komuś się dzieje. Pokochasz, zabijesz, diabli i tak przyjdą po swoje.

Na czole zasłuchanej dziewczury próbowała pojawić się zmarszczka napięcia, lecz zmarszczenie tej gładzi było niemożliwym jeszcze przez jakieś dziesięć lat. Coś jednak szybko, bardzo szybko młoda zrozumiała, aż musiała odetchnąć, aż przed oczyma przeleciały czarne motyle.

– A ja, mateczko? – zapytała prawie z jękiem. – Mnie diabli nie zabrali od ciebie. Nie jestem twoja?

Stara uśmiechnęła się czule, wyciągnęła rękę do Anuchy. Ta ujęła jej dłoń oburącz, ale się nie przysunęła.

– Co mam ci powiedzieć, dziecinko moja. Prawdę? Już dorosłaś, już to zrozumiesz. Nie ja ciebie urodziłam, nie ja. Nie wiem, kto jest twoim ojcem, matki też nie znam. Była wielka powódź, znalazłam cię na brzegu płaczącą. Miałaś ze trzy latka i mówiłaś o sobie „Ania”. Nikt do ciebie się nie przyznał, choć szukałam prawie aż do Opoła. W tamtą wielką wodę naginęło tysiące ludzi, zostało po nich trochę sierot na świecie, nie brakło i takich, co oszaleli ze straty dzieci. Uznałam więc, że dobry Bóg ulitował się nade mną i dał mi trochę nadziei na odkupienie swojego życia – głos wiedźmie się zdławił.

W siwoorzechowych oczach Anuchy też pojawiły się łzy. Obydwie wiedźmy przypadły do siebie, przytuliły i popłakały z ulgą. Stara, nie zważając na ból pleców, podtrzymała córkę, całując czule jej włosy.

– Nie wiem, co będzie, mateczko – Anucha mówiła niemal szeptem. – Od dawna o nim marzyłam, bo jest dobry. Zadałam mu lubczyku.

Stara wiedźma tylko bardziej przytuliła do siebie dziewczurę, jakby

w skurczu, nie dając rady podnieść głowy. Sama popatrzyła w ogień.

– Na razie nie będziemy tym się zamartwiały. Może samo się ułoży? – stwierdziła z nadzieją w głosie.

Z jej patrzących w płomień oczu wyzierała jednak rozpacz.

Wojda poczuł się na tyle dobrze, że pojechał na poranną mszę w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Zrządzeniem ślepego trafu zamarudził przy przywiązywaniu konia do płotu i zniecierpliwiona rodzina poszła już do świątyni, żeby zawczasu przejść na poczesne miejsca i nie przepychać się przez tłum ludzi prostych. Czas już było po temu, co oznajmiał niecierpliwie kołatką jeden z kościelnych. Gdy młodzieniec rozplątał to, co miał do rozplątania, a zawiązał to, co miał do zawiązania, sługa świątynny szybko pokręcił kłokoczącym przedmiotem, że kłaśnięcia zwały się w jeden dźwięk przypominający głośny furkot wróbla. O dziwo, drugi sługa trzymał nieruchomo bezgłośnie narzędzie i patrzył ze wzbierającą złością na towarzysza. Wojda zerknął na nich zdziwiony i już miał coś powiedzieć, gdy zobaczył dziewczurę wchodzącą do kościoła. Coś nim lekko targnęło. Radość? Prawie że biegiem pognął do wejścia, każdemu krokowi równo przytakiwała ciemna, kudłata głowa nadgorliwego kościelnego aż szczerzącego żółte zęby w wysiłku kłokotania. Młodzieniec zapatrzony w swoje marzenie nie zwrócił uwagi na tę bezczelność, wpadł do kościoła prawie biegiem.

W tej samej chwili ruchoma główka kołatki ukręciła się i pacnęła w ścianę.

Z dużym zdziwieniem czarniawy, kudłaty pacholek spojrział na swoją dłoń z rękojęścią, machając nią jeszcze trochę po próznicy, już całkowicie bezgłośnie. Drugi kościelny, w pełni zniesmaczony, wznosił błękitne oczy ku niebu, a jasne, długie do ramion włosy, równiutko rozczesane, zalśniły na karku dwiema falami. Westchnął ciężko i wolną ręką pacnął towarzysza w czarny, barani łeb, aż się zakurzyło.

To nic innego, jeno ciemność kościelnego przedsionka zamroczyła Wojdę, aż zamiast przeżegnać się ruchem dostojnym i dokładnym, uczynił to w skrajnym pośpiechu, raczej nie znak krzyża wytyczając na sobie, lecz coś na kształt kółka zakreślił wokół twarzy i ramion, na co wchodząca do kościoła babina popatrzyła ze zgorszeniem. Ale to jeszcze nic. Idąc w głąb świątyni, niczym ślepiec potracił kilku kłęczących, za co zamruczał coś przeprośnie, nawet na nich nie spojrzawszy. Patrzył gdzie indziej.

Dostrzegłszy Anuchę, a jakże, po prawej stronie, odróżniała się od innych niewiast rudym połyskiem włosów, się uspokoił. Stał chwilę, popatrzył, zapamiętał. Ruszył pod ołtarz, do rodziny, a głowa sama skręciła mu w prawo jeszcze ze dwa razy. We własnym mniemaniu postąpił sprytnie i dumny był z siebie, że nikt się nie domyślił, za kim patrzył. W rzeczy samej wyszło mu to tak, że nie tylko jego, ale i ją skazać by można na wszelkie możliwe domysły.

Chociaż Bożena patrzyła na syna kątem oka, zobaczyła, co trzeba,

i rozumiała jeszcze więcej: zaniepokoiło się matczyne serce, że nadwrażliwy synuś wpadnie w następne sidła, z którymi radzić sobie nie umie. Całą mszę nurtowały ją te troski, aż uznała, że trzeba będzie rozejrzeć się szybko dla niego za panną z dobrego domu. Na tę myśl poweselała i zaraz zrobiło się jej jeszcze lepiej, bo przysłała do głowy następna dobra myśl: syn doszedł już do prawdziwego zdrowia, skoro ogląda się za ładnymi dziewczuchami. Kłopoty mogące z tego wynikać były niczym, w porównaniu z tym, co już się działo. Lekkie zadurzenie we włościance łatwo będzie naprawić, za drogo nie wyjdzie, wyliczyła.

I tak oto przechodząc ze zmartwienia w ulgę, pani Bożena przegapiła całutkie kazanie.

Z kazania nic też nie rozumiał Dobrosz, nie z powodu synowskich zapatrywań, lecz z tego, że go nie słuchał. Łowy mu się marzyły, zimowe łowy na dzika. Dlatego wszelkie podłużne przedmioty, które napatoczyły się na spojrzenie, przywodziły na myśl oszczepy, wszelkie zaś owalności – cielska dzicze. Nawet krzywe błyski kielicha przy podniesieniu skojarzyły się bluźnierczo z żółtawą bielą bardzo starych, dzicznych kłów. Co prawda zacny rycerz w czasie mszy robił, co trzeba, klękał, wstawał i bił się w piersi, duchem był jednak gdzie indziej.

Ze spojrzeniami Wojdy inny kłopot miał młody wikary Przemko z Pogorzeli. Kościółek do wielkich nie należał, służący proboszczowi do mszy młodzieniec stał zaś bokiem do ołtarza i wszystko widział. I patrzył w zupełnie tę samą stronę co Wojda. Ba! Nawet postać się zgadzała.

Już raz spróbował lekko zaczepić dziewczurę, lecz ta stanowczo przecięła poufałości. W dodatku widzący zajście proboszcz, zwykle łagodny niczym baranek, nagle okazał się ostrym ojczulkiem. W mocnych słowach pouczył podwładnego, co uchodzi duchownemu, a co nie. Wyszło także, że stary ksiądz, już i tak dla wszystkich dziwnie łaskawy i pobłażliwy, wprost z niezrozumiałą przychylnością traktuje zarówno starą wiedźmę, jak jej córkę, co następca w parafii sobie uważnie zakarbował do wyjaśnienia lub wykorzystania – zwyrodniała wyobraźnia podpowiadała mu już nie wiadomo co. Tymczasem lekko skulił uszy i udał pokornego.

W istocie Przemko z Pogorzeli nie po to wybrał suknię duchowną, aby sobie życie utrudniać na podobieństwo żebraków franciszkańskich, co ich, jak mu się zdawało, naśladował pleban. Za bardzo lubił dobrze zjeść i wypić i jeszcze się nie zdarzyło, żeby od swawolenia uciekł. Nigdy nic złego mu się nie stało, gdy sobie w czymś pofolgował, a szczęście innych ludzi nic go zaś nie obchodziło, dlatego teraz za grzeszne myśli nie czuł żalu. Skrucę udawał tylko przed plebanem, myśląc w duchu, że wszelkie niedogodności powetuje sobie, gdy stary całkiem osłabnie z sił, co, się wydawało, niedługo musiało nastąpić.

Tymczasem i on przegapił kazanie o Boskiej Rodzinie. Powód zagapienia nie był błahy, bo młody sługa boży ujrzał w Wojdzie najprawdziwsze zagrożenie

dla własnych żądź, czego nie wnosił z samego zachowania syna Dobrosza. Nie po to – jak nikt inny – mógł zobaczyć każdy ruch dowolnego parafianina obecnego w kościele, żeby doglądać jednego młodzieńca. Usadowił się przecież sprytnie: kątem widział dziewczurę i zaraz karmił wyobraźnię jej obrazem. To ją sobie spośród wszystkich upatrzył nawet nie za urodę, choć przecież bardzo ładna była, co za wesoły sposób bycia, śmiałość i niezależność. Odkąd ją po raz pierwszy zobaczył, czyli od dwóch miesięcy, marzył, żeby widzieć ją we własnej mocy, pod sobą, uległą, błagającą, rozplakaną. Teraz, ku rozpaczy, przyuważył, że oczy tej małej, gdy pochylała głowę, gdy nikt nie mógł zanadto przyglądać się temu, co robi, aż trzykrotnie zatrzymywały się na Wojdzie. W dodatku wikaremu z namiętności wzrok się wyostrzył i widział jak żbik, nawet w mroku. Przeto zobaczył, że upragnione oczęta zaokrąglały się w chwili spojrzenia na panicza, a czerwone usta poruszały w leciutkim uśmiechu. Nic zatem dziwnego, że młody ksiądz omal nie pękł z zazdrości i troszkę nieskładnie usługiwał. Z kazania nie zrozumiał nic a nic, bo nie słuchał. Po prawdzie niewielka to strata, bo jeśliby słuchał, i tak nic do niego by nie trafiło. Taki już był.

Sprawę uczuć gromady ludzi niechęący zaognił proboszcz. Ten dobry człowiek pasł swoją owczarnię łagodnymi, życzliwymi słowy, zwracając się do każdego jak do dobrego dziecka. Powszechnie go lubiano, szanowano bez żadnej przesady. Nierzadko dzieci czyniły mu psoty, za co się nie gniewał, mówił tylko niby w złości, że już więcej im żadnej bajki nie opowie. Wtedy się dopraszały choćby o jeszcze jedną, a on, udobruchany, opowiadał. Nie tylko bajki były, wiele przypowieści z życia Chrystusa umiejętnie wplatał w codzienne wydarzenia. Nawet się nie spostrzegwał, kiedy dzieci podrosły i założyły rodziny, dalej opowiadał bajki, przypowieści, nie odróżniając, co jest dla umysłu dziecinnego, a co dla dorosłego. Już nikt nie oczekiwał od staruszka, że odezwie się inaczej niż przed czterdziestu laty, że inną będzie jego opowieść. Chcieli słuchać o pelikanie raniącym sobie pierś, żeby wykarmić własną krwią dzieci, o zającach morskich, stworach o długich uszach żywiących się na podwodnych łąkach, o gryfach – ni orłach, ni lwach, które choć najgroźniejsze ze wszystkich zwierząt, nieodporne są zupełnie na mysz, co ich pozbawia potomstwa, o dzielnym szczygiełku, który w czasach ciemności poleciał do słońca i przyniósł w dzióbku promień, o prawdziwej wierze mającej nie tylko moc uzdrowienia, ale i ożywienia. Opowiadał także o tym, że nawet Piotr okazał słabość, co było mu wybaczone, i o najwyższym poświęceniu Jezusa, aby ludzi uczynić lepszymi. Czy mali, czy duzi, wszyscy chcieli słyszeć, że było, jest i będzie dobro na tym świecie, że zło zostanie ukarane. Jakoś tak się działo, że opowieści księdza zdawały się ciągle świeżymi, ciągle nowymi i upragnionymi, chociaż proboszcz powtarzał je nie po raz wtóry nawet, lecz setny. Jego łagodne napominania więcej jednak ważyły niż najsrozsze groźby popierane batem i kijem.

Pewnego razu był w parafii z wizytacją sam biskup Tomasz – to znaczy nie

sam, w otoczeniu świty, co jak szarańcza rzuciła się na parafialne zapasy i objadła to, co znalazła, nic nadzwyczajnego – który zwróciwszy uwagę na to, że do jego proboszcza parafianie podchodzą z wielką poufałością, a gromada dzieci zabiegła drogę w zabawie, nie zważając na powagę orszaku, co zdawało się nawet wywołać radość miejscowego pasterza, jeszcze baczniej przyjrzał się tym porządkom. Biskup – niegłupi, przy tym bardzo uważny – wieczorem przywołał do siebie starca, żeby zapytać w tonie poważnym, ale bez złości: – Cóż znaczy to, co widziałem? Ci ludzie nawet w mojej przytomności śmieli ci zakłócać spokój. Nie mogli choć dzień wytrzymać?

Odpowiedź zostawiła biskupa w całkowitym oniemieniu. Prawdę mówiąc wpłynęła na niego tak mocno, że stała się dla niego słupem przydrożnym, co zamiast odległości na gościńcu miarą życia się stał, albo powodem, dla którego każdego wieczoru, już do końca życia, czynił sobie wyrzuty, że znów niczego dobrego nie zrobił..

Brzmiała ona tak: – Dostojny ojcze, wybacz im zuchwałość, wybacz i moją pobłażliwość, i to, że dziś nieraz ci uchybiłem. Naprawdę niechcący. Dla maluczkich ich małe sprawy mają wagę spraw najwyższych. Myślę, że w oczach Boga tak ich sprawy się mają. Gdybym nie uśmierzył złości Chruściela na żonę, zbiłby ją, na co patrzyłyby dzieci. Pomyśl, co wywołałby w dziecięcych serduszkach widok najdroższej matki bitej przez ukochanego ojca? I za co? Tylko z drobnej złości. W ten jeden dzień, gdy on jej nie uderzył, gdy umieli do siebie odezwać się łagodnymi słowy, może przybliżyli się choć na jeden krok do tego, jak do siebie się odnosili Maryja z Józefem – nic nie wiemy o tym, aby którekolwiek nawet raz podniosło głos na drugie. Nie ma lepszego przykładu męża niż cichy, cierpliwy i pracowity cieśla Józef, nie ma lepszego przykładu żony niż najłagodniejsza na świecie Maryja. Dlatego, jeśli tylko mogę, nakłaniam ludzi, żeby byli dla siebie lepszymi. Żeby brali przykład z najlepszych. Jeden dzień dobroci, raz w tygodniu, to więcej uśmiechu dzieci – zakończył ksiądz. Biskup milczał, ksiądz więc dodał jeszcze jakby od siebie, a w istocie odpowiadając na niewypowiedziane pytanie: – Im dłużej żyję, tym bardziej się przekonuję, że dorośli chcą być niczym dzieci. Żeby ktoś zdjął z nich troski przynajmniej na dzień, a jeśli na tyle się nie da, to na jeden wieczór. Żeby mieć kogoś, kto o niego się zatroszczy, zawsze powie dobre słowo, jak kochająca matka albo troskliwy ojciec, co nie będzie rozpamiętywać winy ani wypominać złego. Każdy człowiek tak ma, nie tylko prosty i biedny. Jestem pewien, że nawet księżę, ba!, sam król czy cesarz chciałby choć w jeden dzień z ufnością dziecka podejść do kogoś i o nic się nie martwić. Namawiam więc ludzi do tego, żeby sobie wzajem pomagali, dostrzegli matkę i ojca, wypowiedzieli z czułością albo choć w zdrobieniu imię bliskiego swego. Prościej się robi wtedy w życiu, a nawet jeśli się nie robi, to przynajmniej ludzie nie przysparzają sobie wzajemnych trosk.

Biskup na to też nic nie powiedział. Nie drgnął mu żaden mięsień na smutnej twarzy. Dopił miód i na dobranoc dał bez słowa ucałować pierścień. Poszedł spać, wygnawszy wprzód precz służbę, co mu pomógł zdjąć szkaplerz i resztę szat. Potem ułożył się do snu na wygodnym łożu, przytulił do poduszki wypchanej pierzem i zapłakał długo i bezgłośnie nad swoim dzieciństwem z nazbyt srogim ojcem, co nigdy nikomu nie powiedział dobrego słowa. Zapłakał też nad matką pobitą niejednokrotnie i to w przytomności dzieci, nad tym, że wiernie służyła niewdzięcznej gromadzie, nie wypowiedziawszy ani razu słowa skargi. Że zawsze, choć sama nieszczęśliwa, umiała przytulić i pocieszyć, a jej nikt nigdy nie przytulił i nie pocieszył.

Stwardniał biskup od dzieciństwa i zdawał się teraz podobnym do skały, a codziennie boje hartowały jeszcze jego pancerz. Lecz tego wieczoru pod wpływem słów prostego księdza pancerne żelazo pękło. Pojął bowiem, jak niewiele brakowało do szczęścia jego matce i ojcu, a i jemu z nimi. Nic, krom tylko jednego dobrego słowa.

Źle przespał noc wielebny pasterz Tomasz, mimo to nie wstał mocno odmieniony. Odjeżdżając, miał wielką ochotę zamiast wyniośle dać pierścień do ucałowania, paść na kolana przed starym księdzem i prosić o błogosławieństwo, ale nie zrobił tego, bo ludzie patrzyli.

Nie wiedzieć dlaczego, gdy błogosławił proboszcza, znów się wzruszył.

Przyszła kolejny jasny dzień, biskupa znów chronił pancerz obojętności, choćby tylko z umiejętnego nawyku wdziewany.

Proboszcz parafii Zalesie wyszedł po mszy przed kościół zamienić kilka dobrych słów z owieczkami. Za nim stanął wikary z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Rodzina rycerska odkloniła się godnie i z przychylnością, gdy ksiądz zapytawszy o zdrowie, radował się, że Wojda wrócił między ludzi. Trochę Bożenie było niezręcznie o tym mówić, bo powód choroby do chwalebnych nie należał. Jakoś to jednak przeszli, wiedząc, że kto jak kto, ale ksiądz mówi ze szczerego serca.

– Anka od starej go na dobre uleczyła – odezwał się śmiało Dobrosz.

– Tak? Ania? – zapytał w radosnym zdziwieniu ksiądz. – A gdzie ona jest? – rozejrzał się i zobaczywszy dziewczurę prawie w furcie wału, na nią krzyknął.

Anucha spojrzała, kto woła, choć nie musiała patrzeć, ale trzeba było okazać trochę zaskoczenia. Uśmiechnęła się, a wtedy proboszcz zachęcająco kiwnął ręką: – Chodźcie do nas! Nie wstydz się!

Młoda wiedźma podeszła nieśmiało, prawdziwie była onieśmielona, bo przecież ta rodzina, ksiądz, no i Wojda.

Powitali ją szczerze, tylko młodzieniec nic nie powiedział. Ukłoniła się, przyklękła przed księdzem i próbowała pocałować go w rękę, ten jednak się wzbraniał. Zaraz powiedział, przytulając ją zniemacka: – Taka z ciebie znachorka?

Umiesz ludzi leczyć?

– Lepiej o tym nie mówić – zgodnie z prawdą odparła.

Staruszek domyślił się, o czym lepiej nie gadać, bo pogroził palcem.

– Oj! Wiesz chyba, że nie na wszystko można pozwolić. Licho nie śpi. Czas jest nieubłagany. Niedawno była dziewczynką, przynosiła świetlik na oczy, a teraz, proszę, niewiasta.

Dobrosz przytaknął, Bożena sztywno kiwnęła głową. Tylko dwóch ludzi słuchało księdza jak na mękach. Wojda i Przemko.

Anuchę oblał rumieniec.

– Jakże tak można, proszę księdza.

– Jestem bardzo stary, śmiało więc mogę powiedzieć, co widzę. Matka zdrowsza?

– Jest lepiej. Trochę jeszcze słaba, ale już sama zakrzątnie się po izbie.

– Nie trzeba wam pomocy? – dopytywał proboszcz.

– Radzimy sobie dobrze.

– Może by tak przyjść do niej? W kościele jej nie było ze trzy niedziele.

– Chyba by się ucieszyła, ale sama zamierza przyjść do kościoła w niedzielę, po co więc ma ksiądz się męczyć drogą.

Proboszcz uśmiechnął się.

– Może i racja. Teraz pochyl główkę. – Anucha zrobiła, jak kazał, a wtedy uczynił nad nią znak krzyża, mówiąc: – Z Bogiem, dobra dziewczeczko, idź do swego laseczka. Przekaż matce, że ją też błogosławię, choć na odległość.

Dziewczura przypadła ustami do starczej dłoni plebana, ten jednak rękę zabrał i machał nią, jakby od muchy się odganiał. Ukłoniła się rycerstwu, co ledwo skinęło w łaskawym pożegnaniu, i poszła w swoją stronę.

Wikary popatrzył za nią tęsknie i ze złością, a Wojda już miał ruszyć do konia, gdy proboszcz odezwał się do niego: – Młodzieńcze, słabość słabością, ale jak ten Kraków wygląda? Stoi jeszcze, czy zawala się pod swoim ciężkim bogactwem?

Młody zatrzymał się wpół ruchu, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, bo matce złość pojawiła się na licu, ojciec zaś się roześmiał.

– Odpowiedz księdzu, synu, a nie stanąłeś jak wryty.

Wojda popatrzył w zdziwieniu na ojca, matkę, wreszcie na księdza. Ten powtórzył pytanie. – Widziałeś Kraków? Też kiedyś tam byłem. Budowali się na potęgę. Nadal tak się stroją?

– Tak... Stroją się – wydukał młodzieniec, a gdy już pierwsze słowa udało mu się wykrztusić, mówił dalej: – Ciasno tam jest, domy wysokie i dużo murowanych kościołów. Klasztory też są duże... – tu mu coś się wspomniało i cień tego wspomnienia przebiegł Wojdzie przez twarz.

– A Krakusy? Nadal są tacy ważni? Gdy tam byłem, mówili, że Kraków

tysiąc lat będzie stał, a oni zawsze będą żyli w dostatku, bo sól i ołów nigdy się nie skończą.

– Nie wiem, ale po prawdzie widziałem całe bałwany soli i wielkie kęsy ołowiu, że po czterech pacholków musiało takim targnąć, aby go włożyć na wóz. Ale czy wiecznie będzie stał, to nie wiadomo. Umocnienia mają słabe, a ponoć obca nawała się szykuje. Jacek Odrowąż ostrzegwał, że przyjdą na Kraków niczym wataha wilków.

– Widziałeś Jacka Odrowąza i nic nie powiedziałaś? – krzyknął ojciec.

– Widziałem – odpowiedział młodzieniec jak gdyby nigdy nic. – Samego wojewodę ostrzegwał przed najazdem, ale ten go nie słuchał. I kazał ciebie, ojcze, pozdrowić, bo ponoć znaliście się za młodu.

– Nawet rozmawiałeś z nim? – Dobrosz nie dokończył myśli z bezradnego wzburzenia.

– Rozmawiałem i także mnie tak pobłogosławił jak ksiądz znachorkę Annę. Wspomnił wtedy ciebie.

Dobrosz obrócił się do księdza.

– Widzisz, ojcze, co z niego za gagatek – rzekł. – Wielki świat w głowie mu zawrócił. Kogo jak kogo, ale Jacka dopiero teraz wspomnieć, to szczyt pomyślunku!

– Zdarza się. Młody jest, nie umie jeszcze odróżnić ważnego od nieważnego. Nauczy się – proboszcz pogłaskał młodzieńca po głowie, po czym zwrócił się do niego: – Powiadasz, że nasz Jacek w Krakowie, a nie na Rusi? Że groźba najazdu prawdziwa, ta, co o niej tyle niestworzonych rzeczy wygadywali jesienią oryle?

– Mówił jeszcze, że Ruś jest zgłodzona. On musiał uciekać z Kijowa i tylko posążek Matki Boskiej zdołał unieść ze sobą. Z Węgier dostał wieści od innego mnicha... Polaka... Zapomniałem, jak go zwał. Mówił, że nawała niechybnie uderzy na Węgry.

Proboszcz popatrzył z dużą powagą na młodzieńca.

– Jeśli mówisz prawdę – proboszcz spoważniał, jeśli to w ogóle było możliwe, jeszcze bardziej – a po co miałbyś zmyślać, kto inny miałby pisać z Węgier, jeśli nie Sadok. Może i Kraków nie ustoi...

Na to odezwał się Dobrosz z niewielką przesadą: – Takie są pożytki z syna. Wysyłasz go w świat, bo chce czegoś się dowiedzieć, a on ci o tym powie w rok po powrocie.

– Co ty o tym myślisz, panie Dobroszu? Pójdą na nas? – proboszcza twarz malowała troska.

– Możliwe, wszystko możliwe. Ale aż tu, za Odrę? Byłoby ich tylu, żeby i Węgry ogarnąć, i nas? Silny jest król węgierski. Stać ich siły rozpraszać?

– Jeśli przyjdą, to co poczniemy? – zapytał ksiądz.

– Nie wiem – odpowiedział rycerz szczerze. – Nie ma co o tym gadać na

mrozie i na stojąco. Przyjdźcie do nas na obiad, pogwarzymy jak należy – zaproponował i zaraz spojrzął na żonę.

Bożena skwapliwie się uśmiechnęła.

– Tak, przyjdźcie – potwierdziła.

– Tedy bywajcie. Mam tu jeszcze trochę do zrobienia, odprawię jeszcze jedną mszę i będę wolny.

– Przyślemy sanie – zapewnił Dobrosz.

W drodze do domu Wojda musiał wysłuchiwać łagodnych wyrzutów od ojca, a matka starała się im wtórować. Niedaleko gródka chyba zmęczeni się w gadaniu, ucichli bowiem, a korzystając z ciszy, młodzieniec rzekł: – To ja trochę się przejadę. I siwkowi, i mnie dobrze to robi.

– Tylko żebyś nie zabłądził, bo do Wielkanocy nie wrócisz – zadrwił Dobrosz.

– Wracaj zaraz na obiad, bo rosół będzie – powiedziała matka, bardzo nierada z pomysłu syna.

Najchętniej zabroniłaby mu jazdy i to nie ze względu na zdrowie, o nie. Czują bowiem, dokąd i po co synuś pojedzie. Nie śmiała jednak słowa powiedzieć, żeby nie wywołać wilka z lasu.

Wojda pokłuczył nieco, żeby zmylić wzrokowe pogonie rodziców, gdy więc wypadł na ścieżkę wiodącą do znachorek, pogonił konia co się zowie. Dziewczura nie była tak szybka jak myśl młodzieńca, dlatego dopadł do niej jeszcze przed uroczyskiem – raczej wyszedł po śladach na śniegu, bo słysząc tętent kopyt Anucha zeszła ze ścieżki. Trop powrotny urwał się przy kępie drzew, zsiadł więc Wojda z konia i krzyknął: – Anucha! To ja, Wojda. Wyjdź do mnie.

W gęstwinie poruszyły się gałązki, po chwili pokazała się postać dziewczury, chowającej długi, wąski nóż do skórzanej pochewki obrobionej srebrem.

– Ale mnie nastraszyłeś. Myślałam, że zbójcy mnie gonią.

– Wybacz, tak wyszło... – tu się zająknął.

– Taki śnieg, a ja w nim utyłana. Przez ciebie – mówiła prawie ze złością. – Coś się stało? Znów jesteś chory? – zapytała, stanąwszy na przetartej ścieżce.

Młodzieniec schylił głowę i nie patrząc na dziewczurę, zamruczał cicho: – Nie. Chyba nie. Jestem zdrow.

– To co się stało?

Wtedy spojrzął na nią śmiało.

– Może jest tak, jak pytasz? Może ktoś rzucił na mnie urok?

– Kto? – zapytała, nie uchybiając mu spojrzenia.

– Ty – odpowiedział.

Zadowolona dziewczura uciekła spojrzeniem. Jej prawe oko rozbiegało się nieco, ale zaraz uspokojone patrzyło tam, gdzie lewe.

– Może tak, może nie. Skąd możesz wiedzieć? – Patrzyła Wojdzie prosto w twarz oczami siwymi, jasnymi, wesołymi. Ustami czerwonymi jak maliny się uśmiechała, błyskając białą równych zębów. Z wdziękiem poprawiała włosy wysnuwające się rudawą chmurką wokół warkocza.

Wszystko razem, również jej bliskość, natchnęły Wojdę jeszcze większą odwagą, niż kiedykolwiek umiałby w sobie znaleźć.

– Gdy myślę tylko o tobie, jest mi dobrze – wyznał. – Sama myśl pomaga, samo wyobrażenie, że jesteś, pomaga, odkąd odpowiedziałas wierszem na wiersz. Nikt nigdy jeszcze tak nie zrobił.

Anucha wiedziała, że każdym ruchem, każdym pochyleniem główki roztacza wdzięk nie do odparcia. Przyszło wtedy jej na myśl, żeby się trochę podroczyć.

– Skąd wiesz, że powiedziałam tak dla ciebie? – Od tej przekory jego serce jeszcze bardziej stopniało. – Może miałeś to usłyszeć, żebym uwolniła cię od innego zaklęcia, nie po to, żeby cię wiązać następnym.

– Nie wiem, co zrobiłaś, ty wiesz najlepiej. Ja wiem, że chcę widzieć cię co jakiś czas i rozmawiać z tobą. Albo pobyc przy tobie. Mogę?

– Czy ja, biedna, mam prawo czegoś ci zabronić? Nie odgonię cię kijem, bo jestem za słaba. Zaraz gotowi przyjechać wasi słudzy i zniewolić mnie dla ciebie. Dlatego nie zabraniam.

– Tedy dosiądź mojego konia, a ja cię odprowadzę do domu.

– O nie! Tak nie będzie! Jestem porządną dziewczyną i na żadnego konia nie będę siadała. Pójdę sama. Nogi jeszcze mam zdrowe – powiedziała niby gniewnie, z dumnie podniesioną głową wyprzedzając go na ścieżce.

Kroki stawiała pewnie, ale gdy uszła ich kilka, a nie usłyszała, aby za nią ktoś szedł, zwolniła, zdrobniła krok, wreszcie się zatrzymała i obejrzała. Stał w miejscu, w którym go zostawiła, zmartwiony, z głową i rękoma zwisającymi bezwładnie jak u zropaczonego chłopczyka. Widok rozśmieszył ją, ale poczuła też litość. Miała już odezwać się czule, gdy rozum podpowiedział coś innego. Wzięła się pod boki, tupnęła mocno, co nic nie dało, bo śnieg stłumił, i krzyknęła: – No, chodźże tu, głupku! Możesz mnie przecież odprowadzić pieszo.

Wojda zmienił się w jednej chwili: nagle wyprostowany, uśmiechnięty, ciągnąc konia za uzdę, ruszył raźnie w stronę czarownicy. Ta, widząc, że wstąpiła w niego siła, a kto wie, czy nie ochota, zażądała: – Tylko łapy trzymaj przy sobie, bo... bo się kónia boję – zakończyła słowami z piosenki.

ZAPUSTY

Dosłownie każde w świecie dzieje

Miłości młodych z różnych stanów

Uczą że próżne tam nadzieje

Że tam sądzone jest rozstanie.

Im bliżej Popielca w Zalesiu, tym bardziej młodzież, dzieciarnia, nawet starzy dokazywali, jakby z każdym dniem więcej jedli szaleju. Odwiedzali jedni drugich, robili psikusy, wyjadali zapasy. Pieśni i hulanki dawało się słyszeć, czemu proboszcz nie był przeciwny, chociaż wikary gorszył się na głos obłudnie. Zdarzały się również swawole, nad czym proboszcz ubolewał, a wikary coś knuł mściwie. Aż we wtorek, 12 lutego roku Pańskiego 1241, nastąpiły ostatki. Zwyczajowo ostatnia zabawa odbywała się koło gródka, bo na wzniesieniu nie przeszkadzały nagle roztopy, nie było też za daleko. Świeciło już sporo słońca, gdzieniegdzie błoto się mazało, niezbyt więc wygodnie się chodziło, ale nikt na to nie zważał. W dodatku jakby na ten jeden dzień Pan Bóg, anieli i wszyscy święci zamknęli na chwilę oczy – ziemia zaroiła się bowiem od różnych stworów, diabelstwa wszelkiego. Dzieciaki biegały w słomianych szłomach i pancerzach, dzierżąc w dłoniach wystrugane z patyków miecze, a co niektórzy tarczę uplecioną z powróseł. Starsi mieli kozuchy ponakładane włosami na wierzch, poprzyczepiali sobie ogony, głowy zaś przystroili niesamowitymi paszczami – łbem koguta uwitym zmyślnie ze słomy i wikliny, z przyczepionym grzebieniem ze szmat albo okrutnie żarłoczne paszcze kudłate, zębate i rogate, z wytrzeszczonymi ślepiami, ktoś nawet miał wilczą skórę.

Powszechny podziw wzbudzili kościelni.

Jeden z nich, mówiono na niego Czarny, przybrał postać diabła – brunatny kozuch niemal przywarł do skóry, co dawało wygląd, jakby cały porósł takim włosiem. Mordę usmolił sobie na czarno, tylko ślepia wytrzeszczone w niej połyskiwały. Jęzor wywalał tak długi, aż wydawało się to niemożliwe. Na kudłatym łbie tkwiło dwoje kozich rogów przekreślonych czubkami naprzód. No i ogon. Tak ułożony, że nie włókł się za nim, lecz sterczał nad ziemią – niektórzy ulegli złudzeniu, że nim merda niczym pies. Trudno w to uwierzyć, ale nawet śmierdział siarką. Wygląd to jedno, zachowanie – drugie. Istny piekielnik w rękach miał drewniane widły i nie wahał się ich używać. Co i rusz jakaś baba piszczała, bo

kieckę jej zadartł, odsłaniając więcej niż co nieco. Sukienki duchowej wikarego nie oszczędził i to w przytomności niewiast, co na ten widok zachichotały wstydliwie. Młody ksiądz poczerwieniał w oburzeniu, widząc jednak, że proboszcz złapał się ze śmiechu za brzuch i popłakał, tylko zgrzytnął zębami i pogroził zuchwalcowi pięścią. Ten jednak już tego nie widział, gonił bowiem za gromadą dzieciaków z okropnym okrzykiem „błłłeee!”, wydobywającym się przez paszczę aż z trzewi. Piszcząca gromada schowała się za drugim kościelnym, co wołano nań Biały. Ten wyglądał zupełnie inaczej od Czarnego.

Czysty, z jasnym włosiem połyskliwym w słońcu, w długaśnej, białej koszuli podobnej do habitu cysterskiego, miał postać anioła widzianego na własne oczy przez tych mieszkańców Zalesia, co bywali w świecie, mianowicie we Wrocławiu, gdzie w tamtejszej katedrze widniał na ścianie pośród stada jemu podobnych. Na ramionach miał gęsie skrzydła tak fikuśnie przymocowane, że gdy tylko ruszył łokciami, rozkładały się na boki. Uśmiechał się miło, ale nie przymilnie, godnie, nieznacznie, samymi kącikami ust. Wyraźnie cieszyły go śpiewy i psikusy, lecz nie dawał się ponieść radości, chociaż policzki drgały, a usta walczyły z radosnym rozdziawieniem, przyjmując na siłę kształt jego przeciwieństwa – zasznurowanego otworu sakiewki. Gdy psoty przemieniały się jednak w swawole, składał dłonie do modlitwy, patrząc przy tym w niebo. Wtedy poważniał, co, nie wiedzieć dlaczego, rozśmieszało otoczenie do rozpuku. Te niewczesne wybuchy radości skłaniały go do spojrzenia zdziwionego, nawet zgorszonego. Znów był śmiech, który nie kończył się tarzaniem w śniegu tylko dlatego, że zamiast suchawego, białego puchu leżała na ziemi szaroczarna breja.

Niezamierzenie śmieszny anioł bronił ze szczerym zacięciem prześladowanych przez diabła. Zwłaszcza dzieci chronił się z piskiem i wrzaskiem za rozległą postacią niebieską powiększoną rozłożonymi skrzydłami i szatą. Diabeł ustawał wtedy w napastowaniu, srożył się bezsilnie, pluł i klął szpetnie, ale najbrzydszych słów nie używał. Dzieci grały mu na nosie, wykręcały sobie uszy z wystawianiem języka, pokazywały dłońmi przystawionymi do skroni „taś, taś”. Były jeszcze gorsze od diabła. Anioł na to jednak nie zważał, przyjmując srogi grymas, groził wskazującym palcem piekielnemu stworowi. Straszdyło próbowało go obiegać, aby dopaść jedno z niewiniątek, wówczas, mimo wyraźnego obrzydzenia przemocą, anioł się schylał i mięciutkimi, białymi dłońmi lepiał kule z brudnego śniegu i rzucał nimi w diabła. Wkrótce dzieciarnia przyłączyła się do niego i w stronę piekielnika poleciał gęsty strumień pocisków.

Tak działo się kilkanaście razy do wieczora. Zanim jednak słońce zaszło na dobre, miała miejsce następna bitwa na śnieżki – to znaczy odpierania diabelskich harców. Aniołowi udał się jeden rzut – trafił prosto w rozdziawioną paszczę kudłacza. Radość anielska przybrała niespodziewanie mało godną postać podskoków, popiskiwania i klaskania w dłonie, dzieciarnia aż się chwiała

w nawalnym śmiechu.

Diabeł znał jednak swoją powinność nad wyraz dobrze. Wypluł śnieg z paszczy i bez szczerzenia się, krzywienia czy pokazywania jęzora, z całą dostojną powagą odwrócił się, pochylił, zadarł ogon i wypierdział powszechnie znaną, sprośną piosenkę *Mówiłyśta dziwki, że mom w portkach...* Kto to usłyszał, padł ze śmiechu, nie zważając na śniegowe błocko. Nawet dostojna Bożena ledwie ustała na nogach. Ten postępek diabelski spowodował, że na anielską cierpliwość przyszedł kres. Białe zakrzyknął: – Bić psubrata!, i porwał za śnieg. Dzieciarnia z radosnym wyciem, miotając pociski, pogoniła za wiejącym co sił w kopytach, kulejącym czartem. Tylko stara wiedźma się nie śmiała, zobaczyła bowiem w tym starciu obraz innej bitwy, wspomnienie snu o uwalnianiu jeńców, pogoni i odwrocie, coś sprzed wielu lat, a jakby jutrzejsze. Troską ją to napawało, aż rozglądała się uważnie, czy nie zobaczy innych znaków.

I czy nie śni.

Anioł obrócił się do patrzących na zajście widzów, uradowany tak, jakby wygnał na powrót do czeluści piekielnych całe tamtejsze moce. Nie omieszkał się pochwalić, a mówił, jak ksiądz, który wygrał bitwę na polu wiary: – Nawet u maluczkich jest taka siła, że gromadą mogą sobie z każdym złem poradzić. Wystarczy tylko trochę odwagi i zgodny...

Nie dokończył, bo wrzask dzieciarni, zamiast cichnąć, coraz bardziej narastał, aż obstała Białego niczym rozjazgotane stado spłoszonych wróbli, na co niemal wszyscy, znów oprócz Wisławy, zanieśli się śmiechem. Nie wiedział anioł, że mówił podobnie jak dzień później pod wsią Tursko, położoną w połowie drogi między Krakowem a Sandomierzem, przemawiał do wojska wojewoda Włodzimierz, co uderzył na Tartary z samym krakowskim rycerstwem. Nasi rycerze wjechali w obóz, uwalniając setki jeńców. Wróg wyraźnie dał się zaskoczyć. Po krótkim starciu z tymi niosącymi grozę jeźdźcami o zawziętych, paskudnych, psich pyskach, chrześcijanie z łatwością wzięli górę samym hufcem, raczej hufczykiem czelnym, i pogonili przeklętników tak szybko, że reszta wojska, to jest hufczyk walny, wjeżdżając w obóz, już niczego więcej nie musiała robić.

Wojewoda krzyczał wtedy rażno: – Tacy mieli być groźni, tacy niezwyciężeni! Widzicie, co może odwaga i prawdziwa waleczność? Gonić psubratów, niech nas popamiętają! Potopimy ich w Wiśle!

Niestety, koń mu się zaplątał w rzemieniach, niewiele brakowało i by upadł. Dostojnik ustał nieco w pogoni, przepuszczając hufiec odwodowy, a giermek w tym czasie rozrzynał więzy rumaka, żeby go uwolnić i dać panu udział w bitwie. Wódz na przemian pozdrawiał z imienia mijających go dowódców, życząc wojennego szczęścia, i klął na guzdrającego się giermka. Z konia nie zsiadł, co ułatwiłoby działanie, i nie bardzo widział, czy wojsko mu się rozprzegło, czy rzuca się na łupy i na ile beładnym i słabym jest przez to pościg.

Wreszcie Włodzimierz poczuł się wolnym i ruszył w pogoń za oddalającymi się odgłosami bitwy. Coś mu jednak nie pasowało. Przybliżając się do następnego pola walki, powinien coraz lepiej słyszeć gromkie okrzyki „Bij, zabij! W nich!” czy rozkazy „Miecze do boju!”, słyszał zaś szczeł broni i bezładnej szamotaniny. Krzyknął: – Z Bogiem!, dla dodania ducha sobie i pocztowym, a wtedy – ku zaskoczeniu – ujrzał kotłowaninę, ruchy gromad zbrojnych, co zamiast oddalać się nieco lub stać w miejscu, nadciągały. Zobaczywszy, że z zajeżdżającego z boku konnego hufca poleciała w sam środek zamieszania chmura strzał, zrozumiał, że to nie nasi strzelają, lecz obcy. Tylko skąd ich nagle tylu się wzięło? Było ich nie więcej niż kilka setek, a tu mogło być ponad tysiąc!

Rychło w miejsce radości z możliwości wepchnięcia wrogów w lodowatą wodę, wojewoda krakowski musiał troszczyć się o to, żeby z nim samym tak się nie stało. Zajechał drogę pierwszym uciekinierom, natarł na uchodzącego chorążego i kazał mu osadzić konia w miejscu. Zebrał kilkudziesięciu ludzi i gdy jako tako się uszykowali, powiódł ich do natarcia na skrzydłowy hufiec tartarski. Najeźdźcy bezczelnie i tchórzliwie ustąpili pola, nie dopuszczając do skrzyżowania broni. Za to uchodząc, obracali się i strzelali z łuków, co prawda wielkiej krzywdy nie czyniąc, ale ktoś tam z koniem się obalił.

Ogłupiały wojewoda zatrzymał ludzi, czym niechcący uratował ich od pełnego okrażenia.

Tatarzy zawrócili i znów przeskrzydłali naszych. Za chwilę strzały leciały z trzech stron na nieruchomy szyk Polaków.

Z drugiego skrzydła ruszyło tartarskie natarcie. Jedna chorągiew jazdy przyjęła je dzielnie na siebie i odparła. Wtedy Włodzimierz pojął, że czas myśleć nie o zwycięstwie, lecz o ocaleniu. Nakazał odwrót, czym tylko potwierdził to, co już samo się działo, i ledwie minął tatarski obóz, co stał się pułapką.

Dzień wcześniej, w Zalesiu, uciekającemu diabłu przyszło na pomoc kilka starodawnych maszkar i słomianych niedźwiedzi, wśród nich Wojda, co z dwóch stron wylazły znienacka, jakby spod ziemi, i ogarniały czeredę dziecięcą. Podniosły przednie łapy i rozkraczając nogi w powolnym chodzie, bujały się na boki. Z ich paszczy dobywały się straszliwe ryki. Zwycięska dzieciarnia z wielkim piskiem podała tył tak szybko, że nikt nawet nie pomyślał, żeby obrzucić pociskami następujące poczwary.

– Nie bójcie się, dzieci! – powiedział wystraszony anioł i rozglądał się, którądy by tu uciec, zupełnie tak samo, jak w jutrzejszy Popielec dzielny wojewoda Włodzimierz.

Potwory, z nad wyraz ruchliwym diabłem wzbudzającym piski niewiast, osaczały zebranych wokół ogniska. Klęska była nieuchronna. Przejęta stara wiedźma, widząca cały czas coś więcej niż tylko zabawę, ocierała łzy z policzków.

Dzień później u Włodzimierza straty, zwłaszcza w koniach, rosły od strzał.

Przytomniejsi ze spieszonych rycerzy porzucali tarcze, chwyтали się końskich ogonów lub strzemion i tak usiłowali uciec niechybnej śmierci, dorównując kroku cofającej się szybko, zmieszanej masie wojska. Kto tego zaniedbał, tego osaczało po kilku jeźdźców na małych konikach i sprytnie pętało rzucanymi nań powrozami. Wreszcie udało się Tartarom w jednym z natarć odciąć pół chorągwi, z którego to oddziału nigdy już nikogo nie ujrano żywym. Pozostali Polacy cofali się kilka stajęń, aż do miejsca niedaleko przeprawy przez strumień, gdzie z ostatnią trwogą w sercu zobaczyli zagradzające im drogę wojsko. Wojewoda krakowski gotów był zawyc z rozpazy, ale znaleźli się ludzie o znacznie lepszym wzroku i przytomności umysłu.

– To nasi! Nasi! – rozległy się radosne okrzyki na widok znajomych postaci, błysków broni, herbów na tarczach, a przede wszystkim chorągwi, jakże różnych od tartarskich znaków.

W wojsko natychmiast wstąpił nowy duch i gdy Włodzimierz chciał już wydawać rozkaz do obrócenia się na wrogów, kasztelan krakowski Klemens zauważył: – Skąd wiemy, że nasi? A jeśli to są ci ruscy zdrajcy? Jeśli nas uderzą w plecy, to żywa noga stąd nie ujdzie.

Udało się jednak uporządkować rycerstwo i rychło się okazało, że wojsko oczekujące u przeprawy nie ruskie jest, lecz sandomierskie. Tartarzy widząc nowe szyki, ustali w pościgu, podzielili się na trzy hufce – w istocie na cztery, tylko nikt z Polaków tego tylnego nie widział – rozstawiając je z wielkimi przerwami. Coś tam pomachali tymi swoimi końskimi ogonami na kijach i w stronę Polaków poleciały trzy chmary strzał. Ranione konie podskakiwały wokół, jakiś rumak klękał powoli, a rycerz oswobadzał nogi ze strzemion.

Wojewodowie i co znaczniejsi dostojnicy obu polskich wojsk odbyli szybką naradę w deszczu z pocisków. W istocie była to nie tyle narada, co kilka roztrzepanych zdań. Zaczęło się od wyrzutów.

– Nie śpieszyło się wam z pomocą – zawarczał Włodzimierz.

– Wam tak śpieszno było do zwycięstwa, że wzięliśmy was za najeźdźców. Mieliśmy się spotkać, a wy co? Ja obrony Sandomierza poniechałem, żeby dać wam czas na zebranie sił. Co ty przywiodłeś? Z taką garścią ludzi chciałeś najazd odeprzeć? – odszczeknął wojewoda sandomierski Pakosław.

– Boście zwlekali, zamiast do nas dołączyć!

– My zwlekaliśmy? My?

– Dostojni panowie, nie kłóćmy się w obliczu wrogów, bo to grozi klęską – rzekł pojednawczym tonem kasztelan sandomierski, Jakub z Raciborzyc.

– To dlaczego ze mnie drwią? Wygrałem, tylko nowe wojsko nadciągnęło i uderzyło na pościg. Za dużo ludzi wzięło się za łupy.

– Nikt nimi nie dowodził?

– Panowie, na rany Chrystusa, radźmy szybko, co czynić, bo nas tu z kaszą

zjedzą. Wojsko nie wie, co czynić. Szyki się mieszają. Od was wszystko zależy. Przecież nie pobijecie się teraz między sobą – wtrącił brat wojewody krakowskiego, Sulisław.

– O czym tu radzić? Przypierają nas do przeprawy. Chcą do wody zagonić – domyślał się Włodzimierz.

– Tedy cofamy się, czy następujemy? – zapytał Pakosław.

Po króciutkiej chwili ciszy wojewoda krakowski powiedział z wściekłością:
– Następujemy, jeszcze raz.

– Dobrze, panie wojewodo – zgodził się wojewoda sandomierski. – Następujemy. Daj nam prawe skrzydło, uderzymy pierwsi, w ich lewy hufiec. Wy za nami, na środkowy. Odwód musi czuwać, żeby nie zaszli nas z boku i nie odcięli od brodu.

– Tedy uderzamy nie dalej jak na dwa stajania i zawracamy. A potem znów.

– Tak jest.

Co uradziwszy, rozjechali się do swoich wojsk, żeby dokonać niezbędnych przesunięć hufców. Jakiś czas to trwało, zanim rozstawiono wojsko jak należy, a gdy zagrały rogi do natarcia na polskim prawym skrzydle, tartarski ostrzał ustał. Tartarzy cofnęli się, ustępując pola, a gdy całe polskie wojsko postąpiło naprzód, cofnęli się jeszcze dalej. Nikt nie miał odwagi ich ścigać, taki więc był już koniec bitwy.

W Zalesiu przyszła dzień wcześniej przeciw złu skuteczniejsza odsiecz – kilkanaście niewiast obwieszonych grochowinami, z drewnianymi chochlami w dłoniach, z miotłami i łopatami do chleba, rzuciło się bowiem na napastników. Wsparło je kilku młodzieńców i gospodarzy. Tak oto niedźwiedzie poszły na słomiane postronki, a inne kudłate stwory musiały ugiąć kark przed miotłami, w przerażeniu, że uszną od ich dotknięcia. Nastąpiła powszechna radość, tylko Wisława smutno dumiała. Inaczej to widziała, inaczej. Ale co, gdzie i kiedy miałyby się stać, nie umiałyby wyjaśnić.

Dziewczura wzięła do niewoli upatrzonego potwora. Miała przecież ostrzegawczy sen i to taki, że nawet się bała. Troszkę ją to drażyło przez cały dzień, nie pozwalając radować się w nazbyt widoczny sposób. Jako że zawsze umiała znaleźć w złym coś korzystnego, przygaszenie więc radości wieczornego spotkania z ukochanym uznała za dobre, bo stara wiedźma coraz wyraźniej martwiła się o córkę, co drugi dzień ostrzegając, że nic dobrego z tych schadzek nie będzie. Nie tylko zawiść ludzi prostych ściągnie na siebie, ale także nienawiść możliwych, a to już będzie groźne. Nic dobrego Anuchy nie czeka, dlatego im szybciej się rozstaną, tym lepiej.

Zdawało się dziewczurze, zdawało tylko, że ukazując twarz lekko zafrasowaną, zdołała rozproszyć obawy starej. Nie udało się. Ta bowiem przeszła do następnych domysłów napawających jeszcze większą troską – oto może

wprawdzie szykuje się rozstanie, może się nie szykuje, ale już się stało, Anucha uległa Wojdzie i pewnie zaciążyła. Miała w myśl sprytnego zamysłu dziewczury poczuć ulgę, zasmuciła się jeszcze bardziej. Przez to zwykle serdeczne i szczerze rozmowy przemieniły się w rzucane półgębkiem uwagi, pozornie bez troski, lecz pełne wzajemnej ostrożności i chęci wybadania. Tyle narobił jeden, całkiem krótki, za to dziwny sen.

Anucha leżała na posłaniu z wonnych ziół, co niczym dziwnym nie było, tylko że ich zapach był świeży jak na łące. Gdy obróciła się na bok, zobaczyła, że śpi wśród rozkwitłych traw, pośród stada pasących się owiec. Zaraz myślą pobiegła w stronę przydatności ziół, czy aby owce nie wystrzygą szczególnie wartościowych pożytków. Podniosła głowę, rozejrzała się, ale nie, prócz zwyczajnych traw, mleczy i kaczęńców nie zobaczyła niczego rzadkiego. Z uśmiechem położyła się na wznak, patrząc na stado obłoków sunące po niebie, co musiało przywieść na myśl otaczające ją zwierzęta. Wtedy jedna z owiec podeszła do niej, trącając pyskiem w bok. Zdziwiona dziewczura spojrzała na nią. Ku przerażeniu, owca miała głowę wilka, który patrzył z ukosa, a ze zmarszczonego pyska wystawały zaślinione, długie zęby. Nim Anka zdążyła krzyknąć czy choć poruszyć się w obronę, zasłonić, owca z głową wilka dopadła ją i ugryzła w twarz. Wtedy dziewczura się obudziła, nawet bez okrzyku, ot, tak spokojnie, otworzyła oczy i znalazła się w miejscu bezpiecznym, bezsennym. Czas było wstawać. Przeciągnęła się więc kilka razy z urywanymi piskami i wstała. Co miał ten sen oznaczać?

Strój z grochownicy przygotowała sobie starannie. Wcześniej namoczyła wyschnięte na wiór łądygi, żeby nabrały giętkości. Następnie poprzeplatała je z zakładkami, tworząc jakby sieć. Puste owocniki wystawiała na wierzch, żeby tworzyły strąkową łuskę. Tak oto uplotła sobie wielką suknię do założenia przez głowę, ale żeby nie zmarznąć, najpierw włożyła kożuszek. Miała także jeszcze jedną ozdobę – grochowinową czapkę. Tę utkała tak gęsto, że wyglądała jak żółta, oścista kula. To ci ustroiła się dziewczura, że nikt by jej nie poznał! No i wzięła jeszcze do ręki, a jakże, miotłę.

Wisława włożyła strój znacznie skromniejszy, bo przepasała się trzema powróslami i wsunęła na ręce kilka słomianych kółek. Tak przybrane wiedźmy poszły na zapusty.

W drodze Anucha nie wytrzymała i opowiedziała starej sen. Ta wypytała o kilka drobiazgów, po czym zamyśliła się głęboko, chyba jeszcze bardziej zmartwiła, ale znaczenia snu albo nie umiała, albo nie chciała wyjawić. Powiedziała tylko, że sen nie ma zakończenia, nie wiadomo więc, o co w nim chodziło. Gdy zbliżył się czas zabawy, gdy rozśmieszona jak wszyscy ujrzała natarcie dzieci i ich odwrót, a potem gromadę potworów w kożuchach, powiedziała jednak: – Chodzi nie tylko o to, że wilki poprzebierały się za owce. To ty jesteś łąką i chce ciebie wielu. Nie inaczej mogą cię dostać, jak drapieżnością. Owce

przemieniają się przy tobie w wilki.

Z tym poszły zwalczyćmiotłami groźne strachy, jak co rok od wieków.

Po wygraniu bitwy ze straszidłami, społem wzięli się do płasów w kilku kołach, z ogniskiem w środku. Dobrosz kazał wystawić beczkę miodu, wesoło więc się zrobiło – zwłaszcza niedźwiedzie, skosztowawszy słodkości, uspokoiły się w sposób aż niemożliwy. Diabeł zamiast od razu wypić, bulgotał coś w garczku. Anioł patrzył na to z pobłażliwym zgorszeniem. Oburzył się dopiero, gdy jego towarzysz usiłował zrobić z jęczora rurkę i tak zassać smaczny płyn. Podniósł wtedy rękę z postanowieniem ciosu w kudłaty łeb; żałował, że nie ma ognistego miecza.

Nikt jednak nie zwracał uwagi na kościelnych. Przygrywano rażno na skrzypiących gęślach i świdrujących piszczalkach, a bębniata wprost wychodził z siebie. To ktoś się zaśmiał, to zaśpiewał. Spożywano tłuste jadło, kaszę ze słoniną, mięso. Popijano piwem.

Aż nastał wieczór.

Wyjęto wtenczas z ognia wielką kłodę, roziskrzoną i mieniącą się ciemniejszą czerwienią siatką gorejących spękań.

– Co będzie, zacna Wisławo? Dowiemy się, co będzie? – zapytał Dobrosz starą wiedźmę.

– Może i się dowiemy – odpowiedziała w lekkiej zadumie, bez zwyczajowego żartu.

– Tedy puszczajcie – rozkazał Dobrosz.

Kłoda potoczyła się po zboczach, sycząc w kupach śniegu i buchając parą. Iskier niewiele dawała, jarzyła się tylko kilkoma obręczami czerwieni, aż znieruchomiła na dole niczym czarny pień, nie dając nawet poświaty. Wiedźma patrzyła na to ze smutkiem.

– Powinna sypać skry, powinna trzaskać. Dlaczego nic... – urwała myśl, ale ludzie czekali, wypadało więc coś jeszcze powiedzieć. – Chyba nie będzie najlepiej. Trzeba będzie uważać na wodę.

Dobrosz popatrzył na spoważniałe twarze zebranych. Natrafił na oczy proboszcza, który odezwał się wtedy: – Niczego nie widziałem, ani nie słyszałem. Będzie, co Pan Bóg da. Nie martwcie się na zapas. Post jest dopiero od jutra.

Ludzie powrócili do zabawy.

Bożena nie zauważyła ani kłody, ani wróżby. Patrzyła za synem, co stale znikał z oczu, mieszał z innymi. Dlatego śledziła go nieco, podążała zrazu wzrokiem, a potem postąpiła w jego stronę. Barani kozuch wywrócony włosem do góry nadał Wojdzie pękaty kształt wielkiej owcy. Na głowie miał podobiznę strachu z koszmarów przedstawiającą wielką, zębatą paszczę przystrojoną ciemnymi kędziorami, po bokach połyskiwały jasno wielkie ślepia. Wiódł za rękę niedużą postać w żółtoszarych grochowinach. Schowali się w mroku, ale Bożena przyzwyczaiła już oczy do ciemności i widziała, że dziewczura przegina się nieco

w tył na rękę Wojdy, że nad jej jasną twarzą pochyla się drapieżna paszcza i ją pożera. Wezbrał wówczas w pani Bożenie matczyzny gniew podszyty zazdrością. Oto ta sprytna mała wiedźma wyleczyła syna z jednej boleści, zadając mu jednocześnie drugą boleść, własną. Pcha się toto między rycerstwo. Może będzie chciało zająć nienależne miejsce? Niedoczekanie!

Stara wiedźma również widziała owcę z głową wilka pożerającą twarz Anuchy i zapłakała gorzko. Spełniał się bowiem na jej oczach dziewczęcy sen przybranej córki, a zarazem spełniała się odwieczna klątwa wszystkich wiedźm – na nic były ostrzeżenia. Że, jak co pokolenie, następna niepospolita niewiasta będzie nieszczęśliwą i samotną istotą, obcą wśród znajomych, gorzkniejącą z każdym zachodem słońca, jakby co dzień do jej krwi dostawała się kropla soku z piołunu.

Na razie niepotrzebnie martwiła się mądra Wisława. Wojda i Anucha, wycalowawszy się, nie myśleli czynić czegoś więcej. Ani ona mu nie uległa, ani on nie usiłował jej posiąść, choć oboje mieli ochotę, żeby tak się stało. Nie byli głupi i zdawali sobie sprawę, że nikomu nie podobają się ich tajne schadzki. Tylko się kryjąc, mają sposobność przebywania ze sobą, bo wtedy inni mogą udawać, że nie widzą. On wiedział, że rycerski syn nie weźmie za żonę córki leśnej wiedźmy o ojcu nieznanym. Trafiło też i do niej, że ten, którego wiedźma pokocha i zazna od niego miłosnej rozkoszy, nie żyje zwykle za długo. Jak Polska długa i szeroka, nie znalazłoby się wiedźmy mężatej albo choć szczęśliwie zakochanej.

Tak, wiedzieli o tym i już nieraz to omawiali. Ze smutnym śmiechem przyznali któregoś dnia, kiedy namiętność omal nie kazała im zedrzeć z siebie szat na wilgotnym śniegu, że ich miłość, aby trwać, musi być czysta jak między świętymi, chociaż żadne z nich nijak nie miało powołania do świętości. Choćby z musu naśladując tych spośród ksiąząt, co sobie takie śluby wzajemnie złożyli, powodują, że Ktoś Tam u Góry myśli o nich lepiej niż gorzej. Tak będzie bezpieczniej, póki nie okrzepną, nie oswoją ze sobą świata. Poświęcając chuć, wygrywają trochę szczęścia. Za dużo bowiem sił ludzkich i nieludzkich gotowych było im przeszkodzić w większym szczęściu, aby odważyli się z nimi walczyć już teraz. I choć tylko resztką zdrowego rozsądku tak myśleli, nie mylili się wcale.

Podlec wikary, roznamiętniony tak, że nasienie omal uszami mu tryskało, akurat za dziewczurą patrzył, jej tylko pożądał, ją tylko sobie wyobrażał i o niej cały czas śnił. Widząc, jak tuli się do Wojdy, wyobrażał sobie wszystko to, co oni robią, choć tego nie robili, a gdy myślał o sobie z Anuchą – stale o sobie z nią myślał – widział ją skrępowaną, uległą, błagającą o litość, gotową uczynić to, co tylko on, jej pan, zechce; on wtedy odmawia jej bez słowa, robi swoje, powoli, z uśmiechem, upokarza coraz mocniej, siecze różgami, plugawi na wszelkie możliwe sposoby, aż czyni z niej całkiem powolną, zastrachaną niewolnicę, co ją można w znudzeniu wykopać za drzwi, na mróz.

Tak, takiej przyszłości życzył sobie człek bez powołania, wciśnięty w sutannę staraniem rodziny, wysłany daleko, a tym samym uchowany w kapłaństwie, bo z klasztoru wyżeniono go za rozpustne czyny, nie mówiąc już o pobiciu na śmierć jednego biedaka.

Tak był skundlony i mściwy Przemko z Pogorzeli herbu Drzymała.

Przeniesiono, zamiast odrzeć z sutanny, zakuć w dyby i batożyć do omdlenia, następnie obciąć uszy na znak hańby. Myślano o tym, ale tylko zesłano go na ubocze, do Zalesia, z sutanny, niestety, nikt go nie wyłuskał. Teraz, gdy ten rozpustnik oglądał cudze szczęście, przyszło mu do chorej głowy, co zaraz się objawiło wykrzywieniem pyska, że zło, co chciałby wyrządzić Anuszy – był pewien, że któregoś dnia tak się stanie – najchętniej robiłby na oczach bezradnego Wojdy.

Tymczasem zakochani młodzi, prawie wszystkim widoczni, nie zdając sobie sprawy z otaczających ich uczuć, mieli zamiary na dalsze życie. Już pomyśleli, że mogliby się osiedlić w dziedzinach ksiąząt mazowieckich i tam rozpocząć życie od nowa. Wpierw jednak Wojda musiałby zostać rycerzem, wykazać się w służbie i w walce, żeby nie trafili między kmieci. Ona zaś musiałaby zerwać z przeszłością, zostawić starą Wisławę, co już zaczynała chorować. Wiedzieli także, że łatwo nie będzie, bo wszystko może się skończyć poniewierką między obcymi ludźmi, w puszczy do wykarczowania, z okrutnymi Prusakami lub Jaćwieżą w sąsiedztwie, zatem z pewną nędzą lub śmiercią.

Za dużo było przeszkód, a oni nie tylko nie mieli aż tyle odwagi, ale nie byli też na tyle samolubni, aby z niczym się nie liczyć i rzucić wyzwanie całemu światu. Dlatego postanowili, póki mogą, cieszyć się z tego, co już jest. Uradzili, że może przyszłość sama przyniesie dobre rozwiązanie, za miesiąc, dwa, może za trzy lata. Teraz, w ciemny, nieznacznie mroźny wieczór 12 lutego roku Pańskiego 1241 cieszyli się choćby tylko tym, że siedzieli przytuleni, zapatrzeni w ciemną dal, bez słowa. W innych okolicznościach siedzieliby przy ognisku, patrząc na płomienie. On widziałby w nich splecione jak w warkoczu strumienie iskier i wstęgi światła, co łączą ziemię z powietrzem, rozpływając się w nicość. Są czymś jakże pięknym, co – inaczej niż dziewczęcy warkocz – nie da się w rękę schwycić, bo parzy boleśnie za samą próbę dotknięcia. Rozpoznawałby w tym rozpuszczone włosy ukochanej, skręcane i prostowane siłami wiatru, zdobne w połysk, światłość i moc.

Ona widziałaby przemianę drewna w ciepło i myślałaby, że to wszystko jest pięknie ułożone – w kawałku drewna tyle ognia się kryje. Jak to możliwe, że drewno nie parzy bez ognia, gdy jest ciężkie, a kiedy robi się coraz lżejsze uwalniając ogień, nie sposób go dotknąć, ani tego zatrzymać czy włożyć z powrotem? Oglądając ogień mieszający się z powietrzem, myślałaby o tym, że skręca się z Wojdą w jedno i tak, połączeni, uchodzą wprost do nieba od trosk tego świata.

Ale nie, nie mogli tak sobie siedzieć wśród wszystkich i zwyczajnie podziwiać cudu ognia. Siedzieli z daleka od ludzi i od kręgu światła, prawie w ukryciu. Patrzyli na wschód, zdawałoby się, że we własną przyszłość, tacy maleńcy pod ogromną misą rozgwieźdzonego nieba, które wznosiło się coraz wyżej i wyżej, wyżej od ich marzeń i ani myślało się zawalić. Słyszeli odgłosy zabawy, w chwilach ciszy nawet szum wezbranej Odry. Choćby mieli sokoli wzrok, nie dostrzegliby jednak łuny nad dopalającym się podgrodzem Sandomierza, bo za daleko było.

Nie tylko oni patrzeli, patrzono też i na nich. Ktoś pomyślał w oburzeniu, że tak być nie może. Ktoś inny zamartwił się, co to będzie. Jeszcze inny ktoś skręcał się z zazdrości i niezaspokojonej żądz, a podłość w nim dojrzewała tak szybko, że natychmiast przemieniała się w zgniliznę. Każdy z tych trojga nie pomyślał o tym, jak czyste i naiwne są czyny i zamiary Anuchy i Wojdy. Widzieli tylko, i to im wystarczało za całą wiedzę o przyszłości, grochowiny wczepiające się miłośnie w barani kożuch, ten zaś oburącz przygarniający je do siebie i opierający na nich głowę.

Widzieli za słabo?

LUBCZYK

Na to, żeby w sobie kogoś rozkochać, dobry jest lubczyk, zwłaszcza jego utarty korzeń kopany w październiku, suszony, utarty w moździerzu i zadawany w napoju. Nie zawsze jednak możliwe jest podanie komuś napoju. Wtedy, jeśli chcesz kogoś w sobie rozmiłować, aby tylko na ciebie patrzył, weźmij nasięźrzał. Podobnie jest z lubczykiem, co go koniecznie należy wykopać w październikowy poranek. Nasięźrzału nie można zbierać dowolnie. Trzeba go zerwać w czerwcową noc, najlepiej w świętojańską. Dlaczego? Bo w innych miesiącach nasięźrzał się nie pokazuje. Po wtóre najdorodniejszy jest, chociaż zawsze mały, w tę jedną noc. Po trzecie jego moc największa jest właśnie na święty Jan. Zerwanie nasięźrzału jest trudne, trzeba go znaleźć nie dość, że po ciemku, to póki go się nie zerwie, nie wolno na niego nawet zerknąć, inaczej cała moc zniknie. Znalazłszy go, nie można zapomnieć o wypowiedzeniu zaklęcia:

*Nasięźrzale nasięźrzale,
Rwę cię śmiało
Pięcią palcy szóstą dłonią
Niech się chłopcy za mną gonią!*

Nasięźrzał niepozorny jest – jeden liść i jeden dziwny kwiat podobny do kłosu babki – ale ma wielką moc. Jeśli dziewczeczka natrze nim ciało, chłopcy nie będą mogli oderwać od niej oczu. Nawet suszonym można się natrzeć, jeśli jeszcze wzmocnić zaklęciami i modlitwą, można w sobie rozkochać dowolnego młodzieńca. Niestety, nasięźrzał pomaga tylko tym dziewczynom, co jeszcze męża nie zaznały. Dla wszystkich innych jego pozyskiwanie to próżny trud.

KSIĘGA DRUGA

WIELKI POST

Nijaka zima szybko zmieniła się w uroczę przedwiośnie. Już pod koniec lutego słońce dogrzewało na tyle mocno, że niespodziewanie pojawiły się ślady świeżej zieleni. Pierwsze były przebiśniegi na wątych łądyżkach, w niezwykle sposób wytrzymałe na przymrozki. Wychowana w lesie dziewczura wyglądała tego corocznego cudu życia jak odwiedzin dawno niewidzianych krewnych, których przecież nie miała. Co za siła w tym kwieciu! Jeszcze było zimno, wokół leżał śnieg, a tu wystarczyła plama wolnej ziemi, aby to małe, cienkie, nie wahało się dłużej i całymi połaciami bezgłośnie mówiło: – Jesteśmy, żyjemy, a zima idzie precz!

Zachwycona Anucha któregoś ranka nie omieszkała pokazać tych cudowności Wojdzie. Zerwała kwiatusek, dała mu go i powiedziała: – Zobacz, taki mały, zdawałoby się, że bez żadnej mocy, a zawsze jest pierwszy. Nie rozumiem tego, są jeszcze mrozy, niektóre zioła potrafią nam zamarznąć nawet do połowy maja, a to, widzisz!, jeszcze luty, jeszcze lód leży, w cieniu śnieg, nie przejmuję się niczym, tylko kwitnie.

– Widocznie tak musi być – powiedział uczenie młodzieniec, trzymając ostrożnie zieloną łądyżkę z drżącym, białym łebkiem. Jakoś tak żal mu się zrobiło tej roślinki. Najchętniej wsadziłby ją z powrotem w ziemię, żeby sobie rosła. To, że bieliło się ich dookoła setki tysięcy, nie bardzo do niego trafiało. Szkoda mu było, czuł bowiem, że między palcami wiotczeje łądyżka, a kwiat schyla się coraz bardziej, żegnając z króciutkim życiem. Dodał więc: – Ale wytrzymałości na oderwanie od ziemi nie ma żadnej.

Anucha obruszyła się nieco.

– Nie o to chodzi. Pewnie, że zwiędnie, wszystkie wiosenne kwiatki szybko więdną. Zobaczysz, co z zawilcami się dzieje. Ledwie zerwiesz, a już flak. Nie o to mi chodzi, zagadujesz mnie. Pomyśl, co za siła musi w nim być. Albo wielka trucizna, albo niezwykle lek.

– Skromny jest, choć bardzo ładny. Jaka w nim może być siła? – zapytał bez związku, a nadal smutnie, bo roślinka marniała w oczach.

– Aleś ty głupi. Dla ciebie silne musi zaraz być twarde jak żelazo albo wielkie jak dąb. Pomyśl inaczej. W czymś tak małym jest tyle życiowej siły, co daje sobie radę wtedy, gdy inni są jeszcze na wpół martwi. Jakby tajemnicę odkryć, zapanować nad nią, kto wie, może nawet zamarniętego dałoby się ożywić. Każdy król, a może nawet cesarz, chciałby kropelkę takiej mocy. Możesz mi wierzyć.

– To zdobądź ją – uśmiechnął się Wojda.

– To nie takie proste – odpowiedziała Anucha.

Młodzieniec podroczył się z nią chwilę, że słabą jest czarownicą, na co tupiała prawą nogą, grożąc, że rzuci na niego straszny urok. Nie rzuciła. Potem się rozstali, aby swoim bliskim nie kłamać za dużo. Anucha pobiegła za uroczysko. Wojda przypomniał sobie, że cały czas trzymał w ręku całkiem już opadłą roślinkę. Znów posmutniał, bo mu się zdawało, że w tym kwiatuszku kryła się jakaś dusza. Czuł, że zabrał życie jakiemuś człowiekowi tylko po to, żeby mu lepiej się przyjrzeć, bo gdy się nie rusza, można więcej zauważyć. Chciał zrobić coś w zamian. Dlatego ukucnął i ostrożnie położył zmarniały kwiat między stojącymi różnie, pełnymi życia jego braćmi i siostrami. Wyprostował mu listki, odgiął pochyloną główkę. Trąc brodę w zamyśleniu, patrzył z góry na świat przebiśniegów niczym zatroskany olbrzym.

Rozdział 4.

Wschodni wiatr

Kilkanaście dni drogi na wschód ktoś przyglądał się wiosennym roślinom równie uważnie jak Wojda z dziewczurą, ale tamtemu nie chodziło o przebiśniegi, lecz o trawę. Dostojny Batu-chan odtrącił usłużnie podawane mu źdźbło i zsiadł z konia, aby osobiście poprosić ziemię o dar życia. Zsiadł z konia w ogólnym milczeniu wypełniających cały krajobraz, rozstawionych tümenami setką tysięcy wojowników. Wiatr bujał buńczukami, konie potrzasały łbami, biły kopytami o zeszłoroczne, oklapłe rośliny i usiłowały coś z nich wybierać. Po niebie przebiegały niskie chmury, gdzieniegdzie sięgając do ziemi ukośnymi łapami deszczowej i śnieżnej szarugi. Żaden człowiek nie odezwał się słowem. Ten, który odmawiał wjazdu do zdobytych miast nim ułożono stos z ludzkich głów na tyle wysoki, aby bez schylania mógł spojrzeć w oczy tej najważniejszej, postawionej na szczycie, teraz przyklęknął wśród zeszłorocznej trawy, rozchylił żółtobure, wilgotne źdźbła i własnymi palcami zerwał najskromniejszą w świecie, zieloną nitkę – nie dłuższą niż grubość kciuka. Patrząc jakiś czas na malutki cud życia leżący na jego dłoni, bez słowa, w wielkim skupieniu, ukucnął, aby położyć w tym samym miejscu, z którego go wzięł, i przyglądał się starannie zeszłoroczne resztki.

Wybrana setka ciężkozbrojnych, konnych łuczników, przybranych w pstrokate zbroje z czerwonej i czarnej laki, czekała w skupieniu na gest Batu. Dwóch tysiączników usłużyło mu przy wejściu na konia – jeden przytrzymał wodze, drugi nadstawił własnego grzbietu – i gdy chan dosiadł karego rumaka, uniósł dłonie do ramion, wówczas narzucono nań drogocenne futro z soboli, tak wielkie, że mógłby się nim trzykrotnie owinać. Po zapięciu zdobycznej, złotej fibuli, gdzie widniały niezrozumiałe dla niego znaki krzyży, ujął wodze i ujechał kilka kroków na zachód. Całe wojsko nie widziało już nic, prócz czarnego, futrzanego kształtu zakończonego złotym szłomem. Nie odzywając się słowem, wódz połowy świata popatrzył tam, gdzie świat miał się skończyć za kilkanaście dni. Podniósł prawą dłoń i pokazał coś palcem. Wielki buńczuk poruszył się kilka razy i tümen wodza Ordu ruszył na Polskę. Następnie ten, który wywoływał drżenie całych krajów, ponownie uniósł prawą dłoń i z rozcapierzonymi palcami wyciągnął przed siebie. Buńczuk za jego plecami jakby oszalał, podrygując i się kołysząc. Niczego szalonego w tym jednak nie było. W ślad za nim rozkołysały się inne buńczuki. Trzy tümeny ruszyły na południe, żeby coś dziwnego nie przyszło do głowy Bułgarom. Pięć tümenów, jak pięć rozchodzących się strumieni, ruszyło kolumnami w stronę karpackich przełęczy, na miotającego się w wewnętrznych zamieszkach króla Węgier. Przecież trawa już zaczęła rosnać.

TANIE PIEKŁO

A teraz słuchacze moi wierni

Na trochę dajmy milej pokój

Zajrzyjmy tam gdzie odchodzimy

Gdy łza już wyschnie w naszym oku.

Długo zanim przyszła pstrokata jesień i zima z miłością Wojdy i Anuchy, ktoś w piekle doszedł do iście piekielnego wniosku, że to wszystko jest zbyt drogie. Wszystko, znaczy – piekło. Nie chodziło przy tym o drożyznę, że za wiele wydawano. Chodziło o brak zysków w postaci dusz potępieńców. Może nie tyle nawet brak dusz, co samą możliwość, że mogłoby ich pojawiać się więcej, z jakiś powodów jednak się nie pojawiało. A było to tak.

Belzebub lubił przechadzać się wśród kotłów z gotującą się smołą. Jak trafnie zauważył w wolnej chwili, bardzo mu to dobrze robiło, napełniało bowiem odwiecznym poczuciem potrzeby istnienia. Niekończące się szeregi, nawet hufce kociołków różnej miary, buchające dymy, smród siarki, swąd spalenizny – wszystko razem jawiło się naddiabłu czymś wysoce pożytecznym. Im dłużej chodził, tym większe miał poczucie, że bez niego nie byłoby porządku na ziemi, tylu tu przecież trafiało złoczyńców – za karę. Radość odczuwał nie tylko jako kat ludzkości. Innym słodkie pienia przywodziły na myśl trele słowików, on lubił słuchać ryku męczonych potępieńców, przy którym wycie wilków stawało się niewinną igraszką. Szedł więc w tym jednostajnym hałasie i radowało się w nim coś całkiem złośliwie, najzłośliwiej, iście szatańską złością. Nie o samą radość szło, o nie! Upadły anioł miał poczucie obowiązku, wyznaczał sobie dalekosiężne cele, a w nich najważniejszy: dokuczyć Niebu. Pokazać – jakby to nie zabrzmiało, głównie ze względu na piekielne położenie – swoją wyższość.

Diabelska wyższość, czy też niższość, objawiać się miała skutecznością w zagarnianiu dusz. To zaś zależało od pomysłowości i robotności szatańskiej. Tylko – jak to zauważył księżę ciemności – jeśli sam nie włożył wysiłku w dzieło zniszczenia tak, aby ludzie czynili je własnymi rękoma, zwyciężała w tych naziemnych robakach litość, miłosierdzie i uczynność. Słowem: dobroć. Wtedy nawet, jeśli coś złego czynili, to na tyle nieudolnie, że nie dało się ich za to prosto do piekła zabierać z ziemskiego łez padołu. Była to wina szeregowych diabłów,

leniwych, nieskorych do wyęczenia umysłu, przyzwyczajonych do naśladownictwa. Niby wiedli na pokuszenie, bo to było, jest i będzie najłatwiejsze, ale, jak to ludzie mówili, diabeł tkwił w szczegółach. Czarci pomiot przechodząc do czynów, nazbyt często robił to dosłownie, aż namacalnie, przy tym szedł na łatwiznę. Czepiał się jakiegoś biedaka, czy innego człowieka tkwiącego w ostatecznym nieszczęściu i wiódł go ku złu, mimo że wiedział, iż zły uczynek takiego nieszczęśnika będzie tam u góry usprawiedliwiony czy też szczerze odżałowany. Co gorsza, ludzie nazbyt często odkupywali winy jeszcze za życia. I tak oto wyjących duszyczek nie przybywało w kociołkach tak szybko, żeby wypełnić nimi czeluście piekielne i wyjść z gotowaniem smoły na ziemię.

Mistrz zdrady sam raczył pomyśleć o nowych sposobach na zwodzenie rodzaju ludzkiego i natychmiast przynosiło to wspaniałe wyniki. Ostatnio – weźmy na przykład – cesarz, co się uparł zastąpić papieża. Nie trzeba było wiele nawet zmieniać. Ot, tylko dodać coś nowego do starej zwady między mieczem a krzyżem. Ależ to ładnie wyszło! Ileż taki za sobą pociągnie złych ludzi! Że też inni nie byli tak pomysłowi, jak najczarniejszy z czarnych duchów. Czy wmówienie katarom, że powinni gardzić każdym przejawem życia? To były pomysły na uczynienie piekła ludnym, tyle że nie wpadali na nie diabli niscy rangą, lecz ich księżę ciemności. Złościło go, że wszystkiego musi dopilnować sam, z drugiej zaś strony miał poczucie odpowiedzialności i rachunki z Tymi z Góry do wyrównania. Musiał zatem wpadać na pomysły, a najlepsze przychodziły mu do głowy, gdy słuchał ryku potępieńców.

Któż goś czarnego, piekielnego dnia, gdy wycie potępieńców wyczyściło Belzebubowi umysł do stanu bezkresnej czerni, wpadł na pomysł, w jaki sposób ostatecznie pognębi archanioła Michała, swojego niebiańskiego odpowiednika. Aż podskoczył z radości. Tuż przed Wielkanocą, gdy na pamiątkę zdarzenia, o którym doprawdy wolałby nie wspominać, otwierała się na jedną godzinę łączność między piekłem a niebem, zadarł głowę i wspominając z uśmiechem kotły, co ich piekło było pełne, jak ziarenek maku wypełniających przetak, powiedział drwiąco do swojego niebiańskiego przeciwieństwa: – Widzicie, Wasza Jasność, jak to wszystko zgrabnie się układa? Jakim Mu wyszedł człowiek na Jego podobieństwo? Przyznaj wreszcie, Wasza Prawdomówność, chyba coś się nie udało? Jakoś tak wyszło, że ten twór jest bardziej nam niż wam podobnym. Dalej chcecie używać, na określanie uczuć ludzkich, tego głupiego słowa „miłość”? Nie bardziej do nich pasuje piękne słowo „nienawiść”? Zobacz tylko, z twojej wysokości dobrze widać. – Zgrzytnął zębiskami, bo uświadomił sobie dlaczego „z wysokości”, a bardzo nie lubił wspominać chwili nad wyraz bolesnego upadku, co teraz odbiło się zielonym płomieniem chuchniętym z pyska. Zaraz też, jak gdyby nigdy nic, ciągnął dalej: – Zobacz tylko, spójrz w dół okiem tysiackroć lepszym niż sokole. Nastaw ucha i posłuchaj naszych chórów. Posłuchaj, kogo wielbią. – Przerwał na chwilę, aby

dziurą w czasoprzestrzeni pobiegł w górę głos potępionych. – Słyszysz tę potęgę? Słyszysz ją? To dusze tych, co powstali na czyjeś tam podobieństwo. Jak ich ciała obróciły się w proch, prosto do nas trafili. Naprawdę, przychodzi nam to bez trudu i to przy pomocy waszych sług na ziemi. Dzięki nim tu, na dole, sobie ręce po łokcie urabiamy. Ba, po ramiona! A wy? Czym takim się wysilacie? Nam wystarczy jedno słowo powiedzieć, żeby zyskać duszę jakiegoś głupca, a wy możecie mu gadać dzień i noc, dzień i noc, nawet przez całe jego życie, i co z tego?

Smutny archanioł Michał nie odpowiadał. Nie patrzył nawet, ale wrzask piekielny dochodził do jego uszu, jakby na potwierdzenie diabelskich słów. Rozochocony Belzebub rozgadał się na dobre.

– Wiele, oj wiele moglibyście się od nas nauczyć, ale wy od samego początku jesteście jak te cielęta bezrozumne. Macie łagodne mordki, żrećce trawkę niczym baranki niewinne. Nigdy nikogo nie skrzywdzicie i zdaje się wam, że trawy dla wszystkich wystarczy, a jeśli przy tym zgryziecie jakiegoś robaczka, zalewacie się rzewnymi łezkami. Biedactwa! – świergolił pieszczotliwie, lecz przestał i odezwał się ostro: – Jeżeli komuś z ludzi czegoś brakuje, polecacie cierpliwie znosić brak, zamiast coś na to poradzić. My im nigdy nie dajemy głupich rad na pusty żołądek. Od nas zawsze coś dostają.

Na chwilę przerwał gadanie, żeby nie tylko rozkoszować się uzyskaną przewagą, lecz również z powodu najwyższej we wszechświecie próżności – otóż natychmiast sobie wyobraził, że jest podziwiany za zgrabne zdania, co twarz Michała Archanioła czyniły jeszcze bardziej zatroskaną niż zwykle. Gdy diabeł już się napuszył, prawdę mówiąc, gdy zauważył, że niechęcy daje czas przeciwnikowi na zastanowienie, pociągnął dalej diabelskie przemówienie: – Wiem, dlaczego tak jest! Bo ta wasza dobroć i łagodność to jedno wielkie kłamstwo. Nie macie w sobie ani krztyny litości, ani też koniecznego sprytu, jedynie nadętą ważność, co podajecie za prawdę. Ważność i lenistwo. Wymyślacie ludziom grzechy, straszycie, ale gdybym tylko mógł, gdybym tylko mógł raz zajrzeć w wasze niebo, to siedem grzechów głównych mógłbym wam zarzucić, wam, anioły bielsze od śniegu. Nawet łakomstwo, choć przecież nic nie musicie żreć! Przede wszystkim zaś się lenicie. Lenie jesteście, całe wieki spędzacie w próżnej beczynności. W tym jest tajemnica waszego nastawienia do biednych ludzików. To dlatego ufność pokładacie w słabiutkiej, ludzkiej woli, nieznacznie coś próbujecie zmienić, niewidzialne znaki dajecie, że, naprawdę, przykro patrzeć. A my? My nawet nie musimy się wysilać. Tylko coś podszeptniemy, podpowiemy i już. Samo się dzieje! Wy gdzieś tam ostrzeżenie zrobicie, jeden dureń się potknie, walnie w łeb, znak na niebie zobaczy w zamroczeniu i powie: – O! Niebiosa nas ostrzegają!, ale kto takiemu uwierzy, skoro on całe życie mądry niczym baran? – Diabeł zakończył zgrabnie i znów szukał poklasku, tym razem nie ogólnego, lecz w wyrazie twarzy anioła.

Tak wyszło, że Michał minę miał zatroskaną, ale nie więcej niż po pierwszej części przemówienia. I nadal milczał. Belzebub gadał więc bezkarnie, w poczuciu jednak nienazwanej złości. Wspomnił bowiem niechcący pewne wydarzenie, za którego przyczyną, właśnie mogli się zobaczyć i usłyszeć.

– Dwunasty raz – tu ze złości buchnął siarką i iskrami – tak sobie gadamy, a ty jaki byłeś głupi, taki jesteś. To właśnie w tobie podziwiam. Jak można być cały czas tak niezmiennie głupim? Ty byś jednego supła nie umiał rozwiązać bez modłów, a co dopiero ludzkie życie naprawić. Wy, głupcy, daliście ludziom wolną wolę i przy każdej sposobności o niej prawicie, nią się zasłaniacie. My zaś ją sobie co dzień, a raczej co noc bierzemy, ile tylko się da. Nam śpiewają pieśni uwielbienia, co prawda niezbyt składowo, za to jednakowo, słyszysz jak? – Zrobił miejsce setkom tysięcy setek tysięcy ludzkich jęków. – A u was co? Puściutko! Głucho!

Milczenie nadal trwało, rozgadany diabeł pozwolił więc sobie już całkiem na zuchwałość.

– Nawet nie przyznacie, że bez nas to już niczego byście nie dokonali. Jak tu byłoby nazwać was dobrymi, jeśli by nas, złych, nie było? Kto rozpoznałby, co jest dobre, skoro nie byłoby złego? A wy, tacy niby dobrzy, tylko patrzycie sobie z góry, patrzycie, biadacie, coś czasem zagrzmie... Ci, tam na ziemi, się namodlą, nagadają, nażałują i nic, nawet słowa wsparcia im nie dacie, bo tak naprawdę jesteście nie tylko leniwi, ale i głupi. Wam wygodnie nic nie robić, oburzać się, że ludzie dobrzy nie są. My nie narzekamy. – Na tym skończyła się nagle myśl diabelska ozdobiona uśmiechem.

Do kudłatego, rogatego łba nic już więcej nie przyszło.

Archanioł Michał nadal miał twarz poważną. Nie dał po sobie poznać, że ma jedną słabość: chciałby dobyć z pochwy ognisty miecz i sieknąć przez bezczelnie uśmiechnięty, ociekający siarczaną śliną diabelski łeb. Ale nie wolno było. Podszedł do drabiny niebieskiej i postąpił nogą na szczebel. Obrócił się. Wychylony z otworu ziemi Belzebub jeszcze patrzył, wykrzywiając przy tym mordę tak, że przypominała nieco zatroskane, anielskie oblicze i żeby w pełni osiągnąć zamierzone wrażenie, złożył jeszcze pazury razem jak do modlitwy i wznosił oczy ku niebu, pilnie jednak zerkając, czy anioł widzi jego starania. Chyba śmiesznie mu wyszło.

– Jutrzejsze radosne *alleluja* ustami samych ludzkich dusz zaśpiewane – powiedział archanioł, nawet nie westchnąwszy – przez zawarte bramy piekielne usłyszycie. Już tego nie zagłuszycie, bo nie zmusicie nikogo, aby jeszcze głośniej biadał nad tym, że słuchał waszych rad. – Odwrócił się, zostawiając błaznującego diabła samemu sobie; tak zakończyła się ich dwunasta rozmowa od wydarzenia, jakiego diabeł za nic nie chciał wspominać.

Stało się to, co przepowiedział archanioł Michał. Dokładnie za dzień, mimo

zawartych na głucho bram piekielnych, mimo podsycania ognia pod kotłami, mimo że diabły były widłami w wyjąca litości, bezkształtną masę ludzką tonącą w stopionej siarce i smole, ryk potępieńców nie zwiększył się nic a nic – był niczym straszny, jednostajny szum ogromnej wichury, niczym bezustanne, ogłuszające bicie o brzeg morskich bałwanów, trudny do zniesienia i, zdawałoby się, nic go nie przemoże, chociaż ściany piekieł pękają od huku. Nieznośnie słodki dla diablích uszu głos *alleluja!* roku 1233 przedarł się wyraźnie, jakby chóry świętych śpiewały tuż obok. Mało tego! Nawet ludzkie głosy mogły zagłuszyć potępieńców, w dodatku w sposób najboleśniejszy dla samych diabłów, które najbardziej nienawidzą słów pieśni *Te Deum*. Nawet w najmniejszym kościółku zebranej na rezurekcji chociaż garstki wiernych nierówny, cichy śpiew przyprawiał o męki tych, co sami je z lubością innym zadawali. Przez cały dzień, o różnych porach, w różnych językach, wystarczałoby niewinne *Ciebie Boga wysławiamy, Tobie, Panu wieczna chwała...* wyśpiewać ze szczerym wzruszeniem i ufnością, żeby diabelskie cielska doznały biczowania podobnego chrystusowemu. Wściekły Belzebub, czujący ogień słownych razów całym swoim jestestwem, usłyszał mimo wszystko jeszcze jeden zbiorowy ryk – diabelski. Całe piekło naraz zahuczało. Tego nie wystarczyło, aby przemóc potęgę starej i – jakby to sam powiedział – bardzo naiwnej, a nawet głupiej pieśni. Co dopiero powiedzieć o *alleluja?*

Minął dzień tysiąc dwusetnego zmartwychwstania i wrota piekieł znów się zatrzasnęły z hukiem, aż ziemia zadrżała od Jerozolimy po Rzym i Bizancjum. Ból diabelski ustał, ale Belzebub jeszcze ryczał, rozdając razy każdemu diabłu, co mu pod kopyta się nawinał, co doszło do jego najwyższej zwierzchności. Nie wezwano go jednak, sam się uspokoił. Knuł, knuł, aż wymyślił. Morda wykrzywiła mu się wstrętnym grymasem zadowolenia, jeszcze chwilę się zastanowił, jeszcze powstrzymał na dzień, dwa, wreszcie nie wytrzymał – cała jego pycha buchnęła samochwalnym wrzaskiem: – Michał, ty głupku, dzięki za podpowiedź!

Natychmiast przystąpił do bezbożnego dzieła. Wymyślił, że skoro nie da się bardziej już męczyć dusz ludzkich niż do tej pory czyniono, to przecież piekło dysponuje sporymi nadwyżkami jałowej mocy. Zatem jeśli część sił odjąć od kotłów, męki potępieńców nie zmniejszą się nic a nic, za to zwolnione moce piekielne będzie można przesunąć na inne pole – ziemskie.

Rychło przystąpiono do oszacowania nadwyżek diabelskich kręcących się niepotrzebnie przy kotłach. W jednej chwili różne miejsca na bożym świecie obrodziły w pomiot diabelski wysłany w liczbie niezmierzonej, ponoć trzystu tysięcy. Największa ich kupa wylazła na ziemię hen na wschodzie, gdzie chrześcijańska stopa jeszcze nie powstała. Trwało kilka lat, nim dotarli do bram Polski i Węgier.

Część diabłów rozproszono po świecie chrześcijańskim z zadaniem szerzenia herezji, rozpusty i wszelkiego zła. Obiecywano sobie po tym wiele. Więcej złych

na ziemi, to większe wypełnienie kociołków, mniejsze więc chóry w niebie. Czyli same zyski, kosztem zaś tylko takim, że w piekle będzie mniej obiboków. Ot, więcej piekła na ziemi – jak to zgrabnie sobie tłumaczono.

Na całe przedsięwzięcie Belzebub mówił „Tanie piekło”.

TANIE NIEBO

Jedni wysoko w przestwór niebios

Inni w ciemnicę najciemniejszą

Tam gdzie doczekać trzeba sądu

Co da nam dolę ostateczną.

Psikusy piekielne wyraźnie widać było z wysoka, nawet z tak wysoka, jak z nieba. Tam archanioł Michał, przechadzając się ze Świętym Piotrem między chórami anielskimi śpiewającymi jednocześnie na 24 głosy słowo „*hosanna*”, rozważali przyczyny małego przybytku świętych. Za mało ich było, stanowczo za mało. Bywały lata, gdy święci przybywali całymi oddziałami. Prawda, trochę to jednostronne, nazbyt jednakowe, choćby taki Legion Tebański – kilka tysięcy świętych naraz, gotowych do natychmiastowego stworzenia największego chóru. Gdy po raz setny świętym zostawał ktoś z własnej, wielkiej wiary, ale wyłącznie przez męczeńską śmierć, w niebie, gdzie wszystko na tak, oznaczało tak, a wszystko na nie, oznaczało nie, zaczęto się zastanawiać, czy aby tylko tędy droga wiedzie do świętości. Czy nie można dojść do niej inaczej? Przy takim ustawieniu zasad wiary mogło bowiem wyrobić się w ludziach przekonanie, że tylko męczeńska śmierć daje świętość, i tym sposobem wszelkie inne dobre przykłady świątobliwego życia byłyby mało powabne dla najżarliwszych chrześcijan.

Najprawdziwszy niepokój powstał między najświętszymi ze świętych. Kilku pragnących poklasku niebios misjonarzy, zamiast starać się szerzyć Słowo Boże najskuteczniej jak potrafili, użyło go do zyskania palmy męczeństwa, co im się jawiło jako najlepsze, co mogli dla Bożej Chwały uczynić. Święty Piotr zapytał kilku z nich u bramy nieba, ilu ludzi zdołali nakłonić do wiary, skoro pchają się między tych, co oblicze Boga mogą w nagrodę oglądać.

– Ale mnie poganie zabili za wiarę, a przy tym udręczyli strasznie. Biskupi

uznali i papież zezwolił na mój kult.

Święty Piotr głęboko zafrasował się nad tym, co usłyszał. Wezwał Świętego Wojciecha, aby poznał, jakim powierzchownym sposobem można traktować służbę apostolską. Dzielny za życia Wojciech, poznawszy dokonania najnowszych chętnych do zostania świętymi, popadł w stan głębokiego zamyślenia. Nie był dumny z siebie, bo własną śmiercią służył podobnym przykładem i ten właśnie przykład naśladowano, całkiem jednocześnie wypaczając. Wojciech miał solidne podstawy, żeby śmierć męczeńską ponieść. Był wówczas w rozpacz po utracie bliskich, miał czystą chęć odkupienia własnych win, chociaż win nie miał, no i chciał wziąć na siebie cierpienie świata. Nie wątpił, że idzie z Bogiem, a zatem z najlepszym sojusznikiem, jakiego można sobie wymarzyć. W dodatku nie było wówczas najmniejszych nadziei na pozyskanie słuchaczy pośród pogan. Wycofać się, znaczyło stchórzyć, pozostać – narazić na drwiny. Tylko czyn najwyższej odwagi mógł zwrócić uwagę pogan na siłę chrześcijaństwa i na ten czyn Wojciech się wówczas ważył.

Teraz okoliczności przedstawiały się inaczej. To, co u Wojciecha było działaniem wpływającym z porywów serca i rozpaczliwej gonitwy rozumu nawet z narażeniem życia, powoli zaczynało się okazywać celem samym w sobie dla jego bezmyślnych naśladowców. Jeżeli okoliczności sprzyjały zyskaniu prawdziwych rzesz wiernych, nowi „męczennicy” załatwiali sprawy jednak tak, aby szybko kłaść głowy pod topory rozwścieczonych pogan, zbiorowe chrzty zaś oddalić tym samym na dziesiątki, a nawet setki lat. Wpuszczono ich do nieba, a jakże, bo głęboką mieli wiarę i wszelkie pokusy diabelskie odrzucali.

Wreszcie postanowiono położyć kres podobnym działaniom, ponieważ ogólnego pożytku z nich płynącego nie było w tym widać, prócz zyskania kilku niepotrzebnych świętych.

Źle się działo na ziemi: pleniące się herezje, powierzchowność wiary, marne przykłady dobrej wiary wśród pasterzy i ich rażące nieuctwo, dowolne traktowanie Bożego Słowa spotkać można było co i rusz. Na domiar złego jeszcze szarogęsił się ten pól, a może cały szatan-cesarz – ostatni pomysł Belzebuba. Gdy archanioł Michał ze Świętym Piotrem szli, i szli, i szli między nieskończonymi chórami aniołów, a nieliczne chóry świętych minęli bardzo szybko, doszli do wspólnej myśli, że kogoś tu jest o wiele za mało. Że niewspółmiernie drogo uzyskuje się ostatnio świętych, w dodatku nie najwyższej jakości. Może coś w tej diabelskiej podpowiedzi Belzebuba było nazbyt szczerego, bo on w pysze potrafił czasem coś zdradzić... Jakby tak więcej ludziom podpowiadać, zastanawiali się archanioł Michał ze Świętym Piotrem, że dobre uczynki w czwórmasób dobrze im czynią, jakby ich tak więcej uczyć dobrego, a nie tylko czekać, że wzmocnią ich w świętości bolesne razy dawane przez życie?

Święci zrozumieli, że niebu nie potrzeba większych chórów anielskich, bo

każdy z chórów anielskich, nieważne czy mały, czy duży, śpiewał tak samo pięknie, piękniej już się nie dawało, za to przydałoby się więcej chórów złożonych ze świętych. Nie z tysięcy męczenników, lecz z takich, co spróbują zbudowania nieba na ziemi. Do tego konieczne było wsparcie dla wątpiacych, aby po odpoczynku znów mogli czynić to, co trzeba. Takie wsparcie możliwe było od zaraz, pod postacią anielską.

Działano w tę stronę już od pewnego czasu, co przynosiło świetne owoce, chociażby Dominika czy Franciszka. Postawiono wówczas głównie na jakość, aby nie szerzyć zabobonnej wiary w cudowne wydarzenia – ludzie zaczynali bowiem zwykle czcić samo wydarzenie, zamiast Głównego Sprawcę. Lepiej było, gdy na rzecz dobra działali sami ludzie, bo inaczej łatwo wzbudzić wśród całych gromad nabożną cześć do jakiegoś przedmiotu. Ludzi nie czyniło to lepszymi, tylko bardziej rozmodlonymi, co, niestety, ci z dołu natychmiast wykorzystywali, zsyłając fałszywe znaki i namawiając do herezji. Wahano się zatem, czy warto pośród lud rozesać aniołów, żeby nie objawiło się tam mnóstwo fałszywych proroków gotowych pociągnąć za sobą do piekieł rzesze, ale uświadomiona skrajna nierównowaga w niebie między chórami ludzi a aniołów rozwiała te wątpiwości archaniołowi Michałowi. Święty Piotr, wspominając jakość ostatnich błogosławionych, potwierdził, że działać trzeba natychmiast.

Ledwie na ziemi przybyło czarcich pomiotów, z nieba spłynęli na skrzydłach aniołowie niebiescy. Nie tak licznie, jak ich upadli przeciwnicy, bo zaledwie trzydzieści trzy tysiące. Nigdzie też anieli nie tworzyli zwartego, licznego wojska, jak ci z dołu. Krępowwały ich rozkazy, wszystko czynić mogli tylko ludzką miarą, bez okazywania mocy, szczególnie zakazywano powodowania cudownych wydarzeń. Na koniec każdy dostał polecenie: – Zło dobrem zwyciężaj.

Patrząc na ziemię, gdzie ludzie mieli wybór między namacalnymi pokusami piekła a mglistymi obietnicami odległego nieba, widząc, że ludzie często wolą mglistość, archanioł Michał w ostatniej chwili się powstrzymał przed krzyknięciem w dół do odwiecznego wroga, który znów się przyczynił do zwycięstwa dobra. Wiedział, że do tamtych nie warto mówić, nie warto im się chwalić, bo są gotowi z jednego słowa wyciągnąć naukę i ustawić wszystko na przekór. Dlatego zawsze najwięcej się zloszczą, gdy żadne słowo nie pada.

Przyszła archaniołowi trwożna myśl: czy aby wielki ruch diabelski nie powstał za jego przyczyną? Belzebub za coś podziękował. Główny wojownik sił niebieskich pokiwał głową – jak zwykle, raz na sto lat, niepotrzebnie się odzywa do tych, co ich Pan Bóg skazał na wieczne nieoglądanie Siebie.

W patrzeniu w dół towarzyszył archaniołowi Święty Piotr. On, jako rybak, myśli miał nieco innego rodzaju. Uśmiechał się, że sieci się zapełnią i to nie płótkami czy kielbikami, lecz rybami grubymi, i jakoś tak udało mu się w jednym zdaniu nazwać wątpiwości archanioła Michała i własne pragnienia: – Wierzę, że

dotarcie do nieba uczyniłeś ludziom tańszym.

– Oby tak było – szepnął w odpowiedzi niebiański rycerz.

DROGA ZIEMIA

Czy nie mieliście tak ludziska

Żeście się gdzieś tam obudzili

Nie rozpoznając świata pyska

Jakbyście znów się narodzili?

Nie tylko ludzi to spotyka

Bywa tak samo i z innymi

Myślą że sen a on nie znika...

I jakoś trzeba żyć z obcymi.

Diabeł, ten co trafił do Zalesia, nie zgłosił się na ochotnika, ani nawet nie upatrzone go do tego zadania. Spał za którymś z kotłów, w ciepelku, nie dbając o to, czy dusze złych ludzi są odpowiednio topione, gotowane, smażone, klute widłami albo sieczone żelaznymi biczami, bo od dawna już wiedział to, co dla zwierzchności aż do wczoraj pozostawało zakrytym: nie da się bardziej kogoś ugotować. Wielu szatanów bawiło ustawiczne dręczenie potępieńców, fruwali, skakali, darli mordy, machali widłami, ale po co? To i tak tyle dawało, co zabijanie trupa jeszcze raz. Dlatego ten diabeł co niebawem trafił do Zalesia pilnował tylko, żeby ogień pod kociołkiem nie wygasł. Jeżeli zaś ktoś próbował z kociołka wyjść, z niezwykłą wprawą wykształconą tysiącami lat, walił w łeb trzonkiem od wideł i już. Następnie związał się w kłębek i zasypiał smacznie, zasłoniwszy baranicą uszy

od potępieńczego wrzasku. Zresztą mógłby się nie zasłaniać, przywykł już do niego, lecz zasłaniając się, wyraźnie było mu lepiej. I może nadal pozostałby niezauważony, ale na losie owego diabła zaważył pewien drobiazg.

Pewnego dnia, czy raczej nocy – przecież słoneczne światło nie dochodzi do piekieł – diabeł zasłonił sobie uszy tak dobrze, że nie obudził go nawet ryk Belzebuba – piekielny krzyk ważnego diabła wymiółł inne odgłosy, jedynie potępieńcy jęczeli, płakali i ryczeli z bólu, jak to oni, ale kto w tym wrzasku pobyl choć rok, dla tego stawał się on zaledwie szumem brzozowych liści na leciutkim wietrze. Belzebub się wydierał, znacznie głośniej od potępieńców, krzyczał, że wymyka się coraz więcej dusz ludzkich z sideł, bo sidła niestaranie są zastawiane. Potrzeba więc uderzyć z całą mocą na ten parszywy ludzki rodzaj, który już sobie wymyślił, co zrobić, aby do piekła nie trafić. Nie ma już miasta, coby w nim jakiś przyszły święty nie siedział i nie nauczał. Tak dobrze już szło z heretykami i z tymi, co ścigali heretyków, ale znów coś się zacięło. Dlatego trzeba odnowy.

– Więcej piekła na ziemi! – zakrzyknął z nadmiernym uczuciem, jednocześnie pokazując paluchami widlasty znak. Spodziewał się przy tym, że buchnie ochota diabelska do czynienia zła na ziemi, bez udawania. A tu nic, żadnych uśmiechów, okrzyków, nikt nawet nie pierdnął w zachwyceniu. Tylko ponure spojrzenia szatanów, raczej łypanie ślepiami z poodwracanych i pospuszczanych łbów, wyraźnie wystraszone i niechętne jakimkolwiek zmianom.

– Co jest? – zapytał jeszcze się wykrzywiając w wysilonym uśmiechu. – Nie cieszyce się?

Żaden się nie cieszył. Stało się więcej – diabelska, kudłata, śmierdząca masa posunęła się dalej do kątów, ich ślepią przestały błyszczeć.

– Nie chcecie ludziom szkodzić na ziemi? – z niedowierzaniem dopytał piekielny dostojnik, a gniew w nim wzbierał i bulgotał, jak lawa w wulkanie.

Szatany odsunęły się od niego ponownie i na tyle daleko, że Belzebub nie dopułby do nich, chociaż w tym był mistrzem.

– Nic nie powiecie?! – wrzasnął naddiabeł, a szatany zbiły się w kupy jeszcze ciaśniej, nie śmiejąc mruknąć. Myliłby się ten, co nastalą ciszę nazwałby uroczystą. Coś podobnego, pomyślał przełożony diabelski, oni milcząc, drwią. Chciał zatem z oburzenia wrzasnąć tak, żeby niebo się zatrzęsało.

W tym właśnie czasie, gdy Belzebub nabierał tchu do straszego ryku wezbranego niezmiernym gniewem, jego uszu doszło wyraźne chrapanie. W zaskoczeniu zamarł i zamiast groźnego charkotu tysiąca niedźwiedzi wyszedł mu ze wstrętnej gardzieli nierównie cichszy jęk podobny do uchodzącego z przedziurawionych dudów; spod nóg dochodzące do niego chrapnięcie, co się zowie, w nastalą ciszy znacznie donośniejsze było niż nieudolny świst księcia ciemności.

Zaskoczony Belzebub, zdający sobie sprawę ze śmieszności własnego

położenia, trącił kopytem w zwój kozuchów kilka razy, aż wyłonił się z niego, z szerokim rozłożeniem łap, zaspany diabeł. Coś pomlaskał paszczą, pomacał dookoła łapą i znalazłszy brzeg okrycia, naciągnął je na siebie tym samym ruchem, co się przeciągał, po czym płynnie legł na powrót w piekielnych piernatach. Wyszło to jednak tak, że jednocześnie wypiął się bez żadnego wdzięku w stronę groźnej zwierzchności. Śnił chyba coś błogiego albo miał wizję z piekielnych nauk, bo pysk miał nieco znudzony, za to wypierdział całkiem udatnie kilka zwrotek jednego z katarskich hymnów.

Z oczu Belzebuba posypały się skry. Już wziął zamach, żeby kopniakiem ukarać lenia gorszego nad piekielne lenistwo, gdy dostojnie powstrzymał karzące wierzgnięcie. Wpadł bowiem na lepszy pomysł. Chichocząc z szatańska, cichutko stawiając kopyta, podszedł do kotła. Szukając w bierwionach opalanej żerdzi, coby żarzyła się na końcu czerwieni, mruczał mściwie, aż znalazł balik całkiem długi i wąski jak pałka. Dookoła zabłyśły ślepią diabłów w cichutkim zachwyceniu.

– Zaraz ci dam – szepnął Belzebub tak, aby wszyscy słyszeli.

Poniósł się wielotysięczny, acz cichy chichot diabłów nieszczędzących pochwał gestami i wykrzywianiem paszcz.

Najważniejszy diabeł wziął do łapy kołek zakończony spiczastym żarem, wyprostował się i już miał postąpić o krok w stronę winowajcy, całe piekło już wstrzymało oddech w oczekiwaniu na to, co się stanie, gdy z kotła wychynął nieszczęśnik z donośnym bulgotem. Usiłując wyjść za krawędź, jego głowa ociekająca gorącą smołą znalazła się tuż przy głowie Belzebuba. Wtedy, wiedziony przecuciem albo wielowiekową wprawą, śpiący diabeł namacał czegoś koło siebie i nawet nie spojrzawszy dwa razy machnął w stronę kotła. Trzonek wideł raz trafił w potępieńca, co w tej samej chwili osunął się w bulgoczącą maź, i raz w łeb dostojnego szatana, dając dudniący odgłos jak z pustej beczki. Że nic pod trzonkiem się nie zmieniło, zaspany diabeł poprawił jeszcze dwakroć. Trzeci raz nie zdążył, bo jakaś diabelska siła wyrwała widły z łapy, a w swoim tylnym otworze poczuł piekielny żar. Ryknął tak, że nawet Belzebub by tego się nie powstydział. Diabeł jeszcze nie skończył ryczeć, a już leciał po ludzkim niebie jak ogoniasta gwiazda, na której widok ludzie mówili: – Będzie wojna.

Gdy srający ogniem piekielnym wpadał w bagno porośnięte rokitą, ludzie mówili, widząc wątłą nić gasnącego płomyczka: – Znów niebo odrzuciło jakąś duszę. Znów ktoś trafił do piekła, i nabożnie czynili znak krzyża, odpychając od siebie złe. Choć mylili się w myśleniu, to dobrze czynili, widzieli wszak diabła wystrzelonego z piekiel.

W tym jednym, jedynym wypadku można było patrzeć na diabelskość z lekkim przymrużeniem oka, wyłącznie przez wzgląd na zaskoczenie piekielnika jego nowym położeniem. Belzebub tak szybko posłał go na ziemię, że – znalazłszy się w nowym miejscu – najmniej ze wszystkich sił piekielnych rozumiał, co się

stało i po co. Nikt nawet słowa na pożegnanie nie powiedział, no i niczego sam nie kojarzył, bo wszyscyutkie przemówienia Belzebuba smacznie przespał, słusznie myśląc, że są mu one na nic.

Będąc już na ziemi dociekał w umyśle, co właściwie się stało. Niewiele czasu minęło, gdy pojął; przyleciał między ludzi tylko dlatego, że nazbyt wygodnie urządził się przy kotłach. Całkowicie nieoczywistym zaś było, co ma robić i jak sobie radzić, co czyniło jego położenie nieznośnym. Przecież innym diabłom, nim ich oderwano od przytulnego, piekielnego ciepła, dokładnie wyjaśniano, po co zesłano ich na ziemię. Tego zaś spotkał psikus i można by mu współczuć, gdyby tylko był człowiekiem. Człowiekiem jednak nie był, szybko więc musiał się tej sztuki nauczyć, jeśli miał sobie radzić na ziemi. To zaś pojął nie od razu, lecz dość szybko, gdy przyszły do niego ból, chłód i głód – uczucia wcześniej nieznanne.

Początkowo postanowił poszukać zejścia do piekieł, ale im dłużej szukał, tym bardziej go nie znajdował. Tak to trwało trzy dni i noce, aż dygotał cały z zimna, a z osłabienia nie mógł chodzić. Na słabnące nawoływania ani razu nikt nie odpowiedział, prócz oddalającego się łoskotu dzików uchodzących co tchu – domyślały się, że zwierz o tak grubym i donośnym głosie paszczę ma wielką i zębiska w niej nie mniejsze. Wreszcie jego diabelstwo jakby samo sobie zaprzeczyło, bo gdy przykładał do bolącego miejsca kojące, bagiennie zioła i szlamy, myśl jego krążyła, krążyła, zerkając to tu, to tam, w proste, nawet prostackie zakamarki umysłu, aż znalazła mdłe światełko, co w rozpaczy wydało się w pierwszej chwili poblaskiem piekielnego żaru, po niejakiem zastanowieniu zaś, tak po ludzku, jutrzeńką zapowiadającą lepszy dzień. Doszedł wówczas do przekonania, że go z piekła wyrzucono, bo na diabła się nie nadaje.

Z wrażenia piekielny nieudacznik zapomniał o bólu, a cała przyrodzona złość diabelska, jaką miał przeciw rodzajowi ludzkiemu i anielskiemu, obróciła się nagle w drugą stronę. Skoro mnie nie chcą, to nie, pomyślał mściwie i splunął. Ślina natychmiast wzbudziła kilka bagiennych ogników, co ktoś zobaczył i opowiedział innym, że złe łązi po bagnach i straszy. Niemiłosiernie utaplane w błocie straszycie myślało o sobie z wielkim uznaniem: w żalnym położeniu miał na tyle sprytu, no i isticie diablej pychy, aby się domyślić, że doznał czegoś wyjątkowego, co może zmienić bieg dziejów, jeśli nie całego świata, to choćby ludzkości. Niepamiętne czasy temu strącono w piekielne otchłanie upadłe anioły tylko dlatego, że do anielskiego stanu się nie nadawały. Stały się diabłami, istotami na wskroś złymi i nie znano przypadku, żeby któryś z nich zyskał możliwość powrotu do nieba. Diabła rzuconego na ziemię pierwszego spotkał ten zaszczyt! No, może nie do końca, bo do nieba nie doleciał, ale i tak jest jedynym diabłem, co go strącili w drugą stronę. Żeby to osiągnąć, wystarczyło zaledwie lenić się przy kotle z duszami.

I tak diabeł-śpioch ujrzał się we własnych oczach jedynym sprawiedliwym

na całe piekło, godnym tego, aby ponad całą czeredę diabelską się wywyższyć i kto wie, może nawet dostąpić zaszczytu prawdziwej służby anielskiej?

Oto nie tyle wykiełkowała, co się rozbudziła w diable najprawdziwsza, piekielna pycha. Wydała przy tym zatruty dobrem owoc nieświadomości, co ludziom, mającym z nim później do czynienia, wyszło tylko na dobre. Przyznać też trzeba, że przez skrajną pomyłkę diabeł okazał się całkiem ludzki. Z czasem się przekonał, że bycie człowiekiem to nic złego. Do aniołów jednak wiele mu brakowało, naprawdę wiele. Choć i w zakresie człowieczeństwa czekało go sporo nauk.

Wylazłszy z bagien, diabeł trafił prościutko do zagrody smolarzy. Ich wygląd uczerniony, poszarzały, zapach smoły, dziegciu, żywicy i węgla drzewnych były swojskimi, miłymi, aż diabeł się rozrzewnił. Między nimi przez chwilę było mu jak między diabłami, szczerzył się więc, podrygiwał i łąsił do nich jak do piekielników. Ludzie zaś, zobaczywszy go, ustali w robocie, któremuś to nawet siekiera wypadła z rąk.

– Kto to? – w oniemieniu wykrztusił jeden – ten, który siekierę upuścił.

– Rokita – wyszeptał drugi ledwie żywy ze strachu. Dobrze wyszeptał, po czym się przeżegnał, a diabła natychmiast przeszedł nieprzyjemny dreszcz, jakby mu kto żelaznymi, czerwonymi od żaru widłami po plecach przejechał.

– Ale się usmolił! – powiedział trzeci, najbardziej ze wszystkich usmolony, bo po co się myć, jeśli człek zaraz znów się ubrudzi.

– Ktoś ty? Gadaj! – krzyknął przytomnie pierwszy, podnosząc siekierę z ziemi.

Pozostali też lepiej ujęli to, co mieli w garściach – jeden świerkowy kołek (kołków od zajścia z Belzebubem bał się diabeł szczególnie), drugi długaśny pogrzebacz. Chłopy były kudłate, w połatanych niezręcznie portkach i koszulach, niegdyś barwy zbliżonej do białej, co jednak łąt nie dotyczyło, a teraz żadnego znaczenia nie miało, bo wszystko stało się równiutko szarobure. Czupryny przykrywały połatane resztki kaptura u jednego, u drugiego czapki z jagnięcia, u trzeciego nie wiadomo już czego. Trochę się zezłościł, oczy więc im zaczęły połyskiwać białkami i groźnie postąpili do przybysza, który nie bardzo wiedział, co uczynić – uklonił się, trochę pokracznie mu wyszło, ale lepsze to niżli nic. No i szczerzył się żółtymi zębiskami, co i rusz pochylając łeb, jak umiał najniżej, a to już całkiem zbiło smolarzy z pantałyku.

– Tyś chyba nietutejszy? – zapytał brudas.

Diabeł na chwilę przestał się kłaniać. Bezpiecznie jest przytakiwać, ale niech sami wymyślą, kim jestem, będzie mi łatwiej, szybciej pomyślał i powiedział: – I tak, i nie.

– Ty może jesteś z tych niemieckich osadników? Ale oni ludzką mową nie gadają – rzekł domyślnie ten przestraszony i zaraz sam sobie odpowiedział.

– Tak, ja... – zaczął diabeł, lecz coś mu się urwało. Chciał powiedzieć, skąd jest, ale te dwa słowa wystarczyły smolarzom za całą prawdę. Uznali, że to Niemiec jąkała, zagubiony.

Pozwolili mu się ogrzać przy ognisku, nawet poczęstowali pieczoną rzepą.

– Jak cię zwa? – zapytał najstarszy smolarz.

– Rokita – podpowiedział ze śmiechem ten przestraszony.

– Tak, Rokita – potwierdził diabeł, na co pozostali, nie wiedząc dlaczego, buchnęli gromkim śmiechem.

– Niech i tak będzie – zgodził się starszy, ale zaraz dodał ostrzegawczo: – Uważaj, żebyś tym imieniem sobie biedy nie napytał. Jeszcze diabła wywołasz. Licho nie śpi. – Mrugnął okiem znacząco do towarzyszy.

– Nie... Nie boję się – odparł diabeł.

Może byłoby tak, że rankiem, po wysuszeniu szat, smolarze pokazaliby mu drogę do Niemców, bo choć nieco nieokrzesani, to dobrzy ludzie z nich byli, okazało się jednak, że Rokita niebywale dobrze zna się na warzeniu dziegiu i ledwie zjadłszy rzepę, powiedział: – Pod tym kotłem trzeba mniej ognia!, co wywołało niemalże bójkę wśród ludzi.

I tak, od słowa do słowa, został ze smolarzami kilka dni, ucząc się ludzi. Ci zaś nie mogli się nadziwić, jacy ci Niemce, nawet głupi jak ten, zdolni są do każdej roboty. Byłoby jednak podejrzane, gdyby dłużej u nich został, gdy więc któryś sam zapytał, czy nie chce trafić do Niemców, odpowiedział, że chce. A gdy go zapytali: – To od tych tu, za Zalesiem, czy spod Wrocławia?, zawahał się mocno i rozdziawił japę, jakby w zaskoczeniu. Pomyślał: Od tych tu, znaczy blisko, ale blisko, nie znaczy dobrze, bo dlaczego miałby siedzieć z obcymi taki szmat czasu?, po czym powiedział: – Od Wrocławia.

Wskazali mu zatem drogę do Wrocławia.

Szedł, szedł diabeł, ale do samego Wrocławia nie trafił. Po pierwsze dlatego, że upał był wprost nieznośny, a jemu bardzo chciało się pić. Po drugie po drodze trafiła się karczma. Na ten przybytek miejscowi mówili Pod śliwką, bo pierwsze piwo karczmarz sprzedawał pod rozłożystą śliwą. Właśnie tam diabeł się zatrzymał, poczuwszy niebiańsko-piekielną woń piwa. Niestety, mimo wygłupów jakie wyczyniał, nikt nie chciał dać napitku bez zapłaty. Aż trafił się ktoś, kto pod małym warunkiem ulżył Rokicie w pragnieniu. Był to ktoś najbardziej niespodziewany. Anioł.

Wniebiosach także dokonali wyboru tych, co mają zstąpić na ziemię. Wybrano spośród takich, co mieli najmniej do śpiewania, bo jeśli ktoś zaśpiewał na cały utwór zaledwie jedno *kyrie* przez godzinę, to choćby brzmiało najlepiej, było jednak marnotrawstwem. Wybrano więc z tylnych chórów anielskich tysiące poczciwin, które już nie wiedziały, jak być aniołem w tych trudnych czasach. Dlatego archanioł Michał włożył wiele wysiłku, aby wytłumaczyć im to, co

oczywiste – takie sprawy tłumaczy się z największym mozolem. Mieli na ziemi pokazywać ludziom, w jaki sposób można być dla siebie lepszymi. Nakłaniać do dobrego, jednocześnie modlitwę uczynić miłszą i częstszą. Powinni też stać się stróżami ludzkich czynów, ostrzegać przed uczynkami złymi i nieprzystojnymi, wspomagać pożyteczne i godne. Wiele, naprawdę wiele kosztowało archanioła Michała, aby odpowiedzieć na naiwne pytanie: Jak odróżnić czyny przyzwoite od nieprzyzwoitych? Mało brakło, a byłby nie przeszedł przez te katusze. Łatwiej byłoby rzucić się samotnie z ognistym mieczem na moce piekielne, lecz sobie wytłumaczył, że musi samodzielnie przebrnąć przez to bagno, bez uciekania się do pomocy Świętej Marii Magdaleny.

Nikt nie wytłumaczył aniołom, co w szczegółach ma się dziać, ani co ich czeka, za to, w przeciwieństwie do niektórych diabłów, anieli byli należycie wyprawieni na podróż ziemską. Nie dowiedzieli się także dokładnie, co mają robić na ziemi, bo archanioł Michał, mimo starań i skrajnych spurpurowień na twarzy, nawet różnicy między przyzwoitością a nieprzyzwoitością nie wyjaśnił, jak należy – zaporą wstydu była bowiem dla niego nie do pokonania. Ostatecznie stanęło na tym, że gdy anioły trafią między ludzi, wszystko przyjdzie samo. Żeby było im łatwiej, dostali wyprawki na drogę – przynajmniej przez pierwsze dni mogli się wyżywić i utrzymać. Niestety, później musieli podjąć takie same starania życiowe jak ludzie.

Nasz anioł spłynął na ziemię gładziutko i cichutko niczym na skrzydłach sowy, nikt więc tego nie zauważył. Traf chciał, że wylądował niedaleko wsi z karczmą, a że dochodziły z niej ludzkie odgłosy, postanowił od razu wejść między ludzi.

Jego wyobrażenie o rodzaju ludzkim ukształtowały widoki świętych niebieskich. Każdy święty zachowywał się poważnie, jakby właśnie wyszedł prosto z pogrzebu, a przecież nie na wieczne umartwienie trafił w niebiosy, lecz na pełne szczęśliwości łąki niebieskie. To były osoby rozmodlone, kroczące dostojnie i krokiem wyważonym, przy tym świetlistością dorównywały niemalże aniołom. Gdy któryś z nich się odzywał, z jego ust płynęła najwyższa mądrość podawana wyszukany językiem. Słowa wypowiadał nieśpiesznie, z dużą godnością, przy tym trwał niemalże w bezruchu niczym posąg, nie wykonując nawet drobnych gestów. Głową także nie za wiele kręcił. Mówił ze starannością przewyższającą najwybitniejszych oratorów, odpowiednio rozkładając części silne i słabe w wyrazach. W dodatku ledwie się taki odezwał, natychmiast czuć było nadprzyrodzoną uczoność i chęć oddania sprawiedliwości każdemu uczynkowi ludzkiemu, a raczej możliwości jego popełnienia. Choćby taki przykład rozmowy Świętego Floriana ze Świętą Katarzyną Aleksandryjską.

– Co myślisz, pani, o słowach: „Bogu na chwałę, ludziom na pożytek”? Czy godne są tego, aby je odpowiedzieć ludziom jako istotom skłonny nie tylko do

upadku, lecz również do powstania? Czy warto podjąć ryzyko, skoro mogą je zrozumieć opacznie i swój pożytek widzieć, i mieć go jako równy Bożej Chwale? Czy też rozumieją, że pożytek ma dotyczyć innych ludzi, a nie ich samych? Czyż nie rozumieją opacznie, że każdy pożytek ludzki jest Bożą Chwałą? Cóż czynić? – zapytał mąż w rzymskiej zbroi, trzymający pod pachą młyński kamień uwiązany mu do szyi, patrząc przy tym nie na świętą, a pod nogi, jakby miał zamiar ten kamień odłożyć.

Na to dziewczica z Aleksandrii powolutku przechyliła głowę w lewo, aż ujrzała coś na ziemi przez dziurę w chmurze, i odpowiedziała równie uczenie: – Ufność mieć trzeba w ludzką umiejętność odróżniania dobra od złego, ale można też się obawiać, czy coś nie stanie się na przekór, czy ludzie pomyślą wprzód o bożej chwale, nim zechcą sobie zapewniać korzyści. Zaiste, jest trudnym niezmiernie zawrzeć w jednym zdaniu cały sens ludzkiego działania, przeto skłonna byłabym powiedzieć, że lepiej z tak wiele dobrego niosącym zdaniem jeszcze poczekać, jakieś siedemset trzydzieści lat, aby dojrzało ono do wydania dobrego owocu.

Trwając wciąż w zatroskaniu ludzkimi czynami, Święty Florian przeniósł sztywny wzrok ze swoich rzemieniastych butów na bielutkie, wąskie, białe stopy świętej, po czym rzekł natchniony słowami Świętej Katarzyny: – Przecie wiemy, że nie może złych owoców dobre drzewo wydawać. Ani drzewo złe dobrych owoców wydawać nie może. Zatem jeśli zdanie jest dobre, to i owoce wyda dobre. Jeśli złe, to i owoce złe będą.

– Zgadza się – odparła dostojna dziewczica z Aleksandrii, przechyliwszy głowę tym razem nieco do tyłu, jakby chciała ujrzeć w oddali szybującego sokoła – że jest tak, jak w słowach Biblii zapisano. Przecież nim drzewo wyda owoc, musi urosnąć i dojrzeć. Powstrzymajmy się więc, zanim ze zdania tego nie wyrosną gałęzie, zdolne do wydania owocu.

Takimi to mniej więcej były rozmowy świętych niebieskich, ta była najprostszą z możliwych, istna słodycz czystości przekazu. Nic zatem dziwnego, że osłuchawszy się i opatrzywszy podobnych rozpraw, nasz anioł uznał, że wszyscy ludzie zachowują się podobnie jak ich święci, to jest: kroczą dostojnie, patrzą uważnie pod nogi lub w niebo, mówią w sposób nieco zawiły i szczerze troszczą się, co będzie za tysiąc lat, lecz to, co zastał w karczmie, nijak nie odpowiadało dotychczasowym anielskim doświadczeniom. Po duszności rozświetlonego południem dnia pachnącego jednak łąką i lasem, uderzył go w tym miejscu niemożliwy do wytrzymania zaduch, wręcz smród, no i mrok wnętrza.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przemógł się i zaczął bardzo ładnie, na co ledwie usłyszał w gwarze:

– Na wieki wieków – które rzucił ktoś z czystego przyzwyczajenia, nie spojrzawszy nawet na drzwi. Jednocześnie inny niby to śpiewał, bo dało się

wychwycić coś na kształt melodii, ale słowa nijak nie były wzniosłe i mądre. Prawdę mówiąc anioł, na swoje szczęście, nic nie zrozumiał, gdy bełkotliwy, pijacki głos powtarzał miałkliwie:

Choć żeś najbrzydsza

Toś jest najmilsza

Bo zawsze dajesz

Gdy mi tylko staje.

Anioł usiadł przy ławie, lekko oszołomiony tym, co zobaczył, i zaraz doznał czegoś, co nim wstrząsnęło do głębi. Wielkie, tłuste, szpetne babsko wylazło między ławy, śpiewak uczepił się jej, łapiąc za wielkie cyce, i zapał ku rechetliwej radości wszystkich:

Daj mi swojej

Milej dupci

A jak nie dasz

Będziem kupczyć.

Baba się obróciła, złapała pijaka za gardło i gruchnęła go pięścią w łeb, aż zwiotczał. Wtedy wywlokła go za kołnierz do drzwi, po czym z mocarnym kopniakiem rzuciła na pożegnanie: – Patrzcie mi ino, na zasrańca! Dupczyć mu się zachciało, łamadze! Do chlewa!

Otoczenie nie szczędziło pochwał babsku, że ślicznie uwinęła się z zalotnikiem. Odnosili się też do jej urody, co nawet ją mile łechtało.

– No, Terechna, nie dziw się, każdy z nas w tobie się kocha.

– Jesteś tak nadobna, że z rozumu schodzimy.

– Z tobą to choćby i na śniegu byłoby gorąco.

Uśmiechnięta baba spojrzała w stronę ostatniego mówcy, wzięła się pod boki i zapytała zalotnie: – Ścierą po mordzie chcesz, a?

– Nie, ale w twoich cycuszkach utonąć, to dlaczego nie.

Ale Terechna już go nie słuchała. Z twarzą pełną złości zwróciła się do nowego gościa.

– Co podać?

Anioł zaniemówił z wrażenia. Ledwie przełknął ślinę. Nie takich pieśni i nie takich rozmów spodziewał się być świadkiem na ziemi, tej ziemi. W niczym to nie przypominało niebieskiego obcowania świętych. Same postacie ludzkie też w niczym tych posągowych świętych nie przypominały. Nie mieli uroczystych, powłóczystych szat, tylko znoszone, brudne szmaty. Może nie wszyscy mieli znoszone, ale większość. Ich twarze nie były czyste, poważne, tchnące ufnością bożą, a niechlujne, zarośnięte, spocone. Słowa zaś nie pały mądrością, lecz głupotą, i nie wypowiedano ich z najwyższą starannością, wyraźnie, tylko wrzaskliwie, dziko, bezładnie i niezrozumiale. To uczyniło w anielskiej głowie mętlik, aż sam powątpiewał, czy aby na pewno na ziemię trafił, bo może wszedł nieco za głęboko i jest w... no, tam, na dole. Na samym dole. Patrzył na ludzi; niektóre z tych stworów już zerkały na niego małymi, nieruchomymi oczkami, wreszcie spojrzał na szeroką, czerwoną, świecącą tłuszczem twarz baby. Otworzył gębę i tak trwał, jakby miał w niej narodzić się.

Zanim coś wykrztusił, karczmarka sama podpowiedziała dziwnie łagodnie jak na nią, chyba pod wpływem pszenicznie złotych, równo rozczesanych włosów gościa, co miękką falką opierały mu się na ramionach.

– Pivka?

Spragniony anioł przytaknął skwapliwie, co prawda nie z pragnienia, lecz ze strachu, bo był pod takim wrażeniem, że nawet gdyby chcieli dać mu smoły, toby też nie odmówił.

Dostał wielki garniec spienionego na żółto, mętnego napoju, zapłacił i szparko poszedł na zewnątrz, pod śliwę. Zrozumiał, co prawda, że to, co było w środku, tylko zdawało mu się wewnątrz piekiel, jednocześnie nabrał pewności, że tak wygląda piekielny przedsiónek. Zanim wyszedł, pomny nauk, aby dobro czynić, podziękował za to, co dostał, wywołując zdziwienie pomieszane z niedowierzaniem. Ludzie porozdziawiali japy, ujrawszy tyle grzeczności w jednym człowieku, a co trzeźwiejszy pomyślał: Głupi, czy co?

Anioł, zostawiwszy im troszeczkę nieba na ich własny użytek, poszedł do cienia i usiadł na pieńku. Ledwie umoczył w pianie usta, ledwie pociągnął orzeźwiający łyk gorzkiego smaku, co z razu wydał się równie ohydny jak karczmarka, ale zyskiwał po bliższym poznaniu, doznał następnych wrażeń, niekoniecznie miłych, bo zjawił się przed nim diabeł Rokita. Nowy gość zdjął z kudłatego łba pełnego igliwia lichą czapczykę, miał ją w wyciągniętych przed

siebie łapach, kilka razy się uklonił, szczerząc dziwnie żółte zęby w niby to uśmiechu, i wytrzeszczając bure ślepia spod krzaczastych brwi, powiedział tak: – Witaj, świetlisty panie.

Anioł popatrzył na wyszczerzoną twarz diabelską i od razu poznał, że to nie jest człowiek. Znalazłem się jednak w piekle, pomyślał z przykrością i zachmurzył się, nic nie odpowiadając. Trzymany oburącz dzban z piwem odstawił od ust i oparł na kolanach. Wzrok diabła podążył za naczyniem, a jego wysuszony na wiór jęzor oblizwał spierzchnięte wargi, nie przynosząc im nawet najmniejszej ulgi, przeto łąpa wyciągnęła się w stronę piwa i zacisnęła paluchy na niewidzialnym uchu niewidzialnego dzbana. Tak została, wyciągnięta, zaciśnięta wokół garści powietrza. Nie doczekał się odpowiedzi, zaczął więc sam: – Was tam u góry nie uczą, że na powitanie coś się mówi?

Rozpacz ogarnęła wysłannika niebios. Nie dość, że trafił do piekła, to jeszcze go rozpoznano. Jak to?, myślał rozpaczliwie, przecież miałem trafić na ziemię, a nie do piekieł! To musi być pomyłka. Za co archanioł Michał tak by mnie karał? Nie uniosłem się pychą ani razu, nawet w myślach. Co prawda raz chciałem przesunąć się z siódmego do czwartego chóru, ale to było dawno temu. Potem nic, nigdy! Za to miałbym trafić między upadłe anioły?

– Jeżeli nie chcesz gadać, to byś chociaż poczęstował łyżkiem – znów odezwał się diabeł. – Pić mi się chce. Powinniśmy się wspierać między ludźmi. Co było, to było, sprawa naszych wodzów. Mnie wygnali z piekła, ciebie, widzę, z nieba. Odłóżmy swary na bok. Tak mnie suszy... Niby ziemia, a upał iście piekielny – powiedział przymilnie, próbując podejść do anioła, ale ten zmroził go jasnym wzrokiem, przysiadł więc w niezgrabnych ukłonach i czekał, aż zobaczył zmianę na twarzy niebiańskiego przybysza, i uczeplił się tego niczym ostatniej nadziei. – To co, dasz pociągnąć? Trzy małe łyżki albo jeden duży? Nie więcej.

Aniołowi wyraźnie ulżyło. Cieszył się w duchu, że słowem nie odezwał się do diabła, bo tylko by się ośmieszył. Jak to ludzie mówili – milczenie jest złotem, co wobec sił piekielnych sprawdzało się w trójnasób. Przemyślał jeszcze raz swoje położenie. Wszak ludzi jest mrowie, a świętych znacznie mniej, co znaczyłoby, że nie wszyscy są tacy jak święci. Jeśli są święci, mogą się znaleźć całkiem inni, czyli nieświęci, rozumował. Widocznie między takich właśnie trafił. Tylko co tu robi ten diabeł?, anioł zapytał sam siebie.

Piekielny przybysz zmienił ton: – Nie chcesz się zbrukać, wasza jasność, odzywką do naszej ciemności? Chyba musisz trochę się poniżyć, bo moja i twoja dola od dziś będzie wspólna. Mógłbyś więc zrobić dobry uczynek i napoić spragnionego.

– Kup sobie – odezwał się po raz pierwszy anioł.

– Żebym miał za co – westchnął diabeł. – Ale nie mam. Nic nie mam. Daj więc mi choć łyżka. Jeśli się brzydzisz użyczyć swojego naczynia...

A żebyś wiedział, kto tam nie tylko mordę maczał, pomyślał drwiąco diabeł – ...to daj mi pieniążka, żebym sobie kupił.

Tu aniołowi przyszła do głowy myśl – co samo w sobie znaczyło, że szybko uczył się tego, co ważne na ziemi, aż sam sobie się dziwił, że pojawiła się w nim chytryść iście diabelska. Żeby ukryć uśmiech zadowolenia, zasłonił się dzbanem, popijając dwa łyki piwa. Zaszumiało mu w głowie, bąbelki leciutko trzaskały na języku i podniebieniu. Diabeł przełknął głośno jakieś nic, co w innych okolicznościach byłoby śliną. Rozkoszując się tym wrażeniem, anioł otarł usta rękawem, ludzie także tak robią, mlasnął z uznaniem i powiedział: – Ale to dobre. Nie wiedziałem. A jak gasi pragnienie!

Ślepią diabelskie zapłonęły niczym świeczki.

Anioł na to: – Dobrze, dam ci na piwo, lecz nie za darmo.

Z radości diabeł zakręcił się jak fryga, wzbijając kurz na kształt powietrznego lejka.

– Żądaj, czego tylko chcesz – szybko powiedział. – Wszystko zrobię, dosłownie, wszystko.

Wysłannik niebios, jeszcze wczoraj śpiewający raz na godzinę *kyrie* w siódmym chórze, popatrzył na wysłannika piekieł i rozkazał: – Przechęgnaj się!

– No, co ty, anioł? To niemożliwe.

– Niemożliwe jest więc, żebym ci dał na piwo – odparował anioł nieco dudniąc, bo znad dzbana.

– To trudne.

– Następnym razem będzie jeszcze trudniej, bo każę ci odmówić *Ojcze nasz*.

– Co mi tam – diabeł machnął ręką z rezygnacją. – I tak mnie wygnali. To ja zrobię im na złość, a sobie dobrze.

I stało się coś przedziwnego. Diabeł uczynił znak krzyża z wielkim wysiłkiem, ale zrobił, tyle że diabelski chytrzelec przechęgnął się lewą ręką.

– Daj mi pieniążek – padły słowa, od których nie było już odwrotu.

Aniołowi coś nie pasowało; już sięgał do sakiewki, gdy pomyślał, że przecież znak krzyża inaczej się robi, a ten tu uczynił na odwrot.

– Oszukałeś mnie! – ostro stwierdził anioł.

– Pić!

– Idź się wody napij.

– Co zrobiłem źle? Co? – prawie że przekornie, niczym najnaiwniejsza niewinność zapytał piekielnik.

– Lewą ręką zrobiłeś znak krzyża, kłamco piekielny, i na odwrot. Tak nie można.

– Co za różnica? Przecież zrobiłem.

– Nic ci nie dam.

Zapadła cisza. Anioł wypił do końca piwo, starannie uważając, aby nie

spojrzeć na diabła. Kilka kropel pozostałych jeszcze w dzbanie na oczach szatańskich wylał na ziemię, co z lekkim spienieniem w nią wsiąkły. Diabeł patrzył na to marnotrawstwo ze zgorzeniem.

– Wolaleś wylać, niż mi dać?

– Pewnie, oszustowi mam dawać? – zapytał w świętym oburzeniu anioł i nawet się nie zdziwił, że mu dobrze to wyszło, jakby nigdy w życiu nic nie robił, tylko oburzał się na nieprawość. Po czym dodał: – A jakie dobre było. Zimne. W piekle takiego na pewno nie robią.

Diabłowi stwardniały język stawał kołkiem. Jeszcze chwilę się łamał, ale wspomniawszy, że odkąd wygnano go na ziemię, nie pytając o nic, ani niczego nie wyjaśniając, kilka razy wyrzekł się już piekła, co więc szkodzi jeszcze raz? I tak go tam nie chcą z powrotem. A sam zapach piwa... Sama myśl o nim przyprawiała wprost o szaleństwo. Dlatego w końcu powiedział: – Dobrze, patrz.

Bardzo szybko przeżegnał się prawie tak, jak trzeba. Wtedy anioł dał diabłowi jeden brakteat, leciutki jak plewa.

Tak oto diabeł sprzedał swą diabelską duszę za dzban piwa, anioł zaś nauczył się od diabła przekupstwa.

Od tego czasu anioł z diabłem spędzili ze sobą kilka lat, mieli przy tym tyle trosk, że żaden nawet nie myślał o tym, jaki owoc diabelskiej złości dojrzeje na wschodzie. Żyli z dnia na dzień, sprawami, co działy się tam, gdzie mieszkali. Ustawicznie się kłócili, docinali sobie, chwilami się gniewali, ale niczym mąż z żoną cały czas byli razem. Imali się różnych zajęć w miastach i wsiach, przeważnie robót polowych. Tak jednak się składało, że co odpowiadało jednemu, drugiemu nie leżało. Miły w obejściu, schludny, robotny i chętny do pomocy anioł lubił wszelakie zajęcia ze zbożem – żniwa, młocka, mielenie, wypiek chleba. Rozczochrany i ubrany byle jak diabeł tego nie lubił, za to cieszył się na wszelakie zajęcia ogniowe, najlepiej czułby się u kowala – po prawdzie wolałby lenić się całymi dniami i wyczyniać psoty. Zwykle anioła zatrudniano chętnie, tego drugiego mniej.

Obydwu spodobało się w osiedlu garncarzy. Każdy znalazł tam sobie zajęcie; anioł całymi dniami miesił glinę i się dziwił, że z niej coś powstaje w dodatku pod palcami ludzi prostych. Diabeł tłumaczył mu jak dziecku, że przecież nie święci garnki lepią, sam zaś zajmował się piecami do wypalania i opałem, co czynił tak dobrze, że pierwszy raz oceniono jego robotę wyżej niżli anielską. Ale i tam nie zagrzali miejsca dłużej niż rok, bo oszukano ich przy jednej z wypłat. Anioł, zawsze grzeczny ponad miarę, nie robiłby zamieszania, diabeł jednak się zjeżył. Zażądał wypłaty, a kiedy garncarze nie ustąpili, splunął im do pieca i cały wkład się przepalił. Po tym zdarzeniu obydwaj goście w dyrdy opuścili osadę garncarzy i w połowie roku Pańskiego 1240 znaleźli się na drodze do Zalesia, bo diabeł wpadł na pomysł, że musi zobaczyć tych Niemców, co o nich

kilka lat temu opowiadali smolarze.

Tak się złożyło, że na ich spotkanie wyszedł sen proboszcza.

Od kilku dni proboszczowi Zalesia nie dawał spokoju jednostajny wschodni wiatr. Niósł ze sobą nie tylko nieokreślony niepokój, lecz także wyrzut sumienia o niedopełnionym obowiązku. Z tego powodu stary ksiądz co wieczór się zastanawiał, dlaczego miałby czynić sobie wyrzuty – nawet kładąc się spać, myśli przeskakiwały ze sprawy na sprawę, nie znajdując rozumowego potwierdzenia jakichkolwiek zaniedbań czy zaniechań. Może z wyjątkiem wikarego Przemka, co wyglądał na niezłe ziółko, sprytnie jednak się pilnował i nie dawał ważnych powodów, aby z nim zrobić porządek. Proboszcz czuł przez skórę, że z tym człowiekiem będzie miał kłopoty, mimo to nie umiał, może nie chciał, przyspieszać kłótni i nieuchronnych postanowień.

Wiatr ze wschodu wiał już któryś dzień, a proboszcz coraz intensywniej szukał przyczyn niepokojów nie dających spokojnie spać. Aż któregoś wieczoru usnął z myślą, że przy najbliższej okazji poprosi biskupa o pomoc, bo stracił rozeznanie we własnym sumieniu, i wtedy miał sen: nadchodziła wielka powódź, a on stał przy furcie w wale kościelnym i usiłował wodę zatrzymać łopatą chlebową. Oczywiście nic to nie dawało. Woda – co dziwne i niewytłumaczalne, lecz w snach często coś dzieje się wbrew najbardziej oczywistej rzeczywistości – przelewała się przez wał, choć przy furcie była zaledwie po kostki. Proboszcz w nadziei zatrzymania potopu zamknął furtę, co było wprost niedorzeczne, bo rzeka przepływała swobodnie między żerdziami, w dodatku lała się przez wał już wodospadami. Stary ksiądz patrzył bezradnie na wodę sięgającą już kolan, zaraz sięgającej wyżej i wyżej... Wtedy się obudził i znów niczego nie rozumiał: czyżby chodziło o podwyższenie, a raczej odnowienie wału? Czy też o trwalsze odgrodenie kościoła od świata?

Przejęty snem, poszedł do kościoła, sprawdzić, czy stoi. To znaczy dotknąć go, bo przecież widział, że jest. Oglądał wał, niezbyt wysoki, ale całkiem jeszcze dobry. Może istotnie dałoby się go nieco podwyższyć, tylko po co? W otoczeniu świątyni rosło sporo różnego zielska, niektóre chwasty były duże, i to nie wyglądało najlepiej. Może zacząć chować tu zmarłych, tak jak to robią w wielkich miastach? Tu ludzie po staremu, nie jak we Wrocławiu czy w Opolu, grzebali zmarłych nie koło kościoła, lecz w oddali, za rozstajnymi drogami. Gdyby tak przy kościele chować, to może byłby wtedy porządek? Ale czy wówczas będzie można przejść z procesją między grobami?

Proboszcz myślał i myślał o śnie.

Wiatr ze wschodu przynosił dalsze niepokoje.

Jedzenie nie bardzo smakowało, a w czasie mszy ksiądz był całkiem roztargniony. Coś go wtedy zezłościło i wiedział już co! Do mszy nie bardzo było komu usłużyć, nawet kołatkami nie miał kto zaklekotać. Dzwon kupić? Przecież to

niemożliwe.

Wreszcie księdza pewna myśl oświeciła: w kościele źle się dzieje od śmierci kościelnego. Rosnące zaniedbania, niewyplenione chwasty, poruszony ulewą ostrokół na wale i przechylona furta. Kościół nieposprzątny jak należy i brak wieści ze świata. Nie wikary był potrzebny, lecz kościelny! Dach na kościele należało naprawić, do mszy mieć usługę, też na posyłki kogoś...

Tak, ten wiatr ze wschodu to niósł ze sobą.

Kościelny. Łatwo powiedzieć, ale kogo wybrać? Kto się nadaje?

W tych rozterkach proboszcz pod wieczór wybrał się na przechadzkę za Zalesie i zamiast pójść na południowy zachód, w stronę wielkiego, szerokiego na trzy kroki gościńca prowadzącego z Opoła do Wrocławia, ruszył na zachód, wzdłuż biegu Odry i znalazł się przy krzyżu na rozstajnych drogach. Drogi te też gdzieś wiodły, jedna do następnej wsi, raczej osady z karczmą Pod śliwką odległej o ćwierć dnia pieszo, druga zaś, bardziej w lewo, niby do osady smolarzy, a naprawdę w las.

Zaraz za rozstajnym krzyżem był cmentarz i jakoś tak nieswojo zrobiło się proboszczowi, bo bezwiednie doszedł tam, gdzie zwykle się trafia, gdy nastanie kres żywota. Czyżby sen oznaczał, że próżno walczyć z tym, co niepowstrzymane? Zmartwiał nieco. Tak, był stary, żył długo. Jako jeden z nielicznych pamiętał ostatniego syna Bolesława Krzywoustego – Mieszka zwanego Starym, z którego upadkiem panowania zważył w sen życia doczesnego. Odłożył więc miecz i przywdział sutannę, rozumiejąc, że nastał całkowity kres jedności kraju. Sam nic nie umiał na to poradzić, ale żeby już, teraz miał być jego kres? Wcale źle się nie czuł!

Ksiądz już miał zawrócić, żeby, idąc z powrotem, uspokoić się wieczornym brewiarzem, gdy spod krzaków koło krzyża wyszły dwie postacie. Przełknął ślinę. Czy aby to ludzie, a jeśli ludzie, czy przypadkiem nie zbójcy? Ale nie, nie wyglądali na takich, choć w rękach trzymali długie kije podrózne. Jeden miał włosy jasne jak pszenica, długie do ramion, z grzywką przyciętą równo na brwiami, twarz jasną i czystą, wejrzenie śmiałe oczami niebieskimi jak bezchmurne niebo. Trzymał się prosto i godnie, długi kij w ręku służył mu nie do podpierania, a jakby do przydania godności. Prawie niczym biskup, a nie prosty człek, pomyślał proboszcz. Postać drugiego zupełnie inną była. Czupryna niesforna i ciemna, gęba ogorzała, spojrzenie spode łba, nieufne. Nie garbaty, a się garbił, nie kulawy, a kulał. Opierał się na kosturze, jakby na trzeciej nodze. Ten trochę z pyska na zbója wyglądał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedział pierwszy.

– Na wieki wieków amen – odpowiedział z nieskrywaną ulgą proboszcz, rad, że nie dość, że ludzie, to jeszcze dobrzy chrześcijanie. I zapytał zaraz, bo ciekawość aż go piekła, od dawna zwyczajnym był każdemu zadawać pytania: –

Dokąd to idziecie, dobrzy ludzie?

– Za chlebem, proszę księdza – odpowiedział ładnie jasny.

– A co umiecie robić?

– Wszystko, proszę księdza. I w polu, i ciesiołkę, a on – wskazał na ciemnego, co jakoś tak spojrzenia unikał – to nawet w kuźni umie. Za co się weźmiemy, to nam wychodzi – powiedział godnie, za to z wyraźnym, choć smutnym uśmiechem.

Tu proboszczowi zaświtała pewna myśl.

– Modlić się umiecie?

– Pewnie że umie-my... – powiedział z niejakim zająknięciem jasny – ...*Ojcze nasz, Zdrowaś Mario...* – tu spojrział na czarnego, co zamiast przytaknąć, ugiął się do pasa, jakby się uklonił, za to wykręcając głowę nieco w bok i wyszczerzając zęby w uśmiechu.

– Coś więcej niż *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*? – dopytywał ksiądz, patrząc z niepokojem na wyczyny kudłatego brudasa.

– Pewnie.

– *Credo* byś dokończył?

Anioł się nie zastanawiał. Jakby nic innego w życiu nie robił, powiedział płynnie: – *Credo in unum Deum, Patrem omnipotentem, factorem caeli et terrae, visibilibus omnium...*

Ksiądz w miarę sływania do niego słów boskiej modlitwy, coraz bardziej rozdziawiał usta w zdziwieniu. Wpatrzony w usta anioła nie widział, że diabeł krzywi się pociesznie, niemo przedrzeźniając towarzysza. Gdy padły ostatnie słowa modlitwy, nieco zaskoczony, a i uradowany, staruszek powiedział z nawyku: – *In nomine Patris.*

– *Et Filii, et Spiritus Sancti. Amen.*

Proboszczomalże zapiął z zachwytem, bo nieznanemu przybyszowi umiał więcej niż jego wikary. I czysto gadał po łacinie! Zakrzyknął w poruszeniu: – To i do mszy umielibyście służyć?

– Pewne, że tak – tu jasnemu łyzy załśniły w wielkich, niebieskich oczach, aż i starego księdza ogarnęło wzruszenie. Człek odrzucił bowiem kij, padł na kolana, złożył ręce i tak idąc w pyle drogi, prosił: – Święty człowieku, daj mi posłużyć do mszy choć raz. Już od siedmiu lat o tym marzę. Potem pójdę sobie dalej, dokąd mnie oczy poniosą. Błagaj też księdza! – krzyknął do kudłatego, co nie bardzo wiedział, jak się zachować, tylko uważnie przypatrywał się z ugięciem to klęczącemu towarzyszowi, to zaskoczonemu księdzu. Coś do niego trafiło, bo i on odrzucił kij i padł w piasek, i pełzył do stóp księżowskich, tylko toboły na grzbiecie mu się bujały.

– Stójcie! – krzyknął zaskoczony proboszcz, bo go zaniepokoiło to zdarzenie. – Czy przypadkiem nie jesteście wygnańcami z klasztoru albo

heretykami?

I tu, niestety, anioł musiałby skłamać, bo przecież w prawdę nikt by mu nie uwierzył, a że kłamstwo przychodziło mu z trudem, to i wiarygodnie wcale nie brzmiało. Tym razem jednak anioł myśl miał szybką. Z żadnego klasztoru nikt go wszak nie wyganiał.

– Nie! Nic takiego. Nie znajdziesz we mnie herezji, ani nie wygnano mnie z klasztoru. Mnie tylko od dziecka sposobiono, żebym śpiewał nabożne pieśni. Ale nie wyszło, trzeba więc żyć nieco inaczej.

– Dobrze... – powiedział proboszcz, co nagle nie chciałby znać żadnej prawdy, byle tych dwóch mieć u siebie. Jeszcze jakoś tak ten drugi mu nie pasował, zapytał więc: – On co? Niemowa?

– Nie, ale nie całkiem gada do rzeczy.

– Wstańcie, bo to głupio, żeby przede mną klęczeli ludzie jak pod figurą. Dam wam przenocować koło kościoła. Na dziadów proszalnych nie wyglądacie, ale będziecie musieli odrobić, bo chyba silne z was parobki. Jak was zwa?

Wtedy odezwał się diabeł, bo zawsze musiał odgryźć się aniołowi: – Na niego mówią Pietrek, a na mnie...

– ...Jonasz! – rzucił anioł; widać nie zawsze był w ciemną bitę.

– Jonasz? – zdziwił się proboszcz.

– Janusz – poprawił diabeł. Rad był splunąć na anioła, żeby mu wypalić dziurę na zadku, ale tym razem się powstrzymał.

Proboszcz rzekł: – Tedy Pietrku i Januszu, chodźcie ze mną. Jeśli choć trochę umiecie z tego, coście nagadali, to mi z nieba spadliście.

Wędrowcy popatrzyli na siebie dziwnie, acz krótko. Janusz ledwie przy tym powstrzymał chichot. Zaraz, aby nic nie wydało się dziwnym, rzucili się do przesadnej krzątaniny. Pozbierali swój dobytek – dwa tobołki z kozuchami, torby, toporek i podróżne kije przeciw psom – i gdy ruszyli, musieli odbić sobie napięcie ostatnich chwil: za plecami proboszcza anioł uśmiechnął się do diabła, ten mu pokazał długi do pasa ozór, ale nie dał się za niego złapać.

Oto proboszcz zyskał nie jednego sługę kościelnego, lecz dwóch naraz. Tylko wkrótce nikt nie wołał na nich po imieniu, tylko Biały i Czarny. To ich spotkał Wojda, oni odegrali na ostatki bitwę sił piekielnych z niebieskimi. I mieli jeszcze nieraz coś odgrywać.

Co z wiatrem ze wschodu? Od czasu do czasu znów wiał, przynosząc proboszczowi niepokoję, ale przynajmniej otoczenie kościoła i on sam znacznie się poprawiły, bo Pietrek i Janusz okazali się pożyteczni. Oni, gdy wiał wschodni wiatr, czegoś węszyli. Jednemu ten wiatr śmierdzał nieco, drugiemu pachniał, ale żaden nie domyślał się, czym.

NA ZŁY UROK

Wielką moc w wyganianiu z domów czarów, uroków i nieczystych duchów ma ziele rozchodnika. Dlatego zawsze trzeba je mieć pod ręką. Żeby odegnąć złe, czyni się tak: bierzesz z ognia kilka węgli i kładziesz w glinianej misce. Weźmij teraz ususzoną gałązkę rozchodnika, połóż na węgle i dbaj, żeby się spaliła. Jeśli dym nie chce rozejść się po wnętrzu, unieś miskę i zajrzyj nią w każdy kąt izby, zaczynając od rogów najbardziej oddalonych od drzwi. Drzwi wtedy mają pozostać otwarte, nie wolno w nich stać, bo złe mogłoby wejść w człowieka. Gdy już odymisz kąty, ustaw miskę pośrodku. Kiedy już rozchodnik się spali, zbierz z niego popiół, rozmieszaj z miodem i daj wypić temu, co mu potrzeba pomocy. Na koniec warto się pomodlić – z bożą pomocą czary, uroki i złe duchy, co się rozeszły, już nie wrócą, póki ktoś ich znów nie zada lub sam nie przywoła.

Rozdział 5. Kwiaty

Tydzień marcowego ciepła wystarczył, aby się zazieleniło i zażółciło. W dodatku przysłowie „w marcu jak w garncu” nie sprawdziło się tym razem nic, a nic. Było jednostajnie ciepło. Jakby specjalnie dla tych, którzy wątpią, że nie zawsze przysłowia się sprawdzają, nad Zalesiem przeszła burza z piorunami, co jak amen w pacierzu oznaczało przyjście prawdziwej wiosny. Jednocześnie roztopowe wody z gór zatopiły, co miały zatopić, i zaraz potem zeszły sobie do morza. Było więc jasne nawet dla największych niedowiarków, że nie ma na co czekać i najwyższy czas zacząć wiosnę.

PRZECHADZKA

I cóż to znowu uwierzycie?

Ujrzymy teraz piękno świata

Popatrzmy jak się budzi życie

A długo jeszcze czekać lata.

Ledwie miesiąc pokazał się w nowiu, a już w drugą niedzielę marca, niedługo po mszy, mieszkańcy Zalesia zebrali się gromadą wokół ukłonej na kiju, słomianej kukły i w uroczystej procesji wyszli z nią na pola. Wikary doznał nagłego, niebywałego przyływu religijności, jakby dokonał wiekopomnego odkrycia; zrozumiał bowiem, że śpiewający o pożegnaniu zimy ludzie, dzieciaki płaszące radośnie dookoła orszaku i ładnie uśmiechnięte dziewczęta, robią coś, co żadnemu, prawdziwemu duchownemu nie powinno się podobać. Zwłaszcza że zobaczył wśród rozhasanych ludzi brykającą niczym beztroska sarenka jego nieprzystępną własność. Jego dziewczurę.

O tym, jaką świat ją widział, można by całe pieśni składać. Tylko po co. Dość powiedzieć, że wyglądała niczym prawdziwa, piękna jędza z rozpuszczonym, czerwonym włosom strasznie kusząco długim, sięgającym daleko za wypukły zadek. Na nim to, kiedy raczyła nie biegać i płaszać, włos uchylał się falą złocistorudą. Ale teraz tak nie było, bo dziewczura latała jak fryga, i włosy to wte,

to wewte, choć uwolnione ze splotów warkoczy, choć rozpuszczone tak, że cięży powietrze ze świstem, nijak za nią nie nadążały, co tu więc mówić o opływaniu czegokolwiek. To jeszcze nic! Dziewczura wyróżniała się z dziewczęcego stada ruchliwością. Każdy jej krok był inny, udatniejszy, zamach bardziej zamaszysty, a skłon głębszy. Suknia-ciasnocha opinała ją tak, że czyniła prawie gołą, przez co niezbyt lotny, za to samolubny umysł wikarego Przemka dochodził do stanu wrzenia. Kto inny może widziałby tylko, że ładne, rudawe, szczęśliwe młodością dziewczę w lnianej sukience z narzuconym nań króciutkim, rozpiętym serdaczkim, przepasane słomianym powrośtem, uwija się pośród innych dziewcząt równie jak ona roześmianych, z równie błyszczącymi oczyma, no może troszkę nierównie skoczniejsze w płasie i silniejsze w jego wyrazie, lecz wikary widział znacznie więcej. Patrząc chciwie na pochod, a ściślej rzecz ujmując – na kuszący krągłością zadek dziewczury opięty suknią, co nie wytrzymała napięcia i pękła wzdłuż szwu, odsłaniając bardzo sprężystą łydkę, nawet udo – on, niczym ta suknia, nie wytrzymał napięcia. Zebrał się w sobie, nabrał tchu i rzekł z pozornie bezstronnym wyrzutem do proboszcza, co zabrzmiało wyjątkowo obłudnie: – Jak można pozwolić na takie pogaństwo i rozpasanie? Jak? Przecież Panu Bogu to na pewno się nie podoba.

Proboszcz patrzył z wyraźnym rozbawieniem na oddalającą się gromadę. Jako człek bywały w świecie i jego sprawach, natychmiast wyczuł paskudne sedno wypowiedzi, ale nie dał sobie popsuć dobrego samopoczucia i nie odezwał się wcale. Młody ksiądz, trzęsący się z oburzenia niczym zdewociały starzec, wykrzyknął wściekle: – Biskup powinien tego zabronić! To niestychane, żeby prawie trzysta lat po przyjęciu chrześcijaństwa jeszcze takie pogaństwo sobie żyło. Nam nie wolno tak obojętnie patrzeć na to diabelstwo.

Stary ksiądz się uśmiechnął, lecz bez radości; słabo już widział, choć słyszał jeszcze całkiem niezłe, a chciałby być przy marzannie, chciałby widzieć, co z nią się stanie, chciałby poczuć prawdziwy smak dzieciństwa, niestety, nie mógł. Od dawna nie mógł. Nie tylko przez wzgląd na wiek, było bowiem troszeczkę prawdy w tym, co gadał od rzeczy wikary – księdzu nie wolno brać udziału w pogańskiej zabawie. Westchnął więc, uśmiechając się do wspomnień dziecięcych lat.

– Zaraz za pobłazaniem idzie zwątpienie – młody duchowny syknął zjadliwie, a niezwykle uczenie jak na niego.

Stary nawet nie zerknął w jego stronę. Łzawym okiem widząc rozmazującą się plamę zamiast ludzi, ze smutkiem odpowiedział cicho: – Głupiś.

Przemko z Pogorzeli chciał coś powiedzieć, czym niewątpliwie rozsierdziłby proboszcza, i już rozdziawiał paszczę, lecz w tej chwili dudniąc, obok przebiegli obaj kościelni, w miejsce więc czynienia wyrzutów zwierzchnikowi, zakrzyknął za sługami: – Wy dokąd? Wracać mi tu zaraz. Do roboty!

Mógł sobie krzyczeć, bo tamci ani się obejrzeni, poszli szparko przed siebie

niczym psy dopiero co zerwane z postronków. Ruszył nawet kilka kroków za nimi, ale gdzie tam, ani by ich dogonił, ani głosem zawrócił. Zobaczywszy, że stary ksiądz z niego się śmieje, rzekł z wyrzutem: – Pozwolisz im na to? Sługom kościelnym?

– Co mam zabronić? Niech popatrzą. Ty lepiej się pomódl za swoje grzechy, zamiast mnie, starego, namawiać do wyprawy krzyżowej. A właśnie... Może byś tak ruszył do Jeruzalem? Tu tylko się marnujesz – zakończył drwiąco.

Wikary na to niesłychane i niespodziewane poniżenie nadał się, wyprostował, obrócił na pięcie i odszedł, tak przy tym zadzierając brodę w poczuciu urażonej dumy, że mało karku sobie nie wyłamał.

– I żebyś mi więcej modlitw nie mylił przy ołtarzu! – rzucił głośno stary, a następnie, już całkiem cicho, jakby do siebie: – Pustą głowę łatwo nosić wysoko – po czym zatopił się w marzeniach z dzieciństwa.

Bardzo chciałby pobiec za swoimi sługami, ale, jak już wiemy, nie mógł. Tylko słuchał. Myślał przy tym, że trzeba dać ludziom znak, że łaska Boża nad nimi czuwa, nie zaś gusła. Dlatego mocno postanowił, że na Wielkanoc obejdzie z wodą święconą wszystkie pola. Wola boska jest przecież silniejsza od diabelskiej!

Tak sobie myśleli – ze szczerzej duszy – proboszcz i – z nieszczerzej duszy, a przy tym z najszczerzej żądzą – wikary. Zdziwiliby się obaj, gdyby ktoś im powiedział, że udatnie naśladowali w zachowaniu anioła Pietrka i diabła Janusza. Gorszącym się był anioł, co w Wielkim Poście, który jest czasem głębokiego smutku, usłyszał śpiew. Ba! Nie dość, że śpiew, to na dokładkę – radosny! Dopuściłby jeszcze poważne, choćby o Ogrodzie Oliwnym, ale nie takie, jakby już Wielkanoc nastąpiła. Słyszając nadciągający pochód, oderwał się od roboty, od naprawiania ostrokołu na kościelnym wale, a gdy rozeznał słowa pieśni, jeszcze bardziej się oburzył, że opiewa się właśnie rychłe zwycięstwo nad śmiercią, zamiast jeszcze smucić czasem umartwiania. Nie tak to powinno wyglądać, oj nie tak! I byłby pewnie anioł poparł młodego księdza w jego słowach oburzenia, ale mała zadra niepewności zaczęła go uwierać, ledwie ujrzał nadzianą na kij marzannę. Dlatego musiał zobaczyć, co będzie dalej. I nasłuchiwał. Prastara, przedwieczna pieśń już nie wydawała mu się równie wesołą, jak na początku. Niby nadal grzesznie nakłaniała do płąsu w czasie poważnym, w Wielkim Poście, zaszła jednak w niej zmiana – jednocześnie opowiadała o śmierci bezkarnie zbierającej zniwo od jesieni do wiosny, co ważniejsze – czas już na to, aby zmęczona jędra zabierająca życie sobie odpoczęła, a nagromadzone życie oddała ziemi i wodzie. Gdy pochód się oddalał, aniołowi coś zaświtało w głowie, coś zaniepokoiło, na koniec nie wytrzymał, ogarnął się, jak umiał i pobiegł za orszakiem marzanny.

Diabeł Janusz zaś, jak to diabeł, niby wcześniej chciał przejść do kręgu aniołów jako niesłusznie skrzywdzony, ale w swojej istocie zawsze się cieszył, gdy

ludzie na złość robili wysłannikowi niebios. Mało tego – jakoś tak szczególnie radowało go, że śpiewali piosnki w czasie wielkiego umartwienia, kiedy należało raczej milczeć i się umartwiać, niż czymkolwiek cieszyć. Bo tak to w nim wszystko się poskładało, że gdy tylko bliżej poznał niebiańskiego towarzysza służby, odechciało mu się nudnej, acz nadętej ważnością świętości anielskiej. Nie było dla niego ciągle biadolić nad sobą czy innymi albo użerać się z każdą wesołą myślą i za nią żałować. Dlatego kpił z nadmiaru cudzej pobożności, o swoją już nie stał tak, jak to sobie z początku umyślił, a nawet przysięgał.

Co by jednak diabeł sobie myślał lub zmieniał poglądy na znany mu wcześniej świat, jego diabelskość też trochę się pozmieniała – stał się wrażliwszym na niektóre sprawy. Pojawiło się w nim uczucie wcześniej obce – litość. On sam, choć niezmiernie lubił okrutne żarty, zapragnął, żeby okrucieństwo było zasłużone, a nie... za darmo. Gdy więc usłyszał pochodową pieśń o marzannie, doznał poruszenia głębszego, niż można by się spodziewać. Ten niespodziewany, przedwiosenny pochód pośród lodów i roztopów nie jawił się jako psota czy drwina z nadętości anielskiej i zamiast się cieszyć z tego, że coś narusza powagę Postu, posmutniał. Poczul niepokojący dreszcz. W orszaku nie widział ani dziewcząt, ani ludzi, niezmiernie zajęła go kukła na żerdzi. W diabelskich ślepiach nie była bowiem zwyczajną postacią, czyli martwą zbitką słomy przewiazaną szmatami na kształt baby, jemu się jawiła jako coś więcej nad obraz dla niedowiarków. Widział w kukle zasłonę prawdziwej postaci, larwę kogoś żywego.

Co ona w sobie kryła?

Sam sobie zadał to pytanie i jeszcze nie odpowiedział, a już samiutkie przeczucie treści odpowiedzi czarnego kościelnego przewierciło na wskroś. Przeczucie, że jeśli nie teraz, to za chwilę wyrwą mu z trzewi pradawną tajemnicę, o jakiej posiadaniu nawet nie wiedział. Już się nie śmiał, nie drwił, nie szczerzył zębów w głupim grymasie ani nie wybałuszał ślepiów. Pochód oddalał się gasnącą pieśnią, lecz diabłu nie zrobiło się lżej. Z anioła nie miał zamiaru drwić i gdy tamten pobiegł za orszakiem, diabeł również wytrzepał się z wiórów, przegarnął nieco – co nic nie dało – zaprószone trocinami rozkudłane włosy i pobiegł, żeby zobaczyć, co będzie dalej. Był pewien, że tam znajdzie odpowiedź na z nagłą dręczące go pytanie: Kim mam być?

Niepomni na rozterki anielsko-diabelskie ludzie rozstawili się wokół marzanny zatkniętej na rozstaju śródpólnych dróg. Pieśń, co uwiodła anioła i zmroziła diabła, ustała. Najstarszy z mieszkańców wygłosił niezbyt składne przemówienie do słomianej kukły, co – jak mogło się wydawać – miało ten sam wyraz, jakby śpiewał przed głuchym. Co by nie powiedzieć, mowę jednak wygłosił. To, że drżącym, głuchym głosem, nie liczyło się nic a nic, skoro zostało wysłuchane z dużą uwagą, nawet przez Bożenę i Dobrosza. Nawet przez anioła i diabła.

Stary człowiek mówił tak: – Ty... Ty rządziłaś, ale już koniec tego. Rządziłaś od jesieni, całą zimę, przez zimę rządziłaś. Zabierałaś wszystko, jak swoje. Ciemno i zimno było. Ale już koniec. Już się skończyło. I ciemno, i zimno, skończyło się i już... – Tu myśl mu się urwała w najwyższym oburzeniu, słowa zdławiły w gardle, w zapadłych oczach, którymi popatrzył po cichutkim otoczeniu, pojawiły się łzy. Co zobaczył? Co chciał powiedzieć? Na zarośniętej, pobrużdżonej przez czas twarzy malowały się wysiłek i skupienie; nikt niczego nie podpowiedział jednak starcowi. Coś jakby żuł? Wreszcie wypuł z siebie to, co trzeba: – Teraz koniec! Już nie rządzisz. Musisz oddać, co pozabierałaś. Obudzi się życie. A ty idź precz, do morza.

To rzekłszy, starzec urwał pierwszą garść słomy z kukły.

Diabeł omal jęknął z bólu.

Anioł omal krzyknął z zachwytu.

Rzucili się ludzie do marzanny i dalej ją rwać na strzępy i strzępki, i roznosić po polach, choć po jednej słomce. Diabeł jakby w ziemię wrósł, a tak chciałby przeszkodzić, zabronić, a tu nawet nie mógł krzyknąć, nawet zapiszczeć. Tylko trząsał się, jakby coś w nim wrzało. Przecież to niemożliwe! Tak nie można! Cała zima starań i ma ona zostać bez niczego! Goła! Wypędzona?, myśli w nim krzyczały, bo on widział, że wewnątrz postaci szarpanej i łzonej kukły miota się postać dziwnie mu miła. Poznał ją, od razu poznał! To była jego siostra – śmierć! Okrutna, zimna, bezmyślna, jakże swojska. Była niczym kościotrup utkany z niewyraźnej mgły. Wczepiła się w drąg, gdzie jeszcze tkwiły resztki słomy, a ludzie miotali nią, deptali, wbijali w błoto. Ona rozwierała bezzębne usta w niesłyszalnym dla ludzi krzyku, cienkimi palcami, co jawiły się pasemkami przywidzenia, próbowała chwytać rabowane słomiane ciało, ale wciąż rozrywana, wciąż znieważana, tylko trwała w skurczeniu, wplatając się w skrzyżowany kij jak zmija utkana z mroźnego oddechu. Diabłu było żal siostrzyczki i gdy chłopaki unieśli ją na kiju, wgryzioną niemal w strzępy słomy, co zostały gdzieś jako zarys wcześniejszej postaci, on też ruszył z miejsca. Poszli w dół, nad Odrę. Tam znów zabrzmiał gromki śpiew:

My się zimy nie boimy

I ją zaraz precz wygnamy

Za morze

Za morze

Już nikogo ona sroga

Ni małego ni dużego

Nie zmoże

Nie zmoże

Ani trochę już nie zmrozi

Ani nic nam nie zaszkodzi

Laboga!

Laboga!

Już nam ona nie jest straszna

Za to jest już całkiem znaczna

Jej trwoga!

Jej trwoga!

Odmęt Odry już czekał. Cierpliwy, jednostajny, a zmienny, chlupoczący wirami, szarozółty. Ku rozpaczcy diabła młodzieńcy rozbujali drąg z uczepioną weń

zimową śmiercią i puścili go prosto w nurt rzeki. Ona tylko zakręciła się, wyciągnęła patyczaste ręce jakby prosząc niebiosa o łaskę, ale widać na próżno, bo zniknęła w brudnej kipieli.

Ludzie poszli precz, to znaczy do lasu. Diabeł patrzył jeszcze w bulgoczącą wodę. Złapał się oburącz za kudły, jakby chciał je wydrzeć całymi garściami. Wytrzeszczył ślepią w skrajnym zdziwieniu, otworzył gębę i tak trwał, aż anioł klepnął go w plecy i powiedział: – Dobrze sobie poradzili z tą diablicą. Chodź, bo jeszcze wpadniesz do wody.

– Nie pójdę! – jęknął diabeł. – Nigdzie stąd się nie ruszę!

– Co się stało? – zapytał zdziwiony anioł.

– Bo tak nie można. Tak niszczyć. Tyle roboty i co? Wszystko popsuli. Ona tam utonęła! – Z mordą skrzywioną do płaczu, już ze łzami w oczach mówił to diabeł, pokazując nurt rzeki, ale jakoś tak obwisłe, jakby mu mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

Anioł się roześmiał.

– Coś podobnego! Piekielnik mówi, że nie wolno niszczyć? Zabrzmiało to tak, jakby nie wolno było zabijać. Swoich szkoda, no nie? – rzekł drwiąco. Odpowiedzią było gniewne milczenie, dodał więc: – Chodź no, zobaczymy, co będzie dalej. Co ty byś chciał? Żeby cały czas była zima?

Diabeł nadał się i z warknięciem odwrócił do rzeki, założywszy, jak gniewny chłopczyk, dłonie pod łokcie. Anioł cierpliwie, niczym dobry ojciec, podszedł do niego i powiedział: – Ona wróci, na pewno. To zima. Wróci... – a gdy zauważył, że diabeł zastrzygł uszami, dokończył: – ...i znów będzie życia zbierać. Ale wróci, to pewne.

– Obiecujesz? – zapytał diabeł, zerkając kątem oka.

– Obiecuję.

– No to idę – morda diabelska w jednej chwili zmieniła się w zwyczajną, to jest w wesołą i psotną.

Poszli zatem w stronę pól, bo tam właśnie się działo. Dziewczęta przepasane powróslami, chwyciwszy się za ręce, obiegały kręgiem rozstaje dróg. Młodzieńcy rozstawili się dookoła, na coś czekając, a gdy ktoś świsnął, przypadli do dziewcząt. Tak właśnie Wojda dopadł do Anuchy w biały dzień, co było wręcz jawnym wyzwaniem rzuconym matce. Ta zezłoszczona wysyczała do męża: – Widzisz, jak za nią się ugania? Nie dość, że łązi między tymi ludźmi jak kmieć, to jeszcze robi jej nadzieje. I nie słucha mnie – oczy zwięzły się Bożenie ze złości, a twarz skurczyła.

Dobrosz również się zezłościł, lecz na żonę. Miał już odejść, żeby dłużej nie słuchać, bo przecież gdy zacznie ujadanie, łatwo nie skończy, ale tym razem odpowiedział najcierpliwiej, jak umiał, i tylko troszkę zaciskając zęby: – Przecież wiesz, jakim wrócił. Młody jest, wrażliwy. Nic nie poradzisz, tylko pogorszysz

sprawę. Niech się wyszumi, i tyle. Przyjdzie wiosna, trochę go się ruszy w świat. Popłaczą, popłaczą i zapomną. A teraz niech się bawi.

– Ona go zaczarowała!

– Oj tam, oj tam, zaraz zaczarowała.

– Urok rzuciła. To, co wyrabiają, to wstyd.

– Lepsze to, niżli człek jak pień. Daj im spokój. I sobie też – tu w głosie Dobrosza lekko zabrzmiała złość.

Żona to natychmiast podchwyciła.

– Może mam się zgodzić, żeby taka wywłoka z domu na starość mnie wygnała?

Rycerz uśmiechnął się na to, ale tylko do siebie.

– Myślisz, że już niewiele mojego życia? – Stłumił uśmiech i się postarał, żeby pytanie, jakie zadał z udawanym niedowierzaniem, zabrzmiało poważnie.

Bożena pewnie by odpowiedziała, ale ją zatkało. Oderwała wzrok od ukochanego syna, co właśnie wyciągał z kręgu roześmianą, niewiele się opierającą Anuchę, i spojrzała na męża.

– Ty Judaszu! To nawet powiedzieć już mi nic nie wolno? – krzyknęła i straciła dech.

Nim go ponownie nabrała, mąż odparł: – Bo tak powiedziałaś, jakby mnie na świecie nie było. To i mnie by wyrzuciła? Taka nieduża dziewczucha?

Bożena opanowała się tylko ze względu na ludzi, co już zaczęli przysłuchiwać się sprzeczce, chociaż niektórzy, słysząc samo brzmienie rozmowy, przezornie usuwali się dalej.

– Zaraz po Wielkanocy pojedziesz do Piotra Kuszy – rycerska pani wyszczała szeptem. – On ma dwie córki. Dowiedz się, co i jak.

– Dobrze, już dobrze – rzekł uspokajająco Dobrosz. – Wojda nie tylko urodę ma po tobie. Dobroć serca też wziął po tobie.

Bożena aż spuchła ze złości i nic już więcej nie powiedziała. Teraz przez dwa dni słowem się nie odezwie. I chwala Bogu, pomyślał rycerz.

Młodzieńcy zerwali już z dziewcząt powrósta i rozbiegli się po polach. Dawali napotkanym ludziom po trochu słomy, ci nieśli ją dalej, każdy na swoje pole. Tak rozrzućli zarówno szczątki marzanny, jak i kawałki powróseł.

Oklapniętemu diabłu, co nos trzymał spuszczone i na świat patrzył spode łba, nagle uszy zastrzygły i ruszyły do góry, a on sam się sprężył niczym przyczajony ryś. Oto z lasów wyszły mgliste postacie niewieście, co prawda niewidoczne dla ludzi, ale przed diabelskimi ślepiami nie mogły się ukryć. Postąpił o kilka kroków, wyciągnął łeb zerkając to w lewo, to w prawo – zrazu nie bardzo wiedział, nie rozumiał, co się dzieje – aż pojawiła się w nim nadzieja, a wkrótce za nią pewność. Japa rozciągnęła mu się w obleśnym uśmiechu od ucha do ucha, jęzor obwisł jak u sytego psa. I takim spojrzał na anioła. Nic nie musiał mówić.

Wysłannik niebios patrzył i patrzył – na jego jasnej, pogodnej twarzy zaczął zapadać zmierzch, gasła – jeszcze dzielnie się trzymał, nie odezwał się nic, a nic. Diabeł nie pozwolił mu jednak na milczenie, chciał zaznać smaku zwycięstwa. Z udawanym współczuciem, ze słodziutkim lekceważeniem, powiedział więc: – Nie martw się. To tylko złe duchy. Sami je sobie sprowadzili.

Te słowa nieszczerego pocieszenia nie pomogły aniołowi. Oto zobaczył na własne oczy dusze potępieńców, które nie trafiły do piekła, tylko tułały się po lasach i bagnach. Teraz wyroili się na pola. No, może troszeczkę przesadnie pomyślał, że się wyroili... Całkiem sporo tego diabelstwa wyszło z lasu, wszystko postaci dziewczęce, podobne do tych, co wcześniej płały w kręgu, tylko jakby z piękniejszą powłoką, choć przecie zwiewną i nieżywą.

– Chodźmy już, nic tu po nas. Widocznie ludzie tak mają, że muszą mieć u siebie trochę piekła – powiedział piekielnik, jakby to go nic nie obchodziło, choć w istocie był rad, że teraz to on może się mądrzyć.

Anioł nie od razu poszedł, mimo że diabeł dwa razy ruszał z miejsca i dwa razy cofał się zachęcająco. Ludzie też już się rozchodzili, diabeł więc zaczął potupywać ze zniecierpliwienia. Wysłannik niebios nie mógł jednak iść. Tajemna siła trzymała go w miejscu, poza tym chciał zobaczyć coś jeszcze. I zobaczył.

Niewieście duchy – znów musiał anioł przyznać, że bardzo urodziwe – schylały się nad źdźbłami słomy, próbowały je podnosić, nawet tulić do siebie, tarzały się tam, gdzie więcej słomianych okruchów leżało, i szukały jeszcze czegoś, patrząc to tu, to tam, aż zatrzymywały się na długo, bardzo długo przy czymś, czego z odległości nie było widać. Wreszcie jakby na jeden zew powstały i zwiewnie odeszły do lasu. Wyglądało to tak, jakby wiatr zagnał tam mgłę.

Anioł obrócił się w stronę diabła i powiedział ze zwyczajną sobie powagą: – One, te dusze, chcą życia. To nie są potępieńcy. Nie za własne grzechy tak cierpią.

– Święte to one też nie są – rzekł diabeł jakoś tak lekko.

– Nie są święte, ale też niepotępione – bez złości, za to ze smutnym współczuciem odparł anioł. – Są nieszczęśliwe.

Diabeł stanął koło anioła i spoważniał. Popatrzył na las.

– Nic na to nie poradzisz – powiedział. – To, co miało im się stać, już się stało. Potępione czy nie, lepiej, żeby żaden człowiek w ich ręce się nie dostał.

I na to ostatnie zdanie anioł smutno przytaknął.

Rozrywając słomiany pas dziewczury, Wojda zapytał: – Spotkamy się dziś wieczorem?

Ta ze śmiechem odwirowała od niego, a gdy się zatrzymała, patrząc nieco z ukosa, rozpędzone włosy oplótły ją, bo chciały jeszcze dalej się obracać. Rozkołysała się w drugą stronę i przebiegając obok Wojdy wirem powietrza, powiedziała: – Dziś po zmroku lepiej nie wychodź na pole. Kiedy indziej możesz, dziś nie.

– Dlaczego? – Wojdaomalże był gotów płakać niczym chłopczyk; już marzył o spotkaniu Anuchy. Ta zatrzymała się na króciutką chwilę, przyłożyła dłoń do czoła, jakby osłaniając się od słońca, popatrzyła w dal, na pola i las.

– Brzeginie się obudziły. Nocą pola są już ich. Dlatego lepiej po ciemnicy nie łązić. Można oszaleć.

– To się nie zobaczymy?

– Przecież się widzimy – powiedziała przytomnie i zaledwie na niego zerknęła. On, jakby się załamał, dodała więc: – No dobrze, już dobrze. Gdy minie południe, zobaczymy się na łące. A teraz bywaj, bo już ludzie się gapią.

Wojda ledwie doczekał południa, dla niepoznaki ostrząc starannie miecz na kamieniu. Ledwie słońce zaczęło się chylić, porzucił zajęcie i poszedł do stajni. Już myślał, że wszystko pójdzie gładko, już siodłał konia, gdy przydybała go matka.

– Dokąd jedziesz? – zapytała, choć dobrze wiedziała, dokąd.

– Przejechać się.

– Do tej latawicy jedziesz! – krzyknęła niecierpliwie.

Syn, mimo że na co dzień spokojny jak cielę, trochę jednak i do matki był podobny.

– A jeśli do innej, to dobrze będzie? – Szarpnął konia za wodze i ominął osłupiałą z oburzenia rodzicielkę. Może pierwszy raz w życiu wygrałby z nią pojedynek o władzę, ale się odwrócił, a gdy się odwrócił, powiedział pojednawczo: – Wrócę przed nocą.

Z tego Bożena wniosła, że jeszcze ma na niego wpływ, i postanowiła to wykorzystać. Niebawem.

Wojda jechał truchtem, zwolnił dopiero przed kwietną łąką, a na jej skraju zszedł z konia. Dziewczura już na niego czekała w całej krasie. Skromna szata nie wydawała się skromna, tak ją Anucha zdołała urodą. Wydawała się leśną boginią wyrosłą z zieleni i żółci mleczy. Nie splotła włosów, starannie rozczesała; spływały na ramiona łagodną, połyskliwą jak czerwona miedź falą, prześlizgiwały się po biodrach tak, jak to już sobie wyobrażamy, i niesfornymi koniuszkami burzyły się tuż nad kolanami. Wianek z żółtych mleczy niczym obręcz hełmu okalał głowę Anuli. W oczach odbijało się niebo, tym razem na niebiesko. Jak ona to robiła, że wielkie źrenice raz były zielone, kiedy indziej orzechowe, w innym czasie niebieskie albo szare – tego Wojda nie mógł pojąć nic a nic. Tylko się zachwycał, że obwiedzione ciemnymi rzęsami i brwią cudnie wyglądają za każdym razem. Podobnie też nie mógł myśleć przytomnie, gdy spojrzał na czerwone wargi dziewczury – pełne, kształtne. Nie mówiąc o figlarnym nosku z ruchliwymi chrapkami i niedużych uszkach, co aż kusiły, żeby spróbować, czy smaczne.

Anucha uśmiechnęła się na widok Wojdy. Ten puścił wodze końskie, rzucił się do dziewczury biegiem i nuże ją ścisnąć i całować. Ona mocno bronila się przed uściskami, ale przed całusami jakby trochę mniej. Co prawda nie nastawiała

usteczek, tylko raz cmoknęła i dała się cmoknąć, za to nadstawiała policzki, na przemian, z lekkim odchyleniem główki, z półprzymknięciem patrzących w dal oczu. Niestety, ręce młodziana skrępowały ją mocno, pozbawiając tchu, a że uniósł ją, nie mogła oprzeć się na ziemi. Poczowała, że w nim jurny mąż się rozpędza, ani chybi w stronę nader cielesnej żądz, zaczęła więc się szamotać i tracić dech.

– Puść mnie, bo mnie udusisz – jęknęła, ale młodzieniec głodny bliskości dziewczyny ani myślał być posłusznym, tylko trzymając ją jedną ręką, drugą odgarnął włosy z białej szyi i tam przywarł ustami żarłocznie. – Puść, bo cię ugryzę – zagroziła.

Nie dowierzał.

Obróciła głowę i cap go zębami za ucho.

– Ała, Ała! Boli! – zawył Wojda.

Młoda wiedźma, nieco sepleniąc, powiedziała przez zaciśnięte zęby: – Postaw mnie i puscaj! No, jus!

Postawił dziewczurę, ale nie puszczał. Ta zacisnęła więc ząbki mocniej, aż zajęczał. Wtedy zwolnił ucisk. Puściła i ona.

– Zgłupiałaś? – masując ucho, rzekł z wyrzutem. – Ucho byś mi odgryzła.

– Pewnie! Było mnie nie ścisnąć. Nie lubię tego.

– Ale będę miał ślad. Wiesz, jak to boli?

– Pokaż, wyleczę cię – powiedziała bezczelnie i złapała go za obolałe ucho.

Posłusznie się pochylił. Po chwili oglądania powiedziała: – Nic ci nie będzie. Nie ma co nawet maści kłaść. Daj, pocałuję – i cmoknęła w zaczerwienione półkole.

– Głupia – pomasował jeszcze, ale że nie odchodziła, przytulił ją i tak sobie troszeczkę postali.

Coś jej nie chciało się za długo stać. Oswobodziła się z przytulenia, wzięła go za rękę i wyznała: – Dziś ci pokażę swoje księstwo!

– Gdzie?

– Tu, gdzie stoimy, na mojej łące. Odróżniam sto rodzajów ziół i to od korzenia po kwiat. To bardzo bogata ziemia.

– To? – Wojda niczego szczególnego nie zauważył; łąka jak łąka. Kwitnie ładnie, mleczki nie są raczej bogactwem. Tę myśl powtórzył na głos, z lekką kpina.

– Są! – jak przekorne dziecko odparła Anucha. – I dla bydła, i dla ludzi nawet też. Od kaszlu, od żółtaczk. Jeśli krowa czy owca nie bardzo je zimną albo mleko traci, to susz z mleczki dajemy, a ludzie nam za to rybkę, serek...

– Takie coś? – Wojda zerwał kwiat i popatrzył na jego wielowarstwową koronę.

– Nie, takie coś – odpowiedziała dziewczura, wyrywając ziele z korzeniem i dając je Wojdzie do ręki.

– Może pomogę ci zbierać?

– Ze zbieraniem mleczkowego kwiecia trzeba poczekać na pełnię. Całe ziela

zbierzemy w maju.

Młodzieniec uniósł w zdziwieniu brwi i pokiwał głową.

– Żebym to ja wiedział, że to takie silne ziele i ma wartość...

– Nie silne. Z tego, co tu rośnie, jest najsłabsze. Ale jest dobre.

– I ładnie ci w nim.

Popatrzył na nią i już się rozpędzał w marzeniach, co natychmiast zauważyła, zgasła więc chwilowy blask oczu i powstrzymała uśmiech. Nie umiała poradzić sobie z jego rozpędzonymi marzeniami, dlatego się odwróciła, odbiegła w bok kilka kroków, mówiąc: – Popatrz tutaj rośnie dziewanna.

– Sama jesteś dziewanna. – Chciał ją objąć, ale odskoczyła.

– Cicho, głupi! Nie lekceważ jej.

– A co? Zje mnie?

– Nie zje, ale może kiedyś ocali. Oprócz tego, to taki dziwny kwiat, co po nim można poznać pogodę i urodzaj na cały przyszły rok. Wisława uczy mnie tego.

– Jaki będzie ten rok? – zapytał z uśmiechem.

Dziewczura wspomniała jesienne widzenie przy dziewannach i spoważniała. Popatrzyła na niego dziwnie, aż uśmiech zniknął z jego twarzy. Jej buzia, zawsze łagodna, wyostrzała, na czole pojawiły się trzy zmarszczki ściągające brwi. W oczach już nie przeglądało się dzisiejsze, radosne niebo, chociaż nie przyplęnęła na nie nawet chmurka – zrobiły się ciemne, niczym tłusta, mokra, zielona glina. Coś obcego w niej zobaczył i odeszła mu ochota na dokazywanie.

– Nie rób tak, bo aż się boję – poprosił.

– Ten rok będzie zły... Latem widziałyśmy pleń... – usłyszał głos zimny, aż mu skóra ścierpła na grzbiecie. Wzdrygnął się. Anucha przetarła twarz dłońmi, strzepnęła nimi za siebie trzy razy i powiedziała z wymuszonym uśmiechem: – Lepiej o takie rzeczy nie pytaj. Mówić mi o tym nie wolno.

– Może nie warto nic siać? Może trzeba ludzi ostrzec?

– Zawsze warto. Ludzie coś tam wiedzą, tylko lepiej ich więcej nie straszyć. Chodź dalej, pokażę ci coś jeszcze. O tu, ta roślinka z podłużnymi listkami, to dzięgiel.

– Pewnie też na coś jest dobry?

– Pewnie. Ale chodź dalej. O widzisz to? – Podniosła uschniętą łądźkę z zeszłego roku, co tworzyła brunatny koszyczek zakończony płaskimi główkami, przeważnie już pustymi.

– A to co? Takie suche?

– Suche, bo uschło jesienią, ale wyrośnie, na wysokich łądźkach, a te kuleczki były kwiatkami. Wrotycz. Coraz go więcej, co mnie cieszy. Z nim już nie ma żartów.

– Dobry czy niedobry? – kpina pobrzmiwała w głosie Wojdy.

– Dobry. Na robaki. W pustej głowie. – Machnęła ręką, ale nie trafiła, bo

całkiem zręcznie się uchylił. – Nie chcesz mnie słuchać, a ja tylko to umiem. To całe moje życie.

– Chcę, chcę... – mówił pojednawczym głosem; w oczach miał wesołe iskierki.

Nie uwierzyła.

– Lekce sobie ważysz, to, czym żyję. Nie żartuj, bo to potęga jest, i to pod ręką. Trzeba tylko umieć wykorzystać.

Nic nie powiedział, chciał ją przytulić. Nie dała się.

– Pamiętam, co mówiłaś – odezwał się po chwili. – Mlecz, dziewanna, dzięgiel i ten, no... wrotycz, co z nim nie ma żartów. Widzisz? Wszystkie pamiętam. I to, że rok ma być zły, też. Tylko co z nami będzie? Chciałbym tobą się nacieszyć.

– Ja też – posmutniała. – Wyszłam tylko, żeby nazbierać korzeni podbiału, inaczej znów matka by mi płakała. Najwyższy czas na niego, jeszcze trochę, a za późno będzie i korzeń straci moc.

– Ja swojej matce odpyskowałem, aby tylko wyjść. Jest zła jak osa! Nie wiem, co to będzie – westchnął.

Anucha przytuliła się do Wojdy. Postali tak, nic nie mówiąc, dłuższy czas, aż ich nogi rozboleły. Wojda pierwszy się poruszył.

– To pokaż mi ten podbiał. Pomogę ci go nazbierać.

Dziewczura przytaknęła bezgłośnie, ale nie od razu oderwała się od młodzieńca. Bez słowa powiodła go na koniec łąki, gdzie zaczynała się piaszczysta skarpa. Tam leżały koszyk i motyka. I tak wzięli się za prostą robotę: on ostrożnie kopał i wyciągał korzenie i kłącza podbiału, ona zaś oglądała je uważnie, odrzucała za cienkie, każąc je na powrót zakopać. Odpowiednio grube oczyszczała z ziemi i układała w koszyku. Gwarzyli sobie przy tym, zrazu smutno, potem coraz weselej, na koniec Anucha całkiem wesoło nucila. Tak też im było dobrze, gdy Wojda zapytał: – Ten podbiał na co?

– Na nico – odpowiedziała, jak to ona.

Przekomarzając się, nie spostrzegli, że zaczyna zapadać zmierzch. Koń napasł się trawy, zaczął parskać i trwożnie rozglądać się po lesie. Wtedy dziewczura zakrzyknęła z wyraźnym przestraczem: – O matko! Musisz wracać, zanim będzie ciemno.

– Co się stało?

– Boginki dziś się przebudziły. Lepiej, byś im w drogę nie wchodził.

Młodzieniec czuł, że nieswojo mu się robi, ale nie myślał o sobie.

– A ty? Możesz po nocy chodzić po lesie?

– Ja to coś innego, ale dla ciebie ta noc może być zła. Też pójdę już do domu. – Przypadła do Wojdy, pocałowała go z wyskoku w usta, złapała koszyk z podbiałem i motykę, i już biegła do leśnej chaty.

- Poczekaj chwilę. Chcę ci coś powiedzieć.
- Ciemno się robi, nie mogę.
- Tylko dwa słowa.
- Dobrze, mów. – Odwróciła się i odchodziła tyłem.

Wojda podszedł za nią i się uśmiechnął. Zaraz jednak spoważniał, zatrzymał się, na co i ona przystanąła, a wtedy przemówił:

Zanim odejdiesz miła w nieskończoność nocy

Daj mi się zachwycić błyskiem Twoich oczu

Jeszcze jeden całus tak na pożegnanie

Bym na samo wspomnienie myślał „me kochanie!”

Jedno Twoje spojrzenie to jak tysiąc widoków

Najbarwniejszych kwiatów przecudnych obłoków

Jeden uśmiech Twój jest jak dotknięcie bram nieba

Tak niewiele! A wszystko czego zachwyceniu trzeba

Dary rozkoszy setki najpiękniejszych dziewcząt

Jeden Twój pocałunek spycha w dal bezkresną

A muśnięcie warg Twoich aż do końca świata

Zaznaczyło niebo zorzami poranka.

Dziewczura, co początkowo też spoważniała, jednym przewróceniem oczu starła z umysłu smutne myśli i nie patrząc na Wojdę przemówiła w bok, w krzaki, jakby zwracając się do ukrytych za nimi albo całkiem niewidzialnych świadków rozmowy:

Jak zwykle gdy mu trochę źle

Przesada w jego słowach wre

Kwiatuszki – sratuszki. Obłoczki – srocзки

Wszystko zapomni wszystko przeoczy

Nie trzeba stu, wystarczy jedna

Żeby mu pamięć zaraz zrzędała

Anię zapomni i bez rozkoszy

Niech tylko jakaś za nim choć spojrzy

I wcale nie musi być najpiękniejsza

Bo on tak ma że inna to lepsza. Pa!

Spojrzała na młodziana jak wesóły chochlik, cmoknęła się we wnętrze dłoni, ustawiła ją przy brodzie i dmuchnęła całusem w stronę zalotnika. I już jej nie było.

Wojda roześmiał się na to w głos, dosiadł podjezdka i pojechał do domu, całkiem wesół, zupełnie nieprzystojnie jak na czas umartwienia Wielkim Postem.

PLĄSY

Czy też czasami jak dziewczura

Lubicie pląsać do ustania?

Jak nie lubicie no to trudno

Nie ma przymusu do kochania.

Dziewczura też była daleka od umartwiania. W domu stara trochę gderała, wyrzekając, że za rozpustę ludzie spalą im dobytek, Anucha nie słuchała uważnie, coś ciągnęło ją z powrotem na łąkę, i gdy Wisława zobaczyła, że młoda tęsknie patrzy w dal, ogarnął ją niepokój. Nie chciała na nowo wszczynać kłótni, ale Anucha przepasała się krajką, zasuszone ziele bylicy wepchnęła sobie za pasek, wtenczas stara nie wytrzymała. Tyle że wysiliła się na spokój w głosie, czemu całkowicie zaprzeczały załamane ręce: – Córuchno, cóżeś ty znowu umyśliła?

– Wiesz co. Po co więc pytasz? – odparła młoda niezbyt ładnie i grzecznie.

– Ale po co? Co ci się zdaje? Że z duchami można zadawać się bezkarnie?

– Całe życie mam z duchami, prawie co dzień, już za swoją mnie mają.

– Rozedrå cię na strzępy. Dorosła jesteś.

– Ale niewinna. Co sobie byś myślała, co ludzie sobie by myśleli, niewinna jestem. Nie ruszą mnie. Bylica mnie ochroni.

– A jeśli nie ochroni? Wiesz przecież, że są pełne złości. Dziś je obudzili, to i głodne muszą być.

– Nie krwawię, czysta jestem. Nie ruszą mnie.

– Po co ci to? – stara załamała ręce. – Przecież ostrzegałam cię, że z diabelstwa nie ma dla człowieka niczego dobrego. Niczego! To tylko się wydaje, że kogoś postraszysz, że coś uzyskasz. Stracisz nie tylko urodę. Jeżeli ludzie się przestraszą, że rzucasz uroki, znajdą sposób na nas, oj znajdą. Uwierz mi. Im bardziej się boją, tym są groźniejsi.

Anucha ustała na chwilę w przygotowaniach.

– Jeszcze nie ma pełni, to ich moc nie jest wielka – powiedziała o tym, co miało ją czekać za chwilę, nie ludzi mając na myśli. – Nic mi nie zrobią. Muszę jednak stać się silniejsza. To, co u nich jest prawie nic, dla mnie to wiele. One

wszystko wiedzą o roślinach, wszystko. To dopiero jest prawdziwa moc.

Wisława podeszła do drzwi, zasłoniła je sobą i powiedziała ze łzami w oczach: – Szaleju się najadłaś? Nie puszcę cię. Już nieraz takie sprawy widziałam. Diabelstwo jest od tego, żeby go się bać. Kto to lekceważy, żyje w złudzie szczęścia rok, dwa, potem nic mu się nie udaje. Nic! Były już takie, co im się zdawało, że przechytrzą wiłę albo mamunę. Wiesz, ilu się udało? Łatwo powiedzieć: żadnej! Albo traciły rozum, albo kogoś, kogo kochają. Zrozum wreszcie, że one zawsze w zamian biorą czyjeś życie.

Dziewczura, co już wkładała na siebie kożuszek, zdjęła go, ale nie odłożyła na ławę, lecz przewiesiła przez rękę. Popatrzyła sucho na matkę i powiedziała: – Przez tyle lat hasałam po łąkach z brzeginiami. Całe noce. Miały mnie za swoją. Nawet, gdy dojrzałam. Nie wiedziałam tylko, po co to robię. Wychodziło, że dla zabawy, a przecież mówi się, że one nienawidzą niewieściego rodu. Wtedy tylko mnie ostrzegałaś, uczyłaś, ale nie zabroniłaś. Mówiłaś, że tam, gdzie one płasają, rosną najsilniejsze zioła, gdzie jedno wystarczy za dziesięć. Tego mi właśnie trzeba. Co teraz się stało? Nieprawda to była?

– Obcowałeś z mężem – wybuchła stara. – One to zaraz wyczują, a wtedy oszalejesz.

Anucha podeszła do wiedźmy.

– Myślisz, że cię nie słucham? – powiedziała mocno. – Że zgłupiałam z miłości? Że nie wiem, co nas może czekać? Chciałabym być jego, bardzo bym chciała. I gdyby nie twoje nauki, już pewnie bym mu się oddała. Słucham ciebie i pamiętam, że innej przyszłości niż twoja nie ma dla mnie. On też nie jest głupi. Wie, jaka jest jego powinność.

Starej twarz drżała ze wzruszenia. Kilka razy zbierała się, żeby coś powiedzieć, aż wreszcie wyszłochiała: – Biedne dzieci, nie wystarczy waszej mądrości na cały świat, a brzeginiom wystarczy cię dotknąć. Wyczują go.

– W niedzielę uczyniliśmy sobie w kościele ślub czystości – wyznała dziewczura. – Każde z nas przysięgło. Staliśmy osobno, ale umówieni i na jeden znak przysięgliśmy. Ani ja nie jestem głupia, ani on. Nie chcemy niepotrzebnie się narażać. Nic złego nikomu nie robimy.

Ulga przebiegła przez głowę starej wiedźmy. Napięcie zeszło.

– Wierzę ci, ale nie idź – prosiła. – Po co kusić złe?

– Po to, żeby lepiej się poznać na ziołach. Przecież nie zostanę żoną rycerza. Jeśli mam być znachorką, będę, i póki nie tknął mnie żaden mąż, nie muszę bać się złych duchów, bo nie mam za co. Dlatego przepuść mnie. Ich pierwszy płas jest ważny, najważniejszy, sama mówiłaś.

Wisława się zawahała, a że oczy jej łzawiły, obtarła je rękawem. Korzystając z tego dziewczura szybko przemknęła pod jej ramieniem, nacisnęła rygielek i już była w sieni. Tam w trzech krokach znalazła się na podwórzu. Stara wybiegła

za nią i zawołała: – Co czynisz?! Wracaj!

– Idę, matko. Może poznam swoją przyszłość? – I już zniknęła w furcie ostrokołu.

Matka pobiegła tam i krzyknęła w ciemność: – Nic do nich nie gadaj, nie przytakuj. W niczym! Rozchodnik masz?

– Mam! – Dziewczura zniknęła w ciemności.

Traf chciał, że w stronę tej samej łąki szedł żądny chędożenia wikary Przemko. A było to tak. Ksiądz o najslabszym powołaniu na całym Śląsku drzemał już, a wówczas usłyszał w uchu szept mówiący prawie same kłamstwa, ale niezmiernie miło było w nie uwierzyć.

– Dziś jest noc dziewuch – szeptał diabelski głos. – Gdy już wszyscy usną, one wychodzą z chałup w samych gieźlach albo i bez, a jeśli w ubraniach, to tylko dla niepoznaki. Tak idą po cichu, żeby się spotkać na leśnej polanie. Tam rozbierają się do cna, potem biegają wkoło i tarzają w zielsku, naraz marząc, żeby je dosiadł jakiś mąż. Tylko pomyśl, ten raz w roku wszystkie będą jak twoje. Nikt tak się nie napatrzy, nawet cesarz Fryderyk. To dziś. Jeśli przegapisz, toś kiej.

Wikary ocknął się i popatrzył nieprzytomnie. Nikogo nie zobaczył, a diabeł przypadł plackiem do ziemi, do ciemnego kąta.

– Coś mi się przyśniło – powiedział ksiądz i ułożył się do snu.

Ledwie jednak usnął, znów głos sęczył się do ucha.

– Drugi raz ci się to nie przytrafi. Nikt o tym babskim święcie nie wie, tylko one same. Nikt! Pomyśl, będą rozochoczone, rozpląsane, chętne. To nie wiesz, że tej nocy one robią wszystko, żeby sobie powodzenie zapewnić? Każda się rozbiera, bez żadnego wstydu. Goluśkie, jak je ten... stworzył. Wtedy, nie zastanawiając się dlaczego, Przemko zapytał sennie: – Wszystkie?

– Wszyściutkie! Nagusieńkie. Nawet najskromniejsza szatki zrzuca! I chętnie pokazuje wszystko, i od przodu i od tyłu.

– Od tyłu? – ślinka pociekła wikaremu.

– Pewnie! Bo się wypinają do każdego, kto tylko patrzy.

Zboreźnik aż się wyprężył, wyobraziwszy sobie widok kilkunastu wypiętych, niewieścich krągłości. Ale coś zaświtało w zaspanym łbie, coś nie pasowało.

– Dlaczego dziś? Przecież nie ma pełni, a one w pełnię chcą się łajdaczyć. No i później, koło Świętego Jana, gdy noce są ciepłe... – tu zawiesił głos w zapytaniu, ale i w obawie, że dostanie na to potwierdzenie, dodał więc szybko: – Tak słyszałem.

– Źle słyszałeś! – szybko ofuknął go głos. – One tak robią później, ale nigdy całym stadem. Wychodzą, żeby potarzać się w ziele i rosie, bo wtedy są powabniejsze. Dziś to coś innego! Dziś jest ich tajne święto.

– Święto? Tajne?

– Tak. Dziś wszystkie baby są czarownicami. Czarują. Siebie czarują, żeby

wydawać się piękniejszymi, bo od leśnych duchów zabierają dziś moc. Nikt o tym nie wie, tylko ty się domyśliłeś. Widziałeś, latały przepasane powróżkami. Widziałeś?

– Widziałem – potwierdził najgorszy ze śląskich kapłanów.

– Tak było na obudzenie wił, mamun i brzeziń. To są babskie duchy. Dzisiejszej nocy jedne od drugich biorą babską moc, taką całkowicie bezwstydną. Tylko dziś, póki tamte są przebudzone i jeszcze nie całkiem mocne, a jakieś takie chętne do pomocy. Tylko tej jednej nocy w roku nie szkodzą babom.

– To diabelstwo!

– A pewnie! Ktoś święty, jakiś ksiądz powinien to zobaczyć, rozgonić raz na zawsze i nauczyć głupie dziewczyska tego, co trzeba.

Uff, wreszcie przyszło usprawiedliwienie! W poczuciu wzbierającego gdzieś w lędźwiach obowiązku Przemko rzekł stanowczo: – Muszę tam pójść.

– Musisz, musisz, pewnie, że musisz. Weź bat, koniecznie. One to lubią. Zobaczysz, jak w diabelskim korowodzie się wiją, bezwstydnice. Tfu! Aż obrzydzenie bierze patrzeć.

Otworzył oczy młody ksiądz, coby w nim całym się nie znalazło ani krzty kapłaństwa. Było ciemno, ale musiał wstać. Po cichu, w samych portkach i gieźle, wyjrzał na zewnątrz. Drzwi troszkę skrzyknęły, ale nic to! Myślał, że noc owionie go przykrym chłodem, ale, o dziwo, chłód był, lecz raczej rześki. Przypomniał sobie sen. Uśmiechnął się do tego wspomnienia, no i poczuł mocne parcie na pęcherz. Potruchtał w stronę chlewika, rozsypując, co trzeba, i gdy sobie ulżył, od czego poczuł błogość – zaprawdę nieporównywalną z inną, ale dobre i to – usłyszał szmery i głosy za wałem. Jak umiał, wspinał się cichutko na górę i podsunął do blanki. Wystawił lekko głowę. Zobaczył nikłe, oddalające się światełko, zarysy postaci i stłumiony szybko, niewieści chichot. Rozejrzał się czujnie, po czym wyprostowany, wyjrzał śmiało. Pod lasem zamigało inne światełko. Krótkie szepty rozmowy, znów zakończone cieniutkim chichotem, dobiegły go z tamtej strony. To nie tylko mi się śniło. To się dzieje!, zakrzyzczały w nim myśli, a wyobraźnia dodała do nich obrazy. Nie wahał się dłużej, pobiegł w ślad za głosami.

Zajrzał tylko na plebanie po opończę. Sutanny nie włożył, żeby go nie rozpoznano.

Nie było całkiem ciemno, bo miesiąc choć młody i zachodzący, śmiało przyświecał, podobnie gwiazdy, ale cisza była niesamowita. Trochę nieswojo było iść wikaremu, bo od dziecka straszono go nocnym lasem, uroczyskami, upiorami i innymi duchami. Matka opowiadała, że to ją i jego, gdy był malutki, dręczyły nocule, podłe mamuny, co przez nie boli głowa i chce się płakać. Też i zmory wtedy nachodziły i matkę, i dziecko, siadając na piersiach i dusząc niemilościernie. Taka potrafiła wejść do domu jako słomka... Tu Wikarego olśniło: słomki! W słomie czai się zło! Te niedźwiedzie słomiane, marzanna, słomki rozrzucenie po

polach. Złe do słomek włązi i tam siedzi.

Szedł poroniony ksiądz, żeby napotkać w lesie dusze porońców, a w ciemnym lesie nie dość, że myśli miał niewesołe, to zrobiło się dziwnie: coś zahukało, coś załomotało, wokół trzeszczały patyki, słysząc było skrobienia jak to w krainie dzikich zwierząt i złych duchów. Wreszcie się zatrzymał, bo – mu się zdawało – straszne uroczysko było niedaleko, co ponoć wychodziły z niego upiory pijące ludzką krew. Niewiasty, co widział je z wału, zniknęły. Nie miał ochoty wskazywać im dobrej drogi do swojego łoża, sam chciałby drogę do niego znaleźć, i już miał zawrócić, gdy znów usłyszał niewieści głos, całkiem niedaleko. Nawet kilka głosów.

Przykucnął, żeby zastanowić się, co będzie dalej. Tak się bał, że mógłby zawrócić, z drugiej jednak strony, skoro zaszedł tak daleko, szkoda byłoby nie skorzystać... Drżał ze strachu, jednocześnie z siłą wszystkich pragnął zaznać przygody życia. Przemógł się i postanowił zobaczyć, co w trawie piszczy. Ostrożnie, jak umiał najostrożniej, się skradał.

Głosy niewiast, może jeden głos, przybliżały się. Serce rozpustnika biło tak mocno, że chyba pół lasu je słyszało, ledwie mógł oddychać. Spocony jak mysz, choć ani trochę się nie wysilił, doszedł na skraj śródleśnej łąki – tej samej, na której za dnia urządzili sobie schadzki Wojda z Anuchą.

Na łące było widniej niż w lesie, stojący w głębokim cieniu człowiek mógł więc rozeznaczyć, kto tam jest. Z początku zobaczył mgłę snującą się niewyraźnymi pasmami. Trochę go to zaskoczyło – przecież słyszał niewieście głosy, powinny tu być te, co je wydawały, ale nikogo nie było, jeno te zwiewne pasemka. Może poszedłby z powrotem, gdyby mu czegoś nie zaczęło brakować, zwłaszcza że nie bardzo wiedział czego. Rozglądał się pilnie i nasłuchiwał, aż zrozumiał, że ustały wszelkie odgłosy lasu. Wtedy znów poczuł się nieswojo, bo już polana wydawała się bezpieczniejszą niż ciemność, przez którą przeszedł. Przez tę myśl jakby wrósł w ziemię i niemalże się rozpląkał z poczucia bezradności. Pluł sobie w brodę, że dał się podkusić złemu. Czynił to jednak tak cicho, że nawet nie pisnął, aby tylko się nie wydało, że tu jest. Pomyślał już, że przyjdzie mu tu doczekać świtu, a trochę jakby zimno zaczęło się robić, ale wówczas coś się zadziało na drugim skraju polany. Jego przerażenie sięgnęło szczytu w oczekiwaniu na najgorsze.

Spośród drzew wyszła niewieścia postać – wikary z mściwą radością rozpoznał w niej dziewczurę i w tej samej chwili nastrój mu się zmienił z bezradnego strachu na przedsiębiorczą żądzę. Tyle zwyczajowego prawa znał: błąkająca się nocą po lesie niewiasta jest sama sobie winna, dlatego nie zastanawiał się za długo. Upewnił się tylko jeszcze, czy kogoś z nią nie ma – nie było, tylko ona wpatrzona w wiszący na samiułku skraju nieba kawałek miesiąca. Czaruje, wiedźma, z miesiącem sobie gada. Ja ci zaraz dam czary, wszeteczniczo, pomyślał bezlitośnie wikary i zaczął skradać się między drzewami w stronę Anuchy, starając

się przy tym nie nastąpić na gałązkę, żeby nie spłoszyć, jednocześnie nie stracić z oczu, aby się nie ukryła. Ominął jeszcze kilka drzew i wreszcie znalazł się od niej dziesięć kroków.

Miał już wyskoczyć z cienia, obalić ją, zedrzeć z niej szaty i posiąść, gdy pasemka mgieł zaczęły wirować każde z osobna. Zatrzymał się, mimo że chuć wezbrała w nim tak gwałtownie, iż gotów był wyć. Ale mgły zbyt niesamowite były! Zagęszczały się coraz bardziej, aż wyglądały jak powyginane słupy. Widok ten osadził w miejscu chutliwego księdza i to na długo. Miesiąc dawno zaszedł, a on stał i nie śmiał oddychać.

Powolutku, ale cały czas coś się działo. Słupy przybrały na kształtach i stały się smukłymi, wirującymi dzbanami o barwie siwego srebra, aż jedno z nich okryły się chmurami białymi, inne zielonymi. Wikary przetarł oczy ze zdumienia, chmury okazały się bowiem długąsnymi kądzielami zielonych i białych włosów spowijających smukłe, niewieście postacie. Zdrętwiał w bezruchu, wrośnięty w ziemię patrzył i widział wszystko. Nawet myśl mu przeszła przez głowę, że ma wyostrzony wzrok: przecież miesiąc dopiero co zaszedł, a blask chłodnych gwiazd niewiele mógł dawać światła. Długo jednak o tym nie myślał, bo na łące działo się coraz szybciej. Biało- i zielonowłose blade niewiasty zeszyły się razem, wzięły za ręce i utworzyły krąg. Stały nieruchomo i przyglądały się dziewczurze. Ta jakby się zmieniła. Nie miała już wianka na głowie, włosy straciły miedziany odcień, zrobiły się zielone, w dodatku ciemną głębią stuletnich sosen, przez co wydawały się prawie czarne. Poza tym mogła wyglądać zwyczajnie, jak to ona, lecz suszone zioła czyniły ją dziwną, a suknia całkiem inną od goluteńkich zjaw.

Nieruchoma Anucha trzymała ręce po sobie, patrzyła na krąg stworzony przez wiły i brzeginie, ale nie w ich oczy. Chwilę trwało nim dwie z nich zrobiły między sobą miejsce, rozłączyły dłonie i wyciągnęły je w stronę młodej wiedźmy. Podeszła. Krąg załamał się, najpierw białowłose brzeginie, potem zielonowłose wiły próbowały dotknąć dziewczynę, ale nie dotykały, cofały się, ledwie muskając ziół. Te zioła odpychały je z siłą. Niby patrzyły na dziewczurę, każda podchodziła, chciały ją złapać, szarpnąć czy nawet uderzyć, lecz poczuwszy woń piołunu i gdy zapachniał rozchodnik, cofały się, a potem nieśmiało głaskały martwe rośliny. Gdyby wikary Przemko miał choć trochę ludzkiej wrażliwości i nieco więcej rozumu, poznałby wnet, że leśne zjawy martwiły się brakiem życia roślin, jednocześnie pociągała je ciągle tkwiąca w tym suszu moc.

Wreszcie nasyciły swoje pragnienia czy wspomnienia, całkiem rozprasząc nieufność co do tego, że stoi wśród nich niewiasta, żywa życiem prawdziwym, młoda młodością przemijającą, zdolna, aby mieć potomstwo – w odróżnieniu od nich, od kilkusetletnich dusz dzieci nigdy nie dojrzałych, a przez to skazanych na wieczne niedopełnienie. Liczyły się bowiem tylko te zioła, zżęte zanim dożyły swojej jesieni, zanim wydały potomstwo. Zioła jak siostry.

Wrogość brzeziń ustała szybciej niż wił, stworzyły więc zewnętrzny krąg, bo już był na to czas – minęła połowa nocy. Znacznie bardziej skłonne do gniewu wiły jeszcze mieszały się, jeszcze podchodziły, niektóre po trzy razy próbowały szczypać, ale zawsze uszczypnęły troszeczkę ziela. Dziewczura pochyliła głowę, zamknęła oczy i czekała, co będzie – uciezki z kręgu nie było. Skrzyżowała ręce na piersiach, żeby nic nie wystawało poza obręb postaci; martwiły ją włosy, że może zechcą za nie szarpnąć i powlec na bezdroża, ale one zaledwie je muskały, lekko wachały, czując, zamiast obcej woni człowieka, swojskie kurze ziele. W nim właśnie dziewczura myła ciemne włosy, co je w blasku dnia czyniło lekko miedzianymi. Teraz podejrzliwe, nieprzewidywalne wiły też już się uspokoiły. Utworzyły krąg wewnętrzny, biorąc między siebie Anuchę i wyciągając do niej dłonie. Ta, nie czując już prób dotknięcia, otworzyła oczy i nieśmiało uniosła głowę. Zerknęła na boki. Ujrzała trwające w oczekiwaniu boginki. Rozłożyła ręce. Krąg ruszył w lewo, w stronę przeciwną do biegu świata, miarowym, powolnym krokiem. Tak powolnym, jakby stworzonym do odmierzania dziejów.

Nie można powiedzieć, że dziewczura się nie bała. Strach jednak się nie liczył w obliczu spodziewanych doznań. Chciała bowiem poznać prawdę o sobie, o Wojdzie, o ich wspólnej lub osobnej przyszłości. Dlaczego akurat od złośliwych wił, co poza swoim trwaniem niczego nie zaznały, nie umiała powiedzieć. Wiedziała przecież, że płas jest zakazany, była wierzącą i nie chciała Boga obrażać, jednak pradawna siła lasów, jak co rok, upomniała się o nią. I gdy ogarnął ją krąg duchów, co pojawiał się tu może od tysiąca lat albo i dłużej, opadło z niej wszystko, czym zasłaniała się przed światem. Cała mądrość, stanowczość, śmiałość uleciały w jednej chwili precz. Zostały w ciele dojrzałej niewiasty duszyczka i wrażliwość trzyletniej dziewczynki, co nagle znalazła się sama w przybrzeżnych szuwarach, otoczona czającymi się wokół krwiożerczymi potworami. Znow płakała z bezradności za matką, a płacz zwabiał następne zło. Coś ją złapało za rączkę i ciągnęło w ciemny las. Szła posłusznie, wrywać się – oznaczało ból. To nagle się zmieniło w niepamięć. Zobaczyła siebie znow, już była dziewczynką podrosłą, przesiąkniętą zapachem ziół tak, że cała łąka tego by się nie powstydziała, i mogła sobie pozwolić bić po głowie małą łopatą od chleba strasznie starą, obrzydliwie brzydką, śmiertelnie groźną dla dzieci mamunę, która tylko się kłaniała i cofała. Wszak jako dziesięciolatka łąziła po krzakach nie tylko wśród wił. Nawet leśne licho jej nie ruszało, a pozwalało jeździć na grzbiecie jelenia. Raz mogła polecieć z chmurnikami i zobaczyć ziemię z góry, i dziwnych ludzi bijących grabiami nadętego wodą smoka. Jakież on inny był niż ten w kościele, ten deptany zbrojną stopą Świętego Jerzego.

Łzy wspomnień ciekły Anuszce po twarzy.

Kiedyś szalonym kręgiem przebiegła z brzeginiami przez uroczysko i żaden upiór nie próbował jej zaczepić, nawet nie zauważał. Małym dzieckiem będąc,

jakby umarła podobnie do nich wszystkich i stała się przez to jedną z nich.

Tak, las stał się jej domem dawno temu, dokąd sięgała pamięcią, a wszystko, co w nim żywe, miało ją za swoją. Jej widok nie płoszył łani karmiącej młode, mogła przejść obok zaczajonego rysia, dotknąć jego niezwykłych kosmyków na uszach, on nie prychnął, nie uciekł, składał śmiesznie to jedno, to drugie ucho, jakby bawił się z nim dokuczliwy wietrzyk, nie zaś żywy człowiek. Mogła znieruchomieć wśród łąki, rozłożyć ręce i cichutko zaćwierkać, a sikorki, czyżyki i szczygły zlatywały się do niej, obsiadały ją, znosiły do jej włosów piórka, mech, pajęczyny i źdźbła traw – zdobiły ją niczym leśnego stracha na wróble. Mogła iść w letnie południe przez łąkę, otoczona chmurą przecudnych motyli albo brać w ręce rój pszczoł i wieszać go sobie na szyi. Nic nigdy jej nie ukąsiło. A teraz?

Teraz wyrывa ją z tego świata miłość do człowieka, o którym mówią, że jest nie dla niej. Ona prostaczka, z nieznanego ojca, on z rycerstwa, co tylko rycerskie córki uznaje za godne siebie. Ona chciałaby, żeby było inaczej. Tylko jak ma pokonać opór świata, nie krzywdząc nikogo? Nie poniewierając za krzywdę? Co zrobić, aby tak nie było? Jak wytłumaczyć, że jest najgodniejszą ze wszystkich niewiast, bo nawet nie księżną, królową czy cesarzową, tylko kimś więcej. Boginią lasu.

Krąg przyspieszył do kroków, którymi mierzy się wiek drzew. Dziewczura ronila łąy, rosząc łąkę. W miejscach, gdzie spadły, natychmiast, mimo ciemności, rozwijały się kwiaty. Anucha myślała o tym, gdzie powinna żyć. Od dzieciństwa była dla ludzi niby jedną z nich, ale zawsze inną. Bywało, że bali się jej, nawet małej dziewczynki. Co prawda dawała ku temu powody. Prawie nigdy nic nie mówiła, przytakiwała lub zaprzeczała, choć wiadomo było, że potrafi mówić, co gorsza – potrafi słuchać i wszystko rozumie. Potrafiła patrzeć. Niby nie umiała bawić się z dziećmi, ale gdy już między nimi była, sprawiała, że bawiły się w jej zabawy. Umiała także zabrać wielkiemu, złemu psu kość z pyska, choć inni bali się do niego podejść.

Dziewczura dojrzewała i też było inaczej. Chłopcy przy niej popadali w nieśmiałość, unikali jej spojrzenia. Utało się wtedy, że ma złe oczy, choć nikt nigdy nic takiego nie uświadczył. Lekko zezowała, szczególnie w chwili złości lub strachu. No i mieszkała za daleko od wsi, i to tam, gdzie nikt żywy nie powinien. Wydawało się, że samo pójście do lasu było dla zbyt wielu ludzi czynem przekraczającym ich możliwości. A jeszcze żeby obok uroczyska przejść? Nie było więc chętnych do przyjaźni, ani dziewczyn, ani chłopców.

I tak dziewczura większość czasu spędzała ze starzejącą się wiedźmą Wisławą, ze zwierzętami, z leśnymi cudakami. Czy miało być tak dalej?, pytała samą siebie, obróciwszy się do niedalekiej przeszłości, gdy dwa toczące się w lewo kręgi nabierały rozpędu do najszybszych kroków, jakimi mierzy się bieg ludzkiego życia. Zimne dłonie wił, chociaż utkane z mroźnej mgły, twardo i mocno trzymały

ręce dziewczyny, ona dalej roniła łzy, domyślając się, że przeszłość ma znaczenie. Że jej świat jest nie z pogranicza lasu i osady, lecz z obszaru między śmiercią a życiem. Jak to możliwe, że swojsko czuje się między stworami, a raczej pięknie wyglądającymi potworami powstałymi za sprawą najbardziej niesprawiedliwej śmierci? Jak to możliwe, że bosą stopą czuje każdą roślinę, jakby nie tyle nawet to zioło było gotowe soki wpuścić w jej żyły, co raczej ona ciepłą krew w chłodne, zielone łodyżki? Jak to jest, że przytuliwszy się do drzewa, może trwać cały dzień, potem całą noc, nie odczuwając tęsknoty czy głodu?

Kręgi rozpedziły się. Długaśne włosy wił i brzeziń stworzyły w zagasłym świetle zapadniętego za widnokrąg miesiąca pasma niemal czarnej zieleni i szarawej bieli. Anucha nie wiedząc, jak mocno i szybko bije jej serce, niemalże wleczona w kręgu, bo już nie nadażała, myślała teraz tylko o ukochanym. Jak mu powiedzieć, że wyrosła z lasu i bez niego trudno będzie jej żyć? Jak powiedzieć, żeby zrozumiał? Czy nie przestraszy się, że ta, której wiersze składa, może sprawić wicherę lub ulewę? Że jest władna karmić z ręki dzikiego niedźwiedzia? Że może opleść się zmijami i żadna jej nie ukąsi? Czy nie uzna, że to za wiele na jednego człowieka? Czy nie rozpozna w niej potwora, zamiast pragnącej ciepła niewiasty?

W największym pędzie, gdy nogi mdlały, a gwiazdy nad głową wirowały, przybierając kształt kresek, zechciała spojrzeć w przyszłość. Zamknęła oczy i ujrzała. Czarny grad strzał na niebie, ogień wokół i strumienie krwi pod nogami. Usłyszała wszechmocny ludzki lament dochodzący ze wszystkich stron i huk ognia. Poczwała swąd dymu i smak śmierci. Nie mogąc dłużej znieść ani obrazu, ani głosu, otworzyła oczy, a wiły wypuściły ją z kręgu, rozwirowaną, skołowaną i osłabioną. Brzezińie też przerwały korowód, wypuszczając na zewnątrz tę, co nigdy jedną z nich być już nie może.

Tak młoda wiedźma dostała odpowiedź na wszystkie pytania.

Anucha zakręciła się jeszcze kilka razy i upadła, wtuliwszy twarz w trawy i zioła. Chciałaby się pomodlić, żeby Bóg wybaczył ten ostatni w życiu pług z diabolicami, ale nie miała siły wstać na kolana po ćwierćnocnej gonitwie. Skurczone palce tylko wbiły się w ziemię. Poczwała, że wchodzi w nią zimna mądrość pramatki wszystkiego, wypełnia i uspokaja, łagodzi myśli i pozwala odpocząć. Leżała tak, jakby miała wrosnąć w głąb pradawnej wiedzy. Nie była już niczego świadoma, zasluchana we wnętrze świata korzeni, z pulsującym i powoli bijącym sercem. Jedno uderzenie, raczej pchnięcie wzbierającej i ustępującej wody, na pół nocy. Dziewczura zemdlła.

Wtedy, niedługo przed świtem, przyszedł czas na wikarego. Widząc tyle niewiast, nieziemsko pięknych, niesamowicie kuszących, przy tym wyraźnie nieszkodliwych, oswoił się z nimi i przestał bać. Poruszył się kilka razy, przestąpił z nogi na nogę, i nic się nie stało. To go całkiem rozzuchwaliło. Poczwał się bezkarnym panem świata, a było to uczucie, na jakie czekał niecierpliwie całe

życie – być kimś i za nic nie odpowiadać. Władać, brać, używać, aż do przesyty. Gołe, nieziemsko piękne bezwstydnice jawiły mu się tylko takimi, jak w jego marzeniach – głupimi, bezwolnymi, oddanymi jego mocy, a że nic już go nie powstrzymywało, postanowił sobie ulżyć.

Zaśliniony lubieżnik, zajęty drażnieniem członka i gapieniem się na brzeginie, nie zauważył, że ciemny las wokół niego zgęstniał i się przybliżył. Gdy poczuł wymuszoną widokiem i samodziłem rozkosz, zjawiała się koło niego jedna, druga a nawet trzecia wiła. Przymilne, czule do niego się tuliły, owijały niczym łasice, szeptały zalotnie. Coraz ich więcej się schodziło i każda pragnęła go dotknąć. Wzbraniał się zrazu, nie tyle ze skromności, co z nagłego przyływu strachu, ale szybko się oswoił z nowym, miłym przeżyciem, bo przecież śnił o nim wielokrotnie. To było piękniejsze niż sen. Co prawda czasem któraś boleśnie szarpnęła za przyrodzenie, bo je sobie wrywały, lecz on, jurny jak tur, mężnie to znosił. Przy tym nabierał coraz to więcej pewności siebie, aż gotów był wydawać rozkazy tym potulnym, głupiutkim, ślicznym stworzeniom. Miał też zamiar złapać je za włosy i nimi targać – tu zaszła jednak mała niedogodność, bo nie mógł ani ręką władnąć, ani nawet mówić.

Panu wszystkich najpiękniejszych niewiast świata wiły zasłaniały gębę i go krępowały coraz bardziej, aż rozciągnęły na ziemi. Nic to, pomyślał, gdy wstanę, to im dopiero dam!, ale nie dał, bo nie wstał. Pieszczoty zaś przeszły w łaskotanie. Leciutkie, miłe. Przybite do ziemi zaprzeczenie kapłaństwa troszeczkę się rzucało, chichocząc nieznacznie, niby to się wrywając, zarazem nastawiając na te muskania. Nie wiedział, że z bardzo zdolnymi potworami ma do czynienia. Wkrótce łaskotanie przestało być miłe, stało się dokuczliwe. Bardzo. Coś go uwrażliwiło i już nie wydawał pojedynczych chichotów, śmiał się bezustannie. Już nie rzucał się od czasu do czasu, lecz ciągle wił, jak robak przybity do ziemi patyczkiem, nie za długo jednak, bo szybko wyczerpały się siły. Płakał ze śmiechu, a gdy chciał powiedzieć dosyć, zamiast tego wychodziło mu z gardła zduszone pianie, bo w tym wszystkim tracił dech. Aż dziwne, bo żadna mu na piersiach nie siadała, mimo to nie mógł zaczerpnąć powietrza. Wreszcie nic nie było już śmieszne. Wikarego dopadły strach i ból.

Księżyna już nie był jurny i dumny z siebie. Zamiast krzyczeć, wydawał urywane wrzaski, wycia i szczeknięcia. Zęby same wyszczerzały się w wysiłonym uśmiechu, w oczach już przeglądało się szaleństwo. Zamiast płakać, dusił się własnym śmiechem. Jego męskość całkiem oklapła od czego wcale nie zrobiło się lepiej. Czujne wiły straciły najważniejszą zabawkę i już bez oporów stały się całkiem złe. Nie łaskotały, drapały. Zboreźnikowi groziło, że rozerwą go żywcem na sztuki albo zdechnie z bolesnego śmiechu, gdy las wokół znów zgęstniał, a wiły ustąpiły.

Wikary leżał na wznak, nie mając siły poruszyć ni ręką, ni nogą. Byłby

pewnie podziękował Bogu za ocalenie, gdyby tylko umiał. No i kto wie, może tym samym zło by od siebie odpędził? Czego by nie mówić, miał sposobność, ale z niej nie skorzystał, bo samodzielna modlitwa zawsze go zwyczajnie przerastała. Zawsze umiał tylko za kimś modlitwę powtarzać, nic nie rozumiejąc, ale także nie zanadto przekraczając, celu w tym żadnego jednocześnie nie widząc. Gdy musiał pomodlić się samodzielnie, to tak wszystko przeinaczał, że Czarny kościelny chichotał sobie w kąciku niemalże do rozpuku, aż musiał gdzieś dalej odchodzić, a znów Biały popadał w tak nieutuloną żalność, że z wieczery nie ruszał ani kęsa, tylko za czymś płakał. Teraz ten niby-ksiądz, gdy już był zdolny poruszyć palcem i pierwszy raz od dłuższego czasu nabrać tchu, jak należy, nie podziękował za ocalenie nikomu, tylko sobie. Jego myśl była taka, co do słowa: Jakże silny ze mnie mąż, że zmożłem nawet te diablice.

Mimo wszystko, bardzo dumny z siebie, już się przekręcał, już wstawał na cztery łapy, gdy dziwnie zgęstniały las przybliżył się doń najpierw na dwa kroki, potem na jeden, wreszcie na pół. I dopadły go łapska kosmatych mamun.

Wikary podniósł głowę. Zobaczył tuż o tchnienie paskudne, czarne, pomarszczone mordy porośnięte rzadkim włosem i zawył cienko, cieniutko, jak mały piesek. Ale było już za późno. Dopadły do niego w kilka, szarpiąc za szaty, włosy i członki. I jak poprzedniczki, każda chciała go dotknąć w to, co miał najcenniejszego. Zawył raz jeszcze, gdy położyły go na ściółce i przygniotły własnymi cielskami. Biły go, ze zgrozą to zobaczył, wielkimi, długąśnymi cycami. Drapały w brzuch, dosiadały na przemian, spychając się, wałkując po nim. Tracił dech, a z nieprzytomnego strachu wytrzeszczał tylko oczy. Już nie wył – ni to charczał, ni krakał. Te, co do niego nie mogły się dopchać, ciągnęły obolałego w swoje strony, z siedzącym na nim kosmatym ciężarem, wykręcając boleśnie ręce i nogi junoszy, drapiąc o szyszki i patyki. Tak go szarpały, kręciły i gniotły, aż wydarły nim w ściółce na tyle spory dołek, że prawie już, mimo sporej tuszy, mógłby się w nim skryć. Może zagniotłyby go albo pogrzebały żywcem, gdy nagle wszystko zelzało i ustało.

Stłamszony rozpustnik o niczym nie myślał i nie czuł ani ulgi, ani radości. Z każdym wydechem wydawał z siebie cichy jęk podobny do mysiego pisku. Nie można nawet powiedzieć, że czekał, co będzie dalej, bo i takich myśli nie miał. Gdy zaświtała mu w głowie pierwsza myśl, że jednak żyje, bał się ruszyć, żeby go te paskudy na powrót nie dopadły. Ostrożność zdała mu się jednak na nic. Las co prawda na powrót zrzędł, zrobiło się jakby jaśniej, ale tylko dlatego, że nieruchomym kręgiem stały wokół niego białowłose brzeginie. Ledwie śmiał zerknąć w bok, już go miały.

Te, idąc w ślad poprzedniczek, też przymuszały go do chędożenia – obmacywały, biły i ścisnęły, stawały się coraz okrutniejsze, bo przecież nie mogło być mowy nawet o chwilowym zaspokojeniu jednej, co dopiero mówić

o dziesięciu. Wikary, gdyby był w stanie, wpadłby pewnie na pomysł, że zaznaje właśnie piekła. Najpiękniejsze ciała świata same mu się pchały przed opuchłą gębę, namawiały do tego, o czym marzył: Gryź!, ale on nie gryzł. Obcałowywały go śliczne, kształtne wargi, a on nie czuł rozkoszy, tylko ból. Ocierały się o niego krągłe, jędrne pośladki, przywierały doń rozwarte krocza, jakby mówiące: Weź!, ale on nie brał. Kwiczał. Brzeginie rozzłoszczone jego niemocą, rozdrażnione wonią nasienia, które utoczył z siebie gapiąc się wcześniej na nie, porwały go za karę na gonitwę po bagnach. Szarpany we wszystkie strony, wleczony po ciernistych chaszczach, tłamszony w błotach, ledwie żył. W końcu stracił przytomność, poobijany o pnie drzew, podrapany pazurami i cierniami, usmolony nie do poznania, uwalany we własnych odchodach. Wtenczas złe duchy dały mu spokój.

Ocknął się na siedząco, nie śmiejąc otworzyć oczu. Wszystko go bolało, swędziało, kłuło, ale nie był w stanie ruszyć ręką ani nogą. W głowie szumiała mu cała Odra i trzeszczały drzewa targane wichurą. Oddychał rwanym oddechem. Coś do niego podłaziło ze wszystkich stron. Na twarzy poczuł mokre, lepkie dotknięcia, ale nie miał siły się bronić, tylko jęczał nieśmiało i piskliwie: – Nie, nie, zostawcie mnie! Nie chcę!

Owo „Nie chcę!” go obudziło.

Całkiem przytomnie, zamiast otworzyć oczy, leciutko je rozwarł. Wokół czaiły się ciemne stwory. Znów dotknęły mu twarzy czymś mokrym i włochatym. Pomyślał, że powróciły mamuny i go liżą. Załkał bezradnie, pogodzony całkiem ze swoją dolą, z bezładnie opuszczonymi rękoma. Na wstrząs szloch stwory cofnęły się i usłyszał jedno głośne: Chrum!, i pochrząkiwania w otoczeniu. Dziki? Dziki chcą go zezreć!

Wikary zerwał się na równe nogi, żeby stoczyć ostatnią bitwę życia, ale zaraz opadł. Na czworakach runął przed siebie, rozbijając głową drzwi chlewika. Wypadł na boży świat utyłany w gnoju, opuchnięty, poszarpany nie do poznania. Słońce poranka oświetliło go w całej jego nieokazałości. Dokądś biegłby, gdyby nie to, że całkiem stracił dech i padł, grzebiąc nogami w ziemi, jakby zdychał.

– Co to jest?! – usłyszał nad sobą przejęty głos przerażonego proboszcza, co aż się cofnął przed paskudą i przeżegnał zamasyście, najbardziej pokazową, a fałszywą pobożnością, czyli na pewno nie jego.

Biały kościelny, roztrzęsiony widokiem równie jak stary ksiądz, stanął odważnie między nim a poczwara, nastawiając dwuzębne widły na jej łeb. Czarny zaś, co zaszedł z boku, zachował całkowity spokój pomieszany z dziecięcą ciekawością. Dźgnął kijem owo coś, a że się nie podrywało tylko bezradnie i bez składu gmerało łapskami i usiłowało podnosić łeb, ale jakoś tak bez powodzenia, nogą obrócił toto na plecy i powiedział: – To nie jest zbój ani złodziej świń. Ani chybi, proszę księdza, to nasz wikary.

Proboszcz przeżegnał się, spojrział w niebo, następnie na śmierzące coś, będące przecież jego następcą, coś, co pół nocy ryczało w chlewiku, aż nie śmieli wyjść z domu, a wtedy to coś odetchnęło raz, drugi, wreszcie trzeci, i wydało z siebie co prawda niezbyt głośny, ale krzyk: – Litości! Już nie chcę więcej! Wy... Wy... czarownice!

Stary ksiądz zrozumiał. Cała litość, jaką odczuwał, cała gonitwa myśli o napaści złodziei, o zbójcach, o złym śnie wikarego, w jednej chwili zniknęło, ustępując pola niezachwianej pewności. Do patrzących to na niego, to na wikarego sług rzekł zimno: – Umyć to rozpustne ścierwo i dać mu czyste szaty. A gdy wydobrzeje, wyrzucicie precz.

Wtedy młody ksiądz odzyskał trochę sił i przytomności, i pojął, gdzie jest. Uklęknął, złożył pokrwawione dłonie tak mocno, że mu brudne kostki pobiełały pod warstwą gnoju.

– Ja nie winien! One, te czarownice! Ta, ta... – szukał czegoś w pustej głowie, ale nie znalazł.

Za to stary ksiądz wiedział, co trzeba powiedzieć.

– Dobrze, że dziś nie niedziela. Pełno ludzi by tu już było. Masz zakaz wstępu do kościoła, a co będzie potem, postanowi sąd biskupi. – Obrócił się na pięcie, ale jeszcze rzucił groźnie do sług: – A wy ani pary z gęby, nikomu!

Obcierając z twarzy łzy niezaspokojonej wściekłości poszedł na plebanię. Od klęski Mieszka Starego nie był tak zły na nic.

Nieszczęsny kochanek leśnych duchów opadł z klęczek na przysiad. Spojrział jak umiał najszczerzej na kościelnych, a po opuchniętej, podrapanej i zaskoczony mordzie spłynęły łzy niewinności. Biały patrzył na niego ze wstrętem pomieszany z litością i się nie odezwał, Czarny zaś, uśmiechnąwszy się, a raczej wyszczerzywszy, jak to on, uklonił się pokracznie i rzekł: – Zapraszamy do studni! – po czym zachichotał.

Wtedy Biały spojrział na niego z niemym wyrzutem. Wiedział już, czyja to sprawka.

UNIESIENIE

Jak miło będzie jak radośnie

Beztróska czysto bezboleśnie

Tak przemierzymy trochę wiosny

Jakbyśmy byli nie tu lecz we śnie.

Wojda nie wytrzymał do rana. Wewnętrzny niepokój nie pozwolił mu spać. Obudził się przed świtem i nie mówiąc nic nikomu, odział się i poszedł do stajni. Tam niemalże po omacku osiodłał podjezdka i pogwizdując cichutko na zaspanego strażnika, pokłusował do lasu, skąd, jak mu się we śnie zdawało, dochodziły straszliwe wycia.

Na ni to łące, ni polanie, gdzie zbierali z Anuchą kłacza podbiału, zsiadł z konia, jakby temu miejscu okazując szacunek. Właśnie słońce, jeszcze niewidoczne, rozjaśniło niebo. Wojda rozejrzał się po łąkowej połaci zasnutej rzadką, chłodną mgłą. Słońce błysnęło już znad drzew i na ten znak zaczął się śpiew ptaków. Dochodził zewsząd. Sikory, trznadle, kosy, czyżyki, szczygły – wszystko rozkrzyczało się w powitaniu dnia. To oszołomiło młodzieńca, bo słyszał różne trele, zwłaszcza nad brzegami Odry, ale to, co tu się działo, przerosło kilka razy największe śpiewanie. Przez ten ptasi hałas przebijał inny głos – ludzki. Ptactwo nieco przycichło, wtedy zdziwiony młodzieniec usłyszał niewieści krzyk: – Ania!

W krzyku tym brzmiała serdeczna żałość. Jakby ktoś Wojdę trafił strzałą, tak w jednej chwili odczuł ból tej żałości i z pełnej niepokoju zadumy przeszedł w stan bliski rozpacz. Rozejrzał się we wszystkie strony, pobiegłby wszędzie naraz. Głos wołającej się przybliżał, wbijając w głowę Wojdy następne gwoździe pewności nieszczęścia. Wreszcie nie wytrzymał i krzyknął: – Bywaj!

Na skraju łąki pokazała się roztrzęsiona, potargana Wisława. Gdy zobaczyła Wojdę, z ochryplą nadzieją w głosie zapytała: – Gdzie ona jest?!

Młodzieniec nie odpowiadał, stał jak wryty. Nie pytał, bo wiedział, o kogo chodzi.

Stara wiedźma z początku miała nadzieję, ale widząc zaskoczone oblicze lubego dziewczury, straciła ją w jednej chwili. Przypadła do niego i szarpiąc mu szaty, krzyczała: – Gdzie ona jest?! Gdzie?! Coś z nią zrobił!

Zanosila się płaczem i znów pytała. Wreszcie puściła go i zawołała dookoła: – Aniu! Aneczko! Odezwij się!

Wojda pojął, że musiało się stać coś znacznie więcej niż tylko zagubienie. Zawładnęły nim najgorsze myśli.

Stara w oczach miała otchłań rozpacz i wściekłości: – Mów szybko, gdzie ona jest! Mów! Przecież tu mieliście schadzki. Mów, bo mi na moim życiu nie zależy! Mów, bo... – ostatnia przytomna myśl nie pozwoliła jej dokończyć zdania.

– Nie wiem – wydukał młodzieniec. Łzy stanęły mu w oczach. Resztki rozsądku kazały powiedzieć: – Nie wiem, bo dopiero przyjechałem. Coś nie dawało

mi spokoju.

– Sumienie! Sumieniem to się nazywa – padło oskarżenie.

Ale on nie zważał na to i zapytał: – Co się stało?

Wisława zamiast odpowiedzieć, już rzucała się na niego z pazurami, już składała w myślach straszne zaklęcie, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Może rzeczywiście nie wiedział?

– Nie wiesz? Ty nie wiesz, ty? Ona o niczym nie myśli tylko o tobie, dzień i noc, a ty nie wiesz? – wrzask Wisławy zmroził śpiewy ptaków.

– Naprawdę nie wiem. Od wczoraj, od zachodu słońca jej nie widziałem. Nakazała mi, żebym przed zmrokiem dotarł do domu i za nic z niego nie wychodził. Nie wytrzymałem jednak i skoro świt tu przyjechałem, bo coś mi nie dawało... – nie dokończył, bo stara, do tej chwili napięta, wyprostowana, nagle się skuliła, lekko obracając w bok. – ...To gdzie ona jest? – zapytał Wojda pobielającymi wargami.

– Poszła na noc do lasu i nie wróciła – starej wiedźmie drżał głos.

Młodzian zakrył nos i usta złożonymi dłońmi. Przyszła mu do głowy myśl, której potem się wstydział: dziewczura od niego odeszła.

Nie zmartwił się jej zaginięciem, tylko tym, że został sam.

– Poszła między dziewanny... Tak mówiła na boginki. Zatrzymywałam, ale mnie ominęła – słowa Wisławy dawały nadzieję i przegnały precz myśli o zdradzie.

Wojdzie się przypomniało: dziewanny – o nich wczoraj mówiła Anucha i to miejsce pokazywała. Na tę myśl pobiegł po łące jakby go ktoś gonił. Wisława patrzyła za nim, myśląc ponuro, co będzie dalej. Ubiegł może sto kroków, gdy się pochylił i przypadł do ziemi. Starucha usłyszała krzyk: – Jest! Jest! Tu leży!

Na to i wiedźma pobiegła, rozpacz mieszając z nadzieją. Jeśli on coś zrobił Anuszy... Podnosił już bezwładną dziewczynę, już nad nią szlochał. Czy obłudnie?

Gdy z bliska zobaczyła córkę – bladą, trzęsącą się z zimna, ale otwierającą oczy, uśmiechającą się smutno do Wojdy, mówiącą: – Jesteś... Wiedziałam, że przyjdiesz... – ją samą ogarnęło wzruszenie. Oni naprawdę się kochali, lecz, co przemknęło przez myśl wiedźmy, nie zawstydzila się wcześniejszych, mściwych uczuć.

– Co się stało? – zapytała stara młodą.

– Nie chciały mnie. To dziwne było. Nic mi nie zrobiły.

Dziewczura próbowała sama iść, lecz nogi jej omdlewały, Wojda więc wziął ją na ręce i poniosł. Wtuliła się w niego, mówiąc: – Tak chciałam, tak chciałam zobaczyć naszą przyszłość, ale to chyba nie jest dobre. Nie przyszłość, chociaż nie wiem. Lepiej nie wiedzieć. Nigdy nie jest tak, że wyraźnie dowiesz się wszystkiego. Same znaki, same drwiny.

– Nic nie mów. I tak nie zrozumiem – powiedział kojąco, bez przygany, na pocieszenie.

Ona musiała mówić, skoro już zaczęła, chociaż zrozumieć jej nie było łatwo:
– Widzisz... Ziemia jest mądra. Reszta zamyka się w swoim świecie. Czasem dużym jak wieś. Dla niektórych to może być nawet kraj. Innemu wystarczy krąg, jaki obejdzie w jeden pacierz. – Posmutniała i dodała wstydlwym szeptem: – Chyba obraziłam Boga.

Wisława szła obok i – w odróżnieniu od Wojdy – rozumiała wszystko. Wiedziała nawet, o jaki krąg chodzi. To nie żarty albo nieprzytomne gadanie. To prawda, której i ona kiedyś doznała. Tego trzeba się nauczyć, ale... To na nic. Tylko wyobraźnię, niedobre marzenia i – co gorsza – podejrzenia ludzi pobudza.

– Lepiej nic nie mów, dziecko – wtrąciła, aby ukrócić niewczesne wyznania, co mogły się okazać początkiem innych, znacznie groźniejszych zdarzeń – bo co z tego, że opowiesz swoje sny. Po co kogoś niepokoić. Sen to tylko sen.

– Ciągłe coś mi się śni – powiedziała Anucha zbita z tropu. – Nienawidzę swoich snów. Są paskudne i nie warto o nich mówić. Lepiej rano się pomodlić. Lecz teraz to nie był sen.

– Bredzi trochę, ale to dobrze – oznajmiła z udawaną ulgą stara wiedźma. – Zaraz wierszyk ci o tym powie – zażartowała, a w głowie miała już pewien pomysł.

Wysiłki Wisławy, żeby zasłonić istotną wymowę słów Anuchy, były troszeczkę niepotrzebne, bo Wojda mało zważał na to, co chciałyby powiedzieć lub nie dopowiedzieć jego ukochana. Cieszył się, że ją ma przy sobie, że żyje i choć ma się źle, to nie aż tak, jak go wystraszyły przeczucia i Wisława.

Doniósł dziewczurę do konia, przy nim postawił ją na ziemi, po czym pomógł go dosiąść.

– Utrzymaś się? – zapytał troskliwie.

Przytaknęła słabosilnie.

Trochę jej nie uwierzył. Gdy więc tylko się zachwiała, zgrabnie podskoczył i usadowił się w siodle tuż za nią.

– Teraz nie spadniesz. – Objął ją oburącz.

Dziewczura bezpiecznie oparła się o niego.

Stara szła za nimi, nie wiedząc, co i jak ma powiedzieć. Tak by się cieszyła, gdyby widok dwojga młodych, jakże szczęśliwych w tej chwili, ziścił się na dłużej albo na zawsze. Co zrobić, skoro wszystko, co sobie wyobrażała, jawiło się jako przeszkody nie do pokonania. Tak myśląc, milczała, aż dotarli na miejsce. Dopiero wtedy powiedziała: – Pomożesz mi zaprowadzić ją do domu, a potem jedź. Już ja nią się zajmę. Nie chcę, żebyś tu ściągnął za sobą gniew rodziny.

Wojda pomógł ukochanej zsunąć się z podjezdka, po czym sam zsiadł. Zdawało się, że Anucha całkiem odzyskała już władzę w nogach, ale znów się zachwiała. Wtedy wziął ją na ręce i idąc za Wisławą, przez otwartą furkę wniósł do obejścia, następnie, nisko się chyląc, przekroczył z nią próg domu, jakby przenosił po uczcie weselnej. Przeszedł chłodną sień pachnącą dusznym sianem, pomyślał,

że tak silna woń może człowieka obalić. W ciepłym wnętrzu domu zapach stał się mniej duszny, za to mocniejszy, niczym zawrót głowy. Rozejrzał się, poszukał łoża, położył na nim dziewczurę, sam zaś, skołowany, przysiadł na stołku.

– Idź już – zażądała stara. – W niczym nie pomożesz, a niewiele trzeba, żeby wydarzyło się coś złego. Wyście już sporo cierpliwości świata nadużyli.

Młodzieniec popatrzył smutno na wiedźmę, nie ruszył się jednak z miejsca.

– Niech nanosi wody i narąbie drew – po chwili powiedziała młoda. – Dopiero wtedy niech idzie.

Najpierw Wojda przyniósł ze studni wodę i nalał do sporego kociołka wiszącego nad paleniskiem. Przytaszczył balię i obok niej postawił jeszcze dwa cebrzyki z zimną wodą. Stara wrzuciła do kociołka suszone zioła i liście.

Czekając, aż woda się zagrzeje, Wojda narąbał drew – tyle ich narąbał, że wystarczyłoby do przyszłej niedzieli. Wreszcie woda się ugrzała. Ostrożnie wleli ją do balii, a dla ochłody dolali zimnej.

– Idź już! – znowu zażądała stara. – Jednego nieszczęścia na dzień wystarczy. Z twoją matką nie chcę się kłócić, bo każe nam iść stąd precz.

Wojda nie słyszał Wisławy. Podszedł do dziewczury. Objęła go.

Dopiero wtedy młodzieniec wyszedł, a i to z ociąganiem. Jeszcze w progu się odwrócił i powiedział: – Bywajcie.

Wisława zajęła się jak umiała najlepiej zamilkłą od wyjścia Wojdy Anuchą. Kazała się rozebrać, pomogła wejść do balii. Tam upchnęła ją po szyję w prawie parzącej wodzie i nacierała rozmoczoną mydlnicą.

– Trzeba ci było się narażać? Przydało się to do czegoś? Wiesz, co by było, gdybyś umarła? Tak to już jest... Człowiekowi się zdaje, że zrobi coś, a wszyscy zrozumieją i będzie dobrze, ale nigdy tak nie jest. Zawsze ktoś myśli inaczej, czasem wszyscy. Wiesz, co pomyślałam? Że to nie ty, nie duchy, nie wodnik nawet, lecz on, twój ukochany, coś ci zrobił. Widziałam nieraz taką niby miłość, gdy miłujący mąż pomyślał: Skoro nie może być moją, to będzie niczyją. Tak, tak, widziałam. Kto takiemu coś zrobił? Nikt i nic. Pomyślałam, że musiało coś zająć między wami i że stało się najgorsze, tak córuchno, tak!, że twój ukochany cię zabił. Tak myślałam! Gdyby tak było, nie darowałabym mu tego. On też by umarł. Widzisz, niewiele do tego brakowało? Od dobrego do złego jest tylko krok. Jakże łatwo on przychodzi. Co gorsza, na wspomnienie tego, co zamierzyłam, muszę przyznać, nie żałuję. Bo co mi po moim starym życiu, jeśli nie mogłabym oglądać twojego szczęścia?

Dziewczurę początkowo wzięła złość. W miarę następnych słów matki, zamiast się oburzać, obojętniała, dziwiąc się sobie samej, że tak z nią się dzieje. Nic w tym jednak nie było dziwnego, bo właśnie dopadło ją zmęczenie spotęgowane działaniem wywaru. Ciepło wchodziło w skostniałe ciało, czyniąc je jednocześnie ciężkim.

– Mówią, że gdy się umiera, całe życie staje przed oczami – stara mówiła dalej. – Ja chyba umierałam, bo odkąd on się odwrócił, żeby cię szukać, aż do podniesienia z ziemi, zobaczyłam wszystko: rodziców, kiedy byli jeszcze młodzi, ukochanego... Całą tę waszą nieszczęsną głupią miłość, co powtarza się na moich oczach prawie krok w krok. Dzieciatko niewinne, które mój grzech zabił, i radość diabłów z mojego nieszczęścia. Ciebie, malutką dziewczynkę, co mi stopiła lód w sercu, i będąc podlotkiem, dawała radość. Myślałam, że już nie żyję, bo przestawałam widzieć cokolwiek, a moje serce szybko pokrywało się lodem. Aż we mnie zamarło. Wtedy ty się podniosłaś. To za wiele naraz, naprawdę za wiele... Nic wówczas nie było ważne, tylko żebyś była. Żebyś żyła.

Anucha płakała z bezsily i z bezradności; nie umiała niczego powiedzieć starej, która polewała pachnącą wodą włosy córki.

– Naprawdę, Aniu, nie kuś więcej złego. To nie na twoje siły, ani tym bardziej na moje. Jeszcze żaden człowiek – dokąd bym sięgnęła pamięcią swojej czy innych babek, czy opowieści ich prababek – żaden nie wyszedł dobrze na czymś takim. Ani żebrak, ani król, ani cesarz. Nawet cesarz, co teraz jest, nie skończy dobrze, choć mówią, że to wcielony diabeł. Nie jest nim, tylko mu się zdaje, że mądrzejszy od kusiciela, co podpowiada: pomogę. On nigdy nie pomaga, za to zawsze szkodzi. Człek, co wyciągnie rękę o pomoc do złego, robi się nieludzki, potwornieje. Niby ma powodzenie, ale wszystko i tak przeciw niemu w końcu się obraca. Myśli, że jest ważny, ważny, aż złe musi się z nim liczyć, mało tego, musi o niego nawet zabiegać, przekupywać, ustawicznie kusić, lecz to tylko się zdaje. Nic więcej. Złudzenie. Bo gdy ono mija, zawsze jest jeszcze gorzej.

Anucha z wysiłkiem i niechęcią podciągnęła się trochę, było jej błogo, mimo że dusza w niej płakała. Stara przerzuciła na przód włosy dziewczury, odkrywając szyję i zasłaniając twarz. Rdzawe nitki rozbiegły się natychmiast w wodzie, jakby chciały wyścielić całą powierzchnię tysiąckrotną pajęczyną. Wisława, polewając i spieniając mydlnicą nieco głowę młodej, mówiła: – Co takiemu się zdaje? Że zły duch będzie jego przyjacielem? Powiernikiem? Wiernym towarzyszem? Nic takiego. Zła moc to zła moc. Zawsze jest coś za coś, nigdy niczego nie ma darmo. Tyle razy ci powtarzałam i zawsze na nic. Dlatego się bałam, gdy nie wracałaś. Potem zobaczyłam jego. Skąd miałam wiedzieć, że go przywoływałaś? Mało brakło, a moje złe myśli by go dosięgły. Nigdy więcej tego nie rób. Nic z tego nie będzie, niczego się nie dowiesz ani niczego nie osiągniesz. Samo nieszczęście. Widzisz, że było tylko o krok? – Stara się wyprostowała, wtedy dziewczura podniosła głowę wyżej i jeszcze trochę się uniosła cała. Zaraz po jej głowie spłynęła struga czystej, ciepłej wody. – Wychodź, przylaszczko – zażartowała Wisława. – Pójdiesz teraz spać. – Odgarniając mokre włosy z białej buzi Anuchy, ucałowała ją i nie zważając na to, że się zamoczy, przytuliła córkę. Ta oddała uścisk, a stara pomogła jej wyjść z balii. – No i dobrze, że nie poszliśmy do łaźni.

Tam ziół nie da się zażyć. I silnym trzeba być. Ten twój Wojda nie tylko ładny, ale i dobry. Taki ciapowaty na co dzień się wydaje, łatwo nim rządzić, a tu masz, głowy nie stracił. Oj, a ja bym go niesłusznie przeklęła. Wiedz jednak, że gdy stanie ci się krzywda za jego sprawą, moja zemsta go dosięgnie. Ja o siebie nie stoję.

Po tej groźnej obietnicy dziewczura się nie odezwała, bo już prawie omdlewała ze zmęczenia. Stara osuszyła ją lnianą chustą, okryła wełnianą i posadziła na łożu. Rogowym, dwustronnym grzebieniem starannie rozczesywała długie włosy młodej, a gdy zaplatała je w luźny warkocz, Anucha usypiała na siedząco. Wisława, robiąc między zdaniem znaczne przerwy, mówiła: – Myślałam, co zrobić, żeby was połączyć. Niczego nie wymyśliłam. Beznadziejnie jest. Tu już nie tylko o twoją cześć idzie, lecz także o życie. Widzę nadzieję w tym, że mieliście mądre postanowienie. Dlatego, cokolwiek byście chcieli zrobić, jedno pamiętaj: wytrzymajcie w czystości. Nieważne, co będzie się działo, choćby pożar miał być. Wytrzymajcie. Zobacz, jaki znak dostałaś. Coś innego cię uratowało tej nocy? Wiem, będzie trudno. Rok, dwa, może pięć, wytrwajcie. Ja nie wytrzymałam i miałam podwójną żalobę. Ty miałaś jedno ostrzeżenie.

Stara wiedźma ułożyła młodą do snu, okryła po szyję baranicą i przysiadła obok.

– Wytrwałość znajduje nagrodę, zwłaszcza gdy nie zrobiło się czegoś na przekór dobroci – przyglądając włosy na skroni, powiedziała jeszcze. – Wytrwaj więc, córeczko, w czystości, a ja obmyślę, co dalej wypada nam czynić. Nie będę już was rozdzielala, nie będę także was ze sobą wiązać. Może znajdę któregoś dnia sposób, żebyście zaznali trochę szczęścia; prawie nikt go nie dostaje, może i was ono ominie, ale co życie przyniesie, wie tylko Pan Bóg, którego nie wolno obrażać. Ludzie, choć sami grzeszni, lubią widzieć innych gorszymi, dlatego nie wolno dawać im podniety do nienawiści. Albo zawiści. Śpij córeczko i nie martw się o nic. Żyj beztroską, chociażby we śnie. Spokoju ci trzeba i odpoczynku. Potem wszystko będzie łatwiej znieść, bo będzie lepsze. Uwierzysz w sny. Nie chciałybyś śnić jak mała dziewczynka? Zmartwienia zostaw mnie, starej.

Ostatnie słowa rozmyły się znużonej dziewczurze i zaraz dobry sen przyniósł pierwszy oddech ulgi.

– Zanim odejdiesz, miła, w nieskończoność nocy – powiedział do niej Wojda, a ona uśmiechnęła się do siebie, szczęśliwa, bo ktoś potrafił ją pożegnać miłymi słowami.

Uśmiechnęła się do niego.

Ich ręce się rozłączyły i otulił ją mrok. Nie była to jednak nocna ciemność, lecz głęboki zielony cień. Nie było jej źle czy tęskno. Czowała, że jest u siebie, we własnym świetle i innego nie potrzebuje. Bo i po co?

Rozglądała się po cienie zieleni z nieskrywanym zachwytem. Oto, obok

niej, wychodził z ziemi pokrytej grubo żółtawobrazowymi badylami, wielki pień. Dziwaczny, bo zielony. Wyrastały z niego długie na łokieć włosy – białe i sztywne. Chciała dotknąć pnia, żeby poczuć przepływ soków, ale nie mogła – włosy tworzyły bowiem martwy pancierz. Musiałaby po nich się wspiąć wysoko, aby dotknąć pnia. Ledwie się podciągnęła na siwej szczecinie z jednej strony pnia, gdy po drugiej jego stronie stoczyła się ogromna kula wody. Na szczęście dziewczury woda nie sięgnęła. Co to jest?, zapytała samą siebie. Pytanie pozostawiła jednak bez odpowiedzi; aż tak bardzo nie zależało jej, aby natychmiast wszystkiego się dowiadywać.

Weszła wyżej i wyżej, wspinała się tam, gdzie pień się pochylał tak, że mogłaby z niego spaść. Mogłaby też przejść na drugą stronę, tam gdzie stoczyła się wodna kula.

Ściskając białe włosy, rozejrzała się: nad nią po obu stronach pnia wyrastały dwa rzędy zielonych liści tworzących coś na kształt drabiniastych schodów wiodących do nieba. Im wyżej, tym węższymi się wydawały, ale nie sięgały aż tak wysoko, o nie. W niektórych miejscach krzyżowały się z nimi inne drabiny, a z tymi jeszcze inne, tworząc zielony dach, przez który zaledwie sączyło się światło. Jedne końcówki drabin sterczały ku górze, inne opadały jak łuki olbrzymów. I te skierowane ku górze, i te skierowane ku dołowi kończyły się kulkami z zawiniętych liści przypominających muszlę winniczka.

Wtedy dziewczura zrozumiała: to, na co weszła, nie pniem drzewa było, lecz łodygą paproci, te równe żółtawobrazowe badyle ścielące ziemię – igłami sosny, kula wody, co przemknęła znów obok, kroplą rosy turlającą się po liściu. Ona zaś sama – taka malutka.

I gdy napawała się widokiem małego świata, co wydaje się wielki, poślizgnęła się, a któryś włos jej nie utrzymał i się ugiął. Spadała, przestraszona, ale niewiele, bo nie czuła spadania. Opadła bez żadnych złych doznań, z radości aż się śmiała, odbiła od ściółki i poleciała daleko, niczym konik polny, trafiając na czubek liścia. Przyznać musiała, że było to wspaniałe uczucie. Stała na chybotliwym podłożu, rozkładając ręce z udawanym przestachem, jednocześnie śmiała się perliście. Była malutką dziewczynką, jeszcze mniejszą niż sobie życzyła Wisława.

Rozbujawszy się wprzód, Anucha znów skoczyła, biorąc za cel wyżej położony liść. Stamtąd miała widok na dalszy, jak się okazało, jeszcze większy świat. Majaczyły przed nią przeogromne, rdzawosine pnie sosen przeplatane gdzieśgdzie białymi słupami brzoź. Dalej wszystko niknęło w mroku. Za to wyżej, hen, wysoko, sosnowe, połuszczone pnie rozjaśniały się nieco, aby wnikać w ciemnozieloną chmurę gałęzi i igieł. Ta górna, nieprzenikniona przestrzeń wydawała się niedosiężna. Dlatego dziewczura nawet nie próbowała tam doskakiwać, chociaż troszkę ją kusilo. Spojrzała niżej. Przed nią układało się

pierzastymi pióropuszcami paproci jasnozielone morze, rozległe, jak okiem sięgnąć. Widok zrazu zapierał dech w piersiach, ale wkrótce ją znudził, co dziwnym było samo w sobie, bo nawet na łąkę mogła patrzeć całymi dniami, ciągle nowe odnajdując. Odwróciła się i zobaczyła coś ciekawszego. Drzewiaste pióropusze rzędy, odsłaniając w dole świat leśnych kwiatów. Temu nie mogła się oprzeć i wkrótce leciała tam na skrzydłach wyobraźni.

Nim jednak dziewczura dotknęła kwiatów, przyszło jej zaznać mchów. Były gęste, wysokie jak wierzby na odrzanej wysepce. Trudno było przez nie się przedzierać, bo nogi grzęzły między gładziutkimi łądyżkami, co na dole okazywały się chropowatymi pułapkami – teraz zrozumiała, dlaczego biedronka wygląda tak bezradnie, gdy dotknie mchu. Najszybciej jak mogła, wydobyła się więc spomiędzy łądyżek, co zdradliwymi kępami pokrywały spore połacie północnej strony drzewa.

Oddalwszy się od mchu igielkowego, który w innym wymiarze był mięciutką poduszczką, dziewczura doskoczyła do następnego rodzaju – choinek splecionych ze sobą łądygami. Przypominało to gęsty młodnik świerkowy, bo górą było zielone, dołem poczerńiałe. W odróżnieniu jednak od świerkowego boru, do tego tu nie dało się wejść. To, co zwyczajnie rozchyłała palcami bez najmniejszego wysiłku, teraz nie była w stanie rozerwać, tak mocno szczepione były ze sobą gęste, zielone łąpki. Tylko się zmoczyła, bo każda gałązka więziła w sobie garniec wody.

Anucha się nie zaniepokoiła ani nie zmartwiła porażką przy mchach. Odskoczyła do kwiatów. Znalazła się u podnóża zawilca. Patrzyła z niedowierzaniem: łądyżka, co zwyczajnie jest najcieńszą ze wszystkich wiosennych kwiatów, jawiła się mocnym, kolczastym pniem. Zamiast małego kwiatu gotowego wędnać za lada dotknięciem, widniała nad nią wielka, różowobiała trąba wyrosła z włochatej główki. Młoda wiedźma zaśmiała się na myśl, że tym razem to zawilec, zwykle gotów umierać z samego, nazbyt twardego nań spojrzenia, może ją zgnieść, jeśli tylko zechce na nią się przewrócić. Nie czekała na tę niebezpieczną zachciankę kwiatu i podskoczyła wyżej, na płatek. Wreszcie było coś miękkiego i w pełni przyjaznego. Widząc róż przechodzący w biel tak nieznacznie, że wykazanie ostrej granicy zdawało się niemożliwe, pomyślała z zachwytem, że pięknie byłoby przybrać ścianę domu takim jednym płatkiem, wielkim niczym kobierzec.

Postąpiła krok do środka, co omal przyprawiło ją o omdlenie, tak mocno zapachniało żółte oczko zawilca, zwyczajnie mające zapach całkiem nikły, acz miły. Dziewczura zachwiała się od tej woni, nieco cofnęła i usiadła, a wokół zawirowało jeszcze kilkanaście podobnych kwiatów i ich pąków. Nie był to jednak koniec wrażeń.

Zobaczywszy, że coś zółci się w oddali, między mocarnymi liśćmi a łądygami innych roślin, Anucha podskoczyła w tamtą stronę, ale zamiast przy

jaskrawej barwie, znalazła się znieca pod zielonym cieniem. Spojrzała, co go daje. Nad nią zamykały się szerokie serca zajęczej koniczyny – ich kanciaste łodyżki jawiły się jako zielone, proste belki starannie obrobione toporem, listki zaś, jakże kwaśne i orzeźwiające po spożyciu w zwykłym wymiarze, teraz zdały się tworzyć okapy i przejścia. Weszła w ten las, o zieleni jeszcze innej niż dotychczasowe, skuszona cichą tajemniczością i równą płaszczyzną nad głową. W górze widziała ciemniejsze żyły, w których krążyła zielona krew roślin. Nie mogła jednak iść z zadartą głową, bo porosty ciągle łąpały ją za nogi, toteż spojrzała w dół na wyrastające z ziemi kanciaste pnie. Wkrótce, borykając się nieco ze źdźbłami, doszła do podnóża żółtego kwiatu. To chyba przylaszczka, ucieszyła się, tym bardziej że tak na nią powiedziałyby matka. I znów to, co zwykle było malutkie, gdy teraz pojawiło się jako wielkie, okazało się czymś innym niż dotychczas. Przylaszczka to nie zawilec. Jest tęga, mięsista, we śnie dziewczury jawiła się więc ogromna. Dojście do niej utrudniały liście rozłożone na boki, rozszerzające się, pałkowate. Sam pień zakończony kwiatem był jeszcze szerszy niż u paproci, zieleńszy. Wyrastały z niego gęsto białe konary, co przy innych rozmiarach wydawały się włoskami. Wejść czy wskoczyć?, zadała sobie pytanie.

Zachciało jej się wejść.

Białe włoski, czyli konary, były na tyle gęste, że utrudniały wspinaczkę. Anucha odbiła się od łodygi do liścia, od liścia do kwiatu i stanęła na żółtej krawędzi przylaszczki. Ta okazała się miękka i dziewczyna wpadła do kielicha. Otoczyła ją barwa żółta, owionął zapach, wokół zawirował pył. Jak potrafiła najszybciej, wyskoczyła z tej wonnej pułapki, pozostawiając za sobą w powietrzu żółtą zawieszynę. Znów się śmiała perliście i szczerze, poddając rozkoszy lotu. Zielonozielony świat wirował, kręcił się, pachniał i dźwięczał ciszą. Chciałaby teraz zobaczyć nie tylko wczesnowiosenny las, lecz także rozkwitłą w pełni łąkę. I stało się. Otworzyła oczy i zamiast zieleni ujrzała wielkie plamy kwiatów niebieskich jak chabry i niezabudki, czerwonych jak maki, fiołkowych, żółtych i jakie tylko można sobie wyobrazić. Chyba była pełnia lata, bo dziewczura stała na dziewannie, na nieco lepkiem, ostatnim, nierozkwitłym jeszcze pąku. Wokół rozciągała się znajoma łąka, co z wysokości dorodnej rośliny wyglądało zwyczajnie, jak zwykle. Moja łąka, pomyślała i skoczyła w dół, a barwy wczesnego lata zlały się w tęczę i popędziły jej na spotkanie.

Anucha otworzyła oczy. Uśmiechnęła się, widząc krzątającą się po izbie matkę. Coś dobrego się gotowało, chyba kasza ze słoniną.

– Mamo! – zawołała.

Wisława się odwróciła.

– Wyspałaś się?

– Tak. Długo spałam?

– Cały dzień.

Usłyszawszy to, dziewczyna się poderwała na posłaniu. Stara na to: – Dokąd się spieszysz?

Dziewczura popatrzyła dziwnie.

– Sama nie wiem. Miałam piękny sen. – Rozmarzyła się na wspomnienie barw zieleni i tęczy.

Stara się uśmiechnęła, widząc córkę znów rozbawioną i wypoczętą. Widząc to, sama odetchnęła z ulgą.

Wiedźmy nie zauważyły, że przepiękny sen dziewczury dotyczył tylko tego, co kwitnie, a niczego, co dojrzewa. Tak samo, jak trwanie wiał i brzeziń, którym nie wolno nawet otrzeć się o dojrzałość. Cóż to mogło oznaczać?

DZIEWANNA

Lubi lato, ale zna cały rok. Jej kwiaty układają się na kształt dwunastu miesięcy. Poznać można po nich, jaka będzie pogoda. Tylko nie każdy to potrafi. Zwykle ludzie patrzą na kwiat pierwszy od listowia i mówią, że to styczeń, ostatni zaś, że grudzień. Inni twierdzą, że na czubku dziewanny jest styczeń, a ten przy listowiu – grudzień. Mylą się jedni i drudzy. Z dziewanną jest inaczej. Trzeba odczekać, aż zakwitną wszystkie kwiaty, a wtedy na ich poziomy patrzy się tak: pierwszym miesiącem jest ten, w którym właśnie jesteście. Zwykle będzie to czerwiec albo lipiec – na łodydze dziewanny będzie on zaraz przy jej liściach. Od tego miesiąca patrzy się na następne zawiązki kwiatów. Te nie rozkwitły, to miesiące zimne, deszczowe. Rozkwitły – miesiące ciepłe. Można także pokusić się o liczenie tygodni, to również się sprawdza. Ostatnim miesiącem, jaki wskazuje najwyżej położony kwiat lub pęk dziewanny, nie jest ani grudzień, ani styczeń, lecz znów czerwiec, lipiec lub sierpień. Tak to już jest z tymi dziewannami.

Rozdział 6. Chmury

W ostatnich dniach marca w pięknym, zatłoczonym i hałaśliwym Krakowie, gdzie ludzie dorodni w drewnianych domach dostatnio żyli jak nigdzie indziej w kraju, gdzie nawet żebracy szczylicili się tym, że jadają lepiej od niejednego rycerza, wieści o najeździe Tartarów na ziemię sandomierską przyjęto z godnym podziwu spokojem. Wiedziano wprawdzie, że wróg liczny i okrutny, znano już powszechnie z trwożnych opowieści dzieje błyskawicznych klęsk na Rusi i to nie z wtórych ust, lecz prosto od uciekinierów, i wierzono w te wieści, popadano w grozę przez wzgląd na ich wymowę, darzono współczuciem ofiary, przeżywano w rozmowach, próbowano radzić, jak by pomóc uciekinierom. To się działo. Towarzyszyło temu niewytłumaczalne przekonanie mieszkańców Krakowa, i to od żebraka po wojewodę, że wielkie nieszczęścia Rusi nie dotkną ziemi krakowskiej. Niepoparte niczym wiarygodnym nadzieje żywiono na różne sposoby. Tłumaczono, że jeszcze zimową porą z trudem, bo z trudem, ale udało się odeprzeć najazd, że wieści są przesadzone, bo aż takie okrucieństwo jak mordowanie wszystkiego, co żywe, to największa obraza dla Pana Boga, i jest niemożliwe, nie mówiąc już o tym, jakim jest marnotrawstwem. Poza tym Rusini zazwyczaj przesadzali w opowieściach tyczących spraw wszelakich, teraz więc także zdarza im się przesadzić.

Znaleźli się również tacy, co wykazywali, że kilka razy w dziejach Polski zdarzyły się wojny z Rusią – ta, chociaż zawsze liczniejsza, jeśli tylko z całą Polską miała do czynienia, przegrywała. Ruś jako tako trwała w niewolniczym posłuchu, póki kniaziowi noga się nie powinęła, a gdy się powinęła, wszyscy naraz, na wyścigi, zmieniali pana na nowego, żeby i tego potem zdradzić przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Zastanowiwszy się, czy rzeczywiście tak tam bywa, doprawdy nie sposób zaprzeczyć – Rusini biją się dobrze tylko raz, póki ich ktoś pokona. Wygrywając, są dzielni i waleczni, gotowi cały świat roznieść na mieczach, wszakże pod pewnym warunkiem: aby to się stało nie dłużej niż w jedną niedzielę, jako że potem ich zapał do walki gaśnie. Nic przeto dziwnego, że przez Tartarów zostali podbici. Polski, chociaż podzielonej, Rusini jednak nie zmogli, niezdolni do trwałego wysiłku. Rok, dwa, góra trzy, niech tylko nasi wezmą górę nad Tartarami, to i Ruś z nich się otrząśnie, bo to naród niesłychanie cierpliwy, ale i uparty, tudzież pamiętliwy nie do pojęcia.

Dopuszczano wprawdzie myśl o tym, że przeciwnik jest straszny, lecz w klęskę nie wierzono. Myślano jeszcze i o tym, że wojewoda Włodzimierz bywał nadęty ważnością, nikt nie mógł mu jednak odmówić odwagi i waleczności i – co chyba najważniejsze – Bóg zawsze czuwał nad nim w boju. Szczęśliwy wódz, ot co. Poza tym ufano, że w połączeniu z siłami Sandomierzan samego rycerstwa

będzie – tu dość poważnie zawyżano możliwości obu dzielnic – prawie półtora tysiąca ludzi; jedynie książę Henryk Pobożny był w stanie zebrać więcej wojska. Z taką siłą można już wiele dokonać.

Krakowskie przekupki ze znanstwem rozprawiały, jakąż to przemożną siłą jest rycerstwo małopolskie i sandomierskie, a jeśli ktoś od nich tego się nie dowiedział, to karmione na rynku krakowskim gołębie rozniosły te wieści po całej Małopolsce. Kłębiące się szare chmury gnane niemiłym wiatrem nie powinny nikogo nastrojać nadzieją, lecz mało kto poddawał się podłym nastrojom. Zwłaszcza że pod Krakowem zebrało się już całe małopolskie wojsko, żeby wyruszyć z pomocą Sandomierzowi.

PRZEKLEŃSTWO

To co niedobre jest ze wschodu

To stamtąd wieją te złe wiatry

Przynosząc z sobą posmak głodu

I smród zgnilizny niezatarty.

Jacek Odrowąż zrobił, co było w jego mocy, żeby zapobiec nieszczęściu, mimo że nie dopuszczono go do rady wojewody, uchybiając mu przy tym złośliwie. Niezrażony jednak próbował działać do samego końca.

Wczesnym rankiem 15 marca 1241 roku, zamiast iść na jutrznię, czekał u wyjazdu z Krakowa na wojewodę Włodzimierza. Liczył na to, że stanie się jak jesienią – na dźwięk jego słów konie staną i Włodzimierz będzie musiał wysłuchać tego, co ma do powiedzenia. Tym razem nic z tego nie wyszło, bo ktoś tam u góry wyczerpał zasoby ostrzeżeń wobec tych, co ich wprzód obdarzył wolną wolą.

Mieszkańcy Krakowa i okolic tłumnie oglądali odjazd wojska. Jedni krzyczeli, żeby rycerstwo dało najeźdźcom poczuć, jak to jest przyjść nieproszonym w gości. Znaleźli się tacy, co dawali powrozy przejeżdżającym wojakom, aby ci mieli czym wiązać jeńców. Jeszcze inni nie mogli opanować

wzruszenia, widząc tyłu zbrojnych naraz, taką siłę; starzec z gołą głową, w równie starej jak on, a przecież błyszczącej jak nowa kolczudze, płakał wyblakłymi oczyma, wiatr targał resztkami długich, siwych włosów niby pasmami zużytej pajęczyny. Nie dla niego była już wojaczka, o nie, ale chociaż raz jeszcze chciał popatrzeć.

Wielu się modliło, sporo niewiast szlochało. Kilkanaście szlachetnych dam z tych, co miało niedaleko jechać lub iść do Krakowa, w tej wielkiej chwili poniechało zachowania płynącego z pochodzenia i, jak najzwyczajniejsze żony i matki kmieciów, proste wieśniaczki napełnione troską, szły wzdłuż zbrojnego węża, jeszcze wypatrując mężów i synów. Z tego właśnie wzięła się pewna niedogodność dla wojewody Włodzimierza. Otóż obawiał się pewnej wdowy gotowej wyrwać ostatnie dziecko z szyku, o czym słuch doszedł do dowództwa już dzień wcześniej. Liczył się każdy miecz, nieważne więc, że młodzian miał siedemnaście lat, że więcej synów już w tym gnieździe nie było, powinność rycerska jest powinnością. Tylko matka czegoś się uparła... Dlatego, żeby uniknąć niepotrzebnego zamieszania, pochód szedł szybko, jakby uciekał, zanim cokolwiek się wydarzy.

Jacek wypatrywał wojewody. Zauważył go, a jakże, nie sposób było nie zauważyć, dostojnik jechał bowiem w otoczeniu innych możnych – wyniosły, dumny, z kamienną twarzą, sumiastym wąsem, w najnowszym pancerzu kryjącym całe ciało, tylko głowę miał odsłoniętą z kolczego kaptura. Żebyż jeszcze miał rozum równie wspaniały jak wygląd, westchnął w myślach Jacek i przepchnął się na skraj drogi. Obok przejechali chorążowie z obwisłymi, ciężkimi chorągwiami i proporcami – tylko małe proporce, jako że lekkie, rozwijały się łatwo za lada podmuchem, czasami któryś trochę zafurkotał. Srogich twarzy zbrojnych, naśladowali w tym swojego wodza, nie było widać, tylko ślepie błyszczały zza nosali hełmów i podpiętych pod nie brzegów kolczug. Wojewodzie wolno było mieć głowę odkrytą, reszta wojska na pierwszy pochód musiała się uzbroić jak do boju, a gdy już się uzbroili, patrzyli hardo przed siebie, z lekka czasem zerkając na otoczenie. Dopiero ładne buzie młodych krakusek ożywiły nieco wojaków i gdzieś tam słychać było męski śmiech.

Jacek Odrowąż chyba zapomniał, po co sobie tyle trudu zadawał, bo miał odezwać się do wojewody, zamyślił się nad jego gołą głową i zapatrywał na wieziony przez pacholika hełm. Nic w tym nie byłoby dziwnego, wódz zabierał bowiem w bój najnowszy nabytek – podobny podziurawionemu, cynowemu wiadrze z płaskim dnem. Hełm różnił się od wiadra do noszenia wody głównie tym, że akurat do tego w ogóle się nie nadawał. Miał wąskie, podłużne szpary na oczy i kilka rzędów dziurek do oddychania. Na co wodzowi taki hełm? Ech, te turniejowe nowinki, pomyślał stary mnich Jacek o dziwactwie rycerza, choć – wspominając nieraz tamto wydarzenie, zaznaczał – miał ważniejsze sprawy do omówienia. Dziwnym zrzędzeniem losu miał o sprawach wielkich, myślał o tym

garnku na głowę wojewody, co z niego ani widać, ani przezeń nic nie słyhać, a duszno w nim musi być okropnie. Może dlatego miał chwilę zastanowienia, zanim przemówił.

– Tedy wojewodo... – w końcu zaczął, ale ledwie zaczął, zaraz się zaciął, na widok hełmu oczywiście. Dopiero po chwili zdołał skupić myśli i dokończyć zdanie – ...tedy wojewodo jedziesz, czynić swoją powinność, nie oglądając się na żadną pomoc?

Włodzimierz nie spojrział na Jacka, tylko wąs mu się ruszył w pogardliwym półuśmiechu połową górnej wargi, i nie zatrzymał się. Wtedy zaskoczony Jacek poszedł za nim, przyśpieszywszy zrazu kroku, aby zrównać się z dostojnym panem. Mówił przez to nie całkiem składnie, no i niezbyt dobrze to brzmiało – głos mu drżał, bo co krok się potykał.

– Ufasz w swoje męstwo, ale czy nie lepiej byłoby wstrzymać się z walką i zebrać więcej sił? Czy nie byłoby lepiej wezwać na pomoc księcia Henryka?

Bardzo Ważny Pan Wojewoda nadal się nie odzywał, co sporo go kosztowało. Chciałby choć bodnąć konia ostrogami, ale miejsca na to nie stało, jeszcze ludzi by poobalał, zamieszania narobił, wówczas wyszłoby na jaw, że celnie go klecha ugodził. Dobyć miecza i sieknąć w ten wścibiński łeb – to Włodzimierz wolałby najbardziej – a potem tłumacz się, człowieku, choćby twoja sprawa była najslusniejsza. Już nieraz ten czy ów cherlak w habicie wyprowadzał porządnego człowieka z równowagi. Zdawałoby się, wystarczy to załatwić raz na zawsze jednym machnięciem miecza, ale nie, zaraz klątwy, kazania, pokuty, darowizny, *fundatio* kościoła i żywienie kilkunastu darmożjadów, co będą za ciebie się modlili przez trzydzieści lat, ty zatwardziały grzeszniku. Na samą myśl o skutkach czynu orężnego wobec marudy dopadła wojewodę dodatkowa wściekłość. Następnie poczuł się bezradny. Oczy zwęziły się w szparki, uśmiezek przeszedł w grymas. Dalej jednak nic nie mówił.

Jacek, chociaż niezły piechur, zaczynał dostawać zadyszki, bo wojsko, najwyraźniej odgadując życzenie wodza, sprawnie i szybko maszerowało. Dało się z nim iść na równi tylko kilkanaście kroków, potem trzeba było podbiegać.

– Panie wojewodo... nie musisz mnie lubić... ani nikogo... ale to nie jest sprawa lubienia czy nielubienia – mówił, dysząc. – Tu albo życie... albo śmierć... albo kraj będzie... żył, albo zmieni się w dziką pustynię. Ruś się nie ostała... a teraz czas przychodzi na nas... – dyszał coraz głośniejsze. – Tylko tam każdy... sam chciał... bronić ojcowizny. Każdy czuł się... lepszym... od innych. Duma nie pozwalała... im przyznać, że przydałaby się... pomoc. Cieszyli się... nawet z kłopotów sąsiadów... I co... im z tego... wyszło... – zakonnik potknął się i urwał zdanie. Koń wojewody zaś co krok uchodził coraz dalej. Jacek musiał nadgonić te kilka kroków i pośpiesznie urwany wątek: – Czy mnie lubisz, czy nie, mniejsza o to, w tobie jest nadzieja ocalenia wszystkich... W twojej mądrości i sile... Pozwól sobie pomóc,

posłuchaj rady... Poczekać kilka dni na wojsko śląskie. Będzie was więcej. Toż to będzie siła prawie całej Polski.

Wojewoda milczał. Jego brat, Sulisław, w tej chwili poczuł, ile mądrości jest w słowach Jacka. Zapalony do pomysłu sojuszu z Sandomierzanami, żeby łącznie z nimi odpierać najazd, tym bardziej teraz zrozumiał, że nie chodzi tu o kilkuset jeźdźców, lecz o znacznie więcej. Poczucie wspólnoty nie powinno dotyczyć tylko dwóch dzielnic, powinno tyczyć całego kraju – a gadanie o tym, że jeden rycerz krakowski wystarczy za trzech innych, to czcze gadanie. Kilkuset zbrojnych krakowskich i kilkuset sandomierskich – może razem będzie z tysiąc rycerstwa – tak, to lepsze niż pół tego, ale dodać jeszcze tysiąc ze Śląska – toby też swoje zrobiło – do tego zbrojni z Wielkopolski...

I tak, nim klacz dostojnika zrobiła dziesięć kroków, Sulisław zmądrzał o całe trzy pokolenia. Musiał przyznać, że praw był Jacek w tym co teraz i wcześniej mówił. Mnicha nie lubił, ale trafiło do niego, że już nie czas lubienia czy nie lubienia, bo istotnie chodzi o coś więcej, o istnienie. Nadchodził czas boju o wszystko. Aż gorycz go ogarnęła na prostą myśl, właśnie błyskającą w jego głowie niczym grom, że gdyby Polska była chociaż taka, jak za Krzywoustego, nie w tysiąc zbrojnych by wyruszali, lecz co najmniej w pięć tysięcy i zawahałby się każdy wróg, czy do walki przystępować. Sulisław z nagłą oświecony, dotychczas pewny siebie i całkiem dobrej myśli, posmutniał. Jeszcze jedno do niego trafiło – nie wierząc w potęgę wroga, w istocie nawet w przybliżeniu nie znali jego siły. Ich obliczenia brały się z lichej miary dzielnicowej, nie zaś z pełnej królewskiej. Wszyscy byli zgodni: wróg z piekła rodem jest liczny i groźny, mimo to go lekceważyli tylko dlatego, że Rusini byli im niestraszni.

Sulisław popatrzył na brata – ten nic: jechał z twarzą zaciętą, z brodą uniesioną, zapatrzone przed siebie. Już miał do niego się odezwać, ale uznał, że lepiej będzie milczeć. Pochylił jeno głowę, bo wstyd mu było spojrzeć na Jacka.

Lecz wstydliva myśl to nie wszystko. Przyszła bowiem jeszcze jedna, przyprawiająca nie o wstyd, a o grozę. O karygodnym zaniedbaniu. Brat także musiał tego się domyśleć. Musiał. Jacek wszak dosłownie to wytknął.

Dopiero teraz wyniosłe milczenie wojewody stało się zrozumiałe: o ponownym najeździe Tartarów nikomu nie chciało się zawiadamiać Henryka. Nie ma więc po co czekać na śląskie wojsko, bo nim się zbierze, wróg zajmie Kraków. Żeby uczynić zadość pomysłowi Jacka, należałoby z całym wojskiem uciekać na Śląsk i bronić się na Odrze, a to oznaczałoby kres władzy wojewody Włodzimierza i kres świetności całego rodu spod herbu Łabędź.

Przygnębienie, które dopadło Sulisława, trudno określić inaczej niż głębokim i ostatecznym. Wiedział już, że cokolwiek uczynią, idą ku klęsce, a ziemia krakowska będzie spustoszona.

Mnich ustał w pogoni nie tyle ze zmęczenia, choć zasapał się nielicho, raczej

dlatego, że cały czas potraçał ludzi. I gdy juŹ tylko myślał, zamiast mówić, stało się coś, czego niby to pan wojewoda się spodziewał, ale co i tak go zaskoczyło. Oto z tłumy wyszła nie całkiem stara niewiasta i usiłowała wejść między jezdnych, krzycząc do wojewody bez uległości, stanowczo, jakby chodziło o zwykłą spłatę długu lub inną powinność.

– Panie wojewodo! Oddaj mi syna. Trzech juŹ zabrały twoje wojny. I męŹa też. Jeżeli i ten zginie, to kto ród przedłuŹy?

Odpowiedziały jej uśmieŹki otoczenia dostojnika. Doszło do jej słuchu drwiące zdanie wypowiedziane nie przez wodza, ale napętniające go zadowoleniem aŹ tak, że sam nie zdzierŹył i też się roześmiał w głos, podobnie do niemal wszystkich, którzy je usłyszeli.

– Będziesz musiała sobie udałego męŹa znaleźć.

Wdowa nie zwaŹała na drwiny. Szła na równi z Włodzimierzem i mówiła do dworującego z niej głosu: – Drwisz ze mnie? Ty, co mienisz się rycerzem. – I przeniosła uwagę na najdostojniejszego z wojewodów. – Od trzech dni nie znalazłeś dla mnie czasu. Słowem nie odpowiedziałeś. Twoi słuŹy mnie poniŹali, a teraz znów na to pozwalasz i sam się cieszysz.

Twarz wojewody stała się, o ile to możliwe, jeszcze bardziej dumna i jeszcze mocniej malowała się na niej pogarda. Zadarł brodę i zapatrzył się przed siebie tak, jakby mu oczy skleił widok na horyzoncie.

– Co, nadal nie masz słowa dla wdowy? Dla rodu, co ci słuŹy wiernie, co jest gotów wyrzeć ze szczętem? Tak traktujesz swoje rycerstwo?

Niewiasta ustawała juŹ w pochodzie, bo i ona, jak nieco wcześniej Jacek, wpadała na ludzi, a od wojewody odgradził ją szczelny płot końskich nóg, łbów i zadów. BliŹej nie mogła podejść, chociaŹ czepiała się uprzęży. Powstało zamieszanie, jakiś rycerz ze złością szarpał wodze, z nimi rękę wdowy, ta jednak nie puszczała. Ktoś omal na nich wjechał. Wojewoda nie wytrzymał i zerknął. Zobaczył udręczoną, bladą twarz we wdowym czepcu, przekrzywionym nieco.

– Precz, głupia babo! – ryknął niczym raniony wół. – Nie pchaj się między męskie sprawy.

– Ja głupia? Ja?! – niewiasta krzyknęła, nie zwaŹając juŹ na nic. – A ty to co? Król Salomon? Oddaj mi syna, nadęty baranie, bo i tego zmarnujesz. KaŹdy prócz ciebie wie, że wiedziesz ludzi na pewną śmierć. – Potknęła się, ale ustała, bo wciąż trzymała się uzdy rumaka. Złapawszy równowagę, mówiła dalej: – Myślisz, że skoro jestem niewiastą, to nie rozumiem, co się dzieje? Przed chwilą słyszałeś samą mądrość, żeby poczekać na śląskie rycerstwo, ale tobie chwały się chce albo żeby naszym księciem zostać. Na to się nie zgadzamy. Giń sobie sam. Jeśli nie słuchasz mądrego człowieka, chociaŹ syna mi oddaj. I tak was za mało na zwycięstwo. Co ci po jeszcze jednym? A dla mnie będzie pociechą na starość.

Mówiła, idąc, a wojewoda na nią z całych sił nie zwaŹał. Któryś z rycerzy się

zaśmiał, kilku nie było do śmiechu. Niewiasta, którą – podobnie jak wcześniej Jacka – pokonała rzeka ludzkiego pochod, odpadła od węża zbrojnych. Jeszcze bijąc dłońmi po przejeżdżających koniach i nogach rycerzy krzyczała: – A bodajbyś szczeł ze swoim całym rodem, ty... ty... ty... – szukała odpowiedniego słowa – ty... chcesz rozkazy wydawać, a ich sam słuchać nie umiesz. Ojciec Jacek i prosił cię, i przemawiał do ciebie: poczekaj na Ślązaków, nie marnuj ludzi bez potrzeby. Ja, niewiasta, to rozumiem, a ty co? – zamilkła nagle, wzrokiem szukając syna.

Trzeba przyznać, że wywarła duże wrażenie na rycerstwie i gapiach, zaraz je jednak zatarła. Wyczerpana czuwaniem, modłami, prośbami i wreszcie jałową próbą odzyskania syna, jęła się kroku najbardziej rozpaczliwego, a zarazem całkiem beznadziejnego.

– Jędrzej! – krzyknęła, rozglądając się po szykach.

Znów zawtórował jej śmiech gapiów i rycerstwa.

Jędrzej zjechał na drugą stronę szyku, przemknął i pogonił konia ze łzami wstydu w oczach.

Matka zauważyła go i w ostatniej rozpaczy krzyknęła: – Synu, wracaj.

Ludzie się poruszyli, szczery śmiech rozbrzmiewał dookoła, kilku dowcipnisiów wołało płaczliwie: – Jędrzej! Jędrzej!, i już całkiem śmiesznie było.

Roztrącana przez rumaki niewiasta, wyśmiewana przez gapiów, wyzbyta z sił i nadziei, z opuszczonymi rękoma stała na skraju drogi jak bezradne dziecko, a łzy ciekły jej po policzkach.

Kasztelan Klemes z Brzeźnicy, żeby zatrzeć wrażenie wywołane tymi zajściami czy może z litości nad cierpiącą matką, rozkazał: – Żelenta, zaśpiewaj coś wreszcie.

Młody rycerz wysłuchał rozkazu i nad pochodem rozległ się dźwięczny, miły głos, co w głuchy stukot sunących hufców podjął skoczną piosenkę: – A jak ja na wojnę jadę...

Zawtórowało kilkanaście głosów: – A jak ja na wojnę jadę...

Śpiewak na to: – To się miła nie martw wcale...

Co powtórzyło ze sto gardeł: – To się miła nie martw wcale.

Wtedy w zapadłej ciszy znów zabrzmiał głos Żelenty: – Lepiej będzie mi jak w domu...

Niemal pół wojska zagrzmiało: – Lepiej będzie mi jak w domu...

– Więc nie żegnaj mnie dziś z żalem... – stwierdził giermek.

Co zaraz potwierdziło wojsko: – Więc nie żegnaj mnie dziś z żalem.

I piosenka potoczyła się swoim łożyskiem wrytym w pyle drogi:

Bo nie będę tam samotny

Bo nie będę tam samotny

To ci miła mogę przysiąc

To ci miła mogę przysiąc

Druhów znajdę wkoło siebie

Druhów znajdę wkoło siebie

Może stu a może tysiąc

Może stu a może tysiąc

Każdy z nich mocarny rycerz

Każdy z nich mocarny rycerz

Każdy silny niczym tury

Każdy silny niczym tury

To nie zginę między nimi

To nie zginę między nimi

Razem obalimy góry

Razem obalimy góry.

Zdawało się, że zrozpaczona niewiasta na nic już nie zważała, na nic miała śmieszność, bo i wdowi czepiec przekrzywiony, a suknia uwalana błotem. Nie imaly się kobiety uszczypliwe uśmieszki i docinki, tkwiła we własnych myślach, aż podszedł do niej Jacek Odrowąż i odsunął na bok, żeby przypadkiem koń nie zrobił jej krzywdy, bo przez nią wąż rozśpiewanych konnych uginał się w tym miejscu.

– Chciałabym zatkać sobie uszy, ale nie mogę – powiedziała przytomnie do Odrowąza. – Śpiewają, jak zwykle śpiewają tę głupią piosenkę. Nie mogę – prawie krzyczała, to zbliżając, to oddalając od twarzy dłonie z rozcapierzonymi, drżącymi palcami. Obok niej niewzruszenie przetaczały się następne zwrotki pieśni, od której niejednej młódce poruszyło się serduszko.

A jak mnie się użalujesz

A jak mnie się użalujesz

Pomyśl że mi jest jak w niebie

Pomyśl że mi jest jak w niebie

Że tam żyję niczym księżę

Że tam żyję niczym księżę

Na suszonym końskim chlebie

Na suszonym końskim chlebie.

Jacek schwycił niewiastę za nadgarstki, miał bowiem wrażenie, że gotowa

jest podrapać sobie twarz. Wdowa mówiła nieprzerwanie: – To na nic, nie pocieszysz mnie, ojcze, ani nie pomożesz. Tylko ja jedna ci wierzę, ale mnie za głupią mają. Co dla ciebie to za pociecha, że tylko głupia ci wierzy? Tylko ja nie cieszę się na tę bitwę, bo że będzie bitwa, to pewne. Głupi byliby ci zbóje, gdyby nie znieśli tej garści wojska, jak to uczynili z ruskimi. Z tego, co słyhać, głupi nie są. Inaczej niż Włodzimierz, niestety. Zupełnie inaczej.

– Włodzimierz to dzielny wódz. Idzie czynić swoją powinność – odrzekł Jacek.

– U wodza nie tylko dzielność się liczy, także rozum. Gdzież u niego podział się rozum? Kto zaczyna w piątek, w dzień męki pańskiej? Przecież to musi skończyć się źle.

Tak rozmawiali, a z boku wtórowała im piosenka:

A jak zechcesz miła szlochać

A jak zechcesz miła szlochać

Że omdleвам tam z gorąca

Że omdleвам tam z gorąca

Wiedz że zawsze mnie orzeźwi

Wiedz że zawsze mnie orzeźwi

Z dna kałuży garstka błota

Z dna kałuży garstka błota.

Kilku słuchało tej rozmowy, ktoś znacząco popukał się w skroń, znalazł się też ktoś, kto spowaźniał; wkrótce ci dwaj już się sprzeczali. Niewiasta popatrzyła w oczy zakonnika i odezwała tak, jak powinno się mówić do księdza w sprawach rozpaczliwych: – Ojcze, powiedz mi chociaż ty, on wróci, prawda?

A gdy łzę uronisz miła

A gdy łzę uronisz miła

Że tam jakieś niewygody

Że tam jakieś niewygody

Ja się wyśpię jak w pierzynie

Ja się wyśpię jak w pierzynie

Na kamiennej zimnej ziemi

Na kamiennej zimnej ziemi.

Jacek wiedział, że w tym słowie jest prośba choćby o kłamstwo, aby tylko zgodne z jej pobożnym życzeniem. Wiedział też, że jeśli skłamię, a życzenie się nie ziści, nie kto inny, on będzie winnym zawiedzionej nadziei. Nie ten, co uśmiercił Jędrzeja, ani nie ten, co go powiódł na śmierć. On. W oczach matki zawsze winny jest człowiek dający nadzieję. Odrowąż powiedział więc szczerze: – Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Będę się modlił o to, żeby wrócił. I nie ruszę się stąd, póki tego się nie dowiem.

A gdy miła posmutniejesz

A gdy miła posmutniejesz

Że u wrogów dużo mieczy

Że u wrogów dużo mieczy

Wiedz że ja się ich nie boję

Wiedz że ja się ich nie boję

Bo z tęsknoty one leczą

Bo z tęsknoty one leczą.

Niewiasta przytuliła się do księdza, on jej tego nie odmówił. Zaraz znalazły się jej towarzyszki i odebrały ją z rąk Jacka. Opierała się nieco, płacząc: – Nie obiecał mi... Nie obiecał...

Nie zważając na słaby opór, niewiasty zabrały wdowę z drogi i dalej od bezmyślnego tłumu.

A gdy zechcesz po mnie płakać

A gdy zechcesz po mnie płakać

Bo zginąłem w srogim boju

Bo zginąłem w srogim boju

Wtedy upleć miła wieniec

Wtedy upleć miła wieniec

Z kwiatów co rosną na polu

Z kwiatów co rosną na polu.

Właśnie minął Jacka ostatni oddział, za nim toczyły się tabory wojewody, gdzie wozacy wesoło pogwizdywali zwrotki piosenki, która przez rozciągnięcie pochodu brzmiała już niezbyt spójnie.

Ponieś miła go w tę stronę

Ponieś miła go w tę stronę

Gdzieś ostatnio mnie widziała

Gdzieś ostatnio mnie widziała

Położ przy rozstajnych drogach

Położ przy rozstajnych drogach

Byś już więcej nie płakała

Byś już więcej nie płakała.

Zatroskany mnich powiedział sam do siebie: – Krótki ten pochód.

Wojsko i piosenka zmierzali tam, dokąd wiódł je wojewoda.

A jak ja na wojnę...

A jak ja na wojnę jadę

To się miła...

To się miła nie martw wcale

Lepiej...

Lepiej będzie mi jak w domu...

Więc nie żegnaj mnie...

NIĆ ZE SŁOŃCA I KROPLA Z MIESIĄCA

Bywa też tak że jakieś chmury

Przychodzą po najmiłszych chwilach

Świat nagle robi się ponury

I strach człękowi jest oddychać

Kapie deszcz siwy czasem czarny

Lecą jak piasek jego ziarna

Że aż się myśli: ziemi grudy

Co nas ścierają w samą marność.

W ten sam dzień, w który spod Krakowa wyjechało wojsko chrześcijan, żeby spotkać się orężnie z czystym diabelstwem, nad Zalesie przygnane stanowczym wiatrem – dał z południa, znad Czech – dotarły deszczowe chmury. Przyszedł z nimi oddech ciepła, przez co ptactwo wprost oszalało – codzienny, radosny wrzask dobiegający z lasu i zagajników napełniał uszy wesołym poczuciem życia, a gdy zaklekotały bociany, wiedziano już, że stało się nieodwołalne – życie obudziło się na dobre. Ludzie myśleli już o robocie w polu, niektórzy do niej przystępowali.

Dobrosz z Wojdą objeżdżali pola, nad nimi sunęły groźnie wielkie, ciężkie i szare wory z deszczem. Na dole, koło Odry, jeszcze nie można było wjechać z radłem, woły pozapadałyby się w błocie po brzuchy, ale tamtejszy widok i tak cieszył oczy. Rzeka naniósła spory namuł dający nadzieję na dobre plony. Tydzień, dwa należało jednak poczekać.

Ziemie położone na pagórkach cieszyły oczy równiutką zielenią ozimin, a w miejscach nagiej roli szybko obeschły i można było przystąpić już do obsiewania. Obaj szlachetni panowie wzięli się więc za pomoc parobkom przy radleniu. Podwinęli portki, zakasali rękawy, zzuli trzewiki i poszli boso bruzdą za radełkiem ciągnionym przez woły, żeby spulchnić ziemię przed posypaniem pszenicą. Przytaszczyli worki ze zbożem, nabrali ziarna w płachty i siali cały dzień. Podobnie działo się na wszystkich polach wzdłuż Zalesia, ale pól Dobrosza było tyle, że chodziło po nich naraz sześć zaprzęgów, z czego po cztery z pańszczyzny.

Wojda lubił siew – nieco ciężkawy zapach rozoranej ziemi obiecywał odmianę po zimie, zdawało mu się, że zimna rola całuje go w boscie stopy. Nie marzył, bo słońce przygrzewało chwilami mocno, chyba że zasłoniła je chmura, wtenczas robiło się trochę nieprzyjemnie, ale wszystko razem – pachnąca ziemia, niebo, chmury, słońce, żywe powietrze no i śpiewy ptaków uganiających się wokół dziupli i gniazd – napełniało Wojdę poczuciem odwiecznej mocy. Rozleniwiło to trochę, ale też dawało nieokreśloną, wewnętrzną radość. Tak, lubił siew. I kroczącego z powagą bociana, który uważnie spoglądał w świeżo pobrużdżoną rolę, zręcznie zjadał pędraki, czasem nawet nornice i krety.

Tak się złożyło, że zajęci siewem nie zauważyli niczego niepokojącego. W ciągu dnia wiatr zmienił się na zachodni, nie przynosił więc wieści o tym, co na wschodzie. Chmury kłębiły się coraz bardziej, troszkę straszyły przelotnym deszczem, co nikomu nie przeszkadzało. Ludzie chodzili za wołami, potem z płachtami zboża zwieszającymi się z szyi, ujętymi starannie w lewą dłoń, równymi krokami i zamachami prawic odmierzali odwieczny czas siania. Duchy ich dziadów i pradziadów patrzyły na to z obejść, błogosławiąc w robocie potomkom.

Robota szła sprawnie, przelotne deszcze nie wystraszyły obchodzących pola

kmieci; musiałyby przyjść burza z piorunami. I jakoś tak wyszło, że ta śródwodno-śródziemna wyspa miała spokój od wieści ze świata, a setki tysięcy ziaren w każdej godzinie wpadały w pulchną glebę, żeby wypijać z niej soki i dawać chleb, kaszę, groch i rzepę.

Dziewczurę też zajęły wiosenne prace: z Wisławą urządzała ogródki, które nie były prosto w ziemi, lecz na podwyższeniach. Robiły tak, odkąd stara zauważyła, że ludzie z Zalesia stawiają niskie płotki z wikliny przy brzegach rzeki. Przyglądała się temu uważnie, aż pojęła, że tam, gdzie ogrodzenie, namul z wylewów osadzał się wyższą warstwą.

To nie wszystko.

Szczególnie jej się spodobało, że stojąc przy płocie, ziemię uprawną ma się prawie przy kolanach. Ja muszę się schylać, żeby coś zerwać albo na kolanach plewić chwasty, myślała Wisława.

To nie wszystko.

Kiedyś Wisława zaznała nieco życia klasztornego. W ogrodzie zakonnice trzymały lecznicze zioła i przyprawy, których uprawie wiedźma chętnie i dokładnie się przyglądała. Pracami zawiadywała stareńka siostra, zgarbiona i słaba, a mimo to ciągle coś poprawiająca przy roślinach. Miała porządek, równiutkie grządki, nasadzenia ustawione w szyki jakby wojska. Wisławie spodobało się najbardziej to, że większość upraw była na podwyższeniach, w czymś na kształt koszy tak dobranych szerokością, żeby swobodnie sięgnąć ręką na sam kraj. Starowinka myszkowała między nimi ze zręcznością gronostaja, pilnując dobra podopiecznych, przy czym nie musiała się schylać, żeby cokolwiek poprawić.

Przez klasztorne miesiące wzbogacona o cenną wiedzę Wisława na koszyczkach nasiennych szmatki wiązała, żeby nie uronić żadnego dojrzałego już ziarenka. Starannie podlewała rośliny – raz starowinka urządziła doniosłe wrzaski, gdy młodziutka mniszka naląła wodę wprost na roślinę, zamiast obok, na korzenie. Wiedźma tam także się dowiedziała, które z roślin się lubią, których lepiej w bliskości ze sobą nie sadzić. Na odchodne dostała kilka woreczków nasion.

W swoim ogrodzie wiedźma zaprowadziła podobne porządki. Za usługi lecznicze żądała przywożenia lepszej ziemi i torfu, z młodziutką jeszcze wtedy Anuchą ciąła wierzbowe witki i tak rok w rok przybywały kosze, skąd bez konieczności łażenia po bagnach i uroczyskach pozyskiwała pożyteczne rośliny. Co prawda chodzenie wokół nich również wymagało zachodu, zdawało się też, że moc ziół nie zawsze dorównywała leśnym, ale za to było ich więcej, w dodatku o powtarzalnej jakości. Nie mówiąc już o tym, że znacznie wzrosły plony roślin jadalnych.

Z tą wiosną, która przyszła już nieodwracalnie, czarownice zajęły się porządkowaniem ogrodu. Matka i córka, dziabiać ziemię, wrywając suche pozostałości zeszłorocznych upraw, odkrywając osłony roślin zimujących, siejąc

ziola i warzywa, nuciły pieśni, a nawet kilka litanii. Obydwie już dawno zauważyły, że śpiew pomaga w robocie jak nic innego i nic serca tak nie cieszy jak modlitwa.

To także było pozostałością klasztornych doświadczeń starej wiedźmy.

Po całym dniu znoejnej, acz pozytywnej roboty, zarówno Wojdzie, jak i dziewczurze zechciało się spotkać. Nim zaszło słońce, urządzili sobie schadzke na skraju lasu. Przypadkiem znalazł się tam Biały kościelny Pietrek szukający wczorajszych śladów wikarego, co się zaklinał, że piekielne siły zaciągnęły go do lasu, na łąkę, żeby potem podrzucić do chlewika.

Anioł, zwykle zapatrzony w niebo z serdeczną tęsknotą, tym razem uważnie przyglądał się ziemi. Mało brakło, a byłby wlaź na Wojdę i Anuchę, co na szczęście poza sobą świata nie widzieli i nie zachowywali czujności. Pietrek zatrzymał się w pobliżu, stał jakby na straży, aż usłyszał rozmowę. Skojarzył natychmiast i pomyślał niechętnie: Ach tak, to oni. W miarę słuchania tego, co i jak mówią, zmieniał jednak nastawienie.

W pierwszej chwili ujeli anioła rozmową o pozytecznych trudach całego dnia – dzielili się wrażeniami z czynienia dobrych uczynków. Potem gadali o przyszłości, co często przeplatało się smutnym wzdychaniem lub milczeniem. Tu znów zaskoczyli wysłannika niebios, który początkowo myślał, że rozmowa to wstęp do innego działania, mianowicie chędożenia, ale usłyszawszy, że Anucha mówi o korzyściach ze ślubu czystości, wzruszył się. Zły był trochę na Wojdę, bo chłopak chciałby je złamać, mocno grzeszył myślą, ale do gorszących czynów nie przeszedł. To Białemu się spodobało. Nastawiał się już na dłuższe słuchanie, lecz wówczas młodzi wstali, bo mocno zanosilo się na deszcz. Ucałowali się cokolwiek za namiętnie, ona nawet szepnęła: – No, puść.

Po czym się rozstali, zostawiając anioła z własnymi myślami.

Niebieski posłaniec odczekał, aż obydwójce się oddalą, i także poszedł do domu. Po drodze już nie myślał o wikarym, lecz o trudnej i jeszcze niezbrukanej miłości dwojga ludzi. Jego myśl zadziwiająco spletała się z modlitwą.

Ludzie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać, rozmyślał Pietrek. Co ustalą sobie porządek, to go zaraz łamią, a potem im źle. Choćby ci młodzi. Przecież nie baczą na to, że ich stany nie są równe i burzą porządek świata. On ma być rycerzem stworzonym do walki, do czynów wzniosłych. Ma się zachowywać godnie i dumnie, jak przystoi jego stanowi. Oczywiście wymaga to poświęcenia, lecz rycerz ma być twardym przede wszystkim dla siebie. Gdy poczuł, że coś w nim się budzi na widok niewiasty z innego stanu, powinien zwalczyć w sobie uczucie, a on umyślił związać się właśnie z taką, bez rodu i majątku, w dodatku parającą się ziołami, urokami, mówi się już nawet, że i czarami. To zaprzeczenie chrześcijańskiego ducha rycerstwa, anioł aż zatrzęsł się z oburzenia i niechcący zabłyszczał światłem niebieskim. Był troszeczkę gapowaty, zauważył więc to

dopiero wtedy, gdy poświata wokół niego zapełgała po ziemi białym płomieniem. Przerażony natychmiast ugasił blask i padł na ziemię, żeby nikt go nie kojarzył z tym rozbłyskiem. Ale było za późno, bo to już się stało.

Anioł poleżał chwilę, niczym czort chciał się zapaść pod ziemię, wreszcie obrócił się na plecy i zobaczył – on pierwszy – chmury, dotychczas rozproszone, równe, okrągłe, idące w świetle zachodzącego słońca coraz bardziej zwartą gromadą i coraz więcej z nich wyglądało, jakby lepił je nieudacznik. W dodatku niektóre śmieiej wyciągały przed siebie bezkształtne łapska. Jakie to dziwne, myślał Pietrek, a szaroczarne, ciężkie chmurzyska połączyły się nad jego głową, zasłaniając ostatnie, widoczne skrawki nieba. W anielskim oku zakręciła się łza. Co wieczór tęsknił bowiem za czystym niebem, co zaraz przywodziło na myśl anielski śpiew, a z tym – najważniejsze – widok Pana. Od kilku lat tęsknił coraz bardziej, teraz, gdy kozuch chmur zdawał się go nakrywać, poczuł się nikomu niepotrzebny, całkowicie zapomniany. Na co mu przyszło... Za towarzysza ma tego pokrakę z piekła rodem, sam troszczy się o dobre imię wikarego, co jest żywym zaprzeczeniem powołania, sam przecież powinien czynić ludzi lepszymi, nie zaś zakrywać błędy tych, co błędów nie powinni popełniać. Na tę myśl posłańcowi niebios w oczach zakręciła się druga łza. Wówczas przypomniał sobie, że nie dokończył myśli, co spowodowały rozbłysk i – było nie było – upadek. Wstał więc i już bez gniewu na młodych, za to z żalem, dumął, że gotowi są, nie bacząc na nic, przyprawić o nieszczęście samych siebie i bliskich. Zaczął od Wojdy.

Cóż on sobie myśli, ten chłopak? Ustalając porządek tego świata, ułożono go niczym głosy w chórze. Kto śpiewa tonem wysokim, nie może śpiewać niskim, bo z tego wyjdzie nieład i choćby wszyscy inni dobrze śpiewali, ten jeden, jedyny nieczysty głos zniweczy wysiłek setek innych śpiewaków. Ludzie świadomi celów życia powinni więc powodować się uczuciem wyższym niż pożądanie. Rycerze mają wszak stać na straży pokoju z mieczem w ręku, skłonni tępić zło tak, jak archanioł Michał. Co bowiem wniesie do rycerskiego stanu przywykły do posłuszeństwa kmieć, który żyje powodowany nie poświęceniem, lecz sprytem? Cały porządek obrony przed złem legnie w gruzach. Na to właśnie niebaczny jest młodzieniec Wojda. Inni rycerze mają córki skłonne do poświęcenia, gotowe wspierać mężów w ich groźnych dla życia czynach, nie od nich odwodzić, jak czynią to córki kmieci. Czego matka kmiotka nauczy rycerskie dziecię? Co wpoi? Czy nie przekonanie, że w chwili zagrożenia lepiej podać tył, niż się zmierzyć z wrogiem? Czy nie wiedzę o tym, że kłaniając się nisko, można życie ocalić, bo uszczerbek na czci nijak nie jest istotny w porównaniu z życiem?

Tak anioł tłumaczył sobie porządek ludzkiego świata. W tym porządku szybko znalazło się kilka dziur. Coś mówiło Pietrkowi, że musi je koniecznie zapełnić, nim popychany w plecy tchnieniem nadciągającego deszczu dojdzie do Zalesia. Długo może by szukał zapełnienia tych dziur, ale przyszło wspomnienie

wikarego Przemka. Aż przystanął. W jednej chwili pojął, że mocno ten człowiek złamał całutki porządek świata. Wikary, co ponoć jest rycerskiego stanu, poniżył się w sposób uchybiający czci nie tylko rycerskiej, lecz także kmiecej, bo nawet i taka jest. Każdy człowiek ma cześć, na tę myśl anioł zawstydził się, aż twarz zajarzyła się w nadciągającym mroku ciemną czerwienią, co mogło przypominać przygasającą pochodnię. Zrozumiał w mig, że nazbyt prosto podzielił ludzki świat – wszak święci pochodzili również od ludzi prostych. Przemko z Pogorzeli, choć z rycerskiego rodu, do nich się nie zaliczał. W nim jednym grzechów było więcej niżli w całej wsi.

Anioł ruszył do domu z mętlikiem w głowie. Wszystko mu się przehuściło na drugą stronę i omal oszalał. Młodzi, lekkomyślni ludzie, których miał za burzycieli porządku, w porównaniu z wikarym jawili się istotami prawdziwie niewinnymi. Niczego złego nie uczynili, utrzymywali się w dobroci i czystości. Zaraz przyszła myśl: Święta Maryja była prostą niewiastą. Nie miała wysokiego urodzenia. Odtąd także inaczej zapatrzył się na sprawę Anuchy. Inaczej się zapatrzył, co jednakowoż nie znaczyło, że ją całkiem rozgrzeszył. Zachowuje się nazbyt śmiało, śmielej niż to przystoi czestnej niewieście, ale ta śmiałość to raczej odwaga niż bezwstyd. Wszak chodzi do kościoła co niedziela i się modli. Nie zaczepia nikogo, proboszcz ją lubi, bo przynosi zioła na starcze dolegliwości. Nie, nie można potępić tej dziewczyny za śmiałość. Że jest niskiego stanu? Co z tego. Nie prosi o nic, nie płaszczy się ani nie rzuca do całowania rąk. Rozmawia z wyżej urodzonymi jak z równymi, a oni to znoszą bez urazy. Nie widać, żeby dała się komuś poniżyć. Anioł się uśmiechnął, bo w swej ludzkiej wędrówce niejednokrotnie odczuł za wysokie progi na jego własne nogi.

Ta myśl, jakby prawo spisane na pergaminie z odcisniętą pieczęcią, natchnęła rozchwianego, niebieskiego posłańca wizjami dobrej, błogiej przyszłości. Wybiegł w tym tak daleko naprzód, aż wyobraził sobie nawet wesele. Wtenczas, ukojony w rozterkach, ujrzał rażącą pustkę po jednej stronie weselnej biesiady – pustkę po stronie rodu dziewczury.

I drwiny rodów Dobrosza i Bożeny z tej pustki, drwiny bolesne, aż srogie.

I smutek na twarzy dziewczury, złe twarze teściów, wściekłość narastającą w młodzieńcu i być może krwawą bójkę.

Te widoki zabrały aniołowi uśmiech. Ale nie tylko uśmiech. Pomyślał zaraz tak jak na początku: muszą być chłopci, rycerze, duchowni i książęta, bez tego tylko ustawiczne zamieszanie, podgryzanie, w końcu wojowanie, co je wygra najokrutniejszy ze wszystkich. Zaczyna się od pojedynczych, zdawałoby się, niewinnych podważań ładu tego świata.

Tak to gorzko zamierzał zakończyć anioł rozważania o przyszłości Wojdy i Anuchy; przyznać trzeba, że nie miały w sobie niczego z cierpliwości wyraźnie związanej ze stanem anielskim. Nie chciał jednak, żeby cierpieli oni czy inni,

a niczego innego niż cierpienia nie przewidywał. Sumienie miał jednak nieczyste, nawet gryzące. Niby to przybierał srogie pozy, że Wojda z Anuchą powinni wyciszyć uczucia, ukryć je i przeczekać, wycierpieć rok czy dwa, po czym żyć tak, aby porządku świata nie burzyć i nie ściągać na siebie nieszczęścia, ale im dłużej szedł, im bardziej siebie przekonywał, tym mniej sobie wierzył. Dlatego zaczął biec. Nie mógł jednak uciec sam przed sobą, choć w plecy mocno bił wiatr niosący krople deszczu. On, mimo że biegł coraz szybciej, sam siebie zawsze doganiał, aż padł na kolana i zaszlochał, bo dobre serce rwało w nim się na strzępy. Obrócił się na kolanach pod zachodni wiatr, w przysiadzie takim samym, jak ten durnego wikarego, co opadł w bezradności i głupocie na dno rozpacz i gnoju, wyciągnął ręce do zbliżającego się deszczu i krzyknął zalany łzami: – Panie Boże, co mam czynić? Przecież nie wierzę, że ich miłość wyda dobre owoce, ale są niewinni, czysti i dobrzy. Nie można ich karać za miłość. Powinienem im przeszkodzić, lecz nie mogę. Nie chcę. Daj znak, że jest dla nich nadzieja. Tak mi ich żal. Jakże mocno ich żal...

Anioł patrzył z rozpaczliwą nadzieją na zachód, gdzie chmury straciły obraz szarego, wełnistej kożucha odciętego od czarnego widnokręgu lasu, który zamazał się nadchodzącym deszczem. Już samo to czyniło znak łaski mało prawdopodobnym. Wreszcie nic już nie było wyraźne, ciemność zawieszala nad lasem kolejne czarne kotary. Na chwilę, nim w anielską twarz uderzyły pierwsze krople ciemnego dżdżu, ujrzał anioł czerwony przebłysk przez chmury – promień zachodzącego słońca pokryty światłem błyskawicy. Nie wiedział, czy to tylko się zdawało, czy ujrzał znak. Padł na ziemię i płacz nim wstrząsał. Zaznał wtedy iście ludzkiej rozpacz, nie czując siekącego deszczu, bo tarł twarz dłońmi i wił się po ziemi niczym robak, choć żadne mamuny, wiły i brzeginie nie zmuszały go do tego krwawymi łaskotkami. Tym samym nie zauważył, że chmury rozdarły się na króciutko, na mgnienie oka, i nad lasem pojawił się stożek ostatniego promienia zachodzącego słońca odbijający się złotem od nowego krzyża na kościółku w Zalesiu.

Gdy ludzie wbijali w ziemię radła i pługi, Czarnego Janusza ogarniał nieprzyjemny dreszcz, czuł bowiem, że właśnie jemu garbują skórę na plecach. Z mijającymi wiosnami, które spędzał na ziemi, zdołał do orki przywyknąć i ciarki na grzbiecie z przykrych stawały się znośnie, w końcu prawie oczekiwane. Dlatego, chociaż z jednej strony obawiał się tego uczucia i rad byłby czas robót polowych przeczekać w lesie, zawsze na orkę patrzył urzeczony, nie dbając o jadło, napitek i swoją robotę. Nie było to jego jedynym osłupieniem na ziemi. Podobnie zastygał w jałowym bezruchu, gdy widział przedzenie.

Tymczasem, gdziekolwiek diabeł spojrzeł, ludzie bruździli w ziemi, drapali ją, sypali w nią ziarno, znów drapali i żadna siła nie wzbraniała im tego. W dodatku robili to z pełną radością, mimo że w znoju. Chłopy cierpliwie chodzili za jeszcze

cierpliwymi wołami, przestawiali narzędzia i wozy, baby zaś przynosiły im jedzenie w dwojakach. W przerwach w robocie siadywali całymi rodzinami na miedzach albo wozach, gwarzyli zgodnie i jedli.

Pootwierana, poraniona ziemia zdawała się oddychać, nie zaś płakać – czego spodziewał się wygnaniec z piekieł, nie mogąc pojąć, że ludzie ją kaleczą i czynią to w beztrosce, nie zdając sobie sprawy, z jak poważnymi siłami igrają. Myślał więc sobie Czarny Janusz: Gdy niebo się otwiera, biją pioruny. Ludzie nieba nie otwierają, lecz kiedy ziemię się otwiera, można wypuścić zmarłych albo wodę. Dlaczego tak czynią? Czy nie powinni poprzestać na tym, co ziemia sama im daje?

Może dalej trwałby w zadziwionym oburzeniu na – było nie było – świętokradczą – według piekielnego pojmowania świata – działalność ludzi, gdyby nie jeszcze jedno spostrzeżenie, co niczym zadra tkwiło w diable od lat. Tkwiło nie ruszane, bo nie śmiał o nim nawet wyraźnie pomyśleć, żeby jako takiego ładu ziemskiego świata całkiem we łbie nie zburzyć. W niedzielę – wówczas zobaczył leśne diabelstwo wpuszczone na pola przez ludzi, co ich zamiast gonić i prześladować, nie zaczepiało, tylko łąziło nieszkodliwie szukając czegoś – coś w piekielnym wygnańcu się przełamało. Okrutny psikus z głupkiem wikarym załagodził niepokój tylko na dzień, orka i siew rozbudziły na nowo. Nic mu nie wychodziło, na gniewne fukania anioła nie zważał, nawet proboszczowi coś odburknął. Aż nie wytrzymał i na głos nazwał to, co mu nie dawało żyć.

Zatroskany sprawą wikarego proboszcz wyszedł pod wieczór, patrząc tęsknie na robiących w polu. Diabeł, nie wiedzieć dlaczego, pomyślał, że ten człowiek smutny jest z tego samego powodu co on. Zatem podszedł do poczciwiny z lewej, jak zawsze diabli czynią, i wyraźnym szeptem ni powiedział, ni zapytał: – Czy ludzie się nie boją kroić ziemię, rozoraną deptać i znów po niej włóczyć ostrzami? Ona wszak to czuje.

Proboszcz nie drgnął, patrzył przed siebie, gdzie stareńki gospodarz szedł z płachtą zboża, jego starszy syn prowadził za nim woły, a mały chłopczyk, chyba wnuk siewcy, stał na drewnianych bronach. Dwa bociany zamykały ten pochód, uważnie łowiąc, co im tylko podchodziło pod dzioby. Myślał o tym proboszcz, że on kiedyś także stawał na bronach, prowadził woły, gdy raz w życiu dane mu było siać. Potem miał w ręku miecz, aż Pan Bóg powołał go na pasterza. Od tamtej pory nie tknął wołów, bron czy radła ani płachty ze zbożem. Ani miecza. Mógłby, ale nie tknął. Tylko marzył, żeby zająć się prostą i pożyteczną robotą. Gdy więc diabeł myślał, że jego szept nie był dosłyszany, proboszcz westchnął i odpowiedział cierpliwie, nie odrywając wzroku od pracujących w polu: – Głupie pytanie. Nie wiem, skąd ci to się bierze. Czasem, gdy się odezwiesz, to jakbyś wiedział więcej od biskupa. Chwilami jest jednak tak, że żal ciebie słuchać. Ciągłe czegoś trzeba cię uczyć i wydaje się, że wieki upłyną, nim zrozumiesz. Gdzieś ty się ulągl?

Diabeł już chciałby się wycofać, chociażby nieznacznie, chciał zniknąć, aby

zostawić staremu księdzu wrażenie, że gadał sam ze sobą, bał się bowiem, że jeszcze słowo, dwa, a ksiądz zgadnie, kim jest bardziej stuknięty kościelny, już macał lewą nogą ziemię za sobą, aby dać pierwszy krok – zawsze z lewej zaczynał – gdy proboszcz powiedział z łagodnym wyrzutem: – Przecież to w Piśmie Świętym stoi od tysiąca lat. Stwarzając ziemię i ludzi, Pan Bóg powiedział, żeby sobie ją czynili powolną i zwierzynę na niej, i ryby w wodzie, i ptactwo w powietrzu. Trzeba więcej na mszy słuchać, a nie myśleć, nie wiadomo o czym.

To diabłu musiało wystarczyć za odpowiedź. Rzecz jasna miał jeszcze wątpliwości, ale więcej nie pytał. Wycofał się wreszcie.

Przycupnął w okolicy chlewika, żeby porozmyślać, bo miał do wykonania zadanie, które łączyło się z wątpliwością: czy już można wyprowadzić świnie na żer do lasu, czy jeszcze nie? Spod chlewika widział, że anioł, co od czasu wypadku z wikarym stał się jeszcze bardziej milczący, choć zwykle raz na dzień, na Anioł Pański, prawil diabłu króciutkie kazania, idzie na pola, a z pól do lasu. Wtedy przyszła diabłu myśl do łba, że anioł musiał skorzystać z chwili diabelskiej nieuwagi i pogadać coś z młodym – za przeproszeniem – księdzem. Wtedy piekielnik doznał takiego niepokoju, że znów poczuł rogi na głowie. Anioł co prawda był naiwny i na ogół gubił się nawet tam, gdzie droga szła prosto, ale jeśli psim swędem wywęszy przecinające się ślady diabelskie i wikarego w lesie, to...

Nim wyprostowana postać wysłannika niebios, co tylko udawał, że nie zerka na ziemię, w istocie szedł po śladach wikarego, zniknęła w krzakach pierwszych zagajników, diabeł pobiegł zakosami dookoła. Wprawdzie ziemia, po której biegł, krzyczała do niego zadanymi właśnie ranami płodności, każda bruzda świeciła na czerwono wewnętrznym światłem piekła tak, że powierzchnia pól przypominała bieżnik dwubarwny z wełny ciemnoszarej przetykanej pasemkami czerwieni, nie zatrzymywał się ani o tym nie myślał. Biegł chyłkiem, acz chyżo, póki nie skryły go drzewa. Między zagajnikami wyprostował się i niczym psotny wiaterek pognął na wskroś przez las na polanę, gdzie w noc harce odprawiali wikary, wiły, mamuny, brzeginie i dziewczura.

Jeszcze słońce nie zaszło, a był na miejscu. Tam szybko rozeznał ślady, znalazł miejsce, w którym wikarego wytarzały mamuny, gdzie dopadły go wiły i skąd brzeginie zabrały na uroczysko. Co mógł, to poprostował, zwłaszcza krzaki, miejsce najwyższych uniesień wikarego zakrył ściółką, no i nabuchtował w ziemi tak, jakby przeszło tam stado dzików, po czym szybciotko poszedł w stronę nadchodzącego anioła. Zobaczywszy go, zrozumiał, że ten patrzy na ziemię, czyli idzie po śladzie – bez chwili wahania zaczął go zacierać, aż wysłannik niebios zmylił trop. Polazł w bok ścieżką, na której znalazł ludzkie ślady. Te dowiodły go do gruchającej pary gołąbków: Anuchy i Wojdy.

Diabeł trzymał się z daleka, żeby przypadkiem nie wykryli go ludzie, ani, co gorsza, jego jakże krańcowo odmienny towarzysz. Trzymał się z daleka, ale

słyszał. I jakoś tak zaczął myśleć o tych dwojgu, a podpatrując anioła, widział, że i on gwałtownie o czymś myśli. Skoro patrzył na młodych, to o czym by tak myślał, jeżeli nie o nich? O kim? Tak i diabeł, skuszony anielską uwagą, przysłuchiwał się niedobrej parze i chcąc nie chcąc, w miarę upływu czasu, coraz więcej myśli na nich prznosił.

Cokolwiek by powiedzieć, piekielnik i na tym polu miał nad aniołem wyraźną przewagę – widział dziewczurę tamtej nocy, widział, że działa na tego barana Przemka, widział, co wtedy działo się z nią samą. Co prawda nie troszczył się wówczas o nią, ani nie miał większego powodu, żeby jej zaszkodzić, skupiony był na młodym księżulu, na jego żądzach i wyczynach. Dopiero teraz przypatrzył się wiedzmię znacznie uważniej, zresztą nie tylko jej, bo i młodemu, rozpalonemu giermkowi. Im dłużej się przypatrywał, tym bardziej rozumiał, że warto byłoby zająć się nimi, tak troszeczkę po diabelsku, bo chociaż już dłuższy czas ci dwoje mają się ku sobie, wszystko wskazuje na to, że nic z tego nie będzie. Najwyżej kłopoty. Te zaś zawsze można przyspieszyć lub powiększyć.

No i wspomniał, diablisko, dziewczurę płasającą z półdiablicami, jakby była jedną z nich. Rudawy włos mieszał się z mgłą włosów brzeziń i trawą włosów wił, oczy jarzyły się blaskiem miesiąca, co go prawie nie było widać, wreszcie w jej twarzy znać było najwyższe uniesienie. Przecież ona jest nasza, bo to czarownica, pomyślał wtedy i mało nie pacnął się w pusty łeb, ale powstrzymał samokarzącą dłoń, bo plask w czoło niewątpliwie zdradziłby aniołowi, że nie jest sam.

Uświadomiwszy sobie, jaką właśnie zyskał sposobność do uczynienia psoty porządkowi świata, czart chciał z radości wbić łeb prosto w ziemię, zaryć się głęboko i nażreć kamieni i robaków, bo przecież można było zrobić niewiele, prawie nic i ułatwić wikaremu dopadnięcie czarownicy. Co to byłby za widok, diabeł się rozmarzył, nawet oblizał obleśnie wargi na widok obrazu malującego się w wyobraźni: ksiądz w sutannie nie dość że obłapiający, to jeszcze kogo: czarownicę. W tej samej chwili przyszło mu zrozumienie, że gdyby coś takiego spowodował, zyskałby najniższe piekielne uznanie; nie tylko Belzebub, ale jeszcze niższa godność poklepałaby go łaskawie po zgiętym grzbiecie i pochwaliła.

– Zły diabeł, zły.

On całowałby kopyta jeszcze niższej godności z całą piekielną niewdzięcznością, a inni diabli by mu zazdrościli, że ma nie tylko takie niepoważanie, lecz także niesamowitą skuteczność. Tak, pomarzyć dobra rzecz.

Pierwszą sposobność jednak zaprzepaścił. Wprawdzie zrobił psikusa wikaremu, lecz dziewczura żyje spokojnie dalej i chyba nikt nie wie, jaka naprawdę jest. Można było wszak postąpić o krok dalej, czyli powstrzymać leśne straszdyła i podsunąć dziewczkę wikaremu... – tu diabeł miał przerwę w myśleniu, bo coś mu się kotłowało, kotłowało, aż wyłonił się z tego wiru porządek, kawałek smacznego boczku, co jednak stanął mu kością w gardle. – ...To ja go nie tyle

podpuściłem do głupoty, co przeszkodziłem w jeszcze większej. Ja go wabiłem między półdiablęta, żeby mu dogodziły raz na zawsze, a on marzył cały czas, żeby pojąć dziewczkę. Ona sama o to się prosiła. Co ja zrobiłem? Co?

Zamiast pomóc w popełnieniu wielkiego grzechu, zamiast związać czarownicę z piekłem przez uwiedzenie tego księdza przebierańca, uchroniłem przed tym sprośnym wieprzem powagę kościoła i na dokładkę ją osłoniłem przed grzechem. Bo kto jej zarzuci, że ganiała się w nocy po lesie z duchami? Kto, jeśli widział to tylko ten półgłówek wikary, co ani słowa ze mszy po łacinie nie rozumie, a służenie do niej odbębnia w sposób całkowicie śmieszny?

Rozpacz ogarnęła diabła, rozpacz nie do wysłowienia. Chciało mu się wyć, lecz nie mógł nawet jęknąć, bo anioł czuwał blisko. Z oczu poleciały łzy. Przyłożył pięści w miejsca, gdzie powinien mieć rogi, wykrzywił mordę w sposób straszny, że najstraszniejszy gargulec z portalu katedry by tego się nie powstydział, i tak trwał zastygły niczym kamień.

Potem na chwilę ustał w boleści, bo młodzi ze sobą gadali, coś Wojda przybliżał się do dziewczury, a ona go odpychała jakoś tak słabo. Bies pomyślał: Może by tak tego tu wykorzystać? Zawsze to coś. Bo przecież rycerski syn przez czarownice uwiedziony, to też brzmi dobrze, czyli źle. Zasluga w piekle by była, nie ma co!, i już miał się uśmiechnąć, już zaczynał wierzyć w siebie, gdy dopadło go całkowite zwątpienie. Co im zrobią? Co?, zapytał w myślach sam siebie, po czym zaraz odpowiedział: Nic. Bo to ona jedna, co z rycerzem się związała? Też mi wyczyn. Każdy ma jakąś. A że czarownica? Wielkie mi mecyje, znachorka zaledwie. Młoda, ładna, to i rozdurzyła w sobie chłopaka. Tak będą myśleć i mówić. Ujmy trochę będzie na jej czci, może ją przepędzą w inne lasy, może wysieką różgami i w gnoju wytarzają, ale jemu nie zrobią nic, tylko usprawiedliwią. On popłacze sobie, zmartwi się, potem pocieszy inną dzierlatką i inną ślicznotkę dostanie za żonę. Tyle się osiągnie. Nie warto się starać. Za to z wikarym by było coś innego. Niechybnie oboje wpadliby w otchłań. Oboje. A ja z nimi.

Ta ostatnia myśl nagle otrzeźwiła czorta.

Ledwie wystrzelono szatańca na świat boży, on zaraz na złość całemu piekłu postanowił zanielić się i do kotłów z duszami już nigdy nie wracać. Na ziemi mu się podobało, nawet bardzo. Słyszało się ciszę, zamiast nieustannego ryku potępieńców, dzięki czemu wreszcie można było się wyspać do woli, a ludzie, choć różni, byli zwyczajnie lepsi od zawsze złych diabłów. Skoro tu jest lepiej, po co starać się o powrót do wiecznej bezsenności i hałasu? Czy nie lepiej się postarać, zamiast zdiablenia na siłę, o uczynki lepsze?

Pod wpływem nowego ciągu myślowego ponownie diabłu zmienił się nastrój. Szybko nabrał pewności, że dobrze się stało, iż się zagapił na tych dwoje, a po niedługim zastanowieniu inaczej już na nich patrzył. Przysłuchiwał się, o czym

gadali. Już nie myślał, w jaki sposób im zaszkodzić, nawet niewiele miał zamiar psocić, no, może troszkę, ale tylko przez nudę, jaką zionęła ich rozmowa.

Wreszcie coś zaczęło się dziać. Diabeł zbystrzał i aż nieostroźnie się poruszył, gdy dziewczura nadstawiła młodzieńcowi usta do pocałunku. Tym bardziej wysłannik piekielny się ucieszył, bo w tej samej chwili na twarzy anioła wymalowało się wyraźne zgorszenie pomieszane z oburzeniem. Byłby zadziałał coś, żeby się anioł jeszcze bardziej zgorszył albo i pogniewał, ale młodzi tylko niewinnie trzymali się za rączki i całowali samymi muśnięciami warg. Ot, jak dzieciaki naśladujące dorosłych.

Nowe zamiary pojawiły się biesowi w głowie. Nie martwił się już straconą sposobnością do pogrążenia w otchłaniach piekielnych wikarego i czarownicy. Nabrał naglej ochoty na całkowitą błahostkę – na dokuczanie aniołowi. Złap ją za kolano, za kolano, podpowiadał w myślach Wojdzie, ale ten nie łapał. Za cycki ją!, krzyczał w umyśle. Ręka młodzieńca zabujała w powietrzu i już leciała tam, gdzie trzeba, gdy się zawahała i opadła. Anucha wstała, oswobadzając się łagodnie ze sztywnych rąk ukochanego i już odchodziła, ale ich ręce schwyciły się jeszcze i jakoś rozeszły; na koniec tknęli się tylko paluszkami.

W ostatniej rozpaczy diabeł wysilił cały rozum, żeby uderzyć w Wojdę myślą ostrą jak strzała: W rzyć ją klepnij, żeby aż klasnęło!

Wojda – gapa – nie klepnął. Byłby może diabeł coś uczynił ze złości na tego łamagę, ale zerknął na anioła i od razu zrobiło mu się lepiej – tych niewinnych muśnięć wargami, tych ruchów niedokończonych i żądy niezaspokojonych wystarczyło bowiem, aby wysłannika niebios zgorszyć ze szczeniem. Przeto piekielnika ucieszył drobiazg, bo – jak to ludzie mówią – lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, albo: na bezrybiu i rak ryba, tudzież: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Diabeł umiał poprzestawać na małym, skoro nie dało się zyskać wielkiego. To dlatego spał i jadł zawsze, gdy zdarzyła się ku temu sposobność, i to niezależnie od tego, czy czuł senność, czy głód.

Młodzi się rozstali, bo od zachodu nadchodziła groźnie burcząca ciemność, okraszana błyskami piorunów. Każde z nich poszło w swoją stronę. Diabeł jeszcze się wahał, w którą stronę iść – za Wojdą czy za dziewczurą – gdy zobaczył, że gadający coś do siebie anioł ruszył w stronę wsi, jakoś tak, jak nie on – szarpiąc krzaki, wygrażając, miotając się. To uczyniło diabła ciekawskim, ruszył więc za aniołem, zamiast za którymś z ludzi. Cieszył się, oglądając rozterki anielskie: No, proszę, ile to ukrytej złości w tych niebiosach się czai. Tacy zawsze spokojni, tacy wyważeni, a pewni siebie jak nikt. Cóż się stało, że pękła ta anielska cierpliwość? Bo dziewczyna pocałowała się z chłopakiem? Phi! Też mi coś. Za samo to jeszcze nie idzie się do piekła.

Złośliwej radości diabelskiej przyszedł kres, gdy dotarł na skraj lasu. Niestety, bies musiał się zatrzymać – tam, gdzie te złe leśne duchy za dnia – przy

ostatnich drzewach, bo gdyby wyszedł dalej, mógłby go zobaczyć nawet ktoś tak niespostrzegawczy jak rozkojarzony anioł. Wtedy wszystko poszłoby na marne – zacieranie śladów wikarego, radość z przyszłych wydarzeń, no i zadowolenie z anielskich kłopotów.

Choć diabłu się chciało być blisko towarzysza, resztki rozsądku zatrzymały go w lesie. Zobaczył jeszcze, że w oddali anioł zajaśniał czerwonym blaskiem, co rozbawiło czorta, aż upadł na ściółkę i w niej nieco się wytarzał, ale, niestety, nie mógł pofolgować śmiechowi, cichutko więc sobie poświstał. Wreszcie wstał i popatrzył w dal: postać anioła była już malutka, ledwie dało ją się rozeznaczyć, bo to i odległość, i prawie mrok nastąpił od tych dziwacznych chmur, co wyglądały niczym rozpostarta na niebie skóra z czarnego barana. Diabeł uspokoił się.

– Ech, ty durny aniele – rzekł w dobrotliwej zadumie za znikającym towarzyszem ziemskich przygód. – Wy tam wszystko macie odtąd-dotąd, odtąd-dotąd, a gdy się zdarzy coś innego, nigdy nie wiecie, co robić. Tylko umiecie sztywno trzymać się rozkazów i ani jednego kroku w bok. Jeśli coś ma być dobre, to dla waszego zapatrywania musi od razu być najlepsze. Inaczej jest złe. Masz więc, ty dobroci doskonała, coś, co jest ponad twój umysł. Ci dwoje po prostu się miłują, co nigdzie w bożych przykazaniach nie jest zabronione. Pojmiesz to wreszcie, ty durna pało?

Bies zamilkł. W poważnej zadumie popatrzył na wschód, tam gdzie znikł mu już z oczu anioł. Szybko następującą ciemność rozświetlił na chwilę ostatni promień słońca, odbijając się o kościółek i Zalesie, przesywając niczym czerwony miecz wypełnione kroplami deszczu powietrze nad polami. Zaraz też dawały nagłą jasność coraz to bliższe rozbłyski piorunów. Deszcz przebił się przez drzewa i dotknął diabła. Ten, co prawda za wodą zanadto nie przepadał, teraz na to zobojętniał. Coś innego zajmowało jego myśli i uczucia: te śmieszne, anielskie rozterki.

Dziwna sprawa, ledwie uszedł ze sto kroków, zrobiło mu się nie do śmiechu. Patrzył na ręce, co na nie padały krople deszczu, to na jedną, to na drugą, i zauważył, że dłonie ma różne, a przecież gdy je złożyć razem, pasują do siebie, jakby były z jednej gliny ulepione. Takimi też wydali mu się w tej chwili Wojda z Anuchą. Jakże różni, niby to inaczej na świat patrzą, a przecież tyle wspólnego ze sobą mają.

Deszcz się nasilał, pioruny biły w las. Diabeł patrzył to na jedną dłoń, to na drugą, coś w nich czytał i myślał: Nie będzie im łatwo, oj nie. Zawiść ludzka, urażona duma, to będą przeszkody trudne, a nawet niemożliwe do pokonania. On nie wie, gdzie ma przynależeć. Serce? Nie sługa to, ale w jego stanie posłuszeństwo jest najważniejsze, z tego ich siła się bierze. Będzie posłusznym, to go docenią, zwłaszcza za poświęcenie swojego szczęścia. Nie będzie posłusznym – siłą go przymuszają do tego, co dla wszystkich dobre, tylko szanować nie będą. Czyli

ona przegra na tym, ani chybi. Ona do tego świata nie pasuje. Czego by nie robiła, ludzkiego strachu przed nią nie pokona. Leśne biesy ją odtrąciły, ale u ludzi też nie znajdzie zrozumienia. Tylko strach i złość. Wyszedłszy na zorane pola diabeł się przekonał, że rany zadane ziemi radłami i bronami, zagoiły się od deszczu. Nie pozostał po nich ślad. Więcej – ziemia zdawała się oddychać, cieszyć tym, że jest spulchniona i brzemienista. Nad tym zadumał się lekkomyślny z pozoru diabeł – ludzie jednak wiedzą, co czynią. Praw był proboszcz mówiący o ziemi ludziom poddanej. Kaleczą ją, ale i tak wszystko skończy się dla niej dobrze – wszak to, co urodzi, niewątpliwie sama zje, łącznie z ludźmi.

Czarny uspokojony ostatnim odkryciem umysłowym uśmiechnął się chytrze, uradowany zarówno tym, że ziemi nie dzieje się krzywda, i psotami, jakie niebawem będzie płatał w sprawie Wojdy i Anuchy. Nie za długo jednak się cieszył. Wkrótce się okazało, że łażenie po polu w czasie burzy jest groźne nawet dla biesa. A może zwłaszcza dla niego?

Ni stąd, ni zowąd, a właściwie wiadomo skąd, bo z nieba, spadła poczwara wyglądająca całkiem swojsko. Ot, czarna, skrzydlata może i jaszczurka, wielkości psa, z długą szyją, łypnęła na piekielnika ślepiem i zaczęła do niego się łaścić.

– Pudziesz, ty! Pudziesz! – krzyknął wcale nie przestraszony diabeł, a toto nic, tylko dalej pchało się mu pod nogi, a że poczuł do poczwary niewytłumaczalną życzliwość, nie bronił się, ba!, wyciągnął rękę, żeby pogłaskać.

I wtedy gruchnęło.

Oślepiający grom spadł o jakieś pięćdziesiąt kroków dalej. Mimo deszczu jedno drzewko zajęło się ogniem. Jaszczurowaty stwór zadygotał i aż się skurczył. Diabeł podskoczył wysoko, spojrział w górę, wyciągnawszy palec, pogroził w tamtą stronę. – No!

Widok przerażonego, wciąż jednak nieznanego stworzonka, kazał mu dodać dobrotliwie: – Nie masz czego się bać, to tylko...

Nie skończył. Następny piorun trafił bowiem dziesięć kroków od nich. Bies przewrócił się z wrażenia w tę pobrużdżoną rolę, co jej nie tak dawno żałował, poczwara zaś natychmiast wpełzła się pod niego, przywierając do błotnistego dna bruzdy. Czarny podniósł się nieco i znów pogroził niebu. – No!

Tym razem znacznie krócej niż poprzednio, bo natychmiast uderzył piorun o krok od nich, aż diabła przeszedł dreszcz i wszystkie włosy mu się wyprostowały. Tam, wokół uderzenia, powstała mgła z parującej wody.

Spłoszony jaszczur wyskoczył spode diabła i biegł kilkanaście kroków, a za nim uderzyły jeszcze dwa gromy. Diabeł także już nie czekał. Nie wygrażał niebu, nie litował się nad stworem, co z nim odczuwał nieodpartą powinowatość, lecz sam uciekał jak najdalej. Poczwara, nie widząc innej osłony, zawróciła i starała się dogonić biesa, żeby znaleźć znów pod nim schronienie od ciskanych z góry błyskawic.

Walily raz za razem.

Z boku wyglądało to nawet śmiesznie: uciekający co sił w nogach diabeł, za nim ni to pies, za którym trzaskały pioruny. Czarny co kilka kroków podskakiwał wysoko, a to widokowi tylko przydawało śmieszności. Ale do śmiechu Czarnemu Januszowi nie było. Ani do żartów. Właśnie jeden ognisty szpic sieknął go prosto w zadek, piekielny wysłaniec podskoczył wysoko, oj, bardzo wysoko, po czym bryknął niczym jelonek.

Poczwarą za nim.

– Precz! Precz! Won! – krzyczał szatan, lecz potwór nic, tylko pchał mu się pod nogi. Znienacka więc zawrócił, co zmyliło jaszczurę, który został sam na polu, a wtedy następny grom rozerwał bestię na strzępy. Nagle, w tej jednej chwili, burza ucichła, deszcz tylko padał czarnoszarymi, szemrzącymi strugami.

Diabeł przebiegł jeszcze trochę z przyzwyczajenia, aż pojął różnicę ciszy od huków gromów i wówczas z ulgą opadł w błoto. Wciąż nie było mu śmiesznie, o nie. Zmordowany, przysiadł; wokół pachniało siarką, niemal jak w piekle. Więcej nie chciałby jednak tej swojskości zaznać.

Deszcz przestał padać, a wtenczas bies powłókł się do domu. Był niedaleko kościółka, gdy chmury się rozeszły i zaświecił diabeł w ślepiach sierp rosnącego miesiąca. Spojrzał w jego szczupłe oblicze i powiedział sobie w duchu: Wiesz tyle co ja. Wszystko widziałeś, wszystko. W razie czego będziesz mi świadczył, moje ty wilcze słoneczko. – Uśmiechnął się chytrze na myśl, co się stanie z samopoczuciem anioła, gdy...

– Pomożemy jej – szepnął całkiem wyraźnie.

GOŚCIE

Dokąd orlątko z rodu Piastów

Lecisz niczym spłoszony wróbelek?

Wszak imię nosisz Bolesława

Musisz poczynąć sobie śmieiej.

Właśnie wojska krakowskie i sandomierskie zmierzały ku przeznaczeniu, anioł i diabeł, obaj naraz, żeby zrobić sobie wzajem na złość, postanowili pomóc

dziewczurze w ziszczeniu miłości, gdy we Wrocławiu spotkały się dwie gałęzie rodu Piastów. Gospodarz tych ziem, dojrzały wiekiem, doświadczeniem i powagą książę Henryk Pobożny podejmował niespodziewanego gościa, mianowicie zaledwie piętnastoletniego, zahukanego księcia sandomierskiego, Bolesława Jeszcze Bez Przydomka, na razie popychadło w rękach nadopiekuńczej matki, wdowy po Leszku Białym, Grzymisławy. Owa matka także przyjechała – wiecznie wystraszona i płaczliwa, nieustannie jednak gotowa rządzić. Przybyła również Kinga, niedawno poślubiona Bolesławowi córka z madziarskich książąt, śliczne siedmioletnie dziecko, acz poważne tak, jakby przeżyło już sto lat i niejedno zło tego świata poznać i pojąć zdążyło.

Wobec możnych już się przywitali z pełnym dostojenstwem, z zachowaniem ważnych póz, wyuczonych pocałunków i pokłonów, teraz więc, na osobności, z mieszaniną złości, litości i niemocy Henryk patrzył na troje klęczących ludzi, bez wątpienia dobrych, poczciwych, szczególnie bogobojnych, że bardziej od nich to tylko pustelnicy... Mieli jeszcze jedną właściwość: dziecięcą bezradność w zetknięciu z trudnościami, co nie powinno dziwić tylko u jednego z nich. Kinga była przecież jeszcze całkiem małą dziewczynką.

Bezradność, łzawe prośby o litość, uniżoność najszczerza ze szczerych, miały jednak w sobie coś nad wyraz drażniącego, zwłaszcza dla Henryka. Akurat ci ludzie, chociaż godni najwyższej chrześcijańskiej litości, jawnie okazujący potrzebę, aby opiekę nad nimi roztoczyć, tych troje bezradnych ciał ze smutnymi oczami, co nie potrafiło ani razu się narazić, całymi dniami rozprawiało, co dać by biednym, miało jednak w sobie tyle woli i możliwości działania, żeby sprawnie psuć jedność kraju. Sami rządzić nie potrafili, lecz lepszym od siebie umieli stawiać na tym polu istotne przeszkody. Nie własnymi pomysłami! Trwali przy ułudzie ważności, będąc w istocie kukielkami w rękach igrców: wojewodów – jednego z drugim, podczaszych, skarbników.

Nie hamowała złości księcia świadomość tego, o nie, zwłaszcza w okolicznościach spędzających mu sen z powiek. Stały się jasnymi powody, dla których proszący, i on sam, są znacznie słabszymi od trudności, jakim należało teraz stawić czoła. Zerkał, bo nie śmiał spojrzeć we wlepione w niego, zażawione oczy trojga ludzi niezdolnych do oceny wagi własnych czynów – miał przed sobą uczłowieczone postacie straconych szans na scalenie kraju. To uderzało go w trójnasób.

Złość złością, lecz nieco innego rodzaju myśli doprowadzały śląskiego księcia na skraj szału. Czuł bowiem, że tym zażawionym spojrzeniem już nieco zaczyna ulegać i na koniec z pewnością ulegnie, nawet jeśli jednym słowem się nie odezwą. Wystarczy, że będą patrzeć jak na Pana Boga i się modlić. Powinien być twardym władcą! Wszyscy by zrozumieli, nawet te niezguły, że mając teraz w ręku główne przeszkody na drodze do siły i wielkości, powinien je zamknąć za murami

któregoś zamku lub klasztoru na trwałą gošcinę. Niestety, wiedział, że nie skorzysta ze sposobności i nie wtrąci do lochu tych żalonych cierpiętników, chociaż nie tylko własne, przeto mu najmilšie dobro, lecz również dobro kraju tego wymagało. Dalece poprawiłyby to widoki na koronę królewską – wokół korony można się jednoczyć i rosnać w siłę, zamiast dzielić, dzielić i dzielić, co już czwarte pokolenie postępuje i z każdym pokoleniem kraj karleje, czego żywym przykładem jest ten wystraszony Bolesławek nazywany księciem sandomierskim. Śląski książę tylko dodatkowo się złościł, głównie na siebie, na kołaczącą się po głowie, niewczesną, chrześcijańską rycerskość. Gniew księcia nie ustawał, bo żywił się dwojako: głupotą krewnych szkodzących zwłaszcza ostatnimi czasy, i własną, przyrodzoną słabością, niepozwalającą na skorzystanie ze świetnej okazji pozbycia się tych, którzy zgodnie z prawem władzy sobie dobrze czyniąc, źle czynią Polsce.

Henryk chciał coś powiedzieć, ale się bał, że wybuchnie, zachowa się w sposób niegodny. Zgodził się na rozmowę na osobności, zresztą sam jej pragnął. Nie chciał krzyczeć, nie chciał dawać powodów do następnych złości, bo akurat tych troje uważał za mało groźnych, najbardziej poczciwych, choć głupich, i – zwłaszcza ostatnio – szkodliwych. Podejrzewał, że w innych okolicznościach byliby ludźmi dobrymi, co zachowują księstwo, ale i posłusznymi poleceniom seniora. Dzisiejsze, parszywe okoliczności sprawiały jednak, że ich działanie mogło mieć złe następstwa.

Oto klęczą przed nim trzy poczciwiny o dobrych serduszkach, fundujące kościoły i klasztory bez opamiętania, spędzające w świętych miejscach i na modlitwach więcej czasu niż w łóżach. Śląski książę Henryk II, przerastający ich rozumem i jeszcze lepszym sercem, teraz, Niestety, tylko żałował, że jego ojciec zmarł, bo ten na pewno coś by stanowczo zdziałał, nie bacząc na klątwy, prośby i łzy.

Henryk kilka razy nabierał tchu, aby coś powiedzieć, i tylko połykał powietrze, aż miał wrażenie, że pęknie. Podniósł rękę, ale jakby nie wiedział po co, i ten gest nieco go zakłopotał. Tedy tylko przyjrzał się nadto dobrze sobie znanej dłoni, od czego także zrobiło mu się głupio, więc ją opuścił. Kilka razy coś chciał powiedzieć i cokolwiek zdziałać, za każdym jednak razem powstrzymywały go sarnie, zapłakane oczy Grzymisławy, tym bardziej wyraziste, że z bladej twarzy okolonej wdowim czepcem patrzyły. Wreszcie coś powiedział, lecz tylko dzięki temu, że się obrócił w bok.

– Powiedz mi, pani, co czynisz? Co zamierzasz?

– Panie, uczyń nam tę łaskę, nie karz nas, bądź naszym obrońcą – tu księżna przypadła z nienacka ustami do dłoni Henryka, aż ten się wzdrygnął i odskoczył.

– Cóż czynisz? To aż nie przystoi – mówiąc to, spojrział na Grzymisławę, a wtedy zobaczył samą żalność: władzę zapłakaną, na kolanach. Powiedział więc: –

Wstańże, niewiasto, wszak jesteś księżną. No i nie na Rusi jesteś, lecz w Polsce. Tu władca zawsze ma podniesioną głowę, nawet przed królem.

– Obiecaj, księżę, że nas nie dasz skrzywdzić – zapłakana Grzymisława nie wstała, nadal prosiła, zaciągając z ruska.

– Za kogo mnie bierzesz, pani? – Henryk aż zgrzytnął zębami. – Za tego prostaka Konrada? Ja jestem Henryk, syn Henryka. Wstańże, bo nie ręczę za siebie. Oni też niech wstaną. – Pokazał na młodych, co próbowali we wszystkim naśladować matkę, ale ręce do całowania miał tylko dwie, nieco więc musieli się przepychać.

Wzbraniał się przed tymi poddańczymi pieściami, nic to jednak nie dawało. Bezwiednie zrobił krok w tył, potem się cofał, cofał, aż dotarł do ściany.

Tamci pół komnaty przeszli za nim na kolanach, próbując całować go po rękach. Dopiero pod ścianą wyrwał się z zakłopotania, bezwiednie ocierając o spodnie zroszony wdowimi łzami wierzch dłoni. Podeszedł do swojego krzesła, chwilę pokręcił się przy nim, nie wiedząc, co ma w istocie czynić. Wreszcie usiadł.

Tamci powstali z kolan, także zasiedli, ale na ławach i to przyklękając zrazu, żeby Henryk górował nad nimi przynajmniej połową tułowia. Wtedy dopiero księżę przemówił, prawda, że znów po dłuższej chwili milczenia, znacznie jednak już spokojniej.

– Ja ciebie, pani, nie rozumiem. Mogłaś siedzieć bezpiecznie tam, gdzie mój ojciec ci nakazał. W Skale, tak? Mogłaś zdać się na mnie, ale nie, ty wolałaś zarządzić, pogmatwać to, co proste. No i masz tego owoce. Masz! Dobrze wiedziałaś, że od jesieni zabiegałem o ścisły sojusz przeciw Tartarom, ale ty wszystko popsulaś niewczesnymi radami dla tych, co powinni byli mnie słuchać. Ubyłoby twojego syna, gdyby chciał korzystać z moich rad? Powiedzże, ubyłoby?

Niewiasta podniosła na niego załzawione oczy, takie, jakby je ktoś przepisał z ikony.

– Nie, panie... Źle uczyniłam... – mówiła, pociągając nosem. – Myślałam, że chcesz wszystkie ziemie zagarnąć dla siebie.

– Co byłoby złego w tym, że byłbym wodzem wojska śląskiego, krakowskiego i sandomierskiego? Co by złego się stało? Korona królewska by spadła z głowy temu dzieciuchowi?! – krzyknął księżę i wskazał na Bolesławka. Czekał na odpowiedź, ale nikt nic nie odpowiedział, dlatego sam mówił dalej: – To teraz masz. O najeździe dowiaduję się dopiero od was, a nie jesteście najszybszymi jeźdźcami świata. Wojewoda krakowski, przekonany, że z twoim poparciem może się ważyć na wszystko, nawet gońców do mnie nie raczył wysłać. Wojewoda sandomierski dogadał się z wojewodą krakowskim, że razem będą działać i we dwóch zawojują cały świat, choć mają nawet nie pół tego, co ja sam. Wszystko z twoich, pani, pomysłów. Dopiero teraz to wiem, dopiero teraz. Co ja mówię! Wiem? A co ja wiem? Jestem spóźniony we wszelkich działaniach o prawie

tydzień. Dlatego sam Bóg tylko raczy wiedzieć, co tam teraz się dzieje.

Wzburzony książę w milczeniu chodził gniewnie po komnacie, a ci obracali się za nim, niczym kukielki kuglarza wiedzione sznurkami. Także nic nie mówili. Henryk nie siadał – wstali też i oni, po czym natychmiast padli na kolana. Gospodarza to zakłopotало, już robił krok, jakby chciał ich podnosić, sadzać na ławie, ale machnął na to ręką i, chcąc nie chcąc, powiedział: – Gdzie był twój syn, gdy się dogadywało tamtych dwóch głupków, co ich sama wyhodowałaś? Co ci się wydawało? Że dwa kraiki wystarczą za całą Polskę dla twojego Bolesława, co jest jak niemowa? Sądziłaś, że oni dopuszczają, aby im wypłoszony dzieciak rozkazy wydawał, jeśli mnie się opierają, mnie, co mam wojsko i bogactwa? – zachnął się gniewnie, podszedł do krzesła i wreszcie usiadł. Po czym mówił już nieco spokojniej: – Wypadałoby mi zrobić tak, jak to by pewnie uczynił Konrad. Zebrać wojsko, najechać Kraków i Sandomierz i ściąć kilka głupich łbów. Was gdzieś zawrzeć, byście już więcej nie szkodzili. Siadajcież wreszcie na ławie, bo pomyślę, żeście niewolnicy.

Goście z ociąganiem podnieśli się z kolan i przemieścili tyłki na ławę, ale tak, aby Henryk wiedział, że to Kalwaria. Klęczenie nie było dla nich niczym nowym, domyślił się książę, jak mnisi, jak mnisi. Tylko się modlić, ale żeby coś zdziałać, to za nich trzeba pomyśleć.

Ani Grzymisława, ani Bolesław, czy tym bardziej Kinga, długo się nie odzywali. Henryk, nie potrafiąc wychłostać ich ręką, choć słownie chciał sobie użyć. Zwrócił się więc do Bolesława, który od razu zrobił się na twarzy purpurowy.

– To gdzie jest nieprzyjaciel? Gdzie twoje wojsko, kniaziu? – Książę milczał, książę więc go dobijał. – Dlaczego nie staniesz na jego czele, tylko uchodzisz, zanim cokolwiek się wydarzy? Powiesz wreszcie czy nie? Gdzie twoje wojsko? Nawet tego nie wiesz?

Bolesław jeszcze bardziej poczerwieniał. Z oczu pociekły mu łzy. Już kapały na stół, ale nie ocierał ich z twarzy. Wtedy odezwała się jego matka: – On musi ocaleć. To przecież dziedzic Leszka.

Henryk popatrzył na nią z pogardą i zwrócił się do niedorostka, ale już z pełną powagą i prawie prosząco: – Co ona z ciebie zrobiła? Gdzie twoje męstwo? Leszek pewnie obraca się w grobie. Młodzieńcze, zrób wreszcie coś przystającego prawdziwemu mężowi. Jedź do swojego wojska, sprowadź je tu i stań u mego boku. Uwolnij się od tej głupiej niewiasty, której się zdaje, żeś ciągle niemowlęciem. Jeśli tak uczynisz, przysięgnę ci nigdy nie ruszać twoich dziedzin. Zawrzemy przymierze wieczyste. Dogadamy się co do rozprawienia wrogów i zawsze przyjdziemy sobie z pomocą. Tylko uczynź coś, co pozwoli ocalić twoje państwo, a być może i moje. Tu każdy dzień się liczy. Może jeszcze ostali się przy życiu, może jeszcze czas. – Wypowiadając żarliwie ostatnie zdania, Henryk wyciągał ręce do Bolesława, ten jednak wciąż milczał. Zniecierpliwiony książę,

inaczej niż miał to w zwyczaju, walnął pięściami w stół, aż troje gości podskoczyło. – Odpowiesz czy nie?

– Winien jestem... posłuszeństwo... matce – przemówił wreszcie młodzieńki książę z Sandomierza, co prawda krótko i z zająknięciami, ale dobra psu i mucha.

Na oświadczenie, które mogłoby wydać dowolne jagnię, śląski Piast uczynił tak: opadły mu ręce. Pomyślał, że gdyby prości ludzie wiedzieli, jak niewielkimi rozumami są rządzeni, w trzy dni skończyliby z każdą władzą i znów mądry kołodziej stanąłby na czele państwa – tak stało się w Polsce, albo oracz – tak stało się w Czechach. Tylko że teraz nawet myśleć nie wolno w ten sposób, bo byłby to koniec świata; Henryk wstał z wrażenia na tę myśl, ale tylko obrócił się na pięcie i znów usiadł. Zamyślił się. Popatrzył ze współczuciem na niezbyt męskiego krewniaka. Było nie było, przed nim siedzi zapłakany, trochę zasmarkany, głupawy, no ale zawsze pomazaniec boski. Tedy zamiast uczynić to, co należało, czyli zamiast wyciągnąć miecz i litościwie ściąć mu głowę od jednego zamachu – a i taki pomysł miał w chwili gniewu – przemówił łagodnie: – Czy ty, chłopcze, wiesz, co to powinność książęca? Trzeba służyć swemu ludowi, bronić go, ale i sądzić, a przede wszystkim być z nim na dobre i złe? Czy ty wiesz, co to powinność rycerska? Trzeba odjechać od żony i dzieci, żeby położyć na szali nie tylko miecz, lecz także głowę, i to bez cienia pewności, że można ją ocalić. Nigdy nie wiadomo, co się zastanie po powrocie do domu. Tedy pytam cię jeszcze raz: czy wiesz, gdzie jest twoje rycerstwo?

Piętnastolatek pokręcił przecząco głową, a łzy pociekły mu już ciurkiem. Chyba coś wreszcie pojął. Wtedy książę zapytał nadal spokojnie: – Staniesz u mego boku? Pomożesz w odparciu najazdu, choćbyśmy mieli z siłami piekła się potykać?

Tu młodzieniec nawet głową nie pokręcił. Wyszeptał tylko z całą bezradnością: – Nie umiem się bić. Nie rozumiem się na tym. Tyle razy się modliłem, ale nigdy nie przyszła do mnie ochota rycerska. Matka radziła, żebym zdał się w prowadzeniu wojny na lepszego od siebie, tedy tak zrobiłem. Ona starsza jest, mądrzejsza. Trzeba ufność w Bogu pokładać. Wojewoda Pakosław, kasztelan Jakub Raciborowic, wojewoda Włodzimierz to mężni ludzie. Już raz sobie poradzili...

Na tym w miarę potoczysta wymowa żalosego książątka się skończyła. Załamany, a nawet zgnębiony, przede wszystkim zmęczony nieustanną podróżą, złożył przed sobą ręce na stole i schował w nie głowę, szlochając. Młodzieńka, malutka Kinga podsunęła się do niego i jęła go głaskać po plecach i głowie.

Henryk powiedziałaby coś o będących w zмовie przeciw niemu wojewodach, ale oniemiał na widok tych czułości: ust, co mu same się otwarły, nie zamknął. Przeniósł wzrok na Grzymisławę i prawie się wzdrygnął – jej oczy były chłodne, uważne, badawcze, ale tylko przez mgnienie powieką, bo zaraz zrobiły się

proszące i zażawione. Książę to zauważył. Pomyślał wtedy: To suka!, po czym ni to zapytał, ni stwierdził prawie szeptem: – Coś ty z niego zrobiła?

Nie dostał odpowiedzi, wzdrygnął się więc i zadał kolejne pytanie pełnym głosem: – Co zamierzacie uczynić?

Grzymisława zrazu udała głupią, Bolesław zaś nie podniósł głowy z ukrycia. Niezręczność ciszy musiał ktoś jednak przerwać, z tej lamentującej trójki jedynie stara księżna potrafiła to zrobić. Odezwała się takimi oto słowy: – Pojedziemy na Węgry. Tam się schronimy i przeczekamy najazd. Chcemy tylko, żebyś nam udzielił orszaku zbrojnego na bezpieczny przejazd. Gdy wrócimy, uznamy cię panie naszym opiekunem. Bolesław i Kinga ślubowali sobie czystość i wytrwają w niej do śmierci. Zawrzemy układ, że nic bez ciebie nie postanowimy w sprawach zewnętrznych. Tak twoje potomstwo odziedziczy władzę w ziemi sandomierskiej. Dlatego wojsko dostało rozkazy, żeby w razie niepowodzenia uchodzili nie na Mazowsze, nie na Kujawy, lecz na Śląsk, do ciebie. Mają iść prosto na Wrocław. A my... my nie nadajemy się do wojny, zwłaszcza tak okrutnej.

Henryk zdziwił się jeszcze raz. Nie można powiedzieć, że niepomierne. Dał temu wyraz, pytając w zadumie: – Chcecie uciekać, gdy wasz kraj ogarnięty jest wojną? Nie kiwaj głową, powiedz, czy to prawda! – zezłościł się.

– Prawda – przyznała niechętnie księżna-wdowa.

– Pra...wda... – przyznał Bolesław z zająknięciem.

Henryk się wyprostował, pomyślał chwilę i rzekł do chłopca: – Niech te baby sobie jadą. Ty zostań ze mną, a dokonasz czynów godnych księcia. Jeśli teraz uciekniesz, już przez całe życie nic, tylko będziesz uciekał. Jak cię ma szanować twoje rycerstwo?

Zawstydzony młodzian nie odpowiedział. Znalazł wsparcie w innej osobie niż w matce.

– Będzie najpobożniejszym z władców – pewnie odezwała się Kinga dziecięcym głosikiem.

– Przecież to na mnie mówi się Pobożny. To co o nim powiedzą? Bolesław Jeszcze Pobożniejszy? – kpił z dziecka książę Henryk.

– Jest jeszcze za młody, żeby wojować – odparła na to stanowczo dziewczeczka, będąca co prawda dziewczyną, ale żoną, a raczej – zważywszy na postać – żonką.

Śląski książę popatrzył na nią uważnie. Buzia była blada, ale zdradzała wrodzoną śniadość. Oczy czarne. Ładne dziecko, mądre, pomyślał, a na głos rzekł: – Co czeka kraj, gdzie dzieci są mędrze od dorosłych? Jesteś jeszcze za młoda, żeby rządzić, ale rozum już masz, w przeciwieństwie do tych dwojga. Że też nie jesteś dojrzałym mężem – westchnął, ale zaraz dodał: – Może i dobrze, bo ty umiałabyś swojego dojść. – Niby już skończył, lecz jeszcze krzyknął do Bolesława: – Ty nim wreszcie bądź! Zamknij matkę w klasztorze, to dobrze zrobi nam

wszystkim, a zwłaszcza tobie.

Wdowa Grzymisława zachnęła się na to, ale zaraz jej twarz przybrała wyraz pokorny i proszący, ręce złożyła jak do najszczerzej modlitwy.

Henryk podszedł do okna – niczego nie było widać, jak to przez pęcherze – mocował się chwilę z otwarciem, po czym poniechał tego i odwrócił się do trójcy z Sandomierza.

– Jedźcie sobie, dokąd was oczy poniosą. Jeśli nie chcecie mi pomóc w wojnie, poradzę sobie bez was. Chciałem wam udzielić gościny na święta, zaraz przecież Niedziela Palmowa, ale skoro wam tak bardzo stoi wasza niezależność, to droga wolna. Tylko ty – zwrócił się teraz do Bolesława – podpiszesz swoją wolę, że wojsko, co ujdzie z bitwy, jeśli w ogóle ujdzie, ma mnie we wszystkim słuchać aż do zakończenia wojny. Zresztą zaraz wyślemy gońców, aby rycerstwo sandomierskie i krakowskie nie stawało do bitwy, póki nie nadejdę z pomocą. Na samo zebranie wojsk potrzeba mi z tydzień. A wyście nawet gońca nie wysłali... – zakończył z wyrzutem, po czym poszedł od nich prosto do żony.

Księżna zapytała męża natychmiast: – Co z nimi zrobisz?

– Nic. Dam wolny przejazd.

– Dlaczego? – nie kryła wyrzutu.

– Po co mam ich więzić i dawać Konradowi albo Odonicom sposobność do jątżenia przeciw mnie? – Henryk odparł ze spokojem. – Sama powiedz, co przyszło Konradowi, że miał Grzymisławę w zamknięciu, że nawet krzepko ją bijał, gdy mu przyszła ochota? Musiał ją wypuścić, a od tamtej pory ludzi trzyma przy nim tylko strach, nie poważanie.

– Znów ci zaszkodzą – powiedziała Anna, ale ten argument nie przekonał jej męża. Uderzyła więc w inny ton: – Ten Bolesław... Masz syna o tym imieniu. Ilu może być Bolesławów w jednym pokoleniu, z jednego rodu?

– Nie martw się Anno, mam na to pomysł. Kiedy Tartary pobiją Sandomierzan i Małopolan, będę ich zbawcą. Wszyscy wtedy pojmą, że w jedności siła.

– A jeśli nie pobiją? Co wtedy uczynisz?

Z ust księcia zniknął uśmiech.

– Wtedy uderzę na Kraków – powiedział surowo, jak nigdy, aż wzbudził trwogę u Anny. – Włodzimierz przypomni sobie, co spotkało jego naddziada za wywyższanie się nad księżętą.

Księżna Anna zamyśliła się nad tym. Nic już nie mówiła, nie miała do kogo, bo mąż poszedł do innych obowiązków. Zaniepokojona szukała sobie zajęcia, na krótkiej rozmowie przyjęła Grzymisławę, Bolesława i Kingę, chwaliła ich za pobożność z najszczerzym uśmiechem, jaki umiała przywołać na twarzy. Wieczorem towarzyszyła im we mszy, wysłuchiwała modlitw i czemuś zamyślona, udała się na spoczynek. Po odprawieniu sług, weszła do komnaty, niosąc światło.

Henryk już usnął, a spod okrycia wystawała jedynie głowa okolona brodą i całkiem gęstymi włosami. Przekrzywił ją nieco, otworzył usta i pochrapywał. Coś mu się śniło. Westchnęła tylko na jego widok i zgasiła świeczkę dmuchnięciem.

Zła była na Henryka, zła na siebie, na wszystko i wszystkich. Uważała, ba!, wiedziała, że nie powinien tych trojga wypuszczać wolno z Wrocławia. Księciem muszą powodować względy chrześcijańskie, w rządzeniu chodzi jednak o całe państwo, nie zaś tylko o niego samego. Żywiła przekonanie, że jeśli nawet skrzywdziłby kogoś swoim postępkami, to najwyżej tych troje, ale nikt by ich nie żałował. A on niczego nie zrobił! I teraz spokojnie usnął.

Anna rzuciła się gniewnie na posłanie, potrącając męża. Nie obudziła go, nie mogła więc wyrzucić na nim dodatkowej złości. Gdy już myślała, że nie uśnie, choć ten nedorajda obok smacznie sobie śpi, sen przyszedł.

Nazajutrz księżna znów obmyślała, jakby ofukać męża, ale sandomierskim władcom pokazywała na pożegnanie twarz miłą i przychylną. Krótka trwała to nieszczerze rozstanie. Trójka dostojnych gości w otoczeniu służby pojechała pośpiesznie na południe, prosto pod następne chmury ciągnące znad Czech, żeby przez Morawy dotrzeć na Węgry. Nie dojechali tam jednak, bo wieści dochodzące z ojczyzny Kingi były jeszcze gorsze niż nedorzeczne plotki o tym, co działo się w Polsce.

RUTA

Żeby diabelstwa do siebie nie dopuścić, weźmij ziele ruty zrywane o północy, a noś przy sobie tak, aby z każdej strony pierwszej zły musiał tego ziela dotknąć, nim dotknie ciebie. Możesz użyć ziela suszonego, ale nie tak ono mocnym jest jako świeże. Suszone się kruszy, noś więc je w woreczku zawieszonym na szyi. Co prawda diabeł będzie miał do ciebie przystęp i może ci szkodzić, ale twojego serca wtedy nie zajmie. Jakby z pokarmem ktoś chciał ci złe zadać, to weźmij szczyptę tego proszku, na jaki zetrze się ziele w twoim woreczku, i posyp nim jadło, a możesz bezpiecznie od złego je spożyć.

KSIĘGA TRZECIA

STRASZNA WIELKANOC

Ledwie książę Henryk odprawił niespodziewanych gości, rozesłał gońców z wiciami po własnych dziedzinach i posłańców z listami na wszystkie strony świata z prośbami o pomoc. Potem sam pojechał z niewielkim pocztem na wschód, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Księżna Anna tymczasem zdążyła zastanowić się nad czynami męża i uznała, że postąpił nie dość, że iście po królewsku, to jeszcze sprytnie, pozwalając na odjazd w dalekie kraje tego dzieciucha Bolesława. Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, żeby ziemia krakowska i sandomierska przeszły w jego ręce, jedyne, który może nieść istotną pomoc. Pożegnała więc go niczym przyszłego króla, a w niej samej duch urósł i rozmyślała o tym, że byłoby dobrze zostać królową.

Rozdział 7. Nim nastąpiła Niedziela Palmowa

Dobre samopoczucie zakłócił księżnej Annie sen. Za jego sprawą zaczęły nią targać niepokoje, jakich jeszcze w życiu nie zaznała.

We śnie stała na murach legnickiego zamku i się modliła, mimo to pod mury podchodziło coś w postaci wszechogarniającego błota, zwałów ziemi, która nasuwała się na pola, domy i drzewa, i wszystko miażdżyła, przygniatała, mieszała ze sobą i zagarniała. Powódź? Pełzający żywy wał wysuwający tu i ówdzie macki i łapy? To coś nie przewyższało legnickich murów, lecz sprawiało wrażenie, że zjada samo siebie, wydając przy tym chrzęst ni broni, ni miażdżonych kości i drzew, ni kroków tysięcy stóp wymieszanych z tupotem końskich kopyt.

Na widok nadciągającej grozy modlitwa uwięzła Annie w gardle, a myśl nie umiała znaleźć Boga. Przed niepowstrzymanym zjawiskiem uciekały wymieszane ze sobą zwierzęta dzikie i domowe: wilki obok owiec, psy z zającami, jelenie i niedźwiedzie między krowami, tysiące myszy, a pośród nich łagodne tym razem łasicie. Górą leciały wróble, gołębie, czaple, kaczki, sokoły, orły i mnogość innego ptactwa. Część siadała na wieżach i dachach legnickiego zamku, lecz większość uciekała dalej, nie ufając, że uczyniona ludzką ręką twierdza oprze się tej nieludzkiej nawale. Jeszcze wyżej, co księżna zobaczyła mimo zauroczenia widokiem nadciągającego końca świata, leciały niby na jesiennym niebie tysięczne klucze gęsi, żurawi i kaczek. Mieszały się i przecinały gęsto, czasem przemieniając się w postać ciemnych chmur. Co dziwne – wron i gawronów nigdzie nie spostrzegła.

Pośród nielotnych zwierząt uciekali również ludzie. Niektórzy – czy to z utraty sił, czy też w poczuciu, że już i tak wszystko stracone, czy może w ostatniej nadziei na schronienie – próbowali chować się za drzewem, pod płotem lub wygrzebanym własnymi rękami dole. To było na nic, bo bezkształtny wał zakrywał, czy raczej zalewał raz na zawsze wszelkie schronienia, z ukrytymi w nich ludźmi.

Porażał nie tylko widok. Nie do zniesienia był głos. Powietrze wypełniał różnoraki ryk, pisk i skowyt zwierząt oraz krzyk i płacz ludzi. Anna zakrywała więc to oczy, to uszy, ale pełznące zło nijak nie chciało zniknąć.

Zwały grozy wreszcie do niej się przybliżyły, wtenczas zobaczyła, że nie jest to spiętrzona ziemia, najeżona pochłoniętymi gałęziami, lecz setki tysięcy, raczej setki setek tysięcy wojowników. Postaci przerażały – miast twarzy mieli wilcze pyski, którymi żarli ludzkie mięso, miast oczu żółte albo czerwone świece. Pokrywały je dziwaczne zbroje i stroje, w łapach dzierżyli broń, jakiej nigdy księżna nie widziała. Konie wojów, nie konie, a bestie, których paszcze zbrojne w zęby niedźwiedzi, rozwierały się szeroko, porywały napotkaną zwierzynę albo

ludzi i zżerały.

Zdawało się, że już niczego bardziej przerażającego nie można zobaczyć, lecz wkrótce Anna się przekonała, że można, a to, co zobaczyła, zmroziło ją na wylot i uczyniło, że jeszcze po przebudzeniu targał nią zimny dreszcz.

Na czele straszego pochodu, wysunięty o kilka kroków, jechał na zwyczajnym koniu nie kto inny, a jej mąż, książę Henryk. Chciała do niego mówić, na niego krzyknąć, może o coś zapytać, ale zaraz nie wiedziała, nie zapamiętała, co, o co i po co. Zresztą nieistotnym było już to pragnienie, bo chociaż widok i głos nawaly ją przerażały, postać męża nappełniła już beznadziejną grozą.

Henryk miał nieruchome spojrzenie, powieki półprzymknięte, usta otwarte, aby coś powiedzieć, a wszystko w pół słowa, w pół mrugnięcia, nieruchome martwością, na którą nie działały wstrząsy od jazdy na koniu. Powinien chociażby okiem mrugnąć, a tu nic, żadnego ruchu – Henryk nic takiego nie zrobił. Musiał ją widzieć, głowę ubraną w książęcy kołpak miał bowiem nieco uniesioną i cała jego blada, nawet sina twarz patrzyła prosto w nią, nieodstępną towarzyszkę trudów małżeńskiego życia i gorzkiej władzy. Coś dziwnego było w tym zapatrzeniu, zdętwieniu – twarz księcia była nieruchomą larwą założoną na głowę.

Anna nie wytrzymała zbliżającego się bezruchu i po kilkakroć próbując wydać z siebie głos, nie powiedziała ani nie krzyknęła „książę” czy „panie mój”, jak wypadało pośród ludu tego świata, tylko zaskowyczała: – Henryku! – I ten skowyt ją obudził.

Odnalazła siebie w łóżu na zamku we Wrocławiu, nie w Legnicy. Nawet jeszcze nie świtało. Szybko zaczęła się krzątać, zakładać suknie. Kazała budzić córki i młodszych synów, sobie czesać włosy, żeby założyć na nie mnisi welon, po czym przyklęknęła do krótkiej modlitwy w towarzystwie zaspanych córek w strojach młodych mniszek. Koniecznie próbowała wyrzucić spod zamkniętych powiek obraz męża jadącego na legnicki zamek na czele roju piekielnych bestii. Kołatało się w głowie księżnej kilka pytań: Dlaczego Legnica? Dlaczego tak dziwnie? Dlaczego dziś? Przez jakiś czas nie znalazła na nie odpowiedzi.

Odtąd już nigdy nie powrócił do księżnej Anny nastrój królewskiego uniesienia.

POBOJOWISKO

Obłoki strzał co kryją słońce

Tysięczne krzyki jak w rozpacz

Strumienie krwi na wielkiej łące

I cisza co już wszystko znaczy.

Zaledwie część wojska poszła w pościg za niedobitkami. Większość pozostała na miejscu, pod Chmielnikiem. Pradawnym zwyczajem Tartarowie ucztowali na polu wielkiej bitwy, weselili się na różne sposoby, całkiem sporo popijali, wreszcie dzielili łupy. Wśród świetnych zdobyczy, jakie zyskał tartarski wódz Ordu, znalazł się krakowski wojewoda Włodzimierz kary rumak z zaschlą na nim skorupą błota wziętego z pyłu bitwy, krwi i ziemi. Piękny, wielki koń był nieco kłopotliwy. Jakby zdziaczał i nie dawał nikomu do siebie się zbliżyć, gryzł i bił kopytami wszystko, co podchodziło, czy koń, czy człowiek – obojętnie. Dla niego bitwa jeszcze się nie skończyła, chociaż od dwóch dni było już po wszystkim. Z obłędem w oku, ze skulonymi uszami, kwicząc, rzucał się nawet na klacze podstawiane mu dla udobruchania.

Ordu i kilku tysięcy oglądało ten widok ze śmiechem. Ich konie, co je przywieźli z głębin wschodnich piekieł, były znacznie mniejsze, kudłatsze i wytrzymałsze, co się okazało na przykładzie koni ruskich, które niby silnymi się wydawały, ale na krótko, na jeden dzień zaledwie, bo nie miały w sobie wytrzymałości. Ten koń był wyraźnie inny niż ruskie – walczył wytrwale.

Myśleli, że się uspokoi, ucztowali tłusto i suto, znów przychodzili oglądać niezwykłego wojownika, ale nie: dwa dni i dwie noce rumak wojewody nie ustawał w boju, choć jego pan dawno już stracił głowę, zresztą zatkniętą na włóczni tuż obok buńczuka, żeby patrzyła niewidzącymi oczami, a po wizycie kruków – pustymi oczodołami na wesołą ucztę. Przeto Tartarowie nie mogli wyjść ze zdumienia, że głupi wódz miał mądrego konia; wystarczyłoby, żeby choć trochę konia posłuchał, a bitwy łatwo by nie przegrał.

Patrzyli na konia z podziwem, ale bez najmniejszej krztyny współczucia czy litości. Uradzili, podnieceni widokiem własnej chwały, że urządzą bój między trzema tartarskimi ogierami a tym miejscowym. Ogrodzili więc kawałek łąki, zagnali biczami waleczne zwierzę, co choć zdradzało już oznaki wyczerpania, nadal próbowało walczyć, po czym wypuścili nań trzy naraz konie z Tartarii. Wokół kilkuset wojowników przepychało się, kłębiło, szczekało zachęcająco, co zmieniło się szybko w jedno ogłuszające wycie. Samotny rumak pobiegał chwilę po majdanie, płosząc się nieco obcych okrzyków, kilka razy stanął dęba, zatrzymał się w jednym z kątów, zwiesił łeb, strzygł uszami i drżał co jakiś czas. Ożywił się dopiero na widok obcych koni. Podniósł wtedy dumnie łeb i zadreptał w miejscu. Tartarowie zamknęli wówczas mordy w oczekiwaniu na zabawę, nawet wstrzymali

dech. Nastąpiła cisza. Któryś z tartarskich ogierów zarżał. Bitwa się zaczęła.

Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, rycerski rumak nie musiał walczyć z trzema konikami naraz. One między sobą także o coś się wadziły, doszło do wierzgnięć, kwiknięć i dopiero gdy przepychające się konie zanadto zbliżyły się do karego ogiera, ten ze skulonymi uszami, wyciągając sztywno przed siebie przednie nogi, dopadł do nich. Natychmiast przewrócił jednego z kudłatych mierzynów, deptając go i gryząc, aż zmusił do ucieczki zakończonej śmiganiem tatarskimi kopytami, ale bezskutecznym, bo trafiającym w powietrze. Mierzyn ten zbierał także razy po grzbiecie.

Drugi tartarski koń złapał wówczas czarnego olbrzyma zębami za bok, lecz ten niespodziewanie szybko obrócił się zadem i wierzgnął, trafiając wroga w żebra. Trzeci koń nawet nie próbował nic robić, biegał niespokojnie wzdłuż ogrodzenia, rad uciec jak najdalej od tego końskiego potwora.

Wyczerpany, zmierzwiony, zakrwawiony rumak nie gonił już, stał na szeroko rozstawionych nogach ze zwieszonym łbem – więcej sił już nie miał.

Pierwszy raz uśmiechnięty do łez, bo wcześniej smucił się śmiercią jednego z synów poległego pod Sandomierzem, ubrany w złocistą zbroję Ordu, ze skórzanym wiaderkiem wody w ręku, wszedł do zagrody i śmiało podszedł do konia. Ten nawet już nie próbował się ruszyć. Znaczący koński i ludzki dusz obmył mu nozdrza z zaschniętej krwi, głaszcząc je kilkanaście razy wilgotną ręką, starannie je przetrął, żeby koń już więcej nie czuł wrogiego zapachu. Coś poszeptał we włochate ucho ogiera, ono – ze skulonego jak u wściekłego łosia – powoli się prostowało, prostowało, aż wystrzeliło dziarsko, jakby miało przebić niebo.

Nozdrza poczuły także czystą wodę.

Ordu dał pić zwierzęciu. Zabrani wokół majdanu podziwiali. Rumak, zdawałoby się gotów umrzeć, niż dać się dotknąć, zmienił się w stworzenie łagodne i spokojne, nawet uległe.

Pod wieczór koń wyczyszczony, z obmytymi ranami i nakarmiony znów przedstawiał się wspaniale. Pał się spokojnie wśród innych rumaków bojowych wodza Ordu, wyraźnie nad nimi górując. Zaczynało się dla niego nowe życie, znacznie lepsze, obiecywał mu nowy, mały, błyszczący pan. Może i z tej obietnicy, może ze zmęczenia, w czasie nocnego postoju na pastwisku, zmordowany przeżyciami rumak o nowym imieniu Smok położył się na boku, żeby zasnąć, choć inne konie spały na stojąco. I miał sen.

Najpierw jeszcze tkwił w zgiełku bitwy, raniony strzałami, naciskany przez inne konie, ogłuszany ludzkim wrzaskiem, końskim kwikiem i szczękiem broni. Nigdzie swobody, nigdzie przestrzeni, w którą stronę się obrócił, wszędzie widział to samo: machających rękoma ludzi, oślepiające błyski żelaza, wielobarwne płachty, migoczące jaskrawo tak, że nie wiadomo, gdzie patrzeć.

I ta śmierzdząca krew, pchająca się do pyska, w nozdrza, zalewająca oczy.

Wyrwać się z tego wreszcie albo choć wygryźć sobie miejsce. Zupełnie jak w czasie bitwy, przez dłuższy czas przeżywał na nowo obce wonie, obce twarze i nieznane wrzaski, i nieznane rozpaczliwe jęki znajomych, i znikąd ulgi dla uszu, tylko zgiełk i szum. Gdy jego pan spadł, jeszcze coś czuł, usiłował stać nad nim, bronić, odpychać. Kogoś obalił z koniem, coś ugryzł i wierzgał, aż inne rumaki mu ustępowały. Miał już się poderwać do ponownej walki, może ostatej, bo właśnie omal mu serce pękło, ale wówczas nagle skończył się koszmar.

Rumak znalazł się w innym miejscu, gdzie nie było ani barwnego, aż bolesnego, migotania przed oczami, ani wygrażania, machania czy ogłuszającego zgiełku i smrodu drapieżnej, krwawej śmierci. Nic z tego. Tylko kilka pagórków pokrytych soczystą trawą, miłą w tupnięciu i przyjazną. Co najważniejsze – dookoła była cisza. Już nie myślał o strasznej rzezi bitwy, nie tłoczył się, nie rozpychał, nie musiał nawet gryźć i wierzgać. Stał bowiem sam, całkiem sam, bez innych koni, bez jednego człowieka. Rozejrzał się ze zdziwieniem, podreptał w miejscu, zakręcił koło, aż zarżał sobie cichutko z niedowierzaniem, lecz ten rajski obraz nie znikał. Przeto rumak przebiegł na kilka kroków, ale zaraz się cofnął bez obrotu, jakby opuścił szyk, a jego pan ściągnął wodze. Wszak nie miał uzdy na pysku. Zerknął na boki i chyba na dobre wreszcie pojął, że nie ma żadnego szyku, jest tylko przestrzeń z trawą. Zarżał, pobrzmiwała w tym wyraźna radość. Obudziła się w nim niecierpliwość, zadreptał więc w miejscu, tłukąc kopytami trawę. Ta ustępowała miękko, ulegle. Jeszcze jednak nie dowierzał. Potrząsnął łbem, szyją, aż mu grzywa zabujała się czarną chmurą i przeleciała z boku na bok. Zatruchtał, robiąc kilka kroczków to w przód, to w tył, rżąc w walce z niewidzialnymi pętami, co go nie pętały. Aż zerwał się z nich i od razu ruszył lekkim galopem.

Biegł na łąki, coraz rozleglejsze, szersze, gdzie trawy muskały najpierw pęciny, potem kolana, wreszcie brzuch – tak były dorodne. Przestrzeń, im dalej biegł, tym bardziej przed nim się rozszerzała. Nie czuł wysiłku, nawet gdy przeszedł w cwał, gdy ziemia uciekała spod kopyt tak szybko, że przyspieszył zachód słońca. Słońce zaszło, a on nadal biegł, biegł, jak jego przodkowie, nie dotykając już ziemi, tylko muskając kopytami czubki najzieleniejszych traw. Nigdzie nie było drzew, nigdzie nie znalazłoby się zdradliwych dla końskich nóg dołów, nor czy przewróconych, niewidocznych w zieleni pni. Nic, tylko to, co najmilsze dla oka – trawy, trawy i trawy. Gdzie się obrócić, wszędzie przyjazne, smaczne, ciche, zielone trawy. Zielone nawet w ciemności nocy, co nastąpiła rozświetlana gwiazdami i wąskim miesiącem. Zresztą i niebo zrobiło się trawiaste, aby mógł wbiec w górę. Gdyby tylko chciał, uszczknąłby go, ale nie chciał. Biegł.

Trzeciego dnia skończyły się odpoczynek i ucztowanie. Wódz Ordu podzielił swój tümen na kilka mniejszych oddziałów, żeby poniosły piekielne dary – trwogę, śmierć i pożogę – jak daleko zdążą zajechać w pięć dni. Jeden tysiąc ruszył

w pościg za hufcem, który zdołał wyrwać się z okrążenia; mimo że uciekli, trzeba było przyznać, że mężczyźni byli i waleczni, co Tartarowie odczuli całkiem boleśnie. Tym bardziej srożyli się potem na jeńcach.

Drugi tysiąc ruszył na północ, żeby myślano, że właśnie na nich spadnie nieszczęście najazdu sił głównych.

Sam Ordu z największym oddziałem liczącym pięć tysięcy ludzi i nie mniej niż dziesięć tysięcy koni, ruszył na Kraków, czym wypełnił zamiary i postanowienia powzięte jeszcze z Batu-chanem przed miesiącami.

Na razie wszystko szło zgodnie z tym, co uradzono, równie łatwo, jak wcześniej na Rusi. Jeszcze trochę, a i tu zaprowadzą odpowiednie porządki. Choćby taki – jeden z ruskich książąt, co między sobą gryzą się jak psy o sam zaszczyt usłużenia Ordu, w tej chwili zdołał pokonać rywali, dawszy któremuś w pysk, innego odpychając kopniakiem, co wywołało rechot uznania wśród zawsze skłonnych do wesołości Tartarów. Następnie z najbardziej przymilnym uśmiechem, niemalże się śliniąc, składał uniżone pokłony, aż długaśna kita z barwionego na czerwono końskiego włosia zdobiąca pozłocisty szyszak zamiatała ziemię – nie przymierzając – jak miotła. Zgięty wpół księżę szedł do tyłu, przy czym Ordu robił krok, to on musiał dwa, bo szkarłatny płaszcz, który otulał tę uniżoność, nogi oplątywał niewygodnie. Z łaski morderców jego narodu, kniazik tego nie zauważał, bo musiałby się wyprostować albo odwrócić. A jakżeby to wyglądało? Nie patrzeć dobrodziejowi w oczy niczym pies? Albo, o zgrozo, okazać się wyższym?

Wypiętym zadem obleczonym w wodzowską czerwień, dotknąwszy końskiej nogi, ruski kniaz natychmiast zmienił się z groźnego władcy w uniżony podnózek, padając na kolana z szybkością znamionującą wielką wprawę. Tylko jedną przednią łapę wyciągnął nieco przed siebie i w górę, jakby samowolnie, bo przecież nikt nie rozkazał: podaj łapę. Był dobrze wyuczonym psem, wcale nie samowolnym, o nie. Przytrzymał jeno strzemię.

Ordu docenił starania i przy wsiadaniu na koń nie nadepnął na opartą na ziemi dłoń kniazika. A przecież mógł. Jedną nogą włożył na jego grzbiet, aż zachrzęściła kolczuga pod butem o zawiniętym czubie, drugą wraził w strzemię i już siedział w siodle. Następnie zatoczył nieco koniem i właśnie się prostując podnózek popchnął kopniakiem w stronę Krakowa, nie wypowiadając przy tym słowa. Podnózek omal upadł, ale się rozkraczywszy, zachował równowagę. Ukłonił się z wdzięcznością jeszcze ze trzy razy, ucałował kopiający go but i poszedł między swoich. Dopiero tam zmienił się w prawdziwego kniazia. Ktoś przytrzymał mu strzemię, ale niechcący zerknął na władcę, co oczywiście ten od razu zauważył. Nie spodobało mu się to spojrzenie, o nie. Ledwie usadowił się w siodle, niby to się poprawiał, się pochylał i... jak nie wyrznie zuchwalca pięścią w zęby. Tamten, nieco zamroczony ciosem, długo nie wstawał z ziemi, choć mógł; chodziło mu o to, żeby pokazać, jakież jego kniaz jest silny.

Dumny z siebie książę ruszył na czoło pochodu, a jego wojsko za nim. Chcieli jak najlepiej pokazać Tartarom drogę, którą oni i tak doskonale znali, ale tylko tak mogli sobie zasłużyć na łaskę trwania przy znamionach szczątków władzy, tylko tak – zawsze być usłuznym bez najmniejszego cienia godności i stale znacznie głępszym od Tartarów. Książę ów wiedział, co robi. Tuż za jego oddziałem, na czele pochodu Tartarów, jechała na grocie włócznie głowa Włodzimierza.

Pierwsze nad pole bitwy pod Chmielnikiem dotarły stada miejscowych gawronów. Krążyły coraz większymi rojami nad pobojuwiskiem niecierpliwie, złe i niezmiernie kłótniwe. Obsiadały drzewa oddalone o kilkaset kroków, kracząc przeraźliwie i donośnie. Chciały jak najszybciej się nażreć i wrócić do pozakładanych niedawno gniazd, żeby zastąpić żony w siedzeniu na jajach i dać im podjeść.

Przez pierwszy dzień nie śmiały zbliżyć się do żerowiska. Tym bardziej się niecierpliwiły, bo w morzu stratowanych, a mimo to zieloniutkich ozimin i zeszłorocznych, zgniłych łąk, co nabierały coraz większej śmiałości na zieleni z miejscami rozżółconymi mleczem, leżały niczym ogromne, polne kamienie gniade, siwe i srokaty ścierva końskie pozbawione rzędów tak starannie, że nie ostał się nawet jeden rzemyk czy sprzączka. Między nimi bieleły nieopalonymi po zimie ciałami i czerniały kwartami wylanej krwi setki ludzkich zwłok, na których nie pozostawiono nawet skrawka odzienia. Dokładnie wyzbierano także wszelkie żelazo, że z dziesiątek, a może nawet setek tysięcy wypuszczonych strzał pozostało w ziemi kilkanaście grocików i kilkadziesiąt złomków brzechw.

Nagość i bezbronność trupów wywierała takie wrażenie, że każdego, co odważyłby się zapuścić w pobliżu tego cmentarza niepogrzebionych i spojrzeć nań choćby z daleka, widok natchnąłby przypuszczeniem, że leżą tu ofiary nagłej zarazy.

Wyjąwszy krakanie czarnego ptactwa onieśmiałego na razie ogromem żeru, było spokojnie. Szumiał wiatr przewalający nisko nad ziemią kłęby szarych i czarnych chmur, od czasu do czasu zacinał szeleszczący deszcz, ale nikt z ludzi się nie ruszał, nie jęczał, nie wzywał pomocy, co tym bardziej wyglądało na działanie nie ludzkich rąk, lecz nagłego dopustu bożego. Usłyszeć ciszę, mimo wszechobecnego zgiewu krakania, można było dopiero po jakimś zastanowieniu. Wtedy także można było dojść, że mimo budzącej się wiosny, żaden dobry ptak nie śpiewa w okolicy. Trupy oczywiście też milczały, bo wszystkim, wszystkim ludziom Tartarowie obcięli głowy. W ten sposób zyskali pewność, że żaden z przeciwników już nigdy nie powstanie, żeby się mścić za przegraną w bitwie niemożliwej do wygrania, i zyskiwali nagrody za dzielność, za dostarczenie wodzowi głowy wroga. Kilkaset tych głów wałało się w jednym miejscu, za wyjątkiem kilku tych, które Tartarowie zabrali na własną chwałę.

Siwe wrony, co na swoich obszarach żyły w małżeńskich parach w większym rozproszeniu niż gawrony, rade podbierać innym parom to, co dobre, także tu się zlatywały, nadciągając stopniowo z bliższej i dalszej okolicy. Nie było ich za wiele. Wleciały między paszę a gawrony, przemykając to chyłkiem, to prawie bezczelnie, ale nic nie mogły postanowić. Widok był bowiem kuszący, zarazem przerażał ogromem i te całkiem niegłupie ptaszyska tym razem zgłupiały z nadmiaru spodziewanego jadła. Podobnie gawronom, nie robiły nic, dopiero pod wieczór usiadły na czubkach pobliskich drzew, nie odstępując swojego plemienia.

Stada ciekawskich kawek jak zwykle dołączyły do gawronów. Trzymały się na uboczu, obrzeżach żerowisk większych pobratymców, co skazywało je na gorsze kąski. Jeśli chciały zdobyć coś lepszego, musiały pierwsze narazić się na straty – gawrony wiedziały o tym, dlatego uważnie przypatrywały się mniejszym towarzyszkom. Kawki także niczego nie uszczknęły, chociaż odważnie, jak to one, podlatywały do zwłok. Lecz również im coś nie pasowało w tej łatwości i mnogości łupu. Co prawda mądrość wielu setek pokoleń mówiła, że gdy coś się nie rusza, pachnie krwią, gównem i zgnilizną, to raczej jest już niegroźne i jadalne, ale pewien szczegół płoszył te bystrookie ptaki. Podlatywały do ofiar bitwy i zaraz cofały się w zaskoczeniu, a nawet strachu. Przecież ludzka padlina nie miała oczu.

Dlatego nie było od czego zacząć.

Wrodzone doświadczenia kazały ptakom podejrzewać, że ten podstępny gatunek ludzki znów coś wymyślił, chcąc je zwabić wszystkie, a gdy zajmą się jedzeniem, mściwie połapać w siatki i sidła, poskręcać karki i zawiesić na kijach, z bezsilnie rozpostartymi skrzydłami, żeby do zasianych pól nie zbliżyły się ani kawki, ani gawrony, ani nawet kruki.

Dlatego kawki też jeszcze niczego nie skosztowały z uczty obficie zastawionej od trzech dni.

Wielkie, czarnodziobe, smoliście połyskliwe kruki również przyleciały, a jakże. Po wielkim zamieszaniu wzbudzonym u gawronów, zrobiły sobie wśród nich należne miejsce – pośrodku drzew. Krążyły wcześniej pół dnia nad polem bitwy, przymierzały się do lądowania, ale i one wyczuwały podstęp. Nie śmiały, tak jak kawki, przelecieć skroś pobojuwiska, bo co, gdy nagle podniesie się łucznik, kusznik albo procarz? Gdybyż cokolwiek się ruszało, wtenczas byłoby wiadomo, co robić – omijać dychających i brać się za martwych. Albo, dla lepszej zabawy, dopaść żyjących całą gromadą i wykolić oczy, potem się przechwalać, kto tego pierwszy dokonał. A tak? Czy każdy bezgłowy stwór w istocie nie ma głowy?

Tego nie wiedziały nawet najstarsze, najbardziej doświadczone z kruków, co już od pięćdziesięciu lat oblatywały pola bitew, lecz takiego bezruchu jeszcze nie widziały. Co jeśli to wszystko jest zatrute, jak to czasami bywa u ludzi? Lepiej odczekać, niechaj padlina przybierze przemilą woń smakowitej dojrzałości i inni, bardziej niecierpliwi, a mniej mądrzy, spróbują, czy jadalna. Tak i najmądrzejsze

z wszystkiego czarnego ptactwa kruki przysiadły w oddaleniu, żeby nie ponieść niepotrzebnych strat w swoim plemienu. Jedno wiedziały z całą pewnością – tyle martwoty na pewno nie ucieknie. Wystarczy dla wszystkich i na długo.

Padlinożercy, rozkrakani na cztery głosy, nie dowierzając własnemu szczęściu, postanowili więc przenocować w pobliżu, żeby z samego rana zobaczyć, co będzie dalej.

Z wieczora doszło zatem do tysięcy walk na okolicznych drzewach o jak najbezpieczniejsze miejsca do spania. Niby wszystko powinno się uspokoić długo jeszcze przed północą, ale nic z tego nie wyszło, bo dzień przedłużył się niespodziewanymi zorzami zachodów słońca nie tylko na zachodzie, ale również na północy, południu i na wschodzie. Gdzie tylko spojrzały na wpół widome ślepie czarnego ptactwa, czerwieniło się coś, co jako żywo przypominało o zachodzącym słońcu. Z początku niebo rozjaśniało się barwą krwi, zwłaszcza chmury odbijały dziesiątki niespodziewanych zórz, i ptaki zapomniały, że słońce zachodziło – bo przecież coś, co potężnieje z każdą chwilą, raczej wschodzi niż zachodzi. To powodowało dodatkowe niepokoje, setki śpiących gawronów ledwie zamknęły oczy, a już się obudziły w przeświadczeniu, że zaraz będzie pora krakać co tchu i dokąś lecieć, jak co dzień. Było jednak ciemno, co gorsza – niepewnie.

Dochodziło do nagłych spłoszeń i łomotu kilku, a wkrótce tysięcy skrzydeł na raz, co brało się z rozlanej w sercach ptaszysk ślepej trwogi. Długo za północ przeciągały się gniewne krakania, bo puchacze, które nigdy nie śpią i łowią to, co im się najbardziej podoba, w absolutnej ciszy zdejmowały z gałęzi nawet najsilniejszego kruka.

Wreszcie się uspokoiło, niektórych zjadły puchacze, kilku innych towarzysze zadziobali przez pomyłkę. Powszechne zmęczenie dało znać o sobie i nim wzeszło słońce, cisza aż kłuła w uszach.

Dzień długo nie wstawał. Siąpił dokuczliwy deszcz, aż wiatr go rozgonił i pośród kłębiących się, szaroczarnych obłoków zaświeciły promienie słońca. Wrzask zgromadzonego ptactwa, jaki się wówczas podniósł, mógłby umarłego obudzić z grobu, ale tu nikt w grobie nie leżał, tylko na ziemi, w poczerniałych i zbrązowiałych kałużach krwi. Może dlatego nikt nie powstał z martwych? W czyste od chmur powietrze wzbily się roje kawek, kruków i gawronów, podobne z daleka chmurom dymu lub nadciągającej szarańczy.

Po dżdżystym poranku dzień zrobił się wesoły i pogodny, rozświetlony słońcem.

Wielotysięczne stada czarnych ptaków połyskując piórami, krążyły wielkim słupem. Nie był to jedyny ciemny słup unoszący się w powietrzu. Dymy pożarów mogły go zasłonić, ale tylko dla niewprawnych oczu. Żaden bowiem skrzydlaty padlinożerca nie pomyliłby tego widoku z innym, nawet z odległości setek stają.

Ptaki już nie unikały pobjowiska, latały nad nim w przeświadczeniu, że

zaraz będzie można jeść. Przeświadczenie przeświadczeniem, ale pewności jeszcze nie było. Kruki zobaczyły niemalże stopy głów, czyli coś, czego nawet i one w życiu nie widziały. Bywała jedna ścięta głowa, dwie, ale tyle naraz? Wprawdzie ptaszyska liczyć nie umiały, ale i to było dziwne: tyle oczu do wyklucia w jednym miejscu?

Trzeba było dopiero bezczelnych srok, żeby wszystko przybrało zrozumiałą postać. Te białe-czarne, ciekawskie potwory zawsze wiedziały, że tyle ich, co sobie same wezmą. Początkowo onieśmielała je wstrzemięźliwość kruków i gawronów. Widząc jednak przedłużającą się stadną opieszałość, pojęły, że lepiej złapać w dzioby cokolwiek i zanieść do przemyślnie uplecionych gniazd, niż zwlekać w nieskończoność. Kilka usiadło więc na skraju niedawnych walk, kiwając się i skrzecząc co sił w stronę wybranego łupu. Któraś podleciała niziutko nad nim, gotowa w każdej chwili zmylić lot, ale skoro nic się nie stało, usiadła o trzy ludzkie kroki od rozplatanego końskiego brzucha, co wabił już całkiem nieodparcie przepięknym smrodem. Podeszła ostrożnie, gotowa w każdej chwili odfrunąć. Przymierzała się do dziobnięcia nieco bokiem. Ukłoniła się trzy razy, przychyliła wreszcie i dziobnęła bez celowania. Natychmiast odskoczyła, rozłożywszy skrzydła do lotu. Ale nie, nic nie goniło, nic się nie poderwało, nie biegło, nic nie drgnęło. Martwe pozostało martwym.

Sroka podeszła jeszcze raz. Popatrzyła bystro to jednym, to drugim okiem, doskoczyła i natychmiast odleciała z furkotem skrzydeł. Znów nic nie drgnęło. Wtedy podfrunęła pewniej i dziobnęła, odskakując tylko na dwa swoje kroczi, przycupnięta do odlotu, a że nadal nic się nie działo, całkiem śmiało podeszła do padliny i zanurzyła w niej dziób, pospiesznie wrywając kawałki jadła. Natychmiast podlecieli jej krewni i skrzecząc z samego nawyku, kłócili się o żarcie, choć było go tyle, że starczyłoby i na pięć lat ucztowania.

Wtedy do żeru przystąpiły kawki, podlatując do zwłok leżących na obrzeżach. Nie tak ostrożnie jak sroki, ale początkowo uważnie. Wkrótce nabrały pewności, że nic im nie grozi, że dokąd okiem sięgnąć całe kilkudziesięcne plemię siada na czymś i dziobie to ze smakiem i ani jeden ptak z tak wielu nie krzyczy ostrzegawczo.

Jakby na ten znak czekały gawrony. Ich ogromne, wielowarstwowe stado opadało i wkrótce zakłębiło się rozwrzeszczanymi, czarnymi gromadami na zwłokach tak, że nie było widać trupów spod gąszczu piór.

Natychmiast w ślad za gawronami zleciały wrony – były mądrzejsze od gawronów, bo nie ogarnął ich roztrzepotany szal żarcia. Spokojnie dopadały zdobyczy, urywały coś, co dało się urwać, odskakiwały, żeby połknąć, rozglądając się na boki, po czym znów, z chwilą zastanowienia, dopadały do jedzenia, żeby coś porwać i odskoczyć. Nie biły się między sobą, nawet nie straszyły. Nieco ostrożnie, ale całkiem spokojnie jadły.

Kruki przystąpiły do uczty na samym końcu. Sprawy życia i śmierci były dla nich ważne, nie poleciały więc tam, gdzie cała czarna brać. Jakby po naradzie obsiadły pole pogardzone przez większość ptactwa – to z leżącymi głowami. Nieliczne sroki, kawki i wrony pożywiały się co prawda i tam, lecz ich wybór spowodowany był wygodą, nie zaś zastanowieniem. Kruki to coś innego. Postanowiły na dobre zabić to, co mocno wydawało się nieżywym.

Zanim jednak przystąpiły do jedzenia, jak to one, przyjrzały się raz jeszcze, z bliska, czy niczym to nie grozi. Dlatego nie rzuciły się na zdobycz. Ładowały na czystej trawie lub ziemi, po czym pieszo podchodziły do głów, osaczając je i rozpoznając, czy aby nie ma groźnych paści. Czyniły to spokojnie, mimo wielkiej żądzy jedzenia. Upewniwszy się, że wkoło nie widać niczego żywego prócz innych kruków, no i że cwane sroki dziobią ich zdobycz w najlepsze i nic złego się nie dzieje, podeszły blisko, niemalże na muśnięcie dziobem. I nagle, jakby na znak, chmarami rzuciły się do wydziobywania oczu, trzepocząc i pokrakując przez niemal zamknięte dzioby. Dopiero wtedy ich krucze serca się uspokoiły – nikt już im niczego złego nie zrobi. Bo człowiek ślepy jest bezbronny.

PSY

Nasza dziewczura czuje przykrość

Nie wie co bodzie tak dotkliwie

Chciałaby poznać całą przyszłość

Bo z niepokoju ledwie żywie.

W tygodniu przed Niedzielą Palmową kilka burz rozgrzmiało nad Zalesiem. W środę przyszły pierwsze wici – znowu idzie ku wojnie. W czwartek koło południa wiatr zmienił się z południowo-zachodniego na południowo-wschodni. Coś niepokojącego działo się w powietrzu. Na wschód poleciało z rozgłośnym krakaniem najpierw jedno stado gawronów, potem drugie. Nikt nigdy nic takiego nie widział, zwłaszcza że te ptaszyska właśnie miały w gniazdach jajka, a niektóre już młode.

Dziewczura była niespokojna od samego rana. Sen miała niedobry. Wzięła to na karb zmartwienia wczorajszą rozmową z Wojdą. Dowiedziała się wieczorem, że

co prawda żyć on bez niej nie może, ale już mu inną szykują, matka zaś wrzeszczy tak, że wszyscy z domu uciekają. Chyba przyjdzie uciekać szybciej, niż myśleli, z tą myślą zaczynała się oswajać, ale było jeszcze coś, co ją zaniepokoiło. Żądza.

Pojawiła się, a jakże, również i u niej, przy tym Wojda był aż do przesady natarczywy, a głupio gadał, że ich życie teraz na rozstaju, nie wiadomo, co będzie, powinni więc być sobie oddani, skoro mają być razem. Złościła się nie tyle nawet za to, że nalegał, lecz dlatego, że gadał niedorzecznie. Potem była zła na siebie, że nie uległa. Złość wywarła na niewinnym krzaku leszczyny, tłukąc go niemiłosiernie kijem. Nic to nie dało, popłakała się więc, dopiero wtedy uspokoiła. Jeśli mieli zamiary doprowadzić do końca tak, aby przede wszystkim Boga nie obrazić, musieli wytrwać. Musieli.

I w nocy przyszedł przekłęty sen.

Szła przez las, tak wilgotny, tak ciemny, że coś dziwnego kapą jej na głowę. Nie spodziewała się tego od lasu; nieraz obejmował ją wilgocia, ale nigdy tak lepka, nigdy tak przywodząca na myśl obrzydliwość. Dopiero gdy się rozwidniło, zobaczyła, że ziemię pokrywają robaki kłębiącą się warstwą, kapią z drzew deszczem, a ona idzie po nich i pośród nich. Różnej barwy było to robactwo, przeważnie czerwone, jakby wszystkie naraz dżdżownice ze stu lat wylazły z ziemi. Przerazona odkryciem, podbiegła do najbliższego dużego drzewa. Przytuliła się do niego, ale pień nie okazał się twardym drewnem, lecz przeżartym robactwem na wskroś próchnem, wielowarstwową siateczką mającą tylko kształt drzewa utrzymującą sobą miąższ z robactwa. Zamiast dać oparcie, to coś o postaci drzewa zaczęło wchłaniać dziewczurę w siebie. Wtedy Anucha się obudziła.

Wyszła z domu smutna czy też zła. Mogłaby naciąć brzozywych witek na palemkę, ale za wcześnie na to było, wystarczy, że zrobi tak w sobotę. Mimo to poszła nad Odrę. Chciała zobaczyć, gdzie najładniejsze gałązki wierzby rosną, i gdy szła, zła na własne myśli i bezradność, usłyszała, a potem zobaczyła, że w powietrzu coś niepokojącego się dzieje. Niebo się rozkrakało od krańca do krańca. Kruki, wrony, gawrony, kawki zbierały się w chmary, krążyły i odlatywały na wschód. Smutki młodej wiedźmy nie zbladły od tego widoku, jeszcze się nasiliły, aż ją coś ukłuło w sercu, bo pojęła, że czarne ptactwo, zamiast siedzieć na jajach i przy piskletach, ciągnęło za Odrę całymi gromadami. Nie mogła temu się nadziwić, nie rozumiała, co się stało? Co je mogło spłoszyć?

Poszła skrótami przez las, łąki i łozy, na cmentarz za rozstajnymi drogami, gdzie gawrony i kawki gnieździły się stadami na wysokich drzewach.

Siedem buków, pięć rozłożystych topoli i trzynaście olch, nie licząc pomniejszych zagajników, tworzyło smutną kępę drzew oblepioną gniazdami, ale nie kruków, bo te mieszkały w głębi lasu. W dole, gdzie nikt nie wchodził, jeśli nie musiał, trwała cisza grobów, w górze zaś – o tej porze roku zawsze trwało ustawiczne krakanie, kłótnie, wyrywanie sobie patyków z gniazd i trzepanie

skrzydłami – było podejrzanie cicho. To znaczy coś tam krakało, coś przelatywało, ale niewiele.

Podszedłszy bliżej, Anucha zobaczyła, że nie wszystkie ptactwo odleciało: niektórzy z rodziców tam się uwijają i od czasu do czasu któreś zakrakało – zeszłoroczna młodzież bez gniazd i połowa starych zniknęły – i, co zadziwiające, te pozostałe ptaki, nie złościły się, nie szalały, spokojnie robiły swoje, czyli siedziały na jajach lub młodych.

Smotny gawron na widok Anuchy zakrakał z ubocza, a za nim rozkrakał się cały gawroni gród, jak to u nich w zwyczaju. Dziewczura roześmiała się, choć nie do śmiechu jej było: nadal nie wiedziała, dlaczego wielkie chmary ptactwa poleciały daleko za Odrę. Z tą myślą, poniechawszy wierzbowych witek, poszła do domu nieco dłuższą drogą, za to wygodniejszą. Przez Zalesie.

Niedaleko kościoła spotkała proboszcza. Ucałowała go w rękę, a on ją w głowę. – Co tam, córuchno? – zapytał zaraz. – Czyżbyś chodziła sprawdzić gniazda? Chłopaki tam łążą, ale nie teraz, dopiero gdy młode podrosną. Takie są najsmaczniejsze.

– Byłam tam, ale nie po to – odpowiedziała poważnie.

– Może chodziłaś się umartwiać, bo Wielki Post jeszcze jest. Czyż nie tobie już pewien młodzieniec w głowie? – zapytał niby dobrotliwie, ale zaraz trochę spoważniał.

– Nie, to nie tak... – Dziewczura na kogoś innego zawrzała złością, a tu odparła jakby w zamyśleniu.

– Czy post, czy nie, miarkujcie się – mówił proboszcz. – Ludzie gadają, a to niczego dobrego nie przyniesie. Zważ, że każdy ma nie tylko przywileje, lecz także powinności. Jedni wobec gromady, wtórzy wobec rodu. Trudno je zmóc.

– Ja rodu nie mam – Anucha odpowiedziała na to, nie patrząc księdzu w oczy, ale z niejakim zniecierpliwieniem. – I żyję z daleka od gromady. To po co mam dbać o powinności?

– Zgrabnie mówisz, nawet prawdę, to cię jednak, dziecko, silniejszą nie czyni, bo w niczym nie znajdziesz oparcia, gdy zechcesz gardzić ludźmi. Nie masz rodu, co ci pomoże, jeśliby przyszło nieszczęście. Gromada zaś? Cóż, gromada może ci nie dać żyć, a to z niej żyjesz. Przeto nie lekceważ jej, bo chociaż trzymasz się na uboczu, ciągle do niej należysz.

Anucha nic nie umiała powiedzieć na słowa proboszcza; rzuciłaby, że znajdzie sobie inną gromadę, ale wiedziała, że to tylko gadanie, bo znalezienie gromady – jeśli nad tym trochę pomyśleć – wcale nie byłoby proste. Ona myślała dużo, oj dużo, aż za dużo. Na wspomnienie tego myślenia w oczach stanęły jej łzy. Starła się, aby nie było widać, że płacze, bo pewnie ktoś tam już gapił się z opłotków.

– Nie wiem, co robić. Nawet próbowałam się odczarować, ale nic to nie dało.

– Więcej nie próbuj, bo zwabisz do siebie szatana. Coś mi się zdaje, że tego diabelstwa dużo płacze się po świecie. Ot, wikary mi ze szczeniem zgłupiał, a przecież za trzy dni Niedziela Palmowa – powiedział proboszcz, uważnie przypatrując się Anuszcze.

Ta nawet nie drgnęła pod baczny, chociaż niedowidzącym, okiem księdza, za to powiedziała bez żadnego związku z młodym księdzem: – Modlę się, najlepiej jak potrafię. I jego do tego namawiam. Bo przecież chcielibyśmy dobrze żyć.

Proboszcz, lekko zawiedziony, że jego pomysł się nie sprawdził, ale i zadowolony, że zdanie o wikarym nic w postaci dziewczury nie zmieniło, westchnął.

– No tak, odwieczne pragnienie młodości – powiedział po chwili. – Ale dobrze żyć, to żyć też dobrze ze światem, nie tylko ze sobą. – Znów zamilkł na pół pacierza, po czym zapytał rześko i wesoło: – Skoro tak ładnie się spowiadasz w te rekolekcje, to powiedz, grzechu nieczystości się nie dopuściłaś?

– Nie – odpowiedziała zdumiona i z dużą pewnością, spoglądając z wyrzutem na księdza.

– Aby na pewno? – Staruszek nalegał z pobłażliwym uśmiechem.

– Na pewno. Przysięgliśmy sobie czystość. I wierność.

– To dobrze. Tylko żebyście się nie rozpędzili w tych zakłęciach i nie przysięgli sobie jeszcze uczciwości małżeńskiej, bo byście zgrzeszyli bez błogosławieństwa rodziców i Boga – zażartował proboszcz.

– Tego byśmy chcieli – dziewczura rzuciła zaczepnie.

– Dobrze, że powiedziałaś, bo nigdy bym się nie domyślił. Czyli tak: grzeszyłaś czarami, co jest grzechem ciężkim, ale nikt na to się nie skarżył, tedy można to wziąć za babskie bajdurzenia jak te od krzaków bzu. Zaszkoziłaś tym komu?

– Może sobie...

– To wiadomo. Kto czaruje, ten sam sobie najbardziej szkodzi. Nie było tak, że zaraz przed Bożym Narodzeniem uleczyłaś tego głądysza drugą chorobą? Dziewki lubią w ten sposób czynić. Prawie całe życie spowadam, to wiem. – Tu popatrzył na nią prawie że surowo.

Dziewczura zamknęła niebieskie w tej chwili oczy, wypierając spod powiek ostatnie łzy. Gdy otworzyła powieki, oczy przybrały barwę szarosiwą jak stal.

– Zrobiłam, co umiałam – powiedziała spokojnie, ale dobitnie. – Nie gadał, nie jadł, nie pił, sechł w oczach. Teraz rozmawia z ludźmi, śmieje się, smuci, pije i je, śpi, a nawet ziemię orał. Jest zwyczajny, niczym wszyscy. A to, co między nami... To się stało... Tyle we mnie winy, co w każdej, i tyle, co w żadnej. I tyle w tym czaru. Jeżeli kmieć zakocha się w rycerskiej córce, to również za sprawą czarów? Gdy rycerski syn w córce wojewody, to co? Czary? Z jedną panną ponoć już tak było i tak się składa, że właśnie jego to dotknęło. Ktoś córkę wojewody

pytał o to samo, co mnie? Mnie ta jego słabość na urok mi wyglądała. Znam się na tym.

Ksiądz patrzył na nią uważnie. Zmianę w oczach zauważył.

– Możesz mieć pewność, że właśnie tej jednej nikt o nic nie zapyta – powiedział. – Z tobą dziecko jest inna sprawa. Pytających napotkasz dziesiątki. Dlatego jeśli jeszcze dziś powtórzysz mi w kościele to samo i tak, aby inni ludzie widzieli, słyszeć nie muszą, dam ci rozgrzeszenie. Będziesz musiała żałować za grzechy. Wtedy nikt ci nie zarzuci nieczystości cielesnej czy nieczystych zamiarów. Nawet jeśliby zarzucił, to stanę po twojej stronie. Tylko musisz żałować za grzechy.

Zgnębiona Anucha tylko siłą rozumu nie opuściła głowy, aby nikt z daleka nie poznał, że nią wstrząsa rozmowa z proboszczem.

– Czy miłować, ale miłością czystą, to też grzech? – zapytała najśmielej, choć głos jej drżał.

– Grzechem jest wierzyć w gusła, czary, rzucać uroki i zadawać się ze złymi duchami. A miłować? Miłować miłością czystą to piękny uczynek. Miłować tak, że druga osoba nie wie, iż ją się miłuje, bo jeśli wie, to na jej życie się wpływa, wtedy zaś może być grzech. U was, moje wy głupie dzieciaki, powiem jasno, grzechu nie widzę, ale jesteście od niego o krok i to, żeście w niego nie wpadli, jest waszą wielką mądrością, niezaradnością albo szczęściem. Nie chciałbym, żebyście zrobili coś głupiego, co za sobą nieszczęścia dla was czy dla innych pociągnie, a do tego prostą drogą zmierzacie. Powtórzę: miłować nie grzech, tylko co z tego wyniknie, może być grzechem. Widziałem niejedno. Kończyło się czasem umartwieniem w klasztorze. Bywało też i tak, że ktoś na życie się targał, na swoje, na czyjeś, ktoś uciekał, tułał się po świecie i wracał chorym nędzarzem albo gubił się w żebraczej poniewierce. Ktoś także po latach darmo wnuków po świecie szukał, żałując wcześniejszej srogości. Dlatego nawet nie proście mnie, razem czy osobno, żebym wam ślubu udzielił. Nic z tego. Póki twoja matka i jego rodzice się nie zgodzą, ja do tego ręki nie przyłożę.

Trzymająca się dzielnie dziewczura teraz znów zapłakała. I znów nie schyliła głowy, nie skurczyła się, nie otarła ani jednej łzy, bo mogli patrzeć i widzieć, musieli patrzeć i widzieć, ale nie mogli niczego się dowiedzieć.

Ksiądz nie przerywał mowy: – Przede wszystkim wytrzymajcie w czystości, bo to piękne i zbożne jest. Nawet nie wiecie, jaka to dla was silna tarcza. Jeśli chcecie, wytrwajcie w miłości, jeno miarkujcie się z jej okazywaniem. Nikt, nikt!, nie może mieć nawet cienia podejrzenia, że łączy was coś więcej niż zadurzenie. Wystarczy bowiem jedna plotka, jedno pomówienie, aby zaczęło się dziać zło, krok za krokiem większe. Bądźcie też dobrzy dla ludzi, pomocni. Aha, i jeszcze jedno: musicie dać sobie i innym trochę czasu, rok, dwa, może nawet pięć, ale nic z nagła nie róbcie, bo sobie zaszkodzicie.

Widząc, że dziewczura jest załamana, bo jej oczy, przed chwilą świetliste, zgasły do barwy dojrzałych orzechów, dodał po chwili: – Powiem słowami z mądrości, których sam bym nie wymyślił. Są od Boga. Wierzę w nie, bo od tysiąca lat nic lepszego nikt nie wymyślił. Są o miłości i tylko one się sprawdzają. Miłość cierpliwa jest i łaskawa jest. Nie szuka poklasku, nie jest głośna, nie brzęczy ani nie błyszczy. Nie wie, co to zazdrość i nie jest chciwa. Od siebie zaś dodam, że czasem wymaga, aby w ciszy i na uboczu poświęcić się dla osoby umiłowanej, dla jej życia. Zapamiętaj to sobie. Jeśli przejdziecie próbę czasu dla waszego uczucia, to i ja za wami się wstawię, bo jeszcze znam kilku możliwych tego świata. Tylko chcę mieć pewność, że warto. Dlatego jutro na mszy chcę widzieć i ciebie, i jego. Razem macie do mnie nie podchodzić, bo wyklnę – uśmiechnął się.

Dziewczura również się uśmiechnęła, lecz przez łzy. Już się nie gniewała. Rozumiała. Chciała dopaść do księżej ręki, ale duchowny powstrzymał ją takimi oto słowami: – Po co chodziłaś do tych wron? Bo chyba nie na cmentarz?

Dopiero teraz wierzchem dłoni otarła łzy z jednego policzka.

– Nie, nie na cmentarz. Do wron. Poleciały stadami za rzekę, ale nie wszystkie. Coś dziwnego się dzieje. Takie niepokoje mnie ogarniają dziś od rana. Te wici, sny, a teraz wrony.

– Wiesz, że i ja tak mam. Od lata chyba. Nie mogę usnąć, a gdy już śpię, to nie mogę dospać. Jeśli tylko wiatr wieje ze wschodu, zaraz to czuję. Dziś też nie mogłem dospać do rana, widziałem te stada, jakby przed czymś uciekały.

– Nie uciekają. Przy pisklętach zawsze jedno zostaje. Po co więc tam lecą? – Anucha zasłoniła usta drobnymi dłońmi, żeby nie powiedzieć więcej, a w jej poczerwiałych oczach pojawił się najprawdziwszy strach.

Popatrzyli na siebie w nagłym zrozumieniu. Oboje przeszedł dreszcz wielkiej i strasznej tajemnicy. Stary ksiądz poczuł, że resztki włosów szczypią go w głowę, podnoszą się i znów mu przybywa lat. Też doznał nagłego przestachu. Odpowiedział tak, jak ona to pokazała: – Lepiej nie wiedzieć... Nie myśl, może to coś innego.

– Ale co?

– Dziecko, to nie na twoją głowę. – Ledwie zapanował już nawet nie nad niepokojem, lecz nad rozpaczą.

To, na co się zanosilo, na jego głowę także nie było. Skoro kruki i wrony ruszyły gromadnie, musiały lecieć po coś, tym bardziej że pod wiatr, co o niczym dobrym nie świadczyło, niczego dobrego nie przynosiło – czuł to stary, doświadczony człowiek, czuł mocno, w dwójnasób mocniej niż jesienią, w czwórnasób mocniej niż latem. Patrzył na odmienioną, stężałą w bólu Anuchę i wiedział, że coś złego musiało się wydarzyć. Coś bardzo złego. Chciałby uspokoić siebie i ją.

– Idź dziecko do domu – powiedział tylko. – Na sumę przyjdź do spowiedzi.

Jeżeli spotkasz Wojdę, powiedz mu, że też ma się wypowiadać. Co prawda jest czas umartwienia, ale nie trzeba tego robić na zapas. Co ty czy ja możemy wiedzieć?

Pokiwała głową, obróciła się w stronę lasu, a wtedy zobaczyła następny znak.

– Widzisz, ojcze? Czy kiedyś wyszły tak blisko ludzi? – Dziewczura pokazała coś palcem.

– O czym mówisz? – stary niedowidział, ale patrzył w napięciu tam, gdzie pokazała, aż zobaczył, a gdy już zobaczył, obraz rozmyły mu łzy.

Od ściany lasu oderwało się kilka niskich, śmigłych, szaroburych postaci. Truchtem, jedna za drugą, za drugą następną, jak po sznurze, pociągnęły prosto nad rzekę, nie zważając na odległych o niecałe sto kroków ludzi. Nawet nie spojrzwały w stronę dwójki kmieciów, jakby ich tam nie było, a musiały widzieć, przede wszystkim czuć, bo tych dwoje miały dokładnie z wiatrem.

Anucha znów zakryła dłońmi twarz. Bała się, bardzo się bała. Co prawda wilki nigdy niczego złego jej nie zrobiły, ale zawsze były dla niej straszne. Nie uciekła jednak, patrzyła, patrzyła, obracała za nimi głową i patrzyła. Proboszcz też.

Zębaci zbójcy wbiegli w nadbrzeżną dolinę. Tam szukali przejścia przez wezbraną nieco rzekę. Nie znaleźli. Bali się wody, patrzyli więc tylko na drugi brzeg. Niektóry próbował nawet wchodzić do rzeki, moczył łapy, a gdy woda dotykała mu do brzucha, natychmiast z niej wyskakiwał.

Sześć wilków kręciło się nad brzegiem, aż zauważyły je psy ze wsi. Ostrzegawcze szczekanie kilku burków zmieniło się w powszechne ujadanie, przy czym większość nawet nie wiedziała, dlaczego szczekają. Co dziwne, żaden z leśnych morderców nawet nie spojrzął w stronę wsi. Wszystkie nosy, wszystkie uszy i oczy skierowane były na poszukiwanie nieistniejącego przejścia przez rzekę.

– Dziwne – powiedział nieco już oswojony z niespodziewanym widokiem proboszcz. – Jak żyję, nie widziałem wilka, co by pływał. Czego one szukają?

– Chcą tego samego, co wrony – odpowiedziała szeptem dziewczura.

Już nie tylko oni patrzyli na niecodzienne zjawisko. Kilku chłopów wybiegło za opłotki, machało drągami i siekierami, wokół nich kręciły się podniecone psy, zjeżone, warczące, z pochylonymi łbami. Żaden jednak nie odważył się pobiec do wilków. Ludzie zresztą też nie. Co i rusz ktoś przychodził, zwabiony rosnącym harmidrem, aż zebrała się spora gromada, co nabrała odwagi i ruszyła w stronę skrajnie nieproszonych gości, aby z nimi się rozprawić lub ostatecznie przepędzić. Ktoś tam jeszcze biegł po łuk i strzały, ktoś też nawoływał psy.

Wilki nie zważały na to. Ludzie podeszli blisko, na czterdzieści, pięćdziesiąt kroków, powinny więc uciekać, ale nie, kręciły się w miejscu ze skomleniem. Chłopakom uzbrojonym w pałki, odeszła odwaga, bo też się zatrzymali. Tylko psy ujadają, pokazywały zęby, podbiegały po kilka kroków z tupaniem przednimi

łapami, ale gdy któryś z leśnych potworów na nie spojrział, co głośniejsze podkuliły ogony i odbiegły z piskiem. Inne zaś cichły. Wtedy stało się coś jeszcze dziwniejszego. Wataha znieruchomiała i wilki patrząc w jedną stronę – na wschodni brzeg rzeki – wyciągnęły pyski, wężąc czegoś w górze, i nadstawiły uszu. Ludzie zaczęli się uciszać, ktoś pogonił jazgota, co w małym rozumku miał już tylko jedną myśl: czekać. Obok księdza i dziewczury zjawili się znikąd obaj kościelni, Czarny i Biały, pogodzeni w zachłannej ciekawości ludzkich spraw. Też niczego nie rozumieli, choć akurat powinni, bo jednemu wschodni wiatr przynosił w nozdrza wyraźny zapach odwiecznych towarzyszy, drugiemu zaś równie wyraźny, a dokuczliwy, brudny smród zła.

Nastała dziwna cisza, bo większość psów umilkła i nasłuchiwała. Czasem któryś poszczekiwał, co odważniejszy zawarczał przyczajony, ale i im coś się zmieniło, gdy wilki ruszyły się nieco do przodu. Wkrótce i do ludzi doszło to, co do nich – z oddali, od niemieckiej wsi, odezwało się niewyraźne, lecz rosnące wycie. I gdyby ktoś z ludzi miał psi słuch, to usłyszałby, że dochodzi ono również z innych wschodnich stron.

Wilki zawtórowały wyciu. Najpierw posiwiały samiec podniósł potężny łeb, złożył uszy, zamknął oczy i wydał z siebie niski, przeciągły głos, aż wszystkich przeszła groza. Zaraz przyłączyły się do niego pozostałe, każdy wyjąc po swojemu, ale przeciągle i długo. Gdy jeden przestawał, trzy inne jeszcze wyły, mogło więc się zdawać, że jest to jeden, nieustanny głos. Odpowiadało im wycie psów, co zostały we wsi. Ludzie klękali i się modlili, teraz każdy już zrozumiał, że jest to znak czegoś bardzo, bardzo złego. Ktoś nie wytrzymał, wyszedł kilka kroków przed pozostałych i machając drągiem krzyczał: – Jazda stąd, wyjce. Do lasu. Przecz od ludzi.

Wilki nawet na niego nie spojrzały.

Jakby na jeden znak przestały wyć i pobiegły truchtem wzdłuż brzegu na zachód. Nikt ich nie gonił.

Wtedy zaczęły wyć psy. Nie tak przeciągle jak wilki, nie tak długimi głosami, ale na różne sposoby. To niesamowite zjawisko przeraziło ludzi jeszcze bardziej niż wycie wilków. Kilku chłopaków przypatrujących się temu z zaciekawieniem i zapewne nie rozumiejąc powagi, a może nie czując strachu, dawało sobie kuksańce, aż jeden z nich, nadstawiwszy ucha na południe, powiedział: – Nawet od Oławy wyją.

Psy wyły na całym Śląsku.

Kilka wystraszonych babin podeszło do proboszcza i składając urobione dłonie, ze łzami w oczach zapytały: – Proszę księdza, co to będzie? Co tam się stało?

– Nie wiem, ale chyba najwyższy czas, żebym odprawił mszę przebłagalną za nasze grzechy.

– Czy to znak, że idzie koniec świata? – ktoś na głos zapytał o to, o czym prawie każdy myślał, o czym zawczasu pomyślała dziewczura, o czym w rozpaczy myślał również proboszcz.

Zapadła cisza. Ksiądz popatrzył po skupionych twarzach. Nie znalazł w sobie słów pocieszenia, nie zdobył się na kłamstwo. Nic nie powiedział, poszedł do kościoła, za nim, z ociąganiem ruszyło kilkoro ludzi. Ktoś jeszcze wahał się, ktoś pobiegł do domu.

Większość poszła jednak za księdzem.

NAWAŁA

Na próżno dzielny stanął hufiec

Na próżno miecze furczą błyszczą

Bo biją ci co mieli uciec

A dzielni są już bitą tłuszcą.

Jacek dotrzymał słowa. Ponad tydzień trwał u bram Krakowa, ale nie sam. Trzymał Madonnę, Ona zaś Dzieciątko. Razem tworzyli smutny obraz. Stary mnich poważny, zakurzony, zmęczony, chwilami jakby zmartwiały. Postacie z posążku, ze zmartwieniem zaklętym na połyskliwych twarzach, patrzyły smutno w dal nieruchomymi oczami. Nie, to jednak nie smutek skłaniał przechodniów do choćby krótkiego zastanowienia. Zarówno Maria, jak i mały, a już patrzący oczyma dorosłego Jezusek, mieli suknie i twarze osmalone. Nie grymasili, nie skarżyli się na wyraźne oparzenia, lecz zastygnięci w wiecznotrwalej powadze wymownie świadczyli o tym, co może się stać.

Przez to trwanie Jacka wspomóżone niemą wymową posążka nadgryzionego pożarem, sprawy dziejące się u północnych wrót Krakowa przybrały nieco dziwny obrót. Ludzie podchodzili, pytali, co to znaczy, zakonnik łagodnie napominał i wzywał do przygotowania miasta na oblężenie. Krakowianie niby to patrzyli na postać Madonny z Dzieciątkiem, niby poruszały ich ogniowe rany rzeźby, ale bardziej ten widok ich zawstydzał, niż pobudzał do działania. Tak, gotowali się do wojny, ale bez ładu i składu, bez jednej głowy, bez uporządkowanej myśli i nad przygotowaniem na smutną walkę przeważała

miejscami chęć świętowania. Mieli bowiem już dosyć postu, cieszyli się więc na samą zapowiedź jego zakończenia. Była sobota, wielu wymykało się nad nadwiślańskie mokradła i do lasów. Wracali z naciętymi witkami wierzbowymi osypanymi miękkimi kotkami i z zielonymi gałązkami borówek.

Radość trudno było uświadczyc w oczach Jacka, co stał u bram jak wyrzut sumienia. Dla niego przygotowania do radosnego święta wyglądały osobliwie, bo przecież wróg nadchodził, musiał nadejść. Z drugiej strony sam się pocieszał, że być może się myli – też chciałby jak inni w piersiach czuć beztroską radość. Dlatego nie winił ludzi za to, że mieli nie tylko nadzieję, ale także pewność, choć nie na twardej skale budowaną, lecz na bezcielesnej nadziei, iż przyszłość źle się nie rysuje. Nie całkiem wiedzieli, co czynić, a doradzić im nie miał kto. Nawet na tym polu odcisnęła się osobowość wojewody. Co prawda Włodzimierz nie poprosił o pomoc Ślązaków, ale o tyle nie zlekceważył przeciwnika, że ogołocił Wawel z wszelkich zbrojnych, którzy mogliby teraz coś zarządzić lub choćby poradzić i których by posłuchano. Na zamku zostały niewiasty oraz kilkunastu beznogich lub bezrękich wojowników. Ich nawet nie zapytano o zdanie.

Nie pozostał żaden dostojnik, co miałyby posłuch u ludzi, a coś przecież należałoby zrobić na wypadek oblężenia.

Miasto po większej części pozostawało otwartym. Umocnień było niewiele i nie ogarniały rozrośniętej zabudowy obszernych podgrodzi. Poza tym niemal wszystkim się zdawało, że ojciec Jacek tylko straszy – każdy z księży, gdy mówił, to zawsze z wielką przesadą, z napominaniem i przestrogami. Gdyby im wierzyć, cała ziemia pełna byłaby diabelskiego paskudztwa, a wbrew temu, co głosili, jakoś dawało się żyć, szczególnie dobrze w Krakowie. Domyślano się przy tym, że najazd to dla Jacka świetna sposobność do wygłoszenia jego ulubionych kazań o jedności kraju, że grzeszna i butna władza powinna nabrać więcej pokory i choć spróbować się dogadać, aby położyć kres ustawicznym swarom. Nikt z krakowian nie czuł się wystarczająco wysoko urodzonym, żeby móc o takich sprawach stanowić, uznano więc, że napomnienia, którymi nader chętnie Jacek raczył możliwych, do nich, maluczkich, nie odnoszą się wcale. Zresztą Kraków często zajmowali w wojenkach nie tylko książęta, ale nawet ich podwładni, aż jego mieszkańcy oswoili się z ustawicznymi zmianami panów. Prawdę mówiąc innej wojny niż taka, że przyjdzie obce wojsko i zmieni rozkazodawcę na takiego samego, jaki był dotychczas, już sobie nie wyobrażali.

Lekceważony, pomijany i nieco już wyśmiewany Jacek nadal czekał. Nawet posiłki przynoszono mu pod bramę, aż dziady wędrowne i osiadłe, z którymi dzielił się chlebem, dziwowały się, że można człek, nie przymuszony rozkazem czy nakazem, czyni to, co oni z nędznej konieczności: żyje w niewygodzie, narażając się na chłód i deszcz.

Właściwie już się zdawało, że Jacek niczego się nie doczeka; żadne wieści

nie przychodziły od wojska, o Tartarach także nie było słyhać, wyglądało więc na to, że nic się nie dzieje, ot, rycerze wyszli, jakby we śnie, całkiem nierzeczywiści, a czy wrócą na jawie, nikogo zdawało się nie obchodzić. Jeszcze dzień, dwa ciszy i nikt nie uwierzy, że gdzieś tam, czyli całkiem niedaleko, jest wojna.

Niestety, wkrótce spokój przemienił się w narastający, bezradny strach, a strach w bezmyślną rozpacz.

W sobotę rano zbrojny jeździec z półkozicem na tarczy przemknął na spienionym koniu obok Jacka i pognał na Okół. Na Okole jednak się nie zatrzymał, pojechał na Wawel. Wszelkie próby nagabywania zbywał milczeniem, ludzi omijał, nawet omal nie obalał. To nie zwiastowało niczego dobrego.

Zaczęła się bieganina po ulicach, większość dopytywała, co to, kto to, niektórzy tylko na coś takiego czekali: natychmiast założyli konie do wozów z dobytkiem i opuścili domy, chociaż nikt jeszcze niczego pewnego nie wiedział.

Po początkowej bieganinie radni przystroili się w uroczyste szaty i gromadą poszli w stronę Wawelu, żeby czegoś pewnego się dowiedzieć. Po długim oczekiwaniu u bramy zamku wyszło na to, że zadali sobie zbyteczny trud.

Wkrótce przybyło jeszcze kilku jeźdźców na spienionych koniach, jeden z nich był nawet wymownym: – Ludzie, na co czekacie? Zbróćcie się, zamykajcie bramy. Zaraz tu będą.

– Kto? – zapytała jakaś głupia gęś.

– Jak to, kto? – odpowiedział mąż gęsi i prasnął ją w twarz w bezsilnej niemocy działania, po czym krzyknął: – Tartary! – i zapłakał, jakby to on dostał w gębę.

Podniósł się lament. Jezdnych obstąpili ludzie i pytali żarliwie: – Mówicie, na rany Chrystusa, co z wojskiem? Co z wojewodą?

Przybysze miotali się, wzrok mieli nieprzytomny, pod jednym z nich koń osunął się ze stęknięciem i już nie wstał, tylko zrazu głośno, a potem coraz ciszej chrypiał.

– Dajcie im pić i jeść, a chyżo – rozkazał Jacek.

Usłużne dłonie pomagały zgnębnym, wyczerpanym wojakom pozyskać z zagonionych rumaków. Drżącymi rękoma, rozlewając, żłopali chciwie wino, jakby pierwszy raz w życiu.

– Gdzie wojsko? – zapytał Jacek pierwszego, co skończył pić.

– Nie ma. Nie ma już wojska – odparł wojak i dla pewności dodał: – Jeno myśmy ocalili.

Popłoch, jaki po tym powstał, trudno opisać. Nie miał kto zarządzić obrony, bo przecież panowie z rady dobijali się do zawartych im przed nosem wrót Wawelu. Tylko Jacek pozostawał spokojny. Wiedział, że i z największej klęski musiał ktoś ująć. Chociaż wierzył w moc Tartarów, nie dopuszczał do siebie myśli, że mogli zginąć wszyscy rycerze. Dlatego ten, co pierwszy wołał, aby się bronić,

a teraz stał spokojnie i patrzył najprzytomniej, zapytał: – Nikt więcej, prócz was, nie uszedł?

– Nie wiem. Skoro nam się udało, to pewnie i innym też, ale nie liczyłbym, że wielu. – Wojak oparł głowę o siodło. Tak trwał krótką chwilę w milczeniu, po czym opowiedział: – Najpierw się ukrywałem, koła zataczałem, bo byli wszędzie. Potem jechałem całą noc i dzień... Nie mam siły, ojczy... Ich jest mrowie, mrowie... Zawrzyjcie bramy, bo ani chybi zechcą dobyć Krakowa.

– Pójdź ze mną – Jacek na to rzekł – odpoczniesz u nas w klasztorze. I opowiesz o wszystkim.

Zmierzchało już, nim doszli poprzez trwożną bieganinę do klasztoru dominikanów. Od drugiej strony, od Wawelu, wrócili możni mieszczenie z niczym, czyli z wieściami, że nic nie wiedzą. Tam ich nie posłuchano, ale tu też, u podwładnych, nie mieli za wiele posłuchu.

Zwykle obroną zawiadywał kasztelan krakowski, ale jego nie było. Dopytywani uciekinierzy z placu boju o Klemensa z Brzeźnicy nie umieli niczego odpowiedzieć. Co gorsza, nadal w mieście nie było żadnego z rycerzy, co miałyby uważanie. Tych kilku, wkrótce kilkunastu, roztrzęsionych zbrojnych, którzy wyrwali się ze śmiertelnego wiru bitewnego, wyglądało żałośnie, nikomu więc do głowy nie przyszło, że mogliby wydawać mądre rozkazy. Wkrótce się okazało, że z Wawelu tuż przed zachodem słońca wyruszył na zachód milczący orszak z wojewodzianką Gertrudą na czele, w ślad za nią wielu ludzi opuściło Kraków. Wielu też poszło na Okół albo na Wawel, zabierając co cenniejszy dobytek i zapasy jedzenia.

Siostry norbertanki ze Zwierzyńca – te same, które nie poradziły sobie z wychowaniem krnąbrnej wojewodzianki – uznały, że koniecznie trzeba czegoś się dowiedzieć, wysłały więc po zasięgnięciu wieści Bronisławę z Odrowążów, krewną Jacka. Ledwie dopchała się do świadków klęski. Sama o nic nie pytała, bo inni o wszystko wypytywali, prawie że nie słuchając odpowiedzi, a nawet je zagłuszając. Spotkawszy Jacka, we wszechogarniającym szumie, zagała: – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział mnich z czymś, co mogło ująć za uśmiech, co nijak uśmiechem nie było, lecz wyrazem wewnętrznego wrzenia ujętego w karby opanowania ćwiczonego przez dziesięciolecia.

– To co będzie, bracie?

Jacek westchnął.

– Miło cię widzieć, siostrze, i tylko tyle dobrego mogę ci rzec. Obawiam się, że zdobędą Kraków i zniszczą wszystko, spalą.

– Nie ominie nas ta nawała?

– Na pewno nie ominie.

– Może pójdą prosto na Śląsk? Albo na Węgry zakręcą?

– Nie ominą nas. Zawsze, gdy zwyciężą w polu, dobywają potem miasto jakby w nagrodę, szczególnie miasto tak ważne i tak słabo bronione jak Kraków. Przyjadą i zostaną odpocząć.

– Co nam czynić? Nasz klasztor jak ten Kraków, niegotowy do obrony. Nie znamy się na wojaczce.

– Uchodźcie do nas. My się gotujemy do obrony od jesieni. Okół powinien wytrwać.

Bronisława spojrzała na Jacka, potem popatrzyła w zamyśleniu na wszelkie przejawy ludzkiej bezradności, jakże teraz widoczne: łzy, krzyki, modlitwy, złość, nadmierną krzątanie, a tuż obok trwanie w bezruchu, w zaciętym milczeniu. Powiedziała poważnie: – Nie wiem, co na to powiedzą siostry. Powtórzę im. Ostań z Bogiem.

– Niech Bóg cię prowadzi.

Po powrocie do klasztoru Bronisława powtórzyła rozmowę towarzyszkom. Rozsądny pomysł o schronieniu się u dominikanów, na całkiem warowny Okół, odrzuciły jako nieprzystojny, co ani o ich rozsądku, ani o znajomości wojennego bezprawia nie najlepiej świadczyło. Na szczęście przytomnie uznały, że jeśli nie poradziły sobie z jedną upartą dziewczuchą, to z Tartarami na pewno lepiej im nie wyjdzie. Nie ufały też, że ostatecznie się najeżdźcom ich klasztor, który nie dość że położony poza wałami Krakowa, to jeszcze okolony niezbyt wysokim murem. Same miały go bronić? W kilkanaście słabych niewiast? Postanowiły, że lepszym schronieniem będzie dla nich klasztor w Imbramowicach leżący na uboczu i nieco obronniejszy. Nie trafiły tam jednak, nie zdążyły dojść – nie tylko one. Trafiły między skałki na Sikorniku i, o dziwo, nikt ich tam nie znalazł.

Tylko najszybsi czy najprzezorniejsi zdążyli zawczasu na dobre opuścić Kraków, a ze spóźnionych tylko ci, co od razu pojechali na zachód lub na południe, inni bowiem spośród tych, co za długo się wahali lub ci, którzy uciekali na wschód czy północ, powinni Bogu dziękować, jeśli znaleźli tyle szczęścia, że jeszcze mogli zawrócić. Ale to okazało się dopiero rankiem następnego dnia.

Tymczasem trwał długi wieczór w sobotę przed Niedzielą Palmową i ogromne zamieszanie związane nie tylko z tym, że część mieszkańców uchodziła z grodu i podgrodzi. Również przez to, że znacznie więcej uciekinierów z okolicy chciało w nim znaleźć schronienie. W końcu znaleźli się ludzie zaprowadzający jako taki porządek, goniący do przenoszenia zapasów jedzenia i wody w umocnione miejsca, do zabierania odzieży.

Wkrótce na Kraków spadła następna trwoga. O ile wcześniejsza spowodowała ogólne zamieszanie, bieganinę i pośpiech, w każdym razie wzmożony ruch, to ta zdziałała tyle, że ludzi ogarniała zaraźliwa martwota. Oto cały widnokrąg, gdziekolwiek okiem sięgnąć z zaniedbanych wież, wałów i murów Krakowa, od wschodu, przez północ do zachodu, rozjarzył się na czerwono.

Ciemne chmury, co ich nocą nigdy nie widać, uwidocznily krwawobure ksztalty, potęgujac niesamowitość zjawiska. Wyglądały przez to niczym rozwlekle zorze położone nad sobą po dwa, trzy zachody słońca. Te widoki rozjarzały się i gasły, przenosiły w inne miejsca. Chmury zaś coraz inne ksztalty przybierały, przez to w każdej chwili ludzie oglądali inny, niesamowity widok. Z tego powodu Jackowi przerwał odprawianą uroczystą kompletę pacholik-nowicjusz.

– Całe niebo krwią pokryte! – wbiegł do kaplicy z krzykiem. – Calutkie. Co to będzie? – W oczach pacholika widoczna była nie sama groza, ale też chęć jej oglądania po raz wtóry.

Wszyscy, nawet Jacek, obrócili się w stronę chłopaka. Ktoś chciał go ukarać za zakłócenie mszy i już wstawał z klęczek, ale napotkawszy wzrok najdostojniejszego z zakonników, poniechał złości. Mimo to niepokój wpadł między mnichów. Chcieli powstać z klęczek i biec, lecz Jacek obrócił się w stronę krzyża z bielejącym, zamartwym w cierpieniu Chrystusem, i najspokojniejszym głosem dokończył urwaną modlitwę. Gdy tylko skończył znów chcieli się porwać z kolan i biec, aby na własne oczy ujrzeć nieznanne zjawisko, on jednak ponownie to udaremnił, wypowiadając słowa, które zawsze pomagały w potrzebie.

– *Kyrie eleison...*

– *Chryste eleison...* – powtórzył bez użycia myśli opat.

– *Kyrie eleison* – rzekł dobitnie Jacek i pociągnął: – ...Ojczy z nieba, jedyny Boże, zmiłuj się nad nami. Synu Ojca, Odkupicielu świata, Boże zmiłuj się nad nami. Duchu Święty, Boże, zmiłuj się nad nami...

Czyńska cuda litania dominikanów nie wyparła z serc niepokojów, nie natchnęła odwagą, ale uspokoiła. Po jej zakończeniu, za grzecznym przyzwoleniem opata, Jacek przemówił do braci spokojnie i stanowczo, niczym wódz przed bitwą do rycerzy.

– Wiele wskazuje na to, że zamiast śpiewać jutro *hosanna* na pamiątkę wjazdu naszego pana do Jerozolimy, przyjdzie nam znosić to, co nieuniknione. Na cześć tych, co przyjadą, takich śpiewów nie zaniesiemy. Bądźcie gotowi, bracia. Będziemy musieli z twarzą spokojną patrzeć na śmierć i pożogę. Musimy mieć nadzieję w wałach Okołu, ale jeśli gród się nie oprze, wpuścimy w nasze mury i do kościoła tylu ludzi, ilu się zmieści. Będziemy musieli nieść pocieszenie strapionym i udzielać odpuszczenia grzechów umierającym. Być może ujrzymy najstraszniejsze obrazy wojny przechodzące ludzkie wyobrażenie. Nie lękajmy się jednak i nie ulegajmy pospolitym odruchom. Bądźmy spokojni pewnością, że nawet jeśli nie przeżyjemy, niedaleko jest Królestwo Niebieskie... – tu zastanowił się chwilę, po czym tak dokończył: – Nie myślcie, że namawiam was do śmierci. Nie. Mamy żyć i powinniśmy pomóc innym przeżyć. Ale jeśli śmierć jest nam pisana, odejźmy z tego świata jak prawdziwi chrześcijanie, z godnością i odwagą dzieci chrystusowych. To wasze zadanie na jutro i na następne dni.

Twarz Jacka miała wyraz surowy, pełgały po niej odblaski od płomieni świec i poruszały się rzucane przez nie głębokie cienie. Zrobiło się znów strasznie, co natychmiast odczuł. Uśmiechnął się więc i powiedział prawie wesoło: – To będzie jutro albo i za kilka dni. Tymczasem pójdźmy zobaczyć to krwawiące niebo i zaspokójmy ciekawość. Nie wierzę, że to cud czy diabelskie omamy. To, co zobaczymy, pewnie jest dziełem rąk ludzkich, choć doprawdy trudno będzie w to uwierzyć. Zaraz potem idźcie między ludzi i działajcie na nich obliczem pewnym, poważnym i dostojnym. Błogosławcie ich, namawiajcie do męstwa i pokładania ufności w Bogu. Wszystkim będzie to potrzebne, również nam. Wiedzcie, że dając odwagę innym, sami w nią się wzbogacie. Taka jest potrzeba na dziś i na najbliższe dni i tygodnie.

– Może przyjdzie nam ktoś na pomoc? – zapytał któryś z mnichów, a wszyscy się obrócili w jego stronę, jakby był nosicielem dobrej nowiny.

Jacek to zgasił.

– Nie ma co się łudzić, że ktoś nam przyjdzie z pomocą za dzień czy dwa. Pewne jest, że ponieśliśmy klęskę w bitwie. To jednak dopiero początek wojny. Kraków nie od razu zbudowano, to i zdobyć go od razu łatwo nie będzie. Jeśli wytrwamy tydzień, dwa, możemy doczekać pomocy. Albo wróg sam odejdzie. – Tu znów leciutko uśmiechnął się na myśl, że troszeczkę okłamuje współbraci. Dzięki temu uśmiech wyszedł mu zwyczajnie, aż powszechna ponurość nieco się rozjaśniła, a mnisi spoglądali na siebie w lepszych nastrojach. Dodał więc: – Ma ktoś jeszcze pytania?

Jako że nikt o nic nie zapytał, mnisi poszli zobaczyć, co wprawilo w popłoch cały gród jeszcze niedawno pewny siebie, rozgadany, nawet rozgdakany. Wyglądali przez wąskie okienka kościelnej wieży, tłocząc się i przepychając. Już minęła północ, a mrok, zamiast ogarniać ziemię, ustępował czerwieni. Ta nie potężniała, nie rozjaśniała niczym przy wschodzie słońca. Tam, gdzie chmury się przerwały, jej postać była bardziej przyziemną, nie sięgała nieba. Tyle że zdawała się przybliżać do Krakowa. Ogarniała pół widnokregu.

Mnisi patrzyli i martwili się. W oczach mieli łzy przejęcia. Któryś powiedział: – Istotnie, jakby się piekło rozwarło.

– Na Rusi wyglądało to tak samo – wspomniał Jacek. – Gdy zrobiło się ciemno, palili wsie. Podpalają wszystkie naraz, o jednej porze, żeby większą grozę obudzić. Ale to znaczy, że nie od razu tu będą. Palą, ludzi łowią, rabują, zadają gwałt. Na rano przybędą – westchnął i dodał jakby do siebie: – Ech, gdyby mieć nasze wojsko w pobliżu, byśmy im obrzydzili to wojowanie. Jeżeli palą, to nie śpią, w bitwie też musieli się utrudzić. Wiem, potrafią spać w siodłach, lecz to nie to samo co na ziemi. To jednak wszystko nic, skoro wojska nie mamy. Nawet nie wiemy, gdzie jest. – Poruszony tą myślą, zszedł do refektarza, żeby wypytać przybyłego wojaka o bitwę.

Poszarzały od brudu rycerz zasnął przy stole, podobnie trzech innych, którzy zagościli po nim. Tylko jeden nie spał, najmniejszy i najchudszy z nich. Znać po nim było ogromne znużenie i wyraźne targanie niepokojem czy może strachem, bo to się pokładał na ławie, to wstawał i chodził, opierał się o ściany, tarł głowę pięściami i rozmazywał po twarzy szare smugi łez. Nie zauważył, że Jacek mu się przygląda od kilku chwil, a gdy wreszcie spojrzął, podskoczył i jęknął.

Mnich natarł na niego od razu, bez żadnego przygotowania.

– Co tam się stało? Widziałeś bitwę? – Wojak opuścił głowę, ale Jacek nie ustawał: – Mów, coś widział. To ważne. Bo my nic nie wiemy.

Młodzieniec milczał. Stał niczym kukła albo mały chłopczyk, którego przyłapano na czymś złym i teraz czeka na karę. Zgarbił się, ręce miał bezwładnie opuszczone, ciężko oddychał przez nos. Jacek jął go za dłoń i powiodł do ławy.

– Siadaj i mów, co ci leży na sercu. Jestem duchownym. Zachowam to dla siebie.

Dopiero z bliska ksiądz zauważył, że wojak jest bardzo młody. Kogoś mu przypominał, tylko Jacek nie mógł skojarzyć, kogo; podróżny pył nie zmyty z twarzy, bruzdzący ją w każdym załamaniu, w nikłym świetle kaganka postarzał go o czterdzieści lat. Włosy posiwiałe, chociaż wcale nie pokryte pyłem. Zrazu sam o nim myślał, że to jeden z pierwszych uciekinierów z pola bitwy, co to krzyczą o kłesce, że tylko oni przeżyli, w istocie czmychnęli, ledwie zobaczywszy wrogów, ale szron na włosach i bure grudki krwi na pancerzu, czego niepodobna pomylić z czymkolwiek innym, świadczyły, że młodzieńki człowiek zobaczył za wiele naraz, zwłaszcza na swój wiek. Dlatego mnich odezwał się ze współczuciem: – Nieważne już, co zrobiłeś, a czego nie. To, co widziałeś, zauważyłeś, jest stokroć ważniejsze. Nigdy o tym nie zapomnisz, choćbyś się starał. Chyba że popadniesz w szaleństwo, ale to pozwala zapominać tylko na chwilę, bo gdy już się cieszysz, gdy myślisz coś beztrudnie, to wraca w chwili największej radości i bije po wielokroć, jakby w głowie uwiło sobie gniazdo dziesięciu szatanów. Powiedz teraz. Ulży ci, a ja wreszcie czegoś się dowiem.

– Ojciec, stchórzyłem... – wyszeptał niepewnie młodzieniec, żeby pozostałych trzech nie usłyszało.

– Uciekłeś, zanim bitwa się zaczęła? Niczego nie widziałeś? – Jacek ledwie opanował głos.

– Nie, nie od razu. Uciekłem na koniec. Odbiłem się od swoich.

– Wiedz, że byli tu wcześniej znacznie szybsi od ciebie. Tyś przyjechał jako jeden z ostatnich – uspokajająco mówił mnich. – Opowiedz od początku, jak wojska się rozstawiały, jak bitwa się zaczęła. Czy widziałeś naszych wodzów? Mów, póki jeszcze nie świta. Kto wie, ilu ludzi tym ocalisz? – Na to zdanie młodzieniec podniósł głowę, a Jacek natychmiast z tego skorzystał: – Wiedz, że na wojnie różne rzeczy się dzieją. Pewnie jutro przyjdą tu ci piekielnicy. Będiesz

mógł naprawić to, co ci się wydaje popsute. Tu nie chodzi tylko o ciebie, lecz o tysiące ludzi. Od tego, jak zakończyła się bitwa, zależą nasze tu działania. Nieważne, na ile złe mogą być wieści. Na wojnie najgorzej jest nic nie wiedzieć. Nawet to trochę, co ty wiesz, może ci się zdaje nieistotnym, jest dużo lepsze niż nic.

– Nie rozumiem tego, co się działo – mówił młodzian.

– Opowiedz, a ja już będę wiedział resztę. Czuję, że powiesz prawdę, bo ty jeden masz wyrzuty sumienia, choć ledwo uniosłeś cało głowę. Inni uciekli, naźarli się, napili, a gdy się wyśpią, zechcą uciekać dalej.

– I ja bym chciał – powiedział naiwnie wojak.

Na to zakonnik lekko się zniecierpliwiał.

– Ale żeś wymyślił. Każdy by tak chciał, ja też, jeśli chcesz wiedzieć, tylko już nie ma dokąd. Tedy mów, co tam się działo. Będę uważnie słuchał.

Jeszcze kilka razy młodzieniec, a raczej młodzik, westchnął, chciał już mówić, ale wyraźnie nie umiał zacząć. Jacek podpowiedział mu z największą cierpliwością, od czego mógłby rozpocząć opowieść: – Jak się rozstawiliście do bitwy?

Wtedy się okazało, że wojak umie składnie opowiadać.

Dziwne, ale dokładnie tego nie pamiętam. Na wieczór zjechało się wojsko nasze i sandomierskie. Gdzie Tartary? Gdzie Tartary?, wszyscy pytali, a oni nie wiedzieli. Mówili, że o dzień, dwa dni drogi za nimi. A gdy pytano, ilu ich tam, mówili, że więcej niż na Popielec i że niezbyt bojowi, bo trzymali się z daleka od polskich szyków. Słysząc też było, że jakbyśmy szybciej szli, to kniaź z matką nie musieliby uchodzić na Śląsk.

– To Bolesław uszedł na Śląsk? – poruszył się Jacek.

– Tak. Tak mówili... i to im się nie podobało. Podobno, com usłyszał, gdy starsi między sobą mówili, rycerstwo sandomierskie miało księciu za złe, że odstąpił tak daleko od swego wojska, ledwie o wrogu usłyszał. Potem poszliśmy spać, tylko wodzowie coś tam radzili i radzili. Stary Wojciech prawił, że na te narady to już za późno... Usnąłem w szalasię, bo cały dzień zszedł mi na jeźdzeniu. Obudzili mnie przed świtem i jak to młody, musiałem wcześniej wstać i jechać z podjazdem w kilkanaście koni w prawo od obozu, ledwie placka zjadłem. Dokąd jechaliśmy – nie wiem. Dojechaliśmy do mokradeł, starych roztopów i wylanej rzeczki. Nic za nią nie było widać, a jeszcze deszcz nas dopadł. Zawróciliśmy więc, bo nie było gdzie się przeprawić, też nigdzie ani śladu człowieka. Jakeśmy wrócili, wojsko już stało w hufcach, obrócone na wschód. Po znakach poznaliśmy, że nasi stali na prawym skrzydle, bliżej nas.

– Nasi, znaczy krakowscy? – dopytał Jacek.

– Tak. Nasi. Nie zdążyliśmy się dołączyć, bo na sto kroków od nas zajechał po cichu wielki oddział Tartarów kryjący się w zagłębieniu. Trzy razy większy niż

nasze i sandomierskie rycerstwo. A tylko jeden hufiec widzieliśmy, były wszak inne. Z krzaków myśmy tych innych nie widzieli, bo górka i drzewa zasłaniały. Z tyłu, daleko za wojskami Tartarów, stał jeszcze jeden oddział, ciężej zbrojny, jakby doborowy, bo tam dużo broni połyskiwało, gdy słońce wzeszło. Ci, co się kryli bliżej nas, głównie w pancerze skórzane byli odziani.

– Nie zobaczyli was?

– Nie. To znaczy nie od razu. Z początku czaili się i czekali, co będzie. Z tego miejsca w krzakach myśmy widzieli skraj swoich. Nasi nie widzieli tych Tartarów, co byli bliżej nas. Gdy to pojął rycerz Rosław, co nami dowodził, wysłał jednego człowieka, żeby niepostrzeżenie dotarł do naszych. Sam chciał pojechać z nami, ale dookoła, żeby nie wpaść na Tartarów. Było jednak już za późno, bo bitwa się zaczęła.

– Jak? – Jacek odwrócił nieco głowę, bo łzy zaczęły napływać mu do oczu. Już wiedział wszystko, już ten nieopierzony młodzik nic nie musiał mówić. Zapytał jednak, chciał się dowiedzieć.

– Myśmy zobaczyli, że niebo poszarzało i jeden gwizd było słyhać, jakby tysiąc ludzi naraz gwizdało. Nie wiedzieliśmy pierwej, co to. Za chwilę do nas dotarło, że strzały Tartarów tak gwizdzą. Spadły na nasze szyki jakby deszcz. Nasi wtedy postąpili o kilkanaście kroków naprzód i następne strzały spadły za nimi. Nie wiedzieli, że z boku czają się ci Tartarowie, co myśmy ich widzieli. Cały czas gęsto od przodu dopadały ich strzały. Skąd, myśmy nie widzieli. Wówczas zagrały u nas rogi „naprzód” i nasi pojechali na zatracenie... – tu głos wojaka się załamał.

– Opowiadaj – z wysiłonym spokojem zachęcił Jacek, opierając wygoloną głowę na rozwartej dłoni tak sprytnie, aby młodzieniec niczego nie zauważył; ale i tak nie mógł zauważyć, bo sam płakał i znów rozmazywał brud po twarzy zaciśniętymi pięściami.

– Ruszyli pięknie, lecz wtenczas bliżsi nas Tartarowie puścili w nich strzały. Oni muszą być z piekła. Nie widzieli nic, bo strzelali w górę, przez krzaki, a strzały wszystkie wpadły w nasz szyk. Wszystkie. Zakotłowało się, dużo koni i ludzi popadało. Ale jechali dalej, aż starli się z przednim hufcem Tartarów, co pierwszy do nich strzelał. Zaraz od tych, co stali niedaleko nas, wyjechały następne hufce. Wtedy i nas ujrzeni, bo zaszło nas z boku kilkunastu Tartarów. Piszczalkami dali znać swoim. Obróciliśmy się na tych pieszych, co do nas strzelali, nawet i ja wtedy dobyłem miecza. Ranny Rosław, jakeśmy pogromili tych pieszych, kazał nam obrócić się na te tysiące, co właśnie wyjeżdżały, żeby naszych złapać w sak, ale im się to nie udało.

– Nie udało? – drżącym głosem dopytał ksiądz.

– Nasi zaraz zaczęli się cofać albo uchodzić w lewo, bo od nas ten zgiełk się oddalał. Tartarzy ruszyli na nich, aż ziemia zadudniła. Na nas już jechała ich setka, jeśli nie więcej. Myśmy, to znaczy moi, skoczyli do nich, a mój koń się obalił.

Myślałem, że ranny albo ubity strzałą, lecz on zaplątał się w ostreżynach. Myślałem, że już po mnie, ale koń mnie nie przygniótł, a nawet wstał. To i ja wstałem, i go dosiadłem. Ogarnęli Rosława i innych, wokół nich zrobili koło i strzelali z łuków. Nasi spadali z koni, a gdy chcieli się bić, tamci odskakiwali. Potem ich sznurami ściągali z siodła za gardła. Wtedy uciekłem. Nie pomogłem swoim. Nie pomogłem! – krzyknął młodzieniec i na tym zakończyła się jego opowieść o bitwie.

– Nie masz czego płakać – odezwał się jeden z tamtych trzech wojaków, który jako pierwszy z uciekinierów przytomnie mówił o obronie. – Dobrze, żeś głowę cało wyniósł. Nic byś nikomu nie pomógł, nawet byś nie drasnął żadnego z Tartarów.

– A ty? – zapytał go Jacek.

– Ja? Ja miałem szczęście. Możesz nie wierzyć, mnie ocaliło inne obalenie na polu bitwy i dobry pancerz, co strzał nie przepuścił. W środku szyku byłem, to mało co do mnie i konia dochodziło, ledwie nas drasnęło. Rzeczywiście słońce przyćmili, to trzeba przyznać... Jakby nas rój pszczoł opadł albo syczących żmij, leciały te strzały i gwizdały. Ruszyliśmy do przodu, oni niby też parli do zwarcia, ale gdzie tam, wyciągnęli nas jeszcze i dopiero uderzyli. Zaraz zajechali z prawego boku, jak to już ojciec słyszałeś, chcieli i z drugiego, ale za ciasno było, łąki miękkie, strumyk, to ich na trochę zatrzymało, bo by nas wszystkich wtedy ogarnęli... – tu rycerz zawahał się, bo opowieść przeskoczyła z opisu bitwy na przeżycia własne. Zaraz jednak powrócił do sedna. – Nie było tak pięknie. Nasze pierwsze szeregi całe poranione, a i pobite. Konia popchnęli mi inni przy nawrocie, on jeszcze potknął się o jakieś zwłoki. I tak żeśmy leżeli. Mój koń zaplątany w uprzęże, miotający się, ja leżący obok, przytulony do innego ścierwa, żeby kopytem nie dostać. Gdy po mnie się przetoczyli, dosiadłem konia i pojechałem w drugą stronę, czyli w mokradła. Po trzech dniach błakania ruszyłem na Kraków. Ale dalej już nie ucieknę, o nie. Tu poczekam na psuibratów.

– Ja też – dodał młodzieniec.

Znów odezwał się starszy: – Ty lepiej uchodź. Swoje już zrobiłeś. Tyś przecie ten Jędrzej, co go matka chciała wyprosić od służby.

– Nie mów, bo mi wstyd.

– Wtedy mogło się wydawać, że wstyd. Że głupia. A ona prawa i mędrsza niż wodzowie. Lepiej, byś takiej matce ocalał. Godna jest tego.

Jacek, co w ocaleniu Jędrzeja promyk nadziei na lepsze jutro zobaczył, przemówił: – Sam go do niej odprowadzę, gdy tylko to się skończy. Co prawda nie obiecałem jej tego, ale modliłem się z całych sił, aby akurat Jędrzej wrócił z tej wyprawy. Teraz to już nie dam mu zginąć. – Przyjaźnie potarł chłopca po posiwiącej czuprynie. Jędrzej na to się zarumienił, czego spod brudu, a w dodatku w mroku, nie było widać, i przestał wreszcie płakać.

Ksiądz zapytał rycerza: – Mówiłeś o nawrocie. To się cofnęliście?

– Ja nie, bo mi w ścisku konia obalili, ale był rozkaz do odwrotu, zwiłali naszą chorągiew. Sulisław krzyczał, żeby się cofnąć.

– A wojewoda? – dopytywał mnich.

– Tego nie wiem. To znaczy nie jestem pewien. On chyba chciał się bić, nie cofać. Nie przysięgnę wszakże, że tak było, bo mało co widziałem. Prawdę mówiąc, łba nawet nie podnosiłem, gdy nade mną wszystko jechało. Wiem tylko, w którą stronę uchodzili.

– Tedy może wojsko ocalało? – powiedział Jacek.

Wojak zamyślił się chwilę.

– Uciekając, widziałem ogromne kłębowisko trochę na lewo od miejsca sprawienia naszego szyku do bitwy. W dodatku przysuwał się ten hufiec doborowy, co o nim mówił młody. I jeszcze szyki Tartarów mi majaczyły w oddali. Oni połowy sił nie użyli, żeby nas wystrzelać i zgnieść. Nie wierzę, że nasze wojsko mogło ocaleć. To była klęska. Ale... nie ścigali nas, niedobitków. Znaczy nie od razu w pogoń ruszyli, bo raz, na drugi dzień, w dziesiątkę nie śmieli do nas się zbliżyć. Może to być, że czekali, aż bitwa się skończy. Za to potem rozsiali się po ziemi niczym uporczywe muchy. Wszędzie byli.

– Właśnie. Po co mieliby tak robić, mając całkowitą pewność zwycięstwa? Sił by im wystarczyło na bitwę i na pościg – głośno zastanawiał się Jacek. – To może ktoś się wyrwał z okrążenia?

– Może... – zamyślił się rycerz. – Wielkich nadziei bym sobie nie robił. To wyglądało tak, jakby ogarnęli wszystkich.

– To dlaczego czekali z pogonią?

– Nie wiem. Wolałem nie czekać, aż się namyślą. Nawet jeśli część wojska ocalała, to i tak nic nam na razie nie pomoże. Między nimi a nami są tysiące tych czarcich synów. To znaczy, że nie ma naszego rycerstwa.

Temu zdaniu Jacek nie zaprzeczył, ani już o nic nie dopytywał, pokiwał jeno twierdząco głową.

Młody Jędrzej wreszcie zasnął.

TARTARÓW CHARAKTERYSTYKA SKRÓCONA

...Odstępy między oczami a policzkami są u nich szersze niż u innych. Policzki również odstają daleko od szczęk. Nos mają płaski, nieduży; oczy małe, powieki aż do brwi podniesione. Niemal u wszystkich słabo rośnie broda. Niektórzy jednak mają nad górną wargą i na brodzie nieznaczny zarost, którego nie strzygą. Na głowie (...) tonsury i na ogół wszyscy golą od jednego do drugiego ucha pasek na szerokość trzech palców, a wygolony pasek łączy się ze wzmiankowaną tonsurą.

Nad czołem również golą się wszyscy podobnie na szerokość dwóch palców (...). Pożywienie ich stanowi wszystko, co można zjeść. Jedzą więc psy, wilki, lisy i konie, a gdy zachodzi konieczność – spożywają ciała ludzkie. Z tego powodu Tatarzy, gdy walczyli z jakimś miastem Kitajców, gdzie przebywał ich cesarz, i oblegali je tak długo, aż skończyły się zapasy i już nie mieli niczego do jedzenia, brali dziesiątego człowieka w celu spożycia. Piją posokę, która wydostaje się ze źrebiętami z klaczy [rodzącej]. Nawet widzieliśmy, że jedzą wszy. Mawiali bowiem: Czy nie powinienem ich zjadać, skoro one jedzą ciało mego syna i piją jego krew? Widzieliśmy też, że zjadają myszy. (...) Jeżeli mają mleko klaczy, piją je w ogromnej ilości. Piją również mleko owcze, krowie, kozie, nawet wielbłądzie. Bardzo są zarozumiali wobec ludzi z innych (narodów) i okazują pogardę wszystkim, nawet uważają ich niemal za nic, obojętnie, czy byliby to ludzie wysokiego czy niskiego urodzenia. Bardzo są gniewni wobec obcych i mają porywcze usposobienie, a także okłamują obcych i nie znajdzie się u nich jakiegokolwiek prawdy. Na początku wprawdzie schlebiają, lecz w końcu kłują jak skorpiony. Chytry są i podstępni, a jeśli mogą, przebiegle osaczają wszystkich. (...) Cokolwiek obiecują, tego nie przestrzegają, gdy widzą, że sprzyjają im czasy, są podstępni i w czynach, i w przyrzeczeniach. Zamierzają również zetrzeć z ziemi wszystkich książąt, wszelką szlachtę, całe rycerstwo i uczciwych ludzi.^[2]

Rozdział 8. **Wielki Tydzień**

Ledwie zaczął świtać dzień Niedzieli Palmowej w roku 1241 wypadający 24 marca, poza wałami i murami Krakowa zaczął się ruch. Zaspany, młodzieńki strażnik na smukłej wieży warownego kościoła Mariackiego wychylił się, żeby lepiej widzieć – głównie popatrzeć z góry na niewiasty, niechybnie idące na jutrznię. Oczywiście zobaczył je, co go radowało. Widział jednak też coś innego, co zrazu wziął za ludzi idących na mszę. Zastanowiło go, że idą rzędami, jak cienie, lekko schyleni, nawet przemykają od rogu do rogu domu – dziesiątkami, setkami. Odwrócił się, żeby kogokolwiek powiadomić, ale akurat w tej chwili nikogo nie było ani na wieży, ani wokół niej. Kraków niedawno ustał w krzątaniu i poszedł spać w nadziei, że będzie jeszcze jeden dzień na przygotowania. Tylko część co pobożniejszych szła w zamyśleniu, spokojnie, bez napięcia, żadnej czujności, na mszę, chociaż niektórzy nieśli ze sobą dobytek i zapasy jedzenia. Cisza rzeńskiego ranka, gdy odezwało się różnorodne ptactwo witające dzień, miała cudowną moc czynienia ludzi łagodnymi, a wojennych spraw niebyłymi. Wojna wojną, lecz Niedziela Palmowa nie co tydzień się wydarza. Co prawda wystawiono strażę, ale dziwnie, bo naraz pilnowali i nie pilnowali, oglądali się jeden na drugiego, umykali do swoich spraw, do pakowania po domach, przenoszenia tobołów na Okół albo do kościołów. I jakoś tak wyszło nad ranem, że – gdy trzeba było, aby czuwało więcej ludzi – tam gdzie trzeba, tkwił tylko jeden strażnik, mimo że jeszcze kilka pacierzy wcześniej kręciło się ich sporo. Młodzieniec, będący na co dzień ofiarą kpin starszych druhów, co zwykle pilnie czuwał nad tym, czy gdzie nie gore, nie bardzo wiedział, co ma począć. Przebiegł na drugą stronę wieży i syknął – tam na dole powinni być strażnicy od bramy.

– Jarosz... Jarosz... – wychylił się za blanki i syknął. – Już podchodzą. Jarosz... – szepnął nieco głośniejszym głosem, bo postacie tam się ruszające jakby na niego nie zważały.

Odpowiedział mu syk i stukot tuż obok policzka. Krótka strzała musnęła go kruczym piórem. Odskokzył. W głowie zakrzyczała myśl: Są tu! Są! Są w Krakowie! Jak przeszli!, chciał zawołać na uspięne, jakby zaczarowane miasto, ale nie wydał z siebie głosu. Na zewnątrz zaczynały się szamotanie, krótkie walki, pojedyncze na razie krzyki; Tartarowie łowili już ludzi. Młodzieniec dopiero wtedy pomyślał przytomnie, że przecież cały Kraków śpi i nieliczne hałasy nikogo nie zbudzą, nikogo nie poruszą. Znów chciał krzyknąć, ale tylko wychrypiał coś, co nijak krzykiem nie było; kogut robił już więcej hałasu pianiem, niż to, co wyszło z gardła młodziana. Spojrzał na przeciwległy róg wieży, gdzie na haku wisiała trąbka, bo na wypadek pożarów strażnicy mieli ze sobą surmę do grania.

Strażnik lubił grać na trąbce – aby ostrzec wystarczyło w nią zadąć, wówczas

wydawała z siebie taki głos, że umarli powstałoby z grobów. Młodzieniec, oprócz prostego w nią dęcia z całych sił, umiał zagrać jeszcze coś. Któregoś dnia postanowiono bowiem, że strażnicy nauczą się grać fanfary, coby nie ośmieszać się przed gośćmi. Niestety, ten strażnik nie mógł składnie opanować ani jednej, za to po wielu dniach prób wyszła mu różna od jakichkolwiek pierwowzorów ni to skoczna, ni to nieskoczna piosnka nie piosnka. Nie dość, że niczego ów twór nie przypominał, to jeszcze niepoważnie brzmiał. Miły za to był dla ucha i miał urok; może dlatego tę piosnkę nie piosnkę strażnika ludzie polubili.

Dziwne, bo o tym graniu młodzieniec pomyślał właśnie teraz, gdy ujmował trąbkę w roztrzęsione dłonie. Nim tchnął w nią rozpaczliwy dech, zobaczył kątem oka, że w stronę miasta zmierzają podobne ogromnym watahom wilków chmary wrogów. Łzy stanęły mu w oczach. Doszedł do południowego okna i zadał z całych sił. Surma ozwała się nieczysto, ale głośno, jakby chrypiała.

Strażnikowi nikt jeszcze nie zawtórował trąbieniem, nie odezwał się też żaden dzwon kościelny. Młody strażnik przytknął trąbkę do ust, aby zadać jeszcze raz. Wychylił się, ile mógł. W tej chwili chciał tylko, żeby Kraków go usłyszał. Dźwięk wyszedł wyjątkowo czysty, choć z dużym drżeniem i zawahaniem. Popłynęła w powietrze piosnka nie piosnka i zaraz rozedrgały się dzwony na Wawelu. Wtenczas w strzelnicę wieży trafiła celnie strzała, gasząc dźwięk trąbki w pół tonu.

NIEDZIELA PALMOWA

Czy to za grzechy czy z niemocy

Umysłu co głupotą zowią

Nie mamy już w tym grodzie dziewic

Każdą Tartary nam wyłowią.

Kto był na tyle lekkomyślny i nie od razu przeniósł się na Okół, nie zawarł się w którymś z kościołów lub nie uciekł z pozbawionego umocnień Krakowa, ten popełnił wielki błąd. Wiedzeni przez Rusinów Tartarowie zdobywali dom po domu, nie ponosząc strat. Wielka, spóźniona gromada niewiast, dzieci i mężów dobijała się do bram klasztorów, kościołów i Okołu, ale o tym strasznym,

chłodnym świetle wpuszczono za nie tylko nielicznych, zaraz na głucho je zawierając. Co wrażliwsi wewnątrz zatykali uszy, żeby nie słyszeć próśb i klątw nieszczęsnych pozostawionych na pastwę wrogów.

Napastnicy omal zdobyli Okół, dopadając z boku wałów. Odparto ich w poczuciu wielkiej trwogi, ostrzeliwując z łuków i kusz, zadając niewielkie straty. Wkrótce Tartarowie sami jęli się łuków i to z taką wprawą, że nikt nie śmiał się wychylić spoza blanek czy zbliżyć do okienek w wieżach. W jedną strzelnicę mierzyło po pięciu Tartarów i strzelali ciągle. Tak w pełni bezpieczni podeszli po bramy Okołu i innych, niezdobytych jeszcze twierdz Krakowa, wyciągając stamtąd zrozpaczonych uciekinierów. W promieniach wschodzącego słońca strwożeni obrońcy, jeśli tylko mieli możliwość się wychylenia, ujrzeli obrazy piekieł.

Wszędzie tam trwała gonitwa za ludźmi, co nie zdążyli się schronić. Tartarowie i ich ruscy przewodnicy natychmiast jęli się gwałcenia niewiast na oczach ich dzieci. Nieliczni mężowie próbowali bronić żon i córek, lecz niczego nie zdziałali: napastnicy zabijali ich pałkami, toporkami i krzywymi mieczami. Jeśli któryś stawiał zřeczniejszy opór, po pokonaniu pastwili się nad nim. Katowanie pokonanych sprawiało tym stworom z piekła rodem wyraźną radość. Niektórym nieszczęśnikom obcinali ręce i nogi i ze śmiechem patrzyli na bezradną mękę, innym darli płaty skóry z pleców i brzuchów, puszczając potem wolno, aby biegali w szaleńczym bólu do utraty sił. Jeszcze innym, po rozplątaniu brzucha, wyciągali flaki i gonili, aż umierali w męczarniach, zaplątani we własne trzewia. Ucięcie głowy wyglądało na łaskę.

Czego nie można było pojąć w żaden sposób to pastwienia się nad malutkimi dziećmi. Wydierali je z rąk niewiast, przy tym wesoło rechocząc – piski, płacze i krzyki nie robiły na nich wrażenia. Kilkoro nadziali na włócznie i jeszcze się ruszające, jeszcze kwilące ostatkiem tchu, z rozmachem przerzucali nad umocnieniami. Wielki ruski zwyrodnialec, żeby popisać się siłą przed panami ze stepów, złapał jedno z dzieci za nóżki i rozdarł je, a drgające kawały mięsa nadziewał na przypadkowo znalezione widły, które starał się wrzucić do kościoła przez okno. Zaraz inni przynosili mu ze śmiechem zanoszące się od płaczu następne dzieci, a on je rozrywał. Gdy z jednym nie mógł sobie poradzić, pomógł mu drugi bydlak, i tak rozszarpali dziecko już nieplaczące, lecz nieprzytomnie stękające z niemożliwego do wytrwania bólu. Wkrótce żadnych innych płaczów dziecięcych nie było w Krakowie słyszeć, prócz tych, co były w kościołach i klasztorach.

Gwałty na niewiastach zdawały się nie mieć końca. Tartarowie sprzeczekali się o niewiasty, nawet o małe dziewczynki, ciągnęli je za włosy, dopadali po kilku, gniotąc na śmierć. Spychali się z nich, niemal rozrywali na sztuki. Bywało nawet, że gwałcili w kilku naraz nieżywego człowieka ruszającego się tylko dlatego, że go szturchali. Niewiast było za mało, wiele więc, zaspokajając żądze wszystkich, od

wielogodzinnego gwałcenia umarło. Oni byli w tym gorsi od zwierząt: tarzali się we krwi, treści rozciętych wnętrzności i własnych wydzielinach.

Gdzieniedzie obrońcy odgonili napastników od murów celnymi strzałami. Oszczędziło im to części widoków i nieco osłabiało krzyki, ale tego, co i tak zobaczyli za sprawą zdobywców Krakowa, nie zapomnieli nigdy.

Jacek Odrowąż wiedział. Ledwie zaczęło się natarcie, ledwie usłyszał ostrzegawczy dźwięk trąbki, kazał bić w dzwony i otworzyć bramy Okołu. I nie dał ich zawrzeć, aż zobaczył napastników na tyłach uciekinierów. Bramy nie dałoby się w czas zamknąć i gródek byłby zdobyty, lecz z pomocą ruszyli ocaleni z bitwy pod Chmielnikiem wojacy. Zrzucili z wieży nad bramą kilka belek nabijanych zaostrozonymi kołkami, co zabiły zarówno swoich, jak i jakiegoś Tartara. Tyle wystarczyło, żeby reszta cofnęła się o krok, dwa. Wtedy zawarto bramy na głucho i wtedy zaczęły się rzeź i gwałty na ludziach celowo zwleczonych pod umocnienia.

Jacek nie zezwolił, żeby któryś z chłopców postulatorów czy też odbywających nowicjat zobaczył, co dzieje się na zewnątrz. Na jego rozkaz wszystkim młodzież i dzieci z matkami zagoniono do kościołów Świętego Andrzeja i Świętego Idziego, gdzie ścisk się zrobił niemożliwy, ale doświadczony zakonnik wiedział, co robi. Na zewnątrz właśnie zaczynały się nie krzyki i płacze, lecz wycie, rozpaczliwe wycie niewiast.

W tym zamieszaniu znalazł się człowiek, który wydarzeń ze świata żywych do wiadomości nie przyjął. Zamyślony ksiądz w liturgicznych szatach przystępujący do odprawiania prymy odwrócił się od ołtarza i patrzył bez słowa na główne wejście, przez które cisnął się szlochający tłum cichnący nieco w świątyni, ale nasłuchujący z niepokojem tego, co się dzieje w mieście.

Nikt nie niósł palemek okrytych baziami, nikt nie mówił, że już za tydzień Zmartwychwstanie.

Wyglądało to, jakby ludziom coś się pomyliło. Nie rozumiał, co, a gdy zobaczył postać Jacka zagarniającego pośpiesznie ludzi do wnętrza, zawołał głośno, przy czym tak nieprzystająco do tego, co się działo, że wydawał się człowiekiem z innego snu: – Co czynisz, ojcie Jacku?! Przecież zakłócasz mszę świętą!

Ledwie powiedział, doszło do niego zrozumienie: czyżby zdobyli mur klasztorny?, ale nim otwarł usta, żeby zapytać, musiał przełknąć ślinę i nie wiadomo skąd urosły w gardle kamień. Przełknął, ale kamień nie ustąpił.

– Śpiewajcie! Śpiewajcie jakąkolwiek pieśń, głośno, razem! Módlcie się! – krzyczał Jacek zupełnie jak nie on, z pełnym niepokojem. On słyszał bowiem, wiedział i rozumiał, co się dzieje w pięknym Krakowie. Tej wiedzy, słyszenia i rozumienia chciał zaoszczędzić innym tak długo, póki się da. Nic więcej teraz się nie liczyło.

Nie działo się jednak nic z tego, co Jacek sobie życzył. Ludzie zamiast

śpiewać, stali i na niego patrzyli. Matki na próżno uciszały niemowlęta, których płacz tęnym świdrem aż nadto boleśnie przewiercał uszy starego zakonnika. Przez dziury uczynione płaczem wlewał się do głowy księdza głos niewinnie mordowanych i dręczonych, połączony z diabelskim rechotem plugawych bestii w ludzkich powłokach. Wślizgiwały się rozpacz, strach, zwątpienie i ból, niczym splot węży tworzących warkocz doznań nie do zniesienia. Imię tej wieloistości było – bezradność.

Już raz tego doznawał, w Kijowie. Już był obezwładniony ogromem okrucieństwa nie do pojęcia. Widział wszystko z bliska, wręcz ocierał się o to, bo Tartarowie, jakby na urągowisko chrześcijaństwu, zachowali go przy życiu, pozwalali umierającym udzielać absolucji, nawet z ciekawością przypatrywali się niezrozumiałym gestom dziwaczego człowieka, ale rozkaz, to rozkaz – wszystkich czarowników mieli zachować przy życiu. To i tego zachowali. Mając swobodę poruszania się pośród mordy i gwałtu, lecz bez możliwości uratowania kogokolwiek, wszedł więc do płonącego kościoła. Jeszcze nie rozgorzał, żar bił tylko od ołtarza. Tam też pełno było pomordowanych ludzi, stąpało się więc po lepkiej krwi. Jacek nie mógł skupić myśli, nie mógł zebrać się na modlitwę. Zadał sobie pytanie, po co dalej żyć, gdy piekło już nastąpiło na ziemi i sam sobie na nie odpowiedział: zostanie w tym kościółku do końca.

Rozglądając się ostatni raz, spostrzegł wpatrzone w niego oczy. Oczy dwojga ludzi z posążka postawionego nieco z boku ołtarza, na podwyższeniu tak, że lewy bok rzeźbionych szat i główka dziecięcia zaczynały się już smażyć. Jacek zrozumiał, że ma jeszcze coś do zrobienia, póki pozostaje przy życiu – postanowił uratować dzieło rąk ludzkich, co było znakiem tego, co najświętsze, co zawsze należy ratować, w każdych okolicznościach – matki i dzieci. I tak zakonnik, którego myśl już się poddała, zebrał w sobie siły i wolę, aby uratować Marię z Dzieciątkiem od pożaru. Chcąc, żeby ani Ona, ani Ono nie musieli patrzeć na okropieństwa piekła na ziemi, owinął ich fałdą czarnego szkaplerza, przytulił, zasłonił oczy i uszy, jak potrafił szczelnie. Nie dla nich były te okropieństwa, nie dla czystych i świętych istot! Tuląc to, co najświętsze, niczym najczulsza matka niemowlę, ruszył z piekącego żaru na zewnątrz, na wskroś, przez morze dojmującej boleści.

Tartarowie, widząc, że mnich unosi z pogromu dziecko, rozerwali mu szkaplerz, wyrwali z rąk zawiniątko. Któryś zamierzył się nożem, aby zabić, ale rozeznał, że uderzyłby w nadpalony obraz niewieści patrzący niebieskimi oczami w jego psią mordę. Wystraszony upuścił posążek na ziemię, a oczy Matki i Dziecka na chwilę ogarnęły świat, którego nijak nie dałoby się wówczas nazwać bożym. W jednej chwili naiwne spojrzenia wymalowane niebieską farbą stały się pełnymi przerażenia i bólu. Tartar się cofnął, coś szczechnął do swoich i odstąpili od Jacka. Tylko jeden stuknął go płazem krzywego miecza w głowę i pokazał, dokąd ma iść.

Na zachód. Mnich nachylił się nad świętymi postaciami, aby je owinąć i utulić. Wtedy zobaczył, że po ich małych buziach, nie przedstawionych co prawda najpiękniej na świecie, chociaż całkiem udatnie, przy tym nie naruszonych przez żar, ciekną łzy. Uklęknął więc, ponownie owinął posążek w szkaplerz i poniosł przed siebie, nie rozglądając się na boki. Nie wiedział, ile kroków przebył, gdy znów jakiś Tartar wyrywał zawiniątko, myśląc, że unosi kosztowności. Zobaczywszy ludzką głowę, chciał zabić, pojął jednak, że nie ma co bić w martwe, że czarownik niesie swoje przybory, że pewnie gotowy do rzucenia czaru. Wycofał się w przestkach. Tyle że znów Matka i Syn patrzyli na piekło i oboje płakali. Płakali tak, aż do przekroczenia bram Kijowa.

Jacek uchodził z płonącego Kijowa jak Lot z Sodomy – nie oglądając się, aby się nie zamienić w słup soli – dbając tylko o posążek. Całą drogę do Polski myślał o tym, jaki znak jest w jego czynie, jaki boży zamiar. Na rozum przekonywał siebie i otoczenie, że ma ostrzegać przed Tartarami, przed niezgodą, przed brakiem wiary i głupotą. On, świadek wymowny, i Oni, wyrzeźbieni niemi świadkowie najokropniejszych wydarzeń. Dopiero u wrót świątyni, gdy jeden z kapłanów pytał, co się dzieje, Jacek zrozumiał przesłanie tamtego swego czynu: ma zrobić to, co właśnie robi, o czym i w tym płącym, kijowskim kościółku pomyślał – ratować matki i dzieci. Uratować tyle, ile się da. Ratować od okropieństw piekła zewnętrznego czynionego przez szatanów ludzkimi rękoma. Ratować niewinność.

Świdrujący, tępy ból bezradności w jednej chwili ustał. Skoro sami nie śpiewali, skoro nie rozumieli, Jacek podjął śpiew. Chciałby coś weselszego, coś radosnego, co byłoby przebudzeniem z koszmaru, ale nic mu nie przychodziło do głowy, prócz Męki Pańskiej. Wreszcie także ksiądz doznał olśnienia. Jest Wielki Post i to, co dzieje się dookoła, to obraz mąk równie hańbiących jak krzyżowa!, poczuł, że nowy duch weń wstąpił, przybyło sił, a ubyło lat. Zaintonował z dużą pewnością siebie i wielkim, czystym głosem, jak to zwykł czynić onegdaj, w wieku lat czterdziestu.

Krzyżu Święty nade wszystko...

drzewo przenajszlachetniejsze...

Odpowiedział mu nierówny chór cienkich, chlipiących głosów.
W żadnym lesie takie nie jest

Jedno na którym sam Bóg jest.

Słodkie drzewo słodkie gwoździe

Rozkoszny owoc nosiło.

I ozwał się wreszcie cały kościół Świętego Andrzeja, nawet kamienie zdawały się krzyczeć.

Skłoń gałązki drzewo święte

Ulżyj członkom tak rozpiętym

Odmień teraz oną srogość

Którąś miało z urodzenia.

Spuść lekuchno i cichuchno

Ciało Króla Niebieskiego.

Najdostojniejsza z pieśni sławiącej Ból Najwyższego, poniesiona, aby zdjąć męki z najniższych, rozległa się za murami.

Tyś samo było dostojne

Nosić światowe Zbawienie

Przez cię przewóz jest naprawion

Światu który był zagubion

Który Święta Krew polala

Co z Baranka wypłynęła.

Słyszający śpiew ludzie, również stojący na wałach – raczej skuleni za blankami obrońcy – zmartwiali z przerażenia widokami radosnego krzywdzenia ludzi bez litości, doznali dreszczu, co pozwolił im otrząsnąć się z bezsily. Znaleźli się między dwoma siłami, w tej chwili walczącymi o nich samych, o ich umysły. Z jednej strony odzywało się najgorsze piekło rżeniem umierających, ostatnim płaczem i urywanym piskiem niewinnych dzieci, tłumionymi krzykami, wyciem, wreszcie bezsilnymi jękami hańbionych niewiast. Z drugiej odezwało się niebo huczącym śpiewem dochodzącym zza białego muru kościoła.

W jasełkach leżąc gdy płakał,

Już tam był wszystko oglądał

Iż tak haniebnie umrzeć miał

Gdy wszystek świat odkupić chciał

W on czas między zwierzętami

A teraz między łotrami.

Jakąż moc miały te słowa? Jakże osłabiały przemoc zła?

Pojawiły się łzy wzruszenia w niejednym oku, ale też oczyszczenia z obezwładniającego strachu. Pojawiła się odwaga pomieszana z wściekłością. Stary mnich Jacek rozwarł wrota kościoła i niepomny na lecące obok strzały spokojnie popatrzył na swoje wojsko. Korzystając z zaczerpnięcia tchu między zwrotkami, zakrzyknął: – Bóg jest z nami, wierzcie mi! Te dzieci, niewiasty, co są

w kościele, muszą przeżyć! Muszą! Brońmy się!

Za tym poszły słowa pieśni dudniące w murach kościoła:

Niestychana to jest dobroć

Za kogo na krzyżu umrzeć

Któż to może dzisiaj działać

Za kogo swoją duszę dać?

Sam to Pan Jezus wykonał

Bo nas wiernie umiłował.

Któryś z obrońców na to nie wytrzymał, wychylił się poza osłonę i wypuścił strzałę w jakiegoś niegodziwca – akurat był nim ruski zbój. Tamtemu pocisk bezgłośnie i bezboleśnie przeszył bok. Trafiony wstał, oderwał się od gwałconej, chwilę patrzył w zdziwieniu to na wystającą z między żeber pierzastą brzechwę, to na towarzyszy, którzy nie zważając na jego frasunek, rzucili się na niewiastę. Niczego nie zauważyli. Zrobił kilka kroków i padł. Jeszcze raz spojrzął na świat, zaskoczony, zdziwiony. Zrozumienie przyszło z następnym oddechem, co go zaczerpnął najgłębiej, ale nic to nie dało. Chciał krzyknąć, ale tylko osunął się obok swojej ofiary nakrytej już dyszącymi bydlętami. Wydał z ostatnim tchem dwa wyrazy najgłupszego pod słońcem pytania: – Za szto?

Jego śmierć co prawda uszła uwadze towarzyszy, ale nie Tartarów. Z wrażenia odbiegli o kilkanaście kroków i na chwilę zaprzestali strzelania, co obrońcy skwapliwie wykorzystali, celując w kilku jeszcze napastników. Ci odsunęli się na bezpieczną odległość i stamtąd wypuścili gromadę strzał.

Na niecierpliwie szturchnięcia swoich panów któryś z ruskich sługusów przyłożył obydwie dłonie, co je dopiero wytarł niestarannie z krwi, do okolonych brodą ust i wrzasnął grubym, donośnym głosem: – Ej, wy tam, Lachy! Poddajcie sja, a nie pożałujcie! Książ Ordu łasku wam ukażu! Dobry książ, dobry! – W kółko gadał gromko, a głupio tak samo i sam w to nawet wierzył, bo skoro władza coś na Rusi każe, toć zawsze czysta, święta prawda i prawo. Z kościoła

wciąż dochodził śpiew, potem równe modlitwy niczym paciorki różańca, a ten cały czas mędził swoje. Wreszcie coś zmienił: – Ej, Lachy! Taż my bratja! Poddajcie sia, pustim was!

– Pies tobie brat, suczy pomioście! Bodajbyś własnym gównem się udławił, zdrajco – krzyknął ktoś z polskiej strony, za czym poleciała strzała i omal trafiła ruskiego wrzaskuna prosto w brudny, kudłaty łeb niedawno zbryzgany krwią wzgardzonej przez Tartarów staruszki, którą wrzaskun sam zarznął, przedtem jednak wykorzystując. Rusek wystraszył się, odskoczył.

Z tyłu, w cieniu budynku, siedzieli na koniach najważniejsi Tartarowie, za nimi jeden chorąży z wieloramienym buńczukiem, drugi z głową Włodzimierza na włóczni, dalej dwie dziesiątki ciężkozbrojnych, wyborowych jeźdźców. Był tam także Ordu w pozłocistym pancerzu, jeden z jego tysiączników i skrajnie usłużny, niedźwiedziowaty, długołapy, ruski kniazik o małych, chytrych oczkach.

– Nie poddadzą się – stwierdził ten z krwią na rękach, jeszcze drżący, że strzała przeleciała od oka zaledwie na szerokość dłoni.

Ordu ze wzgardą obrócił konia i odjechał tam, gdzie gromadzono łup: kilkanaście najpiękniejszych młodych branek, na oko liczących sobie od lat dziesięciu do szesnastu – same dziewice – nie tylko z Krakowa, ale i z okolicy. Niewolnic wodza naczelnego nikt nie śmiał tknąć, wytrzymały więc tego ranka jako jedyne jeszcze niezgwałcone z tych, co nie zdołały się schować. Tyle je uszkodzono, że niektórym wyrwano garść włosów, przeważnie nosiły sińce, zadrapania, kilka wycierało krew z rozbitych nosów. Nie wyglądały pięknie, choć pięknymi były, jedne urodą jeszcze dziecięcą, inne już dojrzałą, z młodzieńczym wdziękiem. Drżące ze strachu i zimna, załzawione, jedne bose, inne obute, niektóre w samych gieźłach, inne ubrane, zbite w trwożne stadko czekały, co będzie dalej. Kilka się modliło, kilka płakało bezgłośnym szlochem, tuląc się do silniejszych duchowo towarzyszek, niektóre mdlały na widok okropieństw. Wszystkie się bały.

Usłużni przykurcze tartarscy odegnali precz biczami gapiących się ruskich, przy czym jednego, co się przewrócił, z przyjemnością kopali, za co jeszcze dziękował, całując ich buty.

Ordu łaskawie podjechał do milczących dziewcząt uciekających oczami przed jego wzrokiem, nieznacznie wskazywał wojownikom, które mają mu wybrać. Wyraźnie spodobały mu się najwyższe, najjaśniejsze, z niebieskimi oczami. Było ich sześć. Resztę wskazał wiernym kundlom zbrojnym w zdobyczne kolczugi, a ci sprawnie je skrępowali, nie zważają na krzyki i piski. Jedna niespodziewanie wyciągnęła z fałd sukni zdobiony srebrem, spiczasty nożyk i uraziła w oko wojownika. Powstało zamieszanie, chcieli ją zabić, ale Ordu powstrzymał mord jednym skinieniem.

Zsiadł z konia.

Dwaj Tartarowie przytrzymali dzielną dziewczynę, Ordu podszedł blisko,

jak najbliżej, i tymi swoimi psimi oczkami popatrzył w niebieskie oczy branki. Była wyższa od niego, pochylili ją więc siłą, jednocześnie ciągnąc za włosy, żeby pokazała twarz. Splunęła wtedy w ohydną mordę Tartara. Ten skinął i już ją kładli na ziemi, już rozdierali suknie i rozwierali nogi. Wódz osobiście raczył się nią zaspokoić – długo to trwało, wszak niemłody już był – czyniąc jeszcze ten zaszczyt, że przyłożył do białej szyi dziewczyny piękny, ostry nóż. Ona – krzycząc, sycząc i szlochając – próbowała naprzec szyją na ostrze, aby wreszcie hańba się skończyła. To przeszkadzało Ordu w przyjemności, tedy przytrzymali ją i za włosy, i przygniatając do ziemi kolanami, aż Tartar się zaspokoił, dumny z siebie, że jeszcze może rozdziewiczać. Zesztywniał nieco, znieruchomiał, ale nie całkiem, bo w tej samej chwili pociągnął ostrzem, racząc się dodatkowo widokiem krwi, tryskającej z żył najdzielniejszej niewiasty, jaką w życiu spotkał.

– Moją jest twoja dusza – zaszczekał.

Nagie nogi konającej dziewczyny kopały ziemię. Wpatrzony w nie kniazik podszedł w ukłonach do Ordu i uklęknął, przypadając aż do ziemi niczym proszący pies – i ledwie jak ten pies nie szczał z wrażenia. Całując but swego pana, zerkając nieśmiało to gdzieś na jego brzuch, to na niemogącą skonać niewiastę, zapytał: – A dla mnie?

– Bierz którąś sobie – powiedział Ordu i wskazał biczem jedną z szarpiących się dziewczeczek, po czym odepchnął nogą łaszące się bydłę. To dopadło dziewczynę, obróciło ją na brzuch, ściągnęło portki i pospiesznie posiadało, sapiąc miarowo i głośno. Po wszystkim wstało zadowolone z siebie. Ordu zaszczekał wówczas do swoich: – Następnym razem damy mu świerzbawatą kożę i też nie pogardzi.

Roześmieli się na podobieństwo rechotu ropuch pomieszanego ze skomleniem parszywych psów.

Rozluźniony wódz Tartarów skinął na kniazika, co właśnie wiązał troczki u portek. Ten natychmiast doskoczył do wodzowskiego konia, padł na czworaki i złapał za strzemień, a że portki mu spadły, poły kubraka i kolczuga się podwinęły, obraził świat widokiem włochatego, wypiętego, brudnego zadu. Po grzbiecie kniazika Ordu wlaź na konia i odjechał, splunawszy uprzednio na plecy ruskiego sługusa, bo coś bardzo chciało mu się splunąć, a ziemi nie wolno hańbić splunięciem. Dla żartu sieknął jeszcze nahajką wypiętą goliznę, co wszystkich napełniło wprost niewysłowioną radością, łącznie z rozcierającym słabiznę kniazikiem.

Wieczorem Ordu umordowawszy się nad następną branką – uległą, więc jej nie zabił – zadowolony zasnął. Zadania postawione przed nim wykonał: pokonał w bitwie wojsko, niezbyt wielkie, ale groźne, cały kraj napełnił zamętem, że nikt już nie stawiał oporu, bo nie rozumiał, co się dzieje. Zdobył wielkie miasto Kraków, co ponoć jest tu świętym miejscem. Może nie takie wielkie jak Kijów, ale

większego w tym państwie nie ma. Posiadł dwie dziewice. Można odpocząć. Zasnął błogo, mimo pojawiających się z różnych stron krzyków i jęków niewieścich. A może dzięki temu.

We śnie Ordu rozmarzył się na dobre. Śnił, że ścina co najmniej pięć głów zdobnych koronami kornie i bez cienia sprzeciwu wyciągających szyje do boskiego ciosu. Bierze ich niewiasty ubrane w najpiękniejsze szaty i futra, cenne tak, że każdą z tych szat można wymienić na tysiąc wołów. Kładzie je wśród tych futer i oznak władzy, obnaża tylko tyle, co mu potrzeba, i tarza się z nimi do woli, i robi z nimi, co chce. Potem rozdaje im różne roboty właściwe służbie – dojenie klaczy, dogłądanie owiec i kóz, także haftowanie wielkiej jurty, większej niż miał ją największy z chanów. Nieduży Ordu we śnie był bowiem największym z chanów i największym z ludzi. Wyższych od siebie kazał już dawno podocinać ostrym żelazem według własnego wymiaru tak, aby już więcej się nie wywyższali.

Śnił, że od stóp do głów ubrany w złoto, na złotym koniu, jeździ pędem po niekończących się złotych kobiercach i ogląda swoje stada na łąkach soczystych zielenią, bujanych łagodnym wiatrem – takim, na jaki pozwalał Ordu. Widział setki swoich czarnych ogierów, ognistych niczym ten po polskim wodzu, a wszystkie takie mądre, że prawie rozmawiały z Ordu. Widział tysiące swoich białych klaczy, czystych, wesołych, śmigłych, brzemiennych, co uczynią Ordu jeszcze bogatszym i szczęśliwszym.

Śnił Ordu, że dojeżdża w miejsce, które trudno sobie wyobrazić, jeszcze większe niż Bucharą czy Kijów. Tam już na niego czekają papież i cesarz, obaj w uroczystych szatach. Kłócą się między sobą, przepychają, nawet tarmoszą, ale już nie o to, który ważniejszy w rządach nad tym małym światem, lecz o sprawę nierównie ważniejszą – który z nich ma przytrzymać strzemień prawdziwego władcy całego świata, od wielkiego morza na wschodzie, do wielkiego morza na zachodzie. Tym największym z chanów jest Ordu! Największy z chanów przygląda się im łaskawie, strofując samym nieznacznym skinieniem małego palca prawej ręki. Całe tłumy królów i książąt osobiście mu przynoszą dary i usługują, i cieszą się, że mogą spożyć wypluty przez niego kęs.

Śnił, że słońce zachodzi. Wówczas przyprowadzili mu setki pięknych dziewczyn. Przebierał między nimi bez pośpiechu, z rozmysłem, one kładły się ulegle i prosiły, błagały, zebrały, żeby je wziął. Nawet Czyngis-chan nie miał tylu żon.

Śnił, że zaszczyciwszy nowy dzień swoim spojrzeniem, gdy słudzy nakładali na niego wielkie, sobolowe futro, na jego skinienie trzysta tysięcy wojowników wypuszczało strzały w niebo, aż ciemno się robiło – tak oto nastawała noc, na jedno jego skinienie.

DZWONY

Nie ma jedności w naszym kraju

Każde rycerstwo walczy samo

Nie dograł ktoś nawet hejnału

Padł ugodzony wrazą strzałą.

Trąbka strażnika, za nią dzwony Krakowa, nie brzmiały na darmo. Niosło je echo górskie i leśne, i leciało dalej. Każdy, kto je usłyszał, musiał zrozumieć, że dzieje się coś bardzo złego. Przecież był Wielki Post, zakaz zabaw, zakaz bicia w dzwony, a te były pół dnia. Zresztą i bez dzwonów kraj wiedziałby, co się dzieje, bo nocne łuny pożarów rozświetlały niebo, że tylko ślepy mógłby jeszcze mieć wątpliwości.

Ku wielkiej uldze księżnej Anny, książę Henryk wrócił z krótkiej podróży na wschód. Książę żadnej ulgi nie czuł, bo niczego się nie dowiedział. Zwołał możnych na naradę. Ściągnęli na Niedzielę Palmową i postanowili, że będą radzili zaraz po mszy. Koło południa, wtedy już trwały okropieństwa pod Krakowem, zebrali się na zamku we Wrocławiu: książę Henryk, jego syn Bolesław Rogatka, drugi syn Mieszko – co prawda jeszcze nazbyt młody, aby radzić, ale na tyle duży, żeby słuchać – biskup wrocławski Tomasz, przeor dominikanów Czesław Odrowąż, wojewoda wrocławski i książę rodem z Moraw Bolesław Dypoldowicz zwany Szepiołką.

Książę Henryk przedstawił pokrótce, czego dowiedział się tydzień temu od budzących żalność tchórzostwem władców księstwa sandomierskiego, i to, że sam niczego się nie dowiedział. Jego pytania do rady brzmiały: czy iść z pomocą lekkomyślnym krakusom i sandomierzanom, czy też czekać, aż sprawa najazdu się wyjaśni? Co będzie, jeśli tamci poniosą klęskę w bitwie? Czy Tartarowie uderzą na Śląsk? Czy już rozsyłać drugie wici, czy jeszcze czekać? Zapytawszy, uważnie słuchał, bo nie lubił niczego pochopnie postanawiać.

– Wojsko trzeba zebrać jak najszybciej – to, co inni pewnie myśleli, choć oczywiście całkiem na swój sposób, wypowiedział głośno pierworodny księcia. – Jeśli nie po to, żeby iść tamtym głupkom z pomocą, to po to, żeby poskromić i wreszcie do siebie przyłączyć. Nie chcieli słuchać jesienią po dobroci, teraz posłuchają po złości. Jeśliby i to się nie udało, bo ich Tartary zmogą, będziemy mieli rycerstwo w kupie, żeby móc się bronić.

Henryk po raz pierwszy od lat pomyślał o synu z uznaniem.

– I ja tak myślę – przytaknął Bolesławowi. – Kto wie, czy nie nadarza się sposobność do podniesienia z upadku dzieła mojego ojca, jeśli nie przez pokonanie wrogów, to przez okazanie skutecznej pomocy. Zatem rozsyłamy wtóre wici?

Na to odezwał się słowami pełnymi dostojeństwa i rozważni biskup Tomasz: – Ale czy słusznie spowodujemy wielkie zamieszanie akurat w Wielkim Tygodniu? Przecież teraz każdy chrześcijanin gotuje się na wielkie święto. Zakłóćmy je, być może nadaremnie, a przecież niczego tak naprawdę nie wiemy.

Tu znów odezwał się książę Bolesław, co za duchownymi nigdy nie przepadał, za tym jednym zaś najmniej ze wszystkich: – Może Tartary już na nas idą? Ładnie będziemy wyglądali, jeśli dopadną nas świętujących.

Zawtórował mu Bolesław Szepiołka: – I ja bym tych Tartarów nie lekceważył.

– Rozesłać drugie wici nie zaszkodzi – stwierdził Henryk. – Jeżeli czegoś więcej się dowiemy, będziemy dalej działać. Tak czy inaczej, trzeba nam zgromadzić całość sił. Zanim wojsko się zbierze z pewnością wyjaśni się, do czego będzie nam przydatne. Użyjemy go zaraz po świętach, to pewne.

Tyle mniej więcej postanowiwszy, rozstali się, żeby co trzeba zarządzić we własnych włościach.

Oczekiwanie na wieści nie trwało długo. Tuż przed sumą urządzili wrocławianie widowisko wprowadzenia Jezusa Chrystusa do Jerozolimy. Jako Chrystus wystąpił jeden z księży, młody, pociągły na twarzy, brodaty i długowłosy, co go postacią przypominał. Z braku osiołka, posadzono go na grzbiecie niedużego konika. Sam książę Henryk okrył go purpurowym płaszczem, księżna Anna zaś ucałowała w łaskawie nastawioną dłoń. Lud rzucał baze pod nogi konia i usłał nimi drogę od miejskiej bramy aż do katedry. Wśród radosnych okrzyków prowadzono księdza udającego Chrystusa do katedry wrocławskiej niczym do jerozolimskiej świątyni, jakiś rycerz dopchał się do księcia i coś mu na ucho powiedział. Ten zmartwiał, lecz nakazał bawić się dalej. Tłum wołający *hosanna* poszedł za wyobrażeniem Jezusa, książę zaś pod prąd, w stronę bramy. Tam, na opustoszałej drodze, zobaczył inną postać niż wyobrażenie króla nie z tego świata.

Oto na koniu ubłoconym tak, że maści nie sposób było rozeznac, pokrytym przy tym strupami zaschniętej krwi, człapał wyczerpany do cna, nieco obszarpany i przemoczony jeździec. Nie przynosił wieści z Wielkopolski czy z Opola, ani nawet z Krakowa, lecz prosto z pola bitwy z Tartarami. Żądał, żeby stawić go przed księciem i z nikim innym nie chciał mówić.

Księcia nie rozpoznał. Zapanowało poruszenie wśród rycerstwa, bo dotychczasowi gońcy wyglądali inaczej – nawet jeśli byli okryci błotem i zmęczeni, zachowywali postawę dziarską i pełną gotowości do czynu. Co najważniejsze – ten rycerz był obcy. Miał znaki i broń, jakiej na Śląsku nie

widywano, ruską, wykazującą przy tym ślady użycia, a nawet zużycia.

Książę skinął na przybysza. Ten zsiadł z konia i natychmiast się przewrócił. Rycerze pomogli mu wstać i powłóczącego nogami, podprowadzili do Henryka. Wojak spojrział nieprzytomnie na księcia, otworzył usta, lecz nim cokolwiek zdołał powiedzieć, osunął się zemdlny. Cucono go wodą, a gdy otworzył oczy dano mu pić miodu. Ten nie chciał jednak nic pić.

– Gdzie kniaź? – szeptał z wysiłkiem.

Henryk nachylił się nad podtrzymywanym pod ramiona człowiekiem, upewniwszy się wprzód, z kim ma do czynienia. Przybysz złapał księcia za rękę mocno jakby jaki topielec i wyszeptał: – Nie mogę mówić przy wszystkich. Tylko do ciebie, kniaziu.

– Odejdźcie! – rozkazał książę.

– Panie, to może człek szalony – ktoś się domyślił. – Ma broń. Twojego ojca w Gąsawie...

Henryk popatrzył na mówiącego, jakby miał westchnąć. Tamten zrazu zamilkł i się wycofał.

Wciąż trzymający kurczowo władcę wojak wyszeptał: – Jadę z posłaniem od Sulisława, brata świętej pamięci wojewody Włodzimierza i od Klemensa z... – nie umiał sobie przypomnieć, skąd.

– Klemensa z Brzeźnicy? – dopytał Henryk.

– Nie, kasztelan krakowski poległ.

– To może Klemensa z Ruszczy?

– Tak.

Książę poczuł tysiące igiełek wbijających się w ciało, aż zmartwił z wrażenia. Miał powiedzieć „mów”, ale nie był w stanie. Na szczęście tamten mówił i bez tego.

– Nasze wojsko zniesione w bitwie koło wsi Chmielnik, w połowie drogi między Krakowem a Sandomierzem... – zapadło krótkie milczenie, przerwane przez przybysza, który widocznie miał coś gotowego do powiedzenia: – Obaj wojewodowie nie żyją.

– To pewne?

– Zginęli w walce na naszych oczach. Pakosław przeszyty strzałami, a krakowski przebity włócznią. Ocalała może trzecia część z całości wojska.

– Gdzie jest to wojsko? Daleko?

– Idą w waszą stronę, odcinają się pościgowi. Pomóżcie. Tyle wiem, co mi przekazał Sulisław. Uważajcie, Tartarów jest mrowie. Puszczają tyle strzał, że robi się ciemno – rzekłszy to, znów zemdlał.

Książę kazał ratować sandomierskiego rycerza, sam już nie nastawał, żeby więcej od niego się dowiedzieć. Tedy możni wypytywali władcę, co usłyszał od posłańca.

– Stało się bardzo źle – książę powiedział. – Włodzimierz z Pakosławem wydali bitwę Tartarom. Zginęli. Jeśli ginie dwóch wodzów, co to znaczy? Że tylko ich dosięgły razy wroga? Rozbili ich w puch. Kto by pomyślał... – zadumał się książę, choć sam nieraz straszył otoczenie skutkami walki w rozproszeniu.

– Czy można wierzyć temu człowiekowi? – odezwał się Bolesław Szepiołka.
– Ileż to razy pierwsze wieści z pola bitwy były przesadzone, a potem się okazywało, że było inaczej. Wszystko.

– Właśnie! Nieraz przecież tak bywało. Takim pas rycerski się zabiera za szerzenie strachu – dodał wojewoda.

– Nie, tym razem tak nie jest – książę zaprzeczył bez zastanowienia. – Zwykle ten, co pierwszy przybieży z bitwy, mówi: wszystko stracone, wojsko wysieczone, że żywa noga nie uszła, tylko ja ocalałem!, ten zaś inaczej streszczał. Że jest posłany od Sulisława i Klemensa z Ruszczy. Co prawda tego posłańca nie znam, ale nie widzi mi się, żeby był człowiekiem zdolnym do szerzenia strachu.

– Od tych z Krakowa przybył, tak? – ktoś przytomnie dopytał, a gdy usłyszał potwierdzenie, dodał: – Ale ten goniec jest od sandomierzan. Nie mieli nikogo ze swoich, tylko obcym się posłużyli? Mają przecież gońców i rycerzy nam znanych, bywały u nas. Dlaczego więc ten? A jeśli to podstęp tych tam Tartarów? Trzeba go wybadać.

Dostojnicy popatrzyli po sobie, nie mogli powiedzieć, że bez wątpliwości.

– Spokojnie, moi panowie – rzekł książę. – Możliwe, że nikt spośród znanych nam rycerzy nie ocalał, albo rozproszyli się tak, że jadą w inną stronę. Albo tylko ten się nie bał.

– I on, i koń potłuczony, koń w drobnych ranach. Hełm wgięty. Przybył w pełnym uzbrojeniu. Nawet tarczy nie porzucił – dodał Bolesław z uznaniem.

Książę wtenczas powiedział: – No właśnie, tedy radźmy, co dalej czynić, bo jeśli Tartarowie idą prosto na nas, wejdą w sam środek kraju. A co ja tu teraz mam pod ręką? Stu ludzi? Zjedzą nas od jednego zamachu. Mówicie mi lepiej: wyjść naprzeciw tym niedobitkom, czy czekać tu?

Panowie rada umilkli. Po prawdzie nie wiadomo było, co czynić. Nim wojska się zbiorą, nawet w wielkim pośpiechu, kilka dni upłynie. Milczeli.

– Ty – Henryk, nie doczekawszy się rady, zwrócił się do Bolesława Dypoldowica zwanego Szepiołką – weź to, co jest, i rób hałas, jakbyście szli całym wojskiem. Aż natrafisz na tych nieszczęśników. Wszyscy na pewno nie wyginęli.

– Ilu ich może być? Tych naszych, co ocaleli? – zapytał Dypoldowic. Na to pytanie nikt nie odpowiedział, chociaż wrażenie wywarło złe. Twarze panów przygasły. Zauważył to książę.

– Nieważne ilu – odezwał się. – Trzeba ich wesprzeć, bo każdy rycerz teraz będzie dla mnie wiele wart. Musimy im pomóc! – A żeby nieco zmienić nastrój, dodał: – Coś mi się zdaje, że dziś za wiele się nie pomodlimy. Rozsyłamy drugie

i trzecie wici. Chcę tu mieć wszystko orężne, co się da – tyle powiedział mądry i pobożny książę Henryk.

Jego myśl nie sięgała jednak tylko do najbliższych wydarzeń, czyli wsparcia czy uratowania pobitych wojsk, chciał być dla tych wojsk jedynym zbawcą. Może ta pierwsza klęska wstrząsnęła zadufanymi w sobie możnymi z najechanych ziem? Tym bardziej że główni wrogowie już nie żyli.

W Wielki Wtorek drugie i trzecie wici dotarły do Zalesia.

Śpieszący się konny wychynął z lasu, rozejrzał się i pojechał w stronę gródka; wyglądał na posłańca ważnej wieści. Dobrosz doglądał ozimin, lecz na widok jeźdźca porzucił zajęcie i nie zwlekając, ruszył do domu.

Właśnie pojono konia przybysza, on sam tak się śpieszył, że ledwie dał się namówić na garniec piwa – niecierpliwość wyjaśniały dwa wianki z różeg przytroczone do siodła. Wici! Dobrosz ledwie się przywitał, a już pytał: – Napadł na nas ktoś czy my na kogoś idziemy?

– Nie wiem – posłaniec odparł.

– Do Ryczyna mamy jechać, a może od razu na Wrocław?

– Też nie wiem.

Goniec wypił do dna piwo, rzekł „Ostańcie z Bogiem”, dosiadł niemiłosiernie ubłoconego konia i tyle go widzieli.

Dobrosz nie tracił czasu. Już od tygodnia gotowy był wóz, wyczyszczone i naprawione pancerze, hełmy, miecze, włócznie i dwie kusze. Skórzane kaftany, zarękawia i buty służki oczyściły, zmiękczyły i natarły tłuszczem. Rzędy końskie naprawiono, a konie objeżdżono. Czekano tylko na drugie wici, żeby ruszyć do Ryczyna.

Przyszły drugie i trzecie wici naraz, zatem książę chce jak najszybciej zebrać wojska w jednym miejscu.

Bożena po swojemu goniła służbę. Wyliczyła jedzenie na czterech ludzi. Kaszę i wędzoną słoninę do niej na dwa tygodnie, mąkę i suszone mięso na tydzień. Wyniesiono też na słońce cztery wielkie kozuchy, żeby wojownicy mieli na czym spać, i wielką płachtę płócienną, co była namiotem. Dziewki służebne sprawdzały, czy wszystko całe i mocne.

Bożena się martwiła, a i Dobrosz nie miał ochoty do żartów. I tak jakoś każde zajęte własnymi sprawami spędziło czas do samego wieczora. Przed zmrokiem rycerz przeglądał broń – miecz po mieczu, topór po toporze, grot po grocie – nad nim stanęła żona i przemawiała, z rzadka otrzymując słowo w zamian.

– Gdzie Wojda?

– Pojechał konie rozruszać.

– Pewnie do tej czarownicy pojechał! Pozwoliłeś mu?

Nie padła na to odpowiedź.

– Ani się obejrzymy – tedy Bożena mówiła dalej – a zechce ją do domu

sprowadzić. Zresztą sam ją tu już raz sprowadziłeś. I takie z tego nieszczęście. Opętała go, urok nań rzuciła. Tak nie wolno robić. Zobaczysz, skończy się wojna, to już ja z nią się rozprawię, bo nie może tak być, żeby wiedźma uwodziła rycerskiego syna.

– Może. Oj może... – ciężko westchnął Dobrosz, ale nie powiedział, kogo miał na myśli. Mrużąc jedno oko, popatrzył wzdłuż ostrza miecza, bo coś mu się zdawało, że krzywe. Nie, było proste. Przeciął więc nim kilka razy powietrze, aż furkotało.

Żona jakby nie pojęła tego, co usłyszała.

– A ty jeszcze na wszystko przyzwalasz! Nie dość, że od ciebie się zaczęło, to jeszcze gotów jesteś zgodzić się na co tylko komu przyjdzie ochota. Tak było przez całe życie. To ja muszę sama dźwigać ten ciężar. Obudź się wreszcie! O syna twojego chodzi, a tylko jeden ci został. Chcesz go zmarnować? Jeśli się dowiedzą u Piotra Kuszy, że Wojda ma już jakąś, a może i dzieciaka jej zrobił, córki za niego nie dadzą.

Dobrosz nic nie odpowiedział; bardzo uważnie oglądał drzewca toporów, szukając pęknięć. Stuknął jednym o drugie i jeden przystawił do ucha.

– Słyszysz ty mnie, czy nie?! – krzyknęła Bożena na ten widok.

– Słyszę – odpowiedział spokojnie i znów stuknął drzewcami, ale tym razem posłuchał drugiego.

– Zrozum wreszcie, że czas im przerwać, póki co złego się nie stało. Czy cię nie obchodzi przyszłość syna? Przyszłość rodu?

– Obchodzi.

– Tedy zrób coś jak prawdziwy mąż, a nie baba! Wygoń te wiedźmy z lasu, bo na nic tu one, jeszcze inne nieszczęście sprowadzą. Tak będziesz stał i patrzył, co ci następny dzień przyniesie? Jesteś ojcem, głową rodu. Powinieneś coś zrobić. Nic nie poczniesz?

Znów nie usłyszała odpowiedzi, ani nawet pytania, które powinien był zadać.

Po krótkim oczekiwaniu Bożena poczuła się więc zmuszoną, aby samej dać na nie odpowiedź.

– Powinieneś pojechać za nim i ich rozgonić. Zabronić mu z nią się spotykać, zagrozić jej wygnaniem z lasu. Najlepiej od razu wygonić je z naszej ziemi i już.

Rycerz odłożył topór. Nie wziął do ręki następnej broni, jeno spojrzał na żonę.

– W tej sprawie nie mam zamiaru niczego robić. Niczego! – przemówił wcale niespokojnie. – Jeśli chcesz, żeby syn serdecznie cię znieawidził, to sobie działaj, ale sama. Na co czekasz? Jedź, odszukaj ich po śladach i zabroń schadzek. Oskarż ją o rzucanie uroków, niech ją za to wybatożą pod pręgierzem. Tylko co tym zyskasz, głupia niewiasto?

– Jak to co? Ocaleń go od hańby.

Dobrosz podparł się oburącz na ławie i powiedział stanowczo: – Myślisz, że wystarczy raz machnąć mieczem, toporem albo pięścią i już wszystko będzie jasne i proste? Nigdy tak nie jest. Nawet jeśli chciałby ją wziąć za żonę, ja się nie sprzeciwię. Ze znanych mi dziewczek na wydaniu, ta wydaje się najmędrszą i czestną. Od dziecka ją znamy, nie tylko my zresztą. Nigdy nikogo nie skrzywdziła, wielu pomogła. Niczego złego o niej nigdy nie słyszałem. Złe słyszę tylko od ciebie jednej, a i to dopiero od ćwierci roku. Jeśli słyszałaś o niej coś złego, powiedz teraz, zamiast mielenia ozorem i pluwania jadem niczym żmija.

Usłyszawszy coś takiego, Bożena oniemiała, ale tylko na chwilę.

– Ty to mówisz? – po chwili powiedziała z większą mocą. – Ty? Rycerz? Chcesz, żeby jedyny syn w kmieci poszedł?

Rycerz się nie stropił. Skoro już raz w życiu postawił się żonie, to łatwo mu szło dalej. – Słyszałaś coś złego o niej? Wiesz coś, czy nie?

Bożena całe życie nie zwykła ustępować, teraz więc odparła: – To, co z naszym synem wyrabia, ci nie wystarczy? Niechby durzyła się z daleka. Ale ona woli sięgać nie po swoje. Nie wie, gdzie jej przyrodzone miejsce. Mało ci tego? Chcesz, żeby ją tu przywiódł? Wszak każdy rycerz z okolicy, nawet z całego Śląska, obrazi się na nas, że niżej jego córę cenimy niż wiedźmę bez ojca. Bracia tych córek także mają swoje rozумы. A gdzie jej ojciec? Gdzie ród? Zrozum wreszcie i ty, że nasz syn, jeśli ją weźmie za żonę, nie będzie już miał druhów, przez co zginie przy pierwszej sposobności, bo nikt go nie obroni. W Krakowie choć stanęli nad nim. Po czymś takim będzie to niemożliwe. Pomyśl. Nie o tym, żeby lekkomyślni młodzi pozwolili sobie na zachcianki. Twoja zgoda ich oboje przywiedzie do zguby. O nią nie stoję, ale nie chcę, żeby mojego syna coś takiego spotkało.

Dobrosz jakby złamał się nieco; to, że jego żona bywała jędzowatą, nie znaczyło, że nie było ziarna prawdy w tym, co mówiła. Milczał jednak.

– I co? Nic teraz nie odpowiesz? – naciskała połowica.

Mąż nadal mocno się podpierał, ale opuścił głowę i westchnął.

– Ode mnie nie oczekuj za wiele – powiedział po chwili. – Sama rób, jak uważasz. Tylko postępuj bez złości, bez obmowy. Teraz idziemy na wojnę. To trochę ważniejsza sprawa.

– Wojny są krótkie, a życie długie. Ty myśl o wojnie, ja pomyślę, jak żyć – powiedziawszy to, odeszła. Miała powód, żeby się uśmiechać. Znów zwyciężyła, jak zwykle zresztą od przeszło dwudziestu lat.

Od czasu wylotu wron koszmarna siła snów wiedźmy Anuchy przybrała na sile. Już wcześniej wiodła w nich przemożne życie, aż się gubiła. Nic jej nie pomagało, śniąc, myślała jak na jawie, choćby tak: Teraz śni się to, a co za chwilę się przyśni?, i zaraz dostawała odpowiedź zaskakującą, dziwną, jawnie

przeczącą rozumowi. Widziała to, doznawała, przeżywała, smakowała nawet i czuła ból, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie mogła zmienić niczego, co tam z nią się działo, chociaż myślała rozsądnie i starała się powodować własnymi członkami. Próbowala zwalczyć moc snów, zapanować nad nimi. Zrazu się złościła, ale niczego to nie zmieniało – pozostawała bezradna niczym bezwolna kukła. W końcu przywykła, że inne siły układały sensne życie, nadając bezrozumny bieg, jakby kilku, nawet kilkunastu beztroskich ludzi, może innych stworzeń, z różnych światów, kładło przed oczami – od przypadku do przypadku, bez związku – własne przeżycia i kazało w nich się odnajdywać, nie pozwalając jednak na czyny.

Raz pośród zwid, przemieszczając się tak, jakby ściany, skały czy ziemia były powietrzem, wpiersw leciała bzyzącą osą, po chwili pływała szczupakiem w rzece, a po mgnieniu oka była zapachem w kwiecie, zadała sobie pytanie półzartem: Czy to ja dzieję się w świecie, czy świat się dzieje we mnie?

Jakże podobnych pytań nie zadawać, jeśli raz śniła, że biega po chmurach? Samo bieganie po chmurach we śnie nie jest niczym dziwnym, wielu ludzi tak ma, ale nie każdy może sobie biegać po tej stronie chmur, co ją widać z ziemi. Dziewczura mogła. Biegła do góry nogami, ziemię z polami, rzekami, drzewami i domami z dymiącymi dymnikami miała nad głową, a słońce grzało stopy od spodu.

Tak było wcześniej, przed wylotem wron. Od tamtego dnia nie śniła już nic przyjemnego, z czego można by się pośmiać lub chociaż miło wspominać. Sny z każdą nocą przybierały postać coraz bardziej dręczącą.

Ostatnio było tak: dziewczura leżała na deskach, na podłodze; gdzie to się działo, nie było dane zobaczyć. W deskach ktoś, a może coś, zrobiło dziurki, co ją niezmiernie zajmowało, aż zobaczyła, że z tych dziurek wychodzą mrówki, całkiem zwyczajne, nie za duże, nie za małe, i rozbiegają się, jak to mają w zwyczaju, po podłodze. Nie były w stanie nigdzie dotrzeć, bo zaraz działo się z nimi coś dziwnego: przemieniały się w larwy i łączyły ze sobą. Dziewczura myślała już, że będą z nich piękne motyle, działo się jednak coś innego: połączone w sznury po kilka sztuk przepoczwarzały się w odnóża wielkich pajaków, także dziwnych, bo glistowatych, za to nad wyraz szybkich. Biegały nad nieruchawymi larwami i nad ruchliwymi mrówkami, które w nieruchawie larwy się zmieniały. Co było dalej, Anucha nie zobaczyła, bo serduszko zabiło w niej tak mocno, że otworzyła oczy.

Był ranek Wielkiej Środy roku Pańskiego 1241. Dziewczura wiedziała, że coś musi się stać. Co takiego, dowiedziała się wieczorem, gdy Wojda po raz wtóry objeździł konie. Przyszły bowiem drugie i trzecie wici. Już przed tygodniem, wtedy to przyszły wici pierwsze, dziewczura pytała, omal nie krzycząc, jakby z wyrzutem: – Jakie wici?! Jaka wojna?!

Wojda starał się ją przygarnąć i utulić.

– Zwyczajne wici, jak zwykle. Pierwsze. Wojna będzie albo nie. Jeśli przyjdą drugie, wtedy trzeba będzie się martwić, wtedy trzeba będzie jechać do Rycyna, ale jeszcze nie na wojnę. Dopiero na trzecie wyjedziemy, żeby się bić. Nie zawsze są drugie, a trzecie jeszcze rzadziej. Nie ma co się martwić na zapas.

Od wczoraj już wiedzieli, że najdalej w Wielki Czwartek wyruszą do Wrocławia w czterech zbrojnych, z jedzeniem i paszą dla koni na dwie niedziele. Że nawet wiadomo, z kim ta wojna będzie – z tymi Tartarami – było o nich słyhać już od roku – co rzekomo doszli już do krakowskiej ziemi i rozgromili tamtejsze wojsko. Dlatego Zalesie musi się gotować do obrony, bo gdy tylko Odra zacznie opadać, można wrogów się spodziewać. Co prawda brodu przy wsi nie ma, ale dobrze widać ją z drugiego brzegu. Co gorsza, rycerze będą wtedy daleko.

Dziewczura poczuła tę wieść tak, jakby trafiła w nią strzała. Zachwiała się i byłaby upadła, ale Wojda ją podtrzymał. Skoro dotknął, chciała się wyrwać, czego nie rozumiał. Była zła, nawet bardzo zła.

– Puść mnie. Nie będzie ciebie przy mnie, gdy drugi raz będę mdlała. Wolę się przyzwyczać.

– Co ty? – rzekł zdziwiony, zarazem zatroskany, lecz puścił.

Odeszła o kilka kroków, wtuliła się w drzewo i rozplakała. Na ten widok młodemu zrobiło się przykro. Zbliżył się do niej, chciał ją dotknąć, ale wtedy ruszyła niecierpliwie ramieniem i odsunęła się nieco.

– Mnie winisz za wojnę? – zapytał. – Mnie? Przecież jechać tam jest moją powinnością. Co sobie myślisz?

– Myślę, że tam zginiesz. Jakże miałoby inaczej być? Oni z krańca świata jadą, wielkie kraje zniszczyli, ludzi mordowali setkami tysięcy... Tobie się zdaje, że ich zatrzymasz? Zostawcie nas tu na ich pastwę. Będziecie uciekać, kluczyć, ale i was dopadną jak wszystkich. Rozmawiałam latem z kupcami, to wiem. To diabły, czarami walczą. Gromy ciskają na wojsko.

Trochę nieswojo zrobiło się wojakowi.

– Toś mnie pocieszyła.

Z nadchodzącym zmierzchem dziewczura inną się zrobiła – obcą, ostrą – i Wojda wolałby nie oglądać jej twarzy, a gdy się odwróciła, jakoś tak ciarki poczuł na grzbiecie i włos jeżył mu się na głowie.

Nie, zwyczajnie wyglądała. Nie czarne, puste oczodoły zobaczył, lecz zasmucone oczy i zalaną łzami buzię. Aniura przywodziła na myśl zrozpaczone dziecko, co patrzy na ojca i oczekuje, że pocieszy.

– Nie będzie cię na Wielkanoc – odezwała się – a ja już teraz zaczynam za tobą tęsknić. Co dzień częśćka mnie będzie za tobą umierała. Umrę całkiem, jeśli nie wrócisz. Nie daj się zabić, nie daj się pojmać. Szybko wracaj. Jeśli długo cię nie będzie, ludzie, jak te kruki, mnie zadziobią. Za dużo działało się między nami. Już mi

dogryzają moje druhenki ze wsi, już obmawiają stare baby, już chłopaki za mną hukają, zawistnicy. I jeszcze Twoja matka mnie nienawidzi.

Wojda poczuł wielki wstyd. Twarz go paliła. Spocił się, z wrażenia aż w głowie szumiało i dudniło wzmożonym biciem serca. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Boję się, miły. Bardzo się boję. O ciebie i o siebie. O nas.

Młodzian stał jeszcze chwilę. Dopiero teraz pojął z całą mocą, że to, co dla niego może być dokuczliwą, niewygodną, co prawda nieco trującą życie, ale zaledwie przykrością, dla niej jest niemożliwą do zniesienia zgryzotą. Był skrajnie naiwny, nie zauważając istotnych przeszkód, czy też je lekceważąc, co prowadzić mogło tylko do jednego – na niej to się skrupi.

– Aniu, nie płacz – powiedział, gdy ochłonał. – Wrócę, na pewno wrócę, wtedy nikt między nami nie stanie. Jeżeli trzeba będzie, wyjedziemy na Mazowsze, tak jak zamierzaliśmy zrobić zaraz po świętach.

– I co? Porzucisz wtedy ród, majątność, cały swój świat? Będiesz szczęśliwy na obczyźnie, na dorobku?

– Abym był z tobą, to będę.

Anucha zakryła twarz, odwróciła się i poszła w las.

On postął jeszcze chwilę, po czym dosiadł konia i pojechał do domu. Ni to zły, ni zmartwiony.

Rankiem w Wielki Czwartek wyruszyło z Zalesia-gródka czterech zbrojnych i wozak. Pojechali drogą na wyniesieniu, przez wieś, gdzie ludzie odprowadzali ich w milczeniu aż do kościółka. Tam stał proboszcz, nieco z tyłu kościelni. Coś działo się za węgłem świątyni: wystraszony, przy tym jednak ciekawski wikary, to wyglądał, to się chował, ale nie przykuł niczyjej uwagi. Jeźdźcy zeszli z koni i poszli do świątyni, za nimi tłum wieśniaczy. W środku wojacy uklęknęli i modlili się z biciem w piersi. Wzruszony ksiądz każdemu błogosławił na drogę, całując w czoło.

– Nie wam, rycerze, wybierać czas walki – odezwał się. – Inni, możniejsi, o tym stanowią, nad nimi są jeszcze większe siły, co i królów, i cesarzy zmuszają do czynu. Odjeżdżacie w przeddzień, gdy Pan nasz, Jezus Chrystus, przyjął na siebie palmę męczeństwa. Co mnie staremu rzec? Pan Bóg widocznie tak chce, żeby w ten najświętszy czas bronić wiary chrystusowej i nie w zamorskich krainach, nie daleko aż tak, że trudno sobie wyobrazić odległość. Odjeżdżacie, aby bronić naszego świata, chrześcijańskiego świata na progu ojczyzny. Nie może być wyraźniejszego znaku, że nie jesteście wyłącznie rycerzami kasztelanii ryczyńskiej, księstwa śląskiego czy też księcia Henryka. Wy jesteście rycerzami Chrystusa. Wam należałoby ten sam krzyż przyszyć do odzienia, co go rycerze krzyżowi brali na swoje wyprawy. Dlatego, najukochańsi moi bracia, odpuszczam wam wszelkie grzechy. Jedźcie więc, czyńcie rycerską powinność i wracajcie cali i zdrowi.

Następnie zwrócił się do zebranych.

– Pomódlmy się do Pana Boga, żeby naszych rycerzy oszczędził. Żeby nie musieli przelewać krwi chrześcijańskiej i żeby wreszcie i nas ominęła wojna, straszna wojna, co mimo modlitw ku nam zmierza.

Stary ksiądz klęknął na czele tłumu i poprowadził litanie. Niewiasty płakały, najgłośniej Bożena – ona wszak żegnała i męża, i syna.

Chłopom również było nieswojo, ale z innego powodu. Kto wie, czy nie będą zmuszeni stawić czoła niebezpieczeństwom równym tym, jakie rycerzy spotykają, lecz oni nie mają broni, nie mają zbroi. Przyjdzie uciekać do gródka albo w las. A co z dobytkiem? Z krowami, kozami i trzodami? Czym je żywić w zamknięciu lub w poniewierce?

Modły się skończyły. Wojacy dosiedli koni i ruszyli na północ. Ludność osady odprowadziła ich do rozstajnych dróg – przy cmentarzu zatrzymał ich widok mrowia czarnych ptaków w rzędach siedzących na gałęziach. Ten postój przy cmentarzu wielu wzięło za zły znak. Rycerze także to odczuli. Za dużo tych znaków, stanowczo za dużo. Co prawda proboszcz starał się ze wszystkich sił, aby w innym świetle je pokazać, ale i tak było wiadomo, co się święci. W czasie ostatnich pożegnań nie mieli więc pewnych siebie min, jak przystało na dzielnych wojaków. Ot, kilku zmartwionych, uzbrojonych ludzi. Smutek był powszechny, tylko dzieciaki się cieszyły, biegając wkoło bojowych rumaków.

Wojda zrazu rozglądał się nieznacznie za dziewczurą, ale nie widział jej ani przed kościołem, ani w kościele, ani przy rozstajnych drogach, gdzie trzeba było się pożegnać ze wszystkimi. Zatrzymał wzrok na starej wiedźmie, jakby pytając, ale ta nie uśmiechnęła się nawet – twarz staruchy stężała, usta, już i tak okolone siecią zmarszczek, jeszcze się zasznurowały. Spojrzała w bok i już tak jej zostało.

Zawiedziony Wojda pożegnał się z matką, pochylając się tylko z konia. Ta, spokojna do modlitwy w kościele, teraz nic ze spokoju już w sobie nie miała. Nagle wypełniły ją złe przeczucia i zrozumiała, że niebezpieczeństwo dla jej syna od wiedźmy Anki ma się nijak do tego, co go czeka na wojnie od ludzi, a może nie ludzi, w każdym razie z piekła rodem. Już więcej wiedziała, bo więcej ludzie gadali przez środę o tym, jacy Tartarowie są straszni. Tak, wcześniej obawiała się smutnych owoców synowskiego zadurzenia, teraz bała się o jego życie, gotowa wepchnąć go z powrotem do swego łona. To było niemożliwe, skromnie więc go tylko pocałowała w obydwie policzki, w głowę, na koniec pogłaskała.

On już się wyprostował i już jechał.

Chociaż w sercu miała czarną rozpacz, mogła tylko pomachać, jak inni, płacząc jednak mało, bo przecież córce i żonie rycerza wielki płacz nie przystoi.

Odjechali.

Dziewczura spotkała się z Wojdą jeszcze raz.

Wojownicy przejechali obok cmentarza z rozkrakanymi wronami

i gawronami, co rozmawiały o niewiarygodnie wielkim żarciu na wschodzie, minęli ostatnie pola i wjechali do lasu. Nie upłynęło więcej niż trzy pacierze, a na drodze przed nimi stanęła postać wsparta na kosturze podróżnym. U jej stóp leżał nie tyle węzełek, co spory worek. Poczuli się nieswojo, bo postać wydawała się szarą, z mgieł i deszczowych chmur utkaną – na szczęście słońce nieco ją rozświetliło.

Była Anuchą, wprawdzie dziwną nieco, bo z włosiem rozpuszczonym, nawet nastroszonym, przez co rudawa czupryna spływająca prawie do kolan nadawała postać wysmukłej kopki siana. W gęstwinie włosów twarz ginęła, a oczy patrzyły z cienia. Suknie miała luźne, szaro-bure, w białe ciapki. Gdy się zbliżyli, rozpoznali w ciapkach nanizane na sznurki czaszki myszy, nornic i kretów rzędami przyszyte do stroju. Kostur też nie był zwyczajny – poskręcany, na końcu bulwiasty, bulwy zaś przywodziły na myśl głowę ludzką.

Zbrojni rozpoznali Anuchę, a jakże. Jeden się przeżegnał, za nim uczynił tak wozak. Wojda chciał zsiąść z konia, lecz wiedźma krzyknęła: – Nie! Nie czyn tego!

Wojak popatrzył na ojca. Ten zaprzeczył głową, ale zatrzymał orszak uniesieniem okrytej rękawicą dłoni.

– Dobrze – zgodził się Dobrosz. – Pożegnajcie się, nikomu nie powiem. Sam udam, że nie widziałem. Aby szybko.

Wtedy Anucha powtórzyła: – Nie zsiadajcie z koni. Nie dotykajcie ziemi, póki nie dojedziecie do następnego rozstaju.

Cóż było robić? Pewnie wiedziała, co mówi, zwłaszcza tak groźnie wystrojona. Nie zsiadli.

Sięgnęła do worka. Z zawiniątkami w dłoni podeszła do Wojdy.

– Masz tu zioła w woreczkach – powiedziała zrazu spokojnie, mową wyuczoną, jak się mówi do proszących o zdrowie. – Tylko ich nie pomył. Te w szarych są na rany zatrutymi ostrzami. Zagotujesz wodę w kociołku, wrzucisz woreczek i czyste szmaty. Gdy zrobi się mocno zielona, wyciskaj szmatki na ranę, przemywaj ją, potem naciskaj na brzegi i znów przemywaj. Za każdym razem to, co z rany wsiąknie w szmatkę, wyźmij na ziemię. Szmatkę wrzucaj do kociołka i bierz następną. – Dawała mu następny mieszek z ziołami, wówczas ich dłonie się spotykały, otarły o siebie drżąco, lekko zahaczały palcami, przedłużając te chwile, ile się dało. – W tym brązowym – mówiła dalej Anucha – jest kilka małych woreczków. Tam są silne zioła od biegunki. Zaparzajcie je, ale tylko jeden woreczek na kwartę. Pijcie potem wywar, a biegunka minie.

Pachołkowie – kusznicy uśmiechnęli się na to. Całkiem ponury Dobrosz, któremu to się nie podobało, także nieco się rozchmurzył, bo wyobraził sobie, że zamiast biegać co chwila po zasranych krzakach, spokojnie jedzą strawę i się wysypiają.

Anucha zaś nie ustawała w trosce o ich najbliższą przyszłość.

– W tym białym są maści na rany. Sadło psie, osobno niedźwiedzie, osobno borsucze... Nieważne, i tak nie odróżnisz. Jeżeli jedno nie pomoże, bierz drugie i smaruj. Jakby rana ropiała, poszukaj czystych liści podbiału. Znasz go. Już wyrasta. Szukaj, gdzie granica lasu, polany, gdzie piaski. Przykładaj białą stroną do rany i zawijaj szarpkami. Dwa razy na dzień zmieniaj, ale nie dłużej niż dwa dni, bo ci skórę wypalą.

Do Wojdy dotarło, że wyszło wszystko na jaw, bo ona zwraca się do niego jak do bliskiego człowieka, w dodatku jest dziwacznie ubrana i dziwnie wygląająca. Zawstydział się, milczał, chociaż pragnął jej bliskości.

Ona przestała mówić, spojrzała w górę i patrzyli na siebie bez słowa.

– Kończ, dziewczyno – odezwał się ojciec Wojdy – bo nam czas już w drogę.

Wtedy wiedźma jakby ocknęła się i powróciła do poprzednich czynności.

– Tu masz jeszcze coś... – zakreśliła się, sięgnęła do worka i podała Wojdzie, co nie zdążył schować do torby poprzednich darów, dziwne, czarne zawiniątko. Była to skórka krecia zszyta jak mieszek. Coś ją wypełniało, otworek okręcał ciasno rzemień z dużą pętlą. Wojda wziął to w rękę i chciał rozsypać, ale wiedźma krzyknęła: – Nie zaglądać! To od czarów i uroków. Zawieś na szyi, schowaj pod ubranie, niech nikt tego nie widzi. Jakby coś złego, coś dziwnego się działo, rzuć to za siebie, najlepiej ciśnij w ogień. Wtedy nawet silny czar się odwróci. – Popatrzyła na Wojdę z przejęciem i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Dla nas, panno Anno, nic nie masz? – odezwał się niby z żartem, ale też i z szacunkiem, jeden z kuszników.

Anucha, jakby znów ją ktoś obudził, podskoczyła lekuchno.

– Przecież, że mam – z worka wyjęła jeszcze cztery krecie skórki, bo o nikim nie zapomniała, nawet o wozaku. Rozdała je, a Dobroszowi tak, żeby na niego nie spojrzeć. Ten przyjął dar, kręcąc głową przecząco, westchnął przy tym, ale się nie odezwał.

Dziewczura podeszła znów do Wojdy.

– Nie żegnaj, miły, tylko do widzenia. Wracaj mi całym i zdrowym. – A do wszystkich zwróciła się tymi słowami: – Gdy już ruszycie, nie oglądajcie się za siebie ani razu, aż do następnych rozstajnych dróg. I nie schodźcie z koni, pamiętajcie. Wymiotłam wam drogę, ale złe czai się wszędzie. Zgubi was, jeśli nie zrobicie tak, jak mówiłam. – Już miała się żegnać, lecz jeszcze coś sobie przypomniała. Powiedziała więc do ukochanego: – Jakby cię dręczyło pragnienie i słabość, to na popasie nadetnij na ostro gałązkę brzozy grubą na palec. Czubek odrzuć, a tę od drzewa włóż do dzbanka czy jakiegokolwiek naczynia, lecz dzbanek z wąską szyjką jest najlepszy. Przywiąż. Na rano będziesz miał miarkę oskoły. Wypij, a od razu będziesz silniejszym. Możesz tak czynić codziennie.

To powiedziawszy, jedną ręką ujęła kostur, drugą wzięła konia ukochanego

za uzdę i – niczym żona wyprawiająca męża na wojnę – poprowadziła kilka kroków drogą na północny-zachód, do Wrocławia, a czaszki zwierzątek klekotały na niej. Gdy wojowie ruszyli, usunęła się na bok i długo, jeszcze bardzo długo za nimi patrzyła, coś szepcząc czy się modląc. Wreszcie odwróciła się i aż jęknęła ze strachu. Przed nią, o kilka kroków, stała pani Bożena.

Rozmowa była krótka. Właściwie to nie była rozmowa. Bo mówiła tylko Bożena, w dodatku niewiele.

– Jeśli od niego, czarownico, się nie odczepisz, to pożałujesz. Gorzko pożałujesz. Ja twoich czarów się nie boję. To ty się bój. Tfu! – Splunęła osłupiałej dziewczurze pod nogi, odwróciła się i poszła do Zalesia.

DNI ZMARTWYCHWSTANIA

Przyszli pod Kraków w dni boleści

Plugawi niczym najgorsze diabły

Pragnęli koniec świata ziścić

Kto od nich wreszcie nas wybawi?

W Wielką Sobotę wróciły oddziały wysłane tuż po bitwie na wschód i zachód. W ten właśnie dzień zauważył wielki Ordu, co zaiste mądry był, że od dnia wczorajszego ustały żalosne zawodzenia dochodzące z zawarowanych kościołów i nie hałasują też dzwonami. Czyżby upadł duch w tych ludziach, co sobie ciężary wieszają nad głową i nie boją się pod nimi spać? Czy nie wystarczy teraz, jeśli się załamali, nacisnąć stanowczo i zdobyć miasto, a z nim zamek na skalistej górze?

Postanowił spróbować; może udałoby się uchwycić coś jeszcze, zanim przyjdzie jechać dalej. Przeto wydał rozkazy do zdobycia miejsc oporu w rozległym Krakowie. Najwyższy był czas, bo woda w Wiśle zaczęła opadać. To samo musiało się dziać na Odrze, co oznaczało, że dłużej niż dzień nie wolno zwlekać.

Gdyby Ordu był jeszcze mądrzejszy, to od ruskich sługusów, mimo że bezbożnych, dowiedziałby się, że na pamiątkę Męki Pańskiej od Wielkiego Piątku aż do rezurekcji w Niedzielę Wielkanocną nikt nie śpiewa, nie modli się głośno, ani

też nie lamentuje. I nie ma mszy. Każdy przeżywa w milczeniu ból. Co ważniejsze, raz w roku może swoje boleści utożsamić z męką Najwyższego i wielu to pomaga.

Gdyby mądry Ordu o tym wiedział, to na pewno by pojął, że u ludzi potrafiących żyć z taką wiarą, żeby w największym nieszczęściu nie uchybić pradawnym zwyczajom, duch nie mógł upaść, aby poddać się po zaledwie tygodniu oblężenia. Tego nie wiedział. Zaskoczyło go więc, że gdy natarli na wały i świątynie, przywitały ich strzały i wrząca woda, wreszcie włócznie, miecze i topory. Na nic się dało ponawianie natarć – rosły tylko straty. Dostano się tylko do kilku niedobitków w jednym z klasztorów i ich z radością wymordowano. To wszystko.

Opór rozsierdził wodza Tartarów, brak zdobyczy tym bardziej. Co prawda Kraków nie był głównym celem, ale zdobyć go byłoby dobrze. Zawiódł się sromotnie i nie był to koniec jego zawodów. Już w nocy coś mu donoszono – zastawił ktoś własne życie, przerywając sen najdostojniejszego potomka Czyngis-chana – że w kościołach i twierdzach słychać podejrzane szmery. Znow Ordu nie zapytał ruskich psów, co się dzieje, jeno sam wielkim rozumem wszystko chciał ogarnąć. Zarządził więc gotowość bojową, żeby w razie sposobności uderzyć, zdobyć, zniszczyć, wygwałcić i okrutnie wymordować.

W kościołach zwyczajnie się naradzano, co czynić, bo za niedługo świtać miało, a równo ze wschodem słońca powinny wyjść procesje. Tam, gdzie jedynymi przeszkodami dzielącymi Tartarów i ich sługusów od ludzi, były mury kościelne, nikt nawet nie pomyślał o tym, aby wyjść na zewnątrz. Co innego w kościele Świętego Idziego i u dominikanów – warowne same w sobie stały wewnątrz bronionego Okołu. Podobnie na Wawelu czy w Tyńcu.

U dominikanów naradzano się żarliwie z udziałem dowódców odcinków bojowych i co możniejszych mieszczan. Pytań było sporo. Pierwsze, czy bić w dzwony, jeśli dookoła tyle klęski i nieszczęścia? Czy śpiewać wesole pieśni? Czy to się godzi? Wreszcie, czy wyjść z procesją i narazić się na ostrzał? Czy wróg nie przystąpi wtedy do natarcia, jakie z takim trudem wczoraj odparto?

Ustalono, że siła Kościoła musi być ponad klęski. Dźwięk dzwonów obudzi innych obrońców i na pewno odpowiedzą tym samym, ciesząc się, że nie trwają w osamotnieniu. Wtedy policzy się miejsca oporu i tym samym oszacuje, ilu ludzi mogło przeżyć. Da to nadzieję oblężonym. Podobnie z pieśniami, co opowiadają o zwycięstwie życia nad śmiercią, dobra nad złem, Boga nad diabłem, że nawet najprzemowniejsze zło musiało przegrać, że dobro zawsze zwycięża. Nie śpiewać ich, to poddać się złu.

Uroczysta procesja również musi być, żeby pokazać wrogowi wolę wytrwania i pokładanie ufności w Bogu. Przeszłaby wzdłuż wałów, z pokazywaniem krzyży tym poganom – czy diabłom, wszystko jedno, przez tydzień oswojono się z nimi. Tylko trzeba przestrzec wiernych, aby w miarę

możliwości przyodziali się w zbroje i hełmy i nieśli ze sobą tarcze. Jeśli ostrzał byłby duży, niech się kryją, ale Najświętszy Sakrament będzie obniesiony trzykrotnie dookoła wałów.

Milczący przez całą naradę opat zgodził się na te ustalenia. Jeszcze tylko zapytał, czy nie lepiej od razu zabronić ludziom udziału w procesji, aby ich nie narażać, ale uznano, że trzeba tylko ostrzec, bo odmówić tego nie sposób.

Szybko przystąpiono do wcielenia w życie zamiarów jakby do najważniejszej w życiu bitwy; działali po cichu. Mnisi sprawnie rozdzielili między siebie zadania, powiedzieli sobie: „Z Bogiem”, opat ich pobłogosławił i rozeszli się między ludzi, aby szeptem tłumaczyć, o co chodzi, po czym – gdy już byli gotowi, a czerwony krąg słońca pokazał się właśnie nad wschodnim widnokrzem – się zebrali. Nastąpiła cisza, jakby oblężeni zniknęli. Ale byli, trwali, patrzyli.

W uroczystych szatach opat odprawiający mszę drżał nie tyle ze wzruszenia, co ze słabości, której nie ukrywał już przed samym sobą. Przez długie życie różnych wydarzeń był świadkiem, przy czym w wielu brał czynny udział, ale nigdy nie pomyślał, że przyjdzie mu odprawiać rezurekcję otoczonym przez siły piekielne, bez widoków na pomoc. Lękał się. Nie czuł strachu przed śmiercią czy nawet przed mękami, jakie niewątpliwie zadałyby te diabły ze wschodu. Lękał się, że być może duszę zatracił, uwierzył, że siła złego jest możniejsza od dobra. Jak niedawne jeszcze wieści niosły, w Rzymie Ojciec Święty jest oblegany przez antychrysta Fryderyka, po tylekroć wyklętego. Tu mniejsi szatani oblegają mniejszych chrześcijan i to w czas najświętszy z całego roku.

Trzebaż innych znaków początków końca świata?

Opat, który na własne oczy widział Świętego Dominika, w ciągu życia dał tysiące rozgrzeszeń, rozdał setki nadziei, ukształtował dziesiątki wspaniałych ludzi, w godzinie próby sam przed sobą drżał, bo odkrył w sobie małość. Ten tydzień, Wielki Tydzień, skreślił całe jego życie, które co prawda przeplatało się wątpliwościami, ale z główną osnową uprzedzoną z pewnością, że sprawiedliwość boża jest, acz w ludziach za dużo tkwi jeszcze samowoli, pokus i słabości do nich. Zawsze umiał się przekonać, że na końcu cierpień będzie ulga, po nocy przyjdzie dzień i więcej jest dni słonecznych niż deszczowych. Jeśli więc słabą istotę ludzką wesprze modlitwą, podniesie się ona, stanie silną i dobrą. A teraz... Wystarczyło zaledwie tydzień, żeby doświadczenia przekreślić i sądzić, że prawymi nie byli dobrzy chrześcijanie, lecz odstępcy od wiary manichejczycy. Zła się nie zwycięży inaczej, tylko własną, rychłą śmiercią, ale jak – mając podobne wątpliwości – stanąć za chwilę przed Sądem Ostatecznym.

Tak myślał ten, co miał celebrować rezurekcję w oblężonym Krakowie 31 marca 1241 roku, a setki wpatrzonych w niego ludzi czekało. Stał przed ołtarzem, patrzył na przybory, drżał. Wreszcie z wysiłkiem uklęknął przed Najświętszym Sakramentem wystawionym do całonocnej adoracji i w jednej chwili poczuł, że

chciałby pozostać na klęczkach aż do końca życia. Według jego rachub, a i coraz bardziej niecierpliwych chęci, nie powinno to życie trwać długo – tylko ten jeden, a najlepiej i ostatni pacierz. Odejść, żeby już nie dźwigać dłużej brzemienia odpowiedzialności.

Któryś z nowicjuszy chrząknął, na co inni syknęli z oburzeniem, ale te syknięcia otrzeźwiły starego księdza. Otworzył oczy.

Świat nie był inny niż przez ostatnie dni, ale teraz miało się dopełnić coś, czego oczekiwano. Trzeba pogodzić się ze starością i z ciężką chorobą, i nadać sprawom zwyczajny bieg. Koniec jednego życia to jeszcze nie koniec świata; poddać się zwątpieniu i śmierci jest jak wystawienie innych na zwątpienie i śmierć, co przecież niczym innym nie może być, tylko uznaniem rządów szatana nad światem: to istota herezji katarów, którzy najbardziej pragną umrzeć tuż po swoim oczyszczeniu. Tak słaby na ciele opat dominikanów otrząsnął się z myśli beznadziejnie heretyckich.

– Pomóżcie mi – wyszeptał.

Zaraz wzięto go pod rękę, on wstał, ujął przez chustę monstrancję z Najświętszym Sakramentem i powoli obrócił się w lewo, żeby iść do Grobu Pańskiego. Tam ustawił Świętość. Drżącą dłonią przejął z rąk asysty kadzielnicę i rozsunął po świątyni pachnące dymy, mówiąc po wielokroć w duchu: Boże, wybacznij mi grzesznemu zwątpienie.

Nie bez pomocy przyklęknął mimo to z wysiłkiem jeszcze raz, potem się podniósł i obrócił w stronę wiernych. Ci stali w skupieniu.

Przez okienko nad ołtarzem wpadł wówczas pierwszy promień słońca.

Coś się uśmiechnęło w skołatanej z bóleści głowie mnicha zmęczonego nieszczęściami świata; siła nie w tym, żeby dać się nieść rzece, ale żeby wściekle nurty ominąć i przetrwać. Dać się wichrowi przewrócić, lecz potem wstać i iść dalej. Wszak wstał nowy dzień, musi więc się spełnić to, co zawsze: odrodzenie życia.

Stary ksiądz nie czuł już przygnębienia ani strachu. Dał sobie jeszcze chwilę, przymknął oczy, aby ponownie poczuć wzruszenie, które nappełniło niewiasty widzące pusty grób. Wystarczyło zacząć, reszta zadzieje się sama. W zakłócanej tylko oddechami ciszy, nad którą zawisł cud Zmartwychwstania, opat zaśpiewał starczym głosem, trochę skrzeczącym, bo łyżę przełykał, słabieńkim, bo nie miał siły na dech, trzy wyrazy, od których, po dojmującej beznadziei, wszystko musiało się znów zacząć.

Victimae Paschali Laudes.

Nie można powiedzieć, że przebrzmiało ostatnie słowo, bo coś tak cichego i bezdźwięcznego nie mogło brzmieć, ono wsiąknęło w powietrze i ucichło

w szmerach oddechów i pokastywań. Jeszcze dwa oddechy ciszy poruszyły powietrzem, potem jak na jeden znak zabrzmiał z ogromną mocą chór kilkunastu dominikanów – powoli, z dostojnością, dając każdemu czas na rozważenie każdego słowa.

Niech w święto radosne Paschalnej Ofiary

Składają jej wierni uwielbień swych dary.

Odkupił swe owce Baranek bez skazy,

Pojednał nas z Ojcem i zmył grzechów zmyły.

W przedłużonej przerwie między zwrotkami odezwało się kilka łkań. Nikt nie krył wzruszenia. Wymodlono słowa niosące ulgę, dające pewność, że jest porządek na tym świecie sięgający poza umęczenie ludzi. Dominikanie, z których każdy przeżywał przepiękną pieśń tak, jakby ostatni raz w życiu miał ją zaśpiewać, pociągnęli drugą zwrotkę.

Śmierć zwarła się z życiem i w boju, o dziwy,

Choć poległ Wódz życia, króluje dziś żywy.

Maryjo, Ty powiedz, coś w drodze widziała?

Tu, jakby po zastanowieniu, odezwał się głosik jednego z nowicjuszy, piękny, dziewczęcy niemal, samotny, co tym bardziej poruszało.

Jam Zmartwychwstałego blask chwały ujrzała.

Żywego już Pana widziałam grób pusty

I świadków anielskich, i odzież, i chusty.

Zmartwychwstał już Chrystus, Pan mój i nadzieja,

A miejscem spotkania będzie Galilea.

Wtedy mnisi zakończyli z niemalże grzmiącą mocą:
Wiemy, żeś zmartwychwstał, że to cud prawdziwy,

O Królu Zwycięzco, bądź nam miłościwy!

Każdy człowiek słyszący wówczas pieśń zmartwychwstania, wspominał ten śpiew jako jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu. Po latach przyznawano, że gdyby nie obłężenie, brzmiałaby zwyczajnie, ot tak, jak budzące się wiosenne życie. Ale było inaczej – owa pieśń miała odstraszyć śmierć. Nawet dzieci to rozumiały.

Słaby na ciele, ale podniesiony na duchu opat przystąpił z asystą do monstrancji. Ujął ją przez chustę, wzruszeni wierni uklękli, i dźwigając w drżących słabych rękach siłę większą nad śmierć, pobłogosławił zebranych i miasto znakiem krzyża. Znakiem nie rozpaczy, nie nadziei nawet. Pewności.

Procesja wyszła z kościoła. Bił dzwon, rychło odpowiedziały mu inne: odpowiedział Wawel, odpowiedzieli benedyktyni z Tyńca.

– Od franciszkanów nic nie słysząc – szeptano ze smutkiem.

Równie smutnie szeptano o ciszy kilku jeszcze dzwonów. Nie odezwała się sygnaturka od norbertanek, nie odezwał się dzwon z kościoła Mariackiego, za to zabrzmiał wesoło od Świętego Floriana. Głosił nawet dzwoneczek ze stareńkiego, niewielkiego, acz mocarnego kościółka Świętego Wojciecha, którego murów jeszcze wielki Bolesław dotykał. Stało się, że dźwięk dzwonów pokrzepił wielu, dał nadzieję na przeżycie bliskich, których przez ten straszny Wielki Tydzień nie widzieli.

Jedną z chorągwi z wyraźnymi znakami Chrystusa Zmartwychwstałego niósł młodzieńki wojownik ocalały z bitwy pod Chmielnikiem, wyśmiewany niedawno Jędrzej. Teraz nikt z niego się nie śmiał, cieszący się na jego widok; skoro przeżył – a nie wątpiono z jakiego powodu: przez żarliwe modlitwy matki – to inni także mogli ocaleć. Za nim wyniesiono krzyż z purpurową stułą, dalej, w asyście zbrojnych, wyszedł starannie podpierany przez Jacka i najstarszego z miejskich ławników, niemal niesiony, słabiutki opat z Najświętszym Sakramentem. Osłaniał

go purpurowy płaszcz rozpięty na czterech włóczniach niczym paludamentum cesarów.

Dalej szła reszta dominikanów w zwartym szyku.

Do procesji dołączali tłumnie wynędzniali, wymęczeni, brudni, jednak żyjący mieszkańcy Krakowa. Dominikańska młodzież hałasowała kołatkami i dzwonekami z całych sił, czyniąc wesoły zgiełk. Ludzie się uśmiechali, chociaż łez nie brakowało. Modlili się, śpiewali, ich śpiew zagłuszały dzwony. Szli, ale nie tylko wokół świątyni, także wzdłuż wałów Okołu. Przy przyspie część procesji ze znakami, krzyżem i Najświętszym Sakramentem weszła na umocnienia. Reszta szła u podnóża wałów. Wielu obrońców przyklękało, pojawiły się uśmiechy na twarzach wojaków; dotychczas walczyli o życie i z nienawiści do wrogów, teraz zyskiwali pewność, że wojują o coś więcej. Rozległ się śpiew, niezbyt równy, acz dostojny, przy tym mocny i donośny, tym bardziej że wymieszany z głosem dzwonek i kołatek. Krzepiący śpiew, bardzo krzepiący.

Chrystus zmartwychwstan jest,

Nam na przykład dan jest,

Iż mamy z martwych powstać,

Z Panem Bogiem królować. Kyrie eleison!

Posypały się tartarskie i ruskie strzały. Leciały w stronę znaków chrześcijańskich, lecz obrońcy byli na to gotowi i wychwytywali je na tarcze. Z wałów także strzelano, jeszcze było czym.

Wrogi ostrzał, wbrew spodziewaniu, szybko ustał – Ordu kazał go wstrzymać. Spodziewał się bowiem następnej bitwy, kilku bitew. Nie było więc sensu zużywać cennej broni.

Nie było już czasu na zdobywanie Krakowa. Kiedy indziej dobędzie się go i zniszczy. Kazał odstąpić.

Triumfalne śpiewy i dzwonenie nie ustawały.

W połowie dnia rozdrażniony Ordu dał kilka znaków. Na pierwszy natychmiast wyrznięto wszystkich jeńców i nieszczęsne branki, które zdołały przeżyć setki gwałtów. Znów uczyniono to na oczach obrońców. Biskup Wisław w ciężkiej, błyszczącej, odświętnej szacie, z mitrą na głowie, pastorałem w dłoni, prawie że biegał po murze Wawelu i – niemal odchodzący od zmysłów, nie

zważający na możliwość postrzału – wychylał się poza blanki i machikuły, i krzyczał: – Nieszczęśni ludzie! Umieracie bez grzechu! Mocą Boga udzielam wam wszystkim odpuszczenia. Przez męki i ten czas odkupienia trafiacie do Królestwa Niebieskiego. Wiedźcie o tym. Umieracie bez grzechu!

Chodził i krzyczał, póki trwała rzeź. Po niej zniknął w odosobnieniu i zapłakał gorzko nad własną niemocą. Przeżył jeszcze rok; na łożu śmierci dopytywał, czy Pan Bóg go wtedy wysłuchał.

Ordu dalej robił swoje. Na jego drugi znak wojska dosiadły koni.

Na trzeci zagarnięto stada owiec i bydła, aby mieć czym się żywić w szybkim pochodzie, co miał się rozpocząć już teraz, przed wieczorem, a nie z rana następnego dnia.

Na czwarty znak pięć tysięcy Tartarów i ich pomocników pojechało prosto na zachód, zostawiając tylko silne strażę.

Na piąty znak przyszło czekać, aż słońce zacznie zachodzić. Na ten znak podpalono cały Kraków naraz.

Ludzie gnieźdzący się od ponad tygodnia w niezdoytych kościołach, na dziedzińcach klasztorów, na Wawelu i w obwarowaniach Okołu, cierpiący z głodu i pragnienia, chorzy na biegunkę, zaznali najpierw swądu dymu, potem ich przypiekał żar. Wzmagął się, aż trzeba było się chronić. Z trzaskiem palonych bierwion przybył nie wiadomo skąd wiatr. Dał coraz silniejszy, coraz straszniejszy. Wszystko płonęło z trzaskiem, dymy znad miasta połączyły się w lekko wirujący słup, widoczny od dołu w świetle pożarów, rozmywający się dopiero hen, wysoko, w ciemnościach nocy. Wokół ryczał silny wicher zasysający do ognia każdą rzecz, co nie była przytwierdzona, w tym kilka chorągwi.

Na ziemi jasno się zrobiło prawie jak w dzień. Okna kościołów przepuszczały czerwone i żółte światło, i mroczne wnętrza rozświetliły się na tyle, że ludzie znów widzieli własny strach, ale oddychali płytko, bo dym i żar wypełniały płuca. Ci, co byli na zewnątrz kościołów, a mieli odwagę patrzeć, widzieli, jakby słońce wcale nie zaszło.

W tym jedynym miejscu Ordu przemienił noc w dzień.

Nie dochodziły już do oblężonych krzyki, tylko zwiększający się szum i gwizd wiatru. Nikt nic nie musiał mówić, a prawie każdy myślał to samo – zrozumieli, że tak szumią i gwizdzą skrzydła diabłów: krążą w powietrzu gotowe chwycić ludzi i żywcem zabierać w otchłanie. Mało kto spał. Wiele kobiet szlochało, wielu ludzi usiłowało modlić się szeptem, nieustannie pokasłując. Wyczerpani księża ledwie umieli zacząć modlitwę i nadać jej właściwy bieg. Nie było już ani jednego, który by uważał, że to nie koniec świata. Dym i swąd coraz mocniej drażniły gardła, płuca i oczy. Ludzie dusili się, kaszleli, próbowali oddychać przez płótno zroszone wodą.

Modlitwy ustawały. Ktoś oszalał i krzyczał, żeby go wypuścić, bo woli już

oddać się biesom, nim znieść dłużej te męki. Od tego szaleństwa, gorąca i dymu rozkaszała się na dobre, a wówczas stracił ochotę na wyjście.

Koło północy wicher zelżał, a blask dał się pokonać mrokom nocy. Rozszalałe piekło zaczęło wsiąkać w ziemię, lecz dymy jeszcze się snuły, ale już dało się wyczuć leciutki powiew świeżego powietrza. Z nim przyszła nadzieja, że to jednak nie będzie koniec świata.

Nastał dzień, lecz nikt nie myślał o lanym poniedziałku. Do południa wypatrywano z wałów i wież kościelnych, czy wróg się czai; tyle mówiono o jego podstępach, że lepiej było zachować ostrożność, zwłaszcza że jeden oddział, zapewne ostatni, rankiem widziano objeżdżający resztki miasta, potem skierował się na zachód. Żeby się przekonać, czy Tartarowie czają się w zasadzce, wypuszczono na zwiad kilku młodych ochotników na ocalałych wynędzniałych koniach. Owym gotowym na śmierć młodzieńcom uroczyście udzielono absencji.

Tymczasem, na prośbę współbraci, Jacek przemówił do oblężonych w Okole, bo w ludziach upadła nadzieja zabita ostatnimi gwałtami i okrutnymi morderstwami czynionymi przez piekielników, jak też spieczona żarem i zdławiona dymami wielkiego pożaru. Opat rozchorował się i leżał w celi bez siły, wierni oglądali się więc na najstarszego po nim zakonnika, czyli na Jacka. On też nie czuł się najlepiej – za długo brał na siebie nieszczęścia innych. Skoro jednak oczekiwano od niego słów pociechy, zebrał się w sobie i przemówił.

– Chciałbym, moi bracia i siostry, podzielić się radosną nowiną: Chrystus zmartwychwstał. *Alleluja, alleluja!* Chciałbym, i mówię to, sami rozumiecie dlaczego, bez zwyczajnej radości. Powinniśmy się radować nie tylko z tej nowiny przede wszystkim dlatego, że Bóg o nas nie zapomniał. Dał nam przeżyć. Chciałbym, ale nie ogłoszę tej chwili. Na radość przyjdzie czas. Wypadałoby ogłosić ją już teraz, wstrzymam się jednak trochę, żebyśmy nie radowali się przedwcześnie. Być może wróg chce nas złamać tym, że zaczniemy się cieszyć, a on nastąpi znów, pogłębiając tym bardziej. Dlatego poczekajmy jeszcze trochę, wytrwajmy, nim wrócą dzielni ludzie, co pojechali na zwiady. Wrócą, wyjdziemy i będziemy się radowali nie tylko ze Zmartwychwstania Chrystusa, ale i z tego, że nam pozwolił, mimo grzechów, powstać, choć blisko było do śmierci. Tymczasem się módlmy i trwajmy w cierpliwości.

Przyznać trzeba, że uspokoił wielu ludzi, a przede wszystkim siebie.

Pod wieczór – jeszcze tam i ówdzie się paliło, raczej żarzyły się rozległe węgle w miejscach, gdzie niewiele wcześniej rozrastało się dostatnie, szczęśliwe miasto – wrócili gońcy, wszyscy. Przybici oglądany w drodze widokami, ale mimo to mający dla ocalałych dobre wieści.

– Nie ma Tartarów. Odeszli daleko.

Przed zachodem słońca otworzyły się więc wrota kościołów i innych miejsc umocnionych, a udręczeni ludzie wyszli przez bramę Okołu i zagłębili się

w podgrodzie Krakowa, właściwie w to, co z niego zostało.

Osobliwie wyglądał Kraków – białe i czerwone ściany kościołów i zabudowań klasztornych, niedopalone szczyty wież strażniczych, resztki murów. Ocalałe z ognia budynki wyglądały obco. Okalająca je dotychczas drewniana zabudowa teraz skurczyła się do śmierdzących spalenizną, ciemnych śmieci.

Zgliszcza przygnębiały widokiem, zwłaszcza tam, gdzie jeszcze wczoraj drewniane budynki stały w ścisku i rosły wzwyż. Dziś trudno było poznać, że były tu najpiękniejsze domy z rzeźbionymi podcieniami, z bramami, sieniami, które ogniowy smok wyżarł najdokładniej, do samej ziemi, zostawiając zaledwie ślad z owocu ludzkiego mozołu.

Ze szczątków ludzkich w pogorzeliśkach ostalo się ledwie trochę węgielków.

W miejscach luźniejszej zabudowy obraz zniszczeń był taki, jak to zwykle kojarzy się z pożarami: zgliszcza, węgle i dymiące popioły. Na obrzeżach Krakowa, zwłaszcza na Kleparzu, pozostałości pożaru miały postać ciemnych zawałisk niedopalonych do końca ścian z gęsto wystającymi, czarnymi, najeżonymi w niebo belkami, które przypominały czarne szkielety potworów chcących po śmierci przebóść niebo czarnymi żebrami.

Wszędzie snuł się nisko dym. Jego wszechobecny swąd drażnił i dusił, przyprawiał o ból głowy i łzawienie. Gdzieniedzie buchał żar, czasem ogień ponownie się rozpałał, jakby za mało już strawił. Nikt go nie gasił – ludzie szukali bliskich albo ich zwłok, nachylali się nad bezgłowymi trupami, oglądali ślady bestialstwa i za każdym razem odchodzili od zmysłów. Cicha rozpacz wypełzała z ciemnych kątów i rzucała się na każdego, kto tylko wychynał z ukrycia. Nie docierało do ludzi, że więcej było ocalonych. Znacznie więcej niż umęczonych przez Tartarów.

Nadzieja była głośniejsza: zrazu nieśmiało, potem coraz głośniej nawoływano bliskich – czy aby ktoś ocalał, czy może ukrył się w innym miejscu oddzielony pośpiechem i koniecznością. Pośród zgnębienia były zarówno wybuchy radości i ciche poddawanie się rozpacz, a tam, gdzie nadzieja się kończyła, nader często brało początek szaleństwo.

Do przygnębiającego obrazu świata dołożyło się niebo. Niby świeciło słońce, lecz raz za razem przesłaniał je czarny, poszarpany kształt ciemnych chmur sypiących zimnym deszczem albo deszczem ze śniegiem. Syczały wtedy gorące popioły i żary, coś udawało, że gaśnie i tylko dymu od tego przybywało.

Z obłąkanego Okołu wyszedł również Jacek Odrowąż, nie z ciekawości widoków – wyszedł, wiedziony poczuciem obowiązku. Myślał, że po przeżyciach w Haliczu i Kijowie nic już go nie zaskoczy, tu jednak, w Krakowie, przed oczami działo się coś, co po raz pierwszy w życiu poruszyło go do głębi. Szedł, jakby w koszmarze sennym przez diabły nań zesłany, i prosił Boga, żeby chociaż tym razem, gdy znów idzie między nieszczęście, mógł okazać się słabym i bezradnym.

Żeby mógł chwilę odpocząć od daru bycia mężnym, bo kiedy już groza ustała, całkiem zwątpił we własne siły, a dotychczasowe uczynki, w porównaniu z widokami, które znów oglądał, wydały się bezużyteczne. W dodatku śpiewała się Jackowi w głowie jego ukochana pieśń *Chrystus zmartwychwstan jest*. Tak ją wielbił, że oglądając zniszczony Kraków, pragnął oszczędzić jej wybrzmienia pośród widoków z nią nielicujących. Zbyt piękna była, aby pokalały ją świadectwa potwornych czynów, aby nie wyglądała na drwinę z pohańbionych, zamordowanych i zrozpaczonych ludzi. Mimo tych myśli pieśń – wbrew woli dominikanina – uporczywie sama mu się śpiewała.

Popatrzył na pustkę pozostałą po wyjącej trąbie ogniowej, w której tkwił jak gwóźdź ocalały kościółek Świętego Wojciecha, i poszedł w lewo, żeby zobaczyć, czy ocalał ktoś ze znajomych franciszkanów. Idąc tam, w krótkiej drodze, pieśń z ubóstwionej stawała się uporczywą, żadnych innych myśli nie dopuszczając do głowy.

Nadszedł nad piękny przed tygodniem klasztor franciszkanów, a teraz ruinę i zgliszcza, i wtedy mu się zaśpiewało:

Leżał trzy dni w grobie,

Dał bok przebić sobie,

Bok, ręce, nogi obie,

Na zbawienie tobie. Kyrie eleison.

Na oczach Jacka dwóch młodych mniszków franciszkańskich wyniosło spośród zgliszcz figurę Chrystusa z rozłożonymi rękoma, ale bez krzyża. Podniosły się wśród świadków nieśmiałe okrzyki. Ukrzyżowany, oderwany od narzędzia karni, uszkodzony, z nadpalonymi dłońmi, z raną w boku, ocalał jednak! Ludzie przyklękali, kładąc świętą postać na czyimś płaszczu. Dreszcz przeszedł starego dominikanina, nie dowierzał bowiem własnym oczom. W głowie słyszał zaś następną zwrotkę.

Trzy Maryje poszły,

Drogie maści niosły,

Chciały Chrystusa pomazać,

Jemu cześć i chwałę dać. Alleluja.

Na potwierdzenie słów pieśni spośród przyglądających się i przechodzących mimo ludzi, wyszły trzy niewiasty. Niosły jedzenie, jedna miała dzbanek z wodą. Nachyliły się i obmyły szmatkami zabrudzoną sadzą rzeźbę, otuliły ją w płaszcz z pomocą dwóch młodych mniszek franciszkańskich. Ci zaś, podnosząc z szacunkiem figurę, spowodowali, że opadły z niej szaty niczym całuny ze zmarłego. Wówczas chylące się słońce, z którego akurat zeszły chmury, rozświetliło postać – nie wyglądała na cierpiącą czy zasmuconą.

Jackowi trudno było opanować wzruszenie. Serce biło w nim mocno, coraz mocniej. Pieśń działa się w nim dalej:

Gdy na drodze były,

Tak sobie mówiły:

Jest tam kamień niemały,

A któż nam go odwali? Kyrie eleison.

Dwaj młodzi franciszkanie, co wynieśli Chrystusa ze spalonej ruiny i przyoblekali później w płaszcz, mówili wtedy tak, jakby czytali w rozśpiewanej myśli Jacka.

– Przywały go tramy, belki, nawet kamienie. Myśleliśmy, że to człowiek, a to nasz Pan. Ledwieśmy te ciężary unieśli.

– Gdzie wasi bracia? Gdzie opat? – zapytał Jacek Odrowąż, a przejęte serce biło w nim jak młot.

– Jedenastu Tartarzy zabili. Reszta ocalała, bośmy byli akurat na Wawelu, gdy napadli na Kraków.

Jackowi jeszcze ciężiej zrobiło się na sercu, ale coś nie pozwoliło rozpamiętywać umęczonych druhów, coś, co miało związek z pieśnią. W poruszeniu złą wieścią, lecz w nie mniejszym poruszeniu nagłym domysłem,

popatrzył uważniej na umorusane twarze młodych braciszków. Bywał u franciszkanów, widywał tych młodzianków, a wołali na nich... wołali na nich... Czy nie tak, jak w ewangeliach, na tych, co pierwsi ujrzeli Pana znów żywego?

– Jak was zowią, braciszkowie? – zapytał, zagłuszając łomot serca.

– Mnie Łukasz – powiedział starszy, a wskazując głową na młodszego, co się wyraźnie wstydził, dopełnił: – To Kleofas.

Stary zakonnik zamknął oczy. Łukasz z Kleofasem, odtwarzający bezwiednie czyny swych imienników sprzed ponad tysiąca lat, patrzyli na niego w bezruchu, czekając, aż o coś znów zapyta lub każe coś zrobić. Nie mówił jednak nic, pocierał skronie i twarz dłońmi, jakby się mył, uznali więc, że czegoś w pamięci szuka. Nieco się zdziwili, że o nic więcej już nie zapytał, nawet z nimi się nie pożegnał, tylko poszedł dalej.

Szedł przed siebie, rozmyślając. Za dużo tego było, jak na przypadek, ale jeszcze nie wierzył, że to był znak. Czy to możliwe, że tak bardzo oczekiwał znaków, sam więc sobie podkładał słowa pieśni pod widziane obrazy? Gdy wiele dzieje się dookoła, zawsze coś z tego da się wybrać, co choć trochę pasowałoby do wyobrażenia, potem można mówić o cudzie. Ledwie zamknął tę myśl, a już sam siebie zganił za pychę: kimże jest, on, Jacek Odrowąż, że w każdym wydarzeniu doszukuje się śladu boskich znaków tylko do niego skierowanych? Musi w sobie stłumić owo niesłuszne mniemanie, że właśnie jemu Pan Bóg dostarcza aż nadto wyraźne dowody i cały czas myśli o nim, wręcz czyha na każdą sposobność dania znaku.

Znaki były jednak wyraźne, lecz Jacek jeszcze nie dopuszczał do siebie tej myśli. Wiedział dlaczego i z tego powodu czuł się zakłopotany: od wczoraj, od ostatniej rzezi niewinnych, nie umiał myśleć o Bogu z wdzięcznością. Tak, wczoraj Jacek czuł, że jeszcze chwila, a wybuchnie gniewem. Szukał w sobie pokory, nazywał sam siebie pysznym i skłaniał się do gniewnej, niby stanowczej myśli, że lepiej będzie, jeżeli między ludzi już nie wyjdzie, bo mógłby stać się zaczynem herezji. Gdy dojrzał w nim pomysł zamknięcia się w celi i spędzenia reszty życia na podobieństwo pustelników, w głowie mnicha zaśpiewało się samo.

Powiedz nam, Maryja,

Gdzieś Pana widziała?

Widziałam Go po meście,

Trzymał chorągiew w ręce. Kyrie eleison.

Za chwilę niewieści głos krzyczał obok Jacka niemal gorączkowo, jakby chciał do świata materii przenieść to, co on przeżywał w świecie zmysłów.

– Naprawdę go widziałaś? Naprawdę? Mów, gdzie!

– Szedł w procesji na wale Okołu i trzymał chorągiew.

Kogo? Chrystusa?, zakrzyknęła myśl Jacka. Chciał wreszcie obudzić się ze snu, bo na jawie tyle naraz i w takim porządku nie mogło wszak się dzieć. Rozejrzył się nieco przytomniej i w tej samej chwili rozpoznał pierwszy pytający głos.

Nie o Zbawiciela chodziło.

Głos należał do matki Jędrzeja. Przetrwiała tu, przeżyła, teraz wyszła z ukrycia i mimo rozpaczliwych poszukiwań matczyne. Na tę szczęsną wieść, nim ją dopadł szal radości, ujrzała Jacka.

– Ocaliłeś mi go! – Rzuciła się do całowania rąk mnicha. – Ocaliłeś! Święty z ciebie człowiek!

– Co ty mówisz, niewiasto. Bogu dziękuj, nie mnie – odrzekł zaskoczony.

Ona nie słuchała. Biegła do bramy Okołu, znów raz po raz krzyząc: Jędrzej! Jędrzej!, tylko teraz nikt nie myślał, że ma coś nie tak z głową, bo wielu wznosiło podobne okrzyki przywołujące bliskich.

Jacek patrzył za nią, potem spojrział w niebo i powiedział w myślach: Panie, zbłądziłem, zwątpiłem, a przecież nie można dać wyraźniejszych znaków, że Ty czuwasz. Miej nas w swojej opiece!, po czym poszedł dalej, już nie myśląc o tym, że chciałby być słabym, chciałby odciąć się od bolączek ludzkich, żeby nie brać na siebie więcej ich nieszczęść.

Kilkanaście kroków dalej napotkał krewniaczkę Bronisławę od norbertanek, co w otoczeniu kilku towarzyszek chodziła między ludźmi, pomagała pociechą, nakłaniała do uprzątnięcia zgliszczy i gruzów. Dwie siostry utulały w żalu niewiastę, wyglądały niczym Maria Magdalena i Maria zwana Martą pocieszające omdlałą z bólu Maryję. Wtedy te, już bez zniecierpliwienia, złości, czy zawodu, na potwierdzenie widzianego obrazu wybrzmiały w nim słowa:

Gdy nad grobem stały,

Rzekł im anioł biały:

Nie bójcie się, Maryje,

Zmartwychwstał Pan i żyje! Kyrie eleison.

Jacek nawet nie przywitał krewniaczki, w żaden sposób nie okazał radości z tego, że widzi ją żywą. Wbrew temu, co miało mu nieść pociechę, wbrew budzącemu się życiu, pierwszy raz od wielu lat poddał się słabości. Silne wzruszenia pozbawiły go tchu. Nie zważając, że się usmoli, usiadł na niezgorzłym, pokrytym węglami tramie i on, co dotychczas niezłomnie dostarczał pociechę każdemu potrzebującemu, schował twarz w dłoniach i zaszlochał. Mógłby przysiąc, że ktoś głaskał go cierpliwie po głowie tak, jak matka głaszczę zrozpaczone dziecko.

OD UROKÓW CHRONI KRECIA SKÓRKA

Należy zebrać jak najwięcej kosteczek tego zwierzątka, wymieszanych z kostkami żaby i myszy. Do tego należy dodać splątaną nić konopną, korzeń przebiśniegu i malutkiego konika, wystruganego z kory. Dla złych duchów dziwną moc ma taki woreczek. Patrzą na niego, jakby na czarną dziurę, przez którą mogą przejść do zaświatów lub choć na chwilę odpocząć od nieznośnych dla nich promieni słonecznych. Już nie potrafią wtedy od razu rzucić się na człowieka, aby mu szkodzić, bo przecież to jedno czarne miejsce, nawet schowane, przyciąga ich uwagę.

Duchy mają swój rozum i od samej skórki łatwo by się oderwały i przeszły do złych czynów. Zawartość mieszka im na to jednak nie pozwala, bo gdy bliżej się przyjrzą, zobaczą korzeń przebiśniegu. Ten kusi ich mocą życiową, chcą więc go dotknąć. Jeśli tego spróbują, wyczują kosteczki. Czasem tego się boją, jakby miejsca cmentarnego, zajętego, i uciekają, ale się zdarza, że nie uciekają; dotykają kosteczek i chcą je porozdzielać, odpowiednio ułożyć, co samo w sobie jest trudne w ciasnocie woreczka. Nie ma takiego złego ducha, który nie chciałby rozsypać tego, co zawiązane – zajmuje się więc nicią. Jest to równie jałowe zajęcie jak próba układania kosteczek, na jedno i drugie jest w mieszkach za ciasno. I jakoś tak też jest, że konika pragną dosięść, ale nie uczynią tego, póki kosteczki nie ułożone, a nić nie wyprostowana. Póki tego nie uczynią, nie zaznają spokoju, a póki ich wola zajęta jest zawartością woreczka, człowieka zostawiają w spokoju.

Tak to działa na duchy, co chciałyby człowiekowi zaszkodzić, najpierw

jednak mają się czynności, które mitrzą czas i sposobność. Każdy czar, każdy rzucony zły urok natrafia na czarny woreczek, z którego nie ma wyjścia. No, chyba że ktoś go rozsypie, ale tego nie wolno przecież robić, nieprawdaż?

Rozdział 9. Oktawa Wielkiej Nocy

Gońcy wysłani, wieści odebrane. Niestety, niecałe wojska mogły zdążyć na czas do Wrocławia, przeto książę zmienił miejsce zbiórki na Legnicę, żeby zapewnić sobie swobodę działania. Następni gońcy pojechali w cztery strony świata, wszystko bowiem wskazywało, że Tartarowie ruszą spod Krakowa właśnie na niego. Sam zaś zamierzał zostać we Wrocławiu jak najdłużej, wcześniej postanowiwszy odprawić żonę i dzieci w bezpieczne miejsce, do Krosna w widłach Bobru i Odry. Stało się to wczesnym rankiem we wtorek po Wielkiej Nocy.

Po ubraniu się księstwo odprawili służbę, jeszcze na chwilę podeszli do siebie i przytulili bez słowa, opierając głowy każde na ramieniu drugiego. Przez okno wpadało światło poranka, śpiewało pięknie ptactwo i zaczynał się ludzki gwar. Oni nic, jeno stali przytuleni dłuższy czas, nie mówiąc słowa, nie wdychając nawet. W komnacie obok czekała wypuszczonych przez babkę z Trzebnicy gromadka niedorosłych synów i córek, czekali także dworzanie. Nasłuchiwali ciszey, bo tylko tyle dochodziło zza drzwi sypialni księstwa.

Henryk ucałował welon na włosach Anny, ta jeszcze mocniej do niego przywarła, przesuwając głowę na pierś męża.

- Gotowi pomyśleć niestworzone rzeczy. – Henryk się uśmiechnął.
- Niech myślą.
- Nie możemy tak dłużej stać.
- Możemy. Nikt nam nie zabroni.
- A ta twoja wymarzona korona królewska? Może poczekać?
- Nie może – powiedziała Anna i znów przytuliła się do męża.

Ruszyli się troszeczkę, bujając leciutko na boki, jak to mieli w zwyczaju przed dwudziestu laty, gdy byli młodzi, piękni, nieśmiali i pełni nadziei na przyszłość. Zdawać by się mogło, że ostatnio robili tak wczoraj, ale w tym czasie niektóre dzieci zdążyły dorosnąć.

– Boję się – odezwała się Anna. – Co za koszmary mam w snach. Tak się czuję, jakbym nigdy już nie miała cię zobaczyć.

- Ale jestem i jeszcze mnie zobaczysz.

Książę pogłaskał przytuloną żonę po głowie. Chciał ją oderwać od siebie, żeby coś mówić, ale ona odezwała się pierwsza: – Zostańmy tak jeszcze, możemy porozmawiać. Nikt nie widzi.

- Moja matka puściła wnuczki z Trzebnicy?
- Tak.
- Sama nie przybyła?
- Nie – westchnęła księżna. – Powiedziała, że i tak wie, co się stanie i że dołączy do mnie w Krośnie.

– To znaczy, że tu na razie nic dzieciom nie grozi. Trudno mieć świętą matkę.

– Mnie to mówisz? Mam świętą świekrę. Ale to znaczy, że w Krośnie też nic złego nas nie spotka, skoro sama tam jedzie.

– Tak... – uśmiechnął się Henryk. – Też jadę w bezpieczniejsze miejsce. Tu dotrwam, jak długo się da, potem dołączę do wojska pod Legnicą.

Anna zeszywniała na tę wiadomość. Wspomniała najgorszy z koszmarów, gdzie stała na legnickim murze i przyglądała się nieruchomej twarzy Henryka.

– Musisz właśnie tam? – wyszeptała.

– Muszę. Właśnie tam. Takie wydałem rozkazy.

Księżna nie mogła zdradzić swoich przeczuc, mocniej przywarła do męża. Już nie liczyła się dla niej korona, tylko życie. Nie zostało się w niej nic z codziennej śmiałości, iście królewskiej dumy i stanowczości, jaką obdarowywała męża, wspominając Dobrawę i Mieszka. Drżała i z całych sił powstrzymywała łzy. Nie mogli wzajem widzieć swych słabości. Była księżną, a on księciem.

– Dobrze – powiedział Henryk – zacznijmy znów rządzić.

– Zacznijmy – westchnęła głęboko Anna, ocierając twarz o jego szaty.

Książę klasnął po trzykroć i w jednej chwili ze stęsknionych małżonków przemienili się w usztywnionych władców.

Henryk pożegnał dzieci i odprowadził na statki na Odrze. Smutnie to wyglądało, ale gdy odpłynęli, mógł zająć się już tylko wojną.

UCIECZKI

Trwoga ogarnia całą ziemię

Požoga trawi wszystko w kraju

Czyż ma wyginąć ludzkie plemię

Zanim zasłuży by wejść do Raju?

W czwartek po Wielkiej Nocy przybyli do Zalesia niespodziewani goście. Przybyli, to znaczy przy płynęli, korzystając z kilku kupieckich łodzi, co wybrały się w podróż z Opola do Wrocławia. Dwie z nich stuknęły się nazbyt mocno, żeby bezpiecznie płynąć dalej, i trzeba było dokonać koniecznych napraw. Dla

bezpieczeństwa wszystkie pięć zatrzymało się w Zalesiu.

Wśród kilkorga podróżnych, co tak wygodnie i szybko chcieli dostać się prawie aż do morza, była wojewodzianka krakowska Gertruda, bezradna, jeszcze bardziej podstarzała ciotka oraz kilkoro sług. Jeny rycerz Pakosław herbu Półkozic, który wiernie służył zachciankom wojewodzianki, napadając giermka Wojdę od tyłu, został w Opolu, przy Mieszku Otyłym, bo zanosilo się na starcie z Tartarami. Tęskno za nim było Gertrudzie, oj tęskno. W ucieczce z Wawelu na Śląsk zdołali wymienić kilka chłodnych zdań i zaledwie raz kilkanaście gorących pocałunków. Niestety, musieli bardzo się pilnować, bo ludzi wprawdzie niewielu patrzyło, ale za to uważnie. Cieszyli się, że w Raciborzu, może w Opolu, znajdą więcej czasu dla siebie, lecz nic z tego nie wyszło. Wbrew wszelkim spodziewaniom i okolicznościom hardy, młody i już spasiony jak prosię ksiązę Mieszko niezmiernie łaknął wielkich czynów i wcale nie bał się Tartarów. Co prawda niedawny jego opiekun, ksiązę Henryk Pobożny, wzywał go w aż trzech listach, aby niczego nie przedsiębrał samodzielnie i z całą siłą wojskową szedł ku niemu, na Wrocław, Mieszko wiedział jednak swoje i zbierał wojsko niedaleko Raciborza – na najkrótszej drodze wiodącej z Krakowa do jego księstwa. Chcąc nie chcąc tych kilku krakowskich rycerzy, w tym Pakosław, musiało do niego się przyłączyć, bo liczył się każdy miecz, tym bardziej że oni znali już Tartarów. Bili się wszak z nimi, to znaczy uciekli aż tu, nie czekając w Krakowie, co będzie dalej. Mieli więc doświadczenie, którego pragnął ksiązę opolsko-raciborski Mieszko, o ciele co prawda słabym, ale duchu zaiste nad wyraz walecznym.

Skora do płaczu Gertruda pożegnała więc wiernych towarzyszy ucieczki – zwłaszcza jednego – skinieniem ręki, podaniem jej do pocałunku. Dałaby Pakosławowi ucałować więcej, nie tylko zresztą do ucałowania, lecz nienawistnicy ich pilnowali. Pogrążyła się w dodatkowym smutku, narzekając po cichu na brak jakichkolwiek nadziei na dobre wieści o ojcu. Zdołała wyrobić w sobie odpowiednią do położenia postawę szlachetnej boleści po stracie ojca, nieskończenie smutnej, jednocześnie niezwykle uprzejmej, gotowej uśmiechnąć się nawet przez łzy.

Żona Otyłego Mieszka, księżna Judyta, poruszona postacią boleściwej Gertrudy, pełna podziwu dla jej opanowania, pocieszała niebogę, dawała nadzieję, mówiąc, że póki nie koniec wojny, nic pewnego o śmierci wojewody nie można powiedzieć. Obiecała, że jej dzielny mąż poradzi sobie z najeźdźcami, bo on zawsze sobie świetnie ze wszystkim radzi. Nawet jeśli przyjdzie mu się cofnąć aż do Opolu, na pewno zatrzyma się w nim i gród obroni. Zresztą gród obroni się sam w razie potrzeby, można więc w nim czuć się bezpiecznie. I tak wojewodzianka zamieszkała przy ksiązęcym dworze w Opolu.

Dobrze tam było Gertrudce. Samotną księżnę prędko owinęła sobie wokół malutkiego paluszka i znalazła w niej najserdeczniejszą przyjaciółkę, ale... w miarę

upływu dni coraz to mniej wierzyła, że może, czy też powinna tu ostać. Przede wszystkim z takiego to powodu, że umiała dobrze liczyć. Skoro jej potężny i waleczny ojciec, co sam miał wojska więcej niż tutejsze książątko, w dodatku wzmocniony w dwójnasób siłami sandomierskimi, uległ tartarskiej sile, to jakim cudem mógłby tu ostać się ten śmieszny grubasek? Poza tym skoro aż tak mocno zwątpiła w siłę murowanego Wawelu, że uciekła do Opoła, to dlaczego miałyby nagle uwierzyć, że drewniane Opole nad węższą Odrą jest silniejsze niż skaliste, prawdziwie warowne gniazdo nad szerszą Wisłą? Nie wierzyła.

Gertruda miała jeszcze inne, ważne powody, żeby zejść z oczu tak nagle zyskanej przyjaciółce. Księżna, okazawszy daleko idącą szczerą, wzajem takiej oczekiwała, a wojewodzianka zbyt wiele miała do ukrycia, aby mówić szczerze. Co gorsza, Judyta, choć młoda, pełna życia i raczej trzeźwo, acz prosto myśląca, była niewiastą pobożną, w dodatku na sposób trwożno-rozmodlony z naiwnym przekonaniem, że wystarczy swoje w kościele odleżeć lub wykłęczyć, aby Ten z Góry wszystko pomyślnie załatwił. Modły Judyty, zresztą każde inne, również nie trafiały do przekonania niezbyt pobożnej uciekinierce. Już samo to, że musiała towarzyszyć księżnej w wielkopostnych modłach, uczyniło schronienie w Opolu prawdziwie nieznośnym. No i jeszcze coś.

Mdliło ją od zapachu świec i pochodni, od potu ludzkich ciał, a naiwna pobożność, jaką musiała codziennie tam oglądać, napełniała wstrętem. Nie mogła pojąć, po co ludzie tracą tyle czasu w ciemnym, zatęchłym kościele. Bolała ją głowa i brzuch, jednocześnie odczuwała coraz większe pragnienie, żeby wstać z kłęcznika, złapać za ciężki świecznik stojący nieopodal i walić nim po pochylonych łbach z całej siły, poczuwszy od najnowszej przyjaciółki, skończywszy na trzęsącym się, wyleniałym księdzu z hostią. Albo podpalić to miejsce, drzwi kłoda od zewnątrz zastawić i słuchać owych pobożnych, i sprawdzić, czy pomoc wymodlą. Gdy tak sobie wyobrażała te czyny, mdłości nieco się cofały, bóle ustępowały, ona sama czuła się więc trochę lepiej. Niestety, dawało to ulgę na chwilę. Wojewodzianka myślała, że już dłużej tego nie wytrzyma; płakała z bólu i tłumionej złości.

W Wielką Sobotę bezmyślne cierpiętnictwo się skończyło. Tego dnia Gertrudka samą siebie podziwiała za okazaną wytrwałość, lecz próba nastąpiła w Dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Te łyzy radości, pieśni zawozone nieczysto, te dzwony i kołatki były dla Gertrudki wprost nie do zniesienia. Potem uczta... A ona miała właśnie do jadła wstręt. Koszmar! Spośród dotychczas przeżytych właśnie ta Niedziela Wielkanocna wydawała się najgorszą w życiu. Wojewodzianka uznała zatem, że dalszego przebywania w Opolu nie zniesie, i zaczęła gorączkowo przemyślać nad wyrwaniem się z gościny.

Coś tam chyba nad Gertrudką czuwało, bo sposobność opuszczenia Opoła nadeszła z wieściami mówiącymi o tym, że wojsko krakowskie choć w części

ocalało z bitwy i jest już we Wrocławiu. Jednocześnie potwierdzono wieści o śmierci wojewody krakowskiego Włodzimierza, potwierdzano również, że Sulisław, brat wojewody, a co za tym idzie stryj Gertrudki, ocalał. Słyszając o śmierci ojca, wojewodzianka wybuchła gwałtownym uczuciem rodzinnym, aż księżna Judyta je podziwiała, poniekąd zazdroszcząc i czując wyrzuty sumienia, sama takich uczuć nigdy nie żywiła, co niemałą napełniało ją troską.

Judyta – prostoduszna i dobrego serca niewiasta – chciałaby świat widzieć lepszym. Krewni, ci najbliżsi i ci troszkę dalsi, nie kochali nikogo, prócz samych siebie, szczególnie ojciec, choć i matka niewiele była lepsza. Wszystko, co istotnie cenili, to władza, a tę osiągnęli przemocą, rzadko głębokim namysłem. Osobliwie wygląda miłość małżeńska pokazywana pięścią i podobnie okazywana miłość rodzicielska. Judyta mogła powiedzieć, że ojca się boi, szanuje go przez strach dla jego gwałtowności i prostactwa, słucha jego woli wyłącznie przez wzgląd na wychowanie – bo tak musi być, dlatego zapewne od dzieciństwa marzyła, aby być od niego jak najdalej. Nałożyła się na to niechęć do matki, co tylko o swoich ruskich przodkach i ich wydumanej wielkości mówiła, ale gwałtowność męża zносиła z istic psią pokorą. Niewiele zatem miłości rodzinnej zaznała na Mazowszu spragniona tego uczucia Judyta, oj niewiele, a gdy ojciec sprzedał ją niczym niewolnicę na Śląsk, uznała, że to dobra odmiana w życiu.

Ale i tu, za sprawą ojca, spotykały młodzieńką księżną same przykrości. Na tych ziemiach nienawidzono jej ojca powszechnie uznanego za okrutnika, głupca, zawistnika i miernotę, co poniekąd dawano odczuć i odczuwała jego córka, bo na całym Śląsku nie znalazłoby się człowieka, który szczerze nie tyle by kochał, co choćby lubił czy za cokolwiek podziwiał Konrada Mazowieckiego. Judyta nie umiała w sobie miłości do ojca rozbudzić, podziwiała, że inni mają inaczej, lepiej, że rodziców miłują i w zamian są kochani. Obiecała więc sobie zrobić co w jej mocy, aby w rodzinie, którą sama kiedyś ustanowi, królowała miłość i poszanowanie z niej wynikłe, nie ze strachu.

Zatem Judyta, co swój ród opuściła bez większego żalu, mimo że kochała męża, dzieci nie miała i samotność jej mocno doskwierała. Niezmiernie potrzebowała powierniczki, innej niż spowiednik i innej niż zasuszona w modlitwie, nieufna świekra. Wtenczas pojawiła się doskonała towarzyszką w postaci jasnej i ślicznej niczym anioł, mądrej Gertrudy, w dodatku młodszej o dwa lata naiwnie patrzącej na świat wielkimi, nieskończenie smutnymi oczami, która zaznała miłości ojcowskiej i sama ojca kochała. Ledwie nawiązały nici porozumienia, nieraz wspólnie się spłakały, nastąpiły gorące prośby o rozstanie. Smutno zrobiło się młodej, samotnej księżnie, bardzo smutno. Zwłaszcza gdy wojewodzianka mówiła rozdzierającymi słowami, nie tyle nawet z głębi serca, lecz – głos wskazywał, że z głębszych pokładów uczucia – z trzewi płynącymi: – Nie płacz, bo nie odjadę. Serce mi się kraje, ukochana.

Wojewodzianka usłyszała pocieszenie, jakiego oczekiwała. Judyta siłą rozumu, który uczucia na bok odkłada, z głębokimi westchnieniami między zdaniem oznajmiała: – Jedź, miła, jedź... Tam są twoi krewni... Oni mają pierwszeństwo przed przyjaźnią. Zwłaszcza gdy tak się kochają.

Gertruda, mimo kilku trapiących ją zgryzot, omal nie uśmiechnęła się z radości, że łatwo jej przychodzi powodowanie ludźmi. Zwłaszcza tą głupią gęsią Judytą. Nic nie odpowiedziała na te słowa, padła w ramiona roniącej łzy księżnej i ostatni raz w życiu, tak się zdawało wojewodziance, zaniósł się wspólnym szlochom. Przyznać tu trzeba, że myśląc o niechybnym kresie żywota Judyty z rąk Tartarów, młodziutka przyjaciółka w potoku łez jedną szczerą łezką jednak uroniła.

Po dwóch dniach spływu uczynionego ze złaknionymi zysku, a nieświadomymi zagrożenia kupcami z Czech, w środę wieczorem Gertrudka wyładowała w Zalesiu z całym majątkiem ruchomym: końmi, srebrem, kilkoma szatami, klejnotami, starą ciotką i trojgiem służących. Szybko powiadomiono, że ważny gość zjawił się w wystraszonej wsi, pani Bożena więc, chociaż zagoniona zwożeniem zapasów, wystawianiem straży i ustawicznym użeraniem się z kmieciami, co chcieli uchodzić w lasy, za bagna, zamiast bronić gródka przed nieprzyjaciółmi, znalazła chwilę i wyszła na spotkanie. Żonę rycerza szybko ustawiono jak należy i to tak, że nawet się nie domyśliła, iż niewinna osóбка jest tą samą dziewczyną, co poniżyła jej syna i omal doprowadziła do jego śmierci. Nawet do głowy Bożenie to nie przyszło. Mówiono, że przyjechała córka wojewody krakowskiego, co w tych dniach pełnych zamętu wystarczyło, aby czuć się zaszczyconą niespodziewanym gościem. Co gorsza, dostojny gość słabował.

– Przenieście ją do mnie, pod mój dach – Bożena nie traciła darmo czasu. – Po co ruszać w podróż w tak zły czas? Na co to komu? Jeszcze was ogarną – mówiła do starej ciotki wojewodzianki.

Ta wreszcie doszła do słowa w naszej opowieści, nawet trochę się rozgadała płaczliwie, z załamywaniem rąk i w sposób budzący żal.

– Uciekamy, miła pani. Uciekamy, jak najdalej od okrutnych wrogów. Oto zabili dzielnego ojca naszej panienki, obrońcę ojczyzny, a ona, biedaczka, z każdym dniem słabsza. Usłyszałyśmy, że wojsko krakowskie jest pod Wrocławiem i chcemy z nim się zobaczyć. Zawsze raźniej wśród swoich.

– Tak – zgadzając się, kiwnęła głową Bożena. – Moi też pojechali pod Wrocław, ale że chcecie tam być? Może być niebezpiecznie, tam pewnie wróg nadciągnie.

– Popłynęlibyśmy dalej, ale łodzie uszkodzone. No i ona słabowita... Nic nie je, a jeśli zje, zwraca. Nie służy pannie ta podróż wodą. Słyszałam od kupców, że tu macie silną wiedzę, co umie różne choroby leczyć. Uroki odczyniać. Może ulżyłaby biedaczce, nim łódź naprawią?

Tak się składało, że spośród setek możliwych, tej właśnie prośby Bożena

byłaby gotowa wcale nie słuchać ze względu na skrajną niechęć do młodej wiedźmy, ale skoro proszą o pomoc dla tak możnej damy, nie wolno odmówić.

Cierpiąca wojewodzianka nie dała się nieść daleko, uproszono proboszcza bez żadnego proszenia i położono ją u niego tak szybko, że ledwie zdążył powiedzieć: – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Posłano po wiedźmy.

Gromu z jasnego nieba szybciej by się spodziewały wiedźmy z moczarów niż posłańca – w postaci Białego kościelnego – od pani Bożeny i proboszcza. Dowiedziawszy się jednak, o co chodzi, ruszyły w drogę, biorąc ze sobą każda własną torbę z ziołami i tajnymi szeptami. Niebieski posłaniec poszedł przed nimi, żeby powiadomić chorą.

Nastał wieczór, całkiem ciepły. Z bagien, stawów, rowów i kałuż odezwały się żaby i ropuchy przez co niewiasty, póki nie doszły do suchego lasu, nic do siebie nie mówiły, bo śliskie, obchodzące gody zwierzątka wypełniały powietrze bezlitosnym wrzaskiem. Terkotały rzekotki, rechotały żaby, ropuchy ćwierkały jednostajnym trelem. Hałas zagłuszyłby to, co wiedźmy miały sobie do powiedzenia. A miały, i to sporo, zwłaszcza o tym, co je zajmowało od dłuższego czasu. Dopiero w lesie, między wysokimi drzewami, gdy chóry żab i ropuch z uroczyska zostały za nimi, stara mówiła, raczej szeptała, bo w zapadających ciemnościach mógłby się ktoś czaić: – Po co ci iść? Po co? Po co pchać się na oczy Bożenie? Już i tak jest na ciebie zła. Ja bym to z nią jakoś załagodziła, a tak...

– Nie puszcę cię samej, matulu. Nie puszcę. Ale też nie chcę siedzieć sama w domu. Straszno mi ostatnio jest. Złe sny mam. Okropne, aż ich się boję.

– Bo sumienie masz nieczyste, to dlatego. Ostrzegałam cię, namawiałam, a ty swoje. Nawet ksiądz mówił, żebyś cierpliwa była. Ty co? Już nie muszą się domyślać, już wiedzą.

– Nie poszłam wtedy między ludzi.

– Ale Bożena cię zobaczyła. I jeszcze wystrojoną jak na spotkanie z czartami. Nic dobrego z tego nie będzie.

Kilkanaście kroków przeszły w ciszy.

– Wiem, matulu, źle zrobiłam – Anucha pierwsza się odezwała. – Ale co miałam czynić? Przecież mówią, że tamci czarami zwyciężają. To co? Miałam pozwolić mu zginąć? On nawet na prosty urok nie jest odporny, co dopiero czarcie czary. Przecież tamci, co na tym się znają, zabiliby go jednym tchnieniem. A tak... Może ocaleje.

– Ale ty możesz zginąć. Nie wolno czarować, nie wolno między ludzi tak się pokazywać. Mogli uznać, że nie w Pana Boga, tylko, tfu!... – splunęła i bardziej ściszyła głos – ...w czarta wierzysz. Takie ogniem się przypieka, żelazem rwie, nogi łamie, włosy do skóry goli, paznokcie wyrywa. Chcesz tego?

– Złych mocy nie przywołałam – odpowiedziała dziewczura jakby po to,

żeby i samą siebie uspokoić.

– Skąd im o tym wiedzieć? Znają się na tym? A ty skąd to wiesz? Z dawnych czasów są czary, księża na to nie pozwalają, ludzie ich się boją. Znać można, ale okazywać się z tym, bardzo źle...

Znów zapadło milczenie, wymowne, i znów przerwała je Anucha.

– Nie wiem, mateczko. Stało się. Z miłości. Nie chciałam go żegnać. Dwa dni walczyłam ze sobą, czy widzieć go mogę ostatni w życiu raz. Zechciałam tylko... tylko... żeby przeżył. Nic więcej. Tylko życie. Tylko przeżycie. Nie dla siebie tego chciałam, dla niego. Nie musi być mój, nie musi już mnie więcej widywać, aby tylko przeżył, zdrowie zachował. To jedno było dla mnie ważne. Dlatego odstraszyłam od niego złe duchy. One krążą... Krążą... Ciągłe je czuję, nawet tu.

Stara milczała. Coś w niej się gotowało, coś przyprawiło wspomnieniami, omal popadła we wzruszenie.

– Biednaś ty, oj biedna. Tylko kto ciebie pożałuje? Wiesz, co będzie, jeśli on zginie?

– Teraz wiem. Mogą mnie ze szczętem znienawidzić. Ale co mi po życiu bez niego?

– Co ja pocznę bez ciebie? Co po moim życiu wtedy będzie?

Dziewczura zrobiła kilka kroków, nim odpowiedziała smutno: – Wybacz, mateczko. Chyba lepiej byś zrobiła, jakbyś mnie związała albo na jakiś czas uśpiła, żebym nic nie mogła zrobić. Nie władnę sobą. Nie wiem, co będzie. Boję się, zarazem jest mi wszystko jedno. Wybacz, mateczko, że nie pomyślałam o tobie. Że tobie także życie mogę popsuć.

Wisława przytuliła młodą wiedźmę. Anuchą wstrząsał bezgłośny szloch.

– Nie płacz, córuchno – odezwała się stara. – Nie płacz. Jakoś to będzie. Coś na to poradzimy, i na złość ludzi, i na piekielników, co ponoć są niepokonani. Tymczasem nie pozostaje nic innego, tylko czekać. Już byłam bliska myśli, żeby uciekać, ale gdybyśmy uciekły, posądziliby nas o rzucenie uroku na twojego Wojdę i jego ojca, a wtedy... Znaleźliby, oj znaleźli. Modlić nam się trzeba, żeby ocaleli. To dobrzy ludzie, Pan Bóg nas wysłucha. Pomódlmy się razem, to cię uspokoi. – Wisława zaczęła litanie. Odmierzając modlitwę krokami, poszły w stronę Zalesia. W drodze ponownie zagłuszył je rechot żab, ale to było tam, za chwilę. Tu, jeszcze w lesie, wyszedł spośród drzew Czarny kościelny. Zadumany szedł za wiedźmami jakby bezwiednie, aż przystanął na skraju lasu, spojrzął w twarz wychudłego miesiąca i pouczył go, pytając: – Widzisz, jaka świetna sposobność do szkodzenia? Pojmujesz, odwieczny milczku, jak łatwo można namieszać w tym ludzkim życiu? Trochę uczucia, trochę złej woli przy słuchaniu, do tego szczypta strachu. Co ty na to? Działać, nie działać? – zapytał szeptem niosącym się w przestworza, a na jego twarzy, mimo mroku, znać było drwiący uśmiech. Odpowiedzi oczywiście nie

dostał. Po co? Co zrobić, sam wiedział najlepiej.

Takiego najazdu niewiast dom proboszcza, jak długo stał, jeszcze nie znosił: wojewodzianka, ciotka i cztery służące, czyli razem już aż sześć. Siódma, przysłana przez Bożenę, dziewczka do pomocy. Miały jeszcze przybyć dwie wiedźmy, co łącznie dawałoby aż dziewięć bab.

Proboszcz kręcił się po plebanii, kręcił, w końcu usiadł na zydelku i patrząc na rozdmuchiwany przez którąś ze służek żar w ognisku, słuchał ustawicznej paplaniny i marzył o zwyczajnej ciszy. Mówił do siebie w myślach: Niezły tego najazdu początek, oj niezły. Najpierw wrony, teraz niewiasty. Co będzie na koniec?

Coś przydałoby się dla równowagi. Był Biały kościelny, ale od niewiast, jak to on, trzymał się z daleka i dość podejrzliwie na nie patrzył. Czarny, co zawsze do bab szczerzył kły, zniknął i nie można było go dowołać. No i wikary. Tu nie było czego żałować. Dobrze, że schował się w komorze i udaje, że go nie ma. Chcąc nie chcąc, stary ksiądz sam pełnił zadania gospodarza. Szczęśliwie się złożyło, że nie musiał za wiele gadać, a służebne, dwie baby duże i silne, jedna hoża dziewczoja i jedno zupełne dziewczątko, sprawnie zakrzętnęły się wokół wszystkiego. Biały przyniósł drew, coś niezrozumiale mruknął i znów usunął się daleko w cień.

Proboszcz, korzystając ze sposobności, porozmawiał z ciotką wojewodzianki. Od słowa do słowa dowiedział się, skąd i przed kim uciekają, jak długo, jakie miały przeżycia, wreszcie kogo gości pod swoim dachem. Wtedy pomyślał: Zaraz... Przecież to ta... Ta sama, co urok rzuciła na Wojdę! Że też ten świat jest tak mały!, tu popatrzył na bladą, smutną twarzyczkę leżącej dziewczyny, na wążutki biały nosek z różowymi chrapkami, warkocze z jasnego złota splecione, na ogromne, półprzymknięte teraz powiekami z długimi, czarnymi rzęsami, pod cienką i ciemną brwią oczy patrzące nieruchomo na sęki na ścianie. Aż głową pokręcił z podziwu. Kto by przypuszczał? Takie śliczne niewiniątko!, pomyślał, ale zauważywszy, jak czujnie te półprzymknięte oczy przejechały w prawo, bez ruchu głową, żeby sprawdzić, gdzie ciotka, gdy paluszki przy bezwładnej rączce szybciotko się poruszyły i coś zniecierpliwione trzepnęły, po czym znieruchomiały tak samo, jak poprzednio, zrozumiał, że niezgłębione są pokłady ludzkich możliwości w udawaniu. Był już pewien, że ta niewiasta jest urodzona do rzucania groźnych uroków, zwłaszcza na nadwrażliwych młodzieńców. Proboszcz uśmiechnął się sam do siebie i po raz pierwszy od wproszania się gości nie był zły. Gdy podawano pić wojewodziance, a ona nawet głosu nie wydała, tylko skinęła główką, że tak, tego pragnie, już nie przeczuwał, nie podejrzewał, tylko był pewnym, że dziewczoja jest w stanie rządzić światem wedle swoich zachcianek. Nie za długo nad tym jednak dumał, bo przyszło zrozumienie: przecież za chwilę trafi tu ta, co drugi urok rzuciła. Dwie silne czarownice na plebanii, to niezbyt dobra okoliczność dla starego księdza. W dodatku dziewczura, gdy się dowie, z kim ma do czynienia, może zrobić coś,

czego przyjdzie wszystkim żałować. A Wisława? Czy ona pozostanie obojętna?

Proboszcz już miał krzyknąć na Białego, żeby czym prędzej pobiegł i zawrócił z drogi Anuchę, ale już rozlegało się klaskanie przed drzwiami. Zmartwił z tego, co mogło się wydarzyć. Kościelny zerwał się bez rozkazu z kąta i otworzył drzwi.

Na plebanię weszły dwie niewieście postacie. W blasku pochodni włosy jednej skrzyły się płomieniście, a drugiej srebrzyły. Ksiądz aż opadł na stołeczek. Było za późno, żeby zawrócić czas.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała stara.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedział zgodny wielogłos.

– Gdzie chora? – zapytała Wisława prawie że bez troski, a po twarzy Gertrudy przebiegł grymas, jakby bóleści, i natychmiast łzy stanęły w oczach.

Ksiądz wskazał niemo i patrzył, co będzie dalej. Wisława z Anuchą podeszły. Stara powiedziała: – Musisz, pani, dać się dotknąć.

Przestraszona Gertruda, wzdrygnęła się i rozejrzała niespokojnie.

Wiedźma zrozumiała.

– Za dużo tu was. Mężowie wyjdźcie. I wy też – dodała do sług.

– Czy mogę wrócić do domu? – ośmieliła się zapytać drżącym głosem służka Bożeny.

Wisława popatrzyła na Gertrudę, na sługi wojewodzianki, na ciotkę.

– Możesz – powiedziała po chwili. – Pani, gdzie cię boli? – stara wiedźma zapytała Gertrudę, gdy liczebność na plebanii się zmniejszyła.

– Strasznie jest cierpiącą... – zaczęła ciotka, ale wiedźma nie dała jej skończyć.

– Nie ty, pani, słabujesz. Ty, dziecko, powiedz.

Gertruda odezwała się: – Od czasu, jakem weszłam na łodzie, nie mogę jeść. Jakby coś się skurczyło w brzuchu. W głowie się kołuje. No i zimno mi.

Stara popatrzyła chorej w oczy, przyświecając kagankiem, ale co tam, prócz łez można było zobaczyć? Potrzymała dłoń na czole słabującej – chłodne było, choć ona sama spocona. Kazała się Gertrudce obnażyć, w czym ciotka pomogła. Ciało było czyste, bez krost. Chora z wysiłkiem obróciła się na rozkaz; z tyłu też niczego złego nie było widać.

– Połóż się pani wygodnie – powiedziała stara i okryła ją.

– Co jej jest? – z niepokojem w głosie zapytała szeptem ciotka.

– Zdaje się, że nic – odparła wiedźma. – Osłabiona, to prawda, schudła, ale nie za bardzo, bo ona chudziną już jest, taka jej przyroda. To nie w ciele słabość. Musiała coś mocno przeżyć.

– Jej ojciec nie żyje, a my przed Tartarami uciekamy, już drugi tydzień z miejsca na miejsce, a ona niczym ten kwiatusek ścięty... – załamała ręce i pochyliła na bok głowę, boleściwie, po czym dodała szeptem, gdy Wisława

przysunęła się bliżej: – A może ktoś rzucił na nią czar?

Stara wiedźma się uśmiechnęła.

– Nie... To nie jest to, co myślisz, dostojna pani. Po prostu jest słaba. Musi się uspokoić, ochłonąć, trochę przestać myśleć o nieszczęściach. Najchętniej wypławiłabym ją w wodzie zaprawianej dziurawcem i bożym drzewkiem, ale damy rosołu i na rano będzie w pełni zdrowa. Tymczasem wzmocnimy ją czym innym. Aniu, pomóż mi.

Wiedźmy zakrzętnęły się przy ogniu, coś tam gotując i dosypując, aż zapachniało ziołami. Za jakiś czas dziewczura podeszła do wojewodzianki z małym kubkiem nieznacznie dymiącego wywaru i drewnianą łyżeczkę. Z tej łyżeczki dawała pić chorej.

– Wypij, pani, a przyjdzie ci ochota na jedzenie – mówiła łagodnie. – A gdy zjesz, zaraz poczujesz się silniejszą.

Gertruda piła grzecznie, póki na nią patrzyły ciotka i stara wiedźma, ale gdy te zajęły się radzeniem nad tym, czy proboszcz poświęci kurkę na rosół lub choćby ze dwa gołąbki, szepnęła do Anuchy rozkazująco: – Pochyl się do mnie i coś mi poprawiaj. Nie odwracaj się.

Młoda wiedźma, bardziej zaciekawiona niż zaskoczona, zrobiła, co kazano, a wtedy usłyszała: – Musisz mi pomóc, jak pomaga niewiasta niewieście. Nie pożałujesz. Tu masz trzy denary starej wagi, dobre, bardzo dobre srebro. Tylko daj mi coś, zadaj na... sama wiesz, na co.

Anucha wyprostowała się nieco za szybko, co Gertrudzie się nie spodobało.

– Ani się waż mnie zdradzić – syknęła. – Pomóż mi, a ja ci pomogę, na ile potrafię. Przecież wiem, że umiesz.

Dziewczura w jednej chwili zrozumiała, co dolegało chorej, a trzeba nam wiedzieć, że ciotka nieraz troskliwie upominała podopieczną.

– Przeciągi są groźne – ostrzegała. – Nie stój w przeciagu. Uważaj na siebie, bo jeszcze coś cię zawieje!

Ta jednak nic a nic nie słuchała i jak na złość, stała w przeciagach.

No i masz, wykrakała stara ciotka.

Ślepy traf chciał, że złośliwy wiatr tak udatnie zawiął, że wojewodziankę zapylił, a teraz śliczna jak z rycerskich opowieści Gertrudka domagała się ni mniej, ni więcej, tylko tego, żeby wiedźma Anucha ulżyła jej w potrzebie – że zada środek, od którego może i ubędzie jakieś niewielkie życie, ale przywróci spokojność o wiele większej, choć niezbyt dużej, dostojnej damie. Czego by nie mówić, młoda wiedźma zrozumiała to, jak należy, bez tłumaczenia.

– Idź, dołóż zioła, jakie trzeba, a ja wypiję wszystko, a nawet więcej – mówiła chora. – Nikt niczego się nie domyśli, nikt się nie dowie. Pięć denarów, dla ciebie majątek, i wdzięczność dozgonna kogoś takiego jak ja. Przecież jesteś mądra. Na pewno niejednej już pomogłaś. Pomożesz? Proszę... – szepnęła

Gertrudka, a ogromne łzy stały w wielkich oczach.

Anucha zmartwiała. Bez słowa odepchnęła wciskane srebrniki. To grzech... To wieki, straszny grzech, myślała. Te słowa cisnęły się także na usta, ale ich nie wypowiedziała. Odeszła.

Powróciła do łoża chorej dopiero na rozkaz Wisławy, podała kawałek piezzonego mięsa i chleb – świąteczne, wielkanocne jedzenie. Wojewodzianka baczenie przyglądała się wszystkiemu, patrzyła na ręce dziewczury i nic już nie mówiła. Jadła, co jej dawano, popijała tym, co przyrządzono.

Na podwórku splakany Biały przyświecał pochodnią Czarnemu, co odzierał z pierza dwa niewinne gołąbki. Piekielnik podrwiwał sobie z anielskiej łagodności: – Czego beczysz? To dla chorej. Nie widzisz, jak cierpi? A jaka z niej piękność. Jakbyś ty albo ja tak leżał niemocą złożony, to by nikt nam gołąbków nie dawał. Mordy za brzydkie. – Tu spojrzwały na niego głęboko zdziwione, splakane oczy, wyjaśnił więc: – Tak, tak, twoja też. Nie możesz za to się gniewać, taka prawda. A ona? Widziałeś, piękna. Widziałeś?... Jak anioł! – Zakończył z szeroko rozwartymi oczami i ze śmiertelną szczerą powagą.

– Ale coś mi nie wygląda na cnotliwą dziewczeczkę – zachnął się wysłannik niebios. – Myślę, że udaje.

– Do kroćset... – Tu miała paść zbitka brzydkich słów, ale Czarny zakończył inaczej, niżby potrzebował: – Czy ty, Pietrek, nie zrobiłeś się przypadkiem zanadto nieufny? Gdziez twoja niebieska naiwność? Gdzie wiara w człowieka? Sam mówiłeś, że ludzi można zrobić lepszymi, jeśliby z nimi lepiej postępować. To i damy te dwa gołąbki do wywaru, będzie rosółek, ona się napije i zrobi od niego lepszą. A gdy najdzie ją ochota, bo poczuje, jak smakowicie przypiekamy gotowane mięsko, to je posolimy i damy pieczystego. Zje, wtedy zrobi się całkiem dobrą, bo będzie jej dobrze.

Anioł nie zezłościł się na to. Posmutniał i zwiesił głowę.

– Ona chce zrobić coś złego, coś bardzo złego – wyszeptał.

Niesforny diabeł powiedział na to: – Wiem. Mnie też to nie cieszy, chociaż powinno. Przecież wiesz, skąd jestem.

– Kto wie, czy teraz nie namawia innych do złego.

– Namawia. Możesz mi wierzyć.

– Co to będzie? Czy oni tak muszą? – zapytał Biały bezradnie.

Czarny wziął pochodnię z rąk towarzysza, opalił dwie tuszki z włosków, umył je i westchnął, bardziej z litości nad aniołem niż ludźmi.

– Wiesz, co będzie. Wszystko zależy od tego, czy dadzą się namówić. A teraz bądźmy ludźmi.

Obaj poszli do służebnych, co oparte o siebie spały w sieni, zakryte derkami. Już mieli je obudzić, ale żal im się zrobiło niewiast. Weszli do środka, każdy niósł jednego gołąbka, jakby największy łup, jakby jakiego głuszca targali. Ot, lekka,

diabelska drwina.

Skoro świt wiedzmy wróciły do domu, bo pokrzepiona rosołem i jednym pieczonym gołąbkim wojewodzianka stała na własnych nogach i stanowczo domagała się dalszej podróży. Kupcy i oryle naprawili łodzie i już mogły wieźć do Wrocławia cenne zboże i wino, no i bezcenną pannę. Zanim jednak odpłynęła, ciotka zapytała proboszcza, gdzie w istocie gościli.

– We wsi Zalesie rycerza Dobrosza herbu Rogala – odpowiedział. – Może widzieliście jego syna, bo był jesienią w Krakowie ze śląskim poselstwem. – Uśmiechnął się szczerze i czekał na odpowiedź, bystro patrząc na twarze pań.

– O, jak miło! – powiedziała ciotka nieco zmieszana, chociaż mocno uśmiechnięta.

Gertruda byłaby rada zakończyć rozmowę i iść w swoją stronę. Już miała odpowiedzieć, ale ksiądz uprzedził ją, patrząc przenikliwie.

– Pięknie gada wierszami, ładnie śpiewa. Wojda na niego wołają. Musicie go kjarzyć, bo w zwadzie poranili go niemal w przytomności wojewody Włodzimierza.

– Słyszałam coś...

– Ja też, cioteczko – powiedziała szybko wojewodzianka i dodała: – To było nieporozumienie.

– Być może, być może... Ciężko chory wrócił. Trzeba było go leczyć nie tylko z ran. Jedźcie z Bogiem – proboszcz patrzył bacznie na wojewodziankę, lecz ta tylko zapatrzyła się na wodę i nad czymś głęboko dumiała.

Nie był to koniec rozmów, bo do przystani zawitała jeszcze Bożena. Przystąpiła do niej Gertruda i, trzeba przyznać, wyglądała wtedy dzielnie.

– Pani, chyba nie wiesz, kim jestem. To przy mnie napadnięto na twojego syna, gdy był w Krakowie. Nie dawaj wiary wszystkiemu, co złe języki gadają. Nie za moją sprawą to się działo. Łatwo winić niewiastę za to tylko, że jest.

Zaskoczona Bożena dopiero teraz zrozumiała, skojarzyła, powiązała... Podarunek na drogę wypadł jej z rąk.

– Długo chorzał – wyszeptwała. – Aż jeszcze w grudniu zdejmowali z niego urok.

– Urok? Jaki urok?! – zaskoczona wojewodzianka niemal krzyknęła, ale gdy już raz weszła na obraną drogę, trwała na niej, niezależnie od okoliczności. Przystąpiła więc o krok bliżej i dodała: – Wiedziałam, że był ranny, że skłócili się nasi ludzie z waszymi, ale nic nie wiem o urokach.

Bożena w milczeniu patrzyła na Gertrudę. Ta miała już łzy w oczach, co jak wiemy, bardzo łatwo jej przychodziło.

– Twój syn jest zdolnym i dzielnym człowiekiem. Podziwiałam go i nadal podziwiam. Gdybym go spotkała, chciałabym go serdecznie przeprosić za zniewagę i błagać o wybaczenie. Mnie nie wolno było postępować wbrew woli

ojca, który wtedy nie był wam przychylny. Myślałam, że to płocha zabawa, a obróciło się, obróciło się... w głupią bójkę... Nikt mnie nie słuchał. Nikt! I mnie, słabej niewiasty, użyto jak narzędzia do tych męskich spraw.

Gertruda była całkiem przekonująca, ale w Bożenie nic się nie zmieniało. Dziewczyna uczyniła więc następny krok na drodze przekonania o swej niewinności. Upadła na kolana, schwyciła dłoń Bożeny i ucałowała. Ta chciała wyrwać rękę z uścisku, ale wojewodzianka nie puszczała.

– Pani – odezwała się łagodnie Gertruda – wybacz mi i ty! Pomyśl, co mogłam zrobić? Dostałam opiekę od sióstr, gdzie sama się uczyłam. Czy myślisz, że przypadkowo? A jeszcze mówisz o czarach? Kto i po co miałby to robić w Krakowie? – Teraz wpiła się mocniej w rękę niewiasty. – Tam użyto mieczy, pięści! Ale żeby czarów? Rycerze mieliby czarować?

Bożena nie odpowiedziała, wyraźnie chciała cofnąć dłoń, lecz Gertruda nie ustępowała, bo zauważyła, że gospodyni tych ziem ucieka ze wzrokiem przed jej spojrzeniem. Zapytała więc: – Czyżbyś mnie pani winiła za to? Czy słusznie się domyślam? Nie za moją sprawą tak się stało, zapewniam cię. Czary, uroki, to sprawa ludzi słabych. Ja mam siłę, stoi za mną ród Duninów, godności, bogactwa. Na cóż mi zabawy w zło? Mam siedemnaście lat i pół życia w klasztorach spędziłam. Kiedy i od kogo miałabym się tego nauczyć? W klasztorach?

Na te mocne słowa Bożena zerknęła na splakaną twarzyczkę Gertrudy i jakby słabiej wyrывała rękę.

Bystra wojewodzianka już kuła żelazo.

– Pomyśl sama, dostojna pani, jak wiele czarownic chodzi po świecie. Twojego syna łatwo jest dostrzec: na pół głowy wyrasta ponad ludzi pospolitych, jest silny, piękny i mądry. Niejedna z zawiści mogłaby coś takiego uczynić, niejedna z samej tylko płochości. Niejedna mogłaby się w nim zakochać...

Na te słowa skurcz Bożeny całkiem ustał, co Gertruda natychmiast wyzyskała do cna, mówiąc z przesadą, ale przekonująco, aż sama sobie uwierzyła: – A on, rycerz Wojda, jest czestnym człowiekiem i dzielnym. Nie można go zdobyć samymi tylko wdziękami. Może więc i któraś, gdzieś jęła się aż tak niecnym sposobem, aby go ze sobą związać? Z tym rozumem, urodą, ogładą i majątnością mógłby się ubiegać o córki najmożniejszych ludzi w kraju. Nic dziwnego, że jakaś biedaczka... – tu Gertruda zamilkła, bo wyczuła lekkie zachnięcie u Bożeny. Czyżby trafiła aż za celnie? Zadowolona i nadal żarliwa w mowie, uznała, że już może kończyć prośby: – Moje czyny, a raczej zaniechania, w tym i głupią płochosć, racz pani wybaczyć. – Jeszcze raz pocałowała dłoń niewiasty i nie tyle ją puściła, co dała wysunąć z własnych dłoni.

– Jedź z Bogiem, dziecko. – Bożena cofnęła się o krok. – Nie wiadomo, co nam następne dni przyniosą, ponoć straszną wojnę. Nie chowam do ciebie urazy, a i tak Bóg cię w tym roku doświadczył aż zanadto.

Gertruda wstała, ocierając łzy.

– Dzięki ci, pani, za łaskę. Zostań z Bogiem – rzekła i zaraz podeszła do niej ciotka, objęła i pomogła wejść na łódź. Starsza dama nic nie powiedziała na to dziwne pożegnanie, tylko łaskawie skinęła głową zmartwionej Bożenie, co stało w sprzeczności z jej wczorajszym się uzalaniem.

Naoczni świadkowie niewiele zrozumieli z rozmowy i widowiska rozegranych pomiędzy Bożeną a Gertrudką. W końcu ktoś powiedział pół żartem, że pewnie śliczna dziewoja błagała Bożenę o rękę jej syna, lecz i dla niej te progi okazały się za wysokie. To wyjaśnienie zadowoliło wszystkich, i mimo czasów raczej smutnych, rozbudziło dużą wesołość. Wkrótce w całej wsi sprawę tak właśnie przedstawiano. Ktoś tylko raz przytomnie zauważył: – To, że nie nasza Ania jest jej wybranką, to wiemy, rozumiemy i przyznajemy, sprawiedliwie tak jest. Nawet i ładna jest nasza znachorka, no wszak nie z rycerskiego rodu. Jeśli nawet wojewodzianka, w dodatku śliczna jak anioł, nie odpowiada naszej pani, to zaiste powiadam wam: czy jest na świecie niewiasta godna wyjść za niego za mąż? Czyżby pani Bożena mierzyła wysoko, w córkę księcia?

Z przypadków sercowych Wojdy w Zalesiu powszechny śmiech trwał tylko jeden dzień, bo w czwartek wieczorem z wieży gródka dostrzeżono najpierw na wschodzie, potem na południu dalekie łuny, a od grodu Ryczyn znaki świetlne. Skończyły się domysły i niepewność. Piekło natarło na Śląsk.

STRACH

A Tartarowie są przebiegli

Dosłownie jak niełicha liszka

Jak sowy myszkę by dostrzegli

A wężą jak cesarskie psiska.

Nie był to popłoch. Kmiecie z Zalesia uznali, że domostwa nie najlepszą będą ochroną na wypadek wojny, wały okalające wieżę, co wszystko razem

nazywano Gródkiem, też wydawały się za liche. Tedy gromadą uchwalili, że odejdą w las, na wielką polanę za uroczyskiem i bagnami, co uczynili najszybciej, jak potrafili.

W Gródku została się nieliczna załoga z parobków i kilku rodzin związanych robotą z rycerskim rodem. We wsi zostało się tylko kilka najstarszych bab i chłopów – oni nie szli na poniewierkę po lasach, bo jeśli mieli umrzeć tam z niewygody, chłodu i chorób, woleli zginąć w swoich zagrodach. Mieli też doglądać pozostawionego dobytku, bo gołębie nie dały się wyłapać, a i kury nie wszystkie. Wielkie kłopoty sprawiały świny – za tymi wyrostki z psami uganiały się po lesie cały piątek, nim zdołały je ogarnąć i doprowadzić na polanę.

Nie tylko najstarsi mieszkańcy wsi zostali w Zalesiu. Został też proboszcz.

– Ja ten kościół stawiałem – powiedział – to jeśli przyjdzie czas, będę go bronił. Jeśli go spalą, to razem ze mną.

Wiedział, o czym mówi. Koło południa z wieży gródka i wieżyczki kościółka widać było dymy. Mówili o nich obaj kościelni, co wspięli się wysoko, przy czym Biały płakał, Czarny zaś jakby się śmiał, ale mówił poważnie.

– Widzę jeden na południu, dwa, trzy... Pięć dymów – z rozpaczą w głosie przemówił Biały. – Połączyły się w jeden.

– Połączyło się w jeden wielki dym pięć mniejszych – potwierdził Czarny. – I rośnie niczym ciemna chmura. Oława płonie.

– Na wschodzie też widać dym. Całkiem wyraźnie. To musi być niedaleko – relacjonował Biały.

– Pewnie kolonia niemiecka... – stwierdził proboszcz.

Na to rozległ się spokojny, rzeczowy głos Czarnego: – Słusznie prawis. Jest wyraźny dym na wschodzie, nawet jego kłęby widać. To musi być blisko. Na zachodzie też są dymy. Już tam nawet palą. Zaraz nas otoczą. – Patrzył jeszcze na zachód, wychylając się, ile mógł, aż jedna noga straciła oparcie i zawisła w powietrzu. Jedną ręką trzymał się czegoś, co z drewnianej wieży wystawało, drugą zaś przysłaniał oczy od południowego słońca i mówił o tym, co spostrzegł w oddali: – Potwierdzam, jest dym. Jest i drugi dym. Skądże on tam? Pietrek przecież o nim nie mówił.

– Janusz, czorcie, przestań się wygłupiać! – krzyknął proboszcz niezmiernie trafnie, aż obu kościelnych przeszedł dreszcz. – Tam giną ludzie, piekielniki palą im dobytek, a ty sobie igry urządzasz. Zejdź, to ci skórę wygarbuję, jakem żyw!

– Za co, ojczu? Wszakże tylko mówię, co widzę!

– Bo gadasz, jak głupi. Nie czas na śmiechy, o ludzkie życie idzie, a ty wszystko czasem robisz na opak. Jak szatańskie nasienie.

– Żebyś ojczu wiedział, też o nim tak myślę – dodał skwapliwie Biały, ale odniósł skutek odwrotny od zamierzonego, bo zabrzmiał jakby Czarnemu wtórował w wygłupach. Nic więc dziwnego, że i jemu się oberwało.

– Ty też szaleju się objadłeś? – Proboszcz pokręcił głową. – Zglupiałeś od niego, czy co? Złazcie stamtąd i wynocha do lasu. Zaraz tu Tartary przyjadą.

– Nie ostawimy cię ojcze! – powiedzieli dwugłosem, aż zdziwieni zgodą, przeto lewie powiedzieli, spojrzeli na siebie z niezwykłą powagą.

– Rozkazuję wam!

– Mamy z tobą ustalone służyć do Świętego Marcina. To jeszcze długo – powiedział Biały, bo Czarnemu wyraz „święty” przez gardło nijak nie przechodził.

– Zwalniam was ze słowa, głupki.

– Ale my od niego nie odstępimy – zaparł się Czarny.

– Rozkazuję wam. Złazić mi, i to już!

– Nie zejdziemy. Będziemy stąd bronić swią... tyńi – z trudem odparł Czarny.

Proboszcz nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać, krzyknął więc, bo musiał: – Jak żyję, takich głupków jeszcze nie widziałem! Jakbym był młodszy, wlaźłbym na górę i tyle dałbym wam pyskować.

– Znaczy się, jesteście bezpieczni – całkiem beczelnie rzekł Czarny i popatrzył w dal, jakby był na morzu i wypatrywał ziemi.

Proboszcz pogroził kościelnym pięścią, na co dostał, powiedziane przez Białego, takie coś: – Pójdziemy stąd, ale tylko z tobą, ojcze. Jeżeli ty zostajesz, to i my zostaniemy.

– Słuchajcie, poczciwe poczwary – ksiądz mówił spokojnie. – Miałem różne sługi w życiu, ale takich jak wy, jeszcze nigdy. Te wasze ciągłe psikusy, ale i zgadywanie życzeń, dziwactwa, ale zawsze wypełnione powinności... Nie wiem, co o was myśleć. Szkoda jednak by was było, boście dobrzy ludzie. Młodzi. W was jest przyszłość. Odejdźcie więc, a ja tu останę. Mój kościół, moje życie. Jeśli ocaleję, wróćcie i dalek będziecie ze mną się droczyć.

– Słyszałeś, co nam powiedział? – zapytał Czarny Białego.

– Słyszałem. Pierwszy raz nam się to zdarzyło.

– Co tam gadacie?

– Że nam się tu podoba – odpowiedział Czarny proboszczowi.

– Ty hultaju! Zawsze będziesz mi w słowo wchodził, nawet gdy śmierć jest za progiem?

– Gdzie? – jakby ucieszył się diabli pomiot.

Ksiądz złapał kamienie i jął nimi ciskać w górę, ale nie trafiał. Wtedy zawołał bezsilnie do Białego: – Walnij go w łeb za mnie, bo ja nie mogę!

Pietrek jednak niczego nie zrobił, jeno odpowiedział: – My, proszę księdza, naprawdę się nie boimy.

Pewnie jeszcze jakiś czas by się sprzeciali z chlebobdawcą, lecz niespodziewanie dla całej parafialnej trójcy z ukrycia wyszedł wikary Przemko: wychudły, wystraszony, ale jakby mniej roztrzęsiony. Chciał żyć, niechybnie!

Proboszcz podrwił sobie chwilę z księżulka, pożał się Panie Boże, ale zakończył dość dobrotliwie: – Głupki na górze, bezumny na dole. Idź ty, kapłanie niewydarzony, na mokradła, do ludzi. Bądź im wsparciem, a przyjdzie do ciebie odwaga. Kto wie, może tam powołanie odnajdziesz i prawdziwym księdzem zostaniesz.

– W którą to stronę? – zapytał żalony miłośnik ponętnych zjaw.

– Tam – pokazał stary.

Wikary się nie pożegnał, podniósł księżą suknię i ruszył biegiem, jakby go coś goniło.

– Szybki jest – padło z góry.

– Potwierdzam. Szybki – proboszcz usłyszał drugi głos płynący z wieżyczki.

Nic więcej nie mówili śludzy nie z tego świata, bo ze wschodniego brzegu Odry usłyszeli nawoływania. Spojrzeli w tamtą stronę i oto co ujrzeli: w wodę wbiegali ludzie – starzy i młodzi, matki z dziećmi na rękach – i szli, póki ich nurt nie zwał z nóg. Krzyczeli coś niezrozumiale, ale każdy by pojął, o co chodzi – chcieli pomocy. Proboszcz natychmiast krzyknął: – Biegnijcie im na pomoc! Weźcie czółna czy łódzie i płyńcie. Ja z wami pójdę.

Obydwaj kościelni zeszli z wieży, wykazując się istic kunią zręcznością. Niedługo trwało, a byli nad brzegiem, gdzie stały rozeschnięte i spękane trzy czółna wyrzucone na brzeg – resztę mieszkańcy Zalesia zatopili w przybrzeżnych wodach, żeby na czas ucieczki ukryć je przed wrogiem – natychmiast spuścili na wodę dziurawe łódki i posługując się złamanym wiosłem i zwykłą deską popłynęli do ludzi. Gdy do nich dotarli, wody nabrało się do połowy, no przecież płynąć się dało, lecz ludzie napani na chybotliwe stateczki, że obydwaj się przewrócili. Trochę więc trwało, nim je podniesiono, nim wylano wodę. Zaraz też zaczęła się bójka, kto pierwszy ma wejść do łódek. Przyszło wtenczas aniołowi pierwszy raz w życiu użyć przemocy, bo inaczej nikomu by nie pomógł, ale gdy już raz jej użył, to tak mu przyjemnie się zrobiło, aż dumny z siebie się zrobił. Zapamiętał miłe uczucie, oj zapamiętał!, a potem bardzo nieszczerze go żałował.

Wreszcie odpłynęli, unosząc ze sobą dwie matki z małymi dziećmi, co płakały po niemiecku.

Dobiec do brzegu w Zalesiu pomógł im proboszcz nie zważając na to, że moczy sutannę, a gdy wysiadali na ląd, jakiś pies, co nie poszedł za swoimi panami, wyskoczył z krzaków i ujadał – wprawdzie niezbyt zajadle, ot, tylko dając znać, że czuwa. Nawet nie trzeba było się opędać. Ksiądz znalazł wiosła i dał je sługom, dał też kawałek sznura i kazał trzeciej czółno przytroczyć i zabrać ze sobą. Popłynęli więc, zabierając tym razem więcej ludzi. Ale to trwało długo, bardzo długo. Tymczasem na wschodnim brzegu narastała rozpacz. Gdy trzeci raz od niego odbijali, zarośli ktoś wybiegł, a za nim wyjechało kilku dziwaczych jeźdźców. Pozostali ludzie natychmiast wbiegli w wodę nie zważając, że mogą

utonąć. Jeźdźcy ruszyli za nimi, usiekli krzywymi mieczami dwoje ludzi, niewiastę schwytały żywcem i wyciągnęli na brzeg, a że krzyczała, uciszyli uderzeniem w głowę.

Uciekinierów zносиło, ktoś tonął, bo krzychał wniebogłosey. Proboszcz szedł wzdłuż brzegu i wołał do płynących, że idzie im z ratunkiem. Pomagali mu niektórzy z przepławionych – nieszczęśnikom podawali drągi, aby szybciej przeciągnąć ich do siebie. Pies złapał górny wiatr, chwilę nad nim się zamyślił, a gdy już ułożyło mu się głowie, jak należy, poniechał Niemców i zaczął szczeakać na wschód, na Tartarów. Ci zaś przeszukiwali wschodni brzeg, znaleźli jeszcze troje ludzi, skrępowali ich, potem sami się ustawili rzędem na stromym brzegu jakby do podziwiania. Słońce zdążyło pochylić się nieco ku zachodowi, byli więc dobrze widoczni w jego blasku. Zmęczony proboszcz i zziązani, mokrzy kościelni popatrzyli na przeciwległy brzeg.

– Jedni mówili, że tamci mają psie pyski, drudzy, że wilcze – ksiądz odezwał się do wtóru psiego ujadania. – A tu nie. Jakies takie płaskie mordy mają.

Przemoczeni ludzie, cudem ocaleni, szparko uchodzili z brzegu, aby dalej od piekielnych jeźdźców. Ci zaś się namyślali, coś tam między sobą poszczekali, nawet się prześmiewali, zsiadli z koni i wyciągnęli z podłużnych sakw przy siodłach krzywe kije, co się okazały łukami, bo zaraz je napięli, zakładając na nie cięciwy. Tego, jak nakładali strzały, stary ksiądz już nie oglądał, bo obaj kościelni zgodnie złapali go pod ramiona i ponieśli ze sobą, ale strzały i tak świsnęły im nad głowami, bardzo, a nawet diablo blisko.

Zatrzymali się znacznie dalej od brzegu, czterdzieści kroków, a ksiądz wówczas powiedział: – Ech, żebym i ja miał łuk! Już ja bym im pokazał, jak się strzela... – i w tej samej chwili strzała przebiła mu fałdę sutanny, nie raniąc jednak.

– To strzałę masz już ojczu. Jeszcze tylko łuk mogliby przerzucić przez rzekę – rzekł bezczelnie Czarny, czym spowodował purpurę na twarzy Białego.

Anielski sługa już nabierał powietrza w płuca, żeby coś powiedzieć, ale sycząca strzała musnęła go piórem w policzek, gdy ksiądz wygrażał pięścią Tartarom, ani myśląc ustępować pola. Słudzy nie czekali więc dłużej, znów złapali staruszkę pod pachy i szybko zabrali za węgiel najbliższej chałupy. Kilkanaścioro Niemców z Kolonii już tam było i szwargotało coś do siebie ze smutkiem i złością. Na to właśnie przyszła dziewczura. Proboszcz, co usilnie myślał nad tym, jakby tu jeszcze raz wystawić się na strzał, lekko oniemiał na jej widok.

– Co ty tu robisz, dziecko? Kryj się – wykrztusił.

– Przyszłam do ciebie. Po ciebie ojczu. Ludzie mówili, żeś został sam. Co tu się dzieje? – Popatrzyła na Niemców.

– Tartary są na drugim brzegu. Strzelają z łuków.

– Tedy uciekajmy na bagna.

– Idź z nimi, ja tu zostaję. Ratuj się. A wy z nią – powiedział do kościelnych

i do uciekinierów.

– Przecież cię zabiją okrutną śmiercią – rzekła na to Anucha. – Nie możesz sam zostać. To choć schroń się do Gródka.

Proboszcz znalazł się na chwilę w innym świecie; twarz mu złagodniała. Przytulił dziewczurę, pocałował w czoło i powiedział: – Dziecko, takie masz dobre serduszko, ale nie rozumiesz. Niczego nie rozumiesz. Ja ten kościół... Stary już jestem, ale nie chcę umierać ze starości. Mam miecz na plebanii. Wejdą, pokażę go im... Nie zawsze byłem księdzem. Synem rycerzy jestem i tak chcę umrzeć, nie inaczej. Z mieczem w ręku, w obronie kościoła.

– Dobry z ciebie człowiek. Zabijałbyś ludzi? – zapytała, ale nie czekała odpowiedzi, bo coś przyszło jej do głowy. Spojrzała w bok, zadumana, i po chwili powiedziała jakby do siebie: – A zresztą... – Odłożyła sękaty, dziwacznie poskręcany kostur, zdjęła z ramienia torbę, do której zajrzała, czegoś szukając.

W zaciekawieniu przyglądano się dziewczynie i rozmyślano, co też ona zamierza, Niemcy z tego wszystkiego przestali szlochać, za to szeptali między sobą szwargotliwie, bo prawdę mówiąc, wielki naszyjnik z czaszek mysich nie każdy nosi, a to dziewczura miała na sobie. Patrząc na nią grzebiącą w wielkiej torbie, spodziewali się czegoś więcej i się nie zawiedli. Młoda, ładna wiedźma wyciągnęła z torby kilka pęków białych grzechotek, co okazały się dziobatymi czaszkami wron i gawronów, po czym przywiązała je do szczytu kostura. To uczyniwszy, wyprostowała się i potrząsnęła kijem. Zagrzechotał.

Wszyscy ucichli, nawet Niemcy, a i pies czemuś przestał ujadać i zaczął się przyglądać, przekrzywiając łeb. Niektórzy ludzie aż powyciągali szyje, aby zobaczyć, co się dzieje. Jedni się przeżegnali; byli też tacy, co splunęli na ziemię. No i się stało, że Biały kościelny patrzył na Anuchę z pożałowaniem, z brwią ściągniętą w oburzeniu, Czarny zaś z życzliwym – albo i nie, no przecież – uśmiechem. Za to ksiądz aż krzyknął: – Ty co? Przyszłaś szatana wzywać? Uciekaj stąd! Niepotrzebne tu gusła!

– Ojczy, nie gniewaj się. Ludzie mnie prosili, żeby obejść ich chudoby i odwrócić uroki. Znają ten zwyczaj. Ktoś tam słyszał, że Tartarowie boją się czarów. Ja tam nie zamierzam czarować, ale to, co jest w zwyczaju, zrobię.

– Wszyscy już zgłupieli! – złościł się proboszcz. – Przyjdzie trochę nieszczęścia, zaraz się modlą, ale i gotowi do pogańskich bogów ofiary pozanosić. Prawie trzysta lat od chrztu, a nadal diabelstwo tkwi w każdej chałupie, przy każdym święcie. Już czasem sam nie wiem, czy aby nie służę za zasłonę dla bałwochwalstwa – mówił to w dziwnej ciszy, a dziewczura nic sobie z jego gadania nie robiła. Wyszła na drogę i zaraz dwie strzały uderzyły tuż obok niej.

– Chowaj się! Łapcie ją! Jeszcze mi tu trzeba, żeby i ją ubili! – krzyknął proboszcz błagalnie do sług.

Ci nie zdążyli jednak niczego zrobić, bo Anucha poszła już w dół, nad brzeg

rzeki. Kościelni wychylili się z zza węgła, co bardziej ciekawscy z Niemców też, a proboszcz wyszedł na drogę wiodącą do przystani. Oto, co zobaczyli: Tartarowie po drugiej stronie wody próbowali bez większego przekonania przepłynąć, ale nurt Odry ich znosił i od razu natrafiali na głębię. Nie wszyscy próbowali, czy wodą da się dojechać do wsi widocznej jak na dłoni. Dwaj krzesali ogień, a gdy skrzesali, znów wzięli łuki tym razem z płonącymi strzałami.

Dziewczura podniosła kostur i nim zagrzecotała. Czy dźwięk dotarł na drugą stronę – wątpliwe, ale usłyszał go ucichły burek, wybiegł na brzeg rzeki, nawet zamoczył w niej łapy, i tak szczególnie zajadle czekał na przybyszów z piekieł, bo nic więcej nie mógł zrobić, że zaraz zawtórowały mu inne psy z gródka.

Dziwne, ale bystroocy zbójcy nie brali dziewczury na cel, choć widzieli ją doskonale. Widzieli też co i czym wyczynia, co dziwnie przypominało ruchy i zabawki ichnich czarowników. Puścili strzały, mierząc nie w czarownicę, ale w kryte strzechą chałupy Zalesia. I tu stało się coś dziwnego. Strzelili przecież w coś, w co nie dość, że łatwo trafić, to na dodatek nigdzie toto nie ucieknie, ani nawet uniku nie robi, ale gdy te strzały leciały w górę, psotny wietrzyk zepchnął je nieco w bok tak, że uderzyły zaledwie o brzeg, o dobre pięćdziesiąt kroków od dziewczury.

Ta podniosła garść piasku i sypnęła nim w stronę Tartarów.

Napastnicy zdziwieni, spróbowali raz jeszcze. Tym razem tajemnicza siła wbiła ich ogniowe strzały w rzekę, gdzie nawet nie syknęły, szybko pogrążając się w wodzie aż po długie pióra, po czym bujnąwszy jeszcze ze dwa, trzy razy góra-dół, niczym szałwiki, zatonęły, żeby już nigdy się nie pokazać.

Na tym był koniec strzelania. Może jeszcze coś by się działo, ale nad nimi, na wysokim brzegu pokazał się Tartar na koniu, coś do swoich szczechnął, oni mu odszczeknęli, pokazując na wieś i gródek, na co tamten zaszczekał jeszcze raz i pokazał na północny-zachód. Wtedy poniechali niecnych zamiarów względem Zalesia, zabrali się w drogę, wiodąc ze sobą schwytyanych ludzi, i szybko zniknęli za drzewami.

Garstka uciekinierów na zachodnim brzegu odetchnęła z ulgą. Niewiasty pogrążyły się w płaczu, kilku mężów klęknięło i głośno, i szczerze, choć po niemiecku, dziękowało Bogu, a On z pewnością rozumiał. Ksiądz podszedł do uciekinierów.

– Nie możecie tu zostać. Trzeba wam iść dalej, w las albo do pani Bożeny. Ona z gródka się nie ruszy.

Niemcy rozumieli polską mowę... Wybrali gródek, bo co władza, to władza.

Dymy na wschodnim brzegu zrzędyły, na południu też się rozwidniło, tylko na zachodzie nie ubywało, może nawet więcej się pokazało. W miarę upływu dnia przesunęły się na północ. Pod wieczór wymieszały się z narastającym mrokiem, aż

weń wsiąkły zupełnie. W ich miejsce ponownie pokazały się luny.

Anucha dotarła do domu. Na spotkanie wyszła jej Wisława i krzyknęła z wyrzutem: – Gdzieś ty się włóczyła! Ja tu od zmysłów odchodzę z niepokoju, w lesie widziałam sarnę ze strzałą w karku, a ty co? Zaraz ciemno będzie. Powinnam wziąć kija i cię stłuc.

– Byłam w Zalesiu. Ludzie mówili, że ksiądz ostał się sam. Prosili, abym go namówiła, ale został... Tylko dwoje sług z nim jest.

– I co z tego? Chciał, to został. A ja łąkę dookoła, szukam. Nawet na polanie byłam. Mówili, że dokąś poszłaś, ale nie, że do księdza.

– Stary Jaroń mi powiedział.

– Aha... No tak, z nim nie gadałam... – uspokoiła się nieco stara, ale zaraz dodała: – To było choć powiedzieć, wiedziałas przecie, że tu jestem.

– Nie po drodze mi było. Myślałam, że zdążę, ale zeszło, czas tam zmitrężyłam.

– Więcej tak nie rób – ofuknęła jeszcze stara i na tym skończyło się łajanie, a zaczęła opieka: – Pewnie głodna jesteś? Kasza ze skwarkami jeszcze ciepła, a gdy zjesz, pójdziemy do ludzi.

Dopiero w czasie jedzenia dziewczura opowiedziała o tym, co widziała w Zalesiu. Stara wiedźma była pod wrażeniem.

– Widziałas ich? Naprawdę widziałas Tartarów? Jak wyglądali?

– Dziwnie. Mali, krępi, z wielkimi głowami, jakby wszystko mieli krótsze i okrągłe, spłaszczone, tylko czapki spiczaste. Nawet ich konie są mniejsze, jak koniki kmieci na wielkość, ale trochę zwinniejsze, szybsze, kudłate. Wszystko u nich niby podobne do naszego, ale udziwnione. Ot, choćby miecze. Ich są krzywe.

– Takimi da się bić?

– Chyba... Przecież zawsze zwyciężają. Mają łuki, też inne niż nasze. Trochę powyginane, ale bardzo donośne. Przez rzekę przestrelili, aż do chałup doniosło.

– Strzelali do ciebie?

– Wcześniej strzelali do Niemców i proboszcza, ale nie trafili. Do mnie nie strzelali. Zapalali strzały, żeby puścić z dymem wieś. Dziwne, mateczko, tylko odczytałam na ich oczach urok na wiatr rzucany, a strzały daleko chybiły. Potem ich wódz albo goniec kazał przestać i odjechali.

Stara myślała chwilę, po czym powiedziała tak: – Jeśli widziałam postrzeloną sarnę... Krew miała co prawda już zaschniętą... Ile mogła przebiec? Nie poszli jej śladem... Z drugiej strony nie przekroczyli rzeki, nie poszli za ludźmi, co im uciekli. Co to znaczy? Skoro tu nie gonią zwierzyny, a tam ludzi...

– ...nie potrafią iść po śladzie? – dopowiedziała Anucha.

– Nie wierzę, córeczko, choć bym chciała. Oni ponoć nigdy nie wchodzą pod dach, cały czas żyją pod gołym niebem, nie sieją, nie orzą, chowają bydło, konie

i łowią zwierzynę. Na pewno umieją chodzić po śladzie, na pewno. Co też chyba ci kupcy opowiadali na jesieni. Nie, to niemożliwe, żeby chcieli wypuścić z rąk zdobycz. Miałaś, córuś, wiele szczęścia albo Pan Bóg czuwa nad tobą.

– Zalesia przecież nie ogarnęli. Jakby ominęli wszystko.

Wisława myślała czas jakiś, zachmurzona, zmarszczona, a gdy twarz jej się rozjaśniła, rzekła prawie radośnie: – Bo ominęli! Dobrześ powiedziała. Oni się spieszą. Inaczej mają niżli nasze wojsko, co widząc wieś, przy niej się zatrzymuje. Obcy mają rozkazy jechać dalej, nie opóźniać pochodu. Nie udało się tu, trudno – starucha rozmyślała głośno. – Nic ich nie obchodzi mała rzecz. Mają ważniejsze zadanie. I tak dużo spalili. Dymy i łuny widać dookoła. Pożarów mogą mieć dosyć.

– Jakie mają zadanie?

– Wrocław. Tam idą!

– Może chcą dopaść nasze wojsko? – Dziewczurze serce zadrżało.

– Tak – przeciągle odpowiedziała starucha – to chyba też.

Niewiasty, pogrążone w niezbyt wesołych myślach, zabrały toboły z jedzeniem, torby z ziołami i maściami i poszły w stronę polany za mokradłami. Uszły może dwieście kroków, gdy przyszło im wejść na piaszczysty pagórek, gdzie wytrwale trzymało się kilka dużych, pokrzywionych sosen. Stamtąd był widok na okolicę. Stara poprosiła, aby Anucha weszła na drzewo i rozejrzała się po świecie, mimo że już ciemno było coraz bardziej. Odrzuciwszy torby i toboły, dziewczura niczym wiewiórka wspięła się więc na wysoką gałąź i usadowiwszy na niej bezpiecznie, tak się złożyło, twarz miała zwróconą na południe.

– Co widzisz? – dopytywała Wisława.

– Od Oławy i Ryczyna nic nie widać. Ciemno.

– A od Zalesia?

– Też nic.

– Bokiem minęli Zalesie, boby je niechybnie spalili. Popatrz jeszcze na zachód.

– Na zachodzie zorzę po słońcu widać, to ja nie wiem. Dymi się coś. Ale... zaraz...

Nieco bardziej na północ od słonecznej zorzy ujrzała dziewczura wyraźną, rosnącą łunę, potem drugą, trzecią, a za nimi poświatę.

– Dlaczego nic nie mówisz?

Dziewczura zesła w milczeniu z drzewa. Płakała.

– Pałą wszystko na drodze do Wrocławia, coraz więcej. Chyba karczmę Pod śliwką i wieś już spalili. Nie wiem, czy i Wrocław nie płonie... A on... Gdzieś tam właśnie jest.

Wisława patrzyła na Anuchę chwilę, czując, że powinna się odezwać. Co w takiej chwili powiedzieć mądrego?

– Skoro pali się już nawet Wrocław, musieli nas ominąć całkiem –

postanowiła uporządkować zebrane właśnie wieści. – Przecież nie idzie ich sto tysięcy, jak ludzie głoszą. Mniej ich, lecz trzymają się razem. Dziwne, że po obu stronach Odry idą... Przecież mógłby ich ktoś pobić, jakby wojsko razem się zebrało... No, ale o to niech się martwi książę albo król czy cesarz. Nie nasze w tym głowy... Pójdźmy do domu. Nie ma co włączyć się po lesie. Do nas droga trudniejsza, nie uczęszczana, a na polanę pewnie już wiedzie wydeptany szlak. Jeśli Tartarowie chcieliby szukać ludzi, prędzej trafią na polanę niż do nas. Dlatego wracajmy do domu. Mieliśmy szczęście, że nas ominęli.

– A on? – zapytała dziewczura; nie musiała wyjaśniać matce, o kogo pyta.

– Nie wiem – odpowiedziała niezbyt miękko stara wiedźma, chociaż czuła, że chłodny ton głosu zaboli córkę. Cóż, zezłościła się nieco, nad czym z trudem panowała.

Nic nie mówiły w drodze do domu. Anucha, wyczulona na zachowanie matki, słyszała jej myśli. Nie gniewała się, nie złościła, czuła żal; zdawała sobie sprawę, że nie znalazłaby zrozumienia u Wisławy – wiedziała o tym bez słów. Szła cicho, bliska płaczu.

Stara wiedźma zapalała chęcią przeklęcia Wojdy – córki wszak nie przeklnie, użyłaby na nią różgi, gdyby to coś dało, ale nie da – z każdym więc krokiem wzbierała w niej złość. Niedługo aliści ta złość trwała. Gdy milczkiem udawały się w domu na spoczynek, ogarnęła ją litość. Popatrzyła na skurczoną w smutku dziewczurę.

– Klękniemy, pomódlmy się do Boga, żeby twój Wojda wrócił cało z wojny... – powiedziała, przy czym trochę nawet się uśmiechnęła.

Anucha padła w jej objęcia ze łzami ulgi.

– Głupiaś ty, głupi on... – stara westchnęła. – Trzeba modlić się nie tylko o jego życie, ale także o cud mądrości dla was. To może być trudne, bo ileż Bóg wysłuchuje podobnych żądań.

Umościwszy się na posłaniu, dziewczura obróciła twarz do ściany; chwilowa ulga po żarliwej modlitwie była już tylko wspomnieniem. Teraz ogarniały ją uczucia trujące duszę, krępujące myśl. Nic, tylko trwoga o życie, obrazy śmierci. Nie mogą łatwo poddać się strachom, pomyślała, bo nie wytrzymam i pobiegnę w ciemność w ślad za Wojdą.

Wiedziała, że to niczego nie da.

Wyobraziła sobie jego postać, wspomniała drżenie spoconych rąk przy pierwszych spotkaniach i nieumiejętność mówienia, jeśli nie mówił wierszem. Pod zamkniętymi powiekami widziała jego uśmiechniętą twarz; sama uśmiechnęła się do niego w myślach. Aż jej myśl wpadła na wietrzyk upleciony z bez troski i pobiegła w dal – myśl niby smutna, lecz nie pozbawiona dziewczurzej przekory, choć skrupulatnie miarkowanej, żeby już mniej być nie mogło.

Tęsknię mój miły twój widoku

Wypatruję Cię w górze wśród pędzących obłoków

I na ziemi pośród drzew co nigdzie nie idą.

Tyś jest moim bogactwem! I zarazem bidą...

Była zadowolona z tego rzuconego w dal wierszyka, ale za nic nie uśmiechnęłaby się, gdyby Wojda mógł ją oglądać. Odwróciłaby się od niego, zakręciła za czymś, schowała twarz. Teraz mogła sobie pozwolić na to; nieznaczny uśmiezek poruszył jej wargami.

Za chwilę uśmiechnęła się całkiem, bo z oddali przyszła odpowiedź tchnąca powagą, ale i w niej było to coś, o czym dziewczura marzyła.

Tęsknię moja miła z tobą przebywania

Smutnego uśmiechu, wesołego zerkania

Czy to jawa, czy sen – tęsknię bezustannie

Bom jest tylko dla ciebie. A ty – tylko dla mnie.

TEŚKNOTY

Tartary idą wiatru tchnieniem

Niosą się deszczu siwą chmurą

Chmury nie schwytasz w żadne sieci

Wiatru nie wstrzymasz żadną górą.

Wrocław płonął, bo tak doradził książę Henryk, co w piątek, zaraz po udzieleniu wielu dobrych rad, dosiadł konia i pojechał do Legnicy. Wojska z ziemi lubuskiej, Wielkopolski i najemnicy z marchii brandenburskiej już tam zmierzały. Sam książę z najszybciej zebraną częścią śląskich wojsk stał pod Wrocławiem, niejako osłaniając Legnicę, licząc jeszcze, że nadciągnie czeski król, co słał zapewnienie za zapewnieniem, że już idzie. Ale nie on nadchodził, jeno Tartary.

Wszystko teraz działo się za szybko, a jeśli wieści przychodziły, były złe. Ponury, zawistny okrutnik, książę mazowiecki Konrad, odpowiedział, że nie ruszy ze swoich dziedzin, bo obawia się najazdu – przecie Tartarowie napadli na jego granice łączyckie przed dwoma tygodniami. Na nic się zdała propozycja Henryka, który byłby niezmiernie rad, gdyby Konrad z wojskiem uderzył na tyły Tartarów, jeśli ci ruszą na Śląsk, przy czym ze swojej strony obiecał, że sam na nich uderzy, jeśliby najeźdźcy obrócili się na Mazowsze, ale Tartarowie oddalili się od Mazowsza, Konradowi więc na nic były takie układy. Kłopoty Henryka zawsze sprawiały mu przyjemność, a usłyszawszy o śląskich pomysłach, tylko drwiąco się uśmiechał, o czym doniósł zdrożony do nieprzytomności posel.

Książęta z północnej Wielkopolski myśleli podobnie. Pogniewani na zajęcie większej części ich dziedzin jeszcze przez Henryka Brodatego, wyłgali się z pomocy, bo niby to na nich Tartary poszli, chociaż wiedzieli, że najeźdźcy całą siłą obrócili na Śląsk. Dlatego również bezpieczni Odonice ani myśleli ruszyć z pomocą.

Margrabia brandenburski wytłumaczył się brakiem ludzi, bo wysłał przymusowy oddział do Italii, na pomoc antychrystowi w walce z papieżem. Może i wysłał, lecz ciągle żywił do Henryka niechęć za sromotne pobicie przed kilku laty. Tyle zrobił, że pozwolił, aby kto chce, zaciągnął się za opłatą do śląskiego wojska i przepuszczał ochotników oraz krzyżowców do wojny z Tartarami.

Dostojnicy z Łużyc powiedzieli zaś, że ich pierwszym sojusznikiem jest czeski król i jeśli ruszą z pomocą, to tylko z nim.

Tak więc książę Henryk Pobożny pozostał tylko z tym wojskiem, co je już miał w swych śląskich, lubuskich i wielkopolskich dziedzinach.

W tym tylko jedna dobra wróżba na przyszłość się przydarzyła. Mieszko Otyły, książę opolsko-raciborski, pogromił kilka oddziałów Tartarów, ale musiał uciekać przed ich głównymi siłami. Uciekał na tyle szybko, że nie dał się ogarnąć. Jednocześnie słał gońca za gońcem do Henryka najpierw o wsparcie, dzięki któremu niechybnie pogoniłby nieprzyjaciół aż na Ruś, potem z gorącymi pytaniami, gdzie ma się stawić i czy nie wyszedłby mu jego umiłowany opiekun na

spotkanie. Choć Henrykowi wcale nie było do śmiechu, na wieść o poczynaniach niesfornego krewniaka, co najpierw chciał sam zawojować świat, a teraz chętnie skryłby się pod skrzydła kwoki, uśmiechnął się – prawdą jest to, co ludzie prości mówią: jak trwoga, to do Boga. Księżę westchnął i wysłał wieść do księcia Mieszka, aby jego wojska szły nie na Wrocław, lecz Legnicę.

W piątek rano sam zarządził odwrót spod Wrocławia. Żegnało go kilku dostojników, których nie zabierał ze sobą, i garść rycerzy nie nadających się do walki w polu. Na ich czele stał przeor dominikanów Czesław Odrowąż, zachowujący spokój, jakby nic się nie działo, a przecież niczego nie wiedział o swoim bracie Jacku. Domyślano się, że Kraków padł, bo co Tartarowie robiliby na Śląsku, gdyby było inaczej?

Księżę i jego wojsko opuszczali Wrocław, co nikogo nie nastrajało do radości. Tylko Czesław był spokojny. Nie uszło to uwadze księcia, który już konia dosiadał, ale jeszcze zdążył zapytać: – Ojczy, nie ogarnia cię trwoga, jak tych wszystkich ludzi, co mi złorzeczą, bo ich wydaję na pastwę wrogów? Że uchodzę z biskupiego miasta do swoich włości? – mówiąc to, zerknął wymownie w stronę biskupa Tomasza, który nie mógł się doczekać, aby wejść na koń i odjechać, bo mu kolczuga ciążyła.

– Czegoż mam się lękać? – odpowiedział Czesław. – Mówią o nich, że to diabły, ale to ludzie. Brat widział ich w Kijowie, ostrzegął w listach przed nimi, kazał nam działać przede wszystkim na rzecz zjednoczenia kraju. Chcieliśmy, żebyś ty był naszym królem, nie udało się, trudno, za to mamy Tartarów aż na Śląsku.

Henryk uśmiechnął się smutno. Cóż, mamy Tartarów.

– Uważasz, czy raczej ród Odrowążów uważa, że już po nas? – zapytał Henryk, trzymając za łąk siodła. – Koniec świata właśnie nadszedł i nie ma ratunku?

Czesław się zawahał, na co księżę jeszcze odstał od konia i położył obie dłonie na ramionach mnicha. Popatrzył mu przy tym w oczy.

– Być może widzimy się ostatni raz w życiu, ojczy. Powiedz śmiało, dlaczego mnie ten zaszczyt spotkał? Dlaczego ja? Nie Konrad albo Przemysław czy któryś z Bolesławów? Czy Mieszko z Opola albo Władysław, jego brat?

Czesław rozejrzył się po patrzących na niego ludziach, ich oczekiwania nie były wygórowane: ot, jedni chcieli, żeby pożegnał księcia i mogli pójść do swoich spraw, bo groźny wróg nadciąga, innym zaś spieszyło się do Legnicy. I wtedy starego zakonnika opuściło opanowanie. Uklęknął i przemówił łamiącym się głosem: – Wszystkim nam lepiej by się wiodło, gdyby udało się wskrzesić Polskę Bolesławów. Nie ma innego sposobu jak korona królewska. Tak powinno być. Ona zaś przynależna jest komuś z rodu Piastów, inaczej zginiemy ze szczeniem we wzajemnych waśniach. Z wszystkich Piastów, ty panie, jesteś najsilniejszy

i najmądrzejszy, tylko ty masz poczucie obowiązku i godność przynależną królowi. Tylko ty jesteś godzien wskrzesić Polskę Bolesławów. W tym pokoleniu nie ma lepszego. Reszta to głupcy, miernoty niegodne miana książąt! – ostatnie słowa wykrzyczał z żarem, po czym ze łzami w oczach ucałował książęcą dłoń.

Zaskoczony Henryk zrazu cofnął się o krok, ale za chwilę zaczął podnosić mnicha z kłęczek, mówiąc: – Wstań, ojcie. Nie godzi się, byś teraz kłęczał.

Ten stawiał opór i ponownie ucałował książęcą dłoń.

Henryk, nie wiedząc, co powiedzieć, wznosił wzrok ku niebu, a wszyscy poszli za przykładem Czesława i kłękali. Nawet jednoręki rycerz Mojmir, co miał wspomagać obrońców Wrocławia dobrą radą i silnym duchem.

– Ratusz nas, książę! – prosił Czesław. – Nie wahaj się dłużej, użyj miecza dla jedności. Już dłużej tak nie może trwać. Pobij najeźdźców, potem tych, co cię zawiedli, co Polskę zawiedli. Nie wahaj się!

Książę cofnął się jeszcze raz, ale jego zakłopotanie nieco ustąpiło. Z nieśmiałym uśmiechem powiódł wzrokiem po otoczeniu i powiedział: – Wstańcie, bo tego, co nas czeka, nie da się zrobić na kłęczkach. Wstańcie, rozkazuję – powiedział miękko jak na rozkaz, przy czym sam pomógł powstać Czesławowi. A gdy już powstali, powiedział dalej tak: – Zrobię, co mi godność książęca, powinność wodzowska i honor rycerski nakazują. Wiemy, że wróg jest silny. Nie mogę teraz bronić Wrocławia, bo jeszcze nie wszystkie wojska mam ze sobą. Wrócę tu jak najszybciej, potem pójdziemy dalej, na wschód, do Krakowa i Sandomierza. Jeśli trzeba będzie to i do Płocka. Bo tylko w jedności siła, tylko tak możemy wskrzesić królestwo! – Tu książę wyciągnął miecz, schwycił go za ostrze i unosił jak krzyż. Wszyscy zebrani ukłękali ponownie, książę kłękł pośród nich i rzekł uroczyście: – Ja, książę Henryk z rodu Piastów, przysięgam wam, że póki mego życia, będę walczył o jedność Polski i nie ustnę, aż przywrócę blask korony Królestwa Polskiego. Tak mi dopomóż Bóg!

Opuścił miecz, a zebrani przypadali do jego dłoni, całowali też jelec miecza.

– Panie nasz – Czesław kreślił w powietrzu znak krzyża – jedź i czyń, co zamierzyłeś. My tu zatrzymamy Tartarów, jak długo się da, w razie potrzeby nie oszczędzimy życia. Możesz być spokojny, że się nie poddamy, ani w żaden inny sposób cię nie zawieziemy.

– Ostańcie z Bogiem – przeżegnał się wzruszony książę i dosiadł konia.

Orszak książęcy ruszył, połyskując bronią i barwą w słońcu kwietniowego poranka. Czesław błogosławił jeszcze jakiś czas znakiem krzyża oddalających się jeźdźców, po czym zamknął oczy i chwilę stał w zadumaniu.

– Co mamy czynić? – zapytał ktoś po dłuższej chwili.

– To, co radził nam książę. Wszystkich ludzi i zwierzyń, wszystkie zapasy do grodu. To, czego do wieczora nie zwieziemy, spalić. Podgrodzie spalić, żeby belka cała nie została – rozkazywał przeor wrocławskich dominikanów, ojciec

Czesław Odrowąż. – Nie dobędą nas łatwo. Niech sobie pokruszą zęby.

Do książęcego orszaku dołączyło kilkudziesięciu ludzi uchodzących z Wrocławia, w tym również wojewodzianka Gertruda. Dzień wcześniej książę znalazł dla niej chwilę; powiadomił o pewnej śmierci ojca i o żyjących krewnych będących właśnie w obozie pod Legnicą. Zapewnił, że chętnie ją ugości, a gdy zechciała z nim jechać, nie wzbronił tego, jeno ostrzegł, że to nie będzie wygodna podróż, lecz wyprawa wojenna. Gertruda nie chciała być oblegana, wołała więc ruszyć w drogę, zwłaszcza że na tej obczyźnie tęskniła już za widokiem kogokolwiek znajomego. I z tylko sobie znanych powodów chciała się poddać trudom konnej podróży.

Źle ją zniosła, bardzo źle. Pod wieczór szybkiego pochodu niemalże omdlewała z bólu, ale zaciskała zęby, a łzy, co do niej niepodobne, ukrywała przed otoczeniem, dlatego też z ulgą przywitała widok grodu Środa. Z byle powodu czy nawet bez niego warczała na ludzi i to więcej niż zwykle, a żeby sobie ulżyć wytrząsała po twarzy służącą, co zanadto szarpnęła ją przy czesaniu.

Po zmroku wszyscy użalali się nad losem Wrocławia, bo odbijająca się w ciemnym niebie łuna palonego podgrodzia była dobrze widoczna w ciemnościach, a wojewodzianka pomyślała mściwie: Dobrze im tak.

Niewygód ciąg dalszy zaczął się przed świtem, bo książę zarządził wymarsz, a uciekinierzy z Krakowa musieli do tego się dostosować. Dzięki temu koło południa zobaczyli widok, który nawet nieskłonny do radosnych uniesień Gertrudę natchnął nadzieją, że tu można będzie jednak się obronić.

Nad okolicą górował kamienno-ceglany zamek rozległy niczym wawelski, ale znacznie nowszy. Miasto również było obwarowane nie wałami, lecz murami. I wojsko, mrowie wojska, więcej niż miał jej waleczny ojciec.

Obóz pod Legnicą był rozległy, mimo to oboźny dobrze się spisał: wozy zatoczono w krąg, szałas i namioty rozmieszczono równo, konie pasły się kilkoma stadami na pastwiskach, niektóre poły się w rzece pod opieką ciurów. Wszędzie stały silne, piesze i konne straże. Do obozu wjeżdżały wozy pełne dobytku, wyjeżdżały zaś puste, co dowodziło, że to nie tylko okoliczna ludność ucieka przed najazdem, lecz mądry zarządca zapewnia wojsku strawę.

Za sprawą takich widoków Gertrudzie na chwilę przeszły bóle i z dużą ciekawością przypatrywała się obozowej krzątaninie, gońcom wysyłanym przez księcia i przyjmowanym bez zatrzymywania, rozkazom wydawanym pewnie i śmiało. Tak, tu mogła bezpiecznie odpocząć. Na tę myśl uśmiechnęła się do ciotki i sług. Ci zaś przyjęli ów zbytek łaski z nieskrywaną podejrzliwością.

Książę sam myślał o wszystkich sprawach: wysłał sługi i do Sulisława, i do Gertrudy, żeby stryj z bratanicą mogli się spotkać.

Na wieczór zarządził jeszcze popis wojskowy na błoniach przed Legnicą.

Rycerstwo stało w szyku na rozległej łące nieopodal Kaczawy. W drugim

szeregu śląskiego hufca, pośród kilkunastu ludzi ze znakiem Rogala, zaraz za ojcem, na koniu siedział Wojda. Serce w nim rosło na widok tyłu zbrojnych. Mógłby przysiąc, że było ich z dziesięć tysięcy, chociaż ledwie osiągnęli dwa. Czekali dosyć długo, umilali więc sobie czas pogaduszkami.

– Dałem jej pięć denarów – któryś giermek kończył opowieść o tym, jak to był u czarownicy ze Złotoryi, co przyszła z tamtejszymi kusznikami. – Siedzę w tym szałasie, ta niby nic, tylko węgielki rozpalila i posypała na nie zioła. Co ja mówię – zioła! Patyczki połamane! To myślę, że trzeba będzie złapać ją za grdykę i odebrać pieniądze. Lecz ta dała mi powąchać te patyczki. Uwierzcie, jakby mnie kto młotem w łeb zdzielił. Zrobiło się czarno, acz przestronnie, jakbym nie w szałasie był, tylko w głębokiej grocie. Chłód mnie owionął. Czarownica szwargotała coś po niemiecku. Patrzą ci ja na nią, a ona robi się inna, młodsza jakby, z włosiem rozcapierzonym, czarnym i ze ślepiami też czarnymi. A przecież siwa!

– I co z nią zrobiłeś? – zapytał ktoś niecierpliwie, na co ozwały się domyślne chichoty.

– Co miałem zrobić? – giermek także się zaśmiał. – Wiecie, jak się bałem? Włosy dęba stanęły, że hełm by uniosły, gdybym go wtedy miał na głowie... Zaraz dała mi kawałek pergaminu z dziwaczными znaczkami i powiedziała, że to mnie ochroni w bitwie.

– Musi być silna wiedźma.

– Silna może jest, ale ja srebra mam mniej! – Poddany czarom znów głośno się roześmiał, na co zaśmiali się pozostali.

Po czym giermek imieniem Witosza, herbu Rogala – tego samego, co Dobrosz i Wojda – powiedział: – Jest silniejsza od niej, widziałem.

– Która?

– Ta z Krakowa. Wczoraj przybyła do obozu.

I się zaczęło. Towarzysze jak zwykle dobrotliwie naśmiewali się z Wojdy, szczególnie Witosza – kpiarz, co spośród giermków miał najbardziej niewyparzoną gębę i ostry jęzor – który jesienią też był w Krakowie. Tak się złożyło, że teraz widzieli Gertrudę, ona ich również, ale jeśli nawet rozpoznała Wojdę, nie dała tego po sobie poznać, zresztą zaraz otoczyli ją Małopolanie ciasnym kołem i wypytywali o bliskich, nie miała więc głowy do tego, co było kiedyś. Wojda zaś, smutny i tak, posmutniał jeszcze bardziej. Towarzysze, na ogół kpiący z dobrotliwego młodzieńca, tym razem dziwnie powściągliwi, schowali go między siebie i zabrali precz, żeby dłużej nie patrzył i nie myślał o krakowskiej pannie. Myślał jednak, dlatego któryś z kompanów powiedział: – Nie masz czego rozpamiętywać. Zdarzyło się i żadnej twojej winy w tym nie ma.

Teraz, gdy pierwsze wrażenia już przeszły, a w szyku było nudno, zgrywus Witosza rozpoczął: – Wojda! Nie każdy ma tyle szczęścia, co ty. Ujść cało takiej

wiedźmie.

– O czym znów kłapiesz dziobem? – zapytał inny giermek kpiarza, ale nie zaczepnie, bardziej zachęcająco.

– Jak to o czym? Czy któremuś z nas najpiękniejsza dama w Polsce dała wstęgę, choć, jak wiecie, jesteśmy naprawdę tego godni? Jemu dała. W dodatku, wcale o to nie zabiegał, przyjechała do niego aż tu, do obozu. Która z waszych wybranek poważyla się na to? Ta, sami widzieliście, co prawda jeszcze chudsza niż wtedy, ale nie mniej urodziwa. I do kogo przyjechała? Nie do nas.

– Jak to do kogo? – któryś niby się obruszył. – Nie do Wojdy, do swoich, do Sulisława!

– Do jakiego Sulisława? – upierał się Witosza. – Wszak nie Sulisław jej w głowie. Po pierwsze, dla niej już za stary, widzieliśmy w Krakowie, i tu chyba nic się nie zmieniło, że ona wyraźnie woli młodszych. Po drugie, krewny, co więc jej po nim? Po trzecie, nie mówi tak pięknie jak milczek Wojda.

Chichoty przebiegały szyk, Wojda się zarumienił, co towarzystwo jeszcze bardziej zachęciło. Któryś zaraz rzucił: – Witosza, ona jednak nie o Wojdzie myślała, kiedy tu przybyła.

– A o kim?

– Nie o nim.

– To o kim?

– Nie wiem, o kim, ale gdyby myślała o nim, to na niego by patrzyła. A przecież przejeżdżała... ile od niego?... pięć kroków, dziesięć?

– Siedem, liczyłem – pochwalił się inny.

– No właśnie, siedem. Jak tu jesteśmy, wszyscy wówczas byliśmy tam i patrzyliśmy. Tylu ludzi się gapi, sprawdza, mierzy każdy krok, a ona nic. Nie zerknęła nawet na nas, co więc tu dopiero mówić o Wojdzie. Przecież jesteśmy piękniejsi od niego.

Parsknęli śmiechem, a gdy już się wyśmieli, Witosza westchnął: – Co prawda, to prawda. Nasz Wojda nie powinien stawać w szranki, jeśli idzie o urodę. Dlatego w tym, że na niego nie patrzyła, nie ma nic dziwnego, ale że nas nie widziała, to naprawdę dziwne. Coś musiało się stać.

– Mało to się stało? Tartary, wojna, ojciec poległ...

Na to niespodziewanie poważnie odpowiedział Witosza: – Gdyby tak się stało w zwykłej rodzinie, ot, nie mówię, że w mojej, ale choćby w rodzinie Wojdy, wybacz zacny rycerzu Dobroszu.

– Wybaczam – odpowiedział rozbawiony Dobrosz.

– ...to można by mówić – ciągnął kwestię Witosza – że wiele się stało. Wasze siostry, narzeczone czy żony byłyby pewnie zrozpaczone, pogrążone w żałobie, moja siostra też by płakała, nawet po mnie, ale ta... Nie wiem, czy ją to wzrusza, czy smuci coś innego. Pewnie zadowolona ona nie jest. Z daleka od

majątności, na łasce obcych. Tak, to ją martwi, ale czy coś więcej?

– Po co aż tu przybyła?

– Czy ja wiem? Wojdę pytajcie, on poznał najlepiej.

– Wojda, co ty na to?

– Gównu – Wojda wreszcie się odezwał całkiem ponuro.

– No i od Wojdy nie dowiedcie się niczego więcej, bo już przydział gadania na dziś wyczerpał – stwierdził wtenczas Witosza. – Ale ja wam powiem. Z tego, co widziałem w Krakowie, wnoszę, że ona szuka miejsca, gdzie byłoby niewiele, gdzieś tak kilka tysięcy rycerzy, którzy by ją chcieli podziwiać. Żeby miała na kogo czary rzucać. Wejdźcie w jej skórę na chwilę i wyobraźcie sobie, że podziw jednego człowieka to prawie nic, ale tysiąca... Gdy wszak tyle oczu patrzy, przez pancerz to czuć. Dopiero teraz jest kogo zwodzić. A ona taka niewinna!

Niby śmiechem skwitowali słowa Witoszy, nie był jednak to śmiech pełną piersią, jakby trochę smutniejszy.

– Ech, już się rozmarzyłem – któryś w końcu powiedział. – A ty, Witosza, wszystko popsuleś.

– Bo ona nie dla ciebie. Za biedny jesteś, no i prostak, niczym Wojda. Ja, to coś innego.

Przeszedł znów gromki śmiech po szyku, ale zaraz go uciszono. Ku uldze Wojdy nadjechał książę w otoczeniu kilku zbrojnych, z chorążym z proporcem, i rozpoczął przegląd wojska.

Książę patrzył na uśmiechające się do niego twarze rycerzy, czasem zatrzymywał się, żeby powiedzieć kilka słów, nawet, co było do niego całkiem niepodobne, zażartował, że wierzchowiec niedoczyszczony albo miecz niezardzewiały od krwi.

Przeгляд zbliżał się ku końcowi, nadeszły jeszcze jedno wojska. Ucieszony Henryk już myślał, że to król Waclaw wreszcie nadciągnął, ale nie... To jego wychowanek, Mieszko, z dwiema chorągwiami jezdnych.

Dobre i tych trzystu ludzi.

Widok, jaki za sprawą przybycia wojsk opolsko-raciborskich miało całe śląskie wojsko, był wspaniały. Książę Henryk przyjął dowództwo od znużonego księcia Mieszka, pochwalił go gromko za waleczne czyny, po czym żołnierze wydali szczery okrzyk na cześć przybyłych. Przybysze byli jedynymi, którzy odnieśli zwycięstwo nad Tartarami, na co wskazywały przywiezione łupy: obca broń i, co dumnie trzymał drugi chorąży, koński ogon na wysokim drzewcu – domyślano się zazdrośnie, że to tartarska chorągiew.

Książę Henryk w uznaniu zasług wskazał Mieszkowi zaszczytne miejsce w szyku – na prawym skrzydle, zatem waleczni rycerze przejechali dostojnie przed wszystkimi hufcami, każdy ich zobaczył. Zobaczył ich więc i Wojda, i zadrżał: wśród przybyszy rozpoznał bowiem, po Półkozicu na tarczy, Pakosława. Na ten

widok bezwiednie ściągnął wodze, aż koń przysiadł na zadzie – ledwie opanował rumaka, ale zamieszanie nie uszło prawie niczyjej uwadze. Więc i Pakosław zobaczył, co się dzieje. I tak spojżenia tych obu się spotkały.

Rozpoznali się, mimo hełmów i kolczug zasłaniających część twarzy. Pakosław najpierw uśmiechnął się drwiąco, potem wykrzywił usta w grymasie pogardy. Wojda tym bardziej się zezłościł, bo niczego nie mógł uczynić: wojsko Mieszka cały czas jechało i już za chwilę Wojda widział tylko plecy krakowskiego wroga, który machał znajomym z ziemi krakowskiej ustawionym w sąsiednim hufcu.

Co prawda Wojda był zły, lecz niewiele to znaczyło wobec szybko nadciągających wielkich wydarzeń. Książę Henryk widząc, jaką siłą rozporządza, zaczął być lepszej myśli. Wysłuchał mszy bez śmiertelnych, czarnych przeczuć, oddał się modlitwom z ufnością, na chwilę zapominając o wojennych kłopotach. Zwłaszcza że tuż przed mszą doszli do niego gońcy z wieściami, że w piątek rano król czeski z siłą liczącą cztery tysiące rycerstwa minął gród Kłodzko i zmierza na północ. Jak to on, ostrożny aż do przesady, pisał:

...Zatem oczekiwał Cię będę mój bracie i Panie tych ziem pod Twoim wielce warownym grodem Niemcza, gdzie spodziewam się dotrzeć nie dalej niż siódmego kwietnia, w niedzielę. Spiesz ze wszystkimi siłami, abyśmy mogli się połączyć ku chwale chrześcijaństwa. Przyślij też wieści o najeźdźcach, gdzie są, jaką siłę mają i co zamierzają uczynić...

Nareszcie, pomyślał Henryk i kazał odpisać dziewierzowi:

Wielce umiłowany królu i bracie. Cieszymy się z Twojej wyprawy, ufamy, że szybko się zobaczymy i wspólnie przepędzimy wrogów nie tylko naszych, ale całego chrześcijaństwa. Nie uważamy jednak, żeby gród Niemcza był dobrym miejscem spotkania. Wróg bowiem, o ile mi wiadomo, dotarł właśnie pod Wrocław. Nie wiem, czy zechce zdobyć gród, ale po nieustannym pochodzie spod Krakowa musi odpocząć, jeśli nie on sam, to jego konie. Tymczasem ja siły musiałem zebrać pod Legnicą, jak najdalej od nieprzyjaciela, co tak szybko następował, że gdybym trzymał się Wrocławia, pobili by moje wojska z osobna nadciągającymi oddziałami. Legnica jest silnym zamkiem i ma przednie obwarowania miasta, przeto zniesie każde oblężenie, a ja ze swym wojskiem mogę się oprzeć o jej mury. Uważam, że powinieneś obrócić kierunek pochodu nie na Wrocław przez Niemczę, lecz na Legnicę przez Świny, tak aby nie iść na gród Środa. Tym samym oddalisz się od Tartarów, a ja będę mógł bezpieczniej wyjść Ci na spotkanie. Oni zaś, barbarzyńcy, będą mieli do przebycia spod Wrocławia równie długą drogę jak nasi. Co do zamiarów wroga, są mi one nieznane, prócz tego, że Wrocław jest miejscem spotkania ich całych sił. Nie uderzyli na Mazowsze i Wielkopolskę, udali,

że tak uczynią. Ich armia liczy, jak donoszą ocaleni rycerze krakowscy i sandomierscy, nie mniej niż osiem tysięcy konnych. Nie da się jednak wykluczyć, że jest ich znacznie więcej, bo wojska łatwo dzielą na ruchliwe oddziały, co rozbiegają się i zbiegają zależnie od rozkazów dowództwa, a o ich zagonach doniesiono mi w jednym czasie spod Krakowa, Łęczycy, Sieradza i Kalisza, i zawsze była mowa o tysiącach wojowników. Co najbardziej niepokoi, to nie ich siła, lecz pewność, z jaką przemierzają nasze ziemie, jakby tu zawsze byli, a przecież dopiero zeszłej jesieni usłyszeliśmy o nich, że naprawdę istnieją. Dlatego proszę Cię, umiłowany bracie, żebyś zechciał przyspieszyć pochód i udał się szlakiem Ci wskazanym. Ja, ze swojej strony, obiecuję wyruszyć z całą siłą natychmiast, gdy tylko dostanę od Ciebie odpowiedź, że moje zamiary popierasz i ku mnie podążasz.

*Twój wielce oddany, Henryk z Bożej łaski, książę.
Legnica, dnia 6 kwietnia roku Pańskiego 1241.*

Po wysłaniu listu na naradzie głównych wodzów książę wyjawiał zamiary dotyczące spotkania czeskich wojsk, co przyjęto z uznaniem. Obiecał też, że po połączeniu sił uderzą na Tartarów gdziekolwiek będą, bo dalej się cofać, oznacza wystawić kraj na całkowite spustoszenie. Spodziewa się ich spotkać pod Wrocławiem jeszcze zajętych jego oblężeniem. Już wiadomo, w jaki sposób wojują – hufce szeroko rozstawiają i strzelają z łuków, część wojska stoi w ukryciu, w zasadzce; często się cofają, żeby dać pozór ucieczki, w istocie rozciągają i rozluźniają szyki przeciwnika i z zasadzek na niego napadają. Jeśli uda się jednak dopaść wrogów przy Odrze, nie będą mieli dokąd się wycofać, a takiego ogromu rycerstwa nie otoczą – wystarczy, że skrzydłowe hufce wytrzymają napór ich zasadzek.

Zgadzano się z księciem. Wobec tego na niedzielę i poniedziałek zarządził dzień odpoczynku. Za to z poniedziałku na wtorek wszyscy mieli się obudzić w połowie nocy, tak by – nim zaświta – wyruszyć na spotkanie czeskiego wojska.

Wojda nie mógł zasnąć po przeżyciach dnia. Znów stanęły mu przed oczami krakowskie wydarzenia z jesieni. Gotował się na przemian ze wstydu, złości, poczucia winy za naiwność, wreszcie i z tego, że widząc Gertrudę, poczuł zadrę w sercu. Niby ją wyjęto, ale rana się odnowiła. Na domiar złego na widok Pakosława uświadomił sobie, że nienawiść, jaką odczuł, nie z samej jego zdradzieckiej napaści wypływała, nie chodziło o upokorzenie u kopyt konia wojewodzianki – Wojda pojął, że zazdrości temu rycerzowi bliskości z Gertrudą, jej spojrzeń, skinień ręką, nie mówiąc o całkiem małych, nieistotnych słówkach.

Teraz, za sprawą tego właśnie uczucia, czy chce, czy nie, rozmienia w sobie na drobne widok panny z Krakowa: oczy wielkie i błyszczące wtedy, a teraz smutne i podkrążone zmęczeniem, usta niegdyś czerwone, teraz blade i spierzchnięte z pragnienia, złote niedawno włosy, dziś mające postać szarych postronków. Widok nie był najpiękniejszy, ale przywoływał piękne wspomnienia. Te wspomnienia nazbyt łatwo przesłoniły obraz dziewczury.

Wojda, gdyby mógł, poszedłby w las i wykrzyczał z siebie niespełnione nigdy tęsknoty, niemożność zdobycia Gertrudy i łatwe wyparcie miłości do Anuchy. Nie mógł jednak donikąd wyjść z obozu, chociażby ze względu na strażę. W obozie zaś, wśród ogromnej masy ludzi, nie było nawet na chwilę sposobności obnażyć którejkolwiek ze słabości.

Rozbity natłokiem myśli zaczął się modlić. Nie tak, jak tuż przed snem, z bezwiednym odmawianiem pacierzy, ale całkiem inaczej, osobiście. Tylko do kogo? Po co Panu Bogu zawracać głowę takimi drobiazgami? Pomyślał o innych świętych, ale i ci wydawali się zbyt poważni albo nie od tych spraw, które leżały mu na sercu. Aż szukanie odpowiedniego świętego zrobiło mu się śmiesznym, zarazem dającym ulgę zajęciem, i wówczas przyszedł na myśl słowa starego proboszcza o Świętym Franciszku. To był niezwykle święty od spraw niby małych, ale dla kogoś tam ogromnych. Zatem Wojda pomodlił się do tego świętego: – Święty Franciszku, zabierz ode mnie niepokój, daj mi ukojenie. Nie chcę myśleć już więcej o Gertrudzie, nie chcę do niej czuć ani miłości, ani nienawiści, bo niczego dobrego z tego nie będzie. Niechże będzie mi obojętną. Jest dziewczyna, Anna, której obiecałem miłość i pamięć. Jeśli ją opuszczę choćby w myślach, stanie się jej krzywda. Nie chcę tego, chcę miłować. Mówią, że ona jest nie dla mnie, ale i Gertruda nie jest dla mnie. Pomóż więc, Święty Franciszku, żebym już dłużej nie myślał o Gertrudzie, bo to jest nie do zniesienia, a za tym, jestem pewien, że może iść grzech. Uwolnij mnie od niego, zanim się stanie. Amen.

W czasie modlitwy dobry, młody wojak z udręczoną głową ścisnął krzyżyk zawieszony na szyi, a mówiąc „amen” puścił go i jego ręka natrafiła na niewielki, zaszyty ręką Anuchy, woreczek z kreciej skóry. Od razu poczuł jakby kamień spadł mu z serca i wreszcie z czegoś się ucieszył. Pożądanie Gertrudy nagle zbladło, za to Anucha stanęła mu przed oczami jak żywa. Uniesiony lekko tym uczuciem, nim usnął, posłał w dal myśl:

Dzisiaj uciekłem tak daleko

Że sił za mało żeby wrócić

Lecz wolałbym po drodze szczeznąć

Niż miałbym miła cię porzucić.

Na co przyszła odpowiedź:
Wróc do mnie choćby z końca świata

Ukój tęsknotę mą niezmierną

Ja czekać będę dni i lata

I zawsze tobie będę wierną.

W niedzielę siódmego marca, tuż przed sumą, opata Czesława Odrowąża zawołano na wały Wrocławia. Musiało dziać się coś groźnego. I się działo. Mrowie Tartarów, podzielone na mniejsze hufce, rozstawiło się wzdłuż brzegów Odry i na wygasłym z pożaru podgrodziu. Między hufcami jeździli gońcy. Wyglądało, jakby mieli zamiar uderzyć na gród, bo część oddziałów zeszła z koni. Ale dlaczego nie nacierali? Na co czekali?

Czesław chciał o coś zapytać kogoś z bliskiego otoczenia, lecz zobaczywszy, że wszystkie twarze zwrócone są w jego stronę równie pytającym wyrazem, poniechał tego zamiaru. Wczoraj wrogowie zrezygnowali z natarcia – uznano, że to za sprawą gorących modlitw i pokazania wrogom lasu krzyży i chorągwi z wizerunkami świętych. Teraz też tak uczyniono, wróg zachowywał się jednak inaczej, spokojniej. Głęboka cisza trwała zarówno po stronie pogan, jak i wśród chrześcijan, przeto Czesław postanowił rozbić ją modlitwą. Klęknął, uniósł wzrok i wznosił ręce, jakby składał starożytną ofiarę.

– Ojcze z nieba, ocal nas od zguby, daj nam siłę, żebyśmy wytrwali w oblężeniu. Oddal od nas śmierć, łagodnymi uczyni cierpienia. Daj odwagę, aby duch w nas nie zwątpił w ocalenie. Wierzymy, że chociaż nas jest garstka, a tych sług piekieł dziesięć tysięcy, z Twoją pomocą, Boże, nie zginiemy. Pokonamy ich, bo prawda, bojaźń boża i miłość muszą zwyciężyć. Amen.

– Amen – odparł nierówno chór głosów.

Czesław zamilkł, ale nie wstawał z klęczek, jeno splótł palce obu dłoni i dotknął nimi czoła. Wtenczas wszyscy, co to widzieli, jedni szybko, inni

z ociąganiem, ukłękneli. Chrząst zbroi oraz szurającego pod stopami i kolanami piasku wszedł w ciszę. Po chwili słychać było już tylko oddechy i daleki płacz dziecka. Nagle, choć na niebie było zaledwie kilka obłoków, zdarzył się błysk wielki jakby od dziesięciu piorunów. Okrzyki zaskoczenia wypełniły powietrze, wielkie poruszenie się zrobiło i na wałach, i za wałami, ludzie poderwali się z kolan.

Świecąca kula nadleciała nad Wrocław, wypełniła miasto oślepiającym blaskiem silniejszym niż od południowego słońca, i zgasła, pozostawiając ludzi na chwilę ociemniałymi. Konie Tartarów spłoszyły się i stojące przed chwilą w wielkim porządku wojsko przybrało postać rozbieganych gromad, co szaleju się najadły. Nie był to jednak koniec wrażeń: jeszcze nie uporządkowały się szyki napastników, jeszcze nie ochłonęli z wrażenia obrońcy Wrocławia, gdy zaczął się głuchy pomruk. Zrazu brzmiał niczym odgłos dalekiego gromu, ale był długi i jednostajnie narastał, aż stał się ogłuszającym hukiem tysiąca grzmotów. Za nim przyszedł podmuch, co obrońcom zrzucił czapki i hełmy z głów, przewracał chorągwie i sztandary, obalił kilka krzyży, ale też setki Tartarów przewrócił z oszalałymi już całkiem końmi.

Przerażeni ludzie skulili się, niektórzy zasłaniali uszy. Czesław pomyślał w pierwszej chwili, że oto odezwała się trąba, aby oznajmić ludziom koniec świata, co go by nie zdziwiło – antychryst wszak na tronie cesarskim, siły piekielne zalewające ziemię, bo przecież nie tylko tu w Polsce, ale i na Węgrzech, wiele grzechów tego świata widocznych gołym okiem.

Trąba nie odezwała się jednak po raz wtóry, nie uderzyły pioruny we Wrocław, nie spadł deszcz kamieni, deszcz ognisty czy jakikolwiek inny deszcz. Znowu było piękne wiosenne przedpołudnie, jedynie ptaki zupełnie zniknęły z nieba.

To nie był znak końca świata. To znak bożej pomocy!

Tak zrozumieli go obrońcy i jednocześnie tak go pojęli napastnicy. Zamieszanie w tartarskim wojsku było ogromne: biegano za końmi, setki ludzi chodziło po omacku, tysiące wrzeszczało do innych, bo stracili na chwilę słuch. Wielu poraniły końskie kopyta, ktoś nawet utonął z koniem w Odrze.

U chrześcijan szybko nastał porządek. Nie musieli klękać, wszak błysk i huk zastały ich już na klęczkach, błogosławili Boga, jak umieli, wreszcie ktoś przytomnie podpowiedział, żeby zaśpiewać, bo kto śpiewa, trzy razy się modli. Zaśpiewali zatem *Chrystus zmartwychwstan jest*, co było najradośniejszym, najszczerzszym wykonaniem tej pieśni odkąd zawitała na ziemi polskie. Bito w dzwony, uderzono w kołatki, jakby znowu, po tygodniu, nastąpiło Zmartwychwstanie.

Gdy pieśń dobrzmiała do końca, zamieszanie wśród Tartarów ustało – ich wojska odstąpiły od grodu. Wtedy Czesław poszedł do świątyni, aby odprawić

sumę.

Po mszy znów do niego przystąpili możni miasta, klękali przed nim, jak przed świętym, łapali za ręce, rosili je łzami wzruszenia, całowali. Niektórzy choć dotykali habitu. Zewsząd słyszał: – Nasz święty mąż, zbawca, dobrodziej, anioł.

– Co się stało? Dlaczego tak postępujecie? – pytał zaskoczony mnich.

Oni nic, dalej go całowali po rękach, do czego wkrótce dołączył tłum szlochający i śmiejący się zarazem, gadający w trzech językach – po polsku, niemiecku i czesku.

– Co się dzieje! – krzyczał już nie na żarty wystraszony Czesław.

– Jak to, co? Nie wiesz? Przepędziłeś Tartarów! – wykrzyczał któryś z księży.

I wtedy ktoś krzyknął: – Ludzie, Tartary uchodzą! Uchodzą! Święty Czesław ich przepędził z bożą pomocą!

Pobudzony tłum napał na swojego zbawcę, omal go udusił, na szczęście znaleźli się w tym zamieszaniu mężowie przytomni i silni. Uwolnili Czesława, powtarzanymi krzykami uspokoili roznamiętnionych ludzi.

Ich święty chciał sam zobaczyć, czy prawdą jest, co wykrzykują.

Nie zważając na kapłańską godność, piastowane stanowisko i wiek, Czesław Odrowąż nie poszedł, lecz pobiegł na wały, podkasawszy uprzednio habit – wokół tułowia wiły mu się trochę śmiesznie dwie wstęgi uroczysej stuły. Za nim i w koło niego biegli inni zakonnicy, mniszkowie i świeccy, ubrani jedni w odświętne szaty, drudzy w zbroje. Czesław niczym młodzik wbiegł po schodach wiodących do machikułów przy wysokim murze, tam wbił się w tłum, co rozstąpił się przed nim nie z szacunkiem nawet, a z najwyższą bojaźnią, jaką zwykle okazywano istotom nadprzyrodzonym. Zakonnik, nieźle już zasapany, dopadł do blanek muru. Mrocзки latały mu przed oczami, mimo to patrzył chciwie, prawie niczego nie widząc. Z boku ktoś mu przeszkadzał, klęczący, napierający prośbą: – Pobłogosław mnie, ojcze. Pobłogosław. Będę żył sto lat, jeśli to uczynisz. Wszak masz moc odpędzania złego.

Czesław bezwiednie pobłogosławił, nie patrząc, bo coś innego myśl mu zaprzętało, a wtedy inni uklękli wokół proszącym półkręgiem. Wreszcie zobaczył: Tartarowie odchodzili, ostatnie szeregi niknęły w dali. Za jego plecami ktoś rozkazywał, aby ludzie się rozstąpili, bo zaraz zepchną świętego męża z muru, a gdy się rozstąpili, sam klęknał.

– Ojcze – zwrócił się do Odrowąza – sprawiłeś cud. To dzięki twej modlitwie ocaliłeś Wrocław. Ocaliłeś nas wszystkich.

Wrocławianie się radowali, dziękowali Bogu, znów biły dzwony, znów warczały kołatki. Wołano: Sława Czesławowi! Cześć mu!, błogosławili mu też innymi słowy, powszechnie wierząc, że to on był sprawcą niezwykłego zjawiska. Tylko jeden człowiek nie podzielał powszechnej radości – sprawca owego cudu.

Rozglądał się, wypatrywał oczy i widział bure ogony trzech oddziałów piekielnych wojsk odsadzone od siebie na ponad tysiąc kroków, znikające równoległymi strumieniami pośród równin i drzew na zachodzie.

– Dlaczego się smucisz, ojcze Czesławie? Raduj się, wrogowie chrześcijan uciekają. To jest ich klęska. Przekonali się, że nie wygrają z Panem Bogiem – cieszyli się ludzie.

Cudotwórca patrzył na nich nieprzytomnie, aż zatrzymał wzrok na twarzy rycerza Mojmira, co wodził w bój całą chorągiew rycerstwa, póki mu ręki nie ucięto przy samym barku, przez co nijak nie nadawał się do walki konnej. Był tu wodzem nie tylko garstki chorego czy poranionego rycerstwa, co zostało we Wrocławiu, ale wszystkich zdolnych do noszenia broni. Właśnie na niego, równie uśmiechniętego jak reszta cudownie ocalonych, spojrział mnich i poprzez radosny gwar zapytał go z mocą: – Mojmirze, znany jesteś z trzeźwego umysłu, chyba w stu wojnach brałeś udział, spójrz więc na Tartarów i powiedz nam, czy tak wygląda uciekające wojsko? Czy tak uchodzi pokonany nieprzyjaciel?

Staremu rycerzowi twarz zmierzchła w jednej chwili. Wszystko pojął i wolałby niczego nie mówić, a musiał, bo wypadało opatowi odpowiedzieć.

– Nie, nie tak wygląda – odparł jakby nieśmiało.

– Czy uchodzące wojsko nie zawraca przypadkiem w stronę, z której nadeszło? – niemiłosierny Czesław nalegał. – Czy zawsze idzie dalej, w głąb ziemi nieprzyjaciela, aby tam szukać wybawienia z nieszczęścia?

– Nie – odpowiedział rycerz, co już był bliski rzucenia się za Tartarami, nawet na pewną śmierć, niż słuchać tych bolesnych pytań.

Padło jednak trzecie: – Jeśli wszak nie uchodzą, to po co tam idą? – I jakby tego pytania było mało, Czesław dodał: – Czyż nie chcieliśmy, żeby tu zostali choć przez trzy dni?

Rycerz zamknął oczy i pobladł. Siwa broda, wystająca znad kolczugi chroniącej szyję, drżała.

– Idą na Henryka – wyszeptał, patrząc pod nogi

Czesław o nic już nie pytał. Uklęknął, złożył dłonie tak mocno, że mało z palców nie trysnęła krew, i powiedział żarliwie: – Boże, miej w opiece swojego pobożnego sługę Henryka, księcia tych ziem. Ocal go, jak nas ocaliłeś.

Nikt nie słyszał tej modlitwy. Trudno było bowiem słowom skierowanym do Boga przebić się przez silny, radosny gwar, który zagłuszał dwóch dziwnie się zachowujących ludzi: zamartwego na klęczkach zakonnika i walącego głową w mur starego, bezrękiego rycerza.

W Legnicy nie wiadomo o wypadkach pod Wrocławiem. Cały poniedziałek ósmego kwietnia wojsko szykowało się do drogi: ustalono porządek marszowy, żeby z brzaskiem następnego dnia wyruszyć na spotkanie czeskich wojsk. Książę Henryk po raz pierwszy od wielu dni, może nawet lat, usypiał w poczuciu dobrze

spełnionego obowiązku. Dostał list od nad wyraz ostrożnego dziewierza Waclawa. Czeski król donosił w nim:

Mam wieści z Węgier, gdzie naszemu bratu Beli, nie bez bożej pomocy, udało się odeprzeć spod Budy sto tysięcy Tartarów. Teraz idzie za nimi w pościgu i ma zamiar wydać im wielką bitwę. Podniesiony na duchu tymi wieściami, nie oglądam się za siebie, tylko podążam spieszenie szlakiem, jaki mi wyznaczyłeś. Obawiam się jednak, że wrogowie, o których mówią, potrafią zrobić trzy pochody w jeden dzień, mogą wejść między nas i próbować pobić każdego z osobna. Przeto upraszam Cię, wyjdź mi na spotkanie z całym swoim wojskiem, abyśmy jak najszybciej mogli z całą mocą uderzyć na wrogów. W poniedziałek, 9 kwietnia, spodziewam się osiągnąć zamek Świny. Zatem nasze spotkanie już niedalekie. Przeto jeszcze raz zaklinam Cię, żebyś wyszedł mi na spotkanie i niczego nie przedsięwziął przeciw naszym nieprzyjaciołom beze mnie. Twój (...)

Wojda poszedł spać w dobrym nastroju. Książę Bolesław Rogatka przywiódł do obozu rybałta o imieniu Sural. Ten nie dość, że pięknie grał na lutni, to jeszcze znał ze sto pieśni z całej Polski. Prócz niego książę kazał do ogniska sprowadzić Wojdę i innych dobrych śpiewaków. Tak oto poniosły się w ciemność wieczora pieśni rzewne i wesołe, podniosłe i sprośne. Młodzi i starzy się śmiali, czasem tęsknie wzdychali, póki nie padł stanowczy rozkaz poważnego księcia Henryka, ogłoszony trąbką, żeby już spać. Usypiając, uśmiechnięty Wojda rzucił w ciemność nocy takie bez troskie posłanie:

Nie wiem miła co przyniosą przyszłe dni

Wyruszamy w ponoć śmiertelne boje

Mnie za Tobą coraz mocniej się cni

I to gorsze zda mi się niżli krwawe znoje.

Na to padła niewiele poważniejsza odpowiedź:

Miły mój! Tęsknota nieustannie daje znać

Że każdy dzień bez Ciebie jest udręką

Chciałabym przy Tobie nawet w boju trwać

Bo z daleka być zda się wprost nieludzką męką.

Kłopoty wojewodzianki Gertrudy brały się z tego, że nie wiedziała, co czynić, a może to, co czyniła, przynosiło niepożądane owoce. Wówczas odnotowano już sposoby, aby tych kłopotów uniknąć. Oto one.

NA KŁOPOTY WOJEWODZIANKI

Gdy siedzą albo leżą, kładą pod siebie kilka palców. Wierzą mianowicie, że tyle lat nie zajdą w ciążę, ile palców pod siebie podłożą. To, co nazywają swoim kwiatem, rzucają na drzewo czarnego bzu i mówią: ty noś za mnie, a ja będę kwitła za ciebie.^{13]} Ale nie było to wszystko, zresztą wiadano powszechnie, że sposoby z palcami i czarnym bzem są bardzo zawodne. Anucha odmówiła Gertrudzie jakichkolwiek sposobów na pozbycie się kłopotów, chociaż znała ich kilka. Nie zamierzała jednak żadnego użyć. Najprostsze były ze sporyszem lub wrotyczem. Nie będziemy o nich jednak mówili.

KSIĘGA CZWARTA

PRZESILENIE

Przytłoczony szykowaniem wojsk, wydawaniem rozkazów i rozmyślaniami książę Henryk spał krótko, ale tyle wystarczyło, żeby śnić. I jakoś tak się złożyło, że ledwie zamknął oczy, ledwie jego świadomość zapadła w błogą ciemność, znalazł się w dziwnym miejscu. Stało przed nim wysokie łoże nie łoże, zbite i splecione z sosnowych bierwion i gałęzi. Wokół mrok. On widział tylko dziwacznie wysokie miejsce spoczynku. Ktoś na nim leżał. Kto? Henryk chętnie by o to zapytał, ale nieznana siła nie pozwalała wypowiedzieć słowa. W dodatku coś go krępowało, przytrzymywało, nie dawało wstać ani się ruszyć. Bezruch był coraz bardziej nie do zniesienia. Książę chciał się rozejrzeć, nie mógł, chciał się cofnąć – też nie mógł. Zewsząd napierała na niego ciemność i tylko łoże przed nim było nieco jaśniejsze. Wreszcie ciemność napała takim ciężarem, że musiał uklęknąć, i wtedy zrozumiał, że to coś przed nim, jeśli jest łożem, to dla zmarłego. Mary!

Po raz pierwszy od wielu lat książę poważnie się przestraszył. Wcześniej, w różnych życiowych sprawach, poczucie obowiązku dodawało mu odwagi. Gdy ten bydlak Konrad uwięził jego ojca – bał się, jednocześnie nawet nie zadrzał w obliczu beczelnych żądań posłów. Uderzyli na niego w bitwie brandenburczycy – też się bał, ale ze spokojem wydał przytomne rozkazy i jeszcze własnoręcznie powalił jednego. Zmarł ojciec, zasmucił się więc niezmiernie, ugiął pod dodatkowym brzemieniem władzy, lecz nie zadrzał, nie zawahał się ani chwili. Teraz jednak, w zetknięciu z sennym widzeniem, poczuł się jak lis schwyty w sidła, co go w ciemnym worze zatłukują kijami, żeby futerka nie popsuć. Chciał się szamotać – nie wyszło. Ani się wyrwać, ani ręką, nogą czy głową ruszyć nie mógł, czuł tylko przygniatanie nieznośnym ciężarem, aż kości trzeszczały.

Książę Henryk II Pobożny obudził się gotów nad sobą zapłakać. Natychmiast wstał i poszedł do kaplicy, żeby pomodlić się o odwagę.

Rozdział 10. Koszmary dziewiątego kwietnia

Niebo jaśniało różowymi zorzami na wschodzie, a z zewnątrz murów legnickiego zamku dał się słyszeć chrzęst i gwar, co niewątpliwie napełniłyby księżną Annę niemiłym drżeniem z koszmaru, który śniła. Niestety, rankiem dziewiątego kwietnia przebywała daleko na północy, w Krośnie, i w żaden już sposób nie mogła zatrzymać męża w bezpiecznym dla niego miejscu. Miała tylko nadzieję, że Henryk zdążył przeczytać list od matki. Jadwiga, uproszona przez Annę, pisała w nim:

Synu mój!

Radzę ci, abyś niczego nie przedsiębrał bez brata Wacława.

Poczekaj na niego w Legnicy, a ziszczą się Twoje zamiary (...)

Henryk dostał ów list, gdy szedł w zbroi do kaplicy. Tam, przeczytawszy go przy świetle świecy, modlił się samotnie i długo, po czym wezwał sekretarza i już idąc, skrybie podyktował naprędce treść zdradzającą lekkie zniecierpliwienie i chęć utrafienia w zapatrzenie nadreligijnej matki na niedolę ludzi biednych. Niestety, wyszło proroczo:

*Kochana pani matko,
nie mogę dłużej zwlekać, albowiem zbyt wielkie są jęki
biednego ludu, dlatego muszę walczyć i wystawić życie
aż po śmierć za wiarę chrześcijańską.^[4]*

Następnie się podpisał i dogoniony przez sekretarza przy schodkach wiodących na dziedziniec, szybko przyłożył pierścień do miękkiego wosku. Dołączywszy do małego orszaku z małą chorągwią ziemi śląskiej, pochylił głowę, wtenczas nie lubiany ze wzajemnością biskup Tomasz osobiście go pobłogosławił. Henryk, nie mówiąc ani słowa do mieszkańców zebranych na krużgankach zamku, odwrócił się i podszedł do konia, a gdy go dosiadał, ukłonił mu się nisko połatany, chudy, łysy posłaniec śmierci, mieszkaniec Trzebnicy, franciszkanin Heribert.

– Przysłużę ci się, książę – mówił szeptem. – Tylko poczekaj na mnie.

Noga księcia na ten widok wypadła ze strzemienia i Henryk z impetem stąpnął na ziemię. Mocno przytrzymał się łęku siodła, dzięki czemu nie upadł. Zebrani zamarli, a on usprawiedliwił potknięcie tylko jednym słowem wypowiedzianym z wysiłonym uśmiechem: – Ślisko...

Po chwili już dosiadł konia sprawnie – nie miał zamiaru czekać na Heriberta – zatoczył truchtem koło po wąskim dziedzińcu i zniknął w bramie. Za nim

pojechało kilkunastu zbrojnych poczty z książęcym proporcem. Wielka chorągiew z czarnym orłem na złotym polu stała przy rycerstwie gotowym do drogi.

Wojewodzianka Gertruda poszła na mury jako towarzyszka żony legnickiego kasztelana, żeby stamtąd oglądać pochód. Właśnie pierwsze promienie słońca rozświetliły wiosenny świat, a obudzone ptactwo śpiewało już na wszelkie sposoby – z mokradeł przy Kaczawie dały się słyszeć miękkie zawijasy zazuli. Nagle śpiew ptaków zgasł, bo zagrały rogi, bębny i trąby, do ich wtóru rozwijały się w długie węże oddziały zbrojne połyskliwe hełmami, ostrzami włóczni i kopii, przechodząc sprawnie w porządek pochodowy – przezorny książę nakazał bowiem, aby wszystkie ruchy wojska odbywały się w pełnym uzbrojeniu zdejmowanym tylko na nocny spoczynek. Lekka mgiełka przydawała widokowi niesamowitości; w niej ginęły szeregi zbrojnych hufców zdając się rozwiniętymi w nieskończoność. Nie minął jednak czas równy połowie mszy, gdy na widnokręgu, właściwie w słonecznej tarczy, w większości zniknęły i jak niedługo miało się okazać – na zawsze. Z nimi znikła rycerska pieśń.

Bez podniosłego nastroju, bo z niemiłosiernym skrzypieniem, połajankami woźniców i rykiem wołów ruszyły tabory. Mało kto zwrócił uwagę, że świecący łysiną, gubiący drewniane chodaki Heribert dopadł jednego z wozów i leżał na nim wyczerpany krótkim biegiem, ciężko dyszący, ale szczęśliwy, że za godzinę nastanie koniec świata.

Nastroje w wojsku nie były złe, chociaż Legnica, jak długa i szeroka, żyła potknięciem się księcia. Wiele niewiast płakało, machało rękoma, krzyczało do znikających w dali mężów, braci i ojców. Po twarzy żony legnickiego kasztelana spływały łzy, ale stała na murze godnie, nieruchomo, poddając się nieuchronnemu. Przecież rozumiała jego i własne powinności. Wreszcie, gdy poraziło ją wschodzące słońce, odwróciła wzrok w stronę krakowskiej wojewodzianki. Na szczęście dla Gertrudy dostojną panią oślepił jaskrawy blask ciepłej gwiazdy, bo inaczej z pewnością dostrzegłaby drwiący uśmiezek pełgający na ustach wielmożnej panny.

POŻEGNANIA

Życie nie słucha ludzkich życzeń

To mrozi zimą to spieka latem

Zaledwie czasem muśnie wiosną

Tak to fortuna rządzi światem.

Czarownica Ania obudziła się z krzykiem w środku ciemnej nocy. Sen był nie do zniesienia. Na soczystej, równiutkiej murawie, takiej jak rośnie przed domem, gdzie gęsi, skubiąc trawka po trawce, pielęgnują równiutki kobierzec, półkolem leżało bezgłowe ptactwo. Różne. Dużo kur, kaczek, gęsi, najwięcej ze wszystkiego gołębi. Mimo poobrywanych czy poobcinanych łbów i łebków, truchła ptasie ruszały się co jakiś czas. Czyniły tak nieprzypadkowo. Gdy któryś ptak zaczynał bić skrzydłami o ziemię, inne z jego otoczenia, jakby zarażone ruchem, zaczynały czynić to samo. Tak rozchodziła się fala trzepotu. Docierała do brzegów leżących stad i wracała, jakby była odbita. A potem znów i znów.

Anucha przyglądała się temu ze strachem i obrzydzeniem. Ptaki próbowały odlecieć, ale coś nie pozwalało im oderwać się od ziemi, bo mimo machania skrzydłami, niekiedy gwałtownego, żaden nie zdołał się przesunąć dalej niż o stopę w bok czy do góry. Czarownica spostrzegła wreszcie, że ptaki nie mają nóg, zamiast nich włosy bezbarwne, grube pajęczyny, co je trzymały w miejscu. Tak, tymi właśnie włosami ptactwo wrosło w ziemię. Krew z poucinanych szyi ciekła kroplami, strumyczkami i zostawiała ciemne ślady na murawie, mimo to skrzydła wciąż biły i biły, jakby z tych zwłok życie nie wypływało.

Młoda wiedźma chciała uciec od przerażającego widoku. Odwróciła się. Tuż za nią leżał wielokrotnie łatany, że nie można było rozeznaczyć pierwotnej jego barwy, worek płócienny, w którym coś się ruszało. Myślała, że będzie to następny ptak, ale nie... Brzeg worka się uchylił, odsłaniając psi łeb – wielki, płaski, z przyciętymi w szpic uszami, pokryty krótką sierścią. Dziewczura zamarła, bo ogromny pies maści brązowej z czarnymi, jak na żbiku, pręgami, wyglądał groźnie. Na szczęście spał, skulony w kłębek. Oddychał głęboko, aż worek się ruszał.

Postanowiła przejść obok niego cichutko, na paluszkach, i postąpiła już dwa kroki, gdy jedno ucho psa zastrzygło, zaraz też wyciągnął mordę spomiędzy łap i otworzył żółte wilcze ślepia. W szerokim niemal na dwie dłonie powoli się marszczącym pysku ukazały się kły. Uszy psa przywarły do łba i rozległ się pomruk, głęboki, gruby, jakby nadciągającej letniej burzy. Ślepia świeciły niczym świeczki, lecz blask nie wystarczał do rozświetlenia przepastnej czerni źrenic. Skóra na pysku przybrała postać ziemi świeżo poradłonej, bo ściągnęła się mocno, sprawiając wrażenie, że odpadnie od kości, a czarne wargi odsłoniły czerwony jęzor z cieknącą śliną. Bydle uniosło się na mocarnych niemal niedźwiedzych łapach i worek zsunął się z jego grzbietu.

Anucha poczuła się słaba niemniej niż dziecko. Nic nie mogła poradzić, gdy psi potwór spinał się do skoku, ale wtedy się obudziła.

- Mateczko! Mamusiu! Jakiż straszny sen miałam!
- Wiem, ale daj mi spać, ja miałam ładny.
- Mateczko, to zły znak. Coś będzie złego. Pomódlmy się za niego. Tyle widziałam zwłok ptasich i psa wielkiego prawie jak niedźwiedź. I krew.
- Dajże spokój – burknęła stara. – Pomodlimy się, gdy wstanę. Pół nocy, a ta się wydziera.
- O jego życie idzie.
- O moje też. Jeśli się nie wyśpię, nie będę miała siły robić. Śpij i daj spać. Panu Bogu teraz głowy nie zawracaj. On i tak wie o twojej miłości wszystko, a nawet więcej.
- Mateczko... – próbowała dziewczura, ale stara odwróciła się gniewnie w ciemnościach i zaczęła chrapać.

Anucha wstała po cichu, uklękła na zimnej polepie i zaczęła się modlić w myślach, opierając czoło na złożonych w pięści dłoniach.

Sen wojewodzianki Gertrudy nie wziął się z niczego, o nie, bo na jawie, w Legnicy, wreszcie spotkała się z Pakosławem. Doznali upragnionych od tygodnia uniesień mających, przez wzgląd na okoliczności, postać pośpieszną i gwałtowną, a przy tym pożałowania godną i mało piękną. Ot, szczepili się w okolicy wychodka, jakby przelotem, żadnych pieszczot, tylko cmoknięcia bez zbędnych słów, szybko uniesiona suknia, rozpięty rozporek, kilkadziesiąt istic zwierzęcych ruchów i stłumione do krwi z przygryzionej dłoni pojękiwania. Po kilku głębokich oddechach nastąpiły pocałunki rozstania zerwane strachem, dawane i brane z nienawiścią do świata. Nic z czułości, której przecież nawet potwory i wilki pragną. Rozstanie było wściekle niemal, chociaż w ciszy całkowitej, aby nikt tej uwłaczającej godności ludzkiej schadzki nie zauważył. Zostało po tym poczucie niespełnienia. Tylko jak dłużej tak żyć?

Czego jednak zabrakło wojewodziance na jawie, dośpiewała sobie we śnie.

Tym razem była w pałacu, w którym na ścianach wisiały kobierce, na nich obrazy zamorskich i morskich światów: wielkie zamki smukłymi wieżami z jasnego kamienia zdające się przebijać rozgwieżdżone niebo, góry z grotami i lasy z dziwacznie poskręcanyimi drzewami, pola uprawne na pagórkach tak stromych, że zdawało się, iż woły i oracze zaraz z nich się zsuną na podłogę, a strumienie raz na zawsze zmieniają w wodospady, co spadną strugami srebrnych zasłon i wsiąkną w kącie komnaty. Dalej wzbierały aż po powalę morza, w nich potwory wielgachne, na morskich falach zaś korabie obwieszane wielobarwnymi tarczami, z żaglami purpurowymi, niebieskimi, żółtymi i w pstrokate pasy, gdzie załogi dzielnie walczyły ze zbałwanionym żywiołem, co go napędzał namacalny palcami, uczyniony igłami wiatr. Raz temu przyglądało się uśmiechnięte słońce, co wszystko pozłacało, kiedy indziej smutny miesiąc, przydający nieco srebrnego blasku zacienionemu światu. Tu mieniły się gwiazdy na ciemnym atlasie, ówdzie

na bławatnym niebie bieleły się pierzaste obłoki.

Gertruda, zachwycona cudami tkanego i wyszywanego świata, zapomniała o żalobie. Rada byłaby zanurzyć się w tej nierzeczywistości, nagromadzeniu piękna i dziwów, bez brudu i choroby. Wreszcie znalazła wymarzony świat i była pewna, że dobrze do niego by pasowała, a postaci innych niewiast psułyby te obrazy. Oglądała dzieła urzeczona i chyba pierwszy raz w życiu nie myślała o tym, żeby mówić, tylko aby patrzeć zachłannie.

Niezwykłe widoki nieziemską ręką uczynione osieroconą wojewodziankę skusiły, aby dotknąć któregoś, posmakować palcem. Wyciągnęła dłoń, ale krajobraz w tej jednej chwili się oddalił, jakby zachęcając, żeby do niego wejść, co Gertrudka uczyniła z prawdziwą ochotą.

Szła po strumyku ze srebrzonych nici. Stopy nurzała w zimnej wodzie i obijała o kamienie. Ludzką ręką świat uczyniony na jej oczach przemienił się w żywy: krzywe sosny zapachniały żywicą, dotknięte, ostro kłuły ciemnozieloną sierścią.

Wyszła ze strumienia. Złocisty piasek ustępował pod stopami. Spojrzała na któreś z drzew, wtenczas niezwykle wielobarwny ptak wydał z siebie prześliczne trele chyba na cześć wojewodzianki. Szła dalej w coraz większym zachwycie, bo dookoła latały nie szare wróble, lecz bajecznie barwne ptaszki. W cieniu drzew zamigotały czarne plamki na płowym zwierzu: pantera szła obok niej krok w krok, kłaniając się, przysmykając oczy i marszcząc pysk w uznaniu oślepiającego blasku urody dziewoi. Gertruda zaśmiała się, a tuż przed nią otworzyła się nie polanka nawet, a łączka nad kamiennym uskokiem, skąd wypływał strumień. Piły z niego wodę stworzenia, z których części nie знаła, bo też nigdy tym się nie zajmowała. Rozpoznała tylko zające i sarny. Wokół łączki rosły drzewa usiane słodko pachnącymi owocami – wprost nie do wiary był ten widok. Rozpoznała jabłka. Czyżbym była w raj?, pomyślała.

Dziwne, w tym jednym miejscu, ta jedna łączka całkiem zielona, bez domieszki innych barw – nie rosły tu żadne kwiaty, choć gdzie indziej wypełniały każdą wolną przestrzeń między drzewami a krzewami, nawet nachylały się nad ścieżkami i strumieniami – z niezwykle soczystą trawą, tak że bardziej zieloną być już nie mogła, zachęcała, żeby na niej się położyć, co Gertruda chętnie by uczyniła, ale nie sama.

Ledwie wyraziła taką ochotę, a już spomiędzy drzew wyszedł postawny, pięknie wystrojony w czerwień i złoto młodzian otoczony stadem wilków i lisów. Kto to?, pomyślało się Gertrudce, ale tylko tak, z ciekawości, bo nieważne kto zacz, ważne, aby był piękny i władny dać twardą, mocną przyjemność w tym ogrodzie rozkoszy.

Przybysz okazał się Pakosławem, co dodatkowo cieszyło. Wiedziała, czego się spodziewać, cieszyła się na to, ba!, marzyła o tym. Teraz, będąc pewną, że mają

wreszcie czas, mnóstwo czasu, i nikt ich nie podejrzy, i nikt nikomu na nich nie doniesie, postanowiła długo smakować to, co najprzyjemniejsze. Podeszła więc do kochanka – słowa, nieodzowne na jawie, tu były zbędne, bo wyrazista myśl wojewodzianki zarządzała bez omyłek całym otoczeniem, inaczej więc niż w podłym, brudnym rzeczywistym świecie. Tu niczego nie musiała tłumaczyć. Mogła milczeć, a wszystko działo się samo. Zatem, tak po prostu, bez jakiegokolwiek zastanowienia brała, co jej od życia słusznie się należało.

Wystarczyły trzy kroki, żeby zmieniona w łasicę okręcała się na Pakosławie, wkręcała pod jego pachy, zaglądała w oczy, jednocześnie tu i ówdzie – zwłaszcza ówdzie – muskała. Jemu nie wolno było się ruszyć, no chyba że coś samoistnie by wstało. Wielki, mocarny, młody rycerz stał zatem, a nieduża, smukła, przepiękna, złotowłosa wojewodzianka w ciasnej, białej jak śnieg sukni z długimi rękawami, suto zdobnej złotem, rozbierała go powoli, od góry, a co odsłoniła kawałek ciała, okrywała go trzykrotnym pocałunkiem. Czasami musiała się wspinać na paluszki, żeby kalinowymi usteczkami dosięgnąć wysokiego celu, ale tylko na początku, potem mogła całować coraz niżej, aż doszła do pasa. Tu, żeby obnażać Pakosława dalej, musiała go rozbroić. Rozpięła pas rycerski i odrzuciła hen; ten, upadając, cicho zachrząścił na trawie. Rozpięła drugi pas, z zawieszonym mieczem i przytroczonym puginałem, co dla niej był równie duży jak dla niego miecz. Po co mu aż trzy? Przecież na słabą niewiastę wystarczy mu jego własny!, pomyślała, owijając broń pasem, a gdy zrobiła z niej jedno zawiniątko, oburącz, bo ciężkie było, odrzuciła od siebie precz.

Oczywiście na tym Gertrudka nie poprzestała. Ściągnęła wierzchnią szatę z Pakosława, został więc tylko w płóciennych portkach i skórzanych nogawicach. Przyznać musiała, że chociaż obiecała sobie rozkosznie powolne zbieranie wrażeń, paluszki zaczęły drżeć z pośpiechu, nie mogąc doczekać się sedna. Nie władnęła już sama sobą, klęknęła i z niemocy, i z przemożnej chęci doznania, co szybko się spełniło.

Na tym jednym doznaniu sen się nie skończył, bo przecież wojewodzianka pragnęła i innych, a miała aż nadto wybujałą wyobraźnię. Nie dała się rozebrać z sukni, bo wyobrażała sobie, że nie całkiem rozebrana jest jeszcze bardziej pożądaną. Dbała jeno o to, żeby – czy pod plecami, czy pod łokciami i kolanami – mieć podściółkę z rycerskiej odzieży, dla wygody, no i żeby trawa nie zbrukała białej sukni.

Żądze Gertrudki zdawały się nie mieć końca. Gdy Pakosław brał ją po raz trzeci, tym razem tak, jak to robi ogier z kłaczą, przypomniała sobie, że widziała wczoraj tego Wojdę, co tak ładnie gadał, a o którym nieraz marzyła. Co szkodzi zamaryć raz jeszcze?, ledwie pomyślała, a Wojda zaraz stanął przed oczami wojewodzianki, patrząc ponuro na jej chędożenie z Pakosławem. Ona zawołała do niego myślą: Chodź tu do mnie, nie poskąpię ci siebie. Tym razem nie pozwolę

wam na zwadę. Zaprowadzę między wami pokój. Weźmiecie mnie obaj naraz.

Niepojęte to było, ale pojękująca z bólu, acz wesoła wojewodzianka, nie umiała zwabić do siebie tego miłośnika, który nadal stał nieruchomo i patrzył jakoś tak dziwnie, przez myśl Gertrudy nawet nie przeszło, że z pogardą. Myślała więc jeszcze mocniej: No, chodźże, póki tamten nie skończy! Przecież jesteś mój i tylko mój! Póki żyjesz, nie pozbędziesz się mnie z serca. Nie wolno ci!

On jednak wciąż się nie ruszył, dlatego wpadła na inny pomysł.

Nie bój się go. On teraz jest w mojej mocy. Tylko przyjdź...

Nie przyszedł.

Gertrudą miotały rozkoszne porywy, opadała głową na ziemię, niby to zatracala się w przyjemności, ale była zła. Klęczący Pakosław oderwał się od niej i przysiadł wyczerpany na piętach, ona zaś, drżąca, ale nienasycona, powoli wstała, obciągnęła suknię, po czym pchnęła nogą w pierś bezużytecznego już rycerza. On, bezbronny całkowicie i bezsilny, obalił się na bok, wcale już męsko nie wyglądając. Wtedy wojewodzianka odwróciła się od niego z lekceważeniem i rozejrzała za drugą ofiarą, lecz – ku jej niezadowoleniu – Wojdy nie było. Zobaczyła jednak coś innego.

Pstrokate pantery pokazywały wojewodziance zęby, ale jakoś tak nieprzychylnie. Wilki również warczały. W trawie zaś zaroilo się od węży: dziwnych, wielkich i małych. Przestraszyła się Gertrudka i tupnęła, one się rozpierchły, a wówczas postanowiła poszukać Wojdy, żeby na dobre nim zawładnąć.

Poszła przed siebie.

Piękna okolica nie przestała taką być, bajeczny las roił się od różnego zwierza. Co gałąź, to ptak, co krzew, zając, niemal za każdym głazem dzik, a za pniem rogaty jelen. Widziała nawet tura i się nie bała go wcale. Ale Wojdy nie było!

Znalazło się jednak coś, co Gertrudzie spodobało się na tyle, że zechciała i tym zawładnąć. Na rozświetlonej łące, rozkwitłej tysiącami kwiatów, z setkami motyli, pszczoł i trzmieli, pasł się biały koń – przy jego sierści błyszczącej jasnością śnieżna suknia niewiasty wydawała się szara. Poszła więc wojewodzianka w jego stronę, żeby dotknąć piękna, żeby i na nim władzę wyrzucić, choćby rozkazywania, choćby posiadania, czy tylko dotykania, gdy przyjdzie na to ochota.

Zwierzę nie miało zamiaru się poddać. Podniosło łeb, a wtedy wojewodzianka ujrzała wyrastający z czoła róg. Jednorożec z rycerskich opowieści!, zakrzyknęła w duszy z radością. Przecież nie każdy mógł jednorożca zobaczyć, taki widok był tylko dla wybranych. Ona więc do nich należy!, cieszyła się. Najczystszy ze wszystkich zwierz co prawda dawał się oglądać, lecz nijak nie miał zamiaru dać się dotknąć. Ilekroć zaborcze dziewczę do niego podeszło,

spokojnie odchodził, zachowując bezpieczną odległość. Okazywał lekceważenie, pasąc się niczym zwyczajny koń.

Gertruda przyśpieszyła kroku, nie bacząc, że tratuje kwiaty dziergane nicią białą, srebrną, złotą, żółtą, czerwoną i niebieską, że potraça wyszywane brązem i zielenią gałęzie. Pragnęła tylko dopaść jednoroźca, czyli schwytać najwyższe w życiu szczęście i już go nigdy z rąk nie wypuścić. Głęboko wierzyła, że jeśli go dotknie, nic już nie będzie dla niej trudne, ziści się wszystko, co tylko sobie zamierzy, ale właśnie to jedno się nie udawało.

Wreszcie jednorożec stanął, ale nie w oczekiwaniu na wojewodziankę. Zatrzymał się przy niewieściej postaci niewiele wyższej od Gertrudki, lecz tęższej i silniejszej. Gertruda przypatrywała się uważnie dziewczynie, zielonej sukni, patrzyła w oczy, też zielone, z których jedno zdawało się biegać niesfornie, drugie zaś patrzyło ze śmiałością, na bladą twarz, proste, czarne brwi, czerwone usta i włosy jakby czerwonawe, chociaż w istocie o barwie ciemnych skorupek dojrzałych orzechów. Całkiem ładna, ale... Nie, nie była od Gertrudy piękniejsza, przy tym wyglądała na starszą o rok czy dwa. Tylko wojewodziankę niepokoiło coś nieokreślonego jeszcze, gryzło coś nieobebranego. Skądś bowiem знаła tę bladą twarz i czerwonawe włosy, zwłaszcza to rozbiegane niepokojem oko wydawało się znajome... Skąd?

Obca dziewczyna, wciąż patrząc śmiało na Gertrudę, trochę od niechcienia wyciągnęła prawą dłoń w stronę jednoroźca, ten zaś ufnie dotknął chrapami jej palców. Jakby tego było mało, bezczelna prostaczka lewą rękę wyciągnęła w bok, chwytając męską dłoń wysuniętą z sąsiedniego obrazu. Dłoń ta przywiodła za sobą swojego właściciela. Był nim tak boleśnie pożądany przed chwilą Wojda.

Zmarszczona, z usteczkami skrzywionymi w złości Gertruda podeszła blisko do obcej dziewczoi. Nie zważała już na pragnienie dotknięcia jednoroźca, bo w paskudzie, co z łatwością zabrała źródło spełnienia pragnień i niedosłego niewolnika, rozpoznała ową czarownicę znad Odry. Tę samą, która nie chciała ulżyć w niewieściej niedoli. Nie chciała i nie ulżyła! Wojewodzianka postanowiła przeto dać dziewczce nauczkę, zwłaszcza że tamta teraz nawet nie drgnęła, nadal jeno patrzyła bezczelnie. Jednorożec czmychnął, żeby go nie zbrukać, a czy Wojda był czy nie, rozwścieczonej Gertrudy nic a nic już nie obchodziło. Wyciągnęła szpony do twarzy wiedźmy i z syknięciem uderzyła, żeby wydrapać bezczelne, sowie ślepie.

Ale tylko drapnęła w ścianę, omal łamiąc paznokcie...

– Obudź się, drogie dziecko – zmartwiona ciotka załamywała nad nią ręce. – Znów jęczysz i śmiejesz się przez sen. Obudź się, wojsko już wyrusza, trzeba nam przy tym być. Koniecznie.

– Niech sobie jedzie – zachnęła się Gertruda. – Słabo mi, nigdzie nie pójde. Nie chcę nikogo zegnać. Idą, dać się zabić, jak głupcy. Niech tu siedzą, niech nas

bronią. Jeszcze trochę i wszyscy wyginą. – Wybuchła płaczem, te słowa miały bowiem pokryć jej dojmującą samotność.

Niedługo płakała, bo choć ciotkę miała za głupią, rozsądek nakazywał, żeby łaskawego chleba nie nadużywać. Za chwilę dawała się więc czesać w proste dwa warkocze, chciała trzy, ale na odmowę westchnęła tylko, używała sobie na służebnych, karząc mocnym targaniem za włosy i połajankami, w zamian za domniemane szarpnięcia grzebieniem.

Gotowa, aby dać się oglądać śląskiemu światu: skromna, w ciemnej sukni, cicha i nieszczęśliwa, od czasu do czasu ziewała – czyniła to bez otwarcia buzi – lecz i ją w końcu zaciekawiło pożegnanie wielkiego wojska.

Książę połowy Polski jechał szparko ze swoim pocztem wzdłuż śląskiego hufca ciągnącego grubasnym wężem na wschód, żeby niezadługo skrócić drogą na południe, na spotkanie z Czechami. Pozdrowiało księcia i wodza rycerstwo trzydziestu śląskich i wielkopolskich kasztelanii oraz jeźdźcy i kusznicy opłaceni przez miasta. Stawiły się poczty rycerskie, poczty sołtysów i najęte przez klasztory – nawet z nadmiarem, bo przecież szło o ocalenie chrześcijaństwa i własnych włości przed wrogiem niezającym słów „litość” czy „okup” – i chciały, żeby wódz już poprowadził na wrogi.

Hufiec księcia Henryka liczył niemal ośmiuset zbrojnych. Na jego czele stał lekkomyślny, niezbyt pobożny, ale śmiały Bolesław Rogatka. On też się radował radością prostych wojaków, bo nie rozumiał, że czasem trzeba czekać, czasem trzeba się śpieszyć, ale zawsze musi być ku temu powód, a nie tylko chęć. Teraz prosta chęć Bolesława wspierała rozum Henryka. Jak dobrze, pomyślał książę i z czystym sumieniem mógł być wreszcie dumny z pierworodnego syna. Uśmiechnął się do niego, a Bolesław oddał ojcu uśmiech. Wreszcie byli razem. Zatrzymali się z boku wojska i na nie popatrzyli. Mniejsze hufce: krakowsko-sandomierski Sulisława i opolsko-raciborski Mieszka Otyłego właśnie chowały się w wąskim pasmie lasu dzielącym przestrzeń legnickich pól od pól kilku wiosek położonych na skrzyżowaniu dróg, gdzie leżała osada Dobre Pole i gdzie należało skrócić na gościniec do Jawora i Bolkowa. Bokami szły ubezpieczenia głównych szyków, też dochodzące już do lasu.

W końcu do książąt dotarło proste, wojackie uczucie: coś się dzieje – zakończyli jałowe oczekiwanie i biorą się do czynu. Tym bardziej że za dzień siły wzrosną ponad w dwójnasób i przy ostrożnym dowodzeniu będą nie do pokonania.

Książę Henryk odegnał precz troski. Wspomniał bezmyślny, nawet zwierzęcy strach z nocy, lecz teraz czuł coś innego. Rozejrzał się ponad wojsko, ponad wojnę. Świat był tego dnia piękny. Mimo pochodu tysiący koni i ludzi, wokół śpiewało ptactwo, zwłaszcza sikorki, do nieba wzbity się świergolące skowronki. Książę nastawił twarz do słońca i tak jechał czas jakiś, rozmarzony w półśnie, w którym ciepło promieni i złote poblaski mieszały się z widokami syna,

żony i matki – szczęśliwych, uśmiechniętych, bez bólu trosk o przyszłość, bez poczucia zawodu czy niezadowolonych krzywd, bez stawiania wymagań ponad siłę czy rozum.

Wzbierającą w sercu księcia tkliwość zakłócił niepowstrzymany ruch koła fortuny. Przyjechał goniec od Bolesława Szepiołki dowodzącego hufcem czelnym złożonym z krzyżowców, walecznych rycerzy zakonów rycerskich i ochotników z Moraw, co woleli posłuchać wezwania księcia Henryka niżli swojego króla Wacława. Huf ten silny, niewiele ustępował śląskiemu, żeby nie zastawiać drogi i nie opóźnić pochodu, wyruszył przed innymi. Książę, chcąc spokojnie wysłuchać gońca, odjechał na bok i zatrzymał poczet, a szeregi śląskich jezdnych miały go ze zgrzytem zbroi i pozdrowieniami chorągwi. Ucichli i oni, mimo że niczego nie usłyszeli z wieści, goniec mówił bowiem tylko do jednego człowieka.

Na rozwidleniu dróg, niedaleko od wsi Dobre Pole, gdzie jedna wiedzie na zachód, do Środy i Wrocławia, druga skręca w prawo, na południe do Świn, Jawora i Bolkowa, zatem wiedzie prosto do czeskich wojsk, stoją już wojska Tartarów. Nie liczą więcej niż pięćset zbrojnych. Wódz hufca czelnego prosi, aby mógł ich ni mniej, ni więcej, tylko usunąć z drogi jednym dmuchnięciem, bo wojsko aż wrze z ochoty do walki.

W jednej chwili Henrykowi wróciło pełne trosk i odpowiedzialności władcze myślenie. Znał okolice, pomagał przecież ojcu lokować tutejsze wsie i obraz ten natychmiast odtworzył w pamięci. Dopytał o to, gdzie dokładnie stoją Tartarowie, gdzie wojsko Dypoldowica, czy daleko ma do strumieni i skrzyżowania dróg. Pomyślał chwilę i powiedział do gońca: – Wracaj jak najszybciej. Powiedz wodzowi, że ma rozstawić wojsko ławą w stronę Tartarów. I nie wolno mu na nich uderzyć. Może z nimi się bić tylko wtedy, gdy oni nastąpią. Ma nie ruszać w pościg, nawet gdyby wróg uciekał po starciu. Jeżeli nieprzyjaciele by przeważyli, ma się cofnąć w szyku w naszą stronę. Zapamiętasz?

– Zapamiętam.

– Powtórz.

Bystry wojak powtórzył, co do słowa, i już go nie było.

Książę przywołał do siebie dwóch gońców. Przez nich nakazał Mieszkowi i Sulisławowi, żeby swoje hufce powiedli na prawo i lewo od hufca krzyżowców i osłaniali jego skrzydła. Teraz przywołał syna.

– Kto wie, być może zaraz będziemy mieli tu bitwę. Pokaż, jak dowodzisz. Rozstaw szyk w poprzek drogi.

– Tartarowie tu są?

– Są.

– Jak to? Przecież Wrocław, nasze straże... Niczego nie zaniedbaliśmy!

– Są szybsi i sprytniejsi, niż się zdawało. Zapewniam cię, nasze straże z Środy powiedzą pod wieczór, żebyśmy uważali, bo Tartary na nas idą.

Tu – zdawałoby się – pustogłowy Bolesław powiedział coś istotnego: – Gdybyśmy cofnęli się pod Legnicę i tam przyjęli bitwę? Oparci o mury i wały. Nie zaszliby nas z tyłu.

– To byłoby dobre, ale jest za późno. Jeśli cofniemy się teraz, Szepiolki i jego hufca już nigdy nie ujrzymy, a drugiego dnia zmiażdżą nas o te mury i wały samą swoją przewagą.

– A Czesi?

– Dobrze synu myślisz, ale Czesi są za daleko, żeby dziś nas wspomóc. Poza tym nie jestem pewien, co uczynią, gdy się dowiedzą, że jesteśmy w opałach. Twój wuj jest ostrożnym człowiekiem. Musimy przetrzymać dzień, potem albo się cofniemy pod Legnicę, albo pójdziemy na spotkanie Czechów. Tedy do broni, synu, bo czasu już nie ma na nic innego – stanowczo skończył książę, bo Bolesław wyraźnie chciałby jeszcze gadać.

Henryk wydał rozkaz oboźnemu, który miał zatoczyć obóz jak najszybciej, żeby w razie porażki kręgi wozów były choć chwilowym oparciem dla wojsk, i sam z poczem ruszył szybko naprzód.

Wojda widział ruch i nagłą bieganinę, za chwilę padły rozkazy do przejścia z szyku pochodowego w bitewny – pierwszy raz miał być w bitwie, rozglądał się więc pilnie, a już ustawiony w ławie grubej na pięć szeregów, z trzema szeregami rycerstwa i dwoma konnych kuszników, zapytał Dobrosza, nic nie rozumiejąc: – Ojcze, co się dzieje? Gdzie nieprzyjaciel? Będziemy nacierać na las?

– Właśnie, rycerzu Dobroszu, czyżbyśmy mieli dokonać walecznych czynów przeciw drzewom? – dodał wesolek Witosza, dosiadający rumaka po prawicy Wojdy.

Tak to wyglądało: przed nimi nie było widać żadnego wojska, prócz równego, sosnowo-świerkowo-brzozowego boru o drzewach około trzydziestoletnich, nie licząc rozsianych na polanach kęp z młodych sosen i brzoź.

– Już oni wiedzą, po co nas tak rozstawili – odpowiedział Dobosz. – Zobaczymy. Ale coś się dzieje na pewno. Popatrz tam. – Skinął głową w lewo i giermkowie podążyli wzrokiem w stronę, gdzie w las właśnie wjeżdżał hufiec Sulisława, co Witosza natychmiast odpowiednio nazwał, nadając ton głosowi, jakby prawil kazanie: – Krakusi i Wielkopolanie, nasze dzielne lewe skrzydło, już walczą z lasem. Azaliż nie wytrzebią tej puszczy przed nami? Czyż to nie ich wojenny trud trafi do pieśni, a o nas zapomną rybałci i damy? Co, Wojda, powiesz wnukom, gdy zapytają, ile ściałeś w tej bitwie pod... właśnie, gdzie my jesteśmy?

– Pod Legnicą. Przecie stąd ją widać – wśród powszechnych chichotów z wyjaśnieniem pospieszył inny giermek. Co niektórzy obejrzał się: w rzeczy samej, w świetle poranka widniała w oddali wieża zamkowa.

– ...No właśnie! To, gdy cię, Wojda, zapytają wnuki, ile ściałeś drzew w bitwie pod Legnicą, co powiesz? Jedno, dwa? Wnuki na to: Rycerze krakowscy

co najmniej po dziesięć. Zaprawdę powiadam wam: jeżeli nasze dowództwo dalej tak będzie prowadzić wojnę, to Wojda następną bitwę z krakusami przegra. Tym razem jako drwał.

– Byś wreszcie zawarł gębę! – krzyknął rycerz Chwalibóg, ale w jego głosie słyhać było wesołość, wesołek więc niczym się nie przejął; Wojda się nie obraził, też się śmiał, przyznać jednak musiał, że nieswojo mu się zrobiło.

Objeżdżający szyk Bolesław Rogatka zauważył poruszenie wśród młodzieży. Rycerze pierwszego szeregu usiłowali zachować powagę, lecz giermkowie pozwalali sobie na więcej, dlatego księżę, który zawsze lubił się pośmiać, podjechał do nich i, groźnie marszcząc brew, zapytał: – Co to za śmiechy w obliczu nieprzyjaciela?

Na to kasztelan ryczyński Bogusław wrzasnął: – Cisza ma być! Wróg blisko, a wy dokazujecie jak niedorostki!

Bolesław na chwilę zapomniałby o nadciągającym starciu, ale przyboczni pokazali, że poczet jego ojca daje znak chorągwią, aby ruszał, tedy zamiast się pośmiać, jak zamierzał, powiedział: – Naprzód stępa, rycerze! I cisza w szeregach!

Ława jeźdźców drgnęła. Gwar rozmów ucichł na dobre, jeno konie parskały. Zbliżali się truchtem do lasu, tratując krzaczki i omijając zwarte kępy drzew przecinające szyk tylko na chwilę, bo zaraz zwierzał się na nowo.

Podniecenie bitewne ogarnęło Wojdę. Patrzył chciwie, czy z lasu wychyną wrogie zastępy, lecz prócz kilkunastu polskich, nieokazujących szczególnego napięcia bitewnego rycerzy z pocztu księcia Henryka, co wjechali zaraz między drzewa, nikogo nie widział.

Nadal nie rozumiał, co się dzieje.

Im byli bliżej lasu, tym mniej się zapowiadało na bitwę.

Myśl Wojdy przeszła więc na wczorajsze przeżycia, co się zakończyły wesołym śpiewem. Kilku rycerzy namawiało go usilnie do pogodzenia się z Pakosławem – żeby ot, tak poszedł do niego i wyciągnął rękę. Wahał się, wahał, w końcu dał się namówić. I nic dobrego z tego nie wyszło. Pakosław mu uchybił. Nawet kilku małopolskim rycerzom było wstyd za Pakosława, który ufny w poparcie możnych, z całkowitym już lekceważeniem odniósł się zarówno do Wojdy, jak i Ślązaków. Zamieszanie zrobiło się wielkie, aż obożny musiał rozgonić zbiegowisko. Zagroził przy tym karą na gardle każdemu, kto dobędzie miecza. Rycerze krakowscy zmusili jakimś cudem Pakosława, aby przeprosił, co ten uczynił w taki sposób, że równie dobrze mógłby nie przeproszać, i do Wojdy ręki nie wyciągnął. Zresztą po tym zdarzeniu Wojda też już do tego się nie kwapił.

Niesmak pozostał, co próbowali łagodzić poczciwcy z obu stron. Ich wysiłki sprawiły, że odłożono zwadę tych dwóch na czasy po wojnie, bo teraz ważniejsze działy się sprawy.

Tak oto nic nie wyszło z iście franciszkańskich prób zaprowadzenia pokoju

między chrześcijany.

Wojda czuł się upokorzony, ale to zniósł, nie tyle pocieszany, co wspierany przez towarzyszy. Potem pośpiewał i tak dziwnie uspokojony poszedł spać, nawet zasnął, oczywiście uprzednio odmówiwszy pacierze i powspominawszy dziewczurę. Po raz pierwszy od wielu dni niczego ze snu nie pamiętał.

Teraz jechał w szyku, z tarczą u boku, w szłomie na głowie, od stóp do głów odziany w połyskliwą kolczugę, w rękę dierząc, tak jak i jego ojciec, kopię. Rozejrzał się wokół podobnych sobie wojaków z ledwie widocznymi skrawkami twarzy zza nosali szłomów albo też całkiem niewidocznymi, bo wielu rycerzy, zwłaszcza pierwszego szeregu, miało twarze całkiem zasłonięte żelazem, co wyglądało obco i groźnie. Nieco nierówną ławą, ale nie miało to znaczenia, dojechali do lasu, gdzie czekały ich rozkazy, żeby się zatrzymali i nie wyjeżdżali przed drzewa: czekać i nie odzywać się pod żadnym pozorem. Stali w ciszy czas jakiś, aż z przodu odezwały się trąby krzyżowców, daleki obcy zgiełk i śpiew zagranicznego wojska.

Zaczęło się.

STRZAŁY

Waży się wszystko to co ważne

Na bok odchodzą wszelkie swary

Życie u władzy bywa trudne

Gdy w jej podziale nie ma miary.

Dzielny Bolesław Dypoldowic, zwany Szepiołką, wyjechał przed szyk i patrzył bez trwogi na gęstniejące wrogie wojska. Miał czekać, czekał więc, a oni naprzeciw niego się rozstawiali. Początkowo nie było ich wielu, gdzieś do pięciuset, ale skoro wojsko chrześcijańskie nie ruszyło do natarcia, bo księżę Henryk zabronił, po pewnym czasie wyjechały ze skrzydeł niewidoczne wcześniej dwa inne oddziały, potrajając huf. Teraz, o dwieście kroków przed Szepiołką, prosto pod słońce, stał wrogi hufiec, trzykroć liczniejszy, niż ten, którym on dowodził. Uzbrojenie i chorągwie świadczyły o tym, że są tam Rusini, ale szeregi obcej konnicy stały z tyłu, co dało się poznać po dziwacznych znakach, jakby

końskich ogonach, a też innym kształcie postaci ludzkich. Zresztą czy ludzkich, czy piekielnych, Dypoldowica nie obchodziło. Chciał ich bić i już. Przysłaniał dłonią oczy, wypatrywał, liczył i niecierpliwie jeździł z jednego krańca swojego wojska na drugi. Przewagi wrogów się nie obawiał, ufał bowiem dzielności własnej, swoich ludzi i dobremu uzbrojeniu. Niemieckie rycerstwo przedstawiało się bardzo dobrze, a ze względu na przyjęcie krzyży jako znaków na tarczach, niemalże jednolicie. Nawet piesi i konni kusznicy ze Złotoryi, mimo że wśród nich uwijała się czarownica z przetakiem, co nim odcedzała zło z powietrza i rzucała w stronę Tartarów, mieli krzyże na tarczach i na chorągwi. Nie odróżniali się zatem od kilkudziesięciu templariuszy noszących krzyż czerwony na kryjących zbroje białych tunikach i płaszczach, kilku Krzyżaków i kilkunastu ich służby noszących krzyże czarne. Był też hufczyk joannitów, co mieli wieloramienne krzyże białe na czarnych płaszczach. Tylko rycerstwo morawskie wystąpiło pod własnymi herbami, ale ani duchem, ani uzbrojeniem nie ustępowało przybyszom z krajów niemieckich. Tak, wojsko było świetne, chociaż niezbyt liczne.

Bolesława Szepiołkę niepokoiło coś innego – skrzydła jego hufca wisiały w powietrzu. Co prawda były na ich skrajach błotniste strumyki, nieco porośnięte drzewami, ale żeby pokryć wolną przestrzeń, musiałyby rozstawić ludzi w dwóch szeregach, a taki szyk można zdmuchnąć z łatwością. Z narady wychodziło coś innego: prawe skrzydło zajmą Opolanie, lewe Małopolanie z Wielkopolanami. Szepiołka oglądał się niecierpliwie, wreszcie z ulgą zobaczył, że z lasu wyjeżdżają wyglądane hufce i zmierzają prosto w wyznaczone im miejsca.

Na ten widok po wrogiej stronie zagrały krótko piszczałki. Ciemny hufiec połyskujący grotami włóczni nieśpiesznie posunął się do przodu o sto kroków. Teraz przestrzeń między wojskami była niemal trzykrotnie mniejsza od szerokość szyku krzyżowców, którzy mrużyli oczy, przypatrując się wrogom, bo dotychczas tylko o nich słyszeli. Ksiądz w kolczudze, acz z gołą głową, ze wstęgami purpurowej stuły skrzyżowanymi na piersiach, jechał wzdłuż szyku i błogosławił wojsko krucyfiksem. Któryś z niemieckich rycerzy, ledwie się przeżegnał, ujął mocniej kopię i zaczął śpiewać *Christ der ist erstanden*. Szybko melodię podchwyciła reszta wojaków i nim przebrzmiały pierwsze słowa, cały hufiec grzmiał gromko wielkanocną pieśnią śpiewaną naraz po niemiecku i po słowiańsku jako *Chrystus zmartwychwstan jest*.

W Dypoldowicu krew wrzała. Zatrzymał się dokładnie pośrodku swojego wojska, przy chorągwi z jego herbem. Patrzył na Tartarów pod rażące słońce i niecierpliwie czekał, aż rycerstwo opolskie i krakowsko-sandomiersko-wielkopolskie wyrównają z nim szyk. Ci jednak się zatrzymali.

Tartarowie rozciągnęli szyk, byli więc w stanie przeskrzydlić hufiec Dypoldowica. I na tę niewesołą myśl dotarł do niego goniec, przekrzykujący drugą

zwrotkę pieśni.

– Panie, książę każe, abyś cofnął wojsko między stojące hufce, bo inaczej cię odetną.

– Widzę, jeno teraz za późno się cofać. W jednej chwili do nas doskoczą.

– Nie chodzi o tych – goniec wskazał Rusinów i Tartarów – lecz o inne hufce. Stąd ich nie widać, ale są tam... – tu pokazał w lewo, na chałupy Dobrego Pola – ...i tam. – Wskazał wzdłuż szyku krzyżowców w prawo, na oddaloną wioskę. Ani tu, ani tam nie było niczego widać.

– Co ty mi pokazujesz? – Bolesław Dypoldowic się zachnął. – Tam nikogo nie ma!

– Są, tyle że w oddaleniu. Już zaszli za wasze boki. Z tego miejsca ich nie widać, ale spod lasu i owszem. Z drzewa widzieli.

Dopiero wtedy Szepiołka pojął, że to, co oglądał przed sobą, nijak całym tartarskim wojskiem nie jest, i że niewidoczne oddziały wroga właśnie wygrywają bitwę samym swoim ustawieniem. Jeśli więc ruszyłyby na Tartarów, żeby uderzyć kopiami w pędzie, to te niewidzialne hufce ich otoczą. I na tym będzie koniec.

Szybko rozkazał cofnąć się między hufce opolski a małopolski, ale na jakiegokolwiek zwroty było już za późno. Tartarowie nie tylko każdy ruch Polaków widzieli jak na dłoni, było w nich także coś piekielnego – znali zawczasu te spośród myśli Polaków, co zmieniają się w czyny.

W ich pobliskim szyku cienko zapiszczały fujarki i cień padł na słońce. Po niebie niosła się ciemna chmura, która z narastającym, przeraźliwym gwizdem zachwiała się nieco i runęła na szyk krzyżowców. Ci osłonili się tarczami, ale wówczas spadł na nich deszcz czarnych gwizdków, dotkliwie raniąc wiele koni. Szyk się zachwiał, konie kwiczały, wiele truchtało lub kręciło się w miejscu wystawiając na następne zranienia. Ledwie opadła chmura gwizdzących strzał, znów padł na wojsko cień – to druga chmura zbliżała się szybko do nich, ale już bez gwizdu, ze zwyczajnym świstem, równie strasznym.

Szepiołka kazał strzelać kusznikom. Wystrzelili i po prawdzie ostrzał nie zrobił na wrogach większego wrażenia. Za to na szyk krzyżowców spadała w tej samej chwili ciemna ulewa, bo do ostrzału przyłączyły się owe niewidoczne wojska.

Z oddali przyglądał się temu Henryk i zaciskał zęby. Widok był niesamowity, to prawda, i można by go uznać za piękny, lecz świadomość, że właśnie giną jego ludzie, a pierwsze zamiary stoczenia bitwy biorą w łeb, piękno obracało w tragedię. Oto z lewa i prawa wylatywały chmury kreseczek – czarnych niczym gęste stada wron albo odlatujących na zimę szpaków – co gdy tylko załamywały lot, jakby na chwilę zwalniając, błyskały w słońcu tysiącem iskier od grotów, po czym znów stawały się szarym deszczem, żeby celnie spaść na hufiec Dypoldowica.

Zamarły śpiewy w polskich wojskach. Wszyscy widzieli i rozumieli, co się dzieje, i że nieuchronnie ich czeka to samo, co towarzyszy spod krzyżowych znaków. Tamto wojsko kłębiło się, konie miały, słyhać było przekleństwa i jęki, ale przede wszystkim kwik ranionych koni. Nie było wierzchowca w polskich szykach, co nie nastawiłby trwożnie uszu na ten głos.

Szepiołka w tym zamieszaniu dokonał niemożliwego i zdołał cofnąć hufiec najpierw kilkadziesiąt kroków, potem jeszcze dalej. Odwrót znaczony był ciałami kilku ludzi i kilkudziesięciu koni. Ranni nie opuszczali szyku, zresztą chyba każdy odniósł w ostrzale ranę. Tym ruchem tyle zyskano, że tysiące strzał od niewidocznych wojsk tartarskich uderzyło w pustą ziemię, bo przecież musiało trochę trwać, nim wystrzelone z kilkuset kroków dotarły do celu.

Ruch wojska krzyżowców nie uszedł jednak uwadze Tartarów. Nie pozwolili na to, aby polskie szyki trzech hufców się zrównały. Znow odezwały się piszczałki i naraz cały hufiec Tartarów i Rusinów runął na cofających się krzyżowców. Dzielny i spragniony zemsty Szepiołka na to czekał: kazał zatrzymać się swojemu wojsku, wyrównać szyki, po czym, gdy do starcia brakowało nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, polecił zagrać trębaczom „naprzód”. Podniósł się wielojęzyczny krzyk i najeżony kopiami hufiec krzyżowców zderzył się z hufcem rusko-tartarskim, czemu towarzyszył trzask łamanych drzew. Krzyżowcy wzięli górę w tym starciu, ale nie przerwali wrogiemu szyku, tylko go zepchnęli. Spychali dalej, aż utknęli – w końcu wrogów było znacznie więcej i uzbrojenie mieli dobre – a wtenczas ziściły się obawy Szepiołki: część oddziałów tartarskich już przeskrydlała jego wojsko. Polsko-morawski wódz, choć sam już musiał machać mieczem, zdołał jednak zauważyć niebezpieczeństwo i kazał zagrać do odwrotu. Wojsko karnie oderwało się od przeciwnika, który w tym wcale nie przeszkadzał – też chciał wyrównać szyki. Krzyżowcy cofnęli się o dobre sto kroków, cofnęliby się aż do zrównania z hufcami skrzydłowymi polskiego wojska, ale nie mogli, bo już dojeżdżali do nich wrogowie, poza tym zostawiliby na ich pastwę kilkunastu towarzyszy, którym ustawały poranione konie.

Na głos trąbki zawrócili i znow się starli. Nie mieli już kopii, teraz więc walczyli mieczami. Był to zawzięty bój jakiś czas kłębiący się w miejscu, po pięciu *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario* chrześcijanie, choć mniej liczni, zaczęli jednak przeważać. Potrafili się wszak bić. Poza tym całe ich ciała okrywały pancerze, co w zwarciu miało wielkie znaczenie.

Po stronie Rusinów i Tartarów wielu wojowników z pierwszych szeregów było rannych, kilkudziesięciu osunęło się z sodeł pod kopyta drepczących, pokwikujących koni. Straty rosły, ale skrzydłowe hufce Tartarów nie następowały. Wódz walczącego oddziału Tartarów stał za swoimi szykami w otoczeniu chorążych i gońców, i rozglądał się niecierpliwie, wreszcie coś wypatrzył pod słońce, bo dał znak. Chorąży zamachał buńczukiem, kilka piszczałek zagrało, i cały

hufiec w jednej chwili przestał walczyć. Wojownicy zawrócili konie, odjechali, tylko kilku jeźdźców zostało z tyłu, wciągając na końskie grzbiety, za swoje plecy spieszonych towarzyszy. Zanim chrześcijanie spostrzegli, co się dzieje, wrogowie oderwali się od nich na kilkadziesiąt kroków.

Rozgrzani walką rycerze ruszyli w pościg, a że działo się to bez rozkazu, przybrało postać całkowicie nieporządną. Szyki się rozluźniły, wydłużyły, część oddziałów została w miejscu, wreszcie, nie wiedząc, co czynić, i one ruszyły na wroga. Szepiołka nie od razu spostrzegł, jak sprawy się mają, ale gdy pojawił, natychmiast nakazał trąbić do odwrotu. Znowu część rycerzy się zatrzymała, inni, nie zważając na rozkazy, jechali dalej, za uciekającym – jak im się zdawało – przeciwnikiem. Większość jednak posłuchała rozkazu, chorąży machał chorągwią „do mnie”, a wódz omal płuca wypluł, tak obelżywymi słowami wrzeszczał na niesfornych podwładnych. Nagle ktoś krzyknął: – Uwaga z lewej!, i ledwie zdążyli wzniesić tarcze, opadła ich sycząca chmura strzał, potęgując zamieszanie. Za chwilę druga chmura spadła z prawej strony. Wojsko krzyżowców, już i tak zmieszane, teraz ogarnął zamęt. O ile wcześniej nawet ranni tkwili w szyku, starając się trzymać z tyłu, jeśli opadali z sił, teraz kilkadziesiąt niezdolnych do dalszego wysiłku ludzi opuściło potargane szeregi. Uchodzili z bitwy, ostatkiem sił trzymając się w siodłach, na słaniających się koniach czy też pieszo – kulejąc, chwiejąc się, padając. Szli przez pobojuwisko, gdzie leżało już kilkadziesiąt martwych i poranionych koni, a między nimi ludzie.

Ten obraz miał przed oczami książe Henryk. Wysłał gońca do Szepiołki, żeby ani chwili nie zwlekając, zawrócił i zajął miejsce w szyku. Ledwie wojak ruszył, od Mieszka opolskiego przyjechał już trzeci goniec z prośbą, aby rycerstwo opolskie mogło uderzyć na wrogów. Książe popatrzył na ochoczego rycerza tak, że omal go wzrokiem ubił, po czym wywarczał: – Powiedz swojemu panu, że nie zezwalam! Tylko na mój rozkaz!

– Ale tam chrześcijanie giną – ośmielił się odezwać goniec.

– Precz! – usłyszał odpowiedź.

Zatem rycerz skłonił się nieco urażony i odjechał, poganiając konia.

Henryk patrzył za nim, ale kątem oka zauważył, że pieszy człek podchodzi do jego konia. Myślał, że goniec, ale aż zmartwiało, bo właśnie wytrzeszczał bezpowiekowe ślepia i szczyrzył do niego zęby w półukłonie nie kto inny, tylko ten pomyleniec, Kościej Heribert, z którym matka, nie wiedząc czemu, lubiła ucinać sobie pogawędkę.

Nim książe cokolwiek powiedział, kościotrup w łachmanach rzekł: – Będę ci dziś pomocnym, książe. – Po czym uklonił się, potem pobiegł radośnie w stronę bitwy, aby nad umierającymi nieszczęśnikami odprawiać swoje czary.

Książe się wzdygnął, pomyślał krótko: Głupek!, i zajął się ważniejszymi sprawami, choć złe wrażenie pozostało.

W obrazie bitwy zaszły zmiany. Henryk z niepokojem wypatrywał ruchów pozostałych hufców Tartarów: widział dwa położone daleko z lewej i prawej, co na razie tylko ostrzeliwały huf czelny chrześcijan, każdy przynajmniej po tysiąc koni, licząc więc z hufcem, który ścierał się właśnie z Szepiołką, Tartarowie mieli niewiele nad cztery tysiące ludzi. Z taką siłą Henryk mógł sobie poradzić w otwartym polu, jeśli tylko zdoła utrzymać szyk. Tylko czy to już wszystko? Czy może jeszcze nadciągnąć skądś jeszcze jeden tartarski hufiec? I co, jeśli wtedy wszystkie jego siły będą związane?

Od kilkunastu już lat dochodziły niewiarygodne wręcz wieści od franciszkanów i dominikanów o podstępach Tartarów, o ich łuczniczej wojnie, chowaniu sił. Dziś to się ziszczało na oczach Henryka. Dlatego zwlekał z użyciem w bitwie następnych hufców. Kazał wypatrywać przeciwników, rozesłał czujki na boki, co miały dać znać, jeśli zobaczą wrogów, obojętne, ilu by ich było.

Na razie Henryk wypatrzył tartarskiego wodza. Słońce nieco wstało i przesunęło się na prawo, oświetlając dla wzroku księcia kawał ziemi na wschodzie.

Za niewyraźnym pagórkiem leżała otoczona kępami drzew wieś Dobre Pole. I właśnie przed jedną kępą drzew, nieco za krzakami, stało kilkunastu jeźdźców; nikt by ich nie zauważył zapewne, ale ich położenie zdradził błysk broni. Książę był pewien, że celowo ustawili się tak, żeby słońce wschodziło prosto za plecami – kryli się w jego blasku, sami zaś wszystko widzieli doskonale. On, gospodarz tej ziemi, ze swego miejsca dostrzegał tylko tyle, ile oni sami zechcieli pokazać.

Książę się złościł, bo Szepiołka się nie cofnęła i nie wyrównała szeregów. Skrzydłowe hufce Henryk ustawił tak, aby skrajne boki były osłonięte strumieniem, którego brzegi gęsto porastały drzewa i krzewy; trudno przejść przez takie przeszkody wielkim oddziałom, siły polskie mogły więc czuć się bezpiecznie dzięki otoczeniu. Lecz środek... Walczyli w złym miejscu, bo na drodze, a teraz, nie wiadomo po co, przekroczyli ją nawet. Właśnie wtedy do boju ruszyły oddalone, skrzydłowe oddziały Tartarów, z jasnym zamiarem: otoczyć zapędzony i osłabiony hufiec, odciąć go od reszty szyków i zniszczyć masą nacierających. Książę pchnął gońców do obu polskich skrzydłowych oddziałów, żeby uderzyły w boki nacierających wrogów, pod żadnym jednak pozorem nie zapędzali się za drogę, bo wyjdą poza strumienie, w szeroką przestrzeń, gdzie liczniejszy wróg zdoła ich osaczyć. Gońcy rozbiegli się w dwie strony, a tartarskie szyki już przebyły połowę odległości od oddziału krzyżowców.

Szepiołka zdołał uporządkować szyki. Kilka strzał uderzyło go niegroźnie, ale były też takie, co zdołały go zranić. Nie zważając na drobne rany, uwijał się pośród swoich ludzi z uniesioną zasłoną hełmu. Chorążemu kazał cofnąć się dalej, trębaczowi grać do odwrotu. Pomogło to o tyle, że nawet zapędzeni rycerze zawrócili i ścigani strzałami szybko zmierzali do siły głównej. Ostoją karności były

oddziały zakonów rycerskich tworzące zwarty, doborowy wręcz hufczyk, co ani w natarciu zbytnio się nie zapędzał, ani w obronie nie dawał się przepchnąć, a od wrażeń strzał niewiele poniósł szkód albo i żadnych. Ci ludzie, choć z różnych krajów, spokojnie zawrócili konie i pojechali na wyznaczone miejsce. Szepiołka wołał po imieniu morawskich ziomków, żeby porzucili rycerskie zapędy i wrócili do głównego szyku, ale wtedy zadudniła ziemia po prawej i po lewej. Zrozumiał zagrożenie, na szczęście podwładni również i sami szparko wyrównali do szyku. Jakiś rycerz spadł z konia, celnie ugodzony strzałą w oko, kilka rumaków trafionych strzałami w zady wierzgało z bólu, zrzucając jeźdźców, ale w ostatniej chwili szyk udało się uporządkować i obrócić, a jego skrzydła osłoniły przesuwane się wojska opolskie i krakowskie.

Wielkie wojska zderzyły się z hukiem i wrzaskiem.

Henryk przyglądał się z oddali swojemu wojsku sprawnie tworzącemu nieprzerwany, kilkuszeregowy, szeroki szlak nieco rozciągnięty, pofałdowany, ale ciągły. Nie martwił się o jego przerwanie.

Piekielnicy mieli dobrych dowódców, a każdy zadania przydzielone. Mimo wielkiej przewagi liczebnej nie przeszkadzali sobie: jedni nacierali na chrześcijan od czoła, inni, wielkimi oddziałami po kilkuset ludzi, szukali przejścia wzdłuż strumieni i stamtąd próbowali strzelać z łuków w plecy Polaków. Książę tracił ich nieco z oczu, bo widok zasłaniały drzewa znad strumieni, ale widział wyraźnie kreseczki strzał lecące w górę, następnie w dół, wprost w polskie szyki zajęte walką.

Na ten ostrzał odpowiedzieli całkiem celnie konni kusznicy z tylnych szeregów polskiego wojska, zabierając Tartarom nieco pewności siebie.

Skrzydłowe hufce polskie uderzyły na Tartarów z trzaskiem łamanych kopii i włóczni, łatwo zyskując przewagę; krakowskie wojsko, pod Sulisławem, już kilkakrotnie doświadczone w boju z Tartarami, cały czas utrzymywało równy szyk. Wódz ryczał na ludzi donośnie i nikt nie śmiał wyjść przed szeregi, zresztą takiego śmiałka natychmiast obstarpiłby Tartarowie. Inna sprawa, że polski oddział po zdmuchnięciu z siodła pierwszego wrogiego szeregu, parł naprzód w gęstniejącym ścisku. Mógłby pewnie przeć dalej, ale zarówno Sulisław na jednym skrzydle tego hufca, jak i Klemens z Ruszczy na drugim, dbali o to, aby rozkaz księcia wykonać i poza osłonę strumienia się nie przesuwać, no i żeby szyku nie łamać.

Coś innego jednak zaniepokoiło księcia. Zobaczył bowiem, że gorzej się działo na prawym skrzydle dowodzonym przez Mieszka Otyłego. Ufny we własne powodzenie, pewny zwycięstwa i niecierpliwy, parł nie zważając na utrzymanie jednolitego szyku. Samym pędem opolscy rycerze obalili kilkadziesiąt wrogich jeźdźców, po czym wbili się w szarobury tłum Tartarów, krzyżując z nimi miecze. Wreszcie wysforowali się naprzód tak dalece, że ani się spostrzegli, walczyli na trzy strony świata.

– Co ten Mieszko wyprawia? – Henryk krzyczał do swego otoczenia. – Sam jeden chce wygrać bitwę? Jeszcze nas do klęski przywiedzie. Gończe, dotrzyj do księcia Mieszka i powiedz, żeby zawrócił do szyku. Ma nie przejeżdżać za drogę na Jawor.

Goniec pojechał, a księżę patrzył za nim z niepokojem.

Tymczasem wojsko opolskie, spychając przed sobą tłum przeciwników, coraz bardziej rozciągało szyk. Ich szeregi, zamiast przypominać równą ławę, wyginały się coraz bardziej, wystawiając środek hufca – zapewne z księciem, bo tam widniała dziarska chorągiew opolskiego księstwa – który zajadłe i z powodzeniem napierał na Tartarów.

Młody księżę opolski przeżywał, jak mu się wydawało, najchwalebniejsze w życiu chwile. On i jego rycerze okryci kolczugami od stóp do głów, w hełmach zakrywających twarze, przy czym księżę miał na głowie najnowszy wynalazek w kształcie wielkiego garnka ze szparkami na oczy i dziurkami do oddychania, byli – zdawałoby się – całkowicie odporni na ciosy przeciwników. Konie miały żelazne naczółki, nie poraniły ich wcześniej strzały, a i potem niełatwe były do zabicia. Tacy rycerze obalali każdego wroga stojącego im na drodze, zwłaszcza że nieprzyjaciele uzbrojeni byli lekko, w skórzane i wołokowe kaftany, w spiczaste, skórzane hełmy. Przez dziurki w żelaznym wiadrze Mieszko widział, że ciosy pogan są bezsilne, a chrześcijan mocne, że pogańskie konie są niższe, nie mogące oprzeć się mocarnym rumakom rycerskim, i – co najważniejsze – paskudni piekielnicy padają rażeni ciosami, a chrześcijanie nawet nie odnoszą ran. Wreszcie zobaczył też młody wódz wielu wrogów, którzy stracili na początkowej zajadłości, i teraz oglądają się za siebie, a ich szeregów do przerwania pozostało niewiele. Jeszcze trochę wysiłku i pęknie tartarski szyk. Wtedy zakręci się w lewo i uderzy w plecy tych, co wojują z krzyżowcami Dypoldowica i będzie po bitwie. Nawet nie przypuszczał, że tak łatwe zwyciężanie dotyczy tylko tych, co ich sam ogarnia wzrokiem, czyli nie więcej niż pięćdziesięciu ludzi. Gdy on niecierpliwie oczekiwał chwili przebiccia się przez szeregi Tartarów, reszta jego rycerstwa zaczynała walczyć nie o zwycięstwo, lecz o życie. Ktoś coś do niego krzyczał, księżę jednak słabo słyszał przez garnek na głowie, za to pokazywał mieczem, że jeszcze kilka kroków, jeszcze jeden mały wysiłek. O tym też dudnił niezrozumiale jak z beczki.

Kasztelan raciborski krzyczał do niego jak do głuchego pnia: – Zachodzą nas od tyłu! Jeśli się obrócimy w lewo, uderzą nam w plecy! – i tak powtarzał kilka razy.

Księżę zdawał się słuchać i rozumieć, bo wydudnił: – Gdy się obrócimy, brońcie naszych tyłów!

Na co kasztelan, co mu strzała zadzwoniła właśnie w szłom, zakrzyknął tam, gdzie powinno być ucho rwącego się do walki księcia: – Poczekajmy, co uczyni

książę Henryk! Trzymajmy się szyku, on niech uderza swoim wojskiem, gdzie zechce! Cofnijmy się do swoich!

Mieszko albo nie usłyszał, albo niczego nie zrozumiał z tego, co mówił jego doświadczony dowódca.

– Zwycięstwo o krok! Ruszajmy! – zawołał.

Zbity z tropu kasztelan popatrzył na zamęt bitwy, po czym jeszcze raz spojrzął za siebie. Tam działo się to, co najgorsze: kilkudziesięciu Tartarów, nie zważając na bitwę, przemknęło się między szykiem Opolan a strumieniem, zza strumienia przenikali następni, zrazu pojedynczo, a rychło całymi dziesiątkami. Kilkunastu kuszników opolskich strzelało do nich, ale obalili tylko ze dwa konie i stracili jednego jeźdźca. Na tę chwilę przypadł do nich goniec z czarnym orłem Henryka na tarczy, wołający gromkim głosem i przepychający się przez ścisk: – Od księcia! Od księcia Henryka! Przepuście!

Kasztelan dopadł do niego i zapytał: – Jakie wieści!

– Ja do księcia Mieszka!

– Mów do mnie! Jestem kasztelanem raciborskim!

– Książę każe wrócić wam do szyku, przed gościniec na Jawor!

Kasztelan pociągnął gońca za sobą do księcia Mieszka, co znów osobiście ścierał się z wrogami. Nie sposób było dopchać się do niego, wreszcie przy pomocy kilku rycerzy zdołali wyciągnąć władcę z szarpaniny. Goniec próbował powtórzyć księciu rozkazy Henryka, ale ten nie słyszał. W końcu zdjął hełm, ukazując zziąbane, spocone, pulchne oblicze, opięte przeszywanym czepcem niczym twarz zakonnicy welonem, i rozejrzał się z końskiego grzbietu jakby przytomniej.

Oto co ujrzał: po prawej stronie szyk jego wojska wygiął się jak obwarzanek, a wrogie oddziały bezustannie napierały. Co gorsza, część z nich już wjechała za plecy polskich wojsk, ustawiając się przy strumieniu w całkiem już pokaźny hufiec. Zrazu wziął go za szyki śląskie, co wyszły z lasu, ale zamiast wielu barwnych znaków, widział brązowe, czarne i szare odzienie wojowników, a nad nimi powiewające końskie ogony na żerdziach. Spojrzał dalej, za Ślązakami, ale tych nie było widać. Zresztą Tartarowie przesłaniali widok. Tedy obejrzał się na swoje lewe skrzydło, które właśnie oderwało się od szyku krzyżowców z Moraw, a w rosnącą przerwę wcisnęli się wrogowie i pojechali prosto na spotkanie oddziału, co właśnie szykował się na tyłach jego wojsk.

– Jak to? Mamy się cofnąć, teraz, gdy wygrywamy? – głupio zapytał książę zaskoczony przeczącymi tym słowom widokami.

Zamiast Mieszka kasztelan już wydawał rozkazy: kazał zatrąbić do odwrotu, konia zdrętwiałego z wysiłku chorążego sam złapał za uzdę i poprowadził w stronę szyku krzyżowców. Kilkunastu rycerzom wskazał tę samą stronę i wspólnie z nimi uderzył, z łatwością przebijając się do hufca Szepiołki. Walczący wąż jeźdźców,

krok za krokiem, sam cofnął się o kilkanaście, wreszcie kilkadziesiąt kroków. Niestety, skrzydło pozostało zwinięte w tył, a żaden z rycerzy nie myślał już o zwycięstwie, tylko z niepokojem popatrywał na ustawiający się za plecami oddział Tartarów. Gdy już się zdawało, że klęska jest nieuchronna, od lasu dało się słyszeć dźwięk trąb i rogów. To śląskie wojsko ruszyło z lasu.

Stan księcia Henryka graniczył z wściekłością. Miał dobry, podstępny zamiar uderzyć ukrytym hufcem, gdy tylko pojawi się sposobność, to jest wtedy, gdy wróg użyje całości swoich sił, natomiast, przez zapalczywość Mieszka Otyłego Tartarowie, nie ruszając z miejsca tysięcznego odwodu stojącego spokojnie od walczących w odległości strzału z łuku, przeniknęli za polskie szyki, połączyli się w duży oddział i – wyraźnie lekceważąc hufczyk Henryka – zamierzali uderzyć w tył polskiego wojska. Żeby to udaremnić, Henryk musiał ujawnić swój odwód, czyli już nie tyle wygrać bitwę, co nie przegrać. Przeto wysłał księcia Bolesława Rogatkę do stojącego w lesie hufca i nakazał, aby wyszli z głosem trąb i zatrzymali się w miejscu, skąd on sam dowodził bitwą.

Wojda do tej pory nie widział niczego z toczącej się bitwy – tylko kilkanaście szeregów drzew podszytych krzewami. Stał w szyku jak inni, nasłuchiwał pilnie w całkowitej ciszy, bo zakazano jakichkolwiek rozmów. Niecierpliwiał się na narastający zgiełk walki, odgadywał, co może się dziać, popatrywał na twarze towarzyszy równie mocno podnieconych niewidzialną walką jak on sam. Każdy z nich rad był bodnąć konia ostrogami, wyjechać z lasu i skoczyć w krwawy wir, ale rozkazy były wyraźne, i to zagrożone karą gardłową – żadnego opuszczania szeregów, żadnego ruchu nawet, tylko czekać. Młodym wydało się wprost nieznośną udręką, bo młodość zniesie wszystko, prócz oczekiwania.

Wyobraźnia podpowiadała czekającym wojakom niestworzone rzeczy. Gdy głos się oddalał, myśleli, że bez ich udziału zwyciężają, a oni wciąż siedzą w tym bezpiecznym lesie jak tchórze. Gdy zaś zgiełk bitewny narastał, uznawali, że są bliscy klęski, las zaś w ich oczach zmieniał się w pułapkę bez wyjścia. Tak, las ich dusił, niezależnie od przebiegu bitwy. Nie wszystkich.

Starsi, otrząskani w bojach rycerze ze spokojem oglądali rzemienie upręży i broni, czy aby coś nie zawiedzie w największej potrzebie. Niektórzy, mimo siedzenia na końskich grzbietach, modlili się, kilku, co dziwne, drzemało, lekko podpierając się na drzewcach kopii wbitych w ściółkę tyłkami. Młodzi nie mogli temu się nadziwić, wymieniali znaczące spojrzenia, bo odezwać się nie było wolno.

Wreszcie coś się poruszyło między drzewami. Do szyku dotarło kilku jeźdźców, w tym młody książę Bolesław. Skinął na dowódców i na trębacza. Ten zagrał „naprzód”, czemu zawtórowały trąbki i rogi wszystkich chorągwi. Przywodziło to na myśl granie na łowach, ale tam nigdy nie było aż tylu naraz chętnych do bicia zwierzyny. Dreszcz przeszedł Wojdę – w takich łowach nigdy

jeszcze nie brał udziału, zaledwie o nich słyszał.

– Cały czas trzymajcie się blisko mnie – powiedział do ludzi ojciec Wojdy. – Nieważne, co będzie się działo. Ja patrzę na chorągiew, a wy na mnie. I ani się wazcie wyjeżdzać przed szyk. Zrozumiano?

Przytaknęli skwapliwie i już ruszyli.

Ledwie wyjechali z lasu, skończył się cienisty spokój. Słońce najpierw przeblaskami między gałęziami, wreszcie bez żadnych już zasłon, poraziło blaskiem, oślepiło tak, że nie od razu mogli rozeznąć, kto jest kim w hałaśliwej, zakurzonej już bitwie. Wojacy przesłaniali oczy, rozglądali się, jednocześnie słuchali rozkazów. Hufiec, ku ich rozczarowaniu, zatrzymał się, ale dzięki temu mogli swobodniej oglądać świat i oswoić się z jego niezwykłością.

Wojda pozerął zachłannie oczami te obrazy. Stał niemal pośrodku szyku. Nieco po prawej, tuż przed nim, usadowił się orszak księcia Henryka, ale widok księcia nic a nic Wojdę nie obchodził. Między głowami pierwszego szeregu widział szyk krakowski i krzyżowców, unoszący się nad nimi kurz z błyskami broni, z chorągwiami wystającymi gęsto ponad zamieszanie. Zapędzonych naprzód, nieposłusznych rozkazom Henryka szyków opolskich nie widział, bo zasłaniała je świta księżęca. Słyszał wrzawę, aż zapiszczały dziesiątki gwizdków i nagle szczęk broni ustał, a bitwa jakby zaczęła się oddalać. Spojrzał w stronę księcia, czy nakaże nacierać – zdawało się, że księżę jest bliski takiego postanowienia. Ktoś ciągle do niego przyjeżdżał i od niego odjeżdżał, dostojni wodzowie mówili mu o czymś zawzięcie, lecz księżę tylko się rozglądał, zagryzał wąsa i upragnionego rozkazu nie wydawał.

Wrzawa bitewna całkiem ustała, kurz nieco opadł, wojska Tartarów rozstawiły się w trzech dużych szykach w odległości dwustu, może trzystu kroków od polskich hufców. Wojda wyciągał szyję, aby niczego nie uronić z mających nastąpić wydarzeń.

Polskie szyki cofnęły się, zbliżyły do niego, a wtedy, jakby na niewidzialny znak, znad szyków tartarskich podniosły się chmury, które na chwilę zatrzymały się wysoko w górze, po czym spadły na polski szyk. Nawet na te trzysta kroków wyraźnie było słyhać kwiki ranionych koni i przekleństwa ludzi. Tak oto trzy razy na oczach Wojdy chmury strzał wznosiły się, po czym opadały śmiertelnie groźnym deszczem. Wojda widział jeszcze odrywających się od tartarskich szyków jeźdźców, niektórzy okuci w łuski od stóp do głów, łącznie z twarzami i ramionami, w zbrojach z daleka w ostrym słońcu błyszczących niczym sopte lodu. Kilku dzierżyło w dłoniach dziwne znaki: wielkie głowy okryte włosem. Za nimi zaś trwał niezrozumiały ruch szyków tartarskich, bo oddział, co był prosto przed Wojdą, przesunął się nieco w prawo, a ten, co stał daleko na lewo, jechał w jego miejsce. Wojda nie widział polskiego prawego skrzydła, nie wiedział więc, co robi jeszcze jeden – jak mniemał – oddział Tartarów.

Błyszczący pancerzami chorążowie dojechali tuż do polskiego szyku. Poprzedzał ich rój strzał, aż konie kilku rycerzy z pierwszych szeregów padły martwe, inne, zranione, klękały bądź szalały z bólu. Ludzie też padali, nikt więc nie wyjechał przed skłębione szeregi, żeby dopaść samotnych jeźdźców. Ci zaś potrzęsali wieszonymi głowami na włóczniach, aż zaczęły z nich wydzielać się kłęby dymu. Z daleka wyglądało to niegroźnie, zresztą można było pomylić dym z kurzem. Był jednak czymś innym.

Z trudem łapiący dech Bolesław Dypoldowic Szepiołka patrzył niemalże bezradnie na to, co się działo. Już mu ubyło z szeregów ponad stu ludzi najciężej rannych i zabitych. Właściwie każdy był mniej lub bardziej ranny, jedni drugim próbowali udzielać pomocy, opatrywali, poili. Mimo niezbyt długiego trwania bitwy rycerze odczuwali mocne zmęczenie. Kilku ludzi omdlewało mimo niewielkich ran od strzał – widocznie zatrutych. Nie było czasu tym się zajmować, bo już leciały następne pociski. Szepiołka nie pragnął już natarcia na wrogów, pragnął oderwania się od nich i odpoczynku. Osłaniając głowę tarczą, po prawej ze zgrozą zobaczył, że Opolanie znów go wyprzedzili, co gorsza – oderwali się całkiem. Byli skotłowani ostrzałem jeszcze mocniej niż wojsko krzyżowców, które walczyło najdłużej ze wszystkich. Dypoldowic chciał coś na to poradzić, ale wtenczas dojechali do szyków polskich owi chorążowie Tartarów wiozący dymiące głowy – strzelali do nich polscy kusznicy, strzały odbijały się jednak od łusek zbroi jeźdźców i ich koni.

Opancerzeni tartarscy jeźdźcy zatoczyli kręgi i o kilkanaście kroków przed szykami krzyżowców i Opolan skręcili w lewo, jednocześnie pochylając dzierżone w rękach drzewce. Z paszcz głów na ich końcach buchnęły gwałtowne płomienie z kłębami gęstego, szarego dymu spychanego lekkim, wschodnim wiatrem na chrześcijan. Kto go powąchał, zaczynał niepowstrzymanie kichać, prychać i trzeć oczy.

Strzały nie leciały może tak gęsto jak wcześniej, ale nieustannie.

Po raz wtóry w tej bitwie Mieszko zdjął hełm, co teraz, po zmęczeniu, więcej mu przeszkadzał, niż pomagał. Jak inni oczy miał załzawione, kichał mocno, a z nosa leciał mu śluz. Aby wyjść z gryzącego dymu, jego oddział samorzutnie przesunął się w prawo, oddalając jeszcze od głównego wojska. Do załzawionego księcia dopadli gońcy i obaj zgodnie mówili: – Trzeba się cofnąć, natychmiast.

Dym przeszedł, ale lunęły strzały i to z trzech stron jednocześnie. Księżę otarł twarz zmoczoną chustką, rozejrzał się osłonięty tarczami towarzyszy. Nieco po skosie w lewo stał duży oddział Tartarów, co właśnie chowali łuki i brali na nowo w ręce lekko krzywe miecze. Naprzeciw był drugi oddział, równie liczny. Trzeci zaś przemiescił się prawie za strumień. Ledwie księżę się rozejrzał, w szyk Opolan Tartarowie uderzyli z trzech stron: z lewej, od czoła i od tyłu. O dziwo, droga na południe pozostała otwarta, bo trzeci hufiec Tartarów zniknął. Mieszko

włożył hełm i bił się ofiarnie początkowo w półkolu, wreszcie w kole, bo najeźdźcy mający znaczną przewagę, otoczyli Polaków. Księżę tracił dech, jednocześnie złorzeczył Henrykowi, że zostawia w potrzebie waleczne wojsko. Wyczerpany Mieszko nie miał siły ani ochoty na dalszą walkę, nie widział znikąd pomocy. Osaczały go wrogie wojska, odcinały od reszty szyku, właściwie odepchnęły od niego jeszcze bardziej, na sto dwadzieścia, sto pięćdziesiąt kroków. I gdy już myślał, że zguba jest bliska, Tartarowie odступili od czoła, ale ci z tyłu nadal napierali i było ich dosyć, żeby wziąć górę nad chrześcijanami. Ranny w twarz kasztelan raciborski krzyczał do niego, potrząsnął nim i do księcia wreszcie dotarło zdanie: – Przebijmy się do naszych! Jak najszybciej, bo nas tu wytną!

– A Henryk? Dlaczego nie uderza? – prawie płacząco zapytał rozbity władca małego księstwa.

– Nie może uderzyć, bo wtedy i jego osacza. Przebijmy się, póki jeszcze walczyliśmy!

– Zostawił nas, nie skorzystał ze zwycięstwa – mówił Mieszko.

– Nie czas na żale! Cofnijmy się, a chyżo! – namawiał kasztelan, wycierając rękawicą krew napływającą mu na oczy. Widząc jednak, że niewiele może wskórać, sam zaczął wydawać rozkazy, aby – mimo walki – zgromadzić choć setkę ludzi do uderzenia w lewo, gdzie Tartarowie znów ruszyli na szyk krzyżowców.

Stało się jednak inaczej.

Opolanie bili się dzielnie, chociaż jeszcze wielu z nich miało oczy podrażnione piekielnymi dymami. Bili się szykiem odwróconym i każdy z wielkim niepokojem patrzył za siebie, gdzie w odległości dwustu kroków majaczył potężny hufiec Tartarów.

Ordu wiedział, że nie zmoże polskich sił w tym miejscu. Jego ludzie i konie byli zmęczeni pospiesznym pochodem trwającym ostatnie dwa dni i dwie noce. Miał jeszcze odwód – dwa tysiące najlepiej uzbrojonych ludzi – ale nie chciał marnować go w walce. Przeciwnik okazał się dobrym dowódcą, długo chował odwód w lesie i mało brakło, a wygrałby bitwę. Skoro pięć tysięcy ludzi nie zmożło tych niespełna dwóch tysięcy, z którymi przyszło walczyć twarzą w twarz, skoro nie dali się wciągnąć w pościg, bitwę trzeba było przerwać, żeby dać odpocząć ludziom i koniom, cofnąć się i uderzyć pod wieczór, gdy tamci będą świętowali zwycięstwo – tak to sobie Ordu przemyślał. Dawał więc znaki do niezbyt zawziętych natarć, aby tylko osłonić działania odwrotowe, zwłaszcza zebrać z pola bitwy rannych i zabitych. Wielu ich było, nazbyt wielu. I gdy te zajęcia miały się ku ukończeniu, obraz bitwy uległ zmianie.

Pomysłowy wódz hufca na lewym skrzydle Tartarów ustawił wojsko jakby do następnego natarcia. Kazał strzelić z łuków, co zaiste piękny w jego oczach przedstawiało widok. Następnie pchnął nieco naprzód dwie setki ludzi, przed nimi Rusina – służalca, żeby zasiał niepewność w polskim wojsku. Niech wreszcie

przestaną walczyć, niech się obróca w stronę głównych sił Tartarów.

Łaszący się niczym pies kniazik gotów był nawet gównem zeżreć, aby przysłużyć się nowym panom. Zerwał z głowy szyszak, naciął nożem twarz, a krew roztałał po włosach i czole. Krasny płaszcz odrzucił precz – po bitwie dostanie dwa takie same! – po czym nie dobywając broni, pojechał, jakby go ktoś ścigał, z nim kilku jego ludzi, i od razu wrzeszczał: – Lachy! Lachy! Ja wasz! Lachy! Pomilujcie!

Szybko znaleźli się w pobliżu, czyli na tyłach odwróconego opolskiego wojska, gdzie szykowano hufczyk do natarcia w stronę polskich sił głównych. Rycerze nastawili broń, ale Rusini jeździli wzdłuż szyku pośród świszczących strzał.

– Lachy! My raby wasze, my uciekli do was, my krestijany! Lachy, biegajcie! Biegajcie! Otaczajut was, wszech, wasz kniaź ubit! Biegajcie! Biegajcie! – ich kniaź wrzeszczał grubym głosem, jakiego żaden mnich nie powstydzilby się w cerkwi, tedy przez bitewny zgiełk prawie każdy słyszał owo „biegajcie, biegajcie!”.

Wtedy stało się najgorsze.

Kilkunastu ludzi, nie widzących nic, prócz napierających zewsząd wrogów, uznało, że już po bitwie, i uszyli w jedyną wolną stronę, drogą na południe do Jawora. Wkrótce pojechało za nimi kilkudziesięciu następnych, a gdy ksiązę Mieszko, chcąc zobaczyć, co się dzieje, ruszył w tamtą stronę, pojechał za nim chorąży z wielką niebieską chorągwią ze złotym orłem i wszyscy ruszyli za tą chorągwią, uznając, że tak trzeba. I już nie dało ich się zatrzymać.

W jednej chwili cały hufiec uciekł z pola bitwy.

Mieszko próbował zatrzymać ludzi, ale porwany falą uchodzących, poddał się jej, początkowo klnąc we wściekłości siebie, potem Henryka, aż – zrozumiawszy co w istocie się stało – bezsilnie płacząc.

Niewielu Tartarów ścigało Opolan, ci zaś myśleli, że są jedynymi ocalonymi z bitwy, zatem się nie zatrzymywali, póki konie nie zaczęły im ustawać.

A Rusini? Wrócili do swoich panów, którzy pochwalili ich jak dobre psy. Z jednego nawet żartowano, bo miał w plecach tartarską strzałę. Kwiczał trochę z bólu. Rana była płytka, niegroźna, bo strzały nie zatruto, łatwa więc do zagojenia, zwłaszcza że natychmiast posmarowano ją szczerem złotem.

KREW

Bitewny szal śmiertelna wrzawa

Tysiące strzał bolesne razy

Pragnienie nie do ugaszenia

I lęk co już go nie przestraszysz.

Książę Henryk ze zgrozą patrzył na znikanie w oddali całego prawego skrzydła jego wojsk, po którym został jeno kurz. W szyku ziała wielka dziura, w niej już uwijały się małe grupki Tartarów dobijające polskich rannych. Dalej zaś widniały jeszcze nieruchome szyki Tartarów, wielkie, gotowe do walki. Za nimi wyraźnie już było widać, bo słońce zdążyło się przesunąć w prawo, oddział dowództwa. Henryk ujrzał więc bujający się trójgoniasty znak.

– Gorze nam się stało... – powiedział zmartwiałym głosem do otoczenia, co wściekle na Mieszka jeszcze nie pojmowało w pełni nieszczęścia, jakie się wydarzyło.

Tymczasem wojska Tartarów odstąpiły od polskich szyków i sprawnie zbierały się w trzy hufce. Teraz śmiało można było liczyć, że jest ich niemal trzy razy tyle co pozostałych na polu walki chrześcijan. Wojska małopolsko-sandomierskie i krzyżowców powoli cofały się w stronę hufca Henryka, ten zaś swój hufiec przesunął w prawo. Najeźdźcy nie mieli jednak zamiaru pozwolić na ziszczenie polskich zamiarów: obrony w miejscu do tego dogodnym. Cofnęli się tylko po to, żeby szyki uporządkować, a ledwie je wyrównali, natarli wszyscy naraz na cofające się oddziały.

Henryk zdjął z głowy mały, składany diadem. Jeden sługa wziął z rąk księcia oznakę władzy, drugi podał panu hełm garczkowy z klejnotem w kształcie czarnego pół orła, z wystającym grzebieniem pawich piór. Tył hełmu zasłaniała długa, czarno-żółta chusta, wycinana w łagodne zęby. Wojsko w zniecierpliwieniu czekało, co będzie dalej.

Książę upewnił się jeszcze, czy byle ruch nie zerwie hełmu z głowy, i dudniącym głosem wydał rozkaz, którego wszyscy pragnęli od ponad dwóch godzin.

– Naprzód! – Wskazał mieczem nabierający pędu hufiec Tartarów mierzący w dziurę na prawym skrzydle.

Zabrzmiały trąby i rogi. Jeźdźcy ruszyli ławą bez zwyczajowego śpiewu podniosłej pieśni. Wielu modliło się jednak w duchu, czując ogromne wzruszenie. Tego też doświadczył nowicjusz Wojda w spiczastym szłomie, z twarzą zasłoniętą kolczugą zaczepioną o nosal. Nawet łzy napłynęły mu do oczu, ale w miarę rozpędzania się z całym szykiem, wiatr je osuszył. Po stu krokach truchtu odezwały

się rozkazy dowódców chorągwi, powielone przez kasztelanów: – Klusem!

Konie przeszły więc w klus.

Tętent kopyt zagłuszył w myślach Wojdy słowa *Kyrie eleison*, które z całej litanii prośb do Boga jako jedyne ustawicznie powtarzał, bo do reszty głowy w tej chwili nie miał. Teraz liczył się tylko widok przed nim.

W odległości najwyżej dwustu kroków pędziła bura chmara najeżona włóczyniami. O dziwo, w tym pędzie odrywały się od niej strzały.

Padł rozkaz: – Tarcze!

Rycerstwo pochyliło się nad końskie szyje i uniosło tarcze. Za chwilę niezbyt gęsty deszcz pocisków uderzył w szyk, ale nie uczynił większej krzywdy. Dopiero druga chmura strzał, co przyleciała z boku, z naprzeciwka szyku krzyżowców, narobiła szkód. Kilka koni przekoziołkowało, jeden zakręcił się w miejscu i zanim sam upadł, obalił konia jadącego z tyłu. Nie było jednak czasu na myślenie o tym, padł bowiem następny rozkaz: – Kopie do boju!

Las kopii i włóczni pochylił się i grot drugiego szeregu znalazły się między łbami koni szeregu pierwszego.

Wojda zebrał się w sobie, pochylił, wdepnął strzemiona, udami ścisnął siodło tak, że zaparł się o tylny łęk. Mocno ujął kopię pod pachę i patrzył już tylko na grot. Jego koń przeskoczył nad zwłokami raz, drugi i trzeci, ale jeździec wcale na to nie zważał. Wrogowie byli już tylko o sto, osiemdziesiąt, sześćdziesiąt kroków...

– Galopem!

Wystarczyło popuścić wodze, a bojowe rumaki same przyśpieszyły. Po przeciwnej stronie piekielni jeźdźcy sieknęli konie nahajkami i bardziej wysunęli włócznie. Podnieśli ogłuszający wrzask, obcy, jakby wycie i mielenie jęzorem jednocześnie, a i tak przebiły się przez ten jazgot polskie rozkazy, całkiem zbyteczne już w tej chwili, ale musiały paść, żeby zwyczajowi stało się zadość: – W nich bij!

– Bij! – całe wojsko zakrzyknęło ogłuszająco w odpowiedzi i w tej właśnie chwili starły się dwie fale z ogromnym łoskotem i trzaskiem łamanych drzewc.

Wojda zrobił to, co tysiące razy dotychczas powtarzał tylko w gonieniu do nieruchomego bądź rozbujanego wieńca albo próbując podnieść kopią chustkę z ziemi. Patrzył już nie na drgający, chwiejący się grot, lecz w miejsce, gdzie miał on trafić. Po drugiej stronie szybko przybliżali się do niego nie brunatni jeźdźcy, jak to się wydawało z daleka, lecz pstrokaci, skuleni na końskich karkach, osłonięci okrągłymi tarczami, że ledwie było im oczy widać. Nie było miejsca, aby inaczej złożyć się do ciosów niż jeden na jednego. Włócznia tamtego, przełożona na ukos nad głową konia, mierzyła nisko, wzdłuż lewej strony szyi Wojdowego ogiera, niemal w nasadę. Wyraźnie chciał zmieścić grot pod tarczą Polaka, żeby ugodzić go w brzuch lub pachwinę. Wojda mierzył nieco wyżej i właśnie tam patrzył – w szparę między tarczą Tartara a skórzanym, spiczastym szyszakiem z daszkiem,

w skośne ślepie. Tartar zauważył to i uchylił się nieco w prawo, a za tym ruchem poszła jego włócznia. Grot zranił tylko turzy róg na długiej, trójkątnej tarczy Wojdy, rozcinając go na pół, dalej zaś w mgnieniu oka nieszkodliwie przebił powietrze za giermkim. Patrzący cały czas na cel, Wojda nawet nie starał się o ruch ręką, bo ona sama uczyniła to, co trzeba: grot podążył za nieprzyjacielem i polski wojak poczuł mocne szarpnięcie – czubek kopii ułamał się po przebicciu głowy wroga.

Nie było jednak czasu, żeby sprawdzać, czy przeciwnik spadł z konia, bo – jak tłumaczyli doświadczeni rycerze – trzeba było patrzeć przed siebie i się nie zatrzymywać. Tam jeżyły się następne wymierzone w Wojdę grot. Jeden z nich chybił. Drugi trafił w tarczę, przebijając ją i łamiąc się jednocześnie, szczęśliwie nie czyniąc rany, ale Wojda omal nie wypadł z siodła, tak silne było uderzenie. To samo spotkało przeciwnika, którego siodło nie miało wysokiego łęku, Tartar zabujał się więc niebezpiecznie. Polak, mijając go, próbował zahaczyć ułamkiem kopii, ale nie trafił. Nie patrzył, co było dalej, bo przed nim wyłonił się następny konny wróg – potem mógłby się chwalić, że go celowo obalił, ale nigdy tak nie powiedział. Zderzenie było przypadkowe, koń Tartara był mniejszy, upadł więc z jeźdźcem. Tylko na chwilę powstrzymało to Wojdę. Coś go uderzyło w plecy, ale nieszkodliwie. I oto za chwilę ukochanego dziewczury od pustej przestrzeni dzieliło już tylko dwóch wrogów.

Po drugiej stronie niebawem miało przybyć nieprzyjaciół.

Śląskie rycerstwo nie przebiło się przez szyk Tartarów, żeby zawrócić, jeszcze raz uderzyć we wrogów i tym samym rozbić w puch. Lżej zbrojni najeźdźcy ugięli się jeszcze pod naporem śląskim, ale ich zachwiany szyk wsparło kilka oddziałów i wkrótce zaczęła się walka w ścisku. Co prawda śląscy rycerze szybko wybili nieprzyjaciół zapędzonych między nich, ale było to wszystko, co na razie mogli uczynić.

Wojda znalazłszy się przy Dobroszu, musiał osłaniać tarczą łeb konia, bo Tartarowie chcieli go ranić. Rycerze i inni giermkowie siekli mieczami i kłuli to, co się dało po drugiej stronie. Niestety, u Tartarów uchowało się sporo włóczni, dźgali więc nimi groźnie i tylko pancerzom polscy wojownicy zawdzięczali brak śmiertelnych ran, a naczółkom i kropierzom to, że nie potracili rumaków. Wkrótce stało się pewne, że uderzenie jest konieczne, aby zwyciężyć, a żeby uderzyć, trzeba zyskać więcej miejsca.

Tartarowie pojęli, że nie zmogą przeciwnika, co prawda ranią konie, ale ludzie są dla nich nieosiągalni, bo trzeba za blisko podejść do furkoczących mieczy. Za dużo żelaza. W dodatku po zatrzymaniu hufca zaczęli strzelać polscy kusznicy i to z dużym powodzeniem.

Książę Henryk zdjął hełm i wzrokiem szacował dalsze możliwości działania. Tyle razy zżymał się dziś na tych, co przekraczali drogę do Jawora, a teraz sam ją

przeszedł w walce. O jej zaciętości świadczyły dogorywające w kurzu tuż za plecami walczących Polaków dziesiątki drgających jeszcze ciał ludzkich i końskich. Ranni usiłovali odejść z pobojuwiska jak najszybciej, żeby bitewny wał nie przetoczył się po nich po raz wtóry. Na chwilę ucieszyło się serce wodza, że większość zarówno zwłok, jak i rannych należała do najeźdźców.

O ile w szybkim starciu lżej zbrojni najeźdźcy ponieśli znaczne straty, to zmagania w ścisku były coraz bardziej, a nawet całkowicie jałowe. Z tego wyjście książę Henryk wymyślił proste: nacierać, aż pęknie szyk przeciwników, wtedy rycerze zyskają swobodę walki. Dałoby się wówczas uderzyć na tyły Tartarów naciskających na szyk krzyżowców i Małopolan. Książę nadal jednak się obawiał, że nie wszystkie wrogie siły przystąpiły do boju, dlatego z narażeniem zdrowia i życia się rozglądał na wszystkie strony.

Wrogie oddziały próbowały przebrnąć strumień, nie były duże i łatwo dałoby się je zegnać z pola.

Z wątego szyku krzyżowców wypadalo coraz więcej rannych czy omdlałych walką.

Co było na lewym skrzydle polskich wojsk książę nie widział, bo tysiące kopyt podniosły taki pył, że walczący ginęli z oczu w mętnej dali. Można było tylko się domyślać, że tam nie było lepiej – wszędzie wróg walczył w znacznej przewadze.

Książę spojrzal w stronę dowództwa Tartarów. Przybliżyło się ono ku bitwie i stanęło bardziej pośrodku pola, żeby mieć ogląd na wszystko. Można było dostrzec, że na ich czele, na białym koniu, siedzi ktoś w złocistym pancerzu. Towarzyszyło mu jednak już nie kilkunastu chorążych, gońców i doradców, lecz ze dwie setki wojowników w żelaznych pancerzach.

Henrykowi przysła wówczas do głowy rycerska prosta myśl: Przebić się tam i uderzyć prosto w głowę piekielnego najazdu. Zabić to wcielone zło mieczem, posiekać na kawałki i wysłać tam, skąd przyszło – do piekieł. Już miał wydawać podobne rozkazy, ale czarny, trójgoniasty sztandar znów się rozbijał i to mocno; dotychczasowe, podobne tym ostatnim, bujnięcia – co książę zaobserwował kilka razy – powodowały znaczne przesunięcia hufców tartarskich. Henryk spodziewał się zatem, że i teraz nie będzie inaczej. Rozglądał się więc, ale nie działo się nic niepokojącego. Miał już z tego się cieszyć, gdy pojął, że skoro nic nie zmieniło się w zasięgu jego wzroku, to owe gwałtowne znaki dawano komuś, kogo nie widział. Komu?

Znów popatrzył na wschód, na wodza Tartarów. Gdzie on patrzy? W którą stronę obraca głowę? Przywołał do siebie jednego z gońców.

– Masz dobre oczy. Widzisz tego tam, w pozłocistej zbroi?

Wojak popatrzył w tamtą stronę, przysłaniając oczy od słońca dłonią w rękawicy.

– Widzę.

– Gdzie on patrzy?

Młodzieniec przyjrzał się nieco uważniej i zaraz powiedział: – Tak jakby... na nas.

Henryk spojrział w stronę tego tam, w połocistej zbroi, rzeczywiście, tak jakby patrzył on i jego pobratymcy na niego, i zrobiło mu się nieswojo, jednocześnie ogarnęła go złość. Jakżeby chciał dać popróbować miecza tym bezecnym przekleńnikom!

Ku księciu zbliżył się goniec od Bolesława Dypoldowica – niemiłosiernie zakurzony, zbryzgany krwią, na utykającym koniu – nawet się nie uklonił, tylko powiedział zdyszczanym głosem: – Panie, wódz mówi, że dłużej nie wytrwamy. Pozwól albo się cofnąć, albo nas wesprzyj. Inaczej nie zdzierzemy!

Księżę zastanawiał się chwilę, ale zaraz podjechał następny goniec – miał w tarczy z dziesięć strzał i po jednej w ramieniu oraz nodze, jego koń krwawił z kilku ran. Księżę rozpoznał w nim wojownika ze zwiadu wysłanego poza lewe skrzydło. Ten nie powiedział, ale wykrzyczał: – Panie! Wielkie wojsko Tartarów! Idą na nas od tyłu.

– Skąd?

Wojak ciężko dysząc pokazał na północ, czyli na strumień za lewym skrzydłem. Henryk spojrział w ślad za palcem rycerza; rzeczywiście, zaroilo się na tyłach i naraz w wielu miejscach pojawiły się pośród drzew dziesiątki, a wkrótce setki konnych. Nieco inaczej wyglądali od tych, z którymi już się potykano – ci mieli błyszczące pancerze i hełmy, co słońce ujawniało w całej krasie. Henryk patrzył z niedowierzaniem, oblewał go to gorący, to zimny pot, chociaż to przewidywał – kilka razy przez myśl mu już przeszło, że z niecałymi siłami wrogów wojuje. Niestety, nie mylił się i właściwie nic nie mógł już zrobić, przecież wystawił na pole całe wojsko, jakie posiadał. Co prawda zamierzał oderwać się od nieprzyjaciół i jeszcze raz w nich uderzyć pędem pancernego rycerstwa, lecz... teraz na cokolwiek było za późno. Należało myśleć nie o pogromie wrogów czy o zwycięskim odparciu przeciwników, lecz o ocaleniu życia. Gdybyż Mieszko zawrócił, pomyślał jeszcze beznadziejnie marzycielsko, nawet spojrział na południe, gdzie uwijało się jeszcze kilka dziesiątek Tartarów.

– Ty wracaj do Bolesława Dypoldowica i powiedz mu – gdy otrząsnął się z zadumy, nakazał czekającemu gońcowi – żeby przebijał się do przodu. Ty zaś – zwrócił się do drugiego, poranionego gońca – powiedz wodzowi Sulisławowi, żeby natarł mocno na Tartarów i nie odrywał się od szyku Szepiołki. Ja uderzę w tych, co się ustawiają na naszych tyłach. Zrozumieliście?

Księżę wprawdzie powiódł wzrokiem za oddalającymi się posłańcami, ale nie mógł nie widzieć wrogich szyków. Te nie czekały na zniszczenie obietnic Henryka, rozstawiały się właśnie, zajmując gęsto między strumieniami całą

przestrzeń przed lasem, której zaledwie połowę wypełniał niewiele wcześniej pięcioszeregowy szyk śląskich wojsk.

Nad Tartarami nie było chorągwi, kolebały się dziesiątki końskich ogonów na drzewcach i tysiączne odbłyśki od grotów długich włóczni. Książę kazał wyciągnąć z walki syna, Bolesława, i wskazał mu nowe niebezpieczeństwo.

– Gdy nastąpią, będzie po nas. Na razie się ustawiają. Musimy dać im odpór albo się przebić. Nie spodziewają się tego drugiego. Weź trzy setki ludzi i uderz klinem. Mierz w jedną trzecią ich szyku, o tam! – wskazał palcem.

– Ojciec, chyba nie damy rady. Samych tych pancernych jest więcej niż całego naszego wojska. Na cośmy się poważyli – mówił z niezwykłą powagą młody książę. – Zobacz, co się dzieje.

Nie tylko oni widzieli nowe zagrożenie. Z całych polskich szyków wyjeżdżały gromadki jeźdźców i pierzchały w wolne od Tartarów miejsca. Jeden oddział przejechał między Ślązakami a Tartarami, na kilka chwil utknął w podmokłych brzegach strumienia, po czym w całkowitym rozproszeniu ruszył na południe, odcinając się po drodze nielicznej pogoni, i zniknął w kurzu podniesionym z drogi.

Henryk powiedział: – Coś musimy czynić.

– Może rozproszymy wojsko? Uderzą w puste miejsce.

– Co chcesz rozpraszać?! – książę wrzasnął. – Samo się wszystko rozprasza! Bierz ludzi i uderzaj, potem zawróć i uderzaj jeszcze raz!

Bolesław nic na to nie powiedział, ale wyznaczył oddziały dziesięciu kasztelanii do wyjścia z szyku, w tym kasztelanii ryczyńskiej. Natychmiast w dziury po oddziałach zaczęli pchać się wojownicy Tartarów, wówczas, korzystając z uczynionego luzu, polscy rycerze wysiekli ich, co prawda w wielkim zamieszaniu, lecz wreszcie całkiem swobodnie.

Ledwie Bolesław ustawił wojsko, rozległy się gwizdy piszczałek. Ciężkozbrojne wojsko Tartarów podniosło wrzask i ruszyło do natarcia. Zadudniła ziemia. Bolesław Rogatka wydał kilka rozkazów, po czym, choć niezbyt religijny, spojrzął w niebo bez żadnej nadziei, acz z rozpaczą w sercu, przeżegnał się i mocniej ujął miecz, machnął nim i ruszył tak, jak rozkazał Henryk. W miarę postępu szyk wydłużał się w szpic, jego szerokość malała, i wkrótce przybrał postać klina.

Wojda i Dobrosz znaleźli się w tym klinie. Jechali obok siebie i mieli tylko tyle czasu, żeby ojciec pouczył syna: – Trzymaj się blisko.

Trzymał się więc blisko, tuż za nim śmieszek Witosza, jego ojciec Chwalibóg i inni towarzysze. Niestety, nie wszyscy z tych, co przez ostatnie dni i o ostatnim poranku dokazywali. Kilku leżało nieruchomo na poboju i kopyta wciąż ich miażdżyły, kilku, rannych, chowało się w środku klina – jeden, mimo braku konia, nie oderwał się od wojska i biegł w zbroi, uchwyciwszy się

końskiego ogona któregoś z giermków, aby tylko nie pozostać poza szykami.

Przed Dobroszem jechał ich kasztelan Bogusław i chorąży z małą chorągwią kasztelanii ryczyńskiej, tuż obok mała chorągiew całej ziemi śląskiej, młodego księcia Bolesława – wielka została przy księciu Henryku. Bolesław dobrze prowadził natarcie, nie rozpędzając koni od razu, dopiero tuż przed starciem. Nim zjechali się z wrogami, opadł ich rój strzał, ale niezbyt szkodliwie, bo ani gęsty, ani zanadto celny.

Wojda jechał tak jak inni, bacząc tylko, aby koń się nie rozbiegał i nie wyrwał przed szyk, bo to oznaczałoby pewną śmierć. Przed sobą dokładnie rozpoznawał Tartarów. Nie wydawali się już diabłami, bo przecież zdołał zabić co najmniej jednego, byli ludźmi, odmiennymi, ale ludźmi. Młodzieniec aż dziwił się sobie, że w tej chwili, gdy waży się jego życie, myśli o wyglądzie wrogów, ale wszystko u nich było inne: konie, siodła, kształt włóczni czy zakrzywione miecze albo łuki. Szłomy mieli dziwne – spiczaste, ale jakby rozdmuchane, z małymi daszkami i bez nosali. Panczerze różniły się od tych, jakie się w Polsce spotykało: jakby ktoś równą rybią łuskę nastroszył bardzo gęsto i tak zostawił. Wielu miało zdobyczne kolczugi, ale polskie czy ruskie – tego już młodzieniec nie rozeznawał, bo musiał walczyć.

Znów przyszło Wojdzie działać tak, jak to wielokrotnie ćwiczył. Mieli przebić się przez wrogi szyk takim oto sposobem: pierwszy rycerz podbijał broń przeciwnika, drugi zadawał śmiertelny cios i nie zatrzymywał się, nie poprawiał – poprawiał następny w szyku. Tak też czynili i zadziało. Co prawda Tartarowie ugodzili włóczniami kilka koni, udało im się strącić na ziemię dwóch rycerzy, ale wkrótce doszło do walki w zwarciu, gdzie długa broń przeszkadzała. Dobrosz z wielką biegłością podbijał raz po razie groty dwóch włóczni ponad głowy walczących, a jadący za nim Wojda uciał mieczem czyjąś dłoń, następnie pchnął od dołu, bo nie zdążył unieść miecza do ciosu. Pchnięcie uczynione przypadkowo trafiło w szyję Tartara, który upuścił broń i tyle go Wojda widział, bo już ścierał się z następnym włócznikiem, co miał odbitą w górę włócznie. Chciał sieknąć go w głowę, ale tamten się uchylił i Wojda trafił w obojczyk. Wystarczyło. Omdlały z bólu jeździec zsunął się z konia. Chłopak nie poprawiał, bo już miał do czynienia z kolejnym wrogiem. Dostał od niego pchnięcie włócznie, niecelne – poszło od prawej strony po lewym boku, pod tarczą, ale rozpruło kolczugę. Młodzieniec tym się nie przejął, bo już tamtego mijał, już samym naciskiem na drzewce włóczni wylamywał ją z ręki. Nie zastanawiając się wiele, zakręcił mieczem nad głową i ciał z rozmachem. Trafił od tyłu w kark Tartara. Trzasnęły drzewce włóczni i dziwny hełm z całą zawartością spadły na ziemię. Biłby się Wojda jeszcze, ale... już nie miał z kim, bo cały hufiec przedarł się przez szyk Tartarów i, niestety, jechał dalej, a Bolesław zdołał zatrzymać go dopiero pod lasem. Tu obrócili konie, musieli się uporządkować, poprawić oprzędzenie i broń, i znów uderzyć. Ale

uderzyć już się nie dało.

Wał Tartarów właśnie dojechał do polskich szyków na całym polu bitwy. Zawracający konie rycerze śląscy oddziału Bolesława widzieli, że wszystko to, co tak dzielnie walczyło i trwało, pęka na części, tworzy się kilka wielkich wirów wciągających ludzi i konie w odmęt śmierci.

Od ławy tartarskich jeźdźców oderwało się kilka setek wojowników, za nimi następne kilka setek. Ciężkozbrojna jazda też miała łuki i wkrótce leciały na Bolesława i jego ludzi chmury strzał: po tysiąc, po tysiąc, po tysiąc. Polski szyk chwiało się, konie podskakiwały i wierzgały od bolesnych trafień, jeden nawet poniósł jeźdźca w ślepy strachu, nie zważając na ostrogi i wodze.

– Naprzód! – Bolesław krzyknął, ale nie pojechał, żeby przebić się do ojca zgodnie z rozkazem, bo od czoła złożył się do walki hufiec Tartarów, a inne zachodziły już z boków. Bitwa oddalała się na wschód, północ i południe. Śląscy rycerze zdążyli ujechać zaledwie kilkanaście kroków, gdy opadły ich ciężkozbrojne wojska Tartarów.

Książę niedługo patrzył za natarciem syna, wydał rozkaz do uderzenia na Tartarów na wschód, tak jak próbowali czynić karni rycerze krzyżowców i małopolscy, założył piękny hełm i na czele przybocznego pocztu ruszył pędem do walki. Po krótkim starciu z całym nieustępliwym jak osy tłumem wrogów przedarli się, a w ślad za nimi kto tylko zdążył. Henryk, tak jak wcześniej Mieszko opolski, zamierzał dalej prowadzić natarcie w lewo, żeby ulżyć wojsku krzyżowców, lecz było to już niemożliwe.

Siły Tartarów, z którymi się zmagał od dłuższego czasu, ustąpiły całkiem, cofając się o sto kroków. Tam się uporządkowali i jakby na coś czekali. Oczywiście na uderzenie ciężkozbrojnej jazdy, co zachwiała się trochę w starciu ze śląskim klinem Bolesława, ale poszła dalej i właśnie osiągnęła tyły polskich szyków. Z oddziału krzyżowców znów wyrwało się kilkunastu jeźdźców i uciekało jak najdalej od bitwy, na północny wschód. Podobnie zakurzyło się na lewym skrzydle polskim – to części Małopolan udało się wyrwać z paści, czego polski głównodowodzący widzieć nie mógł. Na polu bitwy pozostały niewielkie już oddziały skupione wokół Sulisława, Szepiołki i Henryka. Dla tego ostatniego jeszcze widać było drogę do ucieczki – na południe. Książę rozumiał, że jest w saku i z garścią dwustu, trzystu ludzi nic już nie osiągnie przeciw tysiącom. Zatem mimo ulewy strzał, krzyknął: – Z Bogiem, moje dzieci! – Tym samym dał znak do uderzenia na południe, wzdłuż drogi, której nie chciał przekraczać. Jednocześnie z trzech stron uderzyły na niego tysięczne szyki Tartarów – mierzyli w jedno miejsce: w wielką chorągiew z czarnym orłem na złotym polu.

To, że Tartarów było tak wielu, wcale im nie pomogło. Ich szyki wymieszały się ze sobą i większość sił uderzyła w pustkę. W tym czasie śląski hufiec przesunął się na południe i walczył ze skrajnymi oddziałami. Nacisk bitewny spowodował, że

starcie zboczyło jednak z drogi i przesunęło się na południowy wschód. Wreszcie z ogromnej kurzawy wyjechał śląski oddział – poobijany, uszczuplony, ale nadal zwarty i gotów do walki. Do ostatniej walki, bo zarówno z prawej, jak i z lewej strony przeskrydlały go oddziały Tartarów – każdy znacznie liczniejszy, mniej poraniony, no i ufny w zwycięstwo.

Na drugim skraju bitwy przyparty do lasu Bolesław Rogatka z ledwością odparł natarcie ciężkozbrojnej jazdy tartarskiej. Tartarowie istotnie odstępili, żeby zaraz strzelać z łuków i przysparzać kolejnych strat Polakom, dzięki czemu Bolesław mógł znów wejrzeć na główne pole bitwy: chorągwi ojca nie widział, małopolskiej także nie. Po raz trzeci tego dnia padła chorągiew krzyżowców. Bitwa zdawała się przesuwac na południe, bo tam przesuwaly się masy tartarskiej jazdy. Książę uznał, że dłuższa walka niczego już nie przyniesie, prócz całkowitej klęski. Z nikim się nie naradzał, nikogo o zdanie nie pytał, tylko nakazał odwrót. Ktoś jednak nie wytrzymał i krzyknął: – Jak to! Zostawimy naszych?

Wtedy raz w życiu Rogatka powiedział coś prawdziwie mądrego: – Czynię wolę ojca, nie swoją. Trzeba nam myśleć, jak przeżyć, niż jak tu zginąć. Tam – pokazał pole bitwy – każdy ucieka w swoją stronę. Nikomu nie pomożemy, tylko bezbronnych sierot od tego przybędzie. Tedy ranni w środek, gotowi do walki na skrzydła. Kasztelan ryczyński na czoło, kasztelan wrocławski na tyły. Utrzymać szyk i do Legnicy.

– Kasztelan ryczyński poległ.

– Tedy najstarszy z rycerzy tej kasztelanii. Naprzód!

Krótkie przemówienie Rogatki slyszalo wystarczajaco wielu, żeby zawrócić konie i wjechać w las. Padło kilka przekleństw, ale za chwilę nikt nic nie mówił, nawet ranni nie jęczeli – ktoś szlochał, szybko jednak przestał, gdy do niego dotarło, że właśnie ocalał. Dlatego, jeśli nie liczyć gasnących odgłosów walki, jechali w ciszy. Przebywszy truchtem płytki las, ruszyli w ubezpieczonym szyku stępa, w stronę legnickiego zamku.

Bitwa wygasła. Z hufca małopolsko-wielkopolskiego, kto miał w miarę zdrowego konia i siły, przebił się zgodnie z rozkazem księcia Henryka na wschód. To przebicie nie wyglądało najlepiej, bo nie uczynił tego cały hufiec, lecz kilka odrębnych oddziałów po kilkunastu ludzi. Nie było wśród nich wodza lewego skrzydła, czyli Sulisława, brata poległego przed dwoma tygodniami wojewody Włodzimierza. Krakusi zebrali się wokół Klemensa z Ruszczy, przy którym stał chorąży z poszarpaną chorągwią. Do zwartego oddziału dołączyło kilkudziesięciu rozproszonych Wielkopolan i przypadkowych rozbitków z innych hufców. Łącznie zebrało się niewiele ponad stu ludzi – rankiem było ich niemal pięciuset – którzy nalegali na szybki odwrót, za tymi, co wcześniej gromadnie uciekali, zwłaszcza że Tartarowie byli już wszędzie. Wódz Klemens zwlekał jeszcze, bo chwilowo nikt na nich nie nacierał, nikt do nich nie strzelał, zobaczywszy jednak zbierające się

oddziały Tartarów i spokojnie sprawiające szyki, chociaż za ich plecami jeszcze trwała walka, zarządził: – Uchodzimy do Środy.

– Nie do Legnicy? – ktoś zapytał.

– Do Środy! Na drodze do Legnicy już na nas czekają. – Zawrócił konia i pojechał, a za nim inni, szczęśliwi, że wynoszą cało głowy z trzeciej kłęski tego roku.

Główny pościg Tartarów nie od razu ruszył, w dodatku zmylony śladami setek kopyt wcześniej skręcił na Legnicę. Co prawda ścigających w rozproszeniu było dosyć, żeby wygrać uporządkowane starcie, ale na szczęście nie śmieli zbliżyć się na tyle, aby znów posmakować mieczy chrześcijan.

Ucieczka zrazu odbywała się kłusem, potem galopem, niedługo znów przeszła w kłus. Kilkunastu kuszników miało jeszcze strzały, co okazało się prawdziwie zbawiennym – pojęto bowiem, że Tartarowie boją się kuszy bardziej niż diabeł święconej wody, i pierzchali precz na samo w nich wymierzenie.

W drodze Klemens z Ruszczy zgarnął kilkudziesięciu ludzi, jego oddział dobił więc liczebnie do niemal dwustu zbrojnych.

Dzielny Sulisław herbu Łabędź, pragnący zmyć ze swego rodu hańbę lekkomyślności Włodzimierza, walczył pieszo w kręgu kilkudziesięciu podobnych mu rozpaczliwców, co nie mogli uciekać, bo już nie mieli koni. Dobrze wiedzieli, co ich czeka w niewoli, nie poddawali się więc do ostatka. Każdy był już po kilka razy zraniony, mimo to jeszcze dzierżyli poszczerbione tarcze, miecze i topory. Utworzyli wspierający się krąg i zamierzali drogo sprzedać skórę. Z każdą chwilą było ich jednak mniej, bo ginęli od strzał, mieczy i włóczni, aż pozbawionych tchu, wykrwawionych, niezdolnych już, żeby jeszcze raz doskoczyć do przeciwnika i zadać mu cios, wykluto włóczniami.

Dłużej opierały się resztki krzyżowców. Spośród nich uciekał kto tylko mógł, ścigany czasem przez kilku, czasem kilkunastu Tartarów, ale część oddziałów, rozpoznawszy beznadziejne położenie, biła się do końca. Rycerze zakonni stali niewzruszeni niczym twierdze, podobnie kilkudziesięciu Niemców i Morawian. Mieli dobre uzbrojenie, w całości okryci kolczugami, z płaskimi hełmami zasłaniającymi blachą twarze, z trójkątnymi tarczami. Wielu w żelaznych nakolannikach i nałokietnikach, co było zupełną nowością. I choć nie mieli już koni, bo popadały od ran strzałami z łuków zadanych, walczyli, jakby dopiero przystąpili do boju. Kusznicy – w chwilach, gdy bój ustawał – wybiegali z szyku, wrywali bełty z ciał i znów mieli gotowe do użycia śmiertelnie groźne narzędzia.

Bolesław Szepiołka kuśtykał między resztkami swojego wojska, dodawał żołnierzom otuchy w trzech językach, jakie znał: po polsku, niemiecku i morawsku. Nie wyglądali świetnie, o nie: z tunik i płaszczy pozostały strzępy, zbroje i hełmy nie błyszczały, bo pokrywała je krew i kurz, pióra klejnotów na hełmach żałośnie połamane, wystrzępione, barwne chusty zamienione w brudne

szmaty. Wielu chciałoby wody – słońce już wysoko stało, a oni od samego rana nie wypuszczali mieczy z rąk. Krwawili z nieopatrzonych ran. Nie wyglądali pięknie, lecz wciąż groźnie. Wokół nich już się utworzył krąg ciał koni i ludzi i gdy fale natarcia ustępowały, uważnie dobijali ranne zwierzęta i wojowników, żeby nie stać się choćby przypadkowymi ich ofiarami. Krąg martwych z natarcia na natarcie gęstniał, poszerzał się, aż urósł wysoko, a spod niego wypływały strużki i strumyki krwi, przemieniając bitewny kurz w rdzawe błoto.

Dookoła wciąż było mrowie wrogów, mimo to przez pewien czas nie znaleźli się wśród najeźdźców wojownicy na tyle odważni, aby natrzeć jeszcze raz na nieśmiertelnych czarowników znaczonych czerwonymi, czarnymi i białymi krzyżami.

Z oddali, z południowego wschodu, dochodziły odgłosy ostatniej walki księcia Henryka i jego oddziału, w górze krążyło już kilkadziesiąt kruków i gawronów, donośnie przy tym kracząc. Rycerze chrześcijańscy ciężko dyszeli. Kilku usiadło, ze dwóch osunęło się w krwawe błoto i już nie miało siły się podnieść. Uderzył w nich deszcz strzał od północy, chcąc nie chcąc, wszyscy obrócili się w tamtą stronę, zasłaniając tarczami. I wtedy natarła na nich setka ciężkozbrojnych jeźdźców, z najeżonymi włóczniami. Konie Tartarów przeskoczyły przez wał trupów, rozbiły wątły szyk i wpadły do środka kręgu. Wielka, poszarpana, biała chorągiew z czerwonym krzyżem upadła po raz ostatni i waleczny oddział chrześcijan przestał istnieć.

Najemni rycerze i śląscy poddani Henryka walczyli razem, spychani z drogi na Jawor w stronę wsi Dobre Pole. Może udałoby się Henrykowi i jego kilkuset rycerzom ocalić życie, ale wódz piekielnego wojska najbardziej czuwał nad tym właśnie oddziałem. Gdy więc rycerze skupieni wokół wielkiej, żółtej chorągwi z czarnym orłem dźwigającym na skrzydłach półksiężyc po raz trzeci wyrwali się z okrążenia, gdy już niedaleko było do zabudowań wsi, zagajników i lasu, co dawało uludę ocalenia, czyli nową siłę na jeszcze jedno starcie, spadło na nich uderzenie dwustu pancernych jeźdźców uzbrojonych we włócznie. Uderzyli zwarci na rozproszonych, wypoczęci na zmęczonych, włócznicy w mieczników, w bok i w tyły szyku jednocześnie. Nic dziwnego zatem, że w pierwszym starciu zabili kilkudziesięciu rycerzy lub ich konie i rozbili hufiec Henryka na części. W jednej znalazł się rycerz Jan Iwanowic, co poprzysiągł sobie, że księcia nie opuści do samego końca. W zamieszaniu bitewnym nie zdołał dotrzymać przysięgi i, niestety, wyrwawszy się z kręgu walczących, dał się ponieść w ucieczce aż pod las. Między drzewami pojął jednak, że nikt go nie ściga, nikt nie tupie, nie sapie za plecami, a tam gdzieś jeszcze wre bitwa, bo ją słyhać. Zatrzymał się. To, co zobaczył, było aż nierzeczywiste – nigdzie ani jednego Tartara, właściwie pustka, tylko drzewa zachęcające do wytchnienia. Wkrótce ochłonął z pierwszego strachu i zaczął nasłuchiwać. Coś poruszyło się za drzewami. Natychmiast pojechał w tamtą stronę;

zwycięscy Tartarowie przecież nie kryliby się po krzakach, ale by go łapali. Żeby nie być ustrzelonym z kuszy krzyknął: – Swój! Swój! Jan Iwanowic!

Tam też byli swoi, i to sami swoi: dwóch jego giermków, koniowodny księcia Henryka z luzakiem na wodzy, niemiecki rycerz ze Śląska – Lucman herbu Jeleń. Zapytał ich hardo: – Co zamierzacie czynić?

Milczeli, co oznaczało, że już chcieliby znaleźć się jak najdalej stąd, tylko nie śmieli tego wyznać.

– Wracamy tam! – krzyknął Jan. – Książę jeszcze się bije. Ocalimy go!

– Jak? – wyrwało się rycerzowi Lucmanowi dobrze władającemu polską mową.

– Przebijemy się, wsadzimy go na świeżego konia i zabierzemy ze sobą. Jazda, ruszamy, tchórze!

Nie ruszali się jednak. Gotowy na wszystko rycerz wyrwał więc wodze luzaka z rąk książęcego sługi i – dziękując Bogu za możliwość wytrwania w przysiędze – pojechał w stronę bitwy. Za nim ruszyli zmartwiali w poczuciu śmierci giermkowie, obcy rycerz i pokojowiec księcia.

Wyjechali z lasu. Na wolnym polu ukazało się przed nimi piekielne zamieszanie. Zbrojni obydwu stron jeździli w różnych kierunkach i, prawdę mówiąc, choć najeźdźców było więcej, nie wiadomo było, kto kogo ściga. Zakrzyknęli tylko: – W nich bij!, i ruszyli. Na widok Polaków pierzchnęła gromada Tartarów, nawet nie oglądając się za siebie, myśląc pewnie, że tych pięciu śmiałków to szpica większego oddziału. Tym samym odsłonili dojazd do wiru z kurzu, krwi, potu i wrzasku, w którego środku ciągle jeszcze tkwiła chorągiew księstwa śląskiego.

Iwanowic bez namysłu siekł mieczem w karki, głowy i ramiona zaskoczonych Tartarów, co myśleli, że bitwa już wygrana, i się nie spodziewali, że ktoś ich zajdzie od tyłu. W ten sposób z łatwością zabił lub zranił co najmniej czterech, nim pozostali spostrzegli, że coś się dzieje, i obrócili konie niby to w stronę napastnika, a tak naprawdę do ucieczki. Giermkowie, książęcy sługa i rycerz Lucman też nie próżnowali. Pięciu ludzi dokonało tego, czego nie mógł zrobić cały hufiec księcia Bolesława Rogatki: przebili się do władcy, dając garści śląskich rycerzy i najemników, wytrwałych przy księciu, możliwość złapania oddechu.

– Przesiądź się panie na świeżego konia i jedźmy stąd – dzielny Jan Iwanowic powiedział do zmęczonego Henryka.

Książę właśnie zbierał się do tego, ale już na nich jechali pancerni jeźdźcy. Henryk poniechał więc zmiany konia i ustawił się, jak inni, do odparcia napaści. Zaraz dopadł go Tartar uzbrojony w wielki, krzywy miecz trzymany oburącz. Machnął nim, ale książę przyjął cios na tarczę. Sam wznosił rękę z mieczem do ciosu, lecz wtedy drugi Tatar wbił włócznię pod prawą pachę.

Gwałtowność natarcia odrzuciła rycerza Iwanowica i jego giermków. Więcej Jan nic już nie widział, tylko bił się wściekle nie o życie nawet, ale o to, aby jak najwięcej przekłęci synowie piekiel ucierpieli. Sam musiał odpierać coraz więcej razy, aż zatoczył koniem krąg i ruszył do ucieczki, a za nim jego ludzie.

Za oddziałkiem ruszyli Tartarowie, próbowali zajeżdżać drogę, ale gdy tylko Iwanowic nabrał trochę pędu, nic już nie mogło go zatrzymać – kogoś sieknął po rękę, kogoś obalił z koniem i znów był wolny. Zatrzymał się pod lasem. W tej krótkiej chwili oczyma wyobraźni zobaczył, że znów podjeżdża do krwawego kręgu, ponownie wyrąbuje sobie drogę do księcia, wreszcie podaje mu konia i zabiera ze sobą – nie uczynił jednak tego, odtąd codziennie coraz staranniej pielęgnował w sobie to marzenie, nawet za trzydzieści lat prosił Boga, aby się ziściło. Tymczasem wjechał do lasu, z nim kilku rozbitków. Zatrzymali się – dla nabrania tchu – na malutkiej polanie, gdzie lekkobrojni Tartarowie właśnie wiązali jeńców. Beż żadnego trudu wysiekli spieszonych wojowników, biorąc nawet dwóch do niewoli. I tak jako jedyni zwycięzcy tej bitwy, odjechali na południe. Nikt ich nie ścigał.

Książę Henryk po otrzymaniu ciosu pod pachę zemdłał z bólu i osunął się z konia – nie było komu mu pomóc. Wszyscy albo polegli, albo uciekli, albo leżeli ranni pod kopytami koni. Niektórych pętano.

Książę żył. Nie czuł jednak już bólu, nie rozsadzała mu głowy wrzask ludzi, kwik koni i dudnienie ciosów w hełm. Czuł błogi spokój, ciszę, widział miłą jasność. Podnosił się powoli, najpierw opierając na rękach, potem na kolanie, aż usiadł, bo nieco mu się w głowie kołowało. Zobaczył wtedy złociste słońce, co nie oślepiało, nieskazitelnie błękitne niebo bez chmur i gromadę skrzydlatych aniołów w srebrnych, łuskowych zbrojach, każdy z odsłoniętymi, długimi włosami o złocistej barwie, każdy w świetlistej aureoli. Rozchodzili się przed nim na prawo i lewo, tworząc półkole, zwróceni w jego stronę pogodnymi twarzami. Zamiast mieczy trzymali wielkie, białe kwiaty na długich łodygach. Henrykowi zrobiło się głupio, że on, śmiertelnik siedzi, a istoty o wiele wyższe i nieśmiertelne, stoją nad nim. Próbował wstać i wówczas wielki ból go przeszył, w oczy wbił się blask słońca, uszy poraził radosny wrzask wilczych pysków tartarskich.

Wrogowie szarpali księcia i szturchali, targali za włosy i bili po twarzy. Wreszcie któryś coś rozkazał i podnieśli go z kolana, ciągnąc ze sobą. Henryk nie mógł już chodzić, zarzucili więc go przed siodło jakiegoś Tartara, a ten powiózł go niczym worek zboża.

Niedaleko wieźli najznacznieszego jeńca tej wojny, może ze dwieście kroków, ale tyle wystarczyło, żeby omal wytrząść z niego życie. Zrzucili go z konia, wśród żartów i okrzyków. Książę gramolił się nieporadnie, wokół niego brykał – czym wprawiał w dużą wesołość towarzyszy – wesoły Tartar w hełmie księcia, który można było poznać po żalonych resztkach klejnotu. Inny Tartar

założył chrześcijańskiemu władcy sznur na szyję i usiłował go ciągnąć – Henryk opierał się nie tyle z poczucia godności, co z całkowitej bezsily. Nie mógł iść. Nie jęczał. Umierał.

Weseli jak skowronki, dokazujący Tartarowie całkiem sprawnie odarli Henryka z pancerza, przeszywanicy, giezła i nogawic, nie szczędząc przy tym kopniaków. Odsłanili jego nagość i rany. On się słaniał, opadał na klęczki, wreszcie nie mógł się utrzymać inaczej niż na czworakach.

Nie był jedynym jeńcem. Obok, pod wymierzonymi w nich włóczniami, stało, wpierało się wzajemnie, klęczało i siedziało kilkudziesięciu obdartych do zupełnej nagości mężów. Rankiem gotowi byli wdeptać w pył każdego, kto stanie im na drodze, teraz bezsilni, zgnębieni, obici i upokorzeni czekali na dopełnienie się losu. Niektórzy płakali, widząc poniżenie swojego władcy, inni patrzyli ponuro spode łba, jeszcze innym było wszystko jedno – czuli już bowiem, że umarli. Przed nimi łąził ruski kniazik i gadał, czyniąc sprośne gesty, ku uciechu nowych panów.

– I co, Lachy? To wam zrobimy, to! – Kilka razy poruszył zadem. – A potem to. – Tu pociągnął sobie krawędzią dłoni po gardle.

To nie był koniec życia jeńców, nie! Przed śmiercią musieli doświadczyć jeszcze jednego hańbiącego widowiska.

Nadjechał wódz Ordu w połocistej zbroi, z nim roześmiana gromada wojowników z kotłami, puszczalkami i buńczukami. Zaraz jednak ucichli, bo Ordu kazał przywieść konia ze zwłokami swego syna, który poległ przed kilkunastu dniami pod Sandomierzem i pozbawiony wnętrzości, dobrze zasolony, doprawiony ziołami i okręcony ciasno w jedwabie towarzyszył wyprawie jako podłużny tłumok, żeby za dwa lata znaleźć miejsce spoczynku daleko na wschodzie, tak daleko, że trzeba było jechać tam cały rok. Z wielkim szacunkiem zdjęli ten ładunek i położyli na zdobycznych chorągwiach. Na wierzchu leżała ta wielka, żółta, z czarnym orłem.

Henryk skorzystał z tej chwili spokoju, aby jako tako klęknąć i próbować uczynić znak krzyża. Tartarowie zbrojni w błyszczące pancerze nie pozwolili na to – złapali za ręce, wykręcili w tył i kilka razy uderzyli jego głową o ziemię.

Lekkim ruchem ręki Ordu nakazał odprowadzenie synowskich zwłok, sam zaś zsiadł z konia, podszedł do leżącego władcy znacznej części Polski, stanął nad nim okrakiem. Na ten widok nadzy rycerze ruszyli do ostatniego boju. Któryś rzucił kamieniem, ale nic więcej nie mogli zrobić. Zaraz zaczęła się ich rzeź, krzyki, ostatnie złorzeczenia wrogom, wzywania imienia Boga, jęki i charkot. I śmiechy okrutników.

Nie wiadomo skąd wychynął wtedy oberwaniec Heribert. Widząc tyle śmierci, chciał dopaść do zabijanych, przemienić ich w stan doskonałości, ale Tartarowie odpychali dziwaka, żadnej innej krzywdy mu jednak nie czyniąc. Heribert rozejrzał się z rozpaczą w wyłupiastych ślepiach i zauważył o kilkanaście

kroków księcia Henryka w jego upodleniu.

– Poczekajcie! – krzyknął. – Tylko coś zrobię!

Postąpił o kilka kroków w stronę rozpinającego spodnie Ordu, wtedy jeden z Tartarów nie wytrzymał i jednym machnięciem lekko krzywego miecza pozbawił kacerza głowy, a z nią katarskich trosk i nienawiści do ludzkiego rodzaju.

Ordu nawet się nie obejrzał na mordowanie polskich jeńców czy ten drobiazg z Heribertem. Spokojnie wysikał się na pełzającego u jego stóp jeńca, zapiął spodnie nieco podkasując pancerz, odszedł krok na bok, po czym dobył z pochew wielki, krzywy miecz, przymierzył się i zamachnął.

Doczesny świat zgasł księciu Henrykowi na zawsze.

Jednocześnie w odległym o trzy dni drogi Krośnie, w czasie pokornie odprawianej sumy, księżna Jadwiga ujrzała nagą duszę syna, którą anieli podnoszą ze zbezczeszczonych zwłok i sadzają na nieskazitelnie białym płaszczu, który ujmują za rogi i machając skrzydłami, unoszą wysoko, coraz wyżej, aż nikną między małymi obłokami z rzadka sunącymi po niebie. Niewiasta zadrżała na całym ciele i omal się przewróciła z klęczek na twarz. Złapała kurczowo Demundę za ramię, ta aż syknęła z bólu, i rozejrzała z zakłopotaniem po mniskach; jedna z nich, Gosława, to, co widziała, postanowiła zapisać. I stało się. Wszyscy przestali się modlić, nawet ksiądz celebrans obrócił się nieco, żeby zerknąć, co znów dzieje się ze starą Jadwigą. A działo się, oj działo.

Błada twarz księżnej ściągnęła się w przerażającym grymasie i przez chwilę postać Jadwigi bardziej przypominała drapieżnego ptaka niż najłagodniejszą z niewiast. Wśród dziewczeczek wychowanic rozległy się chichoty, szybko stłumione przez starsze siostry.

– Pani, co ci jest? – zaszepotała Demunda, ale w martwej ciszy przerwanej mszy cichutki szepot zabrzmiał donośnie.

Ksieni Gertruda ruszyła w stronę matki. Tak samo uczyniła księżna Anna, której roztrzepotane serce niemal się zatrzymało w solennym przeczuciu, że stało się coś złego, a nawet najgorszego.

Wdowia twarz księżnej Jadwigi przybrała bolesny, acz ludzki wyraz. Spod przymkniętych powiek poleciały dwie łzy, żłobiąc na policzkach nieodwracalne zmarszczki. Ucisk palców, wbitych w ramię towarzyszki, zelżał.

– Pomóście mi wstać – powiedziała cicho.

Mniszki uniosły ją, córka podtrzymała, a księżna Anna czekała niecierpliwie na to, co będzie dalej. Stara księżna, gdy stanęła na wyprostowanych nogach, odtrąciła wsparcie i odezwała się spokojnym głosem, jak gdyby oznajmiała o czymś błahym i oczywistym: – Proszę was, byście się pomodliły za duszę mojego syna, Henryka.

– Matko, o czym mówisz?! – krzyknęła ksieni Gertruda, ni to z oburzeniem, ni rozpaczliwie. Anna zaś zmartwiała i pobladła, bo uwierzyła. Znalazła wszak

w postawie świekry potwierdzenie własnych snów i niepokojów.

– Stało się, córko... – powiedziała w jej stronę stara księżna i równie spokojnie dodała do otoczenia: – ...znoście ze spokojem te wieści. Wiem, że mojego syna Pan Bóg wziął do siebie, do nieba. Przeto nie powinniśmy się martwić, bo już większego szczęścia nie można sobie wyobrazić – rzekłszy to, odeszła do bocznej nawy, aby tam legnąć krzyżem i zniweczyć nieco tamtejszym chłodem parzący ból, jaki w tej chwili czuła.

Przez chwilę przytomni w kościele trwali w oniemieniu. Potem powstał lekki szum, uciszony przez księdza zamierzającego dokończyć mszę. Co bystrzejsze z niewiast szybko pojęły: jeśli prawdą jest, że nie żyje sam książę, to co mówić o towarzyszących mu poddanych? Stopniowo prawda do nich docierała, ale trwały w nadziei.

Wkrótce miało nadejść potwierdzenie najgorszych domysłów.

Po dwakroć wyklęty przez papieża cesarz Fryderyk II niekiedy znajdował czas, aby zająć się Tartarami. Wtedy pisał listy do władców Europy, uznając, że samo wykazanie się wiedzą o chorobie świata wystarczy za jej zwalczanie. Tak oto cesarz straszył świat zagładą nadchodzącą z dalekiej mongolskiej ziemi:

PRZEPIS NA ŚMIERTELNE ZAGROŻENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

Lud ten (...) jest dziki, pozbawiony praw i jakiegokolwiek człowieczeństwa. Ma jednak władcę, który nim kieruje, jemu okazuje posłuszeństwo i cześć, nazywając Bogiem na ziemi. Co do budowy ciała, ludzie ci są mali i krępi, ale silni, szerocy w ramionach, wytrzymali i zahartowani; śmiało i nieustraszenie rzucają się na skinienie swojego dowódcy w każde niebezpieczeństwo. Twarze ich są szerokie, spojrzenie ponure, a krzyk straszny jak ich serca. Noszą wołowe, ośle lub końskie skóry, na które naszywają żelazne płytki, robiąc pancerze, którymi dotąd się posługiwali. Teraz jednak noszą już także – o czym trudno Nam mówić, nie westchnąwszy – lepszą i sposobniejszą broń, zdobytą na zwyciężonych chrześcijanach, toteż w chwilach Bożego gniewu zabijani jesteśmy ku większej naszej sromocie własną bronią.^[5]

Rozdział 11.

Odwroty

Wysoki, przystojny i zażywny król czeski Wacław około południa z wojskiem zbliżał się pod zamek Świny, gdy dojechali do niego pierwsi uciekinierzy z bitwy, których władca z południa najpierw wziął za gońców od księcia Henryka, ale zobaczywszy ich z bliska, od razu pojął, że musiało się stać coś najgorszego. Natychmiast zarządził pogotowie bojowe. W stronę Legnicy wysłał oddział kilkudziesięciu zbrojnych, z całą siłą jednak nie ruszył, czekając z jednej strony na potwierdzenie tragicznych nowin, z drugiej zaś na podciągnięcie własnych sił głównych.

Na długo przed wieczorem przyszły następne wieści z pola bitwy, tym razem przyniesione przez tych, co posmakowali walki. Spienione, poranione konie zajechane niemal na śmierć, poobijani ludzie, poszczerbione tarcze z resztkami tkwiących w nich strzał mówiły same za siebie. Ci ludzie powtarzali jedno – przewaga Tartarów była ogromna i rosła w miarę przedłużania się bitwy. Poza tym opowiadali niestworzone historie o piekielnych mocach, co pomagają najeźdźcom, o tym, że osaczone wojsko Henryka miota się niczym lis w paściach, wreszcie o tym, że Legnica padła.

Czeski król przyjął te wieści z wiarą, ale też w równej części z niedowierzaniem. Zapytał zatem, o jakiej porze uciekli z bitwy. Uciekinierzy odparli, że nie uciekli, jeno uszli przypadkiem, bo wypadli z szyku i ganiało ich mnóstwo Tartarów, a działo się to jeszcze przed południem. Jechali zaś prawie pół dnia i teraz pragną tylko pić.

Król obrachował czas: skoro oni, gnając konie bez wytchnienia, jechali kilka godzin, nawet przy pośpiesznym pochodzie wojska czeskie nie zawitają pod Legnicę wcześniej niż przed północą. Dlatego nakazał postój, uporządkowanie szyków i rozstawienie jak do bitwy.

WSTYD

Dopełnia się co zapisane

Wojsko chrześcijan się rozprasza

Żalotne wieści wiatrem gnane

Pędzą co sił by świat zatrząść.

Do zachodu słońca sporo jeszcze pozostało, gdy czeski król dostał więcej wieści, dotarło bowiem do niego wojsko opolskie z samym księciem Mieszkiem. Ten zaś, nie zważając ani na zmęczenie, ani na tuszę, czy wreszcie godność książęcą, podjechał do Waclawa na niemiłosiernie mokrym koniu, po czym zeskoczył z niego i opierając się na tarczy, uklęknął przed królewskim rumakiem. Król patrzył z góry na księcia zdradzającego zachowaniem objawy skrajnego wyczerpania umysłu, a widok ten sprawił mu znaczną przyjemność – chciałby, żeby powtórzył się on jako hołd z ziemi opolskiej składany czeskiemu władcy. Rzekł więc łaskawie z wysokości bojowego siodła: – Mów, książę. Z niecierpliwością czekamy na sprawdzone wieści.

– Królu, nie zwlekaj ani chwili! – Mieszko powiedział, nie wstając z klęczek.
– Jedź z wojskiem pod Legnicę, pobij Tartarów!

– Nie mów, co mam czynić, tylko o tym, co tam się wydarzyło – rzekł łagodnie Waclaw. – Gdzie śląskie wojsko? Gdzie Henryk? Jak wygląda bitwa?

Mieszko nadal klęczał.

– Niedaleko Legnicy dopadli nas, wciągnęli w pułapkę, odcięli od szyku. Resztę wojska otoczyli.

– Ilu było Tartarów?

– Co najmniej dziesięć tysięcy.

– Co z moim bratem Henrykiem?

– Nie wiem. Nie widziałem. Stał w lesie z odwodem, potem z niego wyruszył, dalej nie widziałem, co się działo. Puścili na nas trujące dymy, potem natarli ze wszystkich stron. Ledwie się przebiliśmy. Tak nas naciskali, okrążali, że ruszyliśmy w twoją stronę.

Król namyślał się chwilę, która Mieszkowi zdawała się wiecznością. Młodziutki książę nie wytrzymał, wstał z klęczek i łapiąc za wodze królewskiego rumaka, krzyknął: – Nie zwlekaj, panie! Jedź tam, a zwyciężysz! Uratujesz naszych!

Ale król milczał. Do zrozpaczonego księcia, co przekroczył granice grzeczności, dopadło kilku czeskich dostojników i odciągało od władcy. Mieszko nie ustawał jednak w wysiłkach.

– Tak niewiele brakuje do zwycięstwa! – krzyczał. – Idź na pomoc Henrykowi! On wiódł nas do ciebie, dlatego była bitwa! Tam jeszcze się biją!

Widząc, że od Opolan śpieszą rycerze na pomoc swojemu władcy i tylko iskry brakuje, aby wybuchła głupia bitka, król dał znak odstąpienia od książątka. Sam zsiadł z konia i powiedział: – Poczekamy tu do zachodu słońca – stwierdził po krótkim zastanowieniu. – Henryk wie, gdzie nas szukać. Jeśli do nas się przyłączy,

pójdziemy razem na Tartarów. Jeśli nie... Moją powinnością jest dbać o dobro mojego królestwa. Nie mogę narażać na zniszczenie w obcym kraju własnego wojska, bo inaczej pozostawię bezbronnymi moich poddanych.

– Ależ królu, tam bitwa wre! Spadłbyś na nich jak orzeł!

Mieszko użył trochę za wielkich słów, na co dostał chłodną odpowiedź, zawierającą również usprawiedliwienie królewskich działań: – Tłumaczyłem Henrykowi, żeby niczego beze mnie nie zaczynał. Nie posłuchał. Za późno już, aby cokolwiek czynić. Uwierz, tam już dawno jest po bitwie, a w nocy, w obcym miejscu, walczyć nie będziemy.

– Rusz natychmiast! Podejmij ten trud! Nie opuszczaj Henryka!

Król podszedł do księcia i wyszeptał mu do ucha: – Młody człowieku, to ty zostawiłeś swojego księcia, to ty zbiegłeś z pola, choć jeszcze bitwa trwała. Masz przecie jeszcze dwustu, trzystu ludzi, mogłeś więc zawrócić, uderzyć, bo nikt aż do tego miejsca cię nie ścigał. Nie naprawię twoich błędów. Do mnie nie dotarł nawet jeden goniec od mojego dziewierza z prośbą o pomoc. Tymczasem się uspokój, posil i odpocznij. Jeszcze trzeba będzie walczyć, będziesz mi potrzebny, bo kto wie, co przyniesie jutro. – Waclaw odsunął się nieco od Mieszka, ujął oburącz jego prawicę i powiedział już głośno: – Upraszam cię, książę, abyś zechciał ze swoim wojskiem przyłączyć się do nas. Skorzystajcie z naszej gościny i wspomóżcie nas radą i uczynkiem.

Opolski władca nie miał zamiaru się uspokajać, ale po namyśle z zaproszenia skorzystał. Czesi wzięli między siebie wyczerpane wojsko opolskie, dając jeść i pić, i pomagając opatrywać rannych, wypytujac o bitwę i wrogów.

Król Waclaw się wahał, jeszcze namyślał. Przywiedziono doń następnych kilkunastu uchodźców z bitwy i każdy opowiadał mniej więcej to samo – dużo strzał, Tartarów, gdzie tylko okiem sięgnąć, a hufiec Henryka stojący na tyłach – różnicą w opowieściach było wyrażenie liczby wrogów, łączyło je zaś stwierdzenie, że następne hufce piekielne wyrastały jak spod ziemi. Jeden z rycerzy, co nie umiał ich zliczyć, wyznał, że było ich więcej niż ptactwa na niebie. Waclaw dowiedział się od Mieszka o dziesięciu tysiącach Tartarów, inni uchodźcy rachowali na dwadzieścia tysięcy, aż znaleźli się tacy, co widzieli śląskiego księcia w walce i dodatkowe pancerne hufce Tartarów trzy razy liczniejsze niż całe wojsko chrześcijan, czyli wszystkich Tartarów doliczono się ni mniej, ni więcej, tylko trzydzieści tysięcy. Tak, wieści o siłach Tartarów nie brakowało.

Nadal nie było jednak wieści, co z polskim wodzem, czy tu zmierza, czy zawrócił do Legnicy. Zresztą dla zamiarów króla Waclawa uczynki księcia Henryka nie miały znaczenia, bo postanowił już wcześniej zawracać, póki czas. Chciał tylko wiedzieć, co tam się wydarzyło.

Dowiedział się tego dopiero po zachodzie słońca. Wtedy do czeskiego

wojska dotarł zrozpaczony Jan Iwanowic – znacznie bardziej wiarygodny od poprzedników, bo nawet przywiódł ze sobą tartarskich jeńców, zdobyczne konie i broń. Opowiedział Waławowi, że próbował dotrzeć do Henryka, że Tartarowie ich rozdzielili i że padła wielka, złota chorągiew z czarnym orłem i srebrnym półksiężycem.

– Co z twoim księciem? – dopytywał król.

– Nie wiem, słyszałem z lasu radosne wycie tych diabłów i na puszczalkach grali. Potem uciekłem – wyznał szczerze rycerz i drżącą dłonią odzianą w zakrwawioną rękawicę otarł łzę z policzka.

– Nie ty jeden, nie ty jeden... – powiedział król, jakby do siebie, i już miał dać spokój rycerzowi, ale zapytał go jeszcze, bo sprawy ilościowe zajmowały go mocno: – Jak myślisz, ilu ich było?

Smutny i znużony rycerz pomyślał trochę, po czym rzekł: – Trudno powiedzieć, bo ich hufce jeździły, łączyły się, rozdzielały. To tu, to tam, to nacierali, to się cofali. Było ich więcej od naszych, ze trzy razy tyle, ale nie więcej niż dziesięć tysięcy.

Waław przytaknął bez słowa, poklepał rycerza po ramieniu i odszedł do swoich rycerzy, wydawać rozkazy.

– Co rozkażesz, panie? – zapytał czeski wojewoda, a reszta nadstawiła uszu.

– Zwijać obóz.

– Teraz? W nocy? – zdziwił się oboźny.

– Teraz w nocy.

– Dokąd ruszamy? Pod Legnicę? – zapytał ktoś.

Król nie patrzył na nich, lecz w dal. Pokiwał głową, jakby mu coś powiedziano, a on przytaknął. Czekano, co będzie dalej.

– Chciałbym na Legnicę, ale ruszamy na Kłodzko i to nie zwlekając ani chwili – wreszcie rzekł Waław i już po chwili ustalał ze swoimi ludźmi porządek pochodów.

Bolesław na krótko zatrzymał się pod Legnicą ogarniętą nieopisanym hałasem i zamieszaniem spowodowanymi przez uciekające tabory, które nie zatrzymywały się w mieście, lecz – nie wiedzieć czemu – jechały na zachód, w stronę Złotoryi. Wyprzedzały je drobne oddziały wojska i samotni rycerze.

Część uciekała na północ. Tylko hufiec Bolesława stał nieruchomo, uporządkowany, co we wszechmocnym bałaganie wydawało się czymś aż nadto nierzeczywistym. Poobijani rycerze w zaniepokojeniu z siodła patrzyli na to, co się działo, a ich władca przemawiał do kasztelana legnickiego: – Gotujcie się do obrony, bo Tartarowie mogą tu być jeszcze dziś. I przyjmijcie wszystkich rannych z bitwy.

– A ty, panie? – zapytał kasztelan.

– Ja idę za wojskiem na Złotoryję. Inaczej nikt przy nas nie wytrwa, uciekną

na Łużyce. Poślę o pomoc do brandenburgów. Wrócimy tu. Możliwe, że ojciec pierwszy tu dotrze. Jak najszybciej gotujcie się do obrony. Musicie im obrzydzić dalsze wojowanie.

– A Czesi? Przyjdą?

Książę popatrzył w oczy dostojnikowi.

– Chciałbym, żeby tak było, ale właśnie na nich liczyłbym najmniej. Zajmijcie się rannymi. Bywaj! – Książę westchnął ciężko i przeżegnawszy się, poprowadził hufiec w ślad za uchodźcami. Nie zdawał sobie sprawy, jak proroczymi były jego słowa.

Jechali ponurzy, źli, milczący. W drodze zagarnęli nieco rycerskich uciekinierów, oddział Bolesława, nawet po odniesieniu strat i zostawieniu w Legnicy rycerstwa tamtej ziemi, znów liczył trzystu zbrojnych.

Do Złotoryi dotarli przed zmrokiem. Wojda obmył i opatrzył rany kilkunastu ludziom i koniom, tak jak go nauczyła Anucha – zużył cały zapas ziół, jakie mu dała, a zabiegi przyjmowano z milczącym, smutnym uznaniem, bo na uśmiech czy radość nikt nie miał ochoty. Uznojeni rycerze chcieli tylko garści słomy czy choćby trochę równej ziemi i snu, lecz nie od razu było im to dane, bo jedni odszukiwali swoich wozaków, innych nagabywali mieszkańcy Złotoryi i rodziny tych, co nie przybyli. Książę zabronił jednak opowiadać o szczegółach bitwy, nakazał zaś oszacować i gromadzić zasoby, wreszcie rozesłać silne straże na drogi wiodące na wschód, południe i północ od Złotoryi, po trzydziestu zbrojnych. Mieli rozkazy, żeby nie tylko ostrzec o przybyciu Tartarów, ale zbrojnych chrześcijan nakłaniać do pójścia do Złotoryi. W jednym z takich podjazdów tworzonych przez rycerstwo kasztelanii ryczyńskiej znalazł się Wojda.

Przeżyli bitwę i on, i jego ojciec, i ich kusznicy. Zdołali nawet odnaleźć swój wóz z dobytkiem i sprytnego woźnicę. Nie dość więc, że ocalili życie, to jeszcze nie ponieśli strat. Teraz, wiedząc, że przyjdzie im czuwać przez noc, dobrali płaszcz i kożuchy, trochę jadła i napitku i pojechali na południe. W miejsce poległego kasztelana Bogusława ich wodzem został rycerz Jakub, który pilnowanie drogi prowadzącej do Złotoryi uznał za niebezpieczne, dlatego nie chcąc niepotrzebnie narażać ludzi, przed północą nakazał zjechać z gościńca w las i tam zatrzymać się na odpoczynek.

– Nie rozdiewać się ze zbroi – rozkazał. – Koniom siodła nie zdejmować, nie popuszczać popręgów. Można rozpalić ogniska i się posilić. Na straży staną Dobrosz i jego ludzie, Ligęza ze swoim poczem i Domasław. Przed świtem dostaniecie zmianę.

Rozległo się pojękiwanie, w większości z tego, że każdy już mocno zdążył zdrętwieć w siodle, niektórym zaczęły doskwierać rany. Ktoś próbował głośno narzekać, ale Jakub szybko mu to wybił z głowy.

Znużeni i zgnębieni rycerze stojący na straży poczęstowali się jedzeniem

i czym tam mieli jeszcze. Po prawdzie głodni nie byli – obraz przegranej bitwy pozbawiał łaknienia. Wojdy także nie gnębił głód, lecz niepokojąca myśl.

– Ojcie, czy nie wyszło tak, żeśmy zbiegli z bitwy? – zapytał Dobrosza szeptem. – Że jeszcze wszystko było możliwe, a myśmy uciekli? Przecież biliśmy ich.

– Nie myśl tak – odpowiedział znużony Dobrosz. – Wiedz, że nic nie mogliśmy zrobić. Dobrze to wiedział książę Henryk. Bitwa była już przegrana, gdy pierwszy raz ruszyliśmy do natarcia.

– Dlaczego? Co się stało? Mogliśmy całym hufcem uderzać i przechodzić przez nich jak przez masło. Do woli.

– Zdaje ci się. A pierwszy raz przeszliśmy? Utknęliśmy w miejscu. Synu, nie znam zamiarów księcia Henryka, ale wiem jedno: to rozważny człowiek. Wiedział od samego początku, że w tej bitwie zwycięstwa nie będzie, wrogów było bowiem ponad dwa razy tyle niż naszych wojsk, później zrobiło się trzy, nawet cztery razy więcej.

– To po co stanęliśmy do bitwy? Nie lepiej było cofnąć się pod Legnicę i bić się pod jej murami?

– Może lepiej, ale czy wszyscy zmieścilibyśmy się do Legnicy? Oni dopadli nas w drodze. Ponoć nadciągali Czesi. Niechybnie książę chciał z nimi się połączyć. Skoro jednak doszło już do bitwy, wcale, jak na moje rozeznanie, nie zamierzał gonić tych piekielników. Chciał ich odeprzeć, przebić się do Czechów. Gdyby to się udało, byśmy z nimi właśnie się bratali i byłoby nas wtedy nawet z pięć tysięcy. Powiem ci, byliśmy temu bliscy, póki Mieszko nie uszedł. A tak, cóż, udała się zasadzka Tartarom, ot co.

– Oddaliśmy się od domu, a tam... – Wojda mówił coraz bardziej strapionym tonem – ...ani Gródek, ani tym bardziej Zalesie nie oprą się Tartarom. Czy nie powinniśmy tam być? Kilku rycerzy ubranych w żelazo to jednak coś lepszego niż pięćdziesięciu chłopów z drewnianymi widłami.

Dobrosz westchnął potakująco i rzekł: – Widziałeś, jak łatwo w bitwie zwyciężali naszych, co wypadli z szyku? Jak ich osaczali, ubijali czy brali żywcem? Nie kmieci z grabiami, lecz rycerzy w zbrojach, z mieczami; chwyтали ich, jakby igraszką to było. Gdy mieli jednak do czynienia z hufcem, wtenczas oni ginęli, nie nasi. Póki jesteśmy razem, to i oni nie mogą się rozpraszać. Możliwe, że pójdą za nami. Wtedy będziemy walczyć z grodów, a oni się osłabią. Póki jesteśmy razem, nas nie ogarną, ale kiedy się rozproszymy, ta zaraza rozejdzie się po całutkim Śląsku.

Skończyli rozmowę, bo rycerz Jakub do nich podjechał.

– Trzeba sprawdzić, co się dzieje – rozkazał. – Niech ktoś wejdzie na drzewo i stamtąd sprawdzi, czy łuny widać.

Wyszło na to, że nie kusznik, lecz najmłodszy i najmniej poobijany Wojda

zdział hełm, zszedł kolczugę i przesywany kaftan i wszedł na rozłożysty dąb. Przyświecali mu z dołu pochodniami, bo cieniutki miesiąc za bardzo nie dawał światła. Wojda szedł w górę uważnie, powoli, bo już i zmęczenie, i kilka odebranych razów w plecy, w rękę i nogę zaczęło dawać się we znaki. W dodatku gładką dębową korę okrywała śliska rosa, mimo to można było się wspinać, bo rozgałęzienia wyrastały na tyle gęsto, że prawie na ślepo zawsze dało się znaleźć oparcie dla dłoni i stóp.

W miarę wspinaczki młodzieniec doznawał uczucia, jakby do innego świata wchodził. Cichły odgłosy ziemi, nikał żółty blask ognia, coraz bardziej ogarniała go leśna ciemność i tajemnicze szmery. Był już wysoko, chociaż jeszcze nie sięgał głową ponad sąsiednie drzewa, właśnie się podciągał i... krzyknął. Równie jak Wojda przestraszony ptak zatrzepotał skrzydłami tuż przed jego twarzą, po czym odleciał w ciemną noc. Towarzysze z dołu zapytali, co się stało, jeden przezornie odsunął się od pnia na trzy kroki.

– Nic, nic – odparł wspinacz – tylko ptak.

– Widzisz coś? – zapytał Jakub.

– Jeszcze nic.

Wojda już uspokojony, poszedł wyżej w nocną ciszę. Był na tyle wysoko, aby poprzez prawie gołe gałęzie, bo dąb jeszcze nie okrył się listowiem, zaledwie puścił pąki, widzieć okolice. Wspiął się jednak jeszcze wyżej, przywarł do konaru, ułamał kilka gałązek przesłaniających widok i dopiero wtedy rozejrzał się na dobre.

Na bezchmurnym rozgwieżdżonym niebie daleko błakał się cieniutki miesiąc. Świat wydawał się czarnym jak okiem sięgnąć – ani jednej łuny, ani jednego światełka tak, jakby wszystko na Ziemi było martwe. Za to nieprzeliczone mrowie gwiazd dawało poczucie niezwykłej przestrzeni, niezmiernie głębokiej, niedosiężnie odległej, z innego życia czy bytu. Młodemu wojakowi skojarzył się ten widok ze sklepieniami wielkich kościołów, których wysokiego krańca nigdy nie można było dojrzeć w mroku. Niebo przedstawiało się nieco inaczej, ale i tak Wojda pomyślał, że znalazł się w świątyni świata nie tyle przytłoczony, co zagubiony w jej ogromie. Boleśnie poczuł własną małość.

Z dołu znów ktoś zapytał, co widzi.

– Niczego nie widać. Nie ma ani jednej łuny, ani jednego światła – Wojda opowiedział niechętnie, bo z pierwszym słowem zakłócił świętą ciszę. Zamilkł więc zaraz, aby znów pogрузić się w ciszy i pochłaniać widoki.

Kiedy indziej bezmiar gwiazd w przestrzeni nieba zachwyciłby go aż do zachłyśnięcia własnym oddechem. Trwałby tak pół nocy i jeśli z kimś chciałby podzielić się wrażeniami, to z Anuchą, ale koniecznie bez słów, bo one tylko by przeszkadzały. Tak byłoby w innym czasie, nie tej nocy, nie po koszmarnym dziewiątym kwietnia – pierwszym dniu po oktawie Wielkanocy roku Pańskiego 1241. Choć przez chwilę młodzieniec chciałby zapomnieć o strasznej bitwie,

o upokorzeniu przegranej i trwożnej niepewności jutra, ale się nie dawało, a cichy rój gwiazd, w miarę jak Wojda im się przypatrywał, wydawał się coraz dalszy, jednocześnie coraz gęściejszy, przy tym obojętny na pragnienia i troski marnego człowieczka. Uczepiony drzewa chciałby się pomodlić, lecz tylko wyszeptał: – Boże, Boże..., i to wszystko.

Nie za wiele widział z tego drzewa, bo łyzy go zdławiły.

Dopiero teraz, na osobności i na wysokości, zeszło z niego bitewne podniecenie. Drżał, nawet zaniósł się szlochem, nie patrzył w gwiazdy – wolałaby, żeby w takim stanie nikt go nie oglądał. Myślał o towarzyszach, co wypadli z szyku – równie dobrze mógł wypaść on i już nigdy do domu nie wrócić. Myślał także o swojej Anuszcze, z wielką trwogą, i to taką, że wszędzie na ciełe czuł mrowienie. Teraz uszli daleko, okrutnym Tartarom zostawili na pastwę połowę księstwa, a może i całe. Ojciec go pocieszał, lecz nawet głupi by się domyślił, że oni, obrońcy, są gorzej niż rozproszeni, bo wybici. Najeźdźcy zaś rozbiegli się po całej śląskiej ziemi, żeby rabować, gwałcić i mordować. Zwyciężyli i nie ma nikogo, kto gotów byłby im przeszkodzić.

Skulony Wojda trzymał się drzewa, gwałtownymi oddechami próbował uspokoić płacz i drzenie, ale nie mógł. Między jednym tchnieniem a drugim wyszeptał: – Wybacz, Aniu, wybacz! Zawiodłem! Wybacz! Jedno ci przysięgam, już więcej cię nie zawiodę.

Wiedział, że śmiesznym było jego zachowanie, ta rozpacz, w dodatku na drzewie, wiedział, lecz nic to nie dawało. Wypłakiwał się w dębową korę, musiał.

Długo trwało nim zszedł na ziemię. Na szczęście było ciemno, towarzysze nie zauważyli więc jego słabości. Po prawdzie każdy z nich był tymi ciemnościami rad z tego samego powodu, co Wojda.

W dzień bitwy dziewczura trwała w rozpaczliwej trwodze napędzanej przecuciami złego. Zaraz z rana pobiegła do wsi, żeby czegokolwiek się dowiedzieć. Tam mieli wieści, co przyszły nie wiadomo skąd, że Tartarów już nie ma pod Wrocławiem. Odjechali, bo groźny znak z nieba ich spłoszył. Proboszcz nie umiał niczego składnego powiedzieć, poza tym był bardzo zajęty i zły. Namawiał Niemców, żeby zechcieli wrócić do wsi, ale ci nie mieli zamiaru słuchać. Klócił się z nimi, jak zresztą większość mieszkańców Zalesia, co tymczasem zaczęli się przenosić ze schronienia na bagnie z powrotem do sióła. Swary ustały na widok wiedźmy, bo umilkli Niemcy, którzy patrzyli na nią spode łba.

Po powrocie do domu Anucha niby coś robiła, ale myślami była gdzie indziej. Ledwie się ściemniło, poniosło ją na wysokie drzewo, żeby popatrzeć za łunami i dymami. Niczego nie było widać, co w innych okolicznościach by ją ucieszyło, ale niepokojów ówczesnego dnia nie rozwiąło. Bo co to miało znaczyć? Od prawie tygodnia codziennie widać pożary, a teraz zniknęły? Co się stało z tymi,

co spalili pół świata? Odeszli dokądś? Pod ziemię się zapadli, czego by sobie życzyła. Niemożliwe. Przecież w okolicy Wrocławia nigdzie nie było wejścia do piekieł. Chyba że Śląza...

Dziewczura zmitrężyła cały dzień, niczego pożytecznego nie robiąc, za co stara wiedźma ją ofuknęła.

Nocą Anucha pomodliła się, ale niestarannie, kilka razy zaczynając to samo od nowa. Potem udawała, że śpi, aż Wisława zaczęła chrapać, wtedy rozpuściła włosy, rozczesła je starannie i wyszła z chaty. Wzięła kilka przyborów naszykowanych przezornie za dnia i pobiegła do lasu odziana w lniane gieszło, naszyjniki z czaszek myszy i ptactwa oraz wianek z piołunu.

Bosą nogą szła po ścieżkach, a rosa moczyła stopy. Przyklejał się do nich piach, ale nic to, obiecała sobie oczyścić nogi na mchach. Uzbrojona w załączki czarów szła rozgwieżdżoną, zimną nocą przez ciemny, groźny las, w stronę jeszcze groźniejszego uroczyska. Pohukiwały sowy, coś odezwało się groźnym chichotem, w gąszczu kłębiły się tęgie, sapiące stwory. Pewnie mamuny. Każdy by ich się obawiał, lecz Anucha od zawsze umiała sobie z nimi radzić – musiała tylko się upewnić, czy przypadkiem nie skrada się niedźwiedź. Mamuny były groźne głównie dla umysłu, choć mogły zrobić krzywdę również ciału, niedźwiedź zaś człowieka zjadał, czyniąc prawdziwy kres wszelkim rozterkom. Podobnie wilki – tych młoda wiedźma bała się najbardziej.

Rozglądała się więc uważnie, poruszając tylko oczami, żeby wstrętne poczwary nie pomyślały sobie, że ich się boi – o!, wtedy byłyby groźne, co najmniej niemiłe i napastliwe, a to nic przyjemnego być wytarganą za włosy, duszoną, wreszcie drapaną po twarzy za młodość, urodę i za ludzkie życie. Za niewinność. Za wszystko, czego stwory nigdy nie mogły same zaznać.

Anucha szła w stronę nocnego rechotu żab, gdy coś przemknęło i po prawej, i po lewej. W przerwie między drzewami zamajaczyła postać na pewno nie niedźwiedzia – ten natychmiast by na nią napadł, zamiast się kryć. To mamuny. Chciały złapać dziewczurę między drzewami, lecz ta – na to gotowa – wyjęła z zanadru kłęb niemiłosiernie splątanej kądzieli, urwała część i jeszcze bardziej to zmierzwiła, po czym zawiązała kilka supłów. Rzuciła zbitek w bok od drogi, do kałuży, i pewnie poszła przed siebie, nawet się nie oglądając.

Mamuny zamarły między drzewami, jakby ten jeden ruch człowieka przemienił je w pnie. Nie zważały już na Anuchę, patrzyły w miejsce, gdzie kądziel upadła, gdzie ledwie coś plusnęło, leciutko zabujało wodą. Kusząco młoda, nieznosnie pełna życia i nienawistnie urodziwa dziewczyna przeszła między nimi o krok; wystarczyłoby wyciągnąć łapę, schwycić za włosy i trzasnąć tą nieskazitelną główką o najbliższe drzewo. Rzucony czar był jednak na tyle silny, że mamuny nie zrobiły nawet tego. Za to się cofnęły, bo woń piołunu je drażniła.

Ledwie dziewczura je minęła, rzuciły się do kałuży, żeby zrobić to, co muszą

robić zawsze i wszędzie – rozplątać, co zaplątane, uczynić jedną nić, cienką, równiutką i mocną jak pajęczka. Czarownica nie była w nastroju do żartów, ale na tę pradawną głupotę mamun leciutko się uśmiechnęła.

Nad pokrytym wodą bagnem tysiące żab, mimo chłodu, na kilka sposobów śpiewało własne trele: rechot, turkot i kumkanie brzmiały aż ogłuszająco. Wokół niby mgły się snuły, a czym w istocie były, wiedziała tylko dziewczura. Nie chciała mieć z nimi do czynienia. Nie tak dawno ją odtrąciły, no i po coś innego tu przyszła.

Na skraju uroczyska, na niewielkiej polanie, rosła stara brzoza, rozłożysta niczym dąb – wielka i rosochata. Za sprawą wieku niewiele przypominała brzozę, zwłaszcza że odzimek, czarny i głęboko spękany, był tak wysoki, że do połyskującej bielą kory Anucha nie mogła dosięgnąć, nawet wyciągając rękę i stając na palcach. Wysoki Wojda by dostał... To od tej brzozy dziewczura chciała usłyszeć, co się dzieje z jej jedynym miłym, z jej całym światem.

Mimo śnieżyc, burz i wiatrów brzoza trzymała się dziarsko, pewnie i wyniośle, a w mroku nocy zdawała się sięgać gwiazd. Tylko jeden konar obłamany wichurą wisiał żałośnie, jakby coś chciał podnieść z ziemi. Na sąsiednich krzewach terkotały rzekotki. Mądry puchacz albo bardzo złe i całkiem niegłupie lichy odezwało się po kilkakroć „uhu!”. Wiedźma nie zważała na to, zważała na samotną, siwą staruszkę, okrytą porwaną chustą jaśniutkiego, młodego listowia, stojącą przed tłumem ciemnowłosej młodzieży sosen, grabów i olch.

Odkąd Anucha pamiętała, opiekowała się drzewem, a ono nią. W cieniu liści spała bezpieczna od wszelkiego złego, co biegło po lesie. Tu nie śmiały wpełznąć zmije, ni podejść wilki. Licho także nie miało przystępu do brzozy, żadne upiory czy mamuny. Czasami wiły i brzeginie obiegały drzewo korowodem, ale nigdy nie odważyły się podejść bliżej niż na dziesięć kroków. Tylko dziewczura, jeszcze jako malutka dziewczurka, mogła podchodzić do starej brzozy, głaskać listki, rozczesywać gałązki i tulić do spękanej, czarnej kory. Nazywała brzozę Mateczką. Brzoza nijak słowem Anuchy nie nazywała, czyniła to na swój sposób: gdy dziewczura podeszła, lekko trzęsła gałązkami od góry do dołu i listki wtedy nieznacznie szeleściły.

W upały Anucha przynosiła brzozie wodę, obłamywała suche gałązki, aby ich używać do czarów, pęknięcia w korze namaszczała wilgotną gliną, żeby się goiły, a ilekroć było jej smutno, wtulała się w chropowaty, czarny pień i dawała wsiąknąć weń swoim łzom. Za chwilę brzoza napelniała ją spokojem, kołała tysiącletnią mądrością ziemi, złe myśli zabierała precz, rozpraszała w sobie i puszczała z wiatrem poprzez szum setek tysięcy liści. Dziewczura nieraz czuła, że gdyby świat zanadto jej dokuczył, gdyby było bardzo złe, zapewne mogłaby przytulić się do brzozy-mateczki, wrosnąć w nią i trwać tak następne kilkadziesiąt lat, nigdy nie nudząc się z bezruchu. Już kilka razy chciała to zrobić, lecz zawsze

coś ją od tego zamiaru odwiodło. Ostatnio Wojda.

Młoda wiedźma weszła pod strzechę obwisłych gałązek i zakłóciła wietrzną-zwierzęcą mowę-ciszę uroczyska ludzkimi słowami wypowiedzianymi szeptem: – Witaj, mateczko, przychodzę, bo mnie żalność przepelnia.

Brzoza odpowiedziała pobłażliwym westchnieniem, na co Anucha się uśmiechnęła, ale zaraz stanęły w jej oczach łzy, błyszczące w ciemności niczym perły. Potoczyły się po jasnej buzi, a ich miejsce zajęły następne, zaraz wyparte kolejnymi. Dziewczura objęła pień, jak tylko rękoma mogła sięgnąć, tuląc się z czułością, niby mocno, lecz to tylko tak wyglądało. Drzewo nie naciskało na nią, chociaż dawało poczucie bliskości. Mimo że chłodne i twarde, wydawało się ciepłe i miękkie. Dziewczura szeptała dalej, nie przestając płakać: – Martwię się o niego. Coś musiało się stać, bo straszny sen miałam. Ledwie przeżyłam ten dzień. Powiedz, mateczko, co z nim? Czy dzieje mu się krzywda? Przecież tamci przybyli prosto z piekieł. Jak człowiek może ich przemóc?

Więcej młoda wiedźma nie mówiła. Nicco mocniej wtuliła się w brzozę, aż odciskała na sobie chropowatość kory.

Drzewo wchłonęło myśl dziewczyny, wymieszało z własnymi. Słone łzy przyjęło i poniosło do najwyższych gałązek.

Z każdą chwilą dziewczura odnosiła wrażenie, że staje się częścią brzozy, częścią lasu, że żyje i oddycha tchnieniem wiatru. Sama myśl wystarczy, żeby zadać pytanie i otrzymać na nie odpowiedź, samo uczucie, żeby zyskać zrozumienie nie wszystkich drzew naraz, a tego jedyne, co trzeba.

To była mowa drzew.

Wiedziały więcej i szybciej od ludzi, tylko na co komu taka wiedza, którą nie wiadomo jak po ludzku wyłożyć?

Dziewczura trwała w przytuleniu, a troski rozplywały się w przestrzeni pradawnych puszczy i młodziutkich sadów. Gdy odczuła spokój, pojęła, że samą troską nie da się żyć, przyszło też uczucie, że nie do brzozy się tuli, lecz dębu, co pod korą drży smutnym szlochem, szeptem klęski i zawodu. To jednak, zamiast przyprawić Anuchę o żalność, dodało radości i nadziei, bo wreszcie miała pewność, że on żyje. Prawda, jest nieszczęśliwy, ale zawsze tak nie będzie: zło musi odejść, przeminąć. Ważne, aby nie zwątpić, że dobro i Bóg istnieją. Trzeba opłakać zmarłych, przetrwać i na nowo się odrodzić, domy zostaną odbudowane, odrosną stratowane zasiewy. Odrodzą się ludzie.

Wiedźma to przekazała myślami w korę ze świadomością, że nikt jej nie usłyszy, słowa nie dotrą do ukochanego. Musiała tak zrobić, aby dać zadość własnym pragnieniom i ziścić je w dobrym czarze. Wszeptała w jedno z pęknięć odziemka:

Miły mój to co zaszło, nie jest twoją winą

Zrobiłeś wszystko co w twojej mocy było

To co złe nie stało się za twoją przyczyną

Nie martw się tylko wróć daj mi swoją miłość

Tęsknię co dzień a i w nocy nie sypiam spokojnie

Musisz wrócić zrobię wszystko byle tak się stało

Umrą z czasem w pamięci najstraszniejsze zbrodnie

A ty żyj bo dobrych ludzi jest na świecie mało.

Wyszeptawszy te osiem wierszy, dziewczura oderwała się od drzewa, całując je na pożegnanie. Zdjęty z głowy piołunowy wianek zawiesiła na jednym z konarów. Podobnie uczyniła z naszyjnikami. Poglaskała jeszcze czule korę, jakby chciała poprzez mowę drzew przekazać pieszczotę ukochanemu, po czym się odwróciła, aby iść do domu. Nie od razu ruszyła, bo o kilkanaście kroków stało stado wil i brzegiń.

Piękne stwory patrzyły na dziewczurę. Ich oczy się jarzyły, nieruchome, smutne twarze wyróżniały bladością. Nie wyglądały na zagniewane, dlatego dziewczyna odważnie poszła między boginki, choć rozbroiła się z naszyjników i wianka. Dopiero gdy wiedźma była o krok od nich, wyższe o głowę rozstąpiły się nieco, ale, ominięte, zaraz zwały szeregi, omal napierając.

Anucha myślała, że przejdzie spokojnie, bez zaczepki, gdy jednocześnie kilka wil złapało ją za włosy. Już by krzyknęła, ale się opanowała. Boginki ujmowały koniuszki rozpuszczonych pasm, szybko rozkładając je na pojedyncze włoski. Trochę pociągały za nie – nie na tyle mocno, aby zatrzymać Anuchę czy sprawić ból – i czyniły coś, że raz dotknięte włosy nie opadały, nim więc wiedźma minęła duchy, miała na głowie długą, sterczącą na wszystkie strony czuprynę. Nadal szła wśród duchów, z duszą na ramieniu, coraz wolniej, bo coś wciąż

ciągnęło ją za włosy i powstrzymywało. Nie oglądała się, mogłaby tym rozzłościć duchy, w końcu jednak, gdy uszła z wysiłkiem kilkanaście kroków, zobaczyła, co ją zatrzymuje. Obejrzała się z wolna.

Za sobą ciągnęła włosami siwe pasmo mgły. Wiły i brzeginie poprawiały tę mgłę, rozciągały wszcz na wiele pasm, pasemek, wreszcie na włókienka. Dziewczura nie miała siły dalej iść, kilka wił podparło więc jej głowę i pociągnęło, a mgielna osnowa rozsunęła się cieniutką warstwą nad całą łąką. Leśne duchy rozdzieliły ją jeszcze, co drugie włókno uginając w dół, przez co zrobiło się miejsce dla wątku. Ten, w postaci pasemka mgły, szybko podawały sobie z rąk do rąk, po czym znów rozdzieliły włókna i znów przepuściły wątek. I tak setki razy, a gdy utkały sieć wielkości polany, oderwały od włosów Anuchy osnowę, utkaną zaś materię, warstewkę mgły, brzeginie przeciągnęły nad wodę. Jedna wiła uniosła rękę i wskazała Anuszy drogę do domu, trzy inne zapraszały między siebie, pokazując z lekkim ukłonem bagno uroczyiska. Dziewczura nie skorzystała z zaproszenia, pewnie już ostatniego, żeby zostać między leśnymi duchami. Ten świat nie był dla niej, jeszcze nie. Póki Wojda pozostawał przy życiu.

GORZKIE ŻALE

Zniszczenie rany śmierć pożoga

Wszystko to przyszło nam oglądać

Gdzie wczoraj radość tam dziś trwoga

W tych dniach na próżno ulgi żądać.

Nocy z dziewiątego na dziesiątego kwietnia roku Pańskiego 1241 nikt w Legnicy nie przespał. Dopiero nad ranem niektórzy próbowali się zdrzemnąć, ale wówczas budził ich chłód poranka. O świcie ptaki zaczęły wesołe trele, jak gdyby nic złego się nie stało, co wszystkim wydało się dość dziwaczne. Ten śpiew beztroski, podczas gdy ludziom groziła śmierć, a jeśli nie ona, to straszliwe upodlenie, zdawał się czymś nierzeczywistym, wręcz drwiną z ludzkich trosk.

Nie do wiary było, że świetne wojsko księcia Henryka przepadło niemal w całości, tak jak wcześniej wojska ruskie, potem sandomierskie i krakowskie. Czy to znak końca świata, skoro nawet najlepsi nie mogą przemóc potworów? Czyż

takim znakiem nie jest sama szybkość wydarzeń?

Od kilku lat słuchano o piekielnej nawale ze wschodu, słuchano jednak jak bajki; mało kto wierzył, że mongolska armia dotrze pod Legnicę, bo po co miałyby aż tam się zapuszczać. W nocy z dziewiątego na dziesiątego kwietnia roku Pańskiego 1241 na to pytanie padła odpowiedź: żeby skończyć z tym zgniłym światem i wyjątku nie czynić nawet dla spokojnej Legnicy. Teraz, poniewczasie, ludzie wiedzieli: za mało było modlitwy, za mało pokory, za dużo grzechu. Oczytany w księgach i osłuchany w przepowiedniach końca świata jakiś mniszek powiedział nawet, że rozumie szatański chichot zawarty w śpiewie ptaków, choć jeszcze wczoraj, niczym Święty Franciszek, słyszał w tym coś odwrotnego, mianowicie pochwałę dzieła bożego.

Wśród oczekujących na murach była wojewodzianka z Krakowa. Ona, w odróżnieniu od reszty świata, cały czas wierzyła, że Henryk nie wyjdzie żywym z bitwy, jeśli tylko do niej dojdzie. Jednocześnie jej Pakosław, najsprytniejszy z ludzi jakiego znała, musiał ocaleć. Nie płakałaby, gdyby zginął ten naiwny ciamajda Wojda, co na swój sposób też się podobał wojewodziance, ale z Pakosławem to była inna sprawa – on powinien żyć, bo jego siła, męstwo i męskość dawały Gertrudce nadzieję na przetrwanie, odzyskanie dóbr rodowych i wyjście z hańby, w którą się wpędziła. Świat nie mógł się skończyć tak łatwo.

W miarę docierania różnych wieści z pola bitwy, Gertruda, jako jedyna pośród rozmodlonych szlachetnych niewiast, nie łudziła się zwycięstwem czy bożą pomocą. Wierzyła, właściwie życzyła sobie, aby ziemia śląska doznała tej samej klęski, co krakowska. I to życzenie spełniło się całkowicie. Mało tego! Gdyby tylko mogła Legnicę opuścić, życzyłaby miastu zdobycia przez Tartarów, a tym rozmodlonym niewiastom, żonom i córkom rycerskich nieudaczników, jak najbardziej żalostnej niewoli i wielokrotnego pohańbienia. Niestety, musiałyby podzielić los tych niewiast i z tego tylko powodu chciała ocalenia miasta, przynajmniej do czasu, póki ona w nim przebywa. Groza popadnięcia w niewolę tartarską i nad nią zawisła dlatego ona, wojewodzianka z możnego rodu, zakasała rękawy, rąbki sukni założyła za pasek i wzięła się do pomocy obrońcom. Od rana czuwała na murach, towarzysząc niewiastom, które znosiły kamienie na mury, i uczestniczyła w warzeniu strawy dla obrońców. Dobrze słyszała śpiew ptaków, niosące się daleko radosne krzyki kosów i donośny świergot malutkich pokrzewek. Wieczorem zaś wniosła kilka kamieni po stromych schodach murów na hurdyce. Wokół podziwiano, jaka piękna, mądra i skromna jest ta nieduża wojewodzianka, co dzielnie znosi nieszczęścia, i ile w niej dobra. Tylko służące coś dziwnie milczały, gdy chwalono ich panią, ciotka zaś, przyzwyczajona nie za wiele robić, pod nosem utyskiwała na nowy pomysł podopiecznej.

Pod wieczór wśród śpiewów ptaków poniosły się głosy straży z wieży i z wałów. Coś się działo. Gertruda zapomniała o boleściach i w ślad za surową

w obyciu kasztelanową poszła na mury, żeby na własne oczy zobaczyć, co się dzieje.

Pod bramę podjechało kilku jeźdźców: trzech Tartarów i ruski, co całkiem składnie mówił po polsku. Jeden Tartar głośno zaszczekał po swojemu i paskudnie wykrzywił wstrętą i bez tego mordę, ruski zaś powtarzał to grubym głosem. Posłanie było krótkie.

– Poddajcie się Lachy, a nikomu krzywda się nie stanie. Korol Ordu wam to mówi. Jeśli się nie poddacie, nikt żywy stąd nie ujdzie. Nie macie po co walczyć, bo wasz książę nie żyje. Poległ wczoraj, bitwę przegrał. Krzywda wam się nie stanie, tylko wpuścicie tartarskie wojsko w gorod, zapłacicie okup i dacie strawę. No i trzydziestu zbrojnych do pomocy nam, bo jedziemy dalej wojować.

Było to powiedziane z wielką pewnością siebie, jednocześnie w sposób kpiący, nielicujący z powagą sprawy. Ludzie na wałach milczeli. Głos zabrał kasztelan legnicki.

– Nie wiemy, czy nasz książę nie żyje, wy tak twierdzicie. Winni jesteśmy mu przysięgę i jej dotrzymamy. Nawet jeśli nasz książę Henryk nie żyje, nie jest to jeszcze tak wielka strata, aby warowne zamki i miasta poddawać. Nie jesteśmy sierotami i nie będziemy. Nasz książę miał kilku synów. Oni żyją i są równie prawego usposobienia jak ich ojciec. Idźcie precz, bo każę was wystrzelać.

Tartarowie zrozumieli przesłanie bez tłumaczenia. Spokojnie zawrócili konie i pojechali między swoje wojska mającące ciemnymi liniami o jakieś tysiąc kroków. Tylko ruski coś zaczął wykrzykiwać w stronę wałów, na co ktoś krzyknął: – Zastrany pies! Kamieniami w niego!

Zaraz kilkunastu procarzy rozkręciło rzemienie nad głowami i puściło w stronę bezczelnego posła mniejsze i większe kamienie. Jakieś trafiły, raniąc gburą w czoło i obijając po tułowiu. Szczególne razy dostawał koń; spłoszył się, kwiknął kilka razy, a z murów goniły go następne kamienie, gwizdy i wydawane na różne sposoby okrzyki.

W tej chwili pękła niewidzialna zaporą strachu i ludzie się roześmiali. Widzieli jednak, co było dalej. Ruski tłumacz podjechał do swoich panów, jeden z nich do niego zagadał, drugi zaś, jadący z tyłu, korzystając z chwili nieuwagi ruskiego, dobył miecza i jednym machnięciem odciął mu głowę. Bezgłowe zwłoki jeszcze jechały na koniu, w takim pochyleniu, jak je zastał cios, po czym straciły równowagę i zsunęły się w bok z nogą utkwioną w strzemieniu. Podniosły się krzyki na wałach, jedne śmiechy umilkły, ale inne trwały, bo nikt zdradzieckiego posłańca nie żałował.

Nie czas jednak było myśleć, dlaczego tak Tartarowie uczynili, bo doszło do spraw ważniejszych.

Ledwie posłowie dojechali do swoich, coś tam się poruszyło we wrażliwych szychkach i za chwilę mrowie ludzi i koni z chrzęstem ruszyło z miejsca. Sto kroków

od wałów naraz wypuścili tysiące strzał, czemu Gertruda przyglądała się z niemym podziwem, nawet podnieceniem, bo rzadkością jest ciemna chmura powstająca jak na zawołanie. Ktoś pociągnął wojewodziankę za blankę, bo za chwilę, pośród świstu i gwizdu, strzały zabębniły gęstym deszczem po dachach hurdydycji i odbiły się z trzaskiem i dzwonieniem od murów. Kilkunastu ludzi jęknęło zranionych, zwłaszcza jęczały niewiasty, co nie skryły się w cieniu muru.

Deszcz strzał jak niespodziewanie się zaczął, tak zaraz ustał. Tartarowie pogonili przed sobą setki ludzi niosących słomę i gałęzie, którymi mieli wypełnić fosę wokół murów zamkowych i miejskich – wybrali odcinek, gdzie mur był najniższy. Obrońcy gęsto strzelali z kusz do nieszczęśników, Tartarowie strzelali do obrońców z łuków. Kilka razy popędzili niewolników do rowu, aż zasypali go ludzkimi ciałami i niesionymi przez nich przedmiotami na tyle, że dało się pod mur podejść.

Ochoczo kilkuset pieszych ruskich i tartarskich podbiegło wówczas z drabinami, nawet z taranem. W ślad za nimi podsunął się oddział niosący na szczytach włóczni coś na kształt brodatych, czarnych głów – znaki najeźdźców. Wśród nich była jednak i prawdziwa głowa. Traf chciał, że nieco pod skosem widziała ją Gertruda – tam, gdzie stała, Tartarowie zamierzali się wdrzeć na mury i przez bramę, dlatego strzelali gęsto we wszystkie otwory w blankach i pod hurdydycjami, wychylić się więc było nie sposób, ale patrząca pod skosem wojewodzianka w miarę bezpiecznie oglądała widowisko dziejące się na dole, co pozwoliło rozpoznać głowę na włóczni, chociaż odmienioną śmiercią i poniewieraniem. To była głowa księcia Henryka!

Oczy miał wpółotwarte, nieco patrzące w niebo, tyle że powieki na nie naszły, usta wykrzywione w grymasie, krótką brodę i włosy zmierzwione. Właśnie te włosy początkowo myliły Gertrudę, bo nigdy nie widziała księcia z gołą głową, lecz nie miała wątpliwości, że to był on: on – na czele szyków z piekła rodem, niema drwina z chrześcijan.

Natarcie odparto, polewając wrzaskiem tych, co odważyli się wspiąć na drabiny. Tartarski chorąży, który niósł włócznię z głową śląskiego władcy, padł z przestrzeloną na wylot czaszką, inne bełty dosięgły ludzi z jego otoczenia. Po niecałej godzinie od rozpoczęcia natarcia Ordu kazał cofnąć się oddziałom i zaprzestać marnowania strzał. Był zły, choć wczoraj wygrał ważną bitwę. Był zły, bo w czasie wczorajszej wieczornej uczyty urządzonej na stosach nagich ciał obrońców chrześcijaństwa, obiecał wojownikom, że za to zwycięstwo dostaną Legnicę z całym dobytkiem, ze wszystkimi ludźmi, że będą mogli robić w mieście, co im tylko się spodoba. Niestety, ani podstęp, ani pokaz siły nic nie dały i podobnie jak pod Sandomierzem i Krakowem, mogły jedynie przysporzyć bolesnych strat.

Ordu nie miał czasu na oblężenia: w każdej chwili spodziewał się drugiego

wojska chrześcijan, a bitwy z wrogą twierdzą za plecami tartarski wódz sobie nie życzył. Wczorajsza walka kosztowała sporo, niemal ośmiuset poległych, co prawda obcięto prawie uszy ponad tysiąca trzystu poległym chrześcijanom, ale wśród Tartarów było tyluż rannych – wiadomo wszak, że nie wszyscy z nich przeżyją. Konie, będące w nieustannej drodze od Krakowa, wymagały odpoczynku. W dodatku dotarli z Węgier gońcy od Batu-chana, gdzie ten przymierzał się do wielkiej, rozstrzygającej bitwy z siłami chrześcijan. Przyniesione polecenia były wyraźne: albo wrócić całością sił na pomoc, albo tak tu działać, żeby żaden z tutejszych władców nie mógł iść z pomocą królowi Węgier.

Ordu chciał ze sobą pogodzić jedno z drugim: zaspokoić żądze swoich psów, dać odpocząć koniom, przy okazji zamieszać w głowach obrońców tych ziem, aby wszelkie ich poczynania stały się chybione.

Do południa wojska Tartarów jedynie założyły ogniska, żeby móc się posilić, w samo południe podprowadzili pod mury Legnicy kilkudziesięciu nagich jeńców z wczorajszej bitwy, zmusili do przyklęknienia, po czym na oczach obrońców ścięli im głowy.

Widok straceń wzbudził w Gertrudce coś jakby podniecenie, ledwie zapanowała nad uśmiechem – zawsze się uśmiechała, gdy odczuwała strach. Zaraz jednak uśmiech spęzł z jej twarzy, bo rozpoznała jednego z jeńców. Pociągnęli go za włosy, żeby nadstawił karku, wtenczas myśl w głowie krzyknęła: Pakosław!

Błysnął tartarski miecz. Ścięta głowa potoczyła się niedaleko od tułowia jak kilkanaście innych przed nią. Co było dalej, Gertruda już nie widziała. Padła zemdlona, jednocześnie wewnętrzne skurcze pozbawiły ją kłopotu, którym zamartwiała się od ponad miesiąca.

Po pokazowym ścięciu jeńców Tartarowie zniknęli z oczu obrońców Legnicy. Wkrótce było wiadomo, dokąd poszli; nie dało tego się poznać po pożarach, bo otaczały łuną Legnicę ze wszystkich stron, dopiero pod wieczór, gdy dymy rozpląnęły się w powietrzu, wysłedzono z wieży zamkowej kilkanaście innych, bijących w niebo na południe i na zachód od grodu. Z tego się domyślano, że Tartarom chodzi o Złotoryję, bo tam zechcieli dopaść resztek wojsk śląskich. O północy te domysły należało jednak odrzucić. Łuny pożarów widziano bowiem na południowym zachodzie. Zatem to nie Złotoryja była celem Tartarów, lecz Łużyce. Tak mniemano w Legnicy i – niedługo – w północnej części księstwa Henryków. Domyśl ten tylko w małej części był zgodny z prawdą.

Widziano łuny pożarów i ze Złotoryi, co spowodowało taki popłoch, że omal wojsko odbiegło od księcia. Udało ich się zatrzymać i aż do rana stali pod bronią czujni aż do przesady – przejęci, omal ubili kilku idących do miasta ludzi, biorąc ich za skradających się Tartarów.

Łuny odchodziły dalej na południowy zachód, dlatego książę Bolesław znów rozesłał poczty zbrojne we wszystkie strony świata, aby czegokolwiek się

dowiedzieć. Znowu Wojda i Dobrosz jechali przez ćwierć dnia na południe, do pierwszej spalonej wioski, gdzie napotkali kilku wystraszonych kmieci, ale nie znaleźli ludzkich ciał. Znowu wspinali się na wysokie drzewa, żeby choć dymy zobaczyć. Ujrzeni je w oddali, na zachodzie i południowym zachodzie. Rycerz Jakub uznał więc, że dalej nie pojedą – odpoczną nieopodal spalonej wioski, za ogniska użyją niedopalonego żaru z domostw, a najedzeni i wypoczęci skierują się do Złotoryi.

Trochę jednak minęło, nim stanęli w obozie rozbitym za murami Złotoryi, a gdy tam dotarli i rozkulbaczili konie, któryś z giermków zawołał: – Chodźcie, zobaczyć! Niemcy mszczą się na czarownicy. Na męki ją wzięli.

Usłyszawszy to, Wojda natychmiast pomyślał o dziewczurze i coś zakłuło go w boku, mimo to z kilkunastoma mężczyznami, w tym z Dobroszem, pobieżał obejrzeć widowisko.

Na złotoryjskim rynku zebrał się rozgniewany tłum – ludzie mieli powód do złości: ponad stu ich braci nie wróciło z bitwy, za to ocalała czarownica, co obiecała ochronić przed Tartarami. Wielki wrzask uciszał się na chwilę, gdy gadał z podwyższenia człek w mnisich szatach, któremu towarzyszyli dwaj tłusci oprawcy w czerwonych kapturach i z nagimi brzuchami. Miejscowi na nich mówili „kaci”. Groźne tłusciochy trzymały między sobą słaniającą się na nogach niewiastę, a o tym, że niewiastą była, świadczyły strzępy sukien i pierś widoczna przez wielkie rozdarcie – inaczej trudno byłoby rozeznąć płeć, tak już tę kobietę oporzędzono. Włosy ścięto nożycami do strzyżenia owiec, poprawiono to dzieło brzytwą niezbyt ostrą, no i nie lekką ręką dzierzoną. Twarzy także się nie rozeznało. Wyłamane ze stawów ręce zwieszały się bezwładnie, zresztą i na nogach nie mogła stać, bo je zmiażdżyli młotami.

Coś chyba jęczała, ale we wrzawie nie dało się usłyszeć, co.

Polscy rycerze patrzyli na sąd z mieszanymi uczuciami. Czuli wściekłość za klęskę i chętnie wyładowaliby złość na kimkolwiek, a wiedźma do tego by się nadała. Wielu wszak z nich słyszało przechwałki płynące z hufca złotoryjskich kuszników, że żadne diabły ich nie zmogą, mają bowiem czarownicę, co odeprze wszelkie razy, własna broń piekielników obróci się zaś przeciw nim samym. Wiedźma się nadawała, zwłaszcza że całkiem sporo srebra zarobiła na sprzedaży zaklęć i czarów, lecz, niestety, zaszyte w woreczkach kępki kociej sierści, skrzydełka nietoperzy i łapki ropuch, także zaklęcia zapisane na pergaminie, niewiele pomogły w bitwie. Oddając sprawiedliwość, kilku posiadaczy czarów ocalało i oglądało teraz widowisko, ale za nic nie zaświadczyliby, że dzięki czarnej magii wyszli z klęski cało.

Wojda, oglądając umęczoną niewiastę, ciągle miał przed oczami dziewczurę. Przecież ktoś zawiedziony leczeniem z łatwością mógłby rzucić i na nią oskarżenie i ani chybi trafiłaby w dyby na pohańbienie, być może ścięliby jej włosy i ogolili

głowę tępą brzytwą, poszarпали cęgami ciało i zmiażdżyli młotami kości. Wzdrygnął się na myśl o tym i już miał odejść, żeby odpocząć od służby i od nieznośnego wyobrażenia Anuchy na miejscu kaźni, gdy ktoś powiedział, że to nie koniec widowiska.

– Jak to, nie koniec? – zdziwił się młodzieniec – Przecież już ją obili i oszpecili. Co jeszcze mogą zrobić? – pytał, a serce w nim zabiło niespokojniej.

Na skrwawioną głowę czarownicy nałożyli dziwną, spiczastą czapkę z napisami, teraz więc, mimo budzącego żal wyglądu, zaczęła rozśmieszać zebranych. Jeśli do tej pory ktoś nad nią się litował, żółta czapka ze szpicem wymierzonym w niebo odebrała położeniu kobiety wymiar nieszczęścia. To, co działo się na rynku, stało się grą, zabawą: półnaczy kaci w czerwonych kapturach, obaj nadmiernie tłuści i niewzruszenie obojętni, obok – dla odmiany chudy, kostyczny – mnich ruchliwy jak fryga, machający rękami i krzyżem, rzucający z ust gromy z cienia kaptura w niesłuchający go tłum, napuszone powagą bezmyślne twarze ludzi, co im wyraźnie się zdawało, że uczestniczą w czymś mądrym – wszystko razem tworzyło obraz występu wędrownych kuglarzy.

– Zaraz zaczną się kłaniać i zbierać datki – ktoś trzeźwo zauważył z uśmiechem.

Po chwili ciszy odezwał się słaby głos umęczonej, wypowiedziany spękany i zapuchły wargami, pośród wylanych z podbitych oczu łez wymieszanych z krwią: – Litości, ludzie. Litości!

Na to odezwał się ogólny śmiech. I Wojda się uśmiechnął, po czym powiedział: – To chyba udawanie.

– Spalą ją – zawyrokował z wielkim znanstwem i spokojnie jeden z rycerzy niemieckich.

– Jak to spalą?! – zapytał Dobrosz, może trochę za ostro.

– Zwyczajnie. Spalą. Przywiążą do słupa, obłożą drewnem i podpalą – obojętnie wyjaśniał rycerz, jakby mówił o czymś oczywistym.

– Za co taka kara? – zapytał Wojda, a zdawało się mu, że pyta o dziewczurę i że druhowie już wiedzą, o kogo mu chodzi. Zapłonął więc czerwienią na twarzy.

– Nie słuchaliście? Prawda, mogliście nie pojąć, gdy mówił – tłumaczył Niemiec. – Ogłoszone było, że winna jest herezji, bo z diabłem się zadawała, oszukiwała ludzi, mając ich bezpieczeństwem w bitwie, spędzała płody, no i sprowadziła nieszczęście na kraj. Za to należy się spalenie na stosie.

– To tych mąk, co były... nie wystarczy? – zapytał zdziwiony Dobrosz.

– Pewnie, że nie – mówił rycerz z pobłażaniem dla niewiedzy towarzysza. – Męki były po to, żeby się przyznała do winy. Przyznała się do wszystkiego, przy tym kat znalazł miejsca, gdzie ją diabeł dotykał. Ona tam żadnego czucia nie ma.

Dobrosz pokręcił głową i rzekł w zadumie: – Dziwne człowieka palić na śmierć. To nie lepiej ściąć albo powiesić?

Wojda nic nie mówił.

Zgodnie z zapowiedziami niemieckiego rycerza, kaci zdjęli czarownicę z podwyższenia, pociągnęli w bok, gdzie na grubym podkładzie z chrustu czekał już sięgający piersi, a szeroki na półtora kroku, stos z bierwion. Pośrodku był słup, do którego oprawcy przystawili drabinę, a na nią wciągnęli czarownicę, co jeszcze na przemian mdlała z bólu i z chrapliwymi okrzykami przychodziła do przytomności. Wiedźma jeszcze próbowała się wyrwać, ale ani omdlenia, ani szarpanina niczego nie dawały. Niewątpliwie skończyły się śmiechy tłumu, słychać było szmer złorzeczeń rodzin, których bliscy nie wrócili z wojny.

Wojda wiedział, że powinien milczeć. Ciągłe widział Anuchę, którą szarpia i lżą, zadają ból, na koniec chcą zabić w najokrutniejszy sposób. Na szczęście zamiast niego któryś z Polaków, chyba Chwalibóg, rzekł: – To, że ma być ukarana za złe czary, rozumiem. Tylko dlaczego aż tak? Wystarczyłoby raz dobrze uderzyć toporem w łeb i po krzyku. Sam u niej byłem, mocno czarowała, dała skrawek pergaminu... Zapłaciłem, ale pluć na to. Nie uwierzę, że za sprawą jednej niewiasty, co ją przedwczoraj pierwszy raz w życiu widziałem, Tartarowie zajęli pół świata i pobili całe wojska chrześcijańskie. Przecież księża mówili, że ten najazd jest za grzechy nas wszystkich. I co, jedna głupia baba miałaby taką siłę, że padło tyle tysięcy ludzi? Że koniec świata się zaczął? Coś u was, Niemców, dziwne są zwyczaje.

Zawtórował mu rycerz Mirosław herbu Grzymała: – A ten wasz cesarz, Fryderyk? Jakby zmierzyć jego czyny, to ta czarownica jest prawdziwie niewinną. Jego powinno się palić, nawet codziennie, od nowa. Tyle razy wyklinali go papieżu, mimo to on nic, nie przejął się! Robi, co chce, i teraz się słyszy, że znów naciera na Rzym papieża zawojować. A my tu sami z całym piekłem się potykamy, które właśnie ta jedna niewiasta sprowadziła? Jeszcze kilka dni temu otaczał ją tłum chętnych na jej usługi, nigdy nie wyglądała na bogatą, a dziś nędzarka okazała się winną zguby świata? To możliwe jest tylko u was. Że też książe tego nie widzi.

– Nie ona jedna, o nie – odpowiedział niemiecki rycerz z zielono-białą szachownicą na tunice, zgrabnie przemilczając to, co niewygodne, czyli sprawy cesarskie. – Mówią, że takich, co zaprzedały duszę diabłu, może być setki, nawet tysiące, całe wojsko. Czekają cierpliwie, nawet dziesiątki lat, jak to heretycy. Zwyczajnie, gdy jeszcze godzina nie nastąpiła, wydają się dobrzy, rzadko wtedy szkodzą, najwyżej krowę pozbawią mleka albo kogoś pchną do zbrodni, ale jeśli ma nadejść nieszczęście, jednoczą siły, przez co dodatkowo mnożą złe moce. I nie tylko niewiasty zadają się z diabelstwem.

Tu wtrącił się Dobrosz: – Skoro ona taka silna, to dlaczego dała się złapać? Dlaczego żadne moce nie przyszły z pomocą?

Niemiecki rycerz nieco się obruszył, ale cierpliwie wyjaśnił: – Wy, Polacy, nic nie znacie się na mocach piekielnych. Tak zrobili, żeby czarownica nie miała

zetknięcia z ziemią, bo ona bierze moc z piekła, dotykając ziemi. Zaskoczyli ją, podnieśli, skrzepowali i koniec z jej mocą – tu się uśmiechnął, widząc jacy Polacy byli zaskoczeni.

– Ale gdy ją nieśli, dotknęła ziemi i jakoś im nie odleciała, ani nawet jeden grom nie uderzył z jasnego nieba.

– Bo to moc modlitw uczyniła.

– Nie mogli się modlić, gdy czarowała? Czar zniszczyć modlitwą? – zapytał Dobrosz.

Niemieckiemu rycerzowi wyczerpały się zasłyszane pomysły, nieco więc zmienił przedmiot rozmowy.

– Niech wam się nie zdaje, że na tej jednej będzie koniec. Setki jeszcze takich znajdą.

– Mamy w to uwierzyć? – znowu odezwał się Dobrosz. – Jeżeli opowiedzą te bajdy ludziom prostym, to gdy jedna baba na drugą krzywo spojrzy, może zaraz zostać współniczką diabła. Przecież wszystkie wiejskie baby czynią gusła. I co, wszystkie trzeba będzie spalić?

Oni rozmawiali, a w tym czasie oprawcy przywiązali niewiastę do słupa i dołożyli chrustu, coś tam w ogólnej wrzawie gadał mnich nie mnich, po czym podpalili stos ze wszystkich stron. Buchnął dym, potem płomień. Natychmiast rozległ się skowyt palonej, wreszcie przeraźliwy ryk. Tłum ucichł. Płomienie szybko zdjęły czapkę z łysej głowy nieszczęsnej i objęły całą postać. Krzyk ustał. Palona miotła się przy słupie krótko, bo ogień był silny, w dodatku czy więzy puściły same, czy to płomienie je przepaliły, w każdym razie płonące ciało skurczyło się na stosie jakby w ukłonie.

Wśród zebranych odezwały się nawet szloch.

Po całym rynku poniosła się ostra woń palonego pierza.

Zmęczeni rycerze patrzyli na to widowisko w milczeniu, bez żadnej radości, za to z niesmakiem. Widząc miny Polaków, niemiecki rycerz postanowił wyjaśnić im co nieco.

– Powiedzcie, skąd te diabły wiedziały, jak chodzić po kraju? Dlaczego wszystko im się udaje? Jak to możliwe, że idą, dokąd chcą, są szybsi, jakby znali nie zamiary nawet, lecz przyszłość? Musi w tym być sprawka diabelska.

Nie dostał odpowiedzi. Choć może by ją dostał, lecz właśnie wmieszał się między nich zaginiony w czasie bitwy wesołek Witosza. Ucieszyli się na jego widok – zwłaszcza ojciec, Chwalibóg – on sam zaś mówił bez żadnego uśmiechu: – Żyje, żyje... Ale obym nie żył!

– Co ty mówisz? – któryś zapytał, a reszta nadstawiła uszu.

– Ubili księcia Henryka – powiedział Witosza smutkiem odmieniony nie do poznania. – Ścięli mu głowę i obwieźli wzdłuż murów Legnicy. Mam to oznajmić księciu Bolesławowi. Gdzie on jest?

Nieszczęsna wieść rozbiła rycerzy zupełnie. Zamilkli i zanim odpowiedzieli, minęła chwila.

– Od bitwy nie zmrużył oka – rzekł któryś. – Ale dowiedziawszy się, że Tartary odjechali na Łużyce, śpi na zamku jak zabity.

– Powinienem zatem tam iść – oznajmił Witosza. Już miał ruszyć w swoją stronę, ale jeszcze się rozejrzył po rynku. – Co tu się dzieje?

– Nic takiego – odpowiedział rycerz Mirosław, ten sam, co wcześniej oburzył się na niedorzeczność kary, jaka spotkała czarownicę. – Takie tam niemieckie prawo i niemieckie zabawy. Pałą niewiasty, bo im się zdaje, że odwrócą nieszczęście. Chyba diabłu na ofiarę. – Splunął, przeżegnał się i odszedł, a za nim ruszyli inni, każdy w ponurym nastroju i pełen złych przeczuć.

Niemiecki rycerz popatrzył za nimi, wzruszył ramionami i dołączył do ziomków, co właśnie pozbyli się ogniem jednego kłopotu i zaczęli radzić, jakby tu tak samo skutecznie pozbyć się następnych.

Na pogrążone w poważnej zadumie pokoje zamku w Krośnie, gdzie niczym kanie dżdzu oczekiwano wieści od księcia Henryka, bo jego ostatni, naprędce podpisany list zaprowadził tylko dodatkowy niepokój, wprowadzono człowieka pilnie żądającego rozmowy z księżną Jadwigą. Nie chciał mówić, skąd przybywa ani kim jest. Jego postać nie wzbudzała zaufania, zwłaszcza że na dobre zaczęto już szukać szpiegów, co ułatwiali wojnę najeźdźcom.

Przybysz miał podbite oczy i podrapaną twarz, dłonie pokrywały stupy niedawnych otarć, trochę kulał. Zakurzone ubranie jakby złożył ze strzępów, trzewiki nie licowały z pozostałym wyglądem, bo solidne i dobre, choć także grubo pokryte pyłem. Przyjechał na szkapinie zagonionej prawie na śmierć, nie w siodle, ledwie na jednej złożonej w pół derce, z postronkiem zamiast wodzy. Nic zatem dziwnego, że wpuszczono go za wały grodu po błaganiach, niemal groźbach, wreszcie solennym zapewnianiu co do wagi niesionych wieści. Nim dostał się za mury, musiał więcej tłumaczyć się z tego, czego nie chciał nikomu zdradzić, lecz wtenczas ktoś rozpoznał w nim starego sługę jednego z rycerzy niemieckich, co przybyli na te ziemie z dalekiego Andechs jeszcze z księżną Jadwigą. On sam służył już drugiemu pokoleniu rycerzy, którzy zdążyli wrosnąć w Śląsk pod górami i częściej używali mowy polskiej niż niemieckiej.

Człek ten, słaniając się na nogach, wszedł do komnaty pełnej niewiast, ubranych niemal jak mniszki, zresztą kilka w istocie nimi było. Obok nich stało kilku wyrostków, przy czym jeden właśnie wchodził w wiek koguci. Siedzieli w ciszy, bo mnich w mdłym świetle zatkniętej za nim pochodni czytał na głos z otwartej księgi. Posłaniec rozejrzył się, aby znaleźć Jadwigę. Poznał ją w półmroku po świecącej wokół jej głowy poświacie. Postąpił więc i padł na kolana.

– Pani, jestem sługą rycerza von Poppo – rzekł dawno nieużywaną

niemczyzną. – Pewnie mnie pamiętasz, bo dwanaście lat mając, towarzyszyłem ci w orszaku ślubnym z ojczyzny aż tutaj.

– Poznaję cię, rówieśniku. Twoje imię Winfried. Z czym przybywasz?

– Jadę prosto z wielkiej bitwy, jaka wydarzyła się tuż za Legnicą... i nie mam dobrych wieści...

Na te ostatnie słowa wszyscy zamarli w oczekiwaniu, ale łachmaniarz czekał na przyzwolenie, żeby mówić dalej. Stara księżna z powagą i powoli skinęła głową, usłyszała więc to, co i tak wiedziała od trzech dni.

– Twój syn, książę Henryk, poległ trzy dni temu, na dwie godziny przed południem, jak najbardziej waleczny z rycerzy. Widziałem to...

– Jak mogłeś to widzieć? – gwałtownie zapytał po polsku młodzieńca księżę Mieszko.

– Byłem w poczcie młodego pana von Poppo – przybysz odpowiedział, często przerywając, bo ciężar wieści go zatykał. – On sam i jego ojciec zginęli w walce. Mojemu panu Tartar wbił miecz w oko, jego ojca strącili z konia i dobili włócznią. Mnie wzięli do niewoli. Książę Henryk walczył, aż koń mu padł. Księciu wbili włócznię w bok, gdy podnosił prawicę do ciosu...

Tu niektóre niewiasty zakrzyknęły i zapłakały. Onieśmielony posłaniec zamilkł i popatrzył pytająco.

– Mówże, człowiecze, dalej – księżna Anna powiedziała po polsku. – Prawda boli, ale lepsza ona niż ciągła niepewność.

Pod wpływem głosu księżnej Winfried zaczął mówić po polsku, rozmazując łzy po policzku.

– Potem straciłem z oczu naszego pana, księcia Henryka, bo mnie odarli do naga, skrępowali więzami i zabrali gdzie indziej. Dopiero wieczorem widziałem, że uctowali pośród stosów trupów i na trupach ludzkich z... nie wiem, czy mogę to mówić.

– Wstań wreszcie i mów! – powiedziała po niemiecku Jadwiga, co zabrzmiało jak rozkaz.

Człowiek z ociąganiem podniósł się z kolan, nabrał tchu i znów przeszedł na nieco kaleczony niemiecki.

– Obnosili od ogniska do ogniska głowę księcia na jednej włóczni, a na drugiej jego hełm. Tyle widziałem.

Młodszy chłopcy, przytuleni do matki, rozplakali się. Ksieni Gertruda również. Tylko Jadwiga wydawała się nieporuszona otrzymaną wieścią. Jej oczy pozostały suche – już dawno wypłakała swoje łzy. Tylko wbijający się w dorosłość Mieszko nie ustawał w nadziei, że ten człowiek kłamie, bo liczy na nagrodę.

– W jaki sposób uciekłeś z niewoli? – zapytał po polsku.

– Byli pijani – znów skołatany człek przeszedł na polską mowę – nie zauważyli ostrza, co leżało. – Wyjął z zanadrza złomek włóczni z grotem, na co

Mieszko powoli ujął rękojeść miecza, a dwaj zbrojni, stojący obok przybysza, zaraz się usztywnili. Przybysz jednak niczego złego nie miał na myśli. – Przeciąłem tym więzy – mówił dalej – odczołgałem się daleko, znalazłem łachmany, z trupa, rycerskiego chyba, zzułem ciżmy. Po pobojuwisku błąkał się koń, co widać też im uciekł, bo nie miał ani siodła, ani uzdy. Użyłem więzów, żeby zrobić uzdę, i pomny, co mówił mi stary pan, aby w razie nieszczęścia zawsze iść do księżnej Jadwigi, przybyłem. Wiedziałem, że jesteście w Krośnie, bo byłem przy wyjeździe księżnej Anny z Wrocławia.

– Co z moim bratem Bolesławem? – zapytał młodzieńcy Władysław sposobiony do stanu duchownego, bo za mnicha nowicjusza już przebrany.

– Nie wiem. Podobno przebijał się na północ z częścią wojska. Nie widziałem go pośród jeńców, a w niewoli z nikim nie gadałem, bo za to Tartarowie zabijali... – Winfried nie miał już siły mówić ani stać.

Nastała cisza.

W komnacie było jeszcze więcej ludzi, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej. Kilka niewiast wprost nie mogło doczekać się z wypytywaniem o krewnych, lecz nie śmiały odzywać się przed najdostojniejszymi paniami. Mężowie zaś chętnie poznaliby przebieg bitwy, straty, zamiary przeciwnika – oni także musieli poczekać.

W nieznośnej ciszy słyhać było tłumione łkanie.

Ktoś musiał kiedyś przerwać milczenie.

– Tymczasem – Jadwiga powiedziała po niemiecku – dajmy już odpocząć naszemu wiernemu słudze Winfriedowi. Nieraz przynosił wspomnienie radosnej i beztroskiej młodości, za co byłam mu wdzięczna. Teraz jestem wdzięczna, że pierwszy z ludzi przyniósł wieść o bohaterskiej śmierci mojego syna. Zajmijcie się tym dobrym człowiekiem, niech się posili i odpocznie. Niech zostanie wśród nas, bo jego wierność jest długa i wypróbowana. – Jadwiga obróciła się w stronę bliskich i napotkała wzrok owdowiałej księżnej Anny. Widziała w nim wszystko to, czego dostojna dama nie mogła uczynić przy świadkach.

Anną owładnęła czarna rozpacz. Chciała krzyczeć i ledwie przed tym się powstrzymywała. Ostatnio, co dzień mocniej, teraz, poniewczasie, dojmująco czuła, jak głęboką ludzką miłością kochała męża. Wiedziała także, co powie Jadwiga, która zaledwie trzy lata temu, po śmierci starego Henryka, pocieszała zebranych, radząc, aby się cieszyć, bo z pewnością ksiązę zasłużył na wejście do nieba. Wtedy brzmiało to dziwnie: on, wyklęty przez duchowne władze na ziemi, miał być w niebie? No, ale święta niewiasta wiedziała lepiej.

Anna doskonale pamiętała ówczesny niesmak, który po słowach Jadwigi poczuli zebrani, teraz również się spodziewała podobnych słów.

Henryk już w niebie jest i trzeba z tego się cieszyć.

Z tej radości wzbierała w niej niemożliwa do zniesienia gorzkość, aż nadto

widoczna na twarzy, bo nie w niebie Henryk był potrzebny, lecz na ziemi. Brak dobrego władcy wystawi prostych ludzi na ucisk zła w każdej postaci, wola księcia, samo jego istnienie, powstrzymywały jednak złoczyńców przed czynieniem zbrodni. A kraj? Co będzie teraz, bez żadnych już widoków na koronę królewską dla kogokolwiek? Na jakie razy będą wystawione te ziemie?

Z jednej strony Jadwiga nie zawiodła rachub Anny, z drugiej nieco inaczej rozłożyła słowa. Wypowiedź może nie niosła otuchy, ale też i nie przygnębiała. Całe szczęście, że nie przemawiała głosem pogodnym i pełnym nadziei.

– Wiem, że nie mogę ukoić waszego smutku. Chciałabym pocieszyć was, jak potrafię, ale to trudne w bolesnej chwili. Musicie być dzielni. – Stara księżna urwała przemówienie i uklękła pośrodku zebranych, wzniosła oczy ku powale i złożyła dłonie do modlitwy – Dziękuję Tobie, Panie, że byłeś dobry dla mnie i dałeś mi syna, który niczym dobre dziecko, za życia zawsze mnie kochał, szanował i nigdy w żaden sposób nie zasmucił. Choć bardzo by mnie cieszyło, gdyby nadal żył, to jednak mam większą radość z tego i przeżywam ją z nim, że on przez bohaterską śmierć mógł zjednoczyć się ze swym Zbawicielem. Pokornie polecam Ci jego duszę.^[6]

Wieczorem dnia następnego przyszło nieco więcej wieści, przy czym, co istotne, pochodziły od księcia Bolesława, który przez gońca potwierdził, że księżę Henryk nie żyje i w wielkiej bitwie poległo ponad tysiąc ludzi. Sam Bolesław zdołał zebrać trzystu rycerzy i obwarował się w Złotorzy, poza tym w Środzie albo pod Wrocławiem czeka trzystu z posiłków z ziemi krakowskiej, sandomierskiej i wielkopolskiej – nie wiedział, że Wielkopolanie po krótkim wahaniu uszli do domów. Księżę liczy także na niedobitków ukrywających się po lasach, zwłaszcza nieznających kraju rycerzy morawskich i niemieckich. Z tego można wnosić, że ocalonych będzie pewnie jeszcze więcej.

Część wojsk uszła na południe. Nie wiadomo, czy ocaleli. Nic też nie wiadomo o siłach czeskich, pewnie wycofały się na wieść o bitwie. Księżę rozesłał następne wici, żeby każdy, kto może, ścigał do jego chorągwi pod Wrocławiem. O Tartarach zaś tyle wiadomo, że poszli na Łużyce.

Tych wieści wysłuchano spokojniej niż poprzednich. Anna, wyciszona, przygaszona, nawet odczekała, aż goniec skończy mówić i dopiero wówczas zapytała: – Czy to pewne, że mój mąż nie żyje?

Zdrożony rycerz odpowiedział spokojnie i poważnie: – Tak pani, pewne. Sam widziałem jego głowę poniesioną na włóczni przez Tartarów pod legnickie mury. Byłem tam.

Tu księżnej odnowił się najczarniejszy w życiu koszmar. Zamknęła oczy i zobaczyła wszystko takim, jak było we śnie, i takim, jak naprawdę. Po dłuższej chwili, gdy zebrani myśleli, że omdlała na siedząco, odezwała się cicho: – Czy mój syn pogrzebał poległych?

– Nie, pani. Uznał, że trzeba zbierać wojsko, bo wróg może zawrócić.

– Czyli nie znalazł ciała ojca? – pytanie zabrzmiało jak wyrzut.

Goniec nie był na nie przygotowany, ale po namyśle odparł: – Nie upoważniono mnie, co mam o tym mówić, i bym o tym mówił. Z tego, co wiem, próbowano szukać ciała księcia. Nie odnaleziono go jednak, bo leży kilka stosów po kilkadziesiąt, nawet po kilkaset ciał, wszystkie bez głów i nagie. Trudno je rozpoznać. Księżę kazał, żeby mieszkańcy Legnicy zajęli się ich pochówkiem i rozesłał po okolicy w poszukiwaniu ludzi gotowych do tej posługi.

Skończył goniec opowiadać, a wtedy wypuszczono go na żer niewiast głodnych wieści o bliskich. Dwie najważniejsze niewiasty w życiu Henryka pozostały sam na sam ze sobą.

– Matko – księżna Anna odezwała się pierwsza do Jadwigi – wczoraj myślałam, że umrę z żalu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego jesteś spokojna, ale już pojęłam. Też jest w tobie żal, całe życie ją w sobie nosisz, przywykłaś więc do niej. Dziś wiem jedno, muszę tam pójść, aby go odnaleźć i nie dać pochować w bezimiennym dole. Potrzebny mi będzie Winfried, on widział, gdzie księcia pojmano. Zaopiekuj się dziećmi. Zarządę pogrzeb we Wrocławiu. Tam przyjeżdżajcie.

– Nie boisz się Tartarów? – zapytała spokojnie stara księżna.

– Nie. Jeśli zginę, to przy mężu.

– Dobrze, że się nie boisz. Nie masz czego. Dobrze uczynisz, że pojedziesz – powiedziawszy to, Jadwiga przytuliła Annę, ta oddała uścisk, po raz pierwszy od wielu lat. Rozpłakała się płaczem głębokim, rzewnym, acz cichym.

Jadwiga wsparła policzek na głowie Anny i pogłaskała ją czule.

– Nie mylisz się, córeczko, wiem to od dawna. Naprawdę ciężko z tym żyć, w takiej wiedzy i bezradności zarazem. Wiedz tylko, że nigdy do tego nie przywykłam. I już nie zdążę przywyknąć. Dlatego z utęsknieniem czekam, aż Pan Bóg wreszcie mnie do siebie zabierze.

DESZCZ

Pył osiadł na poboju

Kruki gawrony lecą w drogę

Czas na odmianę naszych dziejów

I czas na inną już pogodę.

Księżna Anna i kilkanaście osób w orszaku jechało do Legnicy bez dłuższego odpoczynku przez pół nocy, cały dzień i jeszcze całą noc. Nawet gdy konie ustały, nie sposób było zatrzymać Annę. Szła dalej. Dostarczono więc następnych koni, co wcale nie było proste w wystraszonym najazdem kraju, i księżna zaledwie samoczwart dotarła do Legnicy piątego dnia od zakończenia bitwy. Nie przystała na odpoczynek czy gościnę czynioną przez żonę kasztelana, nie zmieniła zakurzonych sukni ani nie zjadła przygotowanych potraw. Napiała się wody nieznacznie zaprawionej winem, po czym kazała się poprowadzić na miejsce bitwy. Stanowczo zażądała, aby każdy duchowny z miasta i okolicy również udał się na miejsce klęski. Wcześniej przystała tylko na odwiedziny niemal dwustu poranionych, rozłożonych na dziedzińcu zamkowym. Widząc, w jakich warunkach przebywają, kazała przenieść ich pod dachy zamku i do co zamożniejszych domów w Legnicy.

Zbliżała się już do bramy, ale wówczas drogę zastąpiła jej splakana wojewodzianka Gertruda, której wtórowała stara ciotka przy okazji użalająca się nad niedolą dziewczęcia, co w jednej bitwie straciło ojca, w drugiej pewnie stryja, i polecała ją opiece księżnej. Ta jednak nie była w nastroju do współczucia córce tego, co przez własną głupotę i zadufanie przyczynił się do rozproszenia polskich wojsk i do tych klęsk.

– Tedy dobrze, że tu jesteście, a przez nieszczęścia, jakie was spotkały, łatwo zrozumiecie moje położenie – powiedziała chłodno. – Udzielę wam gościny, lecz pierw musicie pomóc, przejmując opiekę nad rannymi tu, w tym domu.

– Jaką opiekę? – zapytała ciotka z nieznacznym oburzeniem.

Gertrudka przestała ronić łzy, co nie uszło uwadze Anny.

– Zwyczajną – nie zmieniając tonu odpowiedziała księżna. – Przemywa się rany, opatruje, pierze z krwi i ropy opatrunki, daje jeść i pić, myje z nieczystości, ubiera, wymienia słomę na świeżą, żeby nie leżeli we własnym gnoju. Tak to się robi. Chyba że chcecie czegoś innego... – spojrzała na nie pytająco, dopiero gdy w ich oczach dostrzegła przestrach, spokojnie dokończyła: – ...możecie iść ze mną grzebać trupy.

Obie nieszczęśliwe uciekinierki nie odezwały się słowem, Anna więc powiedziała: – Zatem postanowione. Macie tu pod opieką dziesięciu rannych. Chciałabym, żeby pozostali pośród żywych i wam bardzo tego też życzę. Witajcie w mojej gościnie i ostańcie z Bogiem. – To rzekłszy, obróciła się do nich tyłem i poszła tam, gdzie kazało jej serce.

Znów uszła niewiele kroków, a nawinęli się jej księża, do których odezwała się wyniośle: – Nie wiem, co tu czynicie, ale na pewno nie naśladujecie naszego

Pana, Jezusa Chrystusa. On jest tam – pokazała w stronę pobojuwiska – a was tam nie ma. Jeśli dojdę na pole przed wami, moja łaska może być cofnięta i przyjdzie wam wstąpić do zakonów żebraczych.

Księża i mnisi pojęli tę mowę bez zbędnych tłumaczeń, choć niektórzy nieraz zaznaczali, że po polsku nie rozumieją wcale a wcale. Tym razem zrozumieli i szybko pognali na pole bitwy.

Nikt Anny nie przygotował na to, co miała zobaczyć, usiłowała sama wyobrazić sobie pobojuwisko, lecz wyobraźni nawet wielkiej pani na tyle nie stało.

Bezchmurne noce były jeszcze chłodne, w dzień zaś słońce dość mocno przygrzewało, ale smród i bez tego świdrował nozdrza już pierwszego dnia po bitwie, bo człowiek z rozprutymi wnętrznościami zawsze śmierdzi. Trzeciego dnia zaczęły się psuć ciała z nienaruszonymi wnętrzami. Nieprawdą się okazało, że wszystkim zabitym Tartarowie obcięli głowy, uczynili tak jeno z tymi, których schwytali żywcem, ale i tych było wielu, w dodatku ciała ułożyli w stosy. Wszystkich bez wyjątku obdarli z broni i odzieży, co można było dostrzec tylko pod warunkiem że dopuściło do tego ohydne, czarne, złe ptactwo. Anna nie przypuszczała, że w jej księstwie jest tyle kruków, gawronów i wron. Dziwiła się ptasią bezczelnością i tym, że nie boją się ludzi. Nie rozumiała, że straszne ptaszyska mogą aż tak się obezrec ludzkim mięsem, aby wzbicie się w powietrze przychodziło im z wielkim trudem.

Wrzask padlinożerców połączony ze smrodem gnijących ciał przyprawiły księżną o ból głowy – im bardziej zagłębiała się w pobojuwisko, tym był silniejszy. Rozglądała się bezradnie po ponurej okolicy, która jeszcze niedawno była dumą zarówno jej, jak i Henryka, okolicy, która przynosiła sowity dochód władcom, jednocześnie dawała godziwie żyć mieszkańcom. Teraz jednak księżna nie rozpoznawała żyznych pól wytratowanych i wyjedzonych do gołej ziemi, po wioskach widziała jeno wygaszone zgliszcza, co niczego z poprzedniego świata nie przypominały. Wszędzie ludzka śmierć, końskie ścierwo i gawrony, co choć miały żeru pod dostatkiem, zawzięcie kłóciły się o żarcie. Jak ludzie, zupełnie jak ludzie, pomyślała z obrzydzeniem władczyni Śląska.

Nie czuła już smrodu, poczuła wielką bezradność, a tuż za tym ogromne znużenie. Wszak od wielu dni niewiele spała i nie za często jadła. Rozejrzała się jeszcze raz po bolesnym świecie, on zrobił się nagle jasnym, jakby ze dwa dodatkowe słońca zaświeciły, i ledwie zdążyła się temu zdziwić, był już przeraźliwie biały.

Ocknęła się w chłodnym lesie pachnącym żywicą i igliwiem. Nie poznała tego miejsca, ale dobrze jej tu było. Spokojnie więc przekręciła się na bok, aby powiedzieć Henrykowi, że koniecznie trzeba częściej jeździć do lasu i sobie w nim podrzemać wśród cienia i zapachów. Wtedy muśnięcie zawilca o policzek obudziło ją na dobre. Usiadła, a brzemię trosk znów ją przygniotło, aż kości zabołały – nic,

tylko poddać mu się i dać zmiążyć. Niczego już nie może powiedzieć Henrykowi, to znaczy mówić może, ile zechce, lecz on nie odpowie...

Jacyś ludzie przypadli do niej, rozpoznała służbę, Winfrieda, kogoś z kasztelanii legnickiej – cała reszta dołączyła wreszcie do orszaku. Namawiali ją, żeby się posiliła, odmówiła jednak. Napiła się rozcieńzonego miodu, zagryzając kawałem chleba. Wstała. Zachwiała się, mimo to rozkazała, aby iść.

– Winfriedzie – poprosiła – zaprowadź mnie tam, gdzie ostatni raz widziałeś mojego męża.

Stary sługa kiwnął głową i żalobny orszak ruszył. Anna znów oglądała to, co nawet w najstraszniejszych koszmarach nie umiałaby wyśnić. Więcej żywych ludzi pojawiło się na poboju, za to ptaków ubyło – krążyły albo siadały na drzewach, donośnie kracząc i czekając.

Księżna już spokojniej szła przez pole śmierci, a im dalej od lasu, tym więcej było zwłok. Przy drodze na Jawor ludzkie ciała leżały w kilku miejscach, tworząc szyk otoczony przez zwąły z końskiego truchła – tam musiała być najbardziej ząarta walka. Anna poszłaby właśnie tam, do środka, bo wydawało się, że księżę powinien walczyć w samym środku żniwa tworzonych kosą śmierci. Zatrzymała się nawet, lecz Winfried, nie oglądając się na nią, poszedł w prawo. W milczeniu ruszyła jego śladem pośród coraz bardziej struchlałych służących i bliskich omdlenia córek najwyższych w kraju dostojników. Niewiasty omijały leżące trupy, odwracały głowy, zatykały nosy i usta przed smrodem, niektóre płakały, każdą ogarniało obrzydzenie. Chociaż wiele zwłok miało głowy, żadna nie miała twarzy – ptaki już je rozdziobały, wiek trupa – jeżeli w ogóle – można było poznać tylko po włosach.

Anna zbliżała się – jak rozeznała – do nieistniejącej już wsi Dobre Pole, za nią krok w krok coraz bliższe obłędu niewiasty, wystraszeni pachołkowie, ksiądz i niezwykle spokojne dwie zakonnice. Orszak oddalił się nieco od najstraszniejszych skupisk rozkładających się trupów – leżały już rzadziej, widok był zatem mniej przerażający. W miejscu wskazanym przez Winfrieda kilkanaście, może kilkadziesiąt zabitych złożono na jednym stosie, lecz dookoła było jeszcze sporo rozproszonych ciał. Nie brakło też ścierwa końskiego, co zapobiegliwsi Tartarowie powykrawali z niego całe płyty mięsa. Księżna się zatrzymała, bo rozpoznała po białej strzałce między oczami karego rumaka męża. Z bliska przypatrywała się zwłokom ludzi, a Winfried mówił: – Tu nas osaczyli po raz wtóry, czy nawet trzeci, w każdym razie to jest miejsce ostatniej bitwy naszego pana. Tu padł pod nim koń, on sam pchnięty włócznią pod prawą pachę. Tyle widziałem... – broda sługi się trzęsła.

Księżna uważnie przyglądała się każdemu trupowi, nie zważając, czy ciało jest z głową, czy bez. Obeszła nawet te dalej leżące zwłoki.

– Nie ma go tu – oznajmiła świcie. – Może jest tam, gdzie większość

zabitych? Może leży tam, gdzie was trzymali? – zapytała cicho.

Winfried się zastanawiał, rozglądał, próbował sobie przypomnieć szczegóły tamtego dnia, ale wtedy ktoś pokazując stronę, gdzie przed kilku dniami była wieś Dobre Pole, zawołał: – Tam, daleko, też krążą wrony.

Nie tylko krążyły, ale siedziały czarna kupą na niewielkim pagórku.

Poszli więc w milczeniu, większość rada, że nie wracają na główne pobojuwisko, bo widok śmierci zdążył im zbrzydnąć, a jeszcze nie zdołali z nim się oswoić. Podchodząc do czarnego pagórka ich zadowolenie jednak się zmniejszyło, nawet całkiem znikło. Pagórek tworzyły bowiem martwe ciała. Zaraz obok tego większego był drugi, mniejszy, z ludzkich głów ułożony. Ptactwo niechętnie poderwało się z jednego i drugiego, odsłaniając tym, co nadeszli, obraz końca świata. Któraś z niewiast rzuciła kamieniem we wrony, które rozproszyły się z krakaniem, ale nie odleciały za daleko – w bezpiecznej odległości na rzut kamieniem gwarzyły spokojnie we wroniej mowie.

– Czy mogli go tu zabić? – zapytała księżna.

Winfried twierdząco kiwnął głową zapatrzony w puste oczodoły, wyszczerzone zęby, resztki skóry i włosów na czaszkach.

Księżna omiotła wzrokiem stos głów, zadziwiając samą siebie, że w takiej chwili potrafi pomyśleć trzeźwo. Łudziła się bowiem, że jeśli głowa męża tu jest, powinna leżeć na szczycie kurhanu ułożonego z ludzkich ciał, szybko więc ją rozpozna po długich, ciemnych włosach przyprószonych siwizną i ciemnej, krótkiej brodzie.

Te głowy, choć niewiele na nich zostało, nie miały bród.

Odwróciła się zatem w stronę stosu ciał i jak poprzednio z bliska przyglądała się nagim, powalanym krwią, brudem, pokaleczonym razami wrogów i dziobami ptaków zwłokom mężczyzn.

Na muchy była za wczesna pora, nie wykluły się jeszcze po zimie w tysiącach, chociaż czasem brzęczały, ale nieliczne.

Księżna nawet raz nie obeszła stosu dookoła, gdy zobaczyła to, czego szukała. Spośród płataniny rąk i nóg wystawała lewa stopa inna niż wszystkie, bo z sześcioma palcami.

– Wyciągnijcie go! – rozkazała księżna.

Pachołkowie z pomocą niewiast ściągnęli kilka martwych ciał z wierzchu, aż wyciągnęli bezgłowe ciało z sześcioma palcami przy lewej stopie. Położyli je na skrawku trawy. Księżna zażądała wody, w której zamoczyła zdjęty z głowy welon, nim obtarła zwłoki z brudu. Pod prawą pachą zionęła rana, było kilka zadrapań i wielkie zasinienia – księżna oglądała ciało, rozpoznawała, bo kto, jeśli nie ona, znał je lepiej. Obróciła męża na brzuch i obmywała plecy – znała na nich każdą brązową plamkę. Wszystko się zgadzało. Zdjęła płaszcz, rozpostarła go i kazała przełożyć nań zwłoki, potem nim je owinąć.

– To jest mój mąż, księżę Henryk – oświadczyła. – Odnalazłam go. Moja nadzieja umarła. Czy to nie dziwne, że nie znaleźliśmy ani jednego ciała wrogów? Czyżby tylko chrześcijanie polegli w tej bitwie? – Nikt nie odpowiedział, pociągnęła więc myśl dalej, do siebie jednak bardziej niż do zebranych: – Myśleliśmy, że przybyli z piekła, lecz ich ciała nie zapadły się pod ziemię, nie rozplynęły w powietrzu. Oni też są ludźmi, szanują swoich zmarłych, bo poległych stąd zabrali i pochowali. A zdawało się nam, że to dzikie psy. My, chrześcijanie, nie bądźmy od nich gorsi. Zabierzmy ciało naszego pana i zadbajmy o godziwy pochówek pozostałych. Zasłużyli sobie na to. Walczyli za życie nas wszystkich.

Koło południa do domu wiedźm za uroczyskiem przybiegł chłopak. Ledwie dyszał, bo biegł całą drogę. Krzyczał bez powitania: – Chodźcie szybko, bo nasz ksiądz zaniemówił i się nie rusza!

Próbowały dopytywać, ale dowiedziały się tylko, że ma wykrzywioną twarz, coś mamrocze i rusza jedną ręką. Wiedźmom tyle wystarczyło. Wzięły ze sobą zioła, pijawki, najlepsze zaklęcia, no i poszły najspieszniej, jak potrafiły.

Chłopak mówił prawdę. Proboszcz leżał na łożu, obok stali dwaj kościelni na tyle zatroskani, że nawet Czarny się nie krzywił, jak to miał w zwyczaju. Trochę z daleka kręcił się wikary Przemko, co już doszedł do siebie, właściwie dochodził, bo z każdą godziną nabierał pewności, że nic złego mu nie grozi – przemiana następowała szybko: rano był jeszcze malutkim człowieczkiem, po południu zaś trzymał się na tyle prosto, że patrzył z góry na otoczenie. Co prawda nie osiągnął szczytu ważności, jak przed wycieczką do chlewika, ale do wieczora było daleko.

Anucha uklękła przed księdzem i usiłowała całować go w dłoń, którą ten wymachiwał usilnie, bełkocząc nieprzerwanie.

– Ojcie drogi – powiedziała od księdza – nie martw się, pomożemy, jeszcze będziesz żył z nami długie lata.

Stary próbował odpowiedzieć, ale nie mógł. Patrzył. Zresztą tylko po spojrzeniu widać było, że myśli, bo w jego nieznacznych ruchach i w mowie nie znalazło się żadnego składu. Dziewczura rozumiała jednak, widziała w spojrzeniu starego księdza rozpacz, niezrozumienie żałosnego położenia.

– Nie martw się – przemówiła łagodnym tonem. – Ukoimy twoje troski, wtedy poczujesz się lepiej. Dopilnujemy, żebyś miał opiekę. Za kilka, kilkanaście dni staniesz na nogi. Jeszcze pójdziesz w płas na moim weselu, przecież obiecałeś.

Chory znów zamachał ręką, w oczach pojawiły się łzy.

– O czym tu gadacie? Nie o wyzdrowieniu trzeba prawić, lecz o ostatnim namaszczeniu – odezwał się wikary; mówił śmiało i bezlitośnie, bo co ma być, i tak się dokona, nie powinno się zwlekać. – Żeby nie poszedł na tamten świat bez pogodzenia z Bogiem.

– Tedy pogódź go z Bogiem, a nam daj robić to, po co nas wezwano – rzekła Anucha ze złością.

– Jak to wezwano? – zachnął się wikary. – Ja nie wzywałem. Kto wzywał? Co tu robicie z tymi gusłami diabelskimi?

– Ja wzywałem – oznajmił z boku Czarny sługa.

– Ja też – od razu dodał Biały, po czym zwrócił się do Przemka: – Proszę cię, bracie, pomóż naszemu panu. Udziel namaszczenia, jak obiecałeś.

– Co powiedziałaś, zuchwalcze? Bracie? Ja cię każę chłostać za taką poufałość!

Wtedy odezwał się Czarny: – Wybacz mu panie, bo on nie całkiem zborny... – mówiąc to, pacnął Białego w łeb, za co od niego dostał łokciem w żebra, stęknął więc głośno i na świszczącym wdechu dokończył zdanie – ...i nigdy nie umie się zachować. Łatwo go zmylić. Nazywałeś wszak nas braćmi i ubiegałeś się o naszą przyjaźń, a ten, głupi, zawsze wszystko bierze dosłownie.

– Nie pozwalaj sobie! – wrzasnął wikary.

Wtenczas w kłótnię wtrąciła się Wisława.

– Nie ma czasu na niesnaski. My uczynimy, co w naszej mocy, z tym że trochę czasu nam to zajmie. Tymczasem ty, księżo, uczyn swoje.

Przemko poszedł szukać tego, o czym nie miał bladego pojęcia i nie wiedział, gdzie mógłby to znaleźć. Szukał więc olejów świętych i krzyża, ale im bardziej szukał, tym bardziej ich nie było. Wreszcie wrzasnął na Białego, aby ten to odnalazł. Kościelny odparł, że to, czego każe mu szukać wikary, od rana leży u wezłowania chorego, wtedy przełożony pogroził słudze.

– Jeszcze mnie popamiętacie za te drwiny – wycedził przez zęby.

Nie był to jednak ostatni z kłopotów wikarego; przystąpił do namaszczenia, lecz stary proboszcz, choć władał tylko jedną ręką, zebrawszy siły, przystąpił do obrony.

– Widzicie? Widzicie? Już umiera, majaczy! Broni się przed Bożą łaską! – krzyczał Przemko.

Nie widzieli.

Wiedźmy robiły, co umiały, żeby ulżyć w cierpieniu proboszczowi: beczynnym, pochlipującym sługom kazały nagrzać wody i wlać ją do balii. W osobnym kociołku zaparzyły zioła na ukojenie, bo chory na pewno tkwi w mocnej złości, nawet w strachu – jeżeli pozwolić mu się odzłościć, może i minie część martwoty. Poza tym dobrze byłoby go umyć, bo już narobił pod siebie nawet o tym nie wiedząc.

Wikary wygrał walkę z jednorękim proboszczem i udzielił mu ostatniego namaszczenia, jak potrafił najlepiej, co – szczerze mówiąc – żałośnie się przedstawiało: łacińskie słowa przekręcał i na nowo wymyślał, wykrzywiając przy tym twarz okrutnie, z czym mógłby być wzięty za przebranego w sutannę diabła wyciągającego z chorego duszę. Proboszcz chyba rozumiał, co się święci – albo przeczuwał – bo krzyczał coś, bełkotał, opierał z całych sił, nie zmógł jednak

młodego księdza, podobnie człek nie zmoże diabła.

Przykre to, że do tej pory ogromnie rozumny człowiek, nagle tego rozumu nie ma.

Czarny kościelny się zarzekał i przysięgał, że rozumiał, co proboszcz krzyczał do podwładnego, mianowicie jedno słowo: Judasz!, ale o tym mówił potem, bo tymczasem nie miał możliwości za wiele gadać i myśleć.

Odkąd niewiasty wzięły w obroty kościelnych, nijak nie mogli się uwolnić od roboty. Wpierw kazały rozniecić ogień, nanosić wody, przelewać ją, naszykować czyste szaty, brudne natychmiast prać, po czym obmyć staruszka nim go włożą do wody, w pływające liście i łodygi z zeszłego lata. Tak też uczynili. Odpoczęli, dopiero gdy wiedźmy same wzięły się za szorowanie ciała proboszcza jakąś trawą. Skończywszy mycie, przystawiły do skroni księdza żarłoczne pijawki. Uniosły nieco chorego, usadziły w balii i ponownie przyczepiły kilkanaście pijawek tym razem do karku. Te piły i piły. I stało się, że męczeński grymas na twarzy proboszcza nieco zelżał, jego ruchy się uspokoiły, zaczął słuchać, co do niego mówiono. Tylko sam odpowiedzieć nie umiał, co go złościło, bo wtedy wymachiwał ręką. Wreszcie niewiasty uznały, że śludzy mogą chorego wyjąć z balii.

Po usadzeniu na posłaniu wiedźmy próbowały staruszka nakarmić. Jedna trzymała głowę, druga łyżkę z polewką. Słabo to szło, ale się udało.

Późnym wieczorem obmyty, nakarmiony i uspokojony ksiądz znieruchomiał, lecz z wyraźnym odprężeniem, nie zaś od choroby. Dziewczura poprawiała jeszcze coś u wezglowia, wtenczas złapał ją za rękę i nic nie powiedział, nawet nie bełkotał. Patrzył na nią, a łzy miał w oczach.

– Spróbuj zasnąć – wyszeptwała Anucha.

Siłował się trochę sam ze sobą, w końcu dał za wygraną i zamknął oczy, ale wtedy rozległo się kołatanie do drzwi.

Białły otworzył pani Bożenie, która omiotła wzrokiem mrok izby, rozpoznała Anuchę i Wisławę – te ją pozdrowiły, ale im nie odpowiedziała – i podeszła do chorego. Staruszek otworzył oczy.

Widząc jego żaloszny stan, Bożena głośno się oburzyła.

– Co one z tobą zrobiły? Przewieziemy cię do Gródka, tam będziesz miał dobrą opiekę, a nie to, co tu. – Proboszcz zaczął wymachiwać ręką, bełkotać, lecz Bożena rozumiała to na swój sposób. – Dobrze, że wikary powiedział, co się stało, bo inaczej bym się nie dowiedziała. Jakie szczęście, że masz godnego następcę.

Staruszek znów zaczął bełkotać, nic składnego nie udało mu się jednak przekazać. Wydawał z siebie jęki, jakieś „auuu”, „uooo” albo „aooo”, czasem zapiszczał „iiiiii”.

– Czyżbyś się ojczy ze mną nie zgadzał? – zapytała Bożena.

– Zgadza się, zgadza, tylko nie umie tego inaczej okazać. Tak już ma ta

choroba – skwapliwie wyjaśnił młody ksiądz.

Proboszcz coś na to zabalgotał, ale nijak go nie zrozumiano. Wtedy pani Bożena uroniła łzę.

– Tyle nieszczęścia naraz. Ja też na wieść o bitwie niemal umarłam. Serce mi stanęło. Jacy zabiedzeni byli ci rycerze, jacy zrozpaczeni...

– Bo pierwsi uciekli... – wyrwało się Czarnemu, ale Biały zaraz zatkał mu usta.

Niewiasta mówiła dalej: – Czy uwierzycie, sto tysięcy Tartarów. Sto tysięcy! Niespożyta siła!

– Tego okiem się nie ogarnie – dodał wikary Przemko, nawet nie wiedząc, że mądrze.

– Toteż z początku uwierzyłam, że wszyscy polegli. Ale teraz nie wierzę. Musieli ocaleć, Pan Bóg nie dopuściłby, żeby tylu mężczyzn zginęło.

Wtedy odezwała się struchlała Wisława: – Pani, nie gniewaj się, że pytam, czy przyszły wieści o naszych rycerzach?

Rycerska pani boczyła się chwilę, w końcu odpowiedziała cierpko: – Przyszły wieści i to takie, że lepiej, żeby nie przychodziły. Ponoć Tartarowie wybili całe nasze wojsko.

– ...Ale ci dwaj, co tak gadali, przeżyli... – tym razem odezwał się Czarny sługa.

– Ty nie gadaj niepytany! – ofuknął go najgorszy ksiądz świata.

– Pani, proszę, powiedz, co mówili? – zapytała pokornie stara wiedźma.

Bożena westchnęła, otarła łzę.

– Że wielka bitwa była we wtorek zaraz koło Legnicy. Że Tartarowie otoczyli naszych, jakby je złapali w sieć, i wybili co do jednego. Że księżę też nie żyje, padły wszystkie chorągwie. Stało się to, co wcześniej Rusinom, potem też krakowskiemu wojsku. Tak mówili, ale wedle moich starych wojaków takie klęski są niemożliwe i zawsze ci, co pierwsi uchodzą z bitwy, krzyczą, że tylko oni jedyni ocaleli. Ta klęska nie była aż taka wielka, przecież Pan Bóg nie pozwoliłby poganom, aby z mogli dobrych chrześcijan. Martwię się tylko, czy moim coś się stało.

– Nie martw się, pani – drżącym głosem odezwała się Anucha. – Oni żyją, mają się dobrze. Ja to wiem.

Ciche, nieśmiałe słowa wywarły skutek odwrotny od zamierzonego. Znienacka rozjuszona Bożena, nie zważając na nic, zerwała się na równe nogi.

– A tobie co do tego?! – krzyknęła. – Co cię to obchodzi? Skąd możesz wiedzieć, co z nimi? Nikt nic nie wie, tylko ty jedna? Też mi się znalazła wszystkowiedząca. – Nie poprzestała na oburzeniu i drwinie. Podeszła do dziewczury i powiedziała prosto w twarz: – Oczy ci wydrapię, wiedźmo! Nie dla ciebie on, a jeśli nie przestaniesz go czarować, pójdiesz precz.

Przy ostatnich słowach Bożena z rozmachem trzasnęła dłonią Anuchę w twarz, aż ta się zachwiała. I może coś jeszcze by się wydarzyło, ale ni stąd, ni zowąd Biały kościelny znalazł się między niewiastami. Młoda czarownica nie czekała na nic więcej, wyszła z izby, co Bożenę, trochę uspokojoną, skłoniło do powiedzenia Wisławie: – Nie chcę, żeby zajmowała się moim synem, nawet żeby o niego się troszczyła czy jakkolwiek o nim myślała. Nic dobrego z tego nie będzie. Nie życzę sobie. Powinien być jej obojętny. Sama najlepiej wiesz, dlaczego. Bez niej też sobie radziliśmy i jeszcze poradzimy. Jeśli nadal będzie go czarowała, mocniej niż dziś odczuje mój gniew – co rzekłszy, wzburzona rycerska pani wyszła, a za nią służąca.

Tkwiąc w przykrej ciszy Wisława spojrzała na kościelnych i wikarego. Słudzy wyglądali na zmartwionych i zakłopotanych, ale młodemu księdzu drwiący uśmiezek pełgał po wargach, co nawet w tym półmroku było widać. Wiedźma przeniosła wzrok na proboszcza: ten miał łzy w oczach, tylko nie dało się odróżnić, czy ze zmartwienia własnym położeniem, czy też za sprawą Anuchy i Wojdy, czy w ogóle cokolwiek pojął z tego, co tu się działo.

Znieważona dziewczura pobięła prosto do domu z piekącym policzkiem od ręki pani Bożeny i palącymi trzewia ostrymi, niesprawiedliwymi słowami. Gotowa była iść w las i więcej nie wracać, żeby nie czuć wstydu i nie próbować więcej niemożliwego.

Po drodze nieco ochłonęła, zwłaszcza że ogarnęło ją wilgotne tchnienie wiatru. Dotarło do niej, że była bitwa, w dodatku straszna. Wcześniej niby o tym wiedziała, bo czuła zmartwienie Wojdy, ale cieszyła się, że chłopak żyje. Teraz już niczego pewna nie była, tylko coś serce przekłwawało, jednocześnie szczypała skóra na twarzy... Skąd Anucha miałaby świadomość tego, co się działo gdzieś tam daleko, aż pod Legnicą? Nigdy dalej niż w Brzegu nie była, raz w życiu do bram Wrocławia zawitała. Cóż więc może wiedzieć o świecie? Tak sobie tłumaczyła w drodze.

Nie widać było gwiazd, bo niebo zasnuło się chmurami.

Tak, stara brzoza nigdy nie kłamała. On żyje!, ze smutku Anucha popadła prawie w radość. Ale czy jeszcze żyje? Czy wolny, czy w niewoli?

Na południowym zachodzie czarne niebo rozcięły pierwsze błyski.

Anucha wiedziała, co czynić.

W domu posiliła się zimną kaszą ze skwarkami, potem, śpiesząc się, do torby wsadziła dzbanuszek z pitnym miodem, trochę soli, suszony kwiat dziewanny i po szczypcie czegoś innego. Rozplotła włosy i włożyła na głowę suszony wianek z piołunu. Już zamierzała wyjść z chaty, lecz w progu zatrzymała ją stara wiedźma. Zobaczywszy Anuchę tak przystrojoną, zapytała, bacznie przyglądając się jej strojowi: – Co czynisz? Chcesz, żeby cię ktoś zobaczył? Mało ci zgryzot? Już pani Bożena nie daje ci żyć, chcesz, żeby wszyscy ciebie się wystraszyli?

– Kto mnie tu, na tym pustkowiu, zobaczy?

– Ktokolwiek!

Dziewczura spróbowała wyminąć Wisławę, ale ta ją zatrzymała.

– Zostań w domu – poprosiła, acz stanowczo. – Idzie burza, złe kręci się wszędzie. Po co ci to? Już cię tam w lesie nie chcą, już cię mało o śmierć nie przyprawiły.

Anucha, nie patrząc na matkę, siłąc się na spokój, powiedziała: – Muszę wiedzieć, co z nim się dzieje. Czy żyje? Czy ma się zdrowo? Czy mu czegoś nie brakuje? Muszę! Wiemy tylko, że była wielka bitwa. Dla mnie to za mało.

– Nie wolno tego robić! – Wisławą targały uczucia, czego wcale nie ukrywała. – Jeżeli cię zobaczą, to po nas. Bożena już by cię wsadziła na kupę gnoju. No i co zobaczysz? Kilka zwidów i nic więcej.

Dziewczura się zawahała – iść?, nie iść? – ale wówczas Wisława złapała ją wpół i pociągnęła do domu. Tam pogwarzyły trochę w blasku przygasających bierwion na ognisku, użalając się nad starym proboszczem, pomówiły jeszcze o zbliżającej się burzy, a kiedy Wisławie wydawało się, że uspokoiła dziewczurę, poprosiła o wspólną przed snem modlitwę za pomyślność polskich rycerzy.

Wiatr w dymniku rozświetlanym dalekimi błyskami piorunów raz się wzmagał, raz cichł zupełnie. Wreszcie usnęły.

Wisława obudziła się przed świtem, bo pioruny trzaskały niedaleko. Chciała coś córce powiedzieć, ale tej nie było.

Cienka zasłona chmur pokryła całe sklepienie niebieskie, nie rozproszył się więc jeszcze śródleśny mrok, lecz coś znacznie ciemniejszego kotłowało się pod ciemnym niebem, coś, co w towarzystwie dziesiątków piorunowych błysków nadciągało znad Ślęży. Poganiana koniecznością Anucha biegła na uroczysko niesiona wiatrem i nieco rwanym, przeciągłym, groźnym pomrukiem. Nie powstrzymywały dziewczyny szarpiące włosy gałęzie i ciernie raniące stopy – dopiero za dnia były widoczne pozostawione na ziemi kropelki krwi, najpierw co dwa, potem już co krok. Nikt tych śladów wówczas nie widział, ale w maju wykwitły z nich maki, a wtedy się dziwiono, skąd maki w lesie. Wyżej zaś, tam, gdzie wiatr poniósł źdźbła jej zerwanych włosów, urosły potworne czarcie miotły.

Niebo poszarzało na wschodzie, ale nadal nic to nie pomagało dziewczurze, ciągle – mimo że każdy zakręt ścieżki miała w pamięci – coś ją szarpało, zatrzymywało, pętało nogi. Jeżyny postrzępiły brzeg sukni i podrapały łydki, a do ranek dostawał się szczypiący pot. Tarnina schwyciła całą garścią włosy, lecz dziewczurka się wyrwała. Zatrzymała się na chwilę, aby wyciągnąć kolec, co utkwiał w stopie, aż jęknęła, i pobiegła dalej, lekko kulejąc. Polana z brzozą-mateczką była tuż, tuż, o dwa pacierze, i tylko tyle trzeba było wnieść wysiłku, żeby zyskać nagrodę, która może się stać ostatecznym pogněbieniem. Młoda czarownica była na to gotowa, choćby miała posunąć się o dziesięć lat życia. Biegła, na nic nie

zważając, co nie było trudne, bo błyski gromów oświetlały teraz drogę. Dawała z siebie wszystko, nawet ostatni dech. Wiedziała wszak, że z pierwszymi kroplami deszczu wiły pofruną pod chmury i nie zabiorą jej już ze sobą.

Zdążyła. Straszyla właśnie rozpostarły na polanie niedużą chmurę niedawno utkaną z pomocą brzeziń i włosów dziewczury. Czekwały, aż dotrze do nich deszcz, dmuchnie w nie wiatr, a one zespolą się w nim i uniosą, żeby wodę z brzucha olbrzymiej poczwary przenieść na pola ze zbożami. Już miały się podrywać, gdy wyzbyta tchu, postrzępiona i potargana Anucha wbiegła na ich dzieło, zostawiając krwawe ślady. Wiły rzuciły się na nie, przywierając chciwymi ustami, wysysając do ostatniej kropelki czerwoną rosę, co dawała im namiastkę prawdziwego życia. Spostrzegły, że – co prawda niechęć – skłoniły się przed dziewczurą, dobrowolnie przyjęły ofiarę młodej wiedźmy, która czeka odgradzona od nich piołunem. Złe były, bo deszcz zaczynał padać, a tu dług trzeba było spłacić. Wyciągnęły więc ku niej ręce z niemym zapytaniem, na co ta żywa, ludzka istota odpowiedziała na głos: – Chcę go zobaczyć. Wieźcie mnie do niego, gdziekolwiek jest i cokolwiek mu jest. Muszę wiedzieć, wtedy dam wam z siebie jeszcze więcej.

Smukłe, smutne piękności otulone chmurami skłębionych zielonych włosów, wiedzione przedwiecznym rozkazem stworzenia, dopadły brzegów małej chmury i jak przed niespełną tygodniem anieli unieśli duszę księcia Henryka na białym płaszczu, tak teraz one uniosły żywą dziewczurę na szarawej chmurce z mgły. Anucha wleciała ponad brzozę szeleszczącą na pożegnanie liśćmi i grzechoczącą naszyjnikami, a one szparko pociągnęły z wiatrem na zachód, w stronę Zalesia.

Czarownica nieraz latała we śnie, ale nigdy na jawie. To było inne doznanie, zwłaszcza że chłodny deszcz ją smagał, wiatr nieco tarosił. W górze, nad drzewami, mrok ustąpił jasności, bo wschodzące słońce robiło swoje. Tylko na zachodzie niebo czerniało wielgachnym cielskiem potwora rozjaśnianym strzałami i oszczepami błyskawic. Wiły nabierały pędu, aby uciec sprzed jego łba i łap, jednocześnie zakręcały na Wrocław. I gdy tak się działo, przeleciały nad Zalesiem, co sprawiło, że dziewczura stała się widzialną na rozjaśnionym, szarym niebie. Sama nie wiedziała, co czyni, bo obróciła się twarzą do wiatru.

Ujrzała przed sobą to, co przekraczało granice wyobraźni: smoka większego niżli góry, który skrzydłami i łapami zdawał się obejmować pół kraju, który miał na długości, gęsiej szyi łeb ogromny jak gród, a wszystko ciemnoszare lub czarne. Wokół poczwary uwijały się dziesiątki sług Eliasza – zbrojnych w pioruny aniołów w pozłocistych pancerzach bijących nieustannie raz za razem. Pod poczwarą nadażało kilka chmur niesionych przez wiły i ludzi-chmurników łapiących wodę lejącą się z brzucha smoka tak wielkimi strugami, że na ziemi mogłyby uchodzić za rzeki. Dopiero teraz urzeczona Anucha podziwiała sięgającą aż po kres widnokregu całość, której do tej pory z ziemi tylko strzępy czasami widywała. Nagle

bezkształtny niczym chmura gradowa łeb potwora ze ślepyimi, głębokimi oczodołami, wypadł do przodu, ku niej. Ogromna paszcza się rozwarła i przybrała postać czarnej otchłani, po czym kłapnęła niby powoli, ale wzięwszy pod uwagę wielkość, całkiem szybko, w dodatku – jak się zdawało czarownicy – tuż przed nią, chociaż w istocie o tysiąc kroków dalej. Od tego kłapnięcia dmuchnęło lodowym tchnieniem o sile wichru. Oddech potwora niemalże zdarł z dziewczury odzienie, a włosy w mgnieniu oka wycesał i wyprostował. Wianek pofrunął, ona zaś sama krzyknęła w przestachu.

Traf chciał, że nadchutliwy wikary Przemko wyszedł przed plebanię, aby niby to zobaczyć, skąd nadciąga burza, w rzeczywistości załatwić małą potrzebę za szopą. Gdy czynił to, co zamierował, przerywając jednakże, bo wzdrygał się od gęstniejącej palby piorunów, usłyszał od góry ryk wiatru i niewieści okrzyk. Spojrzał tam i zobaczył półnągą dziewczurę obracającą się pośrodku nieba, przelatującą nad nim, daremnie walcząc z sukniami odsłaniającymi to, co miała najcenniejszego, a co ten zbereźnik, choć przez mgnienie oka, całkiem dokładnie obejrzał i zapamiętał; czego nie widział, sam sobie wyobraził. Niestety, wokół niej leciało także kilka nagich niewiast – na samo ich wspomnienie najgorszemu księdzu świata odechciało się jakichkolwiek potrzeb, zwłaszcza tych małych. Co gorsza, za chwilę zdzielił go w twarz wiecheć, sprawiając, że upadł iomalże doznał wielkiej potrzeby, mimo że ani sutanny nie uniósł, ani portek nie ściągnął.

Wikary bał się otworzyć oczy, nic więcej jednak się nie działo, jeno pioruny bliżej były, bardzo więc odważnie spojrział na boży świat... przez rozsunięte palce. Deszcz padał, pokazały się też łapy nadciągającej chmury. Spojrzał na ziemię. Owym napastliwym wiechciem był piołunowy wieniec. Przezornie nie wziął go do ręki, nie szturchnął nogą. W końcu przezorność prysła; odważył się nie dość, że na drugie, to nawet i na pierwsze. W wieńcu zaplątało się kilka niewieścich włosów. Nie rozwidniło się jeszcze na tyle, żeby rozróżnić zbliżone do siebie barwy, ale wikary wiedział i to z całą pewnością. To były włosy dziewczury.

Popatrzył w górę, ale tam niczego już nie zobaczył. Za to został mu w głowie wymarzony obraz, co natchnął do myśli nader śmiałej. Pierwszy krok sam już przecież się stał – widział wstyd dziewczki. Wystarczy drugi krok – wykorzystać go. Co postanowiwszy, poszedł do szopy, aby schować wianek, celem użycia w odpowiedniej chwili.

Dopiero tuż przed słonecznym południem ożywionym radosnym śpiewem pokrzewek, sikorek i zięb odchodząca od zmysłów Wisława zobaczyła Anuchę przed wejściem do zagrody. Widok był nie do wiary. Z bladej, podrapanej, poszarpanej dziewczury ciekły strugi wody, jakby dopiero co wyszła z rzeki. Gdyby była mokra, jeszcze jakoś dałoby się to pojąć – strumień niedaleko, no i większość kałuż z porannej ulewy jeszcze nie wsiąknęła w chciwą wilgoci ziemię, ale tu coś innego się działo. Po dziewczurze woda ciekła, jakby ktoś raz po raz

oblewał ją z cebra.

– Gdzieżeś ty była? – zakrzyknęła stara wiedźma; od razu spojrzały na nią smutne, zmęczone, ale tym razem niebieskie oczy.

Lodowate palce złapały za dłoń Wisławę. Stara drgnęła, jakby dotknął ją żywy trup – zimna woda cały czas lała się z włosów i zniszczonego odzienia młodej czarownicy, aż chlupotało – i w jednej chwili pojęła, że córka musiała zrobić o jeden krok za dużo, że stoi za tym siła nie z tego świata. Chciała krzyknąć, nie mogła, chciała zrobić krok w tył, wyrwać się, ale nie zdołała. Nawet nie mogła się przeżegnać, bo lodowe kleszcze palców dziewczury zwierzały się na jej dłoniach z niesamowitą siłą. Znowu spojrzała w twarz Anuchy, znowu w piersiach zamarł skowyt. Młoda wiedźma zawsze miała białą skórę, nie dziwota więc, że dziś była blada, ale teraz ta bladość przeszła w niebieskawą barwę, co mogła uchodzić za trupią. Co gorsza, w oczach nie zostało ani śladu błękitu sprzed chwili, ani codziennej szarości, ani chwilowej barwy burej, co czasami się zdarzała znienacka. Na Wisławę patrzyły nieruchomym spojrzeniem wielkie, czarne źrenice, a sine wargi odezwały się cicho z przemarzniętym dygotem, jakby ze zgrzytem. – Widziałam go, matulu. Widziałam. Żyje i ma się dobrze. Jakie szczęście... – westchnęła na koniec, ale nie zdołała się uśmiechnąć, bo przemarznięta, przemoczona i wyczerpana beznadziejną tęsknotą w to ciepłe, słoneczne przedpołudnie, osunęła się bez ducha w lodowatą kałużę, co z niej ściekła.

KILKA SPOSOBÓW NA PRZEZIĘBIENIE.

Bardzo szybko działa napar z lipowego kwiatu i liści malin. Weźmij garniec wody, wstaw go na ogień i poczekaj, aż woda zabulgocze. Wtedy garść lipowego kwiatu i garść liści malinowych wrzuć do garnka, przykryj, ale już nie gotuj, niech się powoli parzy. Nie szybciej niż po dziesięciu pacierzach daj pić choremu napar. Niech go pije gorący jeszcze po trzy razy na dzień, po całym kubku, a w trzy dni wyzdrowieje.

Rozdział 12. Grzechy

Zwłoki księcia Henryka wreszcie trafiły do kościoła Franciszkanów; nie do wrocławskiej katedry, bo i temu władcy, podobnie jak jego ojcu, nie było po drodze z biskupem Tomaszem. Zamek, kościoły, klasztory i co większe domy przybrały żałobne barwy. Wzdłuż dróg snuli się smutni mnisi, ze stroju mieszczan znikły wszelkie pstrokacizny. Nawet przydrożne dziady nawoływały o swoich ułomnościach jakoś tak inaczej, zresztą z nimi było coś dziwnego, bo gdy przyszli Tartarowie, żebracy poznikali, a ledwie najeźdźcy znikli, wyleźli nie wiadomo skąd, ale w liczbie mniejszej niż wprzód.

Przestały bić dzwony, msze ogłaszano kołatkami.

Żałoba była powszechna nie tylko z powodu śmierci księcia. Chyba nie znalazłoby się rodziny, co nie straciłaby kogoś bliskiego w tym najeździe. Zniszczenie zaś rycerstwa postawiło ten stan nie tylko na skraju zapaści, ale w ostatecznej rozpacz, która, niestety, rosła stale, cały czas przybierając na sile. Najbardziej doświadczała tego księżna Anna, jeszcze będąc pod Legnicą. Musiała co dzień znosić te same pytania, te same wybuchy złości i doznawać ciągle tej samej bezradności.

ŻĄDZE I CHUCIE

Największą diablą siłą – chuć

A wtórą – władza nad innymi

Dogodzić pierwszej drugą mieć

Wmawiają że kiedyś je spełnimy

Lecz zaznać tego każdy chce

I walczy nawet jeśli boli

Bo władza żądza dają wszem

Złudzenie że tym życie stoi

Tak też i ktoś kogo księdzem zwą

Zechciał z tej miski żądry zjeść

Bo osiąść chciał Dziewczurę cną

I zrzucić na nią własny grzech.

Odchodzące od zmysłów niewiasty klękały przed Anną, łapały za ręce i kraj sukni, całowały i prosiły, żeby jako jedyna, co dotychczas zdołała zajrzeć w twarz każdego poległego, również w twarze tych, co już trafili do dołów, powiedziała, że pośród pobitych nie ma ich mężów, ojców czy braci. W pierwszym odruchu niesiona współczuciem Anna powiedziała jednej z nich – młodej, ładnej, a przy tym będącej wyraźnie przy nadziei, że nie, nie widziała, na co ta ze łzami szczęścia krzyknęła: – On żyje, żyje!, i nie zważając na różnicę stanów, z radości uściskała księżną, dziękując tak, jakby to ona uratowała jej ukochanego. Radość tej jednej uczyniła pozostałe tym bardziej natarczywymi. Zbiegały się zewsząd, otaczały prawie tłumem i przepychając się, szarpiąc siebie nawzajem i szaty księżnej, pytały jedna przez drugą: – A mojego widziałas? Czy mój żyje? Gdzie leży? Czy na pewno go widziałas?

W końcu Anna nie słyszała już pytań, nie rozróżniała głosów, jeno jeden przeraźliwy krzyk i pisk – zwykle opanowane, znające swoje miejsce, pilnujące ładu niewiasty nagle oddały się zbiorowemu szaleństwu: zdzierały z głów czepce małżeńskie i rwały włosy, drapały twarze, były też takie, co tarzały się w pyłe drogi, no i znalazły się inne, które skoczyły do zbiorowych mogił. Do niewiast z rycerskich rodów przyłączały się służące, legnickie mieszczki i ocalałe z najazdu żony i córki kmieci. Oto więc klębił się przed księżną Anną tłum łkający i wyjący, co przybrał postać wielogłowego, wielorękiego zwierza dogorywającego w bolesnych drgawkach. Rozpacz była nie do opanowania i co gorsza przybierała na sile, aż przemieniła się w ślełą złość.

Księżna usiłowała tłumaczyć, łapała co niektóre niewiasty za dłonie, patrzyła w twarze ogarnięte szaleństwem, ale to nic nie dawało. Nie pomagało i to, że wzywała wiele z nich po imieniu, wzywała imienia Boga, wreszcie zaklinała do spokoju, jako te, co zawsze powinny być spokojne. Nic to nie dawało, bo i nie mogło dawać. To, co zobaczyły pod miastem, przeszło wszelakie granice nadziei. Próbując wypatrzeć znajome ciała, stały nad wielkimi dołami, w których złożono już setki ciał, a kolejne wciąż znoszono. Wiele rozpoznawało bliskich, większość jednak nie, ale nadal chciały w sobie żywić choć promyk nadziei lub mieć pewność, że już po wszystkim.

Najważniejsza w kraju wdowa zrozumiała, że jest dla tych niewiast kimś, na kogo chciałyby przerzucić rozpacz – krążąc pośród nich, jedyna spokojna, raczej opanowana, jedyna nieplacząca w tłumie lejących łzy, jedyna już starannie przybrana we wdowie czarne szaty pośród zakurzonych, ubranych w robocze i podrózne suknie niewiast, stała się dla nich obca, mimo że jeszcze wczoraj byłyby jedną z nich. Miała przewagę jednego dnia rozpaczy, już pogodzona z nieuchronnym, podczas gdy one kulily się z bólu i padały sobie w ramiona, klękały z bezsily, złorzeczyły całemu światu, nawet Bogu, za swoją niedolę.

Stała wyprostowana i nieruchoma nad tą szaroburą klębiącą się czeredą. Jedna z wdów nie wdów, zamiast łkać do samej siebie albo też mając już dosyć wygrażania milczącemu piekłu czy odległemu niebu, zbliżając się w lekkim pochyleniu, wycelowowała w księżną plującymi słowami: – Ja mam się uspokoić? Ja? Tobie łatwo gadać! Jesteś stara, twoje dzieci urosły, masz ich czym obdzielić, bo przecież wielkie jest księstwo. Sama pewnie do klasztoru pójdziesz i tam będą ci się kłaniali. A ja co mam zrobić? Dziecko małe, trzeba zadbać o majątność dla niego. No i młoda jeszcze jestem, zdrowa, nie po klasztorach mi siedzieć, tylko następne dzieci rodzić. Ale komu? Pachołkom? Może kmieciom? Tu – palcem wskazała nieodległy dół z żółtą górą piachu nad nim – leży mój mąż i wszyscy z okolicy, co mogliby moimi mężami być. Kto wychowa moje dziecko? Kto obroni przed zachłannością ludzką? Milczysz, bo was będzie tylko obchodziła scheda po księciu, dla nas zostanie tylko gadanie, jakie to ważne, bo kraj, bo panowanie... Jak wy panowaliście, skoro leży tu cały Śląsk? Może każdą z nas niczym łup wydacie przybłędom z Niemiec? Idźże precz ze swoim gadaniem, bo nic nam po twojej łasce. Nasz świat się skończył za waszą sprawą.

Z pomocą najmożliwszych niewiast księżna Anna zdołała się oswobodzić z tłumu zrozpaczonych kobiet; znalazło się też dwóch rycerzy, co stanęli w obronie wielkiej pani. Wkrótce opadło szaleństwo, zaczęły się nawet przeprosiny, lecz pojedyncze. Większość milczała z zaciętymi twarzami i właśnie ten obraz miała Anna przed oczyma, gdy zamykała powieki – nie nagie stosy ciał poległych, nie Henryka, ale spojrzenia bez nadziei tych, co na co dzień nierównie cięższe dźwigały brzemie niż broń. Także te słowa o powołaniu do małżeństwa, co być

może już nigdy się nie urzeczywistni. Czyja to wina?, rozmyślała w mrocznym wnętrzu kościoła klęcząca pod katafalkiem księżna. Bezgłowy Henryk leżał na marach ubrany w skromne szaty, ze splecionymi na piersiach dłońmi zdobnymi w pierścieni. Głupio to wyglądało, tak bez głowy, miejsce więc, gdzie powinna ona być, zakryto czarną chustą. Jakaś niewiasta podeszła do mar zmęczonym, starczym krokiem, chwilę przy nich stała – jak zauważyła Anna kątem oka – oparta o brzeg trumny. Księżna, po tych kilku dniach, co się nie widziały, teraz rozpoznała w niej kogoś wyraźnie przybliżonego do świętości.

– Przeliczyłam się z siłami – usłyszała księżna Anna. – Nie byłam w stanie ani cię dogonić, ani nawet dojść. Nie pomogłam w niczym. Ale poradziłaś sobie. I w przyszłości sobie poradzisz.

Anna się nie odezwała, też musiała na kimś wyrzucić złość, chociażby w ten sposób.

– Będziemy miały więcej chętnych do klasztorów i to ze wszystkich stanów. – Jadwiga, nie zrażona milczeniem synowej, mówiła dalej. – Znow zwiększy się bieda. Zapanują niesnaski i kłótnie, u nas również. Trudno będzie je uśmierzyć, a ból nigdy nie ustanie. Oby Bóg dał ci siłę. Bywaj, Anno. Ja idę uratować pewnego dobrego człowieka. Tylko tyle mogę zrobić. Nie oczekuj więcej, że jeszcze mogłabym powstrzymać to, co nieuchronne.

Warto byłoby choć jednym słowem się odezwać, pomyślała księżna Anna, w tych kilku zdaniach Jadwiga wszak dowiodła, że wiele rozumie i że niewiele może. Zamiast tego myśl złośliwa wkradła się do świadomości: Ratować pewnego dobrego człowieka? Jakież to wygodne! Zająć się biedakiem albo złoczyńcą, ubłagać łaskę dla niego, zerwać więzy z rąk, gdy tymczasem trzeba działać, żeby jak najmniej było biednych, żeby ludzie nie czynili zła, żeby nie było za co wypraszać łaski. Co da litość nad jednym człowiekiem, kiedy nieszczęścia są tysięczne!

Nie powiedziała jednak niczego, czego żałowałyby już za chwilę. Nie miała za wiele czasu na żale.

Niesnaski, do których przewidzenia nie trzeba było nadprzyrodzonych zdolności Jadwigi, zaczęły się jeszcze tego samego dnia, w tym samym miejscu, nim zgasły świece po raz pierwszy postawione przy katafalku Henryka, a gorycz z nich się sącząca spłynęła na Annę. Żaden z synów nie próżnował, gdy ona poszukiwała zwłok ich ojca, gdy je znalazła, obmyła, ubrała i dowiozła aż tutaj. Oni, poparci już własnymi stronnictwami, stawiali żądania, mimo że trudno o rozum w wieku dwunastu lat, tyle miał Mieszko, nie mówiąc już o dziewięcioletnim Henryku – ale nawet on chciałby natychmiast samodzielnie rządzić. Dobrze, że Władysław, który ledwie czwartą przeżył wiosnę, jeszcze nie miał stronników.

Niewielu ich przeżyło, a są w stanie tworzyć stronnictwa...

– Matko! – najpóźniej przybyły i na tym stratny Bolesław krzyknął do Anny.
– Jak możesz na to pozwolić? Za chwilę zostanę z setką ludzi. Dzieciaki postawisz na czele... czego?... księstwem? Jak dalej tak pójdzie, twoje wnuki nazwą księstwami kasztelanie. O czym myślisz, do czego dążysz? Jeżeli Tartarowie zawrócą z Łużyc, co zrobisz? Odezwiże się wreszcie! Od kilku dni wzywa mnie na Łużycę twój brat. Oczekuje wojska, a nie poczty. Krakowskie wojsko chce do domu, żąda, żeby ich odprowadzić. Trzeba działać, nie myśleć tylko o pogrzebie.

Anna wstała z kolan. Młodszy synowie patrzyli na nią dziecięcymi jeszcze twarzami, usiłując sobie dodać większej powagi nabieraniem powietrza, srogimi grymasami, wyniosłością i opieraniem dłoni na zbyt wielkich dla nich mieczach. Księżna widziała tę chodzącą żalność, ale to obłudne słowa Bolesława przerwały w niej tamę cierpliwości, jakże nadwerżoną wrażeniami ostatnich dni. Podeszła do najstarszego syna i powiedziała ostrym szeptem: – Nie pomógł mój brat mojemu mężowi, to i my mu wzajem nie pomożemy. A ty... Chcesz wojska, władzy, ale nie wytrzymałeś do końca przy ojcu!

– Kazał mi...

– Gdybyś zebrał innych, zawrócił, być może mój mąż by żył. A ty za kilka lat miałbyś do odziedziczenia królestwo. Do tego trzeba być godnym. Ty jeszcze nie jesteś – tyle powiedziawszy, poszła ku wyjściu ze świątyni.

Niedaleko drzwi wstały ze zdrętwiałych kolan córki i dwórki, co tam się modliły, żeby nie zakłócać spokoju księżnej. I gdy Anna była już nimi otoczona, Bolesław jeszcze wykrzyczał: – Jeśli chcesz, matko, rządzić, rządz, przyjmij ludzi, coś postanawiaj. Podział ziem się sam dokonuje. Wielkopolskich wojsk już przy nas nie ma, ot co. Jak tak będzie dalej, korony nie będzie w Polsce i za sto lat.

Księżna zatrzymała się i już miała coś odpowiedzieć, lecz Bolesław jeszcze dodał: – Niech Mieszko weźmie ziemię lubuską. Niech tam się wdraża do panowania, ale niech mnie wspiera we wszystkim.

– A ja? – dziecięcym głosem zapytał z boku Henryk podpuszczony przez doradcę.

– Ty trzymaj się jeszcze boku matki. Zdobędziemy dla ciebie księstwo – odrzekł najstarszy brat.

– Dobrze, niech więc na razie tak będzie – powiedziała Anna, nie odwracając się do syna. – Tymczasem zajmij się ziemią krakowską.

Orszak z księżną zniknął za kościelnymi wrotami, za nią, przepychając się przez nagromadzony tłum, pobiegli zaraz Mieszko i Henryk, każdy z kilkoma stronnikami, no i także niewiele rozumiejący Władysław, ale nawet i on niesamodzielnie, bo na rękach piastunki.

Wojda z towarzyszymi błakali się po pogrążonym w żałobie Wrocławiu, mijając mrużące smutno i niezrozumiale orszaki mnichów. Zarówno on, jak i Dobrosz, także reszta wojska, chcieliby jechać do domów, tym bardziej że co

dzień robiło się coraz głodniej; chleba nie widzieli od trzech dni i nawet koniom nie było lekko, bo trzeba je było gonić coraz dalej, żeby pojadły trawę.

Troski, tęsknoty i niepokoje Wojdy pogłębiło świeże spotkanie koło Środy, gdy jechali z niedobitym wojskiem ze Złotoryi do Wrocławia. Jechali, aby zebrać trochę więcej ludzi, zwłaszcza dołączyć niedobitki krakowskie i sandomierskie rozłożone pod Wrocławiem, co cudem nie uszły jeszcze na swoje ziemie. Na zachód nie chcieli iść, nie chcieli bowiem dołączyć do Bolesława – doświadczyli już dwóch, a niektórzy nawet trzech klęsk tego roku. Wrocław wydawał się całkiem bezpiecznym miejscem, a jakkolwiek ruch – proszeniem o kłopoty. Dlatego nie sposób było ich zmusić, aby zechcieli przejechać przez śląską ziemię na zachód. Na wschód też samodzielnie nie mieli zamiaru się ruszać, ale miejscową ludność gnębili.

Tak jak krakusi nie chcieli opuszczać wygłodzonej wrocławskiej ziemi, tak i Bolesław nie chciał opuszczać okolicy Złotoryi. Jego wojsko odnowiło się nieco, naprawiło popsutą broń i oporządzenie, dozbroiło i podleczyło z drobnych ran. Schudło tylko, bo jadła zaczynało brakować, ale znów mogło walczyć. Sprawy państwowe też się prosiły, żeby księżę coś przedsięwziął, nie tylko czekał. Po wielokroć zapraszał go czeski król, na różne sposoby do niego się zwracając: gdy tylko opadł kurz bitwy legnickiej, pisał jak do władcy, potem, gdy sam ruszył z wojskiem na gorejące Łużyce, przemawiał z pergaminów jak do młodszego krewnego, wreszcie, gdy uganiał się za nieuchwytnym wrogiem między Łużycami a Czechami, odwoływał się do czci rycerskiej krewniaka. Na nic to, bo Rogatka, wprawdzie zagniewany o brak pomocy pod Legnicą, potem nie wiedzący, co czynić, na wszystko odpowiadał, że pozostanie na straży swoich ziem.

Zwracała się też o pomoc do Bolesława jego matka. Tej odpowiedział w podobnym duchu jak jej królewskiemu bratu, dodając, że nie może zajmować się pogrzebami, póki nieprzyjaciele nie opuścili jego ziem. Kiedy indziej może by uszło to tłumaczenie, ale księżnej Annie coś się zmieniło od śmierci męża. Nie patrzyła już na pierworodnego syna oczami matki, lecz władczyni. Odczekała dzień czy dwa, aż miną jej największe żale na głupotę i nieruchawość syna, po czym napisała do Bolesława po raz wtóry, że ma czym prędzej przybyć do Wrocławia, bo tylko przy trumnie poległego ojca da się mówić o tym, kto będzie Śląskiem władał.

Bolesław, rad nierad, wyruszył, bo gdyby nadal zwlekał, zamiast księciem śląskim, zostałby złotoryjskim.

Jak zwykle, jako najmniej zużyty, hufczyk z kasztelanii ryczyńskiej, bogato okraszony herbami Rogala, jechał w straży przedniej, a w nim pełen złych przeczuć ukochany dziewczury. Powinni stanąć na noc pod Legnicą, ale ze zrozumiałych względów nikt nie miał na to ochoty. Szczęśliwie dla wszystkich księżę Bolesław też nierad był zatrzymywać się tuż obok miejsca straszliwej klęski, tym bardziej że nie zapobiegł jej wcale, a i przy grzebaniu poległych nie pomógł. W drodze do

Wrocławia ominąć Legnicę było jednak nie sposób – odejście w stronę Krosna powszechnie by odebrano jako tchórzostwo, już więc i tak niezasobny w siły Bolesław zostałby pewnie sam ze swoim pocztem. Pójście zaś drogą południową, przez Jawor, gdzie prawdopodobnie jeszcze uwijali się Tartarowie, groziło księciu czymś znacznie gorszym niż osamotnienie. Trzeba było jechać najkrótszą drogą, a ta wiodła przez Legnicę i – co gorsza – przez spory szmat pola bitwy. Kłopot w tym, że księciu nie wypadało przejechać mimo ważnego miasta i zamku, co odparły Tartarów, wykazując się przy tym wiernością dynastii. Umyślił sprytnie, jak tego nie zrobić. Skrócił pierwszy pochód tak, aby zatrzymać się z noclegiem na ćwierć dnia drogi przed Legnicą. Na drugi dzień nakazał wojsku stawać na popas nie wcześniej niż w Środzie. Dzięki temu miał nadzieję, że sam krótko w Legnicy zabawi.

Tak uczynił.

Księżę zaledwie przystanął na wąskim dziedzińcu legnickiego zamku, a już doznał przykrego obowiązku wysłuchania płaczu kilku świeżych wdów przyklękających przed nim i roszących łzami bojową rękawicę. Nawet on pojął, że musi je pocieszyć, choć żadne słowa pocieszenia nie przychodziły do głowy. Wydukał coś o konieczności życia, że nie wszystko jeszcze stracone. Żeby nie rozpamiętywać przyczyn ich wdowieństwa, zasięgnął przebrzmiałych wieści o Tartarach – zniknęli gdzieś, czyli nic nowego. Zaraz wymówił się od dalszej gościny, co pewnie byłyby stypą, wypełnianiem ważnych obowiązków. Dla ich zaznaczenia ruszył nad wyraz szparko w towarzystwie kasztelana legnickiego na obchód leżących w mieście rannych i niczego nie obiecując, wysłuchał prośb tych spośród nich, co mogli składnie mówić, kilkunastu, co już mogli utrzymać się w koniu, zagonił do wojskowych szeregów. Wszystko to zrobił tak szybko, że wyjeżdżając z Legnicy wzbogacony o kilkudziesięciu miejscowych rycerzy i ozdowieńców, widział jeszcze w oddali niezbyt zapelnione dobytkiem wozy swojego wojska. Rychło dogonił skromną siłę całego Śląska.

Smutny to był pochód i cichy. O ile wcześniej każdy rad byłby się dowiedzieć, co z jego bliskimi, gdzie są najeźdźcy, co słyhać w świecie, który nie zaznał klęski nalotu tartarskiej szarańczy, to od przejazdu obok Legnicy nikt nic nie mówił, o nic nie pytał ani niczego nie żądał, oprócz jednego: jak najszybciej minąć to przeklęte miejsce. Wzdłuż drogi, gdzie niedawno rozbrzmiewał zgiełk bitwy, na drzewach stada wron i gawronów na coś jeszcze czekały, gwarząc cicho w ichniej mowie, co jadącym wydawało się czystą drwiną. Zawstydzeni, zgnębieni, milczący, nawet nie patrzyli w stronę rozsmakowanego w ludzkim mięsie ptactwa, które obiecywało sobie takim widzieć ich wszystkich – żołnierze to rozumieli i zniecierli kraczące bractwo, a w duchu obiecywali sobie porachunki z nim inną porą.

Nie zerkali na pole bitwy z innych jeszcze powodów. Bali się zobaczyć nie

tylko miejsce własnego wstydu, ale też zjawy błędzące po pobojowisku – nie powinno ich być, minęli wszak świeże, wielkie mogiły, modlili się przy nich jedni krócej, inni dłużej, a niektórzy tylko znak krzyża czynili i odchodzili pośpiesznie. Poległych pogrzebano, nic więc już nie trzymało ich dusz na ziemi. Co z tego, skoro wielu z ocalałych miało ostatniej nocy podobny sen: druh od lat dziecinnych, brat, syn czy ojciec, pytał o coś niemo, pokazując rany. Albo łapał za rękę i wskazywał: „Chodź ze mną”. Od takich widzeń kilka razy na noc ktoś budził się z krzykiem zlany zimnym potem. Kilku pogrążyło się w skrajnej nabożności, ktoś złorzeczył sobie, że przeżył, choć inni zginęli. W ciągu niewielu nocy prawie każdy zaznał podobnych snów. Nawet ci odporni, odważni, po ujrzeniu nocnych gości poważnieli za dnia, już się nie wyśmiewali, nawet oczekiwali współczucia. Wkrótce prawie całe wojsko czuło, że strachy, jakimi w dzieciństwie nieraz aż w nadmiarze karmiono ich wyobraźnię, są, żyją. Na razie dokuczały im w snach, ale z opowieści starych ludzi wiedzieli, że może być jeszcze gorzej.

Źle byłoby ujrzeć te zjawy w biały dzień.

Dlatego, aby sen nie stał się jawą, aby niewczesnymi spojrzeniami nie wywołać upiornych majaków, od których ratunku by nie było, chyba że utrata zmysłów człowieka by dopadła, pokornie jechali i szli w obliczu drwiących stad wron, gawronów i kawek. Patrzyli pod nogi, przed siebie, lecz ani razu się nie obejrzel. Niekiedy patrzyli w lewo, wzdychając w stronę, od której dotychczas nie było widać ani jednej łuny pożaru. W prawo, w stronę pól Dobrego Pola, wyjąwszy przystanek przy mogiłach, nie obrócił głowy nikt.

Nie inaczej działało się z wojakami ze staży przedniej. W miarę posuwania się gościńcem milkli, coraz uważniej nasłuchiwali, choć – po prawdzie – woleliby na ten czas ogłuchnąć i oślepnąć. Minęli stada wron i weszli w martwą ciszę. Słońce skryło się za plecami i za chmurami, wcześniej zapadał zmrok. Na widok końskiego szkieletu rycerze się wzdrygnęli, jakby pierwszy raz w życiu zobaczyli końskie ścierwo, wódz wówczas wrzasnął, żeby się rozejrzeli, broń naszykowali, bo w straży przedniej jada, niebezpieczeństwo mają zobaczyć i siły główne ostrzec, a nie lękać się przywidzeń. Zaczęli się rozglądać. Widzieli więcej rozwleczonych kości końskich, migające przy ziemi cienie, zapewne lisów, może wilków. Za nic w świecie nie chcieliby zatrzymać się tu na noc i w świetle ognisk czy pochodni zobaczyć dziesiątki świecących ślepi: czerwonych, zielonych i żółtych. Przegrali bitwę z wojskiem diabłów, acz w ludzkich postaciach, przegrali, ale zadawali razy, walczyli, odpierali napaści, wreszcie uszli z bitwy żywymi. Kto wie, może jeszcze raz do tej walki by stanęli, gdyby zaszła taka potrzeba. Z wojskiem upiorów nawet nie skrzyżowałiby broni.

Popędzili konie, żeby zdążyć do Środy przed zmrokiem. Mieli przecucie, że tym razem noc rozwinie śmiertelny całun znad Dobrego Pola i ogarnie nim wszystko, co nie osiągnie granic grodu.

Zdążyli, zanim się ściemniło. Chmury odeszły znad zachodniego widnokregu i krajobraz rozświetliło czerwone słońce. Był to inny krajobraz, niż się spodziewali. Widok wyczuli wpieryw, nim zobaczyli – nieznaczne tchnienie wiatru przywiało im pod nosy woń spalenizny. Wkrótce się przekonali, że z obszernego, dostatniego podgrodzia zostały zgliszcza i popioły, w mieście zaś nie widać było szczytów domostw, tylko osmolone kikuty ścian. Mieszkańcy ocaleli, budynki też, bo sprawni byli w walce z ogniem środzianie, ale pożar zniszczył większość dachów.

Na widok zbrojnych czujne straże na murach zadęły w rogi. Rycerze podjechali bliżej, pomachali proporcem, ale z góry nie padło słowo zachęty. Rycerz Jakub zapewniał, że przybyli jako straż przednia wojska księcia Bolesława. Odpowiedzią mu było zacięte milczenie i spojrzenie złych oczu znad wycelowanych kusz. Zezłościł się i krzyknął: – Tedy nie przyjmiecie nas? Jedziemy od księcia Bolesława.

Na to dostał odpowiedź gardłową mową – Niemiec mówił: – Jeśli *dux* przyjechać, to my wpuścić. A wy zostać. My syy... syy... strzelać.

– My Polacy! Od Ryczyna! Znaku nie poznajecie?

– My nikomu nie wierzyć. Nas *Tartaren raubritteren*, *Tartaren* napaść. Nic nie mieć *essen*, jeść. Wy czekać za murami. My strzelać.

– Tartary tu są? Wiecie?

– Nie wiemy. Nie mieć jeść. Wy iść, my strzelać.

Bezradny i rozzłoszczony Jakub wiedział, że z Niemcami się nie dogada – z nikim w takich okolicznościach by się nie dogadał. Rozkazał wojakom rozłożyć się na popas. Zastanawiał się, czy wysłać gońców do księcia, ale pomyślał, że niedługo Bolesław sam tu dotrze. Ważniejsze było bezpieczeństwo. Niemcy nic nie wiedzą albo tak udają, nieważne, i tak musiał wszystko sprawdzić sam. Póki słońce nie dotknęło ziemi, wysłał trzy małe poczty na trzy strony świata, mieli sprawdzić, czy wróg gdzieś się czai. W prawo, na południe, pojechał poczet rycerza Dobrosza, a w nim Wojda.

Przejechali przez spalone podgrodzie, spaloną wieś, gdzie nie widzieli zwłok ani ludzkich, ani zwierzęcych, co aż dziwnym się wydawało. W młodym lesie się zawahali, czy dalej jechać, ale wtedy coś się poruszyło pośród krzaków i na skraj zarośli wyszło kilka ludzkich – tak się początkowo wydawało – postaci, lecz ludzkie to one od dawna nie były.

Dobrosz podjechał bliżej, bo spojrzawszy wcześniej w słońce, nie najlepiej widział. Chciał tych ludzi o coś zapytać, ale z odległości kilku kroków rozeznał kim byli i słowa uwięzły mu w gardle. W czerwonym świetle zachodu rozproszonym koronami drzew widział nie ludzkie twarze, ale maskary: dwie bez nosów, jedną bez nosa i warg, inną z wargami tak opuchłymi, że wyglądały na końskie, no i jeszcze jedną całą pokrytą guzami, jakby ktoś ją z gliny nieudolnie

ulepił i kształtu ludzkiego nie nadał. Włosy długie, skołtunione, nastroszone – siwe, jasne i ciemne, nie związane chustkami czy przepaskami, zmierzwił, a pośród nich tkwiły liście i igliwie; tylko ta z guzowatą twarzą miała pięknie zaplecione, długie, jasne warkocze, co tym bardziej potęgowało poczucie obrzydzenia. Jeden z potworów podniósł dłoń, ale palców w niej nie było. Inne dwa, co dłonie miały całe, choć jeden już gnijącą, zakręciły kołatkami i w ciszy rozległ się ostrzegawczy terkot.

– Panie, to upiory! Uciekaj! – krzyknął któryś z kuszników, unosząc broń gotową do strzału. Drugi napiął kuszę pośpiesznie, ale nijak nie mógł bełtem trafić na rowek, tak trzęsły mu się ręce. Wojda chciał osłonić się tarczą, lecz ta się zaczepiła o łęk siodła, że im bardziej ciągnął, tym bardziej nie dawała się odzepić. Na widok potworności ogarnęła go groza, włosyomal mu szłom na głowie uniósł. Coś chciał zrobić, ale skrępowany strachem, krzyknął tylko: – Ojczy, wracaj!

Bezusty upiór wyskrzeczwał coś, co równie dobrze mogło być głosem ropuchy lub derkacza. Kusznikomal wystrzelił z broni, ale się wstrzymał, bo mógł porazić swojego pana lub jego rumaka. Wtedy upiór o twarzy z guzów odezwał się czystym, niewieścim głosem: – Panie, nie strzelaj. Nie lękajcie się. Nie jesteśmy upiorami. Nic wam nie grozi, wiatr wieje w naszą stronę.

– Ojczy, cofnij się!

Dobrosz jeszcze stał, Wojda więc dołączył do niego. Wreszcie tarcza ustąpiła i młody wojak zasłonił się nią przed paskudami aż po oczy. W stronę strachu wystawił grot włóczni. Upiór zaś mówił dalej, nawet jakby pokpiwał: – My nie upiory, choć pogrzebane. Ty jesteś Dobrosz, po herbie poznaję, a ten dzielny wojak, co umiał lęk pokonać, twój syn. Nie poznajesz mnie, ale wiedz, że za życia byłam piękną dziewczyną, imię moje Janisława, a zamężną byłam za tego Niemca, co bywał w Ziemi Świętej, a niedawno zmarł, zresztą pogrzebano go już wcześniej, jak i mnie.

Nastala cisza. Rycerz myślał o czymś w bezruchu. Wreszcie po jego zakurzonej twarzy spłynęły dwie łzy. Powiedział po cichu, ale nie do upiora: – Cofnij się, synu. I nie patrz. – Ściągnął wodze i jego ćwiczony rumak postąpił nazad.

Upiór mówił dalej, jakby chciał się wygadać za wszystkie czasy, a głos jego przybrał barwę zaczepną: – Pamiętasz mnie, prawda? Jeszcze w dniu pogrzebu byłam piękna. A teraz zdycham tu, przeklęta przez ludzi, przez Boga zapomniana, a przez diabła wzgardzona.

Drugi kusznik wreszcie osadził bełt na kuszy. Wycelował, bo pozostałe straszdyła wyciągnęły ręce, raczej kikuty, jak po prośbie, bo z miseczkami, ale kto wie, może to był podstęp?

Dobrosz powiedział: – Odlóżcie broń. Jedziemy, nic tu po nas. – Widząc zdziwione spojrzenia dodał: – Nie bójcie się. To nie upiory, tylko nieszczęsne

niewiasty.

– Nieszczęsne, prawda! – krzyknął upiór ze złością. – Tak nieszczęsne, że nawet Tartary nas ominęły. Zamiast ubić, spalić, uciekli, niczym wy teraz ujdziecie. Nas nawet diabły się boją.

Wojda się zawahał, wtedy Dobrosz mu rozkazał: – Nie stój! Zawracaj! Na trąd nic nie poradzisz.

Wojda się cofnął przestraszony bardziej, niż gdyby widział upiory. Dopiero teraz zauważył, że złachmanione suknie tych straszycieli są przybrane lisimi ogonami lub czymś podobnym. Zrozumiał i rad byłby odjechać czym prędzej.

Pogrzebiona za życia niewiasta zawołała, tym razem hamując złość: – Nie uciekajcie od razu, zostawcie nam coś do jedzenia. A jeśli nie dacie nam jeść, to choć strzał nie pożałujcie. Żadna z nas już nie chce gnąć, a męki głodowe są nie do zniesienia. Nawet na Wielkanoc nic nam nie dali.

Dobrosz zawahał się chwilę, potem kazał ludziom rozwiązać sakwy. Powiedział, nie patrząc w stronę chorych: – Janisławo, pamiętam cię dobrze. Było tak, jak mówisz, ale to nie wróci, a ja ci w twoim nieszczęściu nie pomogę. Zostawimy wam to, co mamy. Nie patrzcie na nas, wiesz przecież. Podejdziecie tu, gdy odjedziemy.

Teraz, jakby zawstydzeni, zbrojni zsiadli z koni i zakrzętnęli się wokół swoich zapasów. Bez zbędnych słów do jednego worka złożyli kilka placków, woreczek z pszenicą, trzy kawałki zasuszonej koniny, bulwiaste rzepy. Mieli też trochę owsa dla koni – zostawili. Starali się nie zerkać nawet w stronę trędowatych, ale to było nie do uniknięcia. Wojda zauważył, że owe niewiasty były gotowe wyrwać im z rąk jado. Ujrzał też, że żadna nie jest obuta, niektóre miały stopy owinięte szmatami, jedna stała na czymś, jakby niedźwiedzie łapy skrzyżować z nogami gryfa. Odwrócił głowę ze wstrętem wymieszanym z mroźnym lękiem, że nie wytrzymają i ich dopadną, zbrukają swoim dotykiem, zarażą.

Posłuszne rozkazowi Dobrosza i nakazom prawa nie postąpiły jednak o krok, dreptały w miejscu. Chciały żyć.

Zebrawszy dary, rycerz położył worek na ziemi, szybko dosiadł konia, a jego ludzie jeszcze szybciej.

– Żegnaj, Janisławo. Powiemy o was dobrym ludziom, ktoś wam pewnie pomoże.

Trędowata przełknęła nabiegającą do ust ślinę, może łzy. Zwalczając przemożny głód, powiedziała cicho, bez krztyny zaczepki, tak, żeby choć na chwilę wróciła do niej godność bycia pośród żywych: – Żegnaj, Dobroszu. Zawsze byłeś dobrym człowiekiem i nadal nim jesteś.

Odjechali kłusem. Sto kroków dalej Wojda się obejrzał, choć nie powinien tego robić. Chore właśnie kłębiły się nad jadem w większej liczbie niż pięć. Wyrwały sobie zdobycze niczym stado psów, przepychały i biły nieczującymi

bólu rękoma. Bezgłośnie jak upiory.

Już pod Środą, gdzie mieli zanocować, oczyścili ręce w ogniu. W sprawie trędowatych nie musieli czynić nic więcej, bo już w ciemnościach przybył do Środy wóz z dobytkiem opłaconym srebrem, a przy nim stara księżna Jadwiga. Nie pozwoliła sobie na postój pod grodem, tylko przyświecając pochodnią, poszła w ciemność, do leprozorium, a za nią – chcąc nie chcąc – biadający nad sobą wozacy popędzili cierpliwego wołu, ten zaś pociągnął wóz z chlebem, piwem, nowymi przyborami i czystymi szatami dla trędowatych. Obecność w mieście Jadwigi wywołało niejakie poruszenie w wojsku. Szeptano przy ogniskach, że nawet nie spotkała się z wnukiem, tylko poszła prosto do chorych. Pojawiły się inne myśli: niektórzy łakomie patrzyli na wóz z jadłem. Podobna myśl pojawiła się w poczcie Dobrosza.

– Tośmy, panie, niepotrzebnie narazili się na głód – powiedział jeden z kuszników.

Rycerz na to odpowiedział: – Potrzebnie czy niepotrzebnie, nie wiem. Woląłem im dać, czego chcą, żeby tylko nie poszło za nami ich przekleństwo. One przechodzą piekło na ziemi, życia już żadnego nie mają, ruszyć się nigdzie nie mogą, a nam, jeśli raz pójdziemy spać o głodzie, nic się nie stanie. Po prawdzie, to ochotę na jadło dziś straciłem. – Zamyślił się, po czym dodał: – Zapomnijmy o tym i niczego nie żałujmy.

Pokiwali głowami. Pozostałym wojakom tego wieczoru też nic by nie przeszło przez gardło. Zajęli się więc przygotowaniami do snu, na co też nie mieli ochoty. Każdy żarliwie wzywał myślami Boga, aby nie zesłał na nich nieszczęścia, którego obrazu, im mocniej zaciskali powieki, tym bardziej nie mogli zapomnieć.

Wspomnienie spotkania żywych trupów dręczyło Wojdę jeszcze nazajutrz, co gorsza, pogłębiało w nim poczucie beznadziei. Chodząc już po Wrocławiu w każdym żebraku widział trędowatego, unikał ludzkich dotknięć, świat wydawał się zgniłym i brudnym, a życie jawiło bolesnym. W dodatku ciągnęła tęsknota za Anuchą i niepokój o nią nie znajdowały ujścia, a były tak dojmujące, że z pewnością zdołałby je schwytać w dłoń, gdyby tylko wraził ją w samego siebie. Nie rozwiewały tych uczuć inne wydarzenia, jakich był świadkiem.

Znudzone rycerstwo niewysyłane na zwiady włóczyło się po śląskiej stolicy, zagadując głód i nudę. Wrocław pogrążony w cichej żałobie głośno rozpamiętywał najazd, klęskę oraz przyczyny tych wydarzeń. Wtórowały w tym kazania księży, mnichów czy oberwańców za mnichów się podających. Gdyby ich wysłuchać, należałoby całe życie tylko się biczować za grzechy, bo wszelkie życie straciło sens. Właśnie nastał początek końca, czego widocznym znakiem było zniszczenie wojsk chrześcijańskich Rusi, Polski i Węgier. Przybysze z dalekich stron opowiadali, że władcy Węgier nie żyją, trzysta tysięcy Tartarów już rusza na Rzym i jeszcze jesienią napoją konie w Tybrze.

– Czyż nie widzicie, że spełniają się proroctwa – mówił tutejszy franciszkanin – a zwłaszcza to najważniejsze o antychryście? Bo kimże jest cesarz Fryderyk, co już tyle klątw na niego rzucono, a on nadal szkodzi Bogu? Kimże jest ten, co wydawał się najmędrszym ze wszystkich władców, w istocie jest najpyszniejszym od czasów Nerona? On napada na Rzym, gnębi kolejnych papieży, krzywoprzysięga, zadaje się z poganami, utrzymuje naraz kilkanaście żon, a każda innej wiary, prawowitą, chrześcijańską małżonkę więzi zaś w wieży. Nie rozróżnia grzechu od cnoty! Trudno pojąć, jak to się stało, że mieni się cesarzem, ale już pewnym jest, skąd się wziął. Po owocach jego starań można to poznać. Pojechał na krucjatę i z łatwością dogadał się z cesarzem Saracenów, czym tamtejszych chrześcijan osłabił. Ledwie powrócił, natychmiast podjął wojnę z papieżem. Nawala Tartarów nie była dla niego tajemnicą. Myśmy ostrzegali władców, przede wszystkim cesarza, że nadchodzi nowy Atylla, kto wie, czy nie straszniejszy od tamtego. Że znów może paść Bizancjum i Rzym. Co on wtedy robił? Jeździł na łowy z sokołami. A cóż ten antychryst uczynił, gdy rychło spełniło się to, co było dla niego mniej ważne od zabawy z drapieżnym ptactwem? Nie ruszył z pomocą Węgrom, nie pojechał do Niemiec, naszego księcia Henryka pozostawił na pastwę Tartarów, podobnie jak dobrego Belę, króla Węgier. Teraz, na ostateczne zniszczenie chrześcijaństwa, pobiegają mu z pomocą ci, co innymi otworami niż on z piekieł wyszli, co wielotysięcznymi wojskami przeszli przez Ruś i nasze kraje.

Tyle w tym miejscu usłyszeli wolny dziś od służby Wojda, poważny od dnia bitwy zabawniś Witosza oraz kilku rycerzy i giermków. Słuchali przemówienia z gorzką przyjemnością, bo wreszcie ktoś z nich zdejmował choć częściowo wyczuwalne wyrzuty, że przeżyli, zamiast zginąć.

Poszli dalej i wkrótce przysłuchiwali się w sporym tłumie innemu zakapturzonemu znawcy, co wyglądał na zakonnika wszystkich naraz zakonów świata. Ów mnich na swój sposób obnażał szpiegów tartarskich.

– ...Przyszli śmiało i trafiali, gdzie trzeba bez żadnego przypadku. Pytam was, bracia i siostry, jak to możliwe? Jakim sposobem ani razu nie zgubili się w krajach, w których ich nigdy dotąd nie widziano? Ba, w których nigdy o nich nie słyszano? Co tu wiodło tych braci diabła albo inaczej: kto ich tu wiodł? – zawiesił głos, niby oczekując odpowiedzi, ale zebrani tylko popatrywali na siebie pytająco, bo nie znali odpowiedzi, mówił więc dalej: – Mają wśród nas szpiegów. Oni pokazują drogi i bogactwa, liczą nasze wojska i mówią piekielnikom, gdzie one są. Zakrzykniecie zaraz, zapytacie, co to za ludzie, ci zdrajcy – mówca znów zawiesił głos. Odezwały się z tłumu potakiwania, on więc odpowiedział: – Dobrzy chrześcijanie, to najwięksi zdrajcy, jakich można sobie wyobrazić. Czciociele szatana, oddani mu duszą i ciałem. Zdradzieccy heretycy podający się za wędrownych dziadów. Czarownice kręcące coś w kociołkach. Węszą, szpiegują,

donoszą i cieszą się naszym nieszczęściem – tu zagrzemiał jeszcze groźniej – życzą sobie, aby zboża zmarniały, bydło zdechło i nad całym dziełem bożym zapadła ciemność. Już rozmyślają, jakim sposobem ściągnąć następną plagę na chrześcijan. Mieliliśmy już wojnę, za ich sprawą przyjdzie głód i zaraza. Stoją za progiem, przebierają nogami, żeby do nas wejść, zaproszeni przez zdrajców. Nie ma innego sposobu, trza ich znaleźć i spalić żywym ogniem, aby piekło straciło pomocników.

Tyle i mniej więcej tymi słowy Wojda usłyszał, nim poszli dalej.

– W Złotoryi już spalili jedną – któryś z towarzyszy przypomniał – to i tu pewnie zaraz spalą.

– Tak, Niemcy są pomysłowi – podchwycił inny rycerz. – Zawsze ktoś inny jest winien ich nieszczęściom, nigdy oni. Chodźmy, bo bierze mnie ochota, żeby sprawdzić ogniem, czy ten gaduła sam nie jest szpiegiem Tartarów.

Tedy poszli dalej, aby chodzeniem zagłuszyć burczenie kiszek, wrażeniami ogromu świątyni i zamku odwrócić uwagę od braku przyzwoitego jadła. Chcąc nie chcąc, przysłuchiwali się rozmowom o Tartarach. Wbrew ich doświadczeniom bitewnym coraz więcej o najeźdźcach mówiono jak o sile, z którą nie da się walczyć, jak o powodzi czy wielkiej pożodze leśnej, o czymś, czego nie da się zawrócić ani powstrzymać, czemu trzeba się poddać, ustąpić, uciec, przeczekać, aż samo przejdzie. Dowiedzieli się także, jakim cudem Wrocław ocalono – na co cierpko jeden z nich zauważył, że dzięki temu samemu cudowi równo w dzień później zabili księcia Henryka. Ktoś na to się obruszył, bo wszak nie można woli boskiej ani przewidywać, ani zmieniać, ale oni tylko na to prychnęli, ufni w swoją broń i gromadę.

Opodal rynku ślascy rycerze napotkali znany orszak, mimo wszystko się zdziwili, bo od bramy grodu parł do zamku – tak myśleli, ale najpierw orszak zajrzał do katedry – poczet rycerzy krakowskich z Klemensem z Ruszczy, jak potem się okazało, mianowanym właśnie kasztelanem krakowskim. Nie za Klemensem się oglądali nasi wojacy, tylko o niewiasty chodziło, co jechały w orszaku. Ich widok żadnemu wojakowi z gromadki Wojdy nie sprawił przyjemności, a on sam, zaczerwieniony po korzonki włosów, aż odwrócił głowę. Co gorsza okrutny kpiarz Witosza zerwał na ten widok z żalobą.

– No nie, znowuż ją widzę. Chyba trzeba będzie się pomodlić albo najlepiej pokropić wodą święconą, żeby diabła odegnać. Jak to jest, że zawsze, kiedy napotkam tę pannę, dzieje się coś złego?

Takie oto uczucia Gertrudka wzbudzała.

Ona zaś była w całkiem dobrym usposobieniu. Powodów miała kilka. Po pierwsze, nie musiała już zajmować się rannymi, co nużyło i napawało obrzydzeniem. Po drugie, zanosilo się na to, że wkrótce pojedzie do domu, żeby powalczyć o majątność z dalszymi krewnymi. Po trzecie, i najważniejsze, jej Pakosław ocalał! Pomyliła się, biorąc innego ścinanego rycerza za niego. Radosne

ocalenie, w jej pojęciu prawie zmartwychwstanie, odpowiednio gdzieś na uboczu uczcili pospolitym grzechem rozpusty – zwłaszcza młodzianowi było miło. No i po czwarte – dla wojewodzianki najważniejsze – za sprawą doznań związanych z pomyłką, wielki kłopot spadł z głowy, a raczej wypłynął z łona, co Gertrudkę napełniło niezmaconą pewnością, że nikt ani nic nie może przeszkodzić w jej zamiarach.

Miała więc wojewodzianka wyraźne powody do radości, mimo że każdemu chciało się płakać, wielu nawet wyć z rozpaczy. Dobry nastrój, prawie szczebiotliwy, okoliczności zmuszały do skrywania, dlatego pokazywała smutną buzię i udawała współczucie. Nie współczuła jednak nikomu, a już na pewno nie księżnej Annie, za to chętnie oglądała rozpacz tej wielkiej damy.

Polscy rycerze odeszli, nawet nie oglądając się zanadto za siebie, żeby zło ich nie zauważyło i żeby do nich się nie przyczepiło.

O głodzie zagryzanym pieczoną rzepą kładli się spać, słysząc, że za trzy dni mają odprowadzić krakowskie wojsko do granic księstwa, z drugim postojem w Rycynie. Ucieszyło to zwłaszcza wojów z owej kasztelanii.

Wojda cieszył się z innymi, bo tęsknił i niepokoił się niezmiernie. Od razu ubyło mu trosk, bo jadąc z Wrocławia do Ryczyna wystarczy lekko nadłożyć drogi, żeby zaczepić o rodzinne strony. Nadzieję tę od razu zauważył Witosza, co okraślił odpowiednimi słowy: – Myślałem, że Gertrudka niczego dobrego zdziałać nie może, że spod jej płaszcza ciągle wylatują diabły i zasługuje tylko na stos. Przez to zaś, że trzeba ją odprowadzać, Wojda się cieszy, bo zobaczy swój gródek. Chyba pierwszy raz w życiu przyniosła komuś szczęście. Tylko nie idź dziękować wojewodziance, bo jeszcze co złego z tego się ulęgnie.

W Zalesiu życie toczyło się po własnych drogach. Proboszcz nie umarł ze zgryzoty, powoli dochodził do siebie – poruszał nogami i rękami, chociaż jedna strona nadal niezbyt go słuchała. Niczego nie mógł powiedzieć w sposób zrozumiały, bełkotał więc, wzdychając z niemocy od czasu do czasu, przy tym straszliwie się krzywiąc. Słuchał ze zrozumieniem, niewątpliwie, no i umiał już przytaknąć albo zaprzeczyć.

Dobrzy ludzie dowiadywali się, co z księdzem, niektórzy widzieli, że co dzień lepiej. Tylko pani Bożena, głównie pod wpływem wikarego, utyskiwała, że starzec nie najlepiej się czuje. Miała za złe, że opiekują się nim wiedźmy, ściślej chodziło o Anuchę, ale już nie pozwoliła sobie na popuszczenie złości, zresztą znienawidzona dziewczka wyraźnie schodziła jej z drogi.

O dziwo, Anucha nie odchorowała wyprawy w chmury. Być może dzięki temu, że Wisława natychmiast wyparzyła ją w balii, w malinowych liściach, dała wypić wywar z lipowego kwiatu. Jedynie pozostało po tym szaleństwie osłabienie. Przez dwa dni nie była w stanie ustać na nogach, trzeciego dnia mogła już chodzić, czwartego zaś nawet coś ciężkiego podnosić, pomogła więc starej wiedźmie

w myciu proboszcza. Ten zaś na różne sposoby starał się pokazać swą radość, łapiąc dziewczurę za rękę, czy gładząc po policzku sprawną dłonią. Piątego dnia odzyskała całą zwyczajną żywotność, szóstego od południa do wieczora opiekowała się starym księdzem, doglądając go, pomagając siadać, karmiąc i pojąc, i czyniła to już bez Wisławy, bo ta musiała pomóc komuś innemu. Pod wieczór młoda wiedźma zaparzyła w garnku trzy garście ziół i przy pomocy sług nagrzała wody, aby z wmieszanym z nią naparze wymoczyć chorego. Zakasała rękawy, kraj kiecki włożyła za pasek, mimo to trochę się zmoczyła, lniana koszula lepiała się więc do niej co nieco.

Wikary Przemko przyglądał się coraz uważniej i coraz śmieiej dziewczurze, ale gdy Anucha zauważyła jego świdrujące spojrzenie, wyszedł z izby i prędko nie wrócił. Uśmiechnęła się na to, nie widząc porozumiewawczych spojrzeń kościelnych, co cały czas musieli koło niej się kręcić. Wytarli proboszcza ręcznikami, aż mu skóra poczerwieniała i prawie zaczął się bronić, po czym przenieśli do łoża. Dziewczura zadbała jeszcze, żeby mu było wygodnie, pożegnała się serdecznie i radośnie, bo zabiegi przynosiły wyraźny pożytek.

Miło było na nią patrzeć, błyskała w uśmiechu zębami, a oczy błyszczały. Otuliła się chustą, bo wieczór był chłodny, rzuciła w prog: – Z Bogiem!, i puściła się prawie biegiem do domu, chcąc zdążyć, nim się ściemni.

Ledwie weszła do lasu, już miała wrażenie, że nie jest sama. A to sroka zaskrzeczała, a to kos umilkł, a czyżyk powiedział „czerk” i wszystko ucichło. Nie tak witało ją ptactwo, oj nie tak. Była pewna, że ktoś czai się w pobliżu. Znów mamuny?, pomyślała z niechęcią.

To nie one, pod nimi gałązki nie trzeszczą.

Dziewczura patrzyła czujnie w zmroczeniały las, aż oczy zajarzyły się jak u rysia. Zastanawiała się, czy zawrócić, bo jeśli ktoś się czai, z pewnością zamiary ma niecne, wojna zawsze rozbudza w ludziach bydlęta. Już miała odskoczyć w bok i pędem ruszyć do Zalesia skroś krzaków i niewielkiego, za to zdradliwego błocka, gdzie tylko ona знаła przejście, gdy na ścieżkę wyszedł nie za wielkiej postury mąż. Anucha krzyknęła w przestkach i schwyciła za smukły nożyk, co go stale nosiła przy pasku, i już miała uciekać, gdy tamten zdjął kaptur.

– Nie lękaj się, to ja, wikary – powiedział. – Nie zrobię ci krzywdy. Chciałem tylko pogadać o przyszłości proboszcza.

– Tu? W lesie? – Anuszy zdziwienie odebrało dech i na każde z tych króciutkich pytań zużyła całe powietrze z płuc.

– Nie chciałem gadać przy ludziach... – rzekł dziwnie gładko najgorszy ksiądz całego Śląska albo i jeszcze większej ziemskiej połaci. Jego słowa brzmiały jednak niewiarygodnie, dziewczura więc się cofnęła.

On szedł w jej stronę coraz szybciej i cały czas mówił: – Po prawdzie nie chodzi tylko o niego, ale o nas...

– Jak to? – zapytała, cofając się dalej, zamiast uciekać, ale mimowolna ciekawość w niej zwyciężyła na chwilę.

– Ponad rok na ciebie patrzę, o tobie snię. Jeszcze żadna tak mi się nie podobała. Niby z kmieci, a dumna niczym księżniczka. A jaka harda. Ciebie przy sobie mieć, to jakby cały świat zdobyć. No i wiem, że nie jestem ci obojętnym. Zerkasz ku mnie, oczkiem mrugasz...

Otrząsnąwszy się ze zdziwienia dziewczura odwróciła się i puściła biegiem, ale on był blisko, zbyt blisko. Dopadł ją przy pierwszych krzakach, gdzie musiała nieco zwolnić, schwycił w pól, od tyłu, mówiąc: – Po co tak się droczyć, udawać?

– Pomocy! Ludzie!

Nie zdążyła nic więcej krzyknąć, bo zatkał jej usta dłonią, naciskając z całej siły, szepcząc pośpiesznie do ucha i coraz głośniejsz sapiąc: – Nie opieraj się. Nie krzycz. Źle ci nie będzie, jeszcze żadna nie narzekała. Tyś moja i niczyja więcej nie będziesz. I nie myśl już o tym rycerzyku, on nie wróci.

Szarpnęła się mocno, chcąc jednocześnie go ugryźć, ale uścisk wikarego na to nie zezwalał. Próbowwała kopnąć albo odepchnąć – on się domyślił, co chciała zrobić, bo uniósł ją, przez co nie znalazła oparcia. Był silniejszy. Co gorsza, wypuściła nóż z dłoni.

Przemko poniósł ją między drzewa, mówiąc: – Bądź mi powolną, pókim dobry. Będiesz potem przy mnie. Po co ci żyć w lesie, jeżeli możesz przy kościele?

Ona nie słuchała. Nadal się wyrywała, a że była gibka, prawie się wyslizgnęła. Wtedy on zwolnił ucisk w pasie, mimo to nie zdołała odbiec choćby na krok, bo nadal trzymał ją mocno za twarz. Niemal omdlewała z braku powietrza.

Kilka razy pięścią uderzył dziewczynę w głowę, opór więc zelżał, nie uderzył jednak głową o pień, jak zamierzał, tylko położył na mchy i klęknął, mocując się z własnymi sukniami. Znów chciała uciec, lecz wtenczas uwalnił się na niej, wpychając kolano między jej uda. Jedną ręką złapał za szyję, drugą gmerał na dole. Mówił gorączkowo: – Myślisz, że nie dostanę tego, co chcę? Że głupia wiedźma będzie mnie wodziła za nos? Nie chcesz po dobroci, dasz po złości! – Uderzył Anuchę w twarz otwartą dłonią, aż z nosa pociekła krew. – Mogę cię zniszczyć, mała ladacznico, i jeszcze mnie nagrodzą. Za to zadawanie się z diabelstwem, czarowanie, za zatrucie proboszcza, omamienie tego głupka Wojdy, no i za latanie w czasie burzy z zadartą kiecką! – A że na to, co powiedział, zmieniła się twarz dziewczury, dodał ze śmiechem: – Wiem wszystko. Lepiej więc rozłóż nogi, wypędzimy z ciebie diabła.

Na te słowa opór dziewczury jakby zelżał.

On spojrział w dół, żeby tam sobie pomóc, wtedy ona uderzyła go okutą miedzią pochewką od noża. Nie trafiła w oko, jak zamierzyła, ale blisko, robiąc rysę od nasady nosa po ucho. Ryknął nie tyle z bólu, co ze strachu, i natychmiast

odpadł od niej. Ona nie czekała chwili, poderwała się na nogi i pobiegła w bagienko. Ruszył za nią dopiero wtedy, gdy pojął, że jeszcze ma oczy. Widział, którądy przebiegła, słyszał ją chlupoczącą po wodzie, lecz gdy sam próbował za nią iść, zapadł się w błocie powyżej kolan.

– Już po tobie! – krzyknął. – Nie daruję ci tego! Jeszcze będziesz błagać, żebym cię brał, zobaczysz. Odpowiesz za te czartostwa i nikt ci nie pomoże, bo ten twój stary poganin właśnie zdycha, a młodego wrony już rozdziobały. Ciebie też rozdziobią.

Długo jeszcze krzyczał, ale ona była już daleko. Zakrwawiona, ubłocona, pobita, zapłakana, starała się jak najszybciej dotrzeć do Wisławy, do domu.

Stara wiedźma tym razem niczego nie przeczuwała.

Wyglądała córki, a gdy wreszcie jej się doczekała, od razu pomyślała, że coś u młodej nie tak z głową: nie minęło kilka dni, a ta znów łązi po bagnach. Krzyknęła: – Co ty wyprawiasz? Szaleju się objadłaś, czy co?

– Wikary chciał gwałt na mnie uczynić, siłą posiąść. Obroniłam się. Musimy się poskarżyć.

– Raczej uchodzić – stwierdziła Wisława przytomnie.

Chciałaby coś jeszcze mądrego powiedzieć, ale nie było już komu. Anucha padła zemdlona.

WINY

A kiedy złym pragnieniom wbrew

Stanie Anuchy marzenie czyste

Natychmiast wzbudzi ono gniew

To jest aż nadto oczywiste

Naprawdę łatwo dobrzy ludzie

Oskarżyć tak by prawie zabić

Pchnąć kogoś ku zupełnej zgubie

Prościej jest niż nie pozwolić zglądzić.

Nadzieje Wojdy na zobaczenie domu w drodze do Wrocławia omal nie rozwiały się jak dymy niedawnego pożaru wrocławskiego podgrodzia. Rycerz Jakub nie dawał się ubłagać, ale książę Bolesław okazał serce i pozwolił Wojdzie, aby na dwa dni odjechał z szeregów. Może nic by się nie udało załatwić, ale szalę łaski księcia przechylił żarcik Witoszy.

– Nie wiadomo, kogo bardziej nie lubisz: Tartarów czy Małopolan – powiedział do młodzieńca tak głośno, aż książę usłyszał. – Jedno jest pewne, będziesz dbał o bezpieczeństwo Gertrudki na równi z tym jej... no jak mu tam... z herbem Półkozic...

Bolesław dosyć już miał wojny, usłyszawszy więc o wspomnieniu rozrywki z jesieni tamtego roku, zapytał głośno i ze śmiechem, co nieco zraziło otoczenie – wszak była żałoba, a stary książę jeszcze nie pochowany: – Wśród nich jest ten łobuz, co napadł na naszego Wojdę?

– Jest. Przeżył wszyściutko, ichnią bitwę, naszą, jeszcze umiał wojewodziance uprzejmie usłużyć, jak wieści niosą – powiedział z mrugnięciem dość jasnym Witosza.

Bolesław klepnął się w kolano.

– Ha! To ci dopiero! – zawołał i zwrócił się do śpiewaka: – Słyszałeś, Sural? Umiałbyś o tym pieśń ułożyć? Prawda, nie wiesz, że niewiele brakło, a taką przysługę uczyniłby tej wojewodziance nasz Wojda... – Tu Bolesław nagle spowaźniał. Uśmiechy otoczenia zamarły, Witosza, co dowcipnie chciał coś dodać, natychmiast ugryzł się w język. Książę popatrzył na stęsknionego za domem młodzieńca i powiedział: – Dobrze walczyłeś pod Legnicą. Nikt by tego się nie spodziewał, obaliłeś kilku Tartarów. To i lepiej, żebyś jak najkrócej przebywał w towarzystwie tego Półkozica. Jedź sobie na dzień, ale nie za darmo. Dobrosz! Puścić go? Wróci?

– Wróci, na pewno.

– To niech nie zapomni wozu zboża. Przyda się, co nie? – Spojrzał na swoje wojsko, a to przytaknęło.

I już nikt nie zazdrościł Wojdzie wyjazdu.

– Tak jest, panie. – Dobrosz się uklonił; niby był trochę zły, bo zapasów mogło nie być w gródku za wiele, ale daniny i tak trzeba odstawić, a usychający z tęsknoty syn mógł lekko zboczyć z drogi... Wojna na tym nie ucierpi.

Co prawda obydwa wojska miały zwinąć podwrocławski obóz dopiero

następnego ranka, ale Wojda postanowił wyruszyć jeszcze tego dnia, gdy otrzymał zgodę.

– Nie zajedziesz w jeden dzień – mówił Dobrosz.

– Przenocuję przy karczmie Pod śliwką i jeszcze przed południem będę w domu, a tak, gdybym ruszył rano, dojechałbym dopiero na wieczór. Cały dzień zyskam, a w Rycynie do was dołączę.

– Tedy już jedź, synu. – Pobłogosławił go na drogę ojciec. – Matce zaraz każ naszykować wóz i wyprawić do Rycyna. No i wracaj.

W krótką podróż wyruszył z Wojdą jeden z kuszników. Wędrowcy zboczyli w lewo, w stronę Odry, z gościńca prowadzącego do Rycyna, którym nazajutrz miały pociągnąć hufce zagłodzonego rycerstwa na zabiedzonych koniach, i gdy słońce schowało się za ich plecami, a mrok rozpostarł równy cień nad widnokrzem, dotarli do osady z karczmą Terechny. Tuż przed ogrodzeniem konie się zaparły i nie chciały dalej iść. Mężczyźni myśleli, że przez hałas, bo z karczmy wyraźnie dobiegały głosy gęśli, bębenka, a i dudy też tam buczały i dokazywały głosy ludzkie, co zdawało się beczeniem baranów. Konie rżały, stawały dęba, dreptały w miejscu i się wyrywały.

– Ki czort? W bitwie się nie bały, a teraz strach je obleciał? – dziwił się Wojda.

– Brama otwarta, a stają, jakby była zamknięta – stwierdził kusznik.

Trzeba więc było użyć innego sposobu: zsiadli z koni i pociągnęli je za uzdy; nadal się opierały, wstrząsały łbami, poszarpywały tak, jakby niedźwiedź zachodził je z boku. W końcu poszły.

Wojda przełożył sobie wodze pod pachę i zaklaskał. Spomiędzy zabudowań wybiegł wyrostek.

– Miejsce w stajni jest?

Chłopak przytaknął skinieniem głowy.

– To prowadź!

Poszli za nim.

Konie znów czegoś się wystrachały, pokwikiwały, dreptały, aż trudno było je rozsiodłać. Szukali, może ciernie, kawałek gałązki czy szyszka pod siodłem były. Może obtarły grzbiety? Niczego nie znaleźli. Dali im z dłoni resztki owsa, co wieźli w sakwach. Kusznik potknął się o cebrzyk, poszedł więc do studni po wodę. O dziwo, zdrożone konie nie chciały jej pić. Parskały, trzęsły łbami, nawet się cofały. Wojda powąchał wodę, niczego złego nie wyczuł.

– Co jest? – zapytał w zdziwieniu.

– Może się wściekły? – próbował domyślić się kusznik.

– Ale jadły nam z rąk.

– Koń byle czego się nie napije.

– Strumyk płynie niedaleko. Może chcą wody źródlanej?

Mimo zmęczenia kusznik poszedł do strumienia. Gdy wrócił, obydwa konie wyciągały łby w jego stronę, chciwie wciągając powietrze i z szumem je wypuszczając, wyczuwając wodę w cebrzykach. Jeden od razu zanurzył pysk, pijąc chciwie, aż kulki łyków leciały mu po szyi. Wypił do cna, jeszcze naciskając na dno pustego wiadra, licząc, że coś z niego wypłynie. Drugi koń próbował wepchnąć łeb, ale mu się nie mieścił. Uradowany kusznik pobiegł po wodę, wziąwszy jeszcze ze sobą skórzane wiaderko, co je wieźli w sakwie.

Po napojeniu koni nawoływali za wyrostkiem, co ich tu doprowadził, żeby dał koniom obroku albo siana, ale chłopaczyna się nie odnalazł. Poszli do karczmy sami, licząc na to, że tam znajdą służbę.

Przekraczając próg, doznali uczucia, jakby po ostatnich tygodniach ustawicznych znaków zgryzoty, weszli do innego świata. W środku trwała przednia zabawa. Wokół słupa, co na nim wspierał się dach karczmy, wirowały aż trzy korowody, przy czym wszystkie w lewo. Na zewnątrz krążyli mężowie wsparci na swych ramionach tak, że tworzyli warkocz rąk i głów. We wtórym niewiasty trzymające się za ręce, przy czym każda w lewej dłoni dzierżyła kraj sukni. W trzecim, wewnętrznym kręgu, płaśły radośnie dzieci. Wszyscy też śpiewali: Oj łądo, łądo albo Dali buli, buli, czy inne zaśpiewy, co niczego nie znaczyły. Oszołomieni przybysze na płas patrzyli urzeczeni. Co prawda podobne widowiska mieli sposobność widzieć nieraz, ale w tym było coś innego, coś niezwykłego, co – prawdę mówiąc – rzadko można było zobaczyć. Inaczej jest, gdy kilku podpitych kmieci miota się takim sposobem, że nawet równe granie nic a nic im nie przeszkadza. Tu płaśającym mężom ani razu noga się nie zmyliła, a śmigali różnymi, trudnymi krokami, co raz wymagały drobienia w miejscu, a zaraz sporych susów i zatrzymań. Wszyscy czynili to jednako, jakby jednym ciałem byli.

– Panie, popatrz – prosto do ucha Wojdy powiedział półszepem kusznik, bo tylko tak w tym rumorze, graniu i wrzasku jego głos mógł usłyszeć młodzieniec, który, uśmiechnięty, patrzył na migoczący niezwykłą szybkością rój nóg, na tę stonogę zawiniętą w koło i goniącą samą siebie.

– Widzę... – odpowiedział nie mrugnawszy nawet okiem.

Tamci dalej biegli w zapamiętaniu, jakby zmęczenia nie znali.

Do przybyszów podeszła wielka, gruba niewiasta niosąca dwa dzbany napitku.

– Kogo widzę? Czyżby panicz wracał z wojny do Zalesia? – przekrzykiwała zgietk.

– Dawaj pić i jeść, Terechna, bo jesteśmy zdrożeni. I konie trzeba nakarmić!

– krzyknął kusznik, nie pozwalając na dalsze spoufalenia.

– Siądźcie, odpocznijcie. Moglibyście te zbroje pozdejmować.

– Czasy niepewne, nie możemy – odparł kusznik.

Karczmarka postawiła przed nimi dzbany z piwem i odwróciła się, żeby

odejść, ale usłyszała jeszcze: – O koniach nie zapomnij.

– Nie zapomnę. Napojmy wasze koniki – powiedziała cicho, ale ją zrozumieli.

– Przecież napojone... – Wojda półgłosem przypomniał kusznikowi.

Odchodząca niespiesznie Terechna usłyszała to, co Wojda powiedział, bo się zatrzymała, odwróciła głowę, popatrzyła chwilę na niego, uśmiechnęła dziwnie i dopiero wtenczas odeszła.

Przybysze łapczywie umoczyli usta w piwie, potem gasili pragnienie kolejnymi dzbanami, aż w głowach wirowało im leciutkie, miłe oszołomienie. Patrzyli na pędzące kręgi. Mężowie właśnie przysiedli i tak szli na kolanach w pyłe, odsłaniając niewiasty. Te również nie myliły kroku, bo każda z nich skłaniała się to w lewo, to w prawo, to znów patrzyła przed siebie – wszystkie w jednym czasie, jakby na jeden rozkaz, bez najdrobniejszej nawet pomyłki. Wdzięcznie wyglądały, gibko, czasem z ukłonem tak głębokim, aż wydawał się niemożliwy. Teraz nabierały pędu, powtarzając skinięcia głowami, zakroki i skłony – ich rozpuszczone włosy cięły powietrze, nie nadążając za tymi ruchami.

– To niemożliwe... – wyszeptał kusznik.

– Wszystko jest możliwe – usłyszał nad uchem głos Terechny. – Dołączcie do nich, a sami się przekonacie, jakie to proste.

– Jest żałoba. Książę nie żyje, ponad tysiąc rycerstwa poległo, a ilu ludzi po wsiach...

– Ale wy żyjecie. Macie tego żałować?

Na te słowa przez męski krąg ni to przeszły, ni to przefrunęły dwie długowłose dziewoje, złapały przybyszów za ręce i powiodły ze sobą z niespodziewaną siłą.

– A konie? – zapytał już w biegu kusznik.

– Konie też będą... – tyle usłyszał z odpowiedzi Terechny.

Nim zdążył mrugnąć okiem, znalazł się w męskim kręgu, nie do końca rozumiejąc słowa wiodącej go niewiastki.

– Bo on nie nasz... – mówiła.

Ichnim okazał się Wojda; wzięły go pod ręce, włączyły do kręgu niewiast. Kusznik dłużej patrzyłby, co z jego panem się dzieje, gdyby nie to, że płasający krąg porwał i jego. Ręce same położyły się na karkach sąsiadów, nogi zaś, nie myśląc kroków, poleciały z nimi. Z początku uśmiechał się z niedowierzaniem – on, co nigdy ani płaszać, ani śpiewać nie umiał i był na tym polu przedmiotem drwin, teraz robi to tak, jakby przez całe życie tylko tym się zajmował. Potem uwierzył w siebie i trwał w zapamiętaniu z innymi.

Aż przyszło zmęczenie.

Wtedy powiedział, dławiąc się z braku tchu: – Dosyć, dosyć!, tylko że nikt na to nie zważał. Bolały go nogi, serce chciało wyskoczyć z piersi, zaczął się

szarpać, ale gdzie tam, dalej biegł, przysiadł, rzucał głową jak inni. Przyszła złość, próbował grozić towarzyszom, ale to też nic nie dawało. I wówczas zauważył, że ci, z którymi tańczył, mieli twarze dziwnie nieruchome, spojrzenia nietutejsze, nie dyszeli z wysiłku, nie pocili się.

Byli zimni.

Na to spostrzeżenie oblał równie zimny pot kusznika. Chciałby być najdalej stąd, ale gdzie tam, nie mógł, a rozdzierająco bolesne nogi nie myliły kroku. Dusił się, omdlewał, krzyczał, wył i nikt mu tego nie wzbraniał, nikt nie przeszkadzał. Przez nieznośny ból pojał, co oznaczało powiedzenie „upłasać się po kolana”. Mogły więc jego stopy się zetrzeć i odpaść, chyba że wcześniej serce by pękło.

U towarzyszek Wojdy było nieco inaczej. Miały go między sobą, trzymały mocno, chciałyby do niego się przytulić, ale coś je powstrzymywało. Łamały płas, dopadały do niego, lecz zaraz odpadały, jakby odepchnięte. Pociągnęły jednak zdobycz w szybki tan, a nogi Wojdy zaraz biegły sprawnie i udatnie, jakby ćwiczył z tymi niewiastami dzień w dzień co najmniej dwa lata.

Aż zaczął się męczyć.

– Co ze mną się dzieje? Skąd macie tyle siły? – pytał zdziwiony młodzieniec.

Odpowiedzi nie dostał, bo trzeba było gonić dalej.

Płasawice rozpedziły Wojdę i nadażał za nimi, aż nogi mu się oderwały od ziemi, a wtedy pękł zaklęty krąg, za nim krąg męski. Tylko dzieci nadal się toczyły bez ustanku. Dwóch wojaków kręciło się jeszcze jak frygi, aż obaj doszli do ściany, odbili się od niej i znieruchomieli dopiero padłszy na podłogę.

Ustało kołowate granie i tylko huczał w karczmie tupot dziecięcych stóp.

Podeszły do wojaków niewiasty, za nimi mężowie. Szeptali, kłócili się o to, który czyj. Przytomny Wojda niczego nie pojmował, za to półprzytomny kusznik wiedział już, że tańcząca przed chwilą zgraja pragnie ich krwi. Chciał dobyć duży nóż – nie mógł, chciał dopaść do leżącego obok Wojdy miecza – płasawice już go chwyciły za ręce, już odgarniały włosy z karku, już przymierzały się, jakby chciały całować w szyję. Kusznik wiedział, że nie o całusy chodzi.

Wojdę także dopadły, skrępowały ciałami, aż nie mógł się ruszyć. Marudziły między sobą, wreszcie któraś rozerwała kołnierzyk jego kubraka, ale zamiast jeszcze bardziej zniewolić chłopaka, uchylły się, jakby poraził je ostry blask.

Blasku nie było, ale zadziałał kreci mieszek, który Wojda dostał od dziewczury.

– Chytry jesteś, nie dasz się łatwo – syknęła jedna.

– On ci nie dla nas, jeszcze nie zaznał niewiasty – powiedziała inna.

Wojda się przeżegnał, a niewiasty nieco się cofnęły.

– To ci wiele nie pomoże – zaskrzeczała Terechna.

Pomagało jednak na tyle, że i kusznik jakoś się oswobodził.

– To diabły, panie! Uciekajmy stąd!

Drewniany krzyżyk, co miał zawieszony na szyi, pokazał upiorom. Starania człeka wyglądały śmiesznie, bo nie robiły na nieżywych najmniejszego wrażenia.

Zziajany Wojda zaczął więc poważnie: – Na rany Chrystusa, zaklinam was, powiedzcie, co się dzieje? O co wam chodzi?!

Być może ktoś by coś długo prawił, ale niedaleko zapał kur, jedyny ocalały z rzezi, i do Wojdy doszedł tylko smutny głos Terechny: – Pogrzebicie nas...

Świtało. Wojda i kusznik leżeli pośród zgliszczy karczmy, co zapadła się w otchłań kilka dni przed bitwą pod Legnicą. Pośród spalenizny tu i ówdzie sterczały osmolone szkielety. Przez swąd pogorzeli przebijał się smród gnijących zwłok. Leżały wszędzie naddziobane przez ptaki, nadgryzione przez lisy, nadszarpane przez wilki. Strzępy odzienia jeno wskazywały, że to trupy niewiast, mężów i dzieci.

Co więc widzieli w nocy? Co czuli?

Żałosny przedstawiając sobą widok, osowiałe konie stały wśród zgliszcz, które przed dwoma tygodniami były stajnią, obok leżały w nieładzie siodła i uprzęże. Przepoconą, zmierzwną sierść pokrywało błoto, grzywy – zamiast bujnych włosów rozczesanych wiatrem – poskręcane w nierówne warkocze i powrozy, posupłane w strąki kołtunów zwisały ze smętnych, zmęczonych łbów. Niejedna zmora dręczyła je tej nocy.

Pierwszy odzyskał głos kusznik.

– Panie Wojdo, to nie jest prawdziwe. To musi nam się śnić. Przecież rozsiódłaliśmy i napoiliśmy konie, potem piliśmy piwo, poszliśmy w płas i... i....

Wojda przytaknął. Nie mógł mówić, nawet patrzeć, łzy ciekły mu z oczu, rozmazywał je, ale natychmiast napływały następne. Zobaczył już to, czego towarzysz jeszcze nie dostrzegł: przy bramie na płocie malutkie dzieci ponabijane na sztachety. Przy nich zapewne leżały martwe matki. Co z nimi zrobili, nim je zamęczyli na śmierć, Wojda nawet nie chciał sobie wyobrażać. To dlatego konie nie chciały dalej iść. Milczał, lecz myśl mu krzyczała z całych sił, rozsadzając głowę: Niemożliwe jest takie okrucieństwo! Niemożliwe! Kto tak robi!

Ryk rozpaczy był tak głośny, aż musiał złapać się za głowę, aby jej nie rozsadziło. Do tego przyszły pytania: Co z Zalesiem? Co z matką? Co z Anuchą?

Bez słowa poszedł siodłać rumaka. Kusznik otrzeźwiony, nawet ucieszony zamiarem odjazdu, widząc skórzane wiadro, powiedział rażnym głosem: – To jeszcze napójmy je.

Dziarsko schwycił wiadro i zamierował w trzech susach znaleźć się przy studni, lecz obolałe nogi odmówiły posłuszeństwa – niezdarnie więc pokuśtykał, oparł się o cembrowinę i zajrzał w głąb studni. Krótco patrzył w ciemność, ale na tyle długo, żeby smród uderzył go niczym pięścią w twarz i odrzucił. W tamtej chwili całkowicie osiwił, mimo niewiele ponad trzydziestu lat życia – odtąd, aż do

kresu swego żywota, nigdy nie podszedł do żadnej studni.

Wiadro przytoczył byle jak do siodła i na wyścigi z Wojdą osiodłał konia, aby jak najszybciej wyjść z tego przekłętego miejsca. Nie dosiedli jednak koni, biegli obok, trzymając za wodze, aż znikły im z oczu upiorne zgliszcza. Wtedy poprawili derki, siodła, uzdy, podogonia i ogłowia, wypuścili strzemiona, dosiedli żalotne rumaki i podciągnęli popręgi.

– Jedziemy prosto do Zalesia? – z trwogą zapytał kusznik.

– Tak. Inaczej zaraz rozpęknę się z niepokoju – po raz pierwszy tego dnia odezwał się Wojda.

– Panie, nie wiem już, co myśleć. Spotykamy żywych ludzi i bierzemy ich za upiory. Spotykamy upiory, a bierzemy ich za żywych ludzi. Wszystko się wymieszało. Co się dzieje ze światem?

Wojda nie odpowiedział na to pytanie. Wszystkie jego myśli, również wywołane ostatnimi przeżyciami, skupiały się na jednej postaci, co dla niego była całym światem. Bardzo, bardzo chciałby wiedzieć, co z nią się dzieje.

Mało uczęszczaną dróżką, co wątlą nitką biegła skroś lasów i bagien, dręczeni rozpaczliwą niepewnością, jechali do domu. Konie same musiały się zatrzymać w strumieniu, żeby ugasić pragnienie.

Widok cmentarza przy rozstaju dróg, gdzie stary proboszcz spotkał swoich kościelnych z piekła i z nieba rodem, szarpnął za serca obu wojaków. Przyspieszyli więc jeszcze, chociaż konie chrapały z wysiłku, a z ich boków odrywała się piana.

Koło południa minęli krzyż zastawiający drogę dla złych ludzi, przepuszczający zaś tylko dobrych. Tam przeżegnali się nabożnie, prosząc w duchu i ze łzami w oczach, aby nic złego się nie stało, naprawdę nic.

Nadjechali do kępy ogromnych topoli – wśród gałęzi gnieździło się wrzaskliwe, nienawistne ptactwo – skąd zobaczyli niewyraźne dymy. Wojda ścisnął łydkami boki konia, aż ten pod nim się zachwiał. Giermek poczuł ulgę: dymy unosiły się nie ze zgliszcz, lecz z dymników. Ponad rojem dachów nienaruszonego Zalesia dziarsko górowała wieża kościółka, w koło niej latało stado gołębi, dalej zaś na wzgórzu trwał gródek takim, jakim go Wojda zostawił. Na ten widok wojacy się zaśmiali, padli sobie w ramiona, po czym zeszli z koni, aby dłużej już ich nie męczyć.

Ludzie we wsi wychodzili przed obejścia, pozdrawiali i dziwowali się, że wychudli. Każdy chciałby się czegoś wywiedzieć, nie każdy śmiał jednak zapytać. Ci, co odwagę mieli, pytali o przebieg bitwy, czy prawda to, że księżę Henryk poległ, czy wojna już na dobre się skończyła, czy mają łupy. Odpowiadali, że się bili, że zwłoki księcia są już we Wrocławiu, że końca wojny jeszcze nie widać, no i że oni żadnych łupów nie mają. Ktoś zagadnął o Dobrosza, Wojda odpowiedział więc, nie zwalniając kroku, że i on żyje, i cudem ocalał cały poczet, łącznie z wozakiem.

Bożena nie spodziewała się syna, ale zobaczywszy przekraczającego bramę gródka, uśmiech ożywił jej smutną twarz. Zaraz jednak zgasł. Widząc u boku Wojdy tylko jednego pocztowego, w dodatku całkiem siwego, pobladła, przymknęła oczy i się zachwiała, ale brudny na twarzy syn już przypadał do nóg matki, już klękał i całował w ręce, zapewniając, że ojciec żyje, że z ocalałym z bitwy wojskiem jest za lasem, na gościńcu z Wrocławia do Ryczyna. Odetchnęła tedy, na powrót się uśmiechnęła i krzyknęła, żeby szykować dobrą strawę, bo syn wrócił.

Wojda odprowadzał konia do stajni, nie dając pacholce wyrwać sobie z rąk wodzy, a ona mówiła: – Musisz trochę się odpaść. Dobrze, że żyjecie. Niepokoiłam się co dzień. Jak przyjechałeś? Chyba nie uciekłeś? – o to ostatnie zapytała przyciszonym głosem.

– Nie matko, nie uciekłem – odparł. – Mam zaraz wracać i wóz zboża zawieźć do wojska. Tedy szykujże go, matulu, bo skoro świt mam jechać do Ryczyna.

– Nie nastawali na twoje życie? Byłeś w bitwie?

– Nastawali, i to jak.

Zasiadł, wokół zgromadzili się matka ze służbą, i jadł niczym wilk, co i dziwne nie było, bo zarośnięte policzki miał mocno zapadnięte. Najadłszy się, patrzył na ścianę, a inni ucichli, czekając, co będzie dalej.

– U was żadnej wojny nie widać – powiedział poważnie.

– Synku, i u nas trochę wojny było. Mieliśmy niemieckich uchodźców, szczęśliwie już poszli sobie do Kolonii. Niech tam Wigbert nimi się zajmuje...

– Wigbert poległ – przerwał matce, a wtenczas służba wyciągnęła szyje z ciekawością, ale bez współczucia, czekając na więcej wiadomości. Tylko Bożena miała przestach w oczach. Wojda mówił dalej: – Będzie sporo żałoby w okolicy. Poległ też nasz kasztelan Bogusław, nawet nie wiem, kiedy. Nie żyje Piotr Kusza, Janisław z całym poczem wystrzelany z łuków, syn Konrada, Przemko, przebity włócznią na wylot, tylko koń z nami biegał w szyku przez całą bitwę, i nie dał się z tego miejsca wypchnąć. Tyle strat z naszej kasztelanii. Z kasztelanii brzeskiej też kilku poległo, z kasztelanii niemczańskiej nikogo nie widziałem od dnia bitwy. Mówią też, że wszyscy z kasztelanii głogowskiej zginęli przy księciu Henryku. Podobnie z krośnieńskiej. Z wrocławskiej pół na pół. Kto nie miał szczęścia być przy Bolesławie, leży teraz w dołach pod Legnicą albo słuch o nim zaginął. Wyginęło rycerstwo zakonów, krzyżowcy z Niemiec, z ochotników z Moraw widać co dziesiątego, a i to chodzą jak żywe trupy, nie ludzie. Myśmy mieli szczęście... – tu poważny i do tej pory mocno się trzymający Wojda oparł głowę na rękę.

Bożena przegnała precz służbę, podeszła do syna i przytuliła do piersi jego głowę. Ten, zanim powiedział więcej, szlochał, obejmując matkę.

– Myślałem, że już i po was! Widziałem karczmę. Spalili wszystko. Od zwierząt są gorsi, bo taki wilk udusi, ale się nie znęca. Ćwiartowali ludzi, ze skóry obdzierali, dzieci nabijali na żerdzie w płocie. Nie wiedziałem, co u was zastanę.

– Odpocznij, synku, zostań. Dla ciebie już dosyć jest wojny.

Może wojny było dosyć, ale Wojda powiedział: – Muszę jeszcze coś sprawdzić.

Bożena wiedziała, o co, a raczej o kogo chodzi.

– Synu, wiesz, co o tym myślę. Nie dla ciebie ona. Weź sobie rycerską córkę, którąkolwiek, ale tamtą zostaw w spokoju.

– Widziałem już okropności wojny – mówiąc to, Wojda wstał, otarł ostatnie łzy z brudnej twarzy. – Kilka razy ścierałem się z wrogami, raz godzili we mnie z trzech stron. Podobno w plecy dostałem toporem, a czułem, jakby mnie kto lekko kijem uderzył. I zobacz, ani draśnięcia, nic! Upiory chciały ze mnie ssać krew, też im się nie udało. Z naszego pocztu nikt nie odniósł większych ran, może któryś obity. W innych tak nie było. Powiesz, że dzięki Bogu, dzięki tarczom i pancerzom, ale ja mam pewność, że i dzięki niej.

– Nie bluźnij.

– Może i ty, matko, wymodliłaś moje zdrowie, ale jakby Pan Bóg chciał mnie dla innej zachować, to by mi taką już na drodze postawił – to powiedziawszy, wyszedł z domu.

Szedł w stronę stajni, Bożena biegła za nim – służba miała ubaw, wiedząc już, że będzie jeszcze większy: mało kto nie starał się choć zerknąć i mało kto się nie uśmiechnął na słowa pani Bożeny wypowiedziane jakby do małego synka, chyba w ostatniej rozpacz: – To przynajmniej się wykąp. Wodę ci grzeją.

Wojda odgonił się od tych słów jak od muchy i nawet nie zwolnił kroku.

Zabiedzony, gniady rumak bojowy jadł owies, dwóch chłopaków, odrzuciwszy precz wiechcie słomy, próbowało rozplątać strąki grzywy. Wojda spojrzał na nich, na gniadosza i na siwą klacz, co właśnie odchowała źrebaka i wyglądała już gładko.

– Jeżdżona? – zapytał, a gdy dostał potwierdzenie, rzucił: – Siodłać!

Wyprowadził osiodlaną siwkę ucieszoną możliwością pobiegania, poprowadził w koło, aby zobaczyć, czy nie kuleje, a gdy się okazało, że klacz płynnie chodzi, dosiadł jej.

– Nie jedź, synu, proszę cię! – Matka złapała za wodze.

– Puść, matko, bo i tak mnie nie zatrzymasz.

Bodnął klacz ostrogami, ta ruszyłaby truchtem, lecz powstrzymywana przez Bożenę, kręciła się w kółko. Wojda szarpnął wodzami, spiął konia i ruszył. Bożena pobiegła przy koniu kilka kroków. Odpadłszy, krzyknęła jeszcze: – Nie znajdziesz już jej, słyszysz? Jej tam nie ma.

Słyszał, ale nie słuchał. Wjeżdżał galopem w bramę, a ogłupiała matka wciąż

trzymała dłonie przy ustach; tak zatrzymała w sobie słowa miłości i nienawiści, jakimi chciałaby za nim krzyżeć. Stałaby jeszcze dłużej, ale potrafił ją żreback, co wyrwał się ze stajni i biegł za matką, pobrykując radośnie jak to młody i niedojrzały konik.

Bożena opuściła ręce i się rozejrzała. Spojrzenia służby świeciły ze wszystkich stron w dojmującej ciszy południa, mimo jaskrawego słońca. Miała już coś im powiedzieć, ale same pogasły.

Wojda galopował wśród zielonych pól, gdzie zboża wyglądały jak równiutka trawa. Nad głową świergoliły skowronki – nie dbał o te śpiewy. Anuchy przy nim nie było, a komu prócz niej miałby o nich mówić? Nicco zwolnił pośród łąz, tam na kilku olszynach wilgi zagrały na fujarkach. Po co grają, skoro dziewczura ich nie słyszy? Wreszcie wjechał w las, gdzie sikorki, ulubione ptaszki młodej czarownicy, wesoło świstały przy każdej dziupli, co tym bardziej go złościło.

Musiał zwolnić, żeby nie rozbić sobie głowy o konar.

Wyrośnięty żreback dogonił matkę i rażno podskakiwał, ocierając się o nią. Ta leciutko rżała, szczęśliwa, że ma go przy sobie. Wojda rozgniewał się na tyle szczęścia dookoła. Chciałby zrobić na złość matce, co usilnie rozdziela go z ukochaną, nie bacząc już właściwie na nic – przypuszczał w gniewie, że pewnie wolałaby widzieć go martwym niż przy Anuszy – obiecał sobie, że jeśli Anuchy nie znajdzie, nigdy już do matki się nie odezwie.

W takim nastroju dojechał do ścieżki pod uroczykiem. Zaniepokoił się, bo było tam pełno śladów po ciężkich ludziach, ani Anucha, ani Wisława nie mogły ich zostawić. Znać także było ślady kół wozu. Pomacał się po boku – z prędkości nie wziął żadnej broni, miał tylko nóż. Zgrzytnął ze złości zębami, pojechał jednak dalej. Może dwieście kroków od domu czarownic poczuł zapachy, jakby kadzideł. Początkowo się ucieszył, bo pomyślał, że więdmy komuś zamawiają chorobę i palą zioła, tak jak zimną Anucha zrobiła z nim, ale podjechawszy bliżej, poczuł woń nie ogniska, nie ognia – spaleniżny. Spalone zioła pachniały odurzająco. Ile ich musiało się spalić, żeby czuć je było aż tu?, zastanawiał się.

Wyjechał za zagajnik nad strumieniem i nie zobaczył ani ostrokołu, ani chaty. Pustkę otaczały krzewy i drzewa, na których świeżutkie liście uschły, jakby już nastala jesień. Ni to krzyknał, ni zaskowyczał. Bodnął klacz ostrogami i już był przy nieistniejących wrotach. Zwęglone resztki ostrokołu żałośnie sterczały niczym rzadkie sztachety w płocie. Tam, gdzie stała chata, zostały tylko dymiące jeszcze zręby narożników, reszta uszła w niebo z dymem, spłonawszy prawie bez popiołu jak wielka pochodnia.

Zrozpaczony Wojda miotał się wśród zgliszczy, rozgarniając butem nieliczne, gdzieniegdzie jeszcze ciepłe węgle. Ku niewielkiej uldze nie znalazł szkieletów, obszedł jednak dookoła dom, aby się upewnić, czy zabici nie leżą na uboczu. Znalazł tylko wysuszone na pył roślinki, co powschodziły ze starannych

jeszcze niedawno grządek, a teraz rozdeptanych dziesiątkami śladów.

Zrozpaczony młodzieniec usiadł na jednej z wysokich grządek, oparł łokcie na kolanach, ale nie podpierał głowy, pochylił ją tylko i tak pozostał na dłuższy czas, zapatrzony w stopy niewidzącymi oczami. Otumaniała go woń spalonych ziół, męczyła, aż dla zmysłów zniknęła.

Gdy litościwy wiatr powiał, Wojda się ocknął i wyszedł z pola wystygłego pożaru.

Klacz pasła się na kępie leśnych traw, a źrebię próbowało dopchać się do mleka, co już go matka nie miała za wiele. Umorusany młodzian przytulił się do szyi kobyłki, postał chwilę z zamkniętymi oczami, po czym jej dosiadł.

Niedługo trwało, a był pod plebanią. Uwiązał klacz do kołka i wpadł na podwórze. Klaskał niecierpliwie, ale nikt nie wychodził, sam tedy wszedł do środka. Wiejska babina krzątała się po izbie i zobaczywszy czarnego od sady Wojdę, krzyknęła ze strachu, ale gdy zapytał: – Gdzie proboszcz?, ochłonęła zaraz.

Wskazała łoże w mrocznej głębi izby i na półleżącego starego księdza. Dwoma susami już przy nim Wojda był, już klękał, całował w niezbyt sprawną rękę i mówił, nie zważając na nastawiającą ucha niewiastę: – Powiedz, ojcze, gdzie ona jest? Dom spalony, wszystko zniszczone, jakby Tartary tamtędy przeszły. Matka mówi, że już jej nie zobaczę. Gdzie ona jest? Gdzie?! – potrząsał trzymaną dłonią i bezwiednie ścisnął ją nazbyt mocno.

Proboszcz usilnie chciał coś powiedzieć, ale tylko muczał lub bełkotał, jakby chciał wypluć to, co go dławi. Ale nie wypluł, za to łzy wypłynęły z oczu, usta zaś wykrzywiły się okropnie. Zniechęcony, sprawną ręką przyciągnął Wojdę za ubranie, po czym przytulił do siebie. Odepchnął i znów podjął próbę, aby wycisnąć z siebie słowa. Usta mu się wyprostowały, złożyły w jakieś słowo, starał się tłumaczyć i nawet był w tym przekonujący, lecz młodzieniec niczego nie pojmował. Wreszcie zmęczony starzec opadł na łoże, ciężko dysząc. Namacał krzyż leżący obok i uniósł lewą ręką, dotknął nim prawej i tak oburącz, niezdarnie, pobłogosławił klęczącego Wojdę.

– Paniczu Wojdo – odezwała się niewiasta – nie wiem, co się dzieje, ale skoro ksiądz was błogosławi to i ja przeciw Bogu nie będę postępować.

Wojda obrócił się do niej, ona, skoro już raz się odezwała, mówiła dalej: – Stara jestem, to i nie mam czego się bać. To wikary oskarżył waszą Anię, że czaruje, że złe uroki rzuca, że przez nią proboszcz się rozchorował. Wtórowali mu te Niemce, co tu się schronili na czas najazdu, bo widzieli ją czarującą i z Tartarami zgodę dogadującą, dzięki czemu ocalała wieś, w zamian jednak pokazała drogę na Wrocław. Wrócili dwa dni temu, w dziesięciu zbrojnych, z chmarą Niemców, co im Tartary spaliły wieś i pomęczyły rodziny. Żli, wściekli okropnie. Zakonnik, Niemiec, szwargotał z wikarym i zabrali ją do klatki na wozie. Niemce gadali, że po to, aby nie dotknęła ziemi, bo jej czary mają moc tylko wtedy, gdy ona ziemi

dotknie. Chcą ją wybadać w Ryczynie, potem osądzić za zadawanie się z diabłem. Wikary tam też pojechał, nic tu nawet nie zarządził, tak mu się śpieszyło. No i kościelni gdzieś zniknęli, że nasz proboszcz całkiem bez opieki został. Dobrze, że przyszedłam.

Wojda nie słuchał dalej. Poczł w głowie uderzenia, zobaczył rozbłyski. Złapał się za włosy i miał już zamiar drzeć je garściami, gdy usłyszał za plecami: – Tuj... Tuj...

Stary Proboszcz wskazywał nie palcem, lecz całą dłonią drzwi, po czym czynił dla niego znak krzyża i znów mówił: – Tuj, tuj!, i znak czynił krzyża. Wreszcie, jakby ostatnią rozpaczą, wychrypiął: – Athuj jo!

Wojda zrozumiał. Znaczyło to: ratuj ją!

O nic więcej nie pytał, ani na nic nie czekał. Pobiegł do kłaczy, bo teraz każda chwila była droga. Niecierpliwie klepnął napraszającego się pieszczoł żrebaka, odwiązał wodze, wskoczył na siodło i ruszył do gródka, bo musiał dowiedzieć się więcej.

Wjechał przez bramę takim pędem, że jedna kura nie zdążyła zbiec spod kopyt, a szkoda było, bo nioska. Psy się rozszczękały, on zeskoczył z konia i pobiegł prosto do matki. Stała pobladła przy dzieży z ciastem, ręce miała upačkane po łokcie. Chciała się uśmiechnąć, lecz jej to nie wyszło, bo o ile wcześniej, trwając w złości, miała pewność, że postąpiła słusznie, to teraz naszły ją wątpliwości.

– Chcę wiedzieć, czy przyłożyłaś do tego rękę! – Wojda krzyczał. – Chcę wiedzieć, czyś rozkazała spalić jej dom, a ją uwięzić i męczyć!

Bożena tę napaść próbowała odeprzeć po swojemu: – Jak śmiesz krzyczeć na matkę!

– Mów, bo i tak się dowiem! Chcę wiedzieć, czy dałaś ludzi, żeby ją uwięzili, czy wysłałaś kogoś do Ryczyna albo do wigbertowych Niemców, żeby w tym pomogli!

– Ja ci robię chleb, a ty tak się odwdzięczasz?

Wtedy stało się to, czego pani Bożena doświadczyła tylko raz od męża, gdy już miał jej serdecznie dosyć: Wojda obiema pięściami walnął w stół, aż dzieża z ciastem podskoczyła, i powiedział, zbliżając twarz do twarzy rodzicielki: – Jeśli włos jej z głowy spadnie, nie daruję ci tego!

Teraz nagle poznała w synu siebie samą, a nie tego pocziwinę Dobrosza.

– Nic ci nie zrobię, ale noga moja tu więcej nie postanie! – krzyczał nadal Wojda. – U Konrada Mazowieckiego miejsca jest dosyć, co roku to ogłaszają! Powiesz mi wreszcie, czy nie?!

Matka nie była z tych, co łatwo ustępują.

– Pochwalałam zamiary tych, co chcieli ją ukarać – powiedziała. – Było za co. Jeżeli kilka batów dostanie, to i dobrze. Ludzi do tego nie dałam, ani nie

chciałam, żeby spalili im chałupę.

– Wiesz, co jej zrobią? – wysyczał syn.

Nie odpowiadała, bo nie chciała wiedzieć. On to jednak pojmował, bo mówił dalej: – To ci powiem, co, bo już widziałem. Ogołą jej głowę tak, że płatami zedra z niej skórę, potem wyrwą paznokcie i połamią palce, no i uderzą młotami nad przegubami, żeby nie mogła nikomu zadać uroku układaniem rąk. Możliwe, że utną język, żeby nie mogła zadać uroku słowem. Wreszcie pokłują całą, żeby sprawdzić, gdzie ją diabli dotykali, i wiesz, gdzie będą kłuć najwięcej. Wywleką ją między pospólstwo, co ją obrzuci błotem i drwinami, a na koniec spalą żywym ogniem, żeby słyszeć, jak wyje.

Pani Bożenie martwiejącej ze słowa na słowo, bo w swoim umyśle, choć dziewczurze życzyła źle, to nie wyobrażała sobie niczego gorszego nad obicie pod pręgierzem, stanęły łzy w oczach.

Wojda dokończył z hukiem: – To właśnie zrobią, a tyś do tego się przyczyniła!

Wybiegł z domu do stajni, kazał przenieść siodło bojowe na klacz, a podróżne na podjezdka – kobyłka miała dźwigać jeszcze toboły z bronią i owies. Służebnej, jaka się napatoczyła, polecił przynieść chleba na trzy dni i mięsa, co załadował w torby. Jeszcze kazał spętać źrebaka, żeby nie pobiegł za klaczką. Ukłękął, wspierając dłonie na mieczu, przeżegnał się, podniósł miecz niczym krzyż i krzyknął w górę: – Boże, dopomóż!

Służba w milczeniu robiła swoje, a kto nie miał co robić, zwyczajnie zniknął, żeby być jak najdalej od szaleństwa panów.

Wojda wyjechał za wrota, wtenczas drogę zabiegł mu osiwiwały kusznik.

– Poczekaj, panie, na mnie! – krzyczał. – Zaraz dołączę!

Rozbity młodzieniec nie czekał. Pojechał na południe, w stronę ukrytego brodu, dosiadając podjezdka i wlekąc za sobą klacz opierającą się w tęsknocie za źrebkiem.

KAŻŃ I SĄD

Dziewczura nasza uwięziona

Jak smutny ptaszek siedzi w klatce

Odmawia jadła i napitku

Serce w niej ledwo się kołacze

Jeszcze nie zmarła lecz marzenia

Prawie już wszystkie ją odbiegły

Chciałaby śnić tak bez budzenia

Chciałaby pożyć dniem powszednim

Bo tam gdzie niewiele jest radości

To szczęsną jest ta krótka chwila

Kiedy nareszcie lzy nie goszczą

A uśmiech niemo się odzywa.

Kusznik dogonił Wojdę dopiero pod wieczór, bo raz, że żona i dzieci z płaczem nie dawały mu odjechać, dwa, że pani Bożena jeszcze go zatrzymała, aby sobie coś przemyśleć. Z przemyśleń wyszedł mały woreczek srebra, co miał w razie czego pomóc wyjść niespodzianie porywczemu Wojdzie z kłopotów, w jakie niechybnie się wplącze.

Zdawać by się mogło, że zrozpaczony, zakochany młodzian działa bezrozumnie i sam siebie wiedzie ku ostatecznemu zatraceniu, ale Wojda w tej swojej drodze mierzył siły na zamiary: kilka razy przystawał, poił konie, sprawdzał, czy ich coś nie uwiera, nawet się obmył, posilił i wciągnął na siebie pancerz. Tylko hełmu nie zakładał. Nie był pogrążony w jednostajnych myślach, bo na nieznacznym tętent za sobą zjechał w krzaki i dobył miecz. Gdy zobaczył kusznika, nie uśmiechnął się, ale krzyknął: – Bywaj!

Kusznik przejął od Wojdy wodze klaczy, sakwy, co w nadmiarze miał na własnym koniu, przerzucił na nią i ruszyli w drogę, nie tracąc czasu.

– Zabrali tylko Ankę – dzielił się tym, co usłyszał od żony w gródku. – Nie znaleźli Wisławy. Rozpytywali między ludźmi, ale nikt nie powiedział, gdzie ona jest. Młodą złapali w domu, bo chorzała... – Tu młodzieniec aż ruszył głową, co jego towarzysz zauważył kątem oka. Nie zmieniając tonu, mówił dalej: – ...wyrostki pobiegli za wozem na kilka stająń. Uwięzili ją, lecz nikt dziewczynie krzywdy nie robił. Tylko wikary mocno groził, niby mnich niemiecki też strasznie rugał, rękoma machał, jakby czary odczyniał. Pośród tych, co ją łapali, było dwóch zbiegów z bitwy, no i ten pasożyt Chwostek.

– Należy się mu mieczem przez łeb.

– Należy, bo od wyprawy wyłgał się boleścią, a potem przybrał sobie jako zarządcę młodszego syna kasztelana, tego dzieciucha, i zaczął łupić daninami całą kasztelanię.

– Ten niemiecki mnich to skąd?

– Diabli wiedzą. Znają go jeno Niemce.

– Kiedy ją pojмали?

– Przedwczoraj. Wóz mieli słaby, to nie wcześniej niż wczoraj na wieczór dotarli do Ryczyna.

– Jeszcze wczoraj byliśmy w koszmarze, widzieliśmy to samo – tymi słowy, na to, co powiedział kusznik, zagaił Wojda. – Może i to mi się śni? Może pomarliśmy albo zabili nas zniecka pod karczmą, a teraz, jak te zbłąkane dusze, przeżywamy pokutę?

– Też mi się zdaje, że otaczający nas teraz świat nie jest z tego świata, ale gdy żona prała mnie w pysk, bo szykowałem się do jazdy za tobą, bolało naprawdę. Jedno jadło mi smakowało, inne nie. Skaleczyłem się pod karczmą w palec i jeszcze się nie zagoiło. Te upiory nam się nie śniły, mimo to żyjemy. Ja osiwiąłem, o czym wszyscy mówią... Tak, to naprawdę się dzieje!

– Że też mi to się nie śni – westchnął Wojda i przyspieszył.

O nic już nie pytał, a i kusznik nic się nie odzywał.

Do Ryczyna zajechali późnym wieczorem.

Na podgrodziu nabitym ludźmi zatrzymały ich straże. Jeden był znajomym kusznika.

– Co tu tyle ludzi? – zapytał kusznik. – Co się dzieje?

– Mamy uchodźców przed Tartarami.

– Z Łużyc?

– Z jakich Łużyc! Tak tylko się zdawało, że Tartarowie tam poszli. Oni zaczęli się koło Otmuchowa i okazali niedawno. Podobno od Kłodzka po Opole cały świat gore. Aż stamtąd ludzie przyjechali z wodą.

– To macie zamieszanie.

– W dodatku wojsko krakowskie już stoi po tamtej stronie Odry, poza tym kręci się tu różnego hultajstwa. Dobrze, że rycerz Jakub zajechał, bo już rady nie można było dać temu.

– Podobno czarownicę do was przywieźli?

– Tak, i czarownicę mamy – wtrącił z uśmiechem drugi strażnik. – Tylko nikt teraz do niej głowy nie ma. Zawiesili ją, głupki, w klatce na drągach koło kościoła i każą pilnować. A czego tu pilnować? Zabiedzona, wychudzona. Baby poznały, że to młoda znachorka, ta od tej starej, co ponoć i rodzinę księcia leczyła. Zgłupiał ten świat.

– Ksiądz się zezłościł na tych, co ją przywieźli, bo mu tu ludzi straszą – dodał znajomy kusznika.

– Księżę przyjechał? – dopytał kusznik.

– Jutro ma stanąć z wojskiem. Będzie tych z Małopolski namawiał, żeby zostali, chociaż im nie pali się do czwartej kłęski. Do domu chcą, ale boją się iść.

– Takie z nich wojsko – zaśmiał się kusznik.

– Jak i nasze – rzucił ze złościwością strażnik.

Bramy grodu zawarto z zachodem słońca i nie pomogły prośby, zaklęcia czy nawet świecenie srebrnymi monetami. Tedy zniechęcony Wojda pokręcił się jeszcze w okolicy, wreszcie zostawił konie pod opieką kusznika, a sam poszedł na wały. Gdzieniedzie były stráže, w końcu znalazł miejsce, skąd do kościoła było już niedaleko. Przyłożył dłonie do ust i krzyknął z całej mocy: – Anucha! Anulu! Jestem na miejscu, jutro mnie zobaczysz! Wytrzymaj, a uwolnię cię! Anucha! Jestem tu!

Zaraz musiał skończyć z krzykami, bo stráže biegły po wale, nieco się potykając o broń i oślepiając wzajem pochodniami. Byli blisko, gdy on lekko zbiegł po stromiźnie wału, na ukos, i tyle go widzieli.

Za wałami podgrodzia znalazł kusznika pichącego przy ognisku strawę.

– Szkoda, że naszych jeszcze nie ma – usłyszał na powitanie. – Skrzyknęłoby się kilku rycerzy, giermków i by się wyrąbało twoją Annę. Nikt nie śmiałyby przeszkodzić. Co ty, panie, na to?

– Nie wiem, czy ona dożyje do dnia. Była słaba, gdy ją zabierali, nie wypuszczają z tej klatki nawet na chwilę. Ani w niej usiąść, ani się położyć, wszystko ugniata, boli. Na pewno okropnie drętwieje i marznie. Już lepiej byłoby, jakby ją do lochu wtrącili.

Kusznik pokręcił głową.

– To chyba by lepsze nie było. W lochu siedzą różni złoczyńcy, co przez lata niewiasty nie widzieli...

Na tym kusznik skończył swoje pomysły, bo Wojda tak na niego spojrział, że wolał niczego już nie powiedzieć. Odważył się dopiero za jakiś czas.

– Podjedz, panie, tego jadła. Wyborne nie jest, lecz musisz mieć siłę na jutro.

Kto wie, może nie tylko kraty trzeba będzie wyłamywać.

Wojda niechętnie wziął do ręki kawałek chleba i suszonego mięsa. Gryzł powoli, jakby z rozmysłem, ale znać było, że bierze nad nim górę wielkie zmęczenie. Popił miodem, a z każdym łykiem napitku odczuwał większą senność. Nie miał zamiaru spać, choć północ minęła. Usiadł przy ognisku, otulił się kożuchem i nasłuchując chrapania kusznika, zapłakał po cichu, patrząc na gorejące patyki, okrywające się pierzem popiołu. Omal wpadł w szloch, ale jakoś się opanował. Sam nie wiedział, kiedy zasnął.

Otworzył oczy, gdy słońce było już wysoko. W pierwszej chwili nie kojarzył, gdzie jest, aż nagle pojął i zerwał się na równe nogi. Gród i podgródzie już dawno się obudziły. Kusznik krzątał się przy koniach.

– Pochwalony! – przywitał Wojdę, ale ten nie odpowiedział, tylko znów, jak dzień i dwa wcześniej, złapał się za głowę, bo mu się zdawało, że zaraz pęknie.

– Słońce już wysoko, ja tu spałem, a ona tam! – krzyknął i zaraz zabrał się za zakładanie pancerza i przypasanie miecza.

– Spotkałem jednego z naszych, jechał do księcia – powiedział łagodnie i nieskładnie o kimś towarzysz pomagający w ubieraniu. – Poprosiłem, aby powtórzył Dobroszowi, że uwięzili Anię zielarkę jako czarownicę, że jesteś tu i chcesz jej pomóc. Skoro świt ruszył co koń wyskoczy z powrotem. Gdy tylko nasi tu będą, każdy stanie po twoje stronie, a rycerz Jakub jest już na zamku... Zaczekajmy trochę.

Wysłuchał Wojda kusznika w milczeniu, jakby wszystko pojął, wrzucił klaczy na grzbiet bojowe siodło – kusznik pomógł w siodłaniu; osiodłali jeszcze podjezdka – sam włożył czepiec, szłom i zapiął podpinkę. Wodze podjezdka zaczepił o siodło bojowe i dosiadł konia. Zbrojny w miękkie żelazo kolczugi, wyciągnął lewą rękę po nadgryzioną nieco ciosami trójkątną tarczę z namalowanymi rogami, z którego jeleni, biały na czerwonym półkolu, był cały, a turzy, czerwony na białym polu, przecięty ostrzem tartarskiej włóczni, nasunął ją na lewe przedramię, ujął wodze i pojechał do grodu. Kusznik miotał się chwilę, patrząc to na odjeżdżającego na pewną śmierć panicza, to na nieszczęsne obozowisko i przyglądających się ludzi, aż zobaczył znajomą twarz białego kościelnego z Zalesia.

– Ty tu, Pietrek? Jak to?! – krzyknął zdumiony.

– Przyszedłem za wikarym. Muszę o niego dbać.

– Popilnujesz dobytku?

– Pewnie że tak. Przecież wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

Osiodłali konia, kusznik nałożył na kaftan krótką kolczugę, przypasał miecz i sprawdził, czy topór wychodzi z imacza przy siodle. Wziął kuszę, bełty i pojechał za lekkomyślnym panem, co już docierał do podgródzia.

Wojda bez kłopotów przekroczył bramę i jął przedzierać się przez tłum

sprzedających i kupujących, zebrzących, a i chcących tylko schronienia za wałami grodu. Wojda krzyczał: – Przejdźcie dla gońca księcia Bolesława!, i ludzie ustępowali drogi. W ten oto sposób dość szybko dotarł do bramy grodu. Byli tam inni strażnicy niż w nocy, lecz dowodził nimi rycerz, który znał Wojdę, wpuścili go więc nie czyniąc żadnych przeszkód.

Nie tracąc ani chwili, z bijącym sercem, Wojda od razu skierował się pod kościół.

– Wojda! Do kasztelana miałeś jechać, nie do kościoła! – ktoś ze straży krzyknął i zaraz za nim ruszyli.

Pełniący obowiązki kasztelana rycerz Jakub rozmawiał właśnie pod kościołem z tamtejszym księdzem. Wojda zeskoczył z konia i padł przed nimi na kolana, gdy z tyłu już dobiegali strażnicy. Rycerz nieco zdziwiony, może nawet nieco wystraszony, zapytał Wojdę: – Skąd tu się wzięłaś? Zdobywać nas przyjechałaś, czy... – twarz rycerza zmierzchła i prawie krzyknął – ...Tartary następują?

– Nie, panie, przyszedłem ubłagać o życie tej niewiasty.

– Jakiej?

Wtedy Wojda podszedł do klatki. Trzy razy przelykał ślinę, aż powiedział drżącym głosem: – Tej!, i wskazał skuloną, niedużą postać w poszarpanej, zielonej sukni.

Głowa okryta zmierzwionymi, długimi włosami o barwie brązowej jak niedźwiedzie futro, ale połyskujących czerwono, się uniosła. Na Wojdę spojrzały niebieskie oczy, blade wargi drgnęły w nieznacznym uśmiechu. Po chwili spojrzenie przybrało jednak barwę szarą, a uśmiech znikł. Głowa opadła na ramię i tylko wyciągnięta dłoń zimnymi palcami dotknęła policzka Wojdy, który oparł głowę o drewnianą kratę klatki. Po chwili młody wojak podszedł do rycerza Jakuba.

– Wypuście ją – powiedział cicho.

– O czym mówisz, młodzieńcze? To czarownica. Zadawała się z szatanem – stwierdził ksiądz.

– Jaka z niej czarownica? Ziołami leczyła ludzi, bydło. Dbała o każdego. Zna się na ziołach jak mało kto – tłumaczył Wojda.

Rycerz Jakub powiedział na to: – Jeśliś praw, to odejdzie wolną. Nikt jej tu bez potrzeby więzić nie będzie.

– Ale po co ją tak okrutnie traktować?

– Kimże jesteś, że jej tak bronisz? – zapytał ksiądz.

Wojda nie odpowiedział księdzu, zwrócił się do swojego zwierzchnika: – Rycerzu Jakubie, spalili jej dom i cały dobytek. Jest poddaną mojego ojca. Znam ją od dziecka. Nie daj dłużej krzywdzić tej dziewczyny.

Rycerz się uśmiechnął.

– Ech, Wojda, Wojda. Aleś zapalczywy. Jeszcze ksiądz kanonik pomyśli, że i ciebie zaczarowała.

– Nikogo nie zaczarowała!

Ksiądz, uczony prezbiter katedry wrocławskiej, powiedział z powagą: – Licz się ze słowami, młodzieńcze. Gdybyś nie był rycerskiego rodu, kazałbym cię uwięzić. Myślisz, że pochopnie kogoś więzimy? Poważne zarzuty na niej spoczywają.

– Jakie? – zapytał beczelnie Wojda.

– Uwierz, że nic błahego. Odebranie zdrowia proboszczowi Zalesia, zadawanie się z nocnymi demonami po bagnach i lasach, przywoływanie diabłów, żeby szkodzili ludziom, latanie w czasie burzy i pomoc Tartarom. Chodzenie w stroju czarownicy, żeby rzucać uroki na każdego, kto na nią spojrzy. I próba uwiedzenia księdza z pomocą diabelską.

– A mnie wyleczyła... – rzekł Wojda naiwnie.

– Słyszeliśmy coś i o tym. Dobrze, że jesteś i chcesz o tym mówić. Będiesz świadczył, a sąd rozważy, co trzeba. Uwierz: jeśli jest niewinna zarzucanych czynów, trzeba będzie ją uwolnić. – Tu ksiądz, co z pełnym przekonaniem brał udział w uroczystym rzucaniu anatemy na dobroczyńcę Kościoła, starego księcia Henryka, uśmiechnął się tak szczerze, jak tylko potrafił.

W tej chwili odezwał się rycerz Jakub i powiedział to, co miał do powiedzenia: – Chodź, giermku Wojdo, bo sprawy od razu nie rozwikłasz, a na nas wojna czeka. Kto wie, czy Tartarów nie będziemy tu zaraz mieli.

Wtenczas ten drugi dodał: – Teraz nikt jej sądzić nie będzie, bo nie ma na to czasu. Poza tym za kilka dni wszystko będzie inaczej.

Wojda się wahał, w końcu zdobył się na odwagę.

– Przenieście ją w wygodniejsze miejsce, dajcie okrycie, jedzenie i picie. Wargi ma spierzchnięte, wyraźnie słabość ją ogarnęła.

– Niestety, ona nie chce przyjmować pokarmów. Ludzie jej się boją, bo jest niczym wściekła. Zrobimy jednak, jak sobie życzysz.

Ksiądz dał znak, aby młodzieniec odsunął się od klatki jeszcze dalej, a gdy to Wojda uczynił, otoczył go tłum.

– Czarownica! – lżyli ją, rzucali w nią błotem i łajnem. Przez tłum przedarło się kilku pachołków, wśród nich wypożyczony aż z Wrocławia kat w czerwonym kapturze. Wojda się szarpał, ale trzymało go tyle rąk, że nie był w stanie się ruszyć.

Pachołkowie wywlekli dziewczurę z klatki – nie stawiała oporu – i pośród ogłuszających okrzyków gawiedzi posadzili na wózku, łapali za włosy i przycinali je krótko nożycami do strzyżenia owiec. Skądś wziął się także ten niemiecki mnich, coś szwargotał i nieustannie czynił znaki krzyża, ale na odwrót, czego nikt prócz oniemiałego Wojdy nie zauważył.

Ścięli jej włosy, ręce wysoko przywiązali do boków wózka, tak że ledwie

stopami dotykała jego dna, i pociągnęli za dyszel. Straże rozbijały tłum, żeby mogli przejechać. Tak się złożyło, że minęli szarpiącego się młodziana, który jeszcze krzyknął: – Anucha!

Ona jakby nie słyszała.

Tłum się rozstał.

Ona nie rozumiała, co ją czeka.

Na placu, obłożony wiązkami chrustu, stał stos bierwion ze sterczącym z niego palem. Wózek tam się zatrzymał, jakby po to, żeby wreszcie pojęła, co ją czeka. Mnich krzyczał po niemiecku, żeby żałowała za grzechy, lecz ona na niego nie spojrzała.

Powieźli ją dalej.

Dopiero gdy zdjęli Anuchę z wózka i przenieśli na stos, gdy wiązali do pala, rozejrzała się po świecie i krzyknęła: – Wojda!, lecz krzyku tego nie było słychać przez zgiełk; pierwsze szeregi gapiów śmiały się z tej nedorzeczności, co ona głosiła. Już podkładali ogień pod stos... Już poszedł pierwszy dym...

I Wojda się obudził. I usiadł.

Zniknął stos. Było tylko ognisko, co nadsmażyło połę kozucha, dając smród palonego pierza. Wojda wzdrygnął się i odskoczył, pomyślał wszak, że to ścięte włosy dziewczury płoną. Ale i ona również zniknęła.

Zmartwiały ze zgryzoty po chwili zrozumiał, że miał koszmarny sen.

Wokół był tylko obóz wojskowy.

Ucieszył się, że upiorna karczma, co wkręciła się w piekło, kłótnia z matką, pojmanie dziewczury, były tylko snem...

Słońce stało wysoko. Gród i podgrodzie Ryczyna dawno się obudziły. Kusznik krzątał się przy koniach.

– Pochwalony! – przywitał Wojdę, ale ten nie odpowiedział nic, tylko znów, jak dzień i dwa wcześniej, złapał się za głowę, bo mu się zdawało, że zaraz pęknie. Przecież widział to wszystko tuż przed obudzeniem, już raz słyszał te słowa.

– Słońce już wysoko, ja tu spałem, a ona tam!

Ledwie to powiedział, rozpoznał słowa ze snu. To nie może się dzieć, pomyślał rozpaczliwie. Jeżeli już tyle wyśnił, musi coś się zmienić, bo przecież... Bo przecież... Chociaż chciał zmieniać, nieustannie rozpoznawał swoje czynności ze snu, dokonywane w przerażającej, bo takiej samej kolejności. Jak wtedy, zakładał pancerz, przypasywał miecz i jak wtedy towarzysz mu przy tym pomagał, mówiąc łagodnie i co słowo w słowo to samo, co Wojda już raz od niego usłyszał: – Spotkałem jednego z naszych, jechał do księcia. Poprosiłem go, aby powtórzył Dobroszowi, że uwięzili Anię zielarkę jako czarownicę, że jesteś tu i chcesz jej pomóc. Skoro świt ruszył co koń wyskoczy z powrotem. Kiedy tylko nasi tu będą, każdy stanie po twojej stronie, a rycerz Jakub jest już na zamku...

Wojda nie czekał, nie dosiadał konia. Spalona karczma i jej upiory, chory

proboszcz, kłótnia z matką i łażenie po wałach Ryczyna nie były snem. Śnił tylko o tym, że zdołał ujrzeć Anuchę jeszcze żywą. Złapał tarczę i bez hełmu pobiegł w jawę, do grodu, żeby wreszcie coś zmienić w przeżytych boleśnie koszmarze.

Biały kościelny patrzył ze łzami w oczach za oddalającym się Wojdą. Czarny kościelny powiedział wesoło: – Czego beczysz? Dobrze zrobiłeś, ot co.

– Oszukałem go. Pokazałem stos, a przecież osądzą ją nie wcześniej niż po najeździe.

– Ale ona może tego nie dożyć, pojmujesz, anielski głupcze? Masz tam coś między uszami, czy tylko wiarę w dobroć złych ludzi i łzy na zawołanie? Jeżeli wpadną na to, żeby ją wziąć na męki, co wtedy uczynisz? Rozplączesz się? Albo ten wikary o smakowitej duszyczce zechce wreszcie ją dostać. Co zrobisz? Nogę mu podstawisz? A tak troszeczkę temu młodzieńcowi wsączyłeś, co trzeba. To źle?

– Diabelskie sztuczki. Byłeś diabłem, jesteś i będziesz. Przywiodłeś mnie aż tu, żeby namówić do kłamstwa. Dlaczego nie pomogliśmy jej tam, w lesie? Czemuśmy zostawili chorego proboszcza?

– Oj tam... Będziesz teraz jęczał? Przynajmniej coś się dzieje – powiedział Czarny spryciarz i poszedł za Wojdą.

Anioł spojrział na obozowisko, gdzie bezradnie miotał się kusznik. Usłyszał wtedy słowa, co nocą sam je wlał do ucha śpiącego Wojdy.

– Ty tu, Pietrek? Jak to?! – krzyknął ze zdumienia kusznik.

– Przyszedłem za wikarym. Muszę o niego dbać.

– Popilnujesz dobytku?

– Pewnie że tak. Przecież wiem, że jesteś dobrym człowiekiem.

– To pomóż mi się zakrzętnąć.

Wspólnie osiodłali konia. Kusznik uzbroił się i pojechał za Wojdą, co już docierał do bramy podgrodzia.

Biały kościelny sprzątał obozowisko, gdy znów pojawił się jego piekielny towarzysz i powiedział: – Zostaw to i patrz, co będzie się działo. Oj, będzie się działo!

– Ale rozkradną...

– Nie rozkradną. Kłaśnij tylko, a nikt niczego nie ruszy, nawet jeśli ruszy, to zostanie w miejscu, póki po to nie wrócą.

Anioł, zwykle nieufny, tym razem ustąpił. Klasnął, lecz nic nie zniknęło. Diabeł się zaśmiał i już miał czynić wyrzuty, gdy sam klasnął, a wówczas pozostawiony dobytek Wojdy, łącznie z końmi, zniknął, jakby go tu nigdy nie było. Spojrzeli na siebie, Czarny z wyraźną kpina, Biały zaś ze skrajnym niezrozumieniem. Przy tym na tyle wyzbył się myślenia, że kiedy diabeł wyciągnął do niego prawicę, ujął ją jak przy powitaniu, i już obaj byli koło klatki z dziewczurą.

Właśnie nadchodził do niej Wojda.

Przybył – tak mu się zdawało – w samą porę, bo właśnie dwóch pachołków wyciągało Anuchę z klatki na polecenie księdza kanonika, co ulitował się nad nią i chciał ją przenieść w suchsze i cieplejsze miejsce, bo nie dawała już za wiele znaków życia. Nie była w zielonej sukni ze snu Wojdy, lecz w szarej, starej i poszarpanej.

Pachołkowie robili swoje.

Ciekawski tłum złożony w wielkiej mierze z uchodźców przed Tartarami, co potracili wszystko, z poduszczenia wikarego podniósł wrzask. Krzyczeli, żeby obciąć czarownicy włosy, bo w nich gnieździ się diabelstwo, siedzą złe duchy. Durny pachol wyciągnął nóż, chwycił garść czerwonych włosów przy skroni i uciął przy samej skórze. Wtedy dostał rękojęcią miecza w łeb i padł. Drugi, widząc szpic ostrza tuż przed oczami, nie czekał – szurnął w tłum niczym spłoszony zając.

Po raz wtóry wznosił się krzyk, lecz nikt nie śmiał podejść do uzbrojonego wojaka. Ten zaś wziął dziewczurę wpół, ściągnął z wózka i postawił obok siebie. Upadła. Odciągnął więc ją dalej. Leżała nieruchomo u stóp Wojdy, który przewrócił wózek na bok, żeby mieć więcej osłony, tym samym zasłonił ją przed widokiem zebranych. Oparł tarczę na wózku i się przeżegnał.

Ludzie ucichli.

Konni zbrojni przepychali się przez tłum, ludzie się rozstąpili, chociaż niechętnie. Jednym ze zbrojnych był kusznik, co podał swemu panu hełm, sam zaś stanął u jego boku. Szybko napiął kuszę i położył na niej bełt. Jeśli nawet ktoś dotychczas był odważny, teraz odwagę stracił ze szczerem. Wojda zdjął z końskiego grzbietu kozuch kusznika, rozwinął go, położył na nim Anuchę i okrył. Trzeba jej ciepłej strawy, pomyślał dziwnie spokojnie.

Wtedy zbrojni, dzięki którym przejechał kusznik, odzyskali głos.

– Kim jesteś i co czynisz? – zapytał jeden z nich i zaraz zagroził: – Uwolniłeś czarownicę. Odpowiesz za to.

– Kto pannę Annę jeszcze raz nazwie czarownicą, wiedźmą albo jakkolwiek jej ubliży, pozwę go na sąd boży! – odpowiedział Wojda.

Wszyscy ucichli, tylko zbrojny odezwał się do pozostałych: – Ujść stąd nie da rady. Nie będziemy z nim się szarpać. Zaraz przyjdzie rycerz Jakub, wtedy ten ptaszek inaczej zaśpiewa.

Inny zbrojny jednak nie za bardzo chciał czekać i odezwał się do Wojdy z pogrozkami: – Zobaczysz, młokosie, topora nie unikniesz. A ty – obrócił się do kusznika – zawiśniesz na powrozie.

Wojda nie odpowiedział na zaczepki, lecz kusznik nie był dłużny: – Nie odzywaj się, kozi bobku, do lepszych od siebie. Nie miałeś prawa ludzi porywać i chałupy im palić. Sam za to zawiśniesz.

– Łzesz jak pies. Odszczekasz wszystko – burzył się zbrojny.

– To mi dopiero sędzia się znalazł – kpiącym tonem odparł kusznik. – Kara za rozbój ci grozi, łotrze! Za porwanie, za kradzież i podpalenie. I to w czasie wojny z Tartarami.

Szum śmiechu przeszedł przez gawieź, bo niecierpliwy zbrojny, co już chciałby ścinać głowy i wieszać, wyraźnie się zmieszał na słowa kusznika, który widząc to, krzyczał: – Tak, dobrzy ludzie, tenże Chwostek uczynił najazd na włości mojego pana pod pozorem szukania szpiegów tartarskich. Spalił dom tej niewiasty, a żeby ujść karze, oskarża ją o czary. Widzicie, z kim walczy? Na wojnę nie poszedł, bo woli miecz podnosić na baby. To myśmy walczyli pod Legnicą, on po wsiach kokosze obmacywał i pod kiecki dziewczuchom zaglądał.

Ludzie się śmiali. Ich uwaga przeszła od dziewczury na zbrojnych, co w istocie znani byli z różnych uciążliwości, słyszano także, że i niegodziwości się dopuszczali.

Tak jakoś zebrani popatrzyli na zbrojnych, że ci poczuli się nieswojo.

Kusznik, dzielny człek, lecz na ogół milkliwy, sam sobie się dziwił, że gładko gada. Po prawdzie nie powinien się dziwić, niedaleko stał bowiem Czarny kościelny, urodzony podpowiadacz, który zresztą zaraz wyszedł z kręgu ciekawskich i stanął u boku obrońców więdmy. Podobnie zrobił Biały kościelny, chociaż – żeby tak uczynić – musiał przeżegnać się ze trzy razy, a i tak poszedł z westchnieniem. Zerkał wciąż w niebo, czy piorun w niego nie strzeli, a gdy już przestał patrzeć w niebo, jego spojrzenie spotkało spojrzenie kusznika. Tamten wprawdzie nie rozwarł ust, lecz Pietrek rozwiął wątpliwości uczenie i skwapliwie, a przy tym niezmiernie poważnie: – Nie martw się o wasz powierzony mi dobytek. Nikt go nie ruszy.

Skupiony na spodziewanym natarciu Wojda nie słuchał tego, ale widząc kościelnych rzekł: – Mam nadzieję, że chcecie pomóc, a nie zdradzić.

– Paniczu Wojdo, my tu nie przyszliliśmy za wikarym, lecz za panną Anną – nieco bezczelnie, jak to on, odrzekł Czarny. – Chcemy pomóc, bo jest niewinna.

– Nie mam dla was broni.

– Poradzimy sobie, prawda, prześliczny aniele? – odezwał się do Białego.

Ten, jakby nie słyszał żartu, odpowiedział: – Prawda.

– Nawet nagrody nie mogę wam obiecać – zafrasował się Wojda – bo nie wiem, jak to się skończy. Jedno mogę powiedzieć: dobrzy z was ludzie. Takich nie co dzień się spotyka.

Gdyby Wojda uważniej im się przyglądał, dostrzegłby, że po jego słowach nastąpiła w kościelnych wyraźna zmiana. Czarny jakby bardziej ściemniał, a Biały jeszcze pojaśniał. Popatrzyli po sobie i zrozumieli, że czas czynienia przez nich na ziemi psot i niezręczności dobiega końca.

– Już nas wynagrodziłeś – powiedział anioł. – Nie mogłeś lepiej.

– Mógłby. Wystarczy, żeby jeszcze raz to powtórzył – wyszeptał Czarny.

– Nie naciągaj go, to i tak nic by nie dało – odszepnął poważnie Biały.

Może w takiej chwili nawet by się pokłócili, jak to mieli w zwyczaju robić co najmniej trzy razy na dzień, gdyby nie to, że korzystając z zamieszania, przekradła się do nich niewiasta okutana chustą i obwieszona torbami. Po odrzuceniu tobołków i zdjęciu chusty okazała się Wisława, co bez powitań, podziękowań czy wzruszeń, zajęła się dziewczurą. Nachyliła się nad nią, przyłożyła do niej dłonie i powiedziała do kościelnych: – Pomóżcie. Trzeba ją nacierać, jak najszybciej rozgrzać. Weźcie się za stopy.

Dziwnie im się zrobiło, bo jeszcze byli w ludzkiej władzy, ale co było czynić: każdy z nich wziął wtedy między dłonie małą, ludzką, brudną stopę i tarł.

Tymczasem pośród zebranych zaszły następne zmiany. Podjechało kilku rycerzy – poznano po znakach, że z ziemi krakowskiej. Kogo jak kogo, ale Wojdę wszędzie by rozpoznali. Zaczęli dopytywać, co się dzieje, a gdy już się dowiedzieli, co prawda nie stanęli po stronie młodzieńca z Zalesia, ale całą sprawę jeden z nich nazwał tymi słowy: – Ech ty, Wojdo, poczciwy z ciebie człek, lecz dokądkolwiek się ruszysz, masz z niewiastami same kłopoty. Jeśli nie z naszą, to z tutejszą.

Te proste zdania ostatecznie rozbiły złe nastroje pośród gapiów. Teraz już nie było mowy o nienawiści do czarownicy, bo cała sprawa wydawała się śmieszna.

Nachmurzony Wojda na te zaczepki nie odpowiedział, nie miał zresztą na to czasu. Za chwilę bowiem nadjechał rycerz Jakub, co miał tyle spraw na głowie, że nie bawił się w żadne dochodzenia.

– Co ty młodzieńcze wyprawiasz? – zapytał ostro. – Bawisz się w odbijanie kościelnych więźniów?

Pytanie wsparł milczącą powagą ksiądz kanonik, co właśnie nadszedł w towarzystwie kilku innych duchownych o posepnych twarzach. Między nimi uwijał się Przemko, wikary z Zalesia, trzymający w ręku już pokruszony wieniec z uschniętego piołunu, czyli kilka łodyg.

Wojda milczał, bo na dobre się zaciął.

– Wyłaż stamtąd i mów, skoro cię pytam! – wrzasnął niecierpliwy rycerz. – A ty odstaw kuszę, bo jeszcze kogoś zranisz.

– Nie wyjdę. niesprawiedliwość się dzieje.

– Jaka niesprawiedliwość? – niecierpliwie zapytał Jakub.

Wojda postąpił ku niemu o krok.

– Ogłosić chcę, że tę tu niewiastę Annę, poddaną mego ojca, pojmano bez jego zgody – powiedział. – To narusza prawo, rycerz jest wszak sędzią dla swoich poddanych. Porwania dokonano na ziemi mego ojca. Ją uwięziono i gorzej niż pies siedziała w klatce na słońce dzień i noc, bez okrycia, bez jadła i napitku. Uczyniono tak z kłamliwych oskarżeń tu przytomnego Przemka z Pogorzeli, co

w Zalesiu uchodził za wikarego, który krzywdy od nikogo nie doznał, za to śmiało oskarża i kłamie. Uwięzienia dokonali woj Chwostek, co kłamstwem uniknął wyprawy zbrojnej pod Legnicę, i dwóch zbiegów z wojska księcia Henryka. Ich imion nie znam, ale tu są. Aby doprowadzić niecne czyny do końca, zbałamucili młodego kasztelanica, i klnę się raz jeszcze na imię Boże, że nie ustąpię, póki Anna nie będzie uwolniona z zarzutów. Kto zaś twierdzi, że dopuściła się niecnych czynów, że czyniła coś na ludzką zgubę czy rozpustnie się zachowała, ten łotr, łajdak i kłamliwy pies. Takiego pozywam w tej chwili na sąd boży, jak to nakazywały prawa naszych przodków. Nie pozwolę, żeby niewinną niewiastę spalić, jak to mają Niemcy w zwyczaju.

– Przecież wszyscy wiedzą, że i ciebie zaczarowała! – wikary Przemko krzyknął odważnie. – Zadzurzyłeś się w niej, nieszczęśniku, i tak trwasz w tym grzechu. Ale to nie twoja wina, tylko jej.

Stara Wisława powiedziała coś Wojdzie na ucho, ten przytaknął, po czym krzyknął: – Wyjdź tu, to się okaże, czyja wina! Ty, niegodziwcze, uganiałeś się za dziewczuchami po opłotkach, potem ją chciałeś zniewolić siłą, tylko się nie dała, a teraz na nią chcesz winę zrzucić, żeby swoje postęпки osłonić. Wszyscy wiedzą, żeś wył jak pies w chlewiku między świniami. Wyjdź tu, tchórze!

– Sami widzicie, że ten człek jest szalony. – Wikary nie tracił pewności siebie. – Jak to łatwo obrzucić złymi słowy osobę duchowną, co bronić się sama nie może. Jego chroni pancerz, a mnie tylko ta szata duchowna. On ma żelazny miecz, a ja różaniec z drewnianych paciorków. Temu taki pewny siebie. – Skończywszy, potoczył wzrokiem po otoczeniu. Niektórzy ze smutkiem potakiwali, inni się uśmiechali, bo cała sprawa zaczynała wyglądać niezmiernie zabawnie.

Tłum gęstniał coraz bardziej, ludzie wyciągali głowy, dopytywali i uciszali się nawzajem. Ksiądz kanonik i kasztelan Jakub patrzyli uważnie na usta wikarego, ten zaś z bezdenną troską w głosie, nie zerkając nawet w stronę Wojdy, ale wiadomo było, o kim mówi, tokował: – Żal mi go. I wybaczam te potwarze. Nieszczęsny człek, nieszczęsny. Nie dość, że młoda czarownica go omamiła, to jeszcze i starej słucha. – Obrócił się do zebranych i podniósł wskazujący palec i głos. – A powinno się obie zbadać, jak niezmiernie szkodzą otoczeniu. Mój biedny proboszcz leży w boleści rażony niemocą, z odjętą mową, z twarzą strasznie wykrzywioną, tylko biedak może patrzeć bezradnie, a one go tylko w nią głębiej wpędzały. Ile to nieszczęścia Tartarowie wszędzie zrobili, choćby i tu, pół podgrodzia spalone, wszystkie wsie wypalone do cna, a ta sobie z nimi gadała przez Odrę. Tam pójdźcie, tam pójdźcie!, mówiła tak i oni poszli na Wrocław.

W tłumie powstał cichy, acz wrogi pomruk. Wojda nie ustępował.

– Wiedz, kłamco – krzyknął – że stary proboszcz powstał wczoraj z łoża, pobłogosławił mi i powiedział, żebym ją ratował. On zadał tobie kłam...

– W rozpaczy bredzi... – Przemko obrócił się wokół własnej osi, szukając wśród tłumu poklasku.

– ...powiedz wszystkim, skąd masz tą pręgę na gębie? Jeżeli nie powiesz, to ja powiem. Anna ją uczyniła pochawką od noża, gdy ją ganiałeś po lesie, lubieżniku!

Wikary się stropił na to i opuścił głowę. Po chwili ją uniósł, a jego słowa zabrzmiały wiarygodnie: – Bredzi albo kłamie.

– Daj dowód! – Wojda odparł. – Weź w rękę jakie żelazo, a jeśli nie, to drąg. Ja cię obję samym tylko kijem. A gdybyś i tak nie chciał, to na gołe pięści. Jeżeli i to nierównym ci się wydaje, stanę w dołku, a ty biegaj wkoło mnie. Niech będzie jak na sądzie bożym. Ja nie kłamie.

– Nie godzi się osobie duchownej potykać na takich warunkach, ani w żaden sposób używać siły...

Wtedy odezwał się Czarny kościelny, a przyznać trzeba, że mowę miał prawie uczoną: – Dostojni panowie, prawdą jest, że nie godzi się duchownemu walczyć przeciw chrześcijanom, ale... – tu zawiesił głos – ...ale panicz Przemko z Pogorzeli herbu Grzymała duchownym nie jest. Nie ma święceń kapłańskich, bo go wyrzucono ze scholi za nieobyczajne zachowanie. Zachował co prawda suknie, ale ledwie został klerykiem, którym przestał już być. Do diakona mu daleko...

– Łże, łże! – wikary stracił cały wysiłony spokój.

– ...tedy nikt go nie wyświęcił... – urodzony łgarz nie miał zamiaru przestać mówić prawdy – ...nikt nie dał prawa odprawiania mszy, zresztą ani słowa po łacinie nie pojmuje, tylko klepie, co mu ślina na język przyniesie. Jego ojciec wysłał syna do Zalesia, żeby w stanie duchownym się uchował, bo do rycerskiego się nie nadaje, zawsze zmyka do nory, jak królik. Nasz proboszcz niczego się nie domyśli, bo jest dobrotliwym starowinką. Po tygodniach, miesiącach, latach wszyscy mieliby się przyzwyczaić, że jest księdzem, dzięki czemu uniknie tych, co chcieliby dochodzić praw za pohańbioną córkę, co już pół roku temu powiła jego dziecię płci żeńskiej. Ot i wszystko.

Zrobiło się cicho. Impostor rozglądał się po wpatrzonych w niego twarzach, mówiąc do najmożniejszych coś, co miałyby pomóc wyjść suchym z wody, ale tylko pogrążało, bo mu głos drżał: – Chyba nie uwierzycie temu pachółkowi? Słudze nie wolno mówić przeciw panu, zwłaszcza kłamać.

Czarny kościelny bezlitośnie rzekł: – My nie do oszusta najmowaliśmy się na służbę, lecz do prawdziwego proboszcza. Mój małomówny towarzysz może to potwierdzić. No, potwierdź – zwrócił się z pełną powagą do Białego.

Ten zaś, patrzący z obrzydzeniem na wikarego, powiedział: – Potwierdzam. Najęliśmy się do służby staremu proboszczowi. Wyłącznie jemu. Jesteśmy wszak ludźmi wolnymi.

– Dzięki ci mój niewymowny bracie, żeś raz na tydzień powiedział coś

ponad pięć słów – ku chichotom zebranych powiedział Czarny.

Biały spiorunował go za to, ale tylko wzrokiem. Wszystko to razem uczyniło, że nastawienie tłumu już nie mogło być wrogie względem dziewczury. Ludzie mieli teraz inną rozrywkę, bo sporo pośród nich, co przybieżeli z daleka w ucieczce przed srogością Tartarów, tak się złożyło – było poddanymi panów z Pogorzeli herbu Grzymała i łagodnie rzecz ujmując, niezbyt za nimi przepadało.

Przemko nie poddawał się jednak.

– To nie sąd! – krzyknął, a znów mu pewność głosu wróciła. – Słowa prostaków nie mogą świadczyć przeciw człękowi rycerskiego rodu. To bezczelność.

Krzyczał, mniej więcej będąc w zgodzie z prawem, ale nie prawo teraz się liczyło, a prawość. Uwaga zebranych skupiła się na nim, na głównym oskarżycielu, co zmienił się w głównego kłamcę. W związku z tym nawet ci, co nie chcieli mieć jego krewnych po stronie wrogów, nie bardzo wiedzieli, jak pomóc.

Czarny, gdy już raz zaczął mówić, to mu jadaczka się nie zamykała. Wystąpił nieco naprzód i krzyczał do tłumu: – Mówi, że to nie sąd. Ależ jest, jak najbardziej jest. To sąd boży. Może na niego przecież się zgodzić, wystąpić przed tym sądem, udowodnić, że nie jest kłamcą ani tchórzem. I nawet jeśli jest słabszy, w co należy wątpić, bo zre za dwóch, to Pan Bóg... – tu po raz pierwszy w jestestwie Czarny wypowiedział słowa dlań niewymowne, aż na chwilę zamilkł i się uśmiechnął – ...osłoni go przed razami, a jego ramię wspomóż. Oszczerstwa rzucał przeciw pobożnej Annie i dom jej spalił, to teraz nie ma innego wyjścia, musi stanąć do walki jak równy z równym. Nasz pan, Wojda z Zalesia herbu Rogala, czeka. – Czarny odsunął się na bok, ukazując Wojdę w postawie bojowej, w błyszczącej w słońcu kolczudze, co zdawała się wprost żywym srebrem, w połyskliwym hełmie, z obnażonym mieczem w dłoni rzucającym groźne blaski; jeden z nich zaświecił w ślepiu samozwańczego wikarego, wokół którego zrobiło się już pusto.

Przemko miotałby się całym ciałem, ale miał w sobie tyle opanowania, że nawet nie drgnął, oczy mu jeno się rozbiegały. Nie śmiał spojrzeć na Wojdę. Obrócił się do kanonika i dopiero gdy zobaczył jego surowy wzrok, stracił panowanie nad sobą, chociaż stojąc już na drodze ku rozpacy, próbował jeszcze się ratować.

– Jego matka wsparła moje oskarżenie! – powiedział to, o czym zapomniał na początku powiedzieć. – Sama mówiła, że tamta zaczarowała syna.

Cały czas nieruchomy, przyglądający się wikaremu kanonik teraz najchętniej odszedłby z tego miejsca, żeby nie trwać w uchybiającym godności położeniu, ale zwarty tłum to uniemożliwiał. „Rycerski syn” zaś zmieniony w lizusa już padał przed nim na kolana, czym niechcący potwierdził wszelkie oskarżenia. Podniosły się śmiechy. Kanonik nie wytrzymał i odciął się od podleca, chlastając go dłonią

w twarz.

– Ty głupcze – rzekł.

Przemko, co w jednej chwili z wikarego stał się przebierańcem, trwał w ugięciu i patrzył z ukosa na twarze pełne drwiny. Nikt nad nim się nie litował. W dodatku doszedł go głos starej, co mówiła do oprzytomniałej, drżącej od chłodu Anuchy: – Unieś się trochę. Wojda będzie się bił za ciebie.

– Po co? – zapytała dziewczura.

Na te słowa Przemko odskoczył w tył, lecz ucieczki już nie było. Był bowiem przy nim Czarny, który pociągnął nosem, wykręcił go zabawnie, trzymając w palcach, pomachał ręką z obrzydzeniem i powiedział: – Zesrał się. Najprawdziwszy tchórz. Tedy sprawa jest osądzona.

Wybuchł śmiech. Były pan życia i śmierci Anuchy stał zafajdany pośród gawiedzi i już nie władał sobą. Jeden rycerz Jakub zachował przytomność umysłu i postanowił uratować to, co się da. Ani pojedynek nie był potrzebny, ani męki dziewczyny czy konieczność karania Wojdy. Najmniej ze wszystkiego chciał gniewu panów z Pogorzeli, zwłaszcza Mrocza, tego najchytrzejszego w kraju. Krzyknął więc: – Cisza! – Ludzie ucichli, wtenczas odezwał się do zasrańca: – Jeżeli jesteś gotów wystąpić jak prawdziwy mąż, tedy weź żelazo od tego głupka Chwostka i stawaj w tej chwili do walki. A jeśli nie, zmykaj stąd, pókim dobry. I to już: tak albo tak.

Przemko stał, jakby nic nie słyszał, tedy rycerz krzyknął mu prosto do ucha: – No, ruszaj się!

Ten, co mienił się rycerskim synem, powoli, powoluśku wówczas się obrócił i patrzył w dół na własne stopy, jakby czegoś szukał. Do tego doszło nowe przerażenie – obydwie dłonie, nie wiedzieć kiedy, pokrył rój brodawek. Popatrzył w przestkach na nie i tak na nie patrząc, ruszył przed siebie. Ludzie ustępowali mu z drogi, nie wiedząc, co będzie, a szedł coraz szybciej, coraz szybciej, aż wreszcie biegł. Było cicho, łatwo dogonił go więc drwiący głos Czarnego: – Do Odry w prawo, rycerski synu, w prawo.

Oprócz tych słów dopadła go ściana śmiechu, mająca taką moc, że go obaliła, a gdy znów się zebrał, pobiegł w stronę rzeki.

– No, to koniec przedstawienia! – zadowolony z obrotu spraw rycerz Jakub powiedział z ulgą. – Wojda, możesz schować miecz. Gdybyś dochodził szkód w majątności i na swoich ludziach, tych stawię przed księżęcym sądem – pokazał w stronę Chwostka i jego pomocników, co radziby zapaść się pod ziemię – chyba że zechcą od razu wynagrodzić krzywdy.

– A co z Anną? – zapytał Wojda.

Rycerz Jakub spojrzawszy pytająco, a z mocą na księdza kanonika, ten zaś zamknął oczy, przytaknął nieznacznie i troszeczkę się uśmiechnął, raczej skrzywił całkiem kwaśno: – Jest wolna.

– Chwała Bogu – powiedział Wojda.

I już zaczęli się cieszyć, gdy niewieści głos powiedział: – Nie szafujcie tak hojnie wolnością. To czarownica. I ta stara też jest czarownicą. Obydwie szkodzą ludziom, jak tylko potrafią.

JASKÓLCZE ZIELE DOBRE JEST NA ROBAKI I NA BRODAWKI.

Jeśli idzie o brodawki, znajdź jaskólcze ziele. Poznasz je po tym, że ma barwę bardzo jasnozieloną, jakby trochę srebra ktoś do liści dodał albo nieco okrywał je kurz. Łodyżki są włochate, te włoski nie kłują ani nie parzą. Kwiat jest żółty. Ziele łatwo odrywa się od korzenia, wtedy widać sok, zrazu jasny, za chwilę ciemnożółty, co szybko robi się brązowym. Nie trzeba całego zrywać, wystarczy łodyżka. Zerwij łodyżkę tego ziela i do brodawek dotykaj miejscem, co z niego wypływa sok. Dotknij wszystkich, nawet najmniejszych. Może być, że sok się skończy, wtedy przerywasz łodyżkę gdzie indziej, a jeszcze sok z niej wypłynie. Żółte ślady zrobią się brązowe, potem czarne, ale to nic nie szkodzi. Trzeba je odnawiać dwa razy na dzień, przez trzy dni, potem odczekać, żeby brodawki same znikły. Jeśli nie znikną, znów posmaruj je sokiem z jaskólczego ziela. Tylko uważaj, żeby całych rąk – zwłaszcza twarzy – nie powalać, bo można się poparzyć.

KSIĘGA PIĄTA

CUDA

Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd dochodził głos. Należał do niewiasty przecudnej urody, do wojewodzianki krakowskiej Gertrudy pogrążonej w podwójnej żałobie: po ojcu Włodzimierzu i stryju Sulisławie. Już samo to spowodowało, że trzeba było uważnie jej słuchać.

POTWARZ

Boży orzeknąć musi sąd

O tym co ludzie zawinili

Tylko odwagę trzeba mieć

By już nie zwlekać ani chwili

Ileż nadziei po rozpacz

Wiedzą to tylko ci co cudem

Wyrwali się z nieszczęścia paszczy

Lub wyszli z trwogi własnym trudem.

Odchodzący już kanonik wrocławski zatrzymał się jeszcze i nadstawił ucha.

Rycerz Jakub zapytał: – Ty, pani, skąd o tym możesz wiedzieć? Przecie ani jej wcześniej nie widziałas, ani o niej nigdy nie słyszałaś.

– Widziałam. Na kilka dni przed wielką bitwą, gdy płynęłam z Opola do Wrocławia, zatrzymałam się we wsi Zalesie. Zachorzałam tam i wezwali te dwie,

żeby mi pomogły. Mało mnie nie przyprawiły o śmierć – powiedziała, a łzy stanęły w jej oczach na zawołanie.

– Czym ci zagroziły, dziewczeczko? – zapytał ksiądz kanonik z wyraźnym współczuciem.

– Uwarzyły coś, od czego poty na mnie były, nie mogłam tchu złapać. Chyba chodziło im o moje srebro, co je miałam pod wezglowiem. Widziałam, że ta młodsza zezowała na moją sakiewkę. Upiłam tego zaledwie łyk, resztę wylałam do misy z wodą, gdy się odwróciły, a i tak mało nie umarłam – powiedziała, rozplakawszy się na dobre. Otarła łezkę czy drugą, żeby wywód zdawał się idący prosto z serca: – Najgorsze, że się namawiały, jak to po wojnie będą bogate, bo wiele niewiast będzie chciało spędzać płody, a one to zrobią za opłatami w srebrze. Myślały, że śpię, a ja nie spałam, słyszałam każde słowo.

Ani Wisława, ani Anucha nie przypuszczały, że kiedykolwiek będą miały do czynienia z taką suką. Anucha ledwie stała na nogach, ale powiedziała na tyle głośno, że było słyhać: – Nieprawda! Właśnie tego odmówiłam – po czym łzy stanęły jej w oczach i zaniemówiła.

I znów zapadła cisza, gapie ostro patrzyli w stronę wieżm. Rycerz Jakub znów próbował ratować, co się da.

– Pani, czy wiesz, o co oskarżasz? – zapytał surowym tonem. – Czy wiesz, co to znaczy? Jeśli ci to się śniło, możesz niechcący przyprawić o śmierć niewinnych ludzi.

Do mówiącego to rycerza nieco przybliżył się Biały kościelny i chyba dzięki temu Jakub miał co powiedzieć jeszcze, bo ciągnął: – Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz? Czekalaś trzy tygodnie, żeby ci się przypomniało? Przecie byłaś wtedy w domu księdza. Mogłaś jemu powiedzieć.

Gdy Jakub napomknął o księdzu z Zalesia, wojewodzianka nagle jakby zbystrzała. Skąd on o tym wie?, taka oto myśl zakotłowała w jej głowie. On zresztą zdziwił się sam sobie, że powiedział coś, o czym nie wiedział.

Nim na dobre się zdziwił, sprytna Gertrudka odparła: – Bo wtedy mi się zdawało, że śnię, ale teraz mam pewność, że tak było.

Biały spojrział na Czarnego, ten, gdyby tylko mógł, popukałby się w czoło. Uśmiechnął się bez okazania choćby najmniejszej radości i pokiwał powoli głową, co miało oznaczać: Ty durniu! Teraz dopiero obudziłeś podejrzenia.

Gdy Gertruda się odezwała, Wojda odwrócił głowę, ale kiedy rozmowa dobiegła końca, wyprostował się i na nią spojrział. Czego by nie mówić, wyglądała pięknie. Dobrze znosiła wojenne trudy, ciemna suknia dodawała jeszcze uroku jasnej twarzyczce i wielkim, niebieskim oczom czarno obrzeżonym rzęsami i brwiami. Jasne włosy wymykały się z uczesania, tworząc świetlistą aureolę wokół głowy. Można było w niej znów się zakochać i może tego oczekiwała, bo – jak jej się zdawało – Wojda patrzył zachłannie. Przemówiwszy, okazało się, że nie miłość

miał na myśli.

– Jesteś, pani, najgorszą z niewiast, jakie znam. Twoja złość dorównuje urodzie. Jesienią, z twojego poduszczenia, omal mnie zabił twój zalotnik. Nawet nie przyszedłeś sprawdzić, czy żyję, a miesiąc leżałem u norbertanek. Miesiąc! Czy ty stale musisz zatruwać komuś życie i wszystko psuć?

Jeśli Gertruda nie mogła zapłakać, uśmiechała się, nawet w złości, i teraz, gdy mówiła, taki właśnie uśmiech przywarł do jej ust: – To i ciebie z czarowała? – chciała jeszcze coś dodać, żeby jeszcze bardziej zeźlić Wojdę, ale niechący spojrziała w bok, a tam jarzyło się dwoje stalowych oczu dziewczury wpatrzonych nienawistnie prosto w nią. Nie zezowały nawet troszeczkę, a choć jasne, w czarnych źrenicach wyraźnych, jakby w nich Gertruda się przeglądała, dało się dostrzec głębię szaleństwa wół i brzeziń, które Anucha знаła. Wojewodzianka z trudem oderwała się od tego widoku. I nie powiedziała już nic.

Wojda pojął, co się dzieje, bo podła wojewodzianka nie dość, że umilkła, to nie patrzyła już ani na niego, ani na Anuchę. Postanowił obalić jej oskarżenie. Powiedział więc ponownie, patrząc na Gertrudę: – Pozywam na sąd boży każdego kto mówi, że Anna jest czarownicą, że czyni zło.

– Mnie pozywasz? – wojewodzianka odzyskała głos. – Niewiastę? Jesteś śmieszny.

Na to Wojda odparł bardzo mądrze: – Nie musisz walczyć. Możesz złapać w rękę rozpalone żelazo, jeśli ręka się zagoi, jesteś prawa. Chyba że ktoś za ciebie nadstawi głowę.

Wokół zebrało się już sporo wojaków, ale po wyzwaniu Wojdy zrobiło się cicho. Ciszę przerwał przysłuchujący się ich rozmowie nowy wojewoda krakowski Klemens z Ruszczy.

– Panno Gertrudo, za dwa dni przekroczymy granicę księstwa – zwrócił się do wojewodzianki. – Daruj to, co ci inni zawinili na tej ziemi. Przecież ocaleliśmy dzięki nim.

Wojewodzianka się zachnęła, po czym zakpiła z dostojnika: – Ależ tu nie o moje krzywdy chodzi, lecz o setki niewiast, o setki dzieciątek. Nie możemy omijać prawa tylko dlatego, że jesteśmy w gościnie.

Klemens z Ruszczy stracił cierpliwość i rzekł ostro: – Panno! Już dość za twoją sprawą zatargów było. Racz teraz milczeć i odejść.

Ostatnim słowom dostojnika towarzyszył potakujący pomruk krakowskich rycerzy. I może stałoby się tak, jak życzyli sobie ludzie rozsądni, ale odezwał się głos po stronie wojewodzianki. Pakosław z Przemankowa herbu Półkozic, wróg Wojdy, powiedział zaczepnie: – Ja też powiem, że tamta jest czarownicą. Tylko nie przystoi mi się bić z tym giermkim, bo jestem rycerzem. Czy ktoś zastąpi tego tu oto giermka?

Klemens z Ruszczy aż zgrzytnął zębami ze złości i prawie zawarczał na

rycerza: – Chyba nie robisz tego ze swoich tylko niechęci? Po co ci obrażać dzielnego człowieka?

– Bronię naszej pani.

– Chyba tylko swojej – rzucił któryś z krakowskich rycerzy i zapadło milczenie.

Pakosławowi zrobiło się trochę głupio. Gertrudka zaś, nieco spłoszona, zerkąca to tu, to tam, szukała poparcia wśród znajomych z małopolskiej ziemi, ale oni albo patrzyli na nią ponuro, spode łba, albo odwracali głowy. Po trosze zmierzało to do rozmycia całego zamieszania. Rycerstwo szemrało, pojawiły się okrzyki, że na Tartary lepiej ruszać, niż tu się kłócić. Na to właśnie nadjechał książę Bolesław.

Pan ziemi śląskiej kazał sobie wyjaśnić, z czego to całe zbiegowisko, a gdy już mu opowiedziano, ucieszył się, że mimo starań, aby rozdzielić Wojdę z jego wrogiem, zesłi się i znów chyba się wezmą za czuby. W dodatku – jak mu pospiesznie wyjaśniono – Wojda podobno jest zakochany w tej tam czarownicy, a przeciw niej wystąpiła wojewodzianka Gertruda, czyli ta, od której wszystko się zaczęło.

Gdy tak objaśniano księciu pełnym troski szeptem sączonym w odbywa uszy, że to, co tu się dzieje grozi zatargiem między krainami, że trzeba rozgonić zgraję pod pozorem, że główny oskarżyciel uciekł, a dowody przeciw dziewczynie są wątpliwe, że od tego zależy przyszłość Śląska, Małopolski, a i całej Polski też, książę coś innego miał na myśli. W miarę gdy rycerz Jakub i wojewoda Klemens całkiem zgodnie radzili mu, co powinno się uczynić, japa księcia uśmiechała się szeroko, coraz szerzej, aż wreszcie klepnął się w kolano, bo był już pewien, że przednia rozrywka go nie ominie. Tedy wysłuchawszy mądrych, rozsądnych doradców, kazał poczekać, miał bowiem coś jeszcze w zanadrzu. Pierwej jednak jeszcze po kogoś posłał.

Czekali w milczeniu, niektórzy w znudzeniu, a wszystkim drętwiały nogi. Zwłaszcza książę kanonik rad byłby sobie poszedł, bo nie lubił za dużo stać ani chodzić, a głód mu doskwierał. Właściwie nikt nie wiedział, co czynić, tylko stara wiedźma zajęła się młodą, jakby nikogo wokół nie było. Dała jej pić i coś do jedzenia, przed czym Anucha wzbraniała się nieco, ale wreszcie uległa. Z każdym łykiem, z każdym kęsem dochodziła do siebie, po czym z nagłą odstawiała jadło i oparła głowę o brzeg wózka. Stara przykładała rękę do czoła dziewczyny, okrywała, a gdy zobaczyła przytomniejszy uśmiech córki, sama się uśmiechnęła. Tedy zaczęła robić coś, co wielu patrzącym niewiastom zjednało te dwie – grzebieniem rozczesywała pocięte włosy dziewczury.

Przyjechali ci, po których posłał książę. W wielkim niepokoju, na spienionym koniu, nadjechał rycerz Dobrosz w otoczeniu kilkunastu towarzyszy, ale nie tylko ich – była przy nim także żona, Bożena, która jako pierwsza przedarła

się przez tłum i ze łzami w oczach podeszła do syna. Już miała do niego się odezwać, lecz wówczas zobaczyła Anuchę. Ominęła Wojdę, podeszła do dziewczury i powiedziała do niej tak: – Nie wstawaj, nieszczęsna! Wybacz, że ci nie pomogłam. Nienawiść mnie zaślepiała. Nie zasłużyłaś na to. Mogę tu świadczyć o twojej niewinności.

Wśród śląskich rycerzy, którzy dowiedzieli się właśnie, o co sprawa, podniosły się głosy oburzenia. Słyszając to Klemens z Ruszczy zaproponował przezornie: – To może jedźmy już do Krakowa? Pakosławie? Panną Gertrudo? Chyba na ciebie już najwyższy czas – wysyczał z drwiną.

Pakosław z Przemankowa może by i pojechał, bo nie miał zamiaru bić się ze wszystkimi, ale na drodze temu zamiarowi stanęła wojewodzianka.

– Tu uchybiono mojej czci – powiedziała głośno, żeby słyszano wokół. – A skoro mojej, to też mego ojca i stryja. Oni pierwsi, bez wahania, choć inni czekali, poszli walczyć. Nie oglądali się za siebie, że są za słabi, tylko liczyli na swoją dzielność, a wy teraz pozwalacie, żeby pohańbiono krew z ich krwi?

Czarny i Biały spojrzeli na siebie. Gdybyż mogli wyjawić, co wiedzieli. Niestety, tym razem musieli przemilczeć to, co o Gertrudzie należałoby tak po ludzku wyznać.

Usłyszawszy wylane żale Gertrudki, pani Bożena porwała się na równe nogi i wypadła zza wózka, jakby sama była wiedźmą.

– Tobie uchybiono? – krzyknęła, machając rękoma z rozcapierzonymi palcami. – Tobie? Tyś dla zabawy mało o śmierć przyprawiła mojego syna. A w Zalesiu jak mnie podchodziłaś? Jakie łzy ronilaś? Znów chcesz jego zguby, suko wysoko urodzona? Ślepia ci wydrapię, podła czarownico! – Bożena tak się zaciętrzewiła, że Dobrosz musiał odciągnąć ją na bok.

Słyszając przemówienie damy swojego serca i widząc, że jawnie ją już obrażono, Pakosław nabrał pewności, zebrał się w sobie i powiedział z wyraźną kpiną w głosie: – No to kto zastąpi tego młokosa?

– Nikt go nie musi zastępować! – odezwał się książę Bolesław, który jak już raz nabrał ochoty na zabawę, nie mógł pozwolić, aby go owa ominęła, zwłaszcza gdy ładnie i po jego myśli się rozkręcała. Zsiadł więc z konia, wyszedł przed skraj tłumy i powiedział do Wojdy: – Podejź tu, młodzieńcze.

Giermek się zawahał.

– Nie lękaj się, nie każę cię pojmać – książę przemówił pojednawczo. – O co innego mi chodzi.

Wojda popatrzył po twarzach zebranych, spojrział też na dziewczurę. Patrzyła na niego orzechowo, łzawo. Gdy skierował wzrok na kusznika, ten tylko westchnął. Obaj kościelni odwrócili głowy. Nie w czas był wybuch matki, oj nie w czas. Co i ona sama pojęła, bo już nie szarpała się w objęciach Dobrosza, tylko powtarzała: – Com ja uczyniła!, i nie wiadomo było, czy chodzi o poprzedni postępek

z dziewczurą, czy o to, co nazbyt szczerze powiedziała wojewodziance. Zaś ta stała pewna siebie, beczelnie prosta i piękna, przy tym patrzyła szeroko rozwartymi oczyskami na Wojdę i leciutko się uśmiechała, zwłaszcza gdy zerknęła na Bożenę.

Zgnębiony młodzieniec przeniósł wzrok na księcia, ten wtedy się uśmiechnął i kiwnął zachęcająco ręką. Wojda schował miecz do pochwy, podszedł do księcia, a gdy stanął przed nim i skłonił nieco głowę, usłyszał: – Klęknij!

Uklęknął więc na oba kolana, ale Bolesław zaraz to naprawił: – Na jedno, nie na dwa. Na jedno.

Wojda się poprawił. Klęczał już na lewym kolanie, lewą dłoń zaciskał na rękojeści miecza, prawą trzymał płasko na prawym kolanie.

– Unieś głowę – rozkazał książę.

Uniósł więc głowę okrytą hełmem, wtedy książę powiedział już bez najmniejszego uśmiechu: – Giermku Wojdo, dzielne czyny mierzy się rycerską miarą. Zarówno sam widziałem, jak i wszyscy zgodni są co do tego, że dzielnie stawałeś w bitwie pod Legnicą. Wielu tedy zwątpiło w swoje męstwo, ale ty nie uległeś lękowi. Obaliłeś kilku wrogów, do końca byłeś w szeregach i dzielnie się spisywałeś. Tylko przez wzgląd na srogą żalność po bitwie i konieczność dalszych działań aż do dziś nie nagrodziłem cię, jak należy. Teraz jest najlepsza ku temu sposobność. Pochyl głowę.

Wojda schylił głowę i książę uderzył go w kark, aż klęczący się zachwiał.

Bolesław nigdy nie umiał za długo zachować powagi, dlatego i tym razem tak było – zaśmiał się zaraz i krzyknął: – No, niech ten cios będzie ostatnim, jaki przyjmiesz z pokorą. – Po czym wyjął miecz z pochwy i płazem ostrza uderzył o obydwie ramiona młodzieńca, mówiąc: – Szlachetny Wojdo, pasuję cię rycerzem. Wstań, rycerzu Wojdo.

Oszołomiony młodzieniec wstał, a książę odpiął rycerski pas z bioder i nałożył go na biodra Wojdy.

– Rycerzu Wojdo, masz oto pas rycerski, znak twojej siły i powagi. Uściśnij mi prawicę.

Młodzieniec bezwiednie uczynił tak, jak kazał książę. Bolesław zaś obrócił się do Pakosława z tymi słowy: – Teraz będzie ci się nadawał?

Nie dostał odpowiedzi. Krakowski rycerz poczerwieniał – jego twarz zdawała się płonąć żywym ogniem. Jednocześnie czuł, że otoczenie oddaliło się od niego o krok czy nawet dwa.

Kłopotliwe milczenie trwać by mogło w nieskończoność, ale Klemens z Ruszczy się odezwał: – Rycerzu Pakosławie, dołącz do szeregu. Rycerz Wojda nie jest zawziętym człowiekiem. W takiej chwili odpuszcza się winy każdemu.

– Nie! Nie pozwolę, aby ktoś robił ujmę na mojej czci! – krzyknął Pakosław.

– Zapewniam cię – ponownie głos zabrał Klemens z Ruszczy – że na tym polu sam sobie jesteś najgodniejszym przeciwnikiem.

Gawiedź się szczerze zaśmiała, ale nie każdy pojął, o czym była mowa, śmiechy trwały więc krótko. Krakowski rycerz widząc, że sam zagnał się w pułapkę bez wyjścia, wyjął zza pasa rękawicę i rzucił ją pod nogi Wojdzy. Ten podjął ją z ziemi, cofnął się o dwa kroki, dobył miecza i przyjął postawę bojową. Pakosław zażądał broni. Słudzy podali mu hełm i tarczę z namalowanym na niej Półkozicem – pociętą, podziurawioną strzałami, zużytą; zauważył, że tarcza Wojdy nie mniej była sterana walkami.

Stali naprzeciw siebie. Pola do boju nie było za wiele – ot, najwyżej dziesięć na dziesięć kroków – mało miejsca na zręczność. Pakosław był większy i silniejszy. Na takim polu miał przewagę, co widział każdy, kto choć raz próbował się bić. Widziała to i rozumiała wojewodzianka, radośnie więc wyszczerzyła ząbki. Powodowało ją coś więcej niż tylko chęć zemsty na dziewczurze czy udręczenia Wojdy. Na widok zbliżającego się boju, na myśl o tym, że zaraz popłynie krew wymieszana z potem, że będzie cierpienie, czuła podniecenie tak duże, że z trudem tłumiła krzyk rozkoszy. Ledwie się powstrzymywała przed podejściem do sprężonych do skoku, odzianych w żelazo ciał, chciałyby je głaskać, pieścić i wściekle rwać zębami. Jakże chętnie oddałyby się teraz Pakosławowi, jak rozkosznie byłoby wynagrodzić Wojdzy jego rany. Tak, Gertrudka była teraz szczęśliwa – spełniały się jej sny.

Dziewczura też widziała szczupłość pola walki i związaną z tym przewagę obcego rycerza. Chciała coś zrobić, ale matka szeptała do niej: – Nawet tam nie patrz, bo będziesz zgubiona.

Młoda odpowiedziała ledwie tchnąc, aby nikt nie usłyszał: – Ale tamten go zgniecie, wtedy obie będziemy zgubione.

– Tylko czekają, abyś coś uczyniła – szeptała stara. – Patrzą na ciebie ci księża. Wśród nich jest ten obcy, co wszędzie diabłów widzi.

Była prawda w tym, co mówiła Wisława, bo istotnie obcy mnich, co od początku pomagał temu oszustowi wikaremu, gadał do ucha kanonikowi, a oczu nie spuszczał z dziewczury.

Nierówność sił i miejsca widział jeszcze ktoś inny – kościelny z Zalesia, Czarny oczywiście, bo Biały nad czymś dumał i jego myśl w innym miejscu przebywała. Czarny bodnął Białego w bok i powiedział: – Znów na ciebie pora.

– Jaka? – Biały się zdziwił.

– Sraka. Widzisz, co robią?

– Będą się bić. Zwycięży ten, co jest praw.

– Jak ma zwyciężyć, skoro słabszy?

– Pan Bóg mu pomoże.

– Niby jak? Zejdzie z nieba? – Czarny wątpił.

– Samą swoją wolą tak uczyni.

– A od czego ty tu jesteś, barani łbie?

Naiwny anioł nagle pojął, że niby ludzie mają dobrą wolę, ale gdy zdają się w sposób ostateczny na wolę bożą, to trzeba coś uczynić. Pakosław prężył się już do skoku na Wojdę – niby to nie miał takiego zamiaru, ale po prawdzie o niczym innym nie myślał, tylko żeby w tej samej chwili, gdy Wojda ruszy którąś nogą, dopaść go i obalić. Śląski rycerz uczynił ten jeden ruch, żeby zrobić krok, wtedy Pakosław ruszył. Jednocześnie anioł nieznacznie machnął ręką, stało się więc, że nogi krakowskiego rycerza zostały w miejscu, on sam zaś, wychylony, poleciał na twarz. Jeszcze przytomnie próbował oprzeć się na tarczy, jednocześnie sieknąć mieczem we wrogie nogi, lecz Wojda odskoczył w bok, z łatwością sparował mieczem niskie uderzenie i jakby tym samym ruchem zakręcił koło ostrzem i trafił w tył hełmu przeciwnika.

Gapie zamarli w oczekiwaniu, co będzie dalej.

Oszołomiony Pakosław ukucnął, właściwie na klęczkach usiadł na stopach. Broń opuścił. Hełm, zerwany ciosem, odfrunął w bok.

Wojda, niezdzyszany, stał za nim z mieczem wzniesionym do cięcia.

Krakowski rycerz nie wstawał, mało co widział, w głowie czuł huk. Sięgnął do niej oburącz, ściągnął przesywany czepiec i płowa czupryna rozsypała się na wszystkie strony. Spojrzał nieco w górę, jakby się modlił.

Gertrudka wydała z siebie głośny jęk, przez co napięty niczym cięciwa Wojda omal ściał łeb pokonanego rycerza, na szczęście Dobrosz zdążył krzyknąć: – Oszczędź go!

Miecz rycerza w ostatniej chwili ominął głowę Pakosława – przeciął powietrze, aż zafurkotało. Wojda zatrzymał się w zamachu, żeby ciąć z drugiej strony, ale wówczas odezwał się starczy, niewieści głos: – Dostyc tego! Jak wam nie wstyd! W obliczu nieprzyjaciół, wielkich strat i nieszczęścia, jeszcze się bić między sobą? Przecież jesteście chrześcijanami.

Wojda z nieskrywaną ulgą odstąpił od przeciwnika i śmiertelnie znużony usiadł na brzegu wózka. Miecz oparł obok. Ręce mu drżały, gdy zdejmował hełm. Nieco się uspokoił, bo dziewczura dotknęła jego głowy.

Na pole bitwy wystąpiła chuda postać bosej, starej księżnej Jadwigi.

– I ty, księżę, w ten wojenny czas pozwalasz na pojedynki? – zwróciła się do wnuka. – Dopuszczasz, żeby ludzie sami się powybijali w obliczu nieprzyjaciela?

Bolesław milczał, bo babki jeszcze w życiu nie przegadał i tak zwyczajnie bał się jej bardziej niż kogokolwiek.

Jadwiga miała do powiedzenia też coś innym ludziom: – Ty, księżę kanoniku, co nie wahałeś się popierać klątwy rzuconej na mojego męża, aż tu przywędrowałeś? Kogo teraz słuchasz? Tego przybysza, co prosto od cesarza zjechał, żeby u nas siać zamęt? I tyś uwierzył, że ta jedna niewiasta mogła ich tu zwabić?

Kanonik był jednak pewny siebie: – Obydwie, nie tylko jedna. I nie samych

Tartarów, o ten pomiot piekieł tu chodzi. Stara i młoda są winne praktyk szatańskich, czarowania. Za to muszą ponieść karę.

– Jak ci sądu bożego mało, to powiem ci coś od siebie – Jadwiga nie miała zamiaru ustąpić. – Oto Wisława, co ją nazywasz czarownicą, gdy zakładałam klasztor pomagała nam w sztuce zielarskiej. Chciałbyś całe zgromadzenie trzebnickie ukarać za pachnące wirydarze, za całe ogrody z ziołami? Uważaj na to, co zamierzasz, bo jeszcze wrócą z tej klęski niektórzy rycerze. Chrystus nigdy nie popierał ludzi chciwych. Można naprawdę źle skończyć.

– Ta młoda latała w powietrzu – tym argumentem kapłan chciał dobić wszystkich, ale się przeliczył, bo Jadwiga wiedziała zdumiewająco wiele.

– To ty, uczony w piśmie, nie wiesz, że latanie jest tylko czczym wymysłem? Że papież już trzysta lat temu ogłosił, żeby niewinnych ludzi nie posądzać o czary?

Ksiądz na to się zapowietrzył i odwrócił, stara księżna spojrzała na Gertrudę, co teraz wyglądała jak niewiniątka, i powiedziała do niej po cichu: – Ty, młodziutka panno, póki jeszcze nie masz męża, racz powstrzymać swoje... Wiesz co.

Teraz Jadwiga obróciła się w stronę skupionych wokół dziewczury. Podeszła do nich. Wszyscy uklękli, dołączył do nich Dobrosz i jego ludzie. Mijając mężów, Jadwiga powiedziała cichutko i miękko do Wojdy: – Nie smuć się, rycerzu, już po wszystkim, ale mógłbyś troszeczkę więcej się modlić.

Spostrzegłszy jedynych nie klęczących: dumnie wyprostowanego Białego i Czarnego, co tym razem stracił całą swoją bezczelność i chował się za towarzyszem, unikając spojrzenia księżnej, Jadwiga przeżegnała się, nabrała tchu, przymknęła oczy, kiwnęła przecząco głową i nieco rozciągnęła wargi w niby-uśmiechu. Czarny chciał wtedy zapaść się pod ziemię, ale jeszcze nie mógł. Biały zaś się zaczerwienił jak niedawno rycerz Pakosław, co go przyłapano na grzechu pychy. Na szczęście stara księżna zajęła się czymś innym i już nie zwracała na nich uwagi. Podeszła do Wisławy i Anuchy. Wisława pocałowała Jadwigę w rękę, przy okazji rosząc ją obficie łzami. Zabiedzona postami pani nie na swoją znajomą zwracała jednak uwagę, lecz na jej córkę.

– Pokaż się, moje dziecko – odezwała się do Anuchy.

Dziewczura uniosła białą, wychudzoną, acz krągłąwą buzię, jej oczy z szarych zrobiły się niebieskie. Jedno troszeczkę próbowało uciec, ale niedaleko. Patrzyła więc w podłużną, owiniętą czepcem twarz księżnej, a gdy ich spojrzenia się spotkały, młoda wiedźma, trzymając dłonie za plecami, szybciotko wydlubiała spod paznokci resztki ziemi już niepotrzebnej do niczego. Jadwiga jedną dłonią pogładziła policzek dziewczyny, po czym przytrzymała jej podbródek. Prawą dłoń księżna uniosła i gdy mówiła dobrotliwie, wskazujący palec kilka razy zagroził.

– Nie wszystko pochwałam – powiedziała całkiem sucho. – Można mieć

serce czyste, ale zły zawsze czyha. Łatwo przekroczyć granicę, zza której nie ma już powrotu. Rozumiesz, moje dziecko?

Po wydłubaniu ziemi zza paznokci Anucha miała już wolne ręce. Schwyciła oburącz pomarszczoną dłoń księżnej, pocałowała ją i powiedziała: – Pojęłam wszystko. Przysięgam, że więcej nie spróbuję tego, z czym nie można sobie poradzić ludzką wolą.

– Nie próbuj – zakończyła księżna i obróciła się do klęczącej Wisławy: – Widzisz... Tyle lat... Brakowało mi ciebie. Kto wie, czy ty jedna nie umiałabyś podjąć dzieła Hildegardy. Nie chciałaś nam towarzyszyć, ciągnęło cię do świata, trochę szkoda, ale uczciwie rzekłaś, że byłabyś mniszką jeno z pozoru. Dziękowałam dziś Bogu, że nigdy nie słyszałam o tobie niczego złego. Masz piękną córkę – przy tych słowach Jadwiga życzliwie zerknęła na Anuchę.

– Moja pani – stara wiedźma postanowiła wyznać prawdę – teraz, w takiej chwili, mogę powiedzieć, że Anucha moją córką jest tylko przez wychowanie.

– Musisz mi o tym opowiedzieć, tylko chodźmy stąd w spokojniejsze miejsce – spojrzała na gromadkę rodu i domowników Dobrosza: – Wy też chodźcie z nami, bo miło jest spotkać dobrych ludzi, którzy nie błagają pomocy, lecz ją sobie wzajem świadczą.

– My też, dostojna pani? – zapytał szczygnięty w porę Biały.

– Wy też – przyznała księżna.

– Widzisz? My też jesteśmy dobrymi ludźmi – ucieszył się Biały.

– Nie całkiem tak jest, ale dobrymi z pewnością – po pewnym zastanowieniu powiedziała księżna, co wprawiło Białego i Czarnego w radość nieco mieszaną.

Krakowscy rycerze już się zabrali, podobnie wojewodzianka. Zniknęli też obrażeni księcia kapituły wrocławskiej. Sporo jeszcze ludzi jednak zostało, wielu chciałoby pomocy od Jadwigi, jakby umiała czynić cuda, a też wielu ciekawskich chciało zobaczyć, o kogo było całe zamieszanie.

Ruszyli więc w jeszcze gęsty tłum dziwacznym pochodem, nie wiedząc, dokąd się udać. Na szczęście rycerz Jakub ofiarował się z gością w czasowo zarządzanym zamku, co księżna przyjęła i wprosiła na nią rodzinę oraz sługi rycerza Dobrosza z Zalesia.

Z wysokości bojowego rumaka patrzył na to książę Bolesław.

– No i co Sural? Wymyśliłbyś coś takiego? – powiedział do przybocznego. – Bo że młodą czarownicę będzie ratował zadurzony w niej rycerz, każdy głupi wymyśli, ale że święta za to się weźmie? Przecież ona chodziła tylko między Trzebnicą a przytułkiem dla trędowatych niewiast koło Środy. Od piętnastu lat nie zboczyła z drogi, chyba że czyjaś śmierć przymusiła. A teraz jest tu. Sural, gdy wojna się skończy, zaraz ułożysz o tym pieśń. Tylko nic nie poprzekręcaj.

– Tak jest, panie.

– I ponasławiaj się trochę ze świętoszków – dodał złośliwie.

– Uczynię to z przyjemnością.

I tak oto książę zawrócił konia i pojechał do swoich wojsk, bo z babką nie za bardzo lubił mieć do czynienia.

W drodze na zamek ludzie rozstępowali się przed księżną, co zażyczyła sobie, żeby po obu jej stronach szli Bożena i Dobrosz. Za nimi postępowała Anucha, mocno wspierana, nawet niesiona przez Wojdę. Wisława była obok, dalej kusznik i dwaj kościelni, przed którymi drogi powrotu do ich domów stały już otworem.

Na tym można by zakończyć opowieść, gdyby nie to, że nagle całkiem dostatnio odziana niewiasta krzyknęła: – Ania! Ania! Anula!, i przypadła do dziewczury, i złapała ją za skraj zużytej, poszarpanej sukni.

Tak oto stał się następny tego dnia cud.

ODNALEZIENIE

Niezwykłych dziejów ludzkich splot

Już tak jak trzeba – rozsoplany

Więc tylko pozostaje nam

Sprostować nici potargane.

Dziewczura patrzyła zaskoczona na obcą, klęczącą u jej stóp niewiastę, co właśnie zginała się w płaczu. Podeszła do niej inna, młodsza, mówiąca niecierpliwym szeptem: – Matko, co ty chcesz od tych ludzi? Chodź ze mną. – Teraz, podnosząc płaczącą niewiastę, zwróciła się do pozostałych: – Wybaczcie, matka jest zmęczona ustawiczną tułaczką. Czasami zdaje się jej... – spojrzała w oczy ludzi stojących wkoło i zamarła. Podobnie Anucha. Każda z nich zobaczyła bowiem w tej drugiej swoje lustrzane odbicie. Co prawda dziewczura miała włosy troszkę czerwonawe, wycięte na prawej skroni, a tamta brązowe i starannie uczesane, ale buzie miały aż niemożliwe do odróżnienia na pierwszy rzut oka.

Nie wszyscy i nie od razu pojęli, co się dzieje, dlaczego starsza, klęcząca niewiasta płacze, a druga, młodsza, przestała mówić. Najszybciej ze wszystkich pomyślał Dobrosz. – Coś mi się zdaje, że już nie jest znajdą – powiedział do żony. – Albo właśnie komuś się odnalazła.

– Nie do wiary... – Bożena nawet nie próbowała ukryć zadziwienia. – To się nie dzieje. To niemożliwe! To sen.

Płacząca niewiasta powstała z kolan.

– Ludzie! Ja, Mirosława, co dzień od piętnastu lat błagałam Boga, aby mi wybaczył moją niedbałość – mówiła głośno. – Co dzień modliłam się o to, żeby żyła. Nie marzyłam, że kiedykolwiek ją zobaczę, ale błagałam Boga, żeby żyła... I ziściły się moje prośby.

– Powiedz, pani, co się stało? – zapytał rycerz Jakub.

Niewiasta zalewając się łzami, wzięła za rękę dziewczurę i tę drugą, jakże do niej podobną, i powiedziała: – Najwyższy czas, żebyście się znów poznały. Jesteście bliźniaczkami. To Ania, to Marta.

Dziewczyny zmartwiały, zerkając na siebie w zawstydzeniu, każda rada cofnąć rękę, a zachowywały się w tej chwili jednakowo. Matka odnalezionej przypatrywała się obydwu i mówiła czy to do siebie, czy do innych: – Piętnaście lat! Minie w czerwcu piętnaście lat, jak wypadła mi z rąk. Nie utrzymałam i rzeka ją porwała. Szukałam potem aż przy ujściu Nysy do Odry, nawet dalej, ale wszystko było wtedy zmienione, zniszczone, zwały drzew na drogach, wszędzie... Setki ludzi się potopiły. Myślałam, że i ona. Lecz moja córeczka żyje, jest, ocalała! To musi być moja Ania! – Objęła zaskoczoną, słabą Anuchę i przytuliła mocno. Ta zaś dawała się tulić, siły wszak nie miała, tylko patrzyła błagalnie to na Wisławę, to na Wojdę.

Wisława zamiast pomóc, cofnęła się o krok i uśmiechała się przez łzy, a rycerz w wielkim zaskoczeniu patrzył i słowa ni gestu nie mogąc z siebie wydobyć.

Wreszcie stara wiedźma pokiwała głową i wyszeptwała: – To prawda, Aniu, to prawda...

Anuszy niczego nie wyjaśniło to, co powiedziała Wisława, zresztą nie tylko jej – ludzie znów dopytywali, co się stało, o co chodzi.

Wreszcie księżna Jadwiga się odezwała: – Chodźmy stąd. Myślę, że przy takim obrocie spraw wojna może zaczekać. Mnie, co tyle nieszczęścia widzi co dzień, miło będzie przez jeden dzień pożyć cudzym szczęściem.

Poszli więc do kasztelańskiej siedziby. Tylko dwóch ludzi nie ludzi się zawahało: iść czy nie iść za nimi.

– Możemy już wracać – powiedział Biały. – Zrobiliśmy swoje. Trzy razy nazwali nas dobrymi.

– Mnie powinni trzy razy nazwać złym, żebym mógł wrócić, ale też zrobiłem swoje – przyznał Czarny. – Tylko jakoś nie chce mi się wracać. Chcę usłyszeć, skąd Ania się wzięła. A ty?

– Chciałbym.

I nie minęła godzina, a siedząc w kącie izby wysłuchali dwóch opowieści.

Nie tylko oni, bo grzecznie, po cichutku, usiadł koło nich pieśniarz Sural, co z polecenia księcia tam się wkręcił.

Opowieść nie od razu się rozwinęła. Poczekano na Anuchę, którą Wisława z nieustępliwą Mirosławą, no i z pomocą księżnej Jadwigi obmyły, pocieszyły i ubrały. Pomocną okazała się także wdowa po kasztelanie ryczyńskim Bogusławie, co – choć sama w żałobie – wzruszyła się nieszczęściem i szczęściem Anuchy i udzieliła gościny, tudzież podarowała starą swą mało znoszoną suknię w ulubionej barwie młodej wiedźmy – zieloną. Anucha dziękowała, chociaż prawdę mówiąc smutno to brzmiało, bo znów opadła z sił. W bezpiecznym miejscu przestała walczyć o życie. Opanowało ją drzenie i bezwiednie poddawała się zabiegom życzliwych niewiast, wkrótce będąc nawet uczesaną – jak nakazała Wisława – z włosami rozpuszczonymi. Mirosława wtedy zapytała: – Jak to jest, że ma rudawe włosy? Zawsze tak było?

– Nie, ma brązowe, tak jak Marta – odparła Wisława. – Tylko często myje je w mydlicy i kurzym zielu, to i rudzieją od tego. Po co tak robi, sama nie wiem, ale kto młodą zrozumie.

Prosta rozmowa wyzwoliła w dziewczurze płacz. Łzy płynęły ciurkiem, rwąc na części każde zaczerpnięcie powietrza. Pani kasztelanowa jakby chciała swój ból ukoić, tuliła obcą niewiastkę, całowała w głowę i mówiła: – Spokojnie, dziecino, żyjesz, jesteś cała, to najważniejsze.

– Może zechcesz zostać sama, położyć się? – proponowała księżna.

– Nie – odpowiedziała Anucha. – Chcę być z wami, słuchać waszych rozmów. Nie zostawiajcie mnie samej – ostatnie zdanie powiedziała może ciut za mocno, ale i ona pragnęła wysłuchać opowieści o swoim początku; nie dała się położyć, współsiedziała więc oparta o Wojdę, otulona kożuchem, bo nagle dreszcze co chwila ją nachodziły. Nie uroniła ani słowa z własnej historii.

Pierwsza opowieść należała do odnalezionej matki. Nieco mętnie to poszło, ale poruszająco.

– Ja, Mirosława, wywodzę się z ziemi sandomierskiej, zza Wisły, z rycerstwa herbu Lis. Mojego przyszłego męża Radogosta herbu Oksza poznałam w tym czasie, gdy stary książę Henryk pierwszy raz pokusił się o ziemię krakowską, potem zawierał przymierze z Leszkiem Białym. W sojuszu z nim był książę opolski Kazimierz. Z nim właśnie Radogost pojechał. Teraz jest ponoć z wojskami na Łużycach, a nasza majątność koło Otmuchowa spłonęła. Uszliśmy aż tu, za Opole, bo Tartary, po wielkiej bitwie, przyszli cicho w nasze okolice i jakby pod ziemię się zapadli. Tylko częścią sił poszli na Łużyce, za nimi, jak mówią, wojsko czeskie i nasze, księcia Mieszka. Dopiero po tygodniu Tartarowie spustoszyli okolicę, aż po Opole. Wtedy uciekłyśmy. Opole było przepelnione, a oni napadali coraz dalej, to uciekałyśmy dzień i noc i jesteśmy tu, na tej głodnej ziemi, bo oni byli tu wcześniej i zniszczyli wszystko... – zadumała się chwilę.

Wówczas Dobrosz odezwał się do żony z ledwie wyczuwalną kpiną: – Widzisz żono, już niejeden, lecz dwa herby, po mieczu i po kądzieli...

Tylko Bożena wiedziała, o co chodzi Dobroszowi. Dała temu wyraz, bo zachnęła się lekko, acz widocznie.

Odnaleziona matka Anuchy mówiła dalej: – Te piętnaście lat temu stanęliśmy na popas. Nocą przyszła wielka woda: Nysa wylała szeroko, całe domy płynęły z ludźmi na dachach. Nie było dla nich znikąd pomocy, chyba że wielkim szczęściem dotarli do brzegu. Nawet ogromne dęby woda porwała, co tu mówić o naszym wozie i koniach.

Starsi ludzie kiwali ze zrozumieniem głowami; też to widzieli, też wtedy przeżyli grozę, tyle że nie Nysy, lecz Odry.

Pani Mirosława snuła opowieść: – Mąż chciał nas ratować. Posadził na jednego konia synów, na drugiego mnie z dziewczynkami. Ale gdzież tam! Porwała nas woda. Mój koń wplątał się w drzewo, upadł i nim się uniosłam, mojej Ani już nie było. Widziałam jeszcze ją trochę w ciemności, goniłam za głosem. Woda była jednak coraz większa i większa... – Tu Mirosława wpadła w szloch, bo znów przeżywała to, co przed piętnastu laty: chwytanie się stojącego drzewa jedną ręką, trzymanie drugą płaczącej Martusi, bezsilny skowyt za oddalającym się płaczem dziecka, a to zagłuszone szumem, potem rykiem piętrzącej się wody. Krzyk męża, co zawrócił koniem i za włosy wyciągnął z topieli żonę, który nie przyjął od niej dziecka, bo wiedział, że rzuciłaby się oszalała z bólu za tym drugim, na pewną śmierć, w rozszalałą Nysę. Teraz zapewniała, jakby stało się to dopiero przed chwilą, pokazując puste dłonie: – ...naprawdę nie wiem, jak mogłam ją wypuścić z rąk. Chciałam popłynąć za nią, bym ją odnalazła... – i już dalej mówić nie mogła, a pani Bożena utuliła płaczącą.

Księżna Jadwiga, co już od lat nie była skora do wzruszeń, powiedziała z leciutkim drżeniem: – Nie odnalazłabyś jej. Nie zdołałabyś. Ale Pan Bóg widział twój szczerzy żal, twoją chęć do poświęcenia. I ocalił ją. Tylko jak to się stało?

– To ja mogę opowiedzieć – odezwała się Wisława i wszyscy spojrzeli na nią.

Stara wiedźma opowiadała inaczej niż Mirosława – z wyraźnym namysłem, składniej, jakby zawczasu do tego się przygotowała. Mówiła spokojnie, pewnie, bez drżenia w głosie, bez rwania opowieści. Zdawać by się mogło, że opowiadała niezwykłą bajkę, co niby wzrusza, a w istocie bawi. Gdy tak wylewała z siebie opowieść, patrzyła w bezkresną dal, którą tylko ona widziała. I co wypowiedziała zdanie, jedna łza spływała po policzku, ręce mięły suknię, jakby chciały ją rozedrzeć na strzępy.

– Zakochałam się, nawet zatraciłam w tej miłości aż do grzechu. Ale co nam był grzech! Młodzi, pełni życia i w życie ufni. Choć pochodzę z kmiecego stanu, miał mnie pojąć za żonę. Jego ród by to przebolewał, bo był trzecim synem. Niestety,

straciłam ukochanego na wojnie pruskiej, co była w tym samym czasie co ta, na której pani Mirosława zyskała męża. Nie wrócił do mnie mój Radosław... Urodziłam mu dziecko, dziewczynkę. Cieszyłam się, że choć tyle mi po nim zostało. Myślałam, że jeśli odchowam i pokażę jego rodowi, że do niego podobna, choć ją uznają. Ale się nie udało. Miała trzy latka, gdy zakasłała, potem kasłała coraz usilniej, aż krztusiec zadusił ją na śmierć. Od tego czasu byłam sama przez pół roku. Diabli domagali się mojej duszy, bo nie dostali tej duszyczki niewinnej. Ileż to na mnie zesłali zmór, upiorów i zjaw! Wreszcie przyszła wielka woda. Wtedy wyśniłam, że moja miła córeczka czeka na mnie na brzegu rzeki i mówi: – Chodź, matuś, bo nie mogę przejść przez wodę. Pomóż mi.

Wiecie, że przepowiadać przyszłość to grzech, tak samo jak wróżenie czy postępowanie wedle tego, co się przyśni, ale każdy, kto choć trochę zna się na sennych znakach, potwierdziłby, że ten sen to było zaproszenie na śmierć, w zaświaty. Takich snów trzeba się bać, trzeba się modlić do Boga, żeby odegnał zło. Bo to wcale nie moja córeczka mogła mi się śnić, tylko diabelskie zwidy, co miały mnie przywieść do zguby. Ale wówczas było mi wszystko jedno. Ledwie się obudziłam, pobiegłam nad brzeg rzeki, żeby wreszcie coś ze mną się stało.

Do rzeki nie było już pięciu stajań, zaledwie piętnaście kroków. Płynęła Odra spieniona, szumiąca, okrutna i zła. Drugiego brzegu nie widziałam, choć jasny był dzień, bez deszczu i mgły – tak szeroko wylała. W tej kipieli płynęły domy, płoty, snopy zboża z brogów, całe drzewa, trupy krów, koni, jeleni, psów i ludzi. No i śmiecia pełno, że całe zwały tego się tworzyły, jakby ktoś wyrąbał las i na jedno miejsce go zwiózł. Wszystko razem szumiało, huczało, trzeszczało. Nie wiem, jakim cudem, ale usłyszałam przez ten szum i trzask łamanych gałęzi płacz dziecka. Poszłam w tamtą stronę... – Wisława przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Spod powiek popłynęły następne dwie łzy.

Zapadła cisza, aż słyhać było szelest sukni drżącej Anuchy. Z trudem powstrzymując wzruszenie, nie mogli doczekać się tego, co będzie dalej.

Wiedźma pociągnęła więc opowieść: – Myślałam, że spotkam duszyczkę utraconą albo choć zjawę. Z przemożnej tęsknoty gotowa byłam nawet za zjawą wejść w kipieli i utonąć, lecz wtenczas zobaczyłam coś dziwnego. Dopiero potem pojęłam, że malutka dziewczynka, nie starsza nad trzy latka, zdołała wdrapać się na drzewo z oddartą połową gałęzi, z drugą połową mimo to nad wodę wystającą, i usiadła w tych gałęziach. Drzewo wirowało, ale nie obróciło się ani razu, bo inaczej dziewczynka by utonęła. Drzewo zaś, nie mając gałęzi po stronie zanurzonej, nie zatrzymało się w nurcie rzeki, lecz dobiło do przybrzeżnej płycizny i tam zatrzymało się na czymś, co wcześniej było polaną. Tyle że do tego płaczącego dziecka wczepionego rączkami w drzewo ostatkiem sił, podszedł po wodzie wilk... – Wisława znów musiała nabrać powietrza.

Drzenie Anuchy przybrało na sile, mocniej więc wtuliła się w Wojdę. Raz

i drugi otarła szybkim ruchem policzek, ale potem stale już, a bezwiednie, ocierała twarz o rękaw Wojdy.

Stara mówiła dalej: – Nie wiedziałam, co zrobić. Nie, nie bałam się, ale nie wiedziałam. W tym wilku nie było niczego groźnego. Ani nie warknął, ani nie pisnął, ani nie zawył. Wyglądał, jak ciekawski psiak, nawet zamachał ogonem i tupnął przednimi łapami, jakby chciał z tym dzieckiem się bawić. Wilk, wielki wilk, obłąający ze starej sierści. Na pewno nie pies. To, co wzięłam za zabawę, było jego niedowierzaniem, że malutki człowiek jest sam. Dlatego zwierz gotów niby do zabawy, ale po prawdzie do uciezki. Woda płynęła wartko i dziecko samo by przez nią nie przeszło. Wilk jeszcze rozejrzał się ze trzy razy, potem złapał dziecko za ramię i pociągnął przez wodę. Wtedy Ania pierwszy raz zapiszczała jak ranne sarniátko, a ja zrozumiałam, że wilk, jeżeli chce coś złowić, nie pokazuje kłów, nie jeży się, lecz nadstawia uszu, przygląda się to jednym okiem, to drugim, wygląda wtenczas niczym ciekawski pies, a potem raz robi łaps i po krzyku. Na szczęście ten wilk był młody i mądry. Raczej mądra, bo to była wilczyca młoda i mądra. – Wisława znów zrobiła przerwę na oddech i tym razem pozwoliła sobie na otarcie łez.

Większość jakby tylko na to czekała, jakby pękła napięta nić, co wszystkich krępowała. Też się poruszyli, niektórzy, zwłaszcza niewiasty, całkiem tak samo, jak stara wiedźma.

– Wilczyca puściła ją na brzegu, ale tylko po to, żeby z wody się otrzepać. Ania bała się, płakała. Zdrętwiała na tym drzewie i ledwie mogła siedzieć. Już biegłam, już krzyczałam. Wilczyca spojrziała na mnie – byłam o kilkadziesiąt kroków – i zrobiła coś, co mnie całkiem zadziwiło. Złapała Anię za rączkę, tuż pod ramieniem, uniosła nieco i pociągnęła za sobą. Wtedy dziecko poszło grzecznie, jakby za człowiekiem. Nie mogłam pojąć, dlaczego tak zrobiła, dlaczego nie zagryzła dziecka. Krzyczałam: – Puść ją, puść, ty suko!, ta nic, wiodła ją, a dziecko szło posłusznie.

Miałam także myśl, że wilczyca chciała ją uratować. Może straciła szczenięta przez wielką wodę, a teraz, gdy zobaczyła ludzkie szczenię, zechciała się nim zająć, jak to matka. Przecież kwoce można podrzucić kaczątku. Sama widziałam sukę, która wykarmiła prosiátko i dbała o nie niezgorzej niż maciora. Jest w tym boża wola, co nakazuje czymś małym i bezbronnym się opiekować, nie zaś zabijać. Nawet u zwierząt jest ta litość, tylko Tartary jej nie znają. Tak wtedy myślałam, ale im dłużej szłam przez krzaki za wilczycą, tym więcej innych opowieści o wilkach mi się przypominało.

Pasterzy opowiadali, że widzieli wilka, co napadał na owce, ale ich nie zagryzał; łapał za gardło i prowadził ze sobą, a te szły posłusznie, nawet nie becząc. Potem, o wiele dalej, znajdowano kopytka, trochę flaków, futra i objedzony łeb. Pastuchy mówili, że wilk z łatwością zagryzłyby owcę nawet tuż pod bokiem

człowieka, tylko co potem miałyby z nią zrobić? W pobliżu przecież byli ludzie, psy, ogień. Zagryźć łatwo, ale zdobyć upilnować – niemożliwe! Zabrać ze sobą, nieść w pysku, to znów nie ujdzie się pościgowi, musiałyby łup porzucić. A tak, nawet gdy wilka gonili, on wcale nie męczył się pogonią, bo jego łup biegł obok na własnych nogach. Kiedy pogoń już się zmęczyła, wilk uchodził jeszcze głębiej w las i tam, gdzie nikt nie patrzył, zagryzał owieczkę i spokojnie zjadał to, co na własnych nogach z nim przyszło.

Biegłam więc za wilczycą, Ania płakała już w głos, a ja wiedziałam, że ma być wilczym jedzeniem jak owca, co za ciężko ją przenosić, trzeba więc z nią uchodzić.

Na szczęście wilczyca była młoda i wybrała za gęste krzaki. Dziecko miało suknię, to nią zaczepiło się w ostrężynach. Gdy więc nadbiegłam, wilczyca ciągnęła mocno Anię za rękę, lecz ona, wplątana w kolce ubrankiem i włosami, już nie krzyczała, nie piszczala, po cichu płakała.

Stara znów zrobiła króciutką przerwę na oddech, ale nikt oprócz niej oddechu nie brał, nikt o nic nie pytał. Tylko dziewczurze oddech się rwał, jak wówczas, temu małemu, zziębniętemu dziecku po wielkim szlochu.

– Nadbiegłam z krzykiem, wtedy wilczyca ją puściła, a do mnie wyszczerzyła kły. Z dobrotliwego psa, co nadstawiał uszu i miał oczy ciekawskie, okrągłe, nagle stała się strasznym wilkiem, z pyskiem zmarszczonym tak, że się zdawało, iż zejdzie ta skóra z niego. Warczała ze skulonymi uszami, żółtymi ślepiami, pochylonym łbem, zjeżona, wielka! Ja na to nie zważałam. Pomyślałam, że Bóg mnie w to miejsce wysłał, abym dziecko uratowała. Urwałam gałąź i odstraszałam wilczycę. Ona cofnęła się raz i drugi. Jeszcze chciała dopaść do Anusi, jeszcze zabiegła z prawej, potem z lewej, ale mnie się bała. Wreszcie dała za wygraną i poszła sobie.

Wyplątałam Anię z ostrężyn, przytuliłam. Pierwszy raz tuliłam tak zziębnięte ciało, a żywe. Niepospolitą wolę życia miało to dziecko, niezwykłą wytrwałość. Jeszcze kilka razy miało tak być, i teraz, dziś tak było. Kto inny by zamarł, ona żyje.

Zaniosiłam ją do dobrych ludzi i już nie patrzyłam, czy wilki za mną idą. Leczyć już wtedy umiałam, tak i doprowadziłam ją do zdrowia – znów Wisława zrobiła dłuższą pauzę, wzięła głębszy oddech, żeby zaraz wrócić do opowiadanej historii. – Gdy woda zesła, zaczęłam szukać rodziców dziewczynki. Doszłam aż do ujścia Nysy, wypytywałam, ale nikt dziecka nie rozpoznał. Raz trafiła się matka, której zginęła córka, ale imię się nie zgadzało. Bo dzieciątko pamiętało, że wołali ją Ania. Mówiło się wtenczas o całych wsiach zabranych przez wodę, gdzieś pod Wrocławiem wyłowiono pięćset ciał. A ileż piasek i muł przykryły? I ileż pożarły wilki i niedźwiedzie? W końcu uznałam, że Bóg mi ją zesłał za utraconą ptaszynę... – Wisława nieznacznie łzę otarła – ...Dobroszowi i Bożenie wyleczyłam krowy

i owce z zarazy, pozwolili więc osiedlić się na ich ziemi. Tak oto już zostało aż do dziś. Ujrzawszy ciebie, pani Mirosława, aż mi serce stanęło, bo w jednej chwili ujrzałam podobieństwo postaci, głosu i urody. Siostra Ani? Skóra zdarta! To jest jak sen, a przecież w sny nie wolno wierzyć. Boję się tylko, że po obudzeniu znów zostanę sama.

Nic już nie przeszkadzało niewiastom płakać, Mirosława przytuliła się do starej wiedźmy, śpiewak Sural patrzył na to bez mrugnięcia okiem, słuchał chciwie, aż go uszy zaboląły, a gdy opowieść się skończyła, mówił sam do siebie: – To niemożliwe! Nawet jeśli będę o tym powiadał, jeśli pieśń ułożę, nikt nie uwierzy! Książę będzie mnie miał za pierwszego w świecie kłamcę! Uwierzylibyście? – zapytał kościelnych i zbaraniał. Cały czas przez opowieści Wisławy siedzieli tuż przy nim, Biały ocierając łezkę, Czarny dzielnie się trzymający, ale coś tam chrząknął pod nosem, a teraz nagle zniknęli. Sural znów się zdziwił i mruknął: – To też niemożliwe, tylko mniej.

WYJAŚNIENIA

I tak dochodzi nasza baśń

Do miejsca gdzie już będzie trzeba

Coś postanowić: tak lub siak

Do piekła iść. Albo do nieba.

Biały odzyskał skrzydła i leciał prosto do nieba, szybciej od strzały, szybciej niż piorun. Gdy wyleciał ponad chmury, na pierwszej powłoce niebieskiej napotkał archanioła Michała i rzekł do niego radośnie: – Witaj, archaniele. Skończyłem służbę na ziemi i mogę wreszcie zająć miejsce w chórze.

Na to dostał całkiem surową odpowiedź: – Chórow ci u nas dostatek, ale ty służby na ziemi nie skończyłeś. Możesz wrócić dopiero z duszą starego proboszcza.

– On będzie żył jeszcze dziesięć lat! – oburzył się Biały.

- To wrócisz za dziesięć lat. Przecież jesteś jego aniołem stróżem.
- Myślałem, że mam pilnować Wojdy i tej jego Anny.
- Ich też. Proboszcz wszak ważniejszy. Na ziemię!

W tej chwili smutny anioł poleciał w dół, żeby odslużyć jeszcze trochę, a może nawet więcej, i tak przy tym się zagapił, że uderzył w przelatującą gęś.

Czarny pobiegł nadrobić stracony czas. W zaroślach nadodrzańskich krył się Przemko nie-wikary z Pogorzeli, co po praniu suszył na krzakach swoje ubranie. Już nawet portki założył, co nie dały się doprowadzić do białości w kroku, i koszulę, gdy usłyszał, że w wodzie coś się chlapie.

- Przestań, bo jeszcze ktoś nas zauważy! – mówił dziewczęcy głos.

Drugi dziewczęcy głos na to: – Głupiaś, nikogo tu nie ma. Rozdziej się całkiem, woda jest ciepłutka.

Nie powinien wierzyć w te głosy kłamczuch Przemko, oj nie powinien, bo przecież sam przed chwilą zaznał najlepiej, że woda jest całkiem zimna, ale dziewczuchy tak chichotały... Cokolwiek sobie chutliwy mężyk wyobraził, tylko on to wiedział, lecz musiało mocno na niego działać, bo umysł zamroczyło. Podszedł nad wysokawy brzeg rzeki, wychylił się, ujrzał nagie, niewieście ramię czy coś takiego, co mu się chowało. Wychylił się więc jeszcze bardziej, a to jeszcze bardziej się schowało. Jednocześnie dziewuszydła popiskiwały. Nie było innego wyjścia. Przytrzymał się trawy i wychylił tak daleko, jak mógł, czyli troszkę za daleko, bo runął głową w dół, łącznie z garścią trawy, którą trzymał w dłoni.

Przy samiutkim brzegu woda wyrwała głębię z silnym wirem i rychło nieumiejący pływać oszukaniec zamiast powietrza, nabrał niechcący w płuca wody z piaskiem. Zachłyśnięty jeszcze się wynurzył niesiony prądem, jeszcze zdołał schwycić w dłonie coś, co zwisało nad wodą, a co okazało się starą miotłą. Kto mu ją podał, nie wnikał, schwycił jak ostatnią deskę ratunku. My wiemy, kto służył taką pomocą – ten sam, co udawał dziewczęce głosy. Przemko nie wiedział, ale potem całe wieki miał boleści, żeby się domyślić, któż taki niezgrabnie pomógł mu w potrzebie.

Dobił zdartymi gałązkami miotły do dna, po kiju niczym kot się wspiał aż na czubek, gdzie przywarł rękoma i nogami, i dobre dwa łokcie pod wodą, rozdierany bólem płuc, wykrztusił z siebie resztę powietrza. W nagrodę dostał na głowę wieniec z piołunu, co go nosił ze sobą na zgubę Anuchy – takim właśnie, z miotłą między nogami, z wiankiem badyli na głowie, znaleziono go za dwa dni, czym kanonik wrocławski zyskał istotny dowód, że co prawda na miotle nie da się latać, ale próbować można. Jeszcze tylko chwilę żył. Ból rozdarł mu płuca, mózg strach, bo wokół zaroilo się od zębatych wodnych potworów. Szarpnął się rozpaczliwie raz, drugi i trzeci, i już było po wszystkim, co dla duszy Przemka oznaczało co prawda nowy, ale bardzo przy tym nędzny początek. Duszę Przemka wywlókł z wody Czarny, czyli diabeł.

– Dobrze, Januszu, że jesteś – Przemko natychmiast odzyskał głos. – Poprowadź mnie do grodu. Jutro będzie tam mój brat, Mroczo, on cię wynagrodzi. My potrafimy odwdziżyć się dobrym sługom.

– Pójdziemy gdzie indziej.

– Dokąd? – zapytał najgorszy wikary Śląska.

Czarny objął go wpół, przytrzymał mocno i powiedział, buchając w nos smrodem siarczanym: – A tu.

W tej samej chwili znaleźli się w gorących czeluściach piekielnych, gdzie ciemności rozjaśniał żar pod kotłami, śmierdziało siarką i smołą. Stanęli przy jednym z kociołków.

– Co to? – zapytała dusza jeszcze nie rozumiejąca, co się dzieje, za to szczerze wierząca we własną niewinność.

– To, czego życzyłeś Ani – powiedział Czarny i wziął w ręce widły, i nadział na nie Przemka.

Ten zawył, próbując wyrwać widły z brzucha, ale sługa, co mu się wydawał głupawym, mocno je trzymał, napierał, unosił. Przemko spojrzał w jego czarną mordę z czerwonymi ślepiami i dopiero wtedy pojął, co się dzieje. Ostatkiem sił wrzasnął: – Nie!, ale tylko frunął, a jego krzyk skończył się rażnym bulgotem smoły.

– No to jestem – powiedział zadowolony z siebie diabeł do Belzebuba, co wyrósł obok nie wiadomo skąd, a z oka wycierał kroplę gorącej smoły, co ją Przemko wychlapał. – Wróciłem z grzeszną duszą – Czarny chwali się dalej. – Odrobiłem swoje.

Na to Belzebub: – Za taką nędzną duszę należy ci się jeszcze sto lat na ziemi. Jazda tam!

I Czarny dostał w słabiznę zachęcającego kopa, po którym leciał w górę tak szybko, że zdążył tylko tyle porozmyślać, nie bez przekory: A mi na ziemi dobrze..., nim chlupnął od dołu w bagno. Wynurzył się rychło, a cały łeb pokrywał mu rokitnik. Zdjął garść tego ziela, przypatrzył się mu i powiedział serio: – Dobrze na bóle gośćcowe..., po czym zastanowił się chwilę i rzekł tym razem z uśmiechem: – Chcieliby starego proboszcza, ale nie dostaną. Za pięć lat dam im kanonika. Ale będę miał ubaw.

Niedługo trwało, gdy przed starym proboszczem, co już samodzielnie jadł kaszę, stanęli zniecka obaj jego zbzikowani słudzy: pokryty gęsim pierzem Biały i ociekający błotem Czarny. Jeden miał w ręku martwą, dziką gęś, drugi ledwie utrzymywał oburącz wijącego się węgorza. Księdzu na ten widok łyżka wypadła z ręki. Naprawdę bliski był stanu, żeby znów krew uderzyła mu do głowy.

Czarny i Biały stali, patrzyli i nic nie mówili.

W końcu proboszcz powiedział bardzo powoli: – Pochwalony...

Na co obaj słudzy się uśmiechnęli i spojrzeli na siebie zadowoleni, że

proboszcz nawet mówi.

Ksiądz zebrał się w sobie i rzekł powolnymi słowy, w dodatku jakby połykając po każdym z nich następne i z wysiłkiem je potem wypluwając, tak długie przerwy między nimi robił.

– A... skąd... się... tu... wzięliście?

– Ja z nieba.

– Ja z piekła.

– Nie... mówcie... tak... przy... ludziach... bo... tu... nikt... już... nie... lubi... takich... żartów. – Po ostatnim słowie aż zipnął z wysiłku.

Na to obaj urwipolcie spojrzeli po sobie i wreszcie powiedzieli coś zgodnie:
– Nie będziemy.

Pod wieczór zapanowała wielka radość między zgłiszczami a domostwami Ryczyna. Przyszły wieści o tym, że Tartarowie z całą pewnością odeszli na Morawy i ksiązę Bolesław z czystym sumieniem mógł zezwolić na odjazd krakowskiego rycerstwa. Nazajutrz wygłodzone wojsko krakowskie pojechało na wschód, a zła wojewodzianka z nim. Wkrótce się przekonała, że na ojczystej ziemi nic już nie znaczy, bo męscy krewni przejęli prawie cały majątek, chcąc nie chcąc, wyszła więc za mąż za Pakosława na – jak się wkrótce okazało – jego wyłączne utrapienie, bo nie dość, że nigdy nie przestała marzyć, to na dokładkę zawsze te marzenia natychmiast wcielała w czyn. Utrapienie krakowskiego rycerza nie trwało długo, bo zaledwie pięć lat – tyle, żeby oblubieniec wojewodzianki zdążył przez nią osiwieć. Ku uldze nie tylko Pakosława, Gertrudka zmarła w mękach, przy połogu.

Nie o niej tu jednak mowa, a o wiedźmie Anuszy.

Dwie rycerskie rodziny poszły do obozowiska, bo w kasztelanii zrobiło się gęsto od najważniejszych gości. Księżna Jadwiga skorzystała z gościny kasztelanowej i zapowiedziała odjazd wodą do Wrocławia na rano. Tymczasem poszła do kościoła, żeby się modlić całą noc za ocalenie kraju.

Dzięki szczęsnej wieści o odjeździe Tartarów wieczorem Wojda z dziewczurą zostali na chwilę sami dla siebie, nie musząc nic nikomu mówić, opowiadać czy słuchać. Wokół trwało zamieszanie radości, ludzie hałasowali na różne sposoby, a tych dwoje wpołleżało przy ognisku spokojnie. Anucha czuła ogromne znużenie i najchętniej by usnęła. Tak miał zadziałać napar z miodownika, który wypila, ale nie zadziałał. Za dużo jak na jeden dzień wrażeń: odzyskanie życia, Wojdy, siostry, braci i ojca, co gdzieś tam wojują i już należałoby się o nich martwić, zyskanie drugiej matki, co z pierwszą właśnie po raz dziesiąty coś sobie opowiadały zawzięcie, a być może zyskanie trzeciej w Bożenie, co teraz rada by młodej wiedźmie nieba przychylić i już zarządzała, jak to ona, przyszłością wszystkich. Te trzy niewiasty spłakały się kilka razy, a też i uśmieły.

Sama dziewczura w oszołomieniu nadal nie za wiele mówiła, trochę słów

zamieniła głównie z siostrą Martą, co cały czas bliziotko, ale po ciuchu jej się trzymała. Anucha wiele chciałaby wiedzieć, lecz nie o wszystko pytała, zresztą nie śmiała się odzywać, no i sił ku temu też nie miała. Teraz musiała odpocząć, odpoczynek jednak nie nadchodził. Za to tuląc się do Wojdy, zyskała tyle spokoju, że oddech już się nie rwał, przynajmniej nie za każdym razem.

Wojda również miał skołataną głowę. Prawdę mówiąc nadal nie wierzył w to, co się wydarzyło minionego dnia. Dlatego co chwila całkiem mocno sprawdzał, czy to dziewczura przy nim jest, przytulając ją, niemal gniotąc. Bo może znów jakiś duch albo upiór? Była, oddawała uścisk, czasem nawet spojrzenie. Uradowany tym, że nie zniknęła, cieszył się ze spraw mniejszych, jak choćby z odjazdu Tartarów czy z rycerskiego pasa. Cieszył się na swój sposób – nieznacznym uśmiechem i mocnym przytulaniem dziewczyny.

Trwali tak w przytuleniu, wpatrzeni w bezpieczny ogień, już bez obaw o przyszłość, za to doświadczeni teraźniejszością. Wokół ludziska biegali, płakali z radości, śmieli się, bo wreszcie najokropniejsza z wojen się skończyła. Tych dwojga to nie wzruszało albo nie obchodziło – tak można było pomyśleć. Ona, milcząca, leciutko opuszkami palców dotykała jego dłoni, jakby ją obrysowując. On także się nie odzywał, ustami muskał jej króciutkie włosy nad uchem, co pozostały po cięciu głupiego pachotka.

Dobrze im tak było, bez żadnego słowa.

Wreszcie poczuł – Anucha ukołysała się na tyle, że oddychała już bez mimowolnych westchnień i tuliła się bez kurczowego napięcia.

Aż zawiał niespodziewany wiaterek, bo nadchodził deszcz. Rozpuszczone włosy dziewczury jakby chciały ich zakryć i poleciały nawet na twarz rycerza. On wtedy wyszeptał jej do ucha:

Brzozo z czerwoną głową!

Wiatr szepnął nieco z ukosa

I zasłonił Ci pół twarzy

A mnie utopił w twych włosach.

Ona na to odpowiedziała nie szeptem, lecz pełnym głosem, choć cichym, za to z niezwykłą dla siebie powagą:

Ocalejesz biedaku od pożaru mych włosów

A w ich toni ognistej wcale nie utoniesz

Tylko przytul mnie mocno w jak najczulszy sposób

Wtedy jeszcze zieloną suknią cię zasłonię

Potem całuj miłośnie a ja usta swemi

Od rudego żaru zakryję twe wargi

Jako pnącza rozwiązłe z sobą się skręcimy

I już więcej nie powiesz ani słowa skargi

I się spoim oboje z zielonością w bezdechu

Gorejąco i rześko niczym napar z mięty

Tak pomkniemy wzdłuż wiatru i bez krztyny pośpiechu

Bezszereestnie wnikniemy w leśnych wirów odmęty

Tak już będzie na zawsze. Nikt nas nie rozdzieli

I nie dotkną nas nigdy żadne lzy czy boleści

Bo nas chronią pod skrzydły swoimi anieli

Co nam dali wejść w słowa wiecznotrwalej pieśni.

EPILOGUS

A potem było to co zawsze:

Lato wesele uczta pieśni

A czy tam byłem? Ja?! A jakże!

Inaczej bym to wszystko zmyślił!

Bo ja tam byłem na weselu

I miód wypilem tak jak wielu

I w pląs poszedłem już pijany

No i usnąłem podle ściany

Jak żyli dalej – nie pamiętam!

Zapewne długo i szczęśliwie

Ja rzekłem to co miałem rzec

Co będzie w was na zawsze żywe

I jak to bywa zawsze tam

Gdzie dobro jest nad złem wysoko

Czas kończyć już tej pieśni bieg

Me słowa zmienić w wasze złoto!

Słuchacze wierni! Jeślim zdołał

Wzruszyć was wielką opowieścią

To wynagrodźcie mnie denarem

Uczyńcie mą sakiewkę cięższą!

Jeśli pieniędzy zaś nie macie

Ugośćcie jadłem i napitkiem

Dajcie odzienie czyste gacie

Trzewiki miskę choćby łyżkę

Tych zaś co głodni dzisiaj zasną

Proszę doprawdy o tak mało:

Niechże podzięką mnie wzbogacą

No i modlitwą wesprą śmiało

Lecz nie odchodźcie bez uznania

Pieniądzem darem dobrym słowem

Żem wam dał dużo do poznania...

Że piękną była ta opowieść!

Żegnajcie dobrzy chrześcijanie

I wy co dobrzy nie jesteście

Takoż żegnajcie już pogany

I niedowiarki wszystkie w mieście.

Paweł Rochala

Skierniewice, w dzień Świętej Barbary
roku Pańskiego 2016

Paweł Rochala



(ur. 1968) – pisarz i historyk wojskowości z zamiłowania, zawodowy oficer Państwowej Straży Pożarnej. Autor powieści „Bogumił Wiślanin” i „Baśń średniowieczna” oraz wielu artykułów i felietonów publikowanych w branżowej prasie strażackiej. Żonaty, ma dwoje dzieci.

Przypisy

[1] Tartarzy – Mongołowie uważani w średniowieczu za wysłanników diabła. Słowo tartar – od łacińskiego tartarus – najmroczniejsza i najdalsza część piekła (przypis red.).

[2] Jan di Piano Carpini, „Historia Mongołów”, w: Spotkanie dwóch światów. Stolica Apostolska a świat mongolski w połowie XIII wieku. Relacje powstałe w związku z misją Jana di piano Carpiniego do Mongołów, pod red. J. Strzelczyka, Poznań 1993, s. 128–152.

[3] Edward Karwot, „Katalog magii Rudolfa. Źródło etnograficzne z XIII wieku”, Wrocław 1955.

[4] Za: ks. A. Kiełbasa SDS „Święta Jadwiga Śląska”, Warszawa 1990, s. 74

[5] Za: Ernst W. Wiest, „Cesarz Fryderyk II”, Warszawa 2002, s. 218–219.

[6] Historyczne, za ks. Antoni Kiełbasa SDS „Święta Jadwiga Śląska”, Warszawa 1990, s.74.

